

ZIMOWY PRZEŁOM

JESIENNE DROGI (ZAMIAST SYNOPSISU)

I

Torka. Przełęcz Agmareńska. 399 K.S. 11 dzień Jesiennych Wiatrów

1

Trzy sztandary na dwóch wieżach, rozdzielonych wiecznie złą Schneiestraal... Srebrny wilk Neumarinenów z uśmiechem patrzy na Zwycięzcę, wbijającego włócznię w zaskoczonego Smoka, a naprzeciwko walczy z wiatrem złoty okręcik.

Taligojczycy i Bergerowie mają jedną wojnę i jednego wroga, tylko rachunek górali wystawiony byłym rodakom jest o wiele wyższy niż rachunek wystawiony przez Talig rywalom i sąsiadom. Nienawiść – to pamięć o opuszczonym domu. Nienawiść, żaglowiec w herbie i imię – to wszystko, co pozostało po północnej wyspie, w niepamiętnych czasach zadławionej lodami. Fortuna rzuciła kości i marynarze-Agmowie stali się góralami-Bergerami. Fortuna lubiła żartować, przecież pozbawiony dziedzictwa południowiec został torskim baronem, z czego jest dumny. Torka nie Ollaria, za darmo nie daje, a jeśli już da – to nie odbierze.

Germon Arigau uśmiechnął się wyzywająco, jak zawsze, kiedy wspominał porzucone Gaiare. Nie, nie tak – Gaiare, które wyrzuciło go precz, nie mówiąc, za co. Wtedy Germon miał dwadzieścia lat, od tamtej pory minęło tyle samo. Połowa rozbitego z woli ojca i jakoś poskładanego życia. Podobno czas leczy – wyleczył. Tak się wydawało, ale ostatnia jesień rozjątrzyła stare smutki. Klucze gęsi ciągnęły nad górami, a generał Arigau jak ostatni dureń sterczał na wieży i odprowadzał je spojrzeniem, jakby nie miał nic innego do roboty. Germon wyzwałby na pojedynek każdego, kto oskarżyłby go o tęsknotę za starym domem, ale w Torce takich ludzi nie było, a na południu generał nie bywał. Nie chciał.

Nastrój szybko się psuł, ale pomógł wiatr, któremu udało się zerwać z generalskiej głowy kapelusz. Germon schwycił go i naciągnął aż po imponujący rodzinny nos. Hrabia lubił wiatr w twarz. Jak i wojnę, i północ, która go przysparzała. Przeszłość dlatego jest przeszłością, że już jej nie ma. Generał Arigau starannie podkreślił ciemne wąsy i popatrzył na wzniesienie Icemesser. Nad wyszczerbionymi szczytami wznosiła się ściana obłoków, wydających się w różowym zmroku jeszcze jednym górskim pasmem. Zazwyczaj w połowie Jesiennych Wiatrów Torka tonęła w śniegach, ale w tym roku świat stanął na głowie.

Na dalekim brzegu dzwicznie uderzył dzwon, witając zimne słońce. Jeszcze jeden obyczaj, który przetrwał wieki i drogi... Germon zasalutował przyjaciółom szpadą, w odpowiedzi błysnęło agmareńskie ostrze – Gerhard Katerschwanz lubił wojnę i świt nie mniej niż Germon Arigau.

Wymiana porannych uprzejmości była zakończona i Taligojczyk, ciaśniej zapiąwszy wilczy płaszcz, niespiesznie zszedł z wieży. Czy naprawdę gdzieś o ziemię stukają dojrzałe kasztany, a chłopci chodzą boso? A może coś mu się poplątało i do Arigau już zawitały deszcze? Ile rzeczy można zapomnieć, szczególnie jeśli się postarać.

Zamek budził się, witając kolejny dzień, wypełniony ćwiczeniami i codziennymi troskami. Żołnierze nosili wodę, rąbali drwa, ochryple i wesoło rozmawiali. Przy kuchniach kucharz z pomocnikami ćwiartowali dziczą tuszę, niedaleko przymilnie machało ogonami sześć psów, wśród których prym wiódł rozzuchwalony rudy Manrik. Wszystko było jak należy, można było spać i spać, ale dowodzącemu górskimi garnizonami podobało się wstawać po ciemku, witać z sąsiadami, a potem przechodzić z dziedzińca na dziedziniec, wdychając zapach dymu i gorącego chleba. To było jego życie, jego góry i jego wojny, bez których generał nie umiałby żyć.

Gdyby ktoś powiedział Germonowi, że jego oddanie Torce zrodziło się z obrazy na Arigau, wzruszyłby ramionami, ale w głębi duszy hrabia wiedział, że tak właśnie było. Nie był pierwszym ani ostatnim, kogo uratowała służba, przekreślająca przeszłość i oduczająca patrzeć dalej niż do następnej kampanii. Teraz przyszłość tonęła w dymie prochu. Śmierć Sylwestra poruszyła Driksami i Gaunau. Zwiadowcy donosili o zgromadzeniu wojsk za Icemesser, a przybyły nocą Ludwig Neumar przywiózł list od fok Warzowa. Marszałek Zachodu oznajmiał generałowi piechoty Arigau o kolejnym wojskowym sojuszu Einrechta i Lippe i przypuszczalnym wysunięciu zjednoczonych wojsk na granicę z Taligiem.

„Zjednoczona armia”, według domysłów Germona, mogła liczyć około stu pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy. Za to na stronie obrońców były Torka i zima. Arigau nie odmówiłby spotkania z „gęsiami”¹ na powierzonych mu przełęczach, ale wśród drikseńskich generałów nie spotykało się durniów, gotowych przebijać łbami mury. Sąsiedzi byli ostrożni, niegłupi i ocytani, a wszyscy uznani stratedzy jednogłośnie twierdzili, że duże armie w górach nie zobaczą szczęścia. Alva też tak uznał i wziął do Sagranny sześć i pół tysiąca. Wystarczyło.

Owszem, Agmaren to nie Irbisie Wrota, a Bergerowie i Taligojczycy to nie Kageci, ale posterunki trzeba wystawić na każdej ścieżynce, nieważne, jak bardzo wydaje się nieprzebyta. Są ludzie, którzy strome zbocza mają za nic, Germon sam się do nich zaliczał, chociaż przed ukończeniem dwudziestu lat nie widział nic wyższego od marikjarskich wzgórz. Dużo rzeczy nie widział, a jeszcze mniej rozumiał, ale później wszystko stanęło na swoje miejsce.

Generał automatycznym gestem poprawił kapelusz i schwycił za rękaw przebiegającego tenenta-ekonoma. Franz Zuckerbrod wyrósł na kuchni książąt Neumarinen, zapragnął jednakże wojskowej sławy i wyprosił przeniesienie do Torki, ku burzliwej radości tutejszych mieszkańców. Teraz Zuckerbrod rywalizował z kucharzem sąsiada-Bergera i dla zwycięstwa był gotów na wszystko.

– Co na kuchni? – zaciekał się Arigau, z rozkoszą wgryzając się w świeżo upieczony chleb – I jak Heinrich?

Heinrichem żołnierze nazwali obzartego jesiennymi darami niedźwiedzia, który napatoczył się na generała Arigau. Zwierz w pełni zapłacił za swoją głupotę, Germon wyładował zły nastrój, a jego oficerowie dostali wyborne mięso. Naturalnie, zdobycz postanowiono zjeść wspólnie z sąsiadami.

– Mój generale, Heinrich się marynuje, do obiadu dojrzeje – oczy kucharza zasły mgiełką nieosiągalnego marzenia – Ech, gdyby tak mieć gałkę muszkatołową!

– Wystarczy ci pieprz i cebula – sam Germon, zgodnie z opinią przyjaciół, był gotów łykać mięso ze skórą i kośćmi i dlatego patrzył na kulinarne wymyślności bez należytego szacunku – a niedźwiedziowi tym bardziej.

– Mięso – to ciało, a przyprawy – to dusza – przewrócił oczami Zuckerbrod. Kucharz twierdził, że jest dalekim krewnym wielkiego Didericha i wierzone mu. Niewątpliwy dar poetycki w połączeniu z oddaniem garnkowi i wazowej łyżce doprowadzały do wstrząsających rezultatów.

– Nic to – pocieszył kucharza Arigau – dusza duszy nierówna. Heinrichowi w pełni wystarczy cebulowa. On za życia nawet takiej nie miał!

Franz roześmiał się otwarcie i wesoło. W Torce wszystko jest proste. Jeśli wesoło – śmieć się, jeśli wojna – walczyć, jeśli bieda – trwać do końca.

2

1 „Gęsi” - pogardliwe przezwisko Drikseńczyków, na których herbie widnieje ukoronowany łabędź na fali i dwa skrzyżowane miecze. „Burobokimi” i „Niedźwiedzimi łbami” określa się poddanych rządzącej Gaunau dynastii Berbruder, uważających za swojego prarodzica jednego z bogów Siwych Ziem, potężnego wojownika z niedźwiedzią głową. Po przyjęciu esperatyzmu Berbruderowie obrali swoim herbem niedźwiedzia z dwuręcznym mieczem.

German Arigau urodził się skowronkiem, Ludwig Neumarinen – sową, jednak tym razem następcą Rudolfa Neumarinena zerwał się bładym świtem. Z jego punktu widzenia, naturalnie.

– Ładny ranek – Ludwig stał na ganku w samej koszuli, z powątpiewaniem obserwując nadciągające chmury – Nie wydaje ci się, że do obiadu nas zasypie?

– Nie – Germon serdecznie potrząsnął ręką markiza – Zbyt silny wiatr. Jeśli chmury przeszły za przełęcz, to zejść w dół.

– Możliwe – zgodził się Ludwig – Tak czy inaczej przyjechałem w samą porę.

– Nie to słowo – Arigau spojrział na przyjaciela i wzdrygnął się przesadnie – Jak na ciebie patrzę, to zimno mi się robi. Trzeba wypić.

– Czyja to wina, że marzniesz?! – szare oczy Neumara błysnęły zadziornie – A to wszystko dlatego, że kładziesz się spać z kurami, a wstajesz z kogutami.

– Lepiej z kogutami niż z gąsiorami – zaśmiał się Germon. Markiz Neumar żartował zawsze i ze wszystkiego. Siedemnaście lat temu jego wybryk doprowadził Germona do szewskiej pasji. Sprawa skończyła się pojedynkiem, dwiema ranami i przyjaźnią do końca życia – Na długo do nas zawitałeś?

– Niestety – Neumar pełną piersią wciągnął lodowate powietrze – Sterczeć mi tu i sterczeć.

– Najlepsze miejsce dla ciebie – mruknął Arigau – Na ganku sterczysz w samej koszuli, śpisz do obiadu.

– Och, ci południowcy – mruknął Neumar – Troszeczkę się ochłodzi i więdną jak magnolie.

– Magnolie? – wrzasnął Germon, z trudem powstrzymując śmiech – Południowcy?! A żebyś wiedział – jestem torskim baronem do szpiku kości! I takim umrę.

– Wolfgang by ci natarł uszu – flegmatycznie zauważył Ludwig – Staruszek nie znosi rozmów o śmierci, póki ona śpi. Najlepsza śmierć – to śmierć wroga.

– Kto by się spierał – uśmiechnął się Germon – A propos wroga, czeka na ciebie niedźwiedzia szynka.

– Sam brałeś? – rzeczowo sprecyzował Ludwig – Na co?

– Na twój prezent – Germon zręcznie wyjął zza pasa sztylet – Wszedł jak w masło, tak że z przyjazdem zdążyłeś, akurat się zamarynowała.

– Dobry znak – szare oczy Neumara błysnęły zadzierzyście – Szynka – Agmom, kości – Gaunau.

– Nic łatwiejszego – zapewnił Arigau – tylko najpierw trzeba je obgryźć.

– Też mi! – markiz ziewnął i przeciągnął się – Żebyśmy my z sąsiadami nie obgryźli jakiegoś tam niedźwiedzia?! Najpierw burego, potem tłustego! Nawiasem mówiąc, przywiozłem wino, bo ty, choć i Berger, na widok piwa stroisz grymasy.

– Bo to przecież paskudztwo nieopisane – z uczuciem powiedział generał – Takie to tylko ze zgryzoty pić można.

– Ty nawet ze zgryzoty go nie piłeś – poprawił najlepszy przyjaciel – Dobra, chodźmy do domu, zanim tu skostniejesz. Jesienią w wilczym płaszczu chodzisz, od piwa cię odrzuca – i jeszcze mówisz, że nie południowiec! Z ciebie przecież wykapany Morisk, tyle że bez shaddi.

Germon nie pił shaddi – gorzki natrętny zapach zbyt mocno przypominał o domu. Byłym, naturalnie. Arigau podkręcił wąsa i rąbnął przysłanego księcia po ramieniu.

– Naprzód, do kielichów!

Ludwig ruszył w kierunku drzwi, ale na progu odwrócił się znienacka i wyszarpnął szpadę. Oczekujący tego Germon przyjął ostrze na ostrze.

– Podejrzliwe bydlę – z wyrzutem pokręcił głową gość, siedemnasty rok próbujący zastać gospodarza nieprzygotowanym. Ci, którzy widzieli ich grę po raz pierwszy, rzucali się rozdzielać „pojedynkowiczów”. Ku burzliwej radości tych ostatnich.

– Okropne czasy rodzą okropne obyczaje – pouczająco powiedział Germon, wpychając szpadę do pochwy – Chcesz kasery czy swojego wina?

– Swojego wina – Neumar już się nie uśmiechał – ale później. German, przyjechałem cię zamienić.

– I któż to coś przeszkrobał? – zaśmiał się Arigau – Ja czy ty?

– Manrik i Colignar – drętwym głosem powiedział Ludwig – Musisz jechać do Arigau, im szybciej tym lepiej.

– I co ja tam będę robić?

– Obejmować dziedzictwo. Będiesz tak sterczeć w drzwiach czy wreszcie usiądziesz? – Neumar obracał w palcach zaręczynową bransoletę, tak samo jak wtedy, kiedy mówił o śmierci Arnoulda Savignaca. Kończyła się wiosna i Pridda była czerwona od maków. Wiatr kołysał kwiaty i po zielonych polach toczyły się krwawe fale, w których tonęli żołnierze i konie.

– Siadaj – upomniał Ludwig – Czeka nas długa rozmowa.

– Będę chciał, to usiądę! – odciął się Arigau, przysuwając taboret. Inny na jego miejscu

jeszcze latem poprosiłby o urlop i pojechał do majoratu. Od świeżo upieczonego hrabiego tego właśnie oczekiwano, ale Germon nie zamierzał rezygnować ani z armii, ani z wybranego w przyprawie złości baronowskiego herbu ze szczerzącym się kotem. Zbyt wiele trudu kosztowało go wydarcie z siebie Gaiare, żeby teraz tam wrócić.

– Germonie – cicho powiedział Ludwig – proszę cię. Ojciec cię prosi. Driksowie poczekają, Epineix – nie.

– Sprawy zaszły aż tak daleko?

– Dalej już nie można. Manrikowie z Colignarami po śmierci Sylwestra jakby zerwali się z łańcucha.

– I co? – Arigau zmusił się do tego, by usiąść – Co to ma ze mną wspólnego?

– To, że Arigau się zbuntowało. Razem ze Starą Epineix i Pouen.

I oto twoje niepokoje, panie generale. Oskarżałeś Driksów i Gaunau, a to, co śpi w każdym, obudziło się i pociągnęło cię do domu, tyle że ty nie rozumiałeś.

– Stary Epineix umarł cztery dni przed Sylwestrem – Ludwig nałożył bransoletę i natychmiast ją zdjął – Twój kuzyn był wyjęty spod prawa i Colignarowie otworzyli paszczę, ale Rober wrócił.

– Do Taligu?! – Arigau nie uwierzył własnym uszom – Musiał oszaleć.

– Wszyscy południowcy są szaleni – zakpił mieszkaniec północy – Jednak ojciec sądzi, że Roberowi dano gwarancje. Sylwester nie chciał oddawać tytułu Colignarom. Lionel też nie.

– Arnould też ich nie znosił – German nie wiadomo po co wyjął sztylet i uniósł do oczu ozdobioną dymnym kwarcem rękojeść. Gdyby było słońce, w sercu kamienia zapłonąłby szary ogień.

– Łatwiej powiedzieć, kto ich znosił – Neumar podniósł głowę – Dasz mi dokończyć?

Germon Arigau wzruszył ramionami. Dłonie nadal bawiły się sztyletem, a myśli błądziły gdzieś pomiędzy Agirre i Gaiare. Bunt! Trzeci w ciągu dwunastu lat, czyżby Rober naprawdę niczego nie rozumiał?

– Germon! – jak ciemno za oknem, ale chmury niedługo zejść na dół, do Priddy – Pamiętasz barona Reinsteinerja?

– Eugena? Jego nie da się zapomnieć.

Zimne, spokojne spojrzenie, wąska długa twarz, jasne włosy. Eugen Reinstener... Towarzysz z Agmaren, Berger, który złożył przysięgę Taligowi i został odwołany do gwardii. Z gwardii do Torki wracają rzadko. Nawet Bergerowie.

– Wiosną Sylwester umieścił barona przy gubernatorze Epineix – Neumar nie mógł powstrzymać uśmiešku – żeby ten się nie zapominał. Eugen bardzo się starał.

– Nie wątpię. Dziwne, że Sabwe się nie powiesił.

– Nie zdążył – z żalem powiedział markiz – Sylwester umarł wcześniej, a z Manrikami Eugenowi się nie ułożyło. Nasz baron został odesłany do rezerwy, wrócił do Bergmarku i pojechał wprost do margrabiego. Ten uznał, że sprawa jest poważna i wysłał Reinsteinerja z jego meldunkiem do Neumaru.

– Chciałbym tego posłuchać.

Za oknem coś zawarczało. Prawdopodobnie tutejszy Manrik broni przed współbraćmi zdobytej kości. Wszędzie jedno i to samo.

– Posłuchasz – pocieszył Ludwig – Teraz Eugen jest pułkownikiem Neumarinen i oficerem do szczególnych poruczeń przy osobie Proemperadora Północy.

Cóż, za szczególne poruczenia można być spokojnym. Baron Reinstener nie uznawał żartów, ale był mądry jak Leworęki i miał tyle samo szczęścia. Jeśli zajdzie taka potrzeba, zdobędzie księżyc, przy okazji wskazując mieszkańcom niebios, że źle go polerowali i dlatego pojawiły się na nim plamy. Germon uśmiechnął się mimowolnie:

– I komu Eugen obecnie demonstruje swoje talenty?

– Ojciec postanowił odesłać go do Epineix. Razem z tobą i trzema pułkami, tak że będziecie mieli czas na rozmowę. Musisz wiedzieć, że Reinstener jest skłonny bronić twojego kuzyna.

– Co on nawyrabiał? – ile lat ma teraz Rober? Skończył już trzydzieści czy jeszcze nie? – Oprócz tego, że wrócił?

– Eugen jest pewien, że sam Inochodziec nic nie zamierzał wyrabiać. Winni są Maranowie. Uważali Epineix za swoje, a tutaj taki pech! Następce, który zniemacka zwał się na głowę, postanowiono wykończyć podczas próby ucieczki, ale Reinstener uznał to za przedwczesne. Nasz

drogi Berger, ku niezadowoleniu gubernatora i jego krewnych, pojawił się w Epineix osobiście. Eugen zamierzał pod prawdopodobnym pretekstem dostarczyć jeńca nie do Ollarii, a do Savignaca, ale Epineix nie mógł o tym wiedzieć. Uciekł i wznicił powstanie. Mówiąc szczerze, ja go rozumiem.

– Arnould Savignac rozumiał Karla Borna – Arigau podkreślił węża, dumny nawyk, trzeba coś z nim zrobić – I czym się to skończyło?

– Epineix to nie Born – Ludwig przygładził jasne włosy – A coś zrobić trzeba. Znany ci Leonard Manrik razem z Sabwe poprowadzili do Epineix Armię Rezerwową, a w stolicy trwa polowanie na popleczników powstańców. Aha, a Leonard teraz nazywa się markizem Er-Prieux.

– Wesoło – Germon odłożył sztylet na zabałaganiony stół – Kogo powinienem okiełznać? Swoich wasali, dla których jestem wyrzuconym przez ojca łajdakiem? Inochodźca? Leonarda?

– Wszystkich po trochu – Neumar znów zajął się bransoletą – Pojedziesz przez Lauthensee, tam czeka Reinsteiner ze swoimi strzelcami i lada chwila dołączy do niego Charlie.

– Fok Warzow oddaje najlepszych kawalerzystów? – zaiste dzisiaj rano niemożliwości – Pisze, że Driksowie zmówili się z Gaunau i zbierają wojska, i oddaje?

– Na południe najlepiej posyłać południowców – wyjaśnił najlepszy przyjaciel – a starszek nie zostanie pokrzywdzony, ojciec podrywa swoje „wilki”, za trzy tygodnie będą w Gelbe. Twoje zadanie – przyjąć kapitulację Epineixa i nie pozwolić, by Leonard i Sabwe pomylili własne hrabstwa z jakąś Gaiłą.

– Myślisz, że zdążę?

– Musisz – twarz Ludwiga zrobiła się surowa, nie gorzej niż u ojca – Leonard jest ostrożnym człowiekiem, a Armia Rezerwowa w trzech czwartych składa się z rekrutów. Nie, „markiz Er-Prieux” nie będzie się pchał na rożen, a i Rober, jeśli nie jest skończonym idiotą, nie zacznie pierwszy. Myślę, że do zimy obaj będą albo biegać jeden za drugim, albo uciekać jeden od drugiego, i wtedy pojawisz się ty. Z wyszkolonymi pułkami. Twoi wasale cię pokochają. I inni razem z nimi.

– A najbardziej pokocha mnie tessoriusz.

– Manrik jest teraz conseillerem, ale ojciec się z nim dogada, możesz mi wierzyć.

– Nie mam co do tego wątpliwości – Stwory Zmierzchu, no i masz, generale, swój osobisty Przełom. Torka cię uratowała, ale ty należysz do Gaiare, a nie do Agmarenu. Ludwig jest twoim przyjacielem do swojej śmierci, swojej, ale nie Neumarinen. Wcześniej czy później każdy zostaje ze swoją ziemią i ze swoją wojną, bo wygnańcy są wolni, a hrabiowie – nie.

– Germon – Neumar chyba pomyślał o tym samym albo o czymś podobnym – Gdyby nie bunt, nie szarpalibyśmy cię.

Gdyby nie bunt, gdyby nie wojna, nie śmierć, nie zima... Jakże lubimy to „gdyby”.

– Przestań się usprawiedliwiać, to niepodobne do ciebie. Jadę.

– Jedziesz – skinął głową Ludwig – bo co innego możesz zrobić, ale Charlie nie dotrze do Lauthensee przed dwudziestym, tak że mamy trzy dni. Akurat zdążymy zjeść niedźwiedzia, a ty przekazesz mi wszystkie sprawy. Porządnie przekazesz. Ty będziesz tłukł kuzyna i wypędzał flamingi z winnicy, a ja, nawiasem mówiąc, mam tu do utrzymania granicę.

– Utrzymasz – zaśmiał się Arigau, kopniakiem zaganiając pod stół kolejne przecucie – A teraz wyciągaj swoje wino. Będziemy pić za szczęście.

II

Urgocki Trakt 399 K.S., 19 dzień Jesiennych Wiatrów

Chleb był świeży, jajecznicą – wyśmienita, ser dojrzewiał tyle, ile trzeba. Chyba. Bo Charles Davenport połykał nieprzyzwoicie wczesne śniadanie, nie czując ani smaku, ani zapachu – tylko zmęczenie. I jeszcze przerażał go wszechobecny spokój. W przydrożnej gospodzie z szyldem, któremu Charles nie poświęcił ani sekundy uwagi, pochmurny poranek niczym nie różnił się od

dziesiątków innych takich samych.

Natrętnie bębnił w zamknięte okna deszcz, zaspany kucharz słuchał jeszcze bardziej zaspanego gospodarza, leniwie ostrzyło pazury kocisko-szczurołap, głupio i wesoło trzeszczały polana, służąca energicznie wycierała kubki, a w Ollarii siedział Aldo Rakan z chmarą najemników, szabrowników i zdrajców. Jednego, marszałka Henry'ego Rocksleya, Charles przedziurawił w samym pałacu. Młody człowiek miał nadzieję, że rana okazała się śmiertelna, bo takich rocksleyów należy zabijać na oczach ich zauszników i najlepiej w odpowiednim czasie. Z marszałkiem Henrym spóźnił się co najmniej o dobę.

Charles odsunął patelnię, wziął wino, zastanowił się i zażądał wody. Wino było wrogiem, nawet nie wrogiem, a kusicielem. Od kielicha pół kroku do łóżka, a tenent Davenport zabronił sobie spać. Przynajmniej tak długo, jak to możliwe, by nie zdechnąć.

– Przygotować pokój? – gospodarz. Łysy, ziewający, zadowolony z życia. Czy ma krewnych w Wewnętrznej Epineix lub w Ollarii? A jeśli ma, to co się z nimi dzieje?

– Jadę dalej.

– Panie – w głosie gospodarza wyraźnie słychać było smutek – w taką pogodę? Proszę mi wierzyć, sypialnie mamy wygodne, a już jakie pierzyny...

O, i tak właśnie wyglądają kusiciele. Wcale nie są to ślicznotki w szkarłatnych sukniach, tylko karczmarze z pierzynami.

Charles z trudem skupił spojrzenie na uśmiechniętej fizjonomii. Pokój drżał i rozpływał się, na skroniach leżały niewidzialne dłonie, ciężkie i zimne.

– Pan leci z nóg – nalegał gospodarz – a z pańskim koniem jeszcze gorzej... George mówi, że on nawet kroku nie robi.

– Właśnie o koniu chciałem porozmawiać – burknął Davenport – Muszę wymienić go na świeżego. Za dopłatą, naturalnie.

– O! – oczka kusiciela zrobiły się ostre jak igielki – Mam to, czego pan potrzebuje. Orzeł... Złoto, a nie koń! W sam raz dla hrabiego, co ja mówię, dla markiza.

– Jestem tylko wicehrabią – przerwał Charles – Ile mam zapłacić i kiedy ten pański orzeł będzie osiodłany?

– O – igielki zaostrzyły się jeszcze bardziej – Dwa talle – i Kasztan pański. Dwa talle – i dziesięć minut, ale, panie, przewoźnik jeszcze nie wstał. Tego leniucha nie wyciągnie się z łóżka przed południem, a Braete wylała. Deszcze... Nikt nie jeździ. Przewoźnik mógł się napić. Zwyczajnie mógł.

– Obudzę! – warknął Davenport, zły na cały świat i na klejące się oczy. Z przewoźnikiem sobie poradzi, jeśli nie złotem, to pistoletem. Śpioch się zgodzi, ale czy nie zawiodą własne nogi razem z głową? Stwory Zmierzchu, brakowało mu tylko upadku i zamarnięcia prosto na drodze!

– Panie – łysy to zniknął w budzącej młodości mgłę, to się z niej wynurzał – niech pan zostanie!... Nawet kurierzy odpoczywają, a już na nich to ja się napatrzyłem...

Kurierzy odpoczywają, ale on nie jest kurierem. On jest nie wiadomo kim, ale musi jechać do Urgotu i on tam dojedzie na złość wszystkim deszczom i wszystkim pierzynom!

Charles Davenport konwulsyjnie zacisnął szczęki, powstrzymując przemożne ziewnięcie, i rzucił na stół trzy talle.

– Poczekam na ganku.

– Na deszczu?! – na twarzy karczmarza pojawiło się prawdziwe przerażenie.

– Dokładnie...

Deszcz ma swoją zaletę. Kiedy jesteś mokry jak utopiona mysz, z całą pewnością nie usniesz!

2

Wicehrabia Valme obudził się sam i nic dobrego w tym nie było. Nic dobrego nie było ani w zapachu lawendy, rozchodzącym się od prześcieradeł, ani w posapującym przy oknie Gerardzie. W idealnej ciemności wicehrabia nie mógł się zorientować, która godzina, ale nie mogło być jeszcze szóstej, inaczej młody potwór, nie gorzej od koguta wyczuwający, kiedy należy pisać, stałby nad duszą z przyborami do golenia.

Marcel westchnął i zamknął oczy, ale ciemniej się nie zrobiło. Nie byłoby ciemniej chyba nawet wtedy, gdyby ktoś ich połknął. A czego pan chce – noc, jesień, deszcz, i to nie licząc własnej

głupoty! Wicehrabia leżał, słuchał, jak bębnią o parapet lodowate strużki, i próbował zrozumieć, po jakie koty niesie go do Ollarii, i to jeszcze takim galopem. Dokąd się spieszyć? Do Marianny on zawsze zdąży, a gdzie pętają się Alva i Luigi, nie wie nawet sam Leworęki! Marcel odrzucił cienką pierzynę, służącą tutaj za kołdrę, i usiadł, spuszczać nogi na podłogę. Głupio było znów zasypiać, a budzić Gerarda – żal, chociaż byłby to doskonały żart: wicehrabia Marcel Valme budzi Gerarda Aramone, tfu, reja Calperado! Roke nie uwierzy... No i Leworęki z nim, niech nie wierzy, byleby tylko się znalazł!

Były oficer do szczególnych poruczeń skrzywił się i spelzł na zaścieloną sukniem podłogę. Sam nie rozumiał, co go ciągnie do przodu i czemu nie jest mu wszystko jedno, czy przyjadą z Gerardem dzień wcześniej czy tydzień później. Wujaszek Shantry uważał pośpiech za szkodliwy dla zdrowia, księżę Tomas był lekko zakłopotany, nie więcej, a Marcel nie mógł znaleźć sobie miejsca. Lub też wręcz przeciwnie, znalazł. Obok Kruka. Przyczepił się do Pierwszego Marszałka, a ten wziął i uciekł, nic nie mówiąc, głównodowodzący się nazywa! Bez Alvy życie od razu zrobiło się nudne, ponieważ spanie, mielenie ozorem, tańczenie i flirtowanie z pięknymi kobietami sprawia przyjemność tylko wtedy, kiedy jest zajęcie, od którego można się wymigać. Kiedy tego zajęcia nie ma, rozrywka traci wszelki urok. Oczywiście, przyczyna leży w tym i tylko w tym, a przecucia zostawmy paniom w koronkach i różu. Albo w błękiecie. Bo co jeszcze mogą robić Julia i Elena, jak nie przeczuwać i szyć toalety na misteria?

Córki Tomasa były ładniutkie, ale daleko im było do Franceski Skwarza. Oto komu pasowałby strój Elkmeny! Różowa, nie, lepiej purpurowa tunika, złote sandały, kuty pas z perłami...

Ostrożne pukanie do drzwi oderwało Marcela od myśli o wdowie po felpskim admirałe, do której wicehrabia przed odjazdem napisał długi list. Napisał i porwał, bo pisanie bez otrzymywania odpowiedzi jest głupstwem, a Marcel nie życzył sobie wyglądać na głupka. Tym bardziej w tak pięknych oczach.

– Panie – głosik za drzwiami jednoznacznie należał do służącej, młodziutkiej i, bez wątpienia, śliczniutkiej – Panie, ósma godzina!

Ósma?! Czyli jednak zasnął, chociaż nie tak haniebnie jak Gerard! No, poczekaj ty!

– Ranek, panie! – huknął wicehrabia, zrywając z reja pierzynę. Pohańbiony potwór z żalonym kwiknięciem podskoczył na swoim sienniku i Marcelowi po raz pierwszy od wielu dni zrobiło się wesoło.

– Przepraszam – Gerard wyraźnie zamierzał zapaść się pod ziemię albo przynajmniej pod podłogę – Nie myślałem, że...

– I chwała Leworękiemu – Marcel odsunął zasuwę i otworzył drzwi, za którymi ukazała się przemilutka tłuszczoszka – Rybko, gorąca woda, shaddi, śniadanie i konie.

– Konie? – zamrugęła oczami panienska – Deszcz pada... Bardzo mocny.

– I kiedyż on się skończy? – zaciekawiał się Marcel.

– Panie – zachichotała służąca – O tej porze zawsze leje.

– No widzisz – wicehrabia przemógł się i zrobił to, czego z pewnością oczekiwała tłuszczoszka, a mianowicie uszczypnął ją w tęgi boczek – deszcz się nie skończy, więc skończymy się my. Nieś wodę.

Dziewczyna znów zachichotała i wyszła. Wicehrabia ziewnął i naciągnął podróżny strój. O zwierciadłach i kamerdynerach przypomniał sobie dopiero, kiedy zapiął mankiety. Niestety, schłopiał i to, zdaje się, na zawsze. Podróżować z jednym tylko adiutantem, i to nawet nie swoim! Ojciec nie uwierzy, ale chyba zaaprobuje.

– Pańska woda!

– Dziękuję – Valme chwycił służącą za okrągły podbródek – Jak masz na imię, moja ty jagódka?

– Liza – zamruczała dziewczyna.

– Pomódl się za nas, Lizo – wicehrabia wyciągnął z kieszeni kilka suanów i wsunął za nisko wycięty gorset – ale nie teraz. Teraz shaddi.

Liza, zakręciwszy biodrami, zniknęła, Marcel ziewnął i sięgnął po przybory do golenia. Bez wątplenia ślicznotka uznała, że gdyby tak elegancki kawaler był sam, leżałaby teraz w łóżku i to nie za srebro, a za złoto. Śmieszne... Gdyby nie Gerard, on by na tę tłuszczoszkę nawet nie spojrzął, ale przecież nie pokaże chłopcu swoich dumnych obaw! No więc przyszło wyobrażać siebie samego. Przedwczorajszego! Oficer dla szczególnych poruczeń przy osobie Pierwszego Marszałka Taligu

westchnął i namydlił policzek: jak bardzo by wicehrabia Valme nie schłopiał, do brody się nie zniży. Valmonowie to nie Ludzie Honoru i nie kozły.

– Gerardzie, zapamiętaj: w Urgocie produkuje się najlepsze w Złotych Ziemiach mydło – przekleństwo, przyuczył chłopca do gadaniny, teraz chcesz czy nie chcesz, musisz trzeszczeć jak sroka – a w tej gospodzie robią najpaskudniejszy shaddi.

– Panie – szarpnął się Gerard – Pomóc panu?

– Jeszcze czego! – Marcel spróbował palcem brzytwy – Rzuciłbyś te lokajskie zapędy. Co, zrobili cię rejem po to, żebyś miski z wodą taskał?

– Panie...

– Sam jesteś panem – opędził się Valme.

Rej Calperado zamrugał oczami i ucichł. Zamyślił się, prawdopodobnie. Chłopaczek za Krukiem w ogień skoczy i nie kichnie, ale na razie w ogień skoczył Roke. Sam! A oni, topony² jedne, byli obok i nic nie zrozumieli, dopóki nie znaleźli listu. Nic!

Wróciła Liza. Zachichotała, podała tacę. Valme ponuro wziął białą filiżaneczkę z shaddi. Parszywym, naturalnie. W tutejszych krainach znajdują się na zakąskach i słodyczach, ale nie na shaddi.

3

Tenent Davenport poprawił solidnie przemoknięty kapelusz i wskoczył w siodło. Na zewnątrz było lżej. W tym sensie, że deszcz i wiatr rozpędziły senne otumanienie. Ale czy na długo? Orzeł z banalnym imieniem Kasztan okazał się gniadym mierzynem z jeszcze nieznanym narowem. Radości od czekającej go podróży koń nie okazywał i Davenport go rozumiał. On sam rad byłby zatrzymać się i przespać do wiosny, ale wracać – zły znak, a upór wyraźnie narodził się wcześniej od tenenta. To nic, odpoczniemy w Er-Prieux. W pierwszej z brzegu gospodzie, inaczej żywy do Urgotu nie dotrze.

– Panie, może lepiej zostać? O, jak leje!

– Spieszę się.

– No, jak pan chce...

2 Ślepe, podobne do kreta zwierzę, żyjące pod ziemią.

Stuk zamykanych drzwi i wszystko! Nikogo, tylko on, deszcz i koń, piąty za ostatni tydzień. Nie licząc Beryl, towarzyszącej Charlesowi przez ostatnie cztery lata. Zostawiając zagonionego deresza pod opieką dorodnej karczmarki, Davenport czuł się jak ostatnie bydłę, ale nie mógł czekać. Nie miał prawa. Kolejne konie nie zdążyły stać się dla tenenta kimś, one po prostu go wiozły, dopóki mogły, a potem ustępowały miejsca nowym. Jedne były lepsze, drugie gorsze. Z Kasztanem chyba się udało. Prawie się udało, bo mierzyn okazał się nie tylko rączy, ale i wredny. Żwawo kłusował po rozmięklej drodze, umiejętnie odszukując jak najgłębsze kałuże. Pewnie na złość natrętnemu jeźdźcowi.

Od dołu pryskało, z wierzchu lało, ze wszystkich stron wiało, ale spać i tak nie odstępował. Widocznie przez tą przeklętą jajecznicę. Nie trzeba było poddawać się wspólnym namowom pustego brzucha i łysego karczmarza – głód odgania sen lepiej od chłodu. I odgania też podle myśli o tym, że nie zrobiłeś wszystkiego, co mogłeś. Też mi, zastrzeliłeś jednego zdrajcę na oczach króla, król i tak znalazł się w rękach spiskowców.

Nie można powiedzieć, żeby Charles Davenport uwielbiał Ferdynanda Ollara, raczej wręcz przeciwnie, ale to był jego król, któremu przysięgał, a poza tym, są środki, które spodłą każdy cel. Teraz tenent nie wąpił – Oktawiańska noc, z której siedzący w koszarach żołnierze nie obmyli się do dzisiaj i nie obmyją się już nigdy, była takim środkiem. Zrujnowana Warasta była takim środkiem. Kłamstwo na Radzie Miecza, kiedy Ferdynandowi łgano w żywe oczy, a ten słuchał, kiwał, wierzył, rozdawał tytuły i stanowiska, było takim środkiem.

Najbardziej na świecie Davenport pragnął wysłać zdrajców do Leworękię i wiedział, od czego, a raczej od kogo, zaczniesz, kiedy wróci. Od generała Morena, a żeby go pokreć!

Charles ze złością szarpnął wodze, mierzyn Kasztan z wyrzutem chrapnął i tenent poczuł jeszcze większe mdłości. Za podłości należy pociągać do odpowiedzialności podleców, a nie pokorne bydłatka. I on pociągnie, tylko najpierw odnajdzie Kruka i wszystko mu opowie. I to, co się stało, i to, czego tenent Davenport nie widział, ale czego się domyślał. Jeśli Alva zechce, niech

go wiesz czy to za szyję, jak należy, czy to do góry nogami, jak w czasie Oktawiańskiej nocki. Bo Francisk, kiedy pisał swój kodeks, miał rację. Niedoniesienie o zdradzie stanu jest przestępstwem, którego nie można wybaczyć. Bo wiedzący i milczący otwierają wrota śmierci. Czyjeś, nawiasem mówiąc...

Będzie umierać – a nie zapomni, jak krzyczała córeczka mimochodem stratowanego tkacza, płonęły domy i sklepy, po ulicach miotali się ludzie z workami i bez worków, w mundurach i bez mundurów, a George Ansel wiódł ich przez rozwścieczone szaleństwo, jak nakręcony powtarzając dwie frazy: „Oszczędzać proch!” i „Celować pewnie!”. Co teraz z Anselem? Przerwał się do Neumarinen czy skręcił do fok Warzowa? I czy ktoś się domyślił, aby posłać wiadomość Lionelowi?

Charles Davenport uniósł się w strzemionach, wpatrując się w przód: niczego i nikogo, chociaż z drogi nie zszedł. Tutaj nie ma jak zejść – droga obsadzona żywopłotami z berberysu, za którymi mokną czarne splecione łoży. Dorac słynie z wiśniowych sadów, Rafiano – z orzechów i kapłonów, a Savignac zapełniły winnice.

Deszcz nie tracił czasu. Pokonawszy płaszcz, dobrał się najpierw do kaftana, potem do koszuli i nareszcie do pleców. Lodowate strużki zbiegły po kręgosłupie, zatrzymując się na chwilę u pasa, i runęły w dół, do butów. Poprzednią wiosną tenent Davenport eskortował do Urgotelli eksterriora, ale wtedy było sucho i nad traktem aż do samego Chateau-Rouge płynął zapach kwitnących krzewów. Rafiano żartował, że jadą Ogrodami Świtu, a teraz on jest nawet nie w Zmierzchu, a w błocie. Tutejsi mieszkańcy nie na próżno jesienią siedzą w domach – przy takiej pogodzie nie da się handlować ani wojować, chociaż Roke Alva by potrafił. Bagna Renkwahey były straszniejsze, a zostały pokonane, i słusznie!

W szarej pasiastej mgłę zamajaczyło coś ciemnego i wysokiego. Tenent nie od razu zorientował się, że to wieś. Sławetne na cały Talig undowe iwy płukały w podstępującej ku samym korzeniom wodzie gałęzie, pokryte martwymi liśćmi, nie wiadomo dlaczego opadającymi dopiero wiosną. Tenent przytrzymał „złotego” mierzyna, ściągnął prawy but, wylał zebraną w nim wodę, wziął się do lewego. Dziuplaste giganty sprowadziły melancholię, ale po rozmięklej drodze nie da się przejechać galopem, co najwyżej klusem.

Kasztan znów ugrzązł po pęciny w mętnej cieczy, ale ani z przodu, ani z boków nic się nie zmieniło. W Doracu jeszcze mówiono o zamieszkach w Wewnętrznej Epineix, a na drogach co rusz pojawiali się dragoni, ale im dalej na południowy zachód, tym spokojniejsze i zwyczajniejsze stawało się życie.

Karczmarze i kupcy nie wątpili, że ku zimie wszystko ucichnie samo z siebie i śmiali się z durnia-gubernatora, którego teraz już na pewno przegonią na cztery wiatry, choćby był nawet Colignarem do kwadratu. Za Er-Liardi o buncie w ogóle nie wspominało, plotkując tylko o jesiennym strzyżeniu i weselach. Co myślały władze, Charles nie wiedział, ale nieliczne podjazdy starannie omijał. Składać sprawozdanie każdemu napotkanemu Charles nie zamierzał, ale to, że Talig spał jak pijany hulaka, nie zauważając ani złodziei, ani grabicieli, nie dodawało radości. Nic to, niedługo zaczną biegać jak oparzeni.

Znów, nie bacząc na chłód i deszcz, zachciało się spać. Do mdłości i bólu głowy. Stare iwy beznadziejnie i głucho szumiały, ich żałoby mieszały się ze skargami deszczu i chmurnym warczeniem rzeki. Śliskie lejce usiłowały wyrwać się z rąk, przemoknięte ubranie nie grzało, a ocierało. Charles miał jeszcze świadomość, na jakim jest świecie i dokąd i po co jedzie, ale resztę powlekła bura mgła, z której pojawiały się i w której tonęły obce twarze. Niekiedy znajome, niekiedy nie. Ansel, Moren, Ferdynand, Rocksleyowie, Lionel Savignac, Manrikowie...

Kasztan stąpnął nieszczęśliwie, runął w jamę, od stóp do głów opryskując jeźdźca lodowatymi kroplami, i wizgliwie zarżał. Charles drgnął, ale potem wspomniął, że złoto na czterech kopytach nie było koniem bojowym i nikt nie nauczył go milczeć. No i Leworeki z tym skarbem, pod wieczór go zmieni. Do Urgotelli pieniędzy wystarczy, a potem decydował będzie Kruk. Kasztan zarżał jeszcze raz i obrócił się, sugerując widocznie, że przyjechali.

Łysy karczmarz nie skłamał – woda podniosła się. Przystań zrównała się z brudnoburą, pręgowaną deszczem rzeką. Cóż, jeśli przewoźnik się zaprze, przeprawimy się wpław. Braete nie Rassanna i nie Herbste, a tenent Davenport musi znaleźć się na tamtym brzegu. I on się tam znajdzie!

III

Torka. Okolice Stołpu Manliusa 399 rok K.S., 19 dzień Jesiennych Wiatrów

1

Kruki rzeczowo krakały nad dwoma powieszonymi, sądząc po braku śmiertelnych całunów – drikseńskimi zwiadowcami. Jeszcze jedna oznaka następującej wojny, która z kolei – Germon Arigau nie pamiętał. Najmniej na świecie generał pragnął w taki czas porzucić północ, ale Rudolf Neumarinen nie będzie prosił na próżno. Nie można odwracać się plecami ku nawet najbardziej krzywym łąpom, jeśli trzymają one nóż. Dopóki żył Sylwester, o buntownikach i powstańcach można było nie myśleć, teraz przyjdzie patrzeć nie tylko przed siebie, na Driksów i Gaunau, ale i za siebie. Arigau z trudem wyobrażał sobie, jak będzie się dogadywał z Leonardem Manrikiem, a Sabwe w ogóle nie znał, Colignarowie nie zaglądali na północ. Z Epineix nie było łatwiej. Samego Robera Germon widział ostatni raz przed swoim odjazdem do Laik. Kiedyś dwudziestoletni wtedy jeszcze hrabia Entrag uwielbiał swoją czterdziestoletnią ciotkę, ale księżna Epineix wyrzekła się bratanka dokładnie tak samo, jak i reszta krewnych. Josephina nigdy nikomu się nie sprzeciwiała. Ani ojcu, ani bratu, ani mężowi z teściem. Syna ona też nie powstrzyma, nawet jeśli zechce, a kto powstrzyma?

Przyzwyczajony do wszystkiego ogier obojętnie minął „ozdobiony” Drikseńczykami jesion – torskie koniki nie wpadają w panikę na widok trupów. One nie boją się śnieżnych burz, jedzą, co popadnie, wiozą, jak daleko mogą i dalej, a to, że wyglądem nie bardzo wyszły, można przeżyć. Na wojnie potrzebni są żołnierze, a nie stołeczne żółtodzioby, czy to na czterech nogach, czy to na dwóch... Arigau, sam nie wiedząc dlaczego, poklepał swojego gniadego po szyi i ten wdzięcznie parsknął. Pomyśleć tylko, kiedyś Germon Entrag jeździł na linarczykach, zimą chodził w jedwabnych kaletkach, a Torkę uważał za ostępy barbarzyńców. Nie, drodzy państwo, tu żyją i walczą ludzie, a barbarzyńcy sterczą przy dworze. Nawet nie barbarzyńcy – yzargi, z którymi Arigau nie chciał mieć nic wspólnego, ale życie nie pyta, a rozkazuje. Do Epineix – to do Epineix!

Przeszłość kąsała, drapała, próbowała sięgnąć gardła, ale generał jej nie przeganiał, próbując zrozumieć, jak przewieźć na drugi brzeg psa, kota, kurczęta i pszenicę. Okiełznać buntowników, wyprowadzić Manrika z jego armią, zaprowadzić porządek w wymęczonych hrabstwach i przed początkiem wiosennej kampanii wrócić do Torki... Dla tego trzeba być Sylwestrem albo Alwą, a Germon był zaledwie generałem piechoty, mimo że niezłym.

Germon uniósł głowę; w bezbrzeżnym, nasyconym słońcem błękitnie płynęła czubata kania. Generał odprowadził ptaka spojrzeniem i popędził konia. Droga szła pod górę, obrośnięte zimową sierścią konie rzeško tupały po zmarzniętych liściach. Pogoda idealna do podróży – jasno, cicho, chłodno, ale Germon wolałby wiatr w twarz albo deszcz ze śniegiem. Drobne nieprzyjemności chronią przed dużymi, a szczęście na początku drogi zamienia się w duże paskudztwo na końcu. Dobrze jeszcze, że zobaczyć powieszonych przez lewe ramię – na szczęście, wiedzieć by jeszcze, z czego zacząć.

Najmądrzejsze byłoby naradzenie się z Jej Wysokością, ale królowa trafiła do Bagerlee za obronę powstańców. Właśnie królowa, bo siostry Germon Arigau nie ma. On do niej pisał, długo pisał. I wtedy, kiedy była panną Arigau, i wtedy, kiedy została Jej Wysokością. Pisał i miał nadzieję. Nie na pomoc – na odpowiedź, na błahy liścik, w którym życzy się zdrowia i prosi o bycie ostrożnym, ale nie było nic. Nic! A potem Kruk zabił Gui i Iorama.

Gdyby siostra nadal milczała, Germon sądziłby, że ona wierzy w jego niepojętą winę, ale Katari napisała. W kilku miejscach litery rozplywały się ni to od łez, ni to od umiejętnie rozlanej wody. Kochająca siostra na trzech stronicach wyjaśniała, jak bardzo tęskni i błaga Stwórcę, żeby zachował jej brata. Jak szalenie brat oczekiwał tych słów, i jakie niepotrzebne się okazały! Nie, Germon nie cieszył się ze spadłych na Katarinę nieszczęść, tym bardziej, że walczyła ona z uzurpatorami do ostatniego tchu, ale szacunek nie zastąpi umarłej miłości, a wygoda – przyjaźni.

– Panie – zarumieniony od wiatru jasnowłosy zwiadowca zrećcznie zasalutował – Przy Stołpie Manliusa oddział z Neumaru. Tuzin jeźdźców i tenent. Mają wieści dla waszej miłości.

– Pewnie to Neumarzy tamtych gołąbków powiesili – zastanowił się Arigau, zawracając

konia. Oddział klusem ominął porośłą świerkami górę, podobną do dwóch zakochanych jeży, i wyjechał na Rozstaje Manliusa, w niepamiętnych czasach oznaczonych kamiennym obeliskiem. Dawno temu u jego podnóża siedział kamienny pies, a czas i wiatry zamieniły go w dziwaczny szary głaz. Zmienił się i herb Neumarinen, pies ustąpił miejsce wilkowi. Potomkowie Manliusa nie przystąpili do rwania na kawałki zdychającego imperium. Oni do ostatniej kropli krwi przykrywali jego plecy, potem służbie przyszedł koniec i władcy przełęczcy stali się wolni jak wilki. Wolni, szlachetni i surowi.

2

Jeźdźców w purpurowych neumarskich płaszczach Germon zauważył z daleka i nie wytrzymał – puścił gniadego galopem, rozkoszując się bijącym w twarz wiatrem. Hrabia Arigau był generałem piechoty, ale konną jazdę uwielbiał, jak i wszyscy urodzeni w Epineix. Szkoda tylko, że torskie drogi nie pozwalają pędzić na złamanie karku.

– Mój generale – młodzieńcy oficer podrzucił dwa palce do szarego filcowego kapelusza – tenent Arnould Se i nadzwyczajny podjazd pułku Anthony'ego Davenporta meldują się do pańskich usług.

– Dziękuję – Arigau i bez przedstawienia poznał, kim jest ten czarnooki blondynek – najmłodszym synem Arnoulda Savignaca. W tym kraju nie ukryje się rodowych nosów i oczu – Dwóch na jesionie – to wasza robota?

– Nasza – tenent nie wytrzymał i rozpląnął się w uśmiechu – Mój generale, szpiegów było pięciu, żywcem udało się wziąć trzech. Dwóch milczało, trzeci zaczął mówić. Teraz kornet Rafle eskortuje go do Neumaru.

– A dlaczego nie pan?

– Ja miałem czekać na pana. Meldować? – chłopak wyraźnie poszedł w dziadka Rafiano. Arnould-starszy naplułby na subordynację, Arnould-młodszy panował nad sobą, choć i z ostatnich sił.

– Widzę, że można panu pogratulować awansu – Arigau skinął na nowiutką szarfę – Ja w pańskim wieku jeszcze byłem kornetem.

– Pan był nie w Torce, a w Ollarii – młody nicpoń już dzieli świat na Torkę i resztę, zachwycające. Kiedy Arnould Se pojawi się w stolicy, liczba tamtejszych próżniaków bez wątpienia się zmniejszy, i to znacznie.

– Tenencie, uczestniczył pan już w pojedynkach? – Germon patrzył na syna, a widział ojca – A może na razie ogranicza się pan do drikszeńskich zwiadowców?

– Niestety, to znaczy, na szczęście – po ustach Arnoulda prześliznął się zartobliwy uśmieszek, też rodzinny – Monsignore nie trzyma przy sobie łajdaków.

Skóra zdarta z ojca! Leworeki by porwał Karla Borna – zastrzelić takiego człowieka! Arnould-starszy do ostatniej chwili miał nadzieję, że przemówi do rozumu krewnemu i przyjacielowi, ale Bornowie zawsze mieli nie po kolei w głowie, nieważne, mężczyźni czy kobiety. Germon sam był Bornem. W połowie.

– Cóż, tenencie – jeśli teraz nie wyrwie się z przeszłości, ona go zadusi – proszę meldować. Najpierw o zwiadowcach.

– Powinienem był przejąć pana przy Weistanne, ale przybyliśmy wcześniej i postanowiliśmy wyjść na spotkanie. No i spotkaliśmy – wicehrabia Se uznał za stosowne uśmiechnąć się – szpiegów. Przedstawili się jako zbłąkani podróżni i wypytywali pastuchów o drogę na Gelbe, ale nią nie pojechali. Pastuchom się to nie spodobało, nam też.

– Jak ich wzięliście?

– Na żywca – Arnould w końcu zapomniał o subordynacji – Pojechałem naprzód z jednym tylko żołnierzem. „Gęsi” uznały, że pięcioro połknie dwóch, i udławiły się.

– Kiedy ich wysłano? – Germon z trudem zdławił uśmiech – I po co?

– Po śmierci Jego Świątobliwości – usta Arnoulda zacisnęły się – Szpiedzy dotarli do Ollarii przez Gaunau i Kadanę jako ochroniarze zamówionego przez kadańską ambasadę ładunku. W stolicy ich zamieniono. „Ochroniarze” ruszyli w drogę powrotną, a szpiedzy pojechali do Wewnętrznej Priddy, a stamtąd przez Gelbe do Hexbergu. Policzyli statki i z powrotem neumarskim traktem. Jeniec, nazywa się Nils Gauss, wygadał się, że posłano ich spojrzeć na Hexberg bez

Almeidy i wywiedzieć się o przejścia z Nadoru do Północnej Priddy i Neumarinen.

Niegłupio... Bardzo nieglupio. Dobrać się do Ollarii w ambasadorskim obozie i dopiero stamtąd ruszyć ku granicom.

– Ten Nils nie kłamie?

Arnould na mgnienie oka zamyślił się i zdecydowanie potrząsnął głową.

– Nie kłamie.

– W Driksen gęsi jest wiele – Germon w zadumie dotknął wąsów – wątpliwe, żebyście wyłowili wszystkie. Nie podoba mi się, że szukają przejść wzdłuż gór.

– Nikomu się nie podoba – wypalił Se i zmieszał się – Mój generale, wczoraj rozminęliśmy się z kurierami fok Warzowa. Bruno-starszy przejął pod swoje dowództwo wszystkie wojska na granicy z Taligiem.

– Wiadomo, ilu ma ludzi?

– Kurier nie miał nic do przekazania ustnie, ale w Gelbe uważają, że „gęsi” zleciało się nie mniej niż pięćdziesiąt tysięcy, a może nawet siedemdziesiąt.

– Niezłe stadko – Germon w zadumie ściągnął brwi – Tenencie!

– Mój generale?

– Jaki rozkaz powinien mi pan przekazać?

– Monsignore chce pana widzieć. Teraz jest w zamku, czeka na margrabiego, ale w następnym tygodniu wyjeżdża do Priddy.

Co było do przewidzenia. Stary wilk porzuca legowisko i mknie tam, gdzie jest najniebezpieczniej, a dokąd wyślą generała Arigau? Kiedy Ludwig wyjeżdżał do Agmaren, nie wiedział ani o zwiadowcy Nilsie, ani o armii Bruno. W takich czasach każdy liczy się każdy człowiek, a o kawalerzystach Charlie nie ma co mówić. Mało prawdopodobne, żeby fok Warzow ich odesłał, a i on razem z Reinsteinerem więcej pożytku przyniosą na północy, aniżeli na południu.

Germon nie uważał się za wielkiego dowódcę – wielkich wystarczało i bez niego: Neumarinen, fok Warzow, Savignacowie, Alva w końcu, ale Kruk i Emil utknęli na południu, Lionel walczy w Nadorze, a Rudolfa bolą plecy, i jest już po sześćdziesiątce. Fok Warzow się trzyma, ale nie może być w trzech miejscach jednocześnie, a Driksowie, jeśli się zdecydują, uderzą nie tylko w Gelbe i Hexbergu, ale nie zapomną też o przełęczach.

– Baron Reinsteiner też wraca?

– Nic mi o tym nie wiadomo – na twarzy Arnoulda mignęło rozdrażnienie – ale monsignore prosił, żeby się pospieszyć.

IV

Urgocki Trakt

399 rok K.S., 21 dzień Jesiennych Wiatrów

1

Ciekawe, skąd karczmarze biorą nazwy? Rano był „Dziewiczy Puchacz”, wczoraj wieczorem „Lew i rogi”, a teraz „Księżycowy zajac”.

Marcel Valme z wahaniem obejrzał przydrożną gospodę z zielonym potworem na szyldzie. Z jednej strony, on i Gerard uczciwie zasłużyli na odpoczynek, z drugiej – śmierć z głodu im nie groziła, a zjeść obiad można i w Chevre-Noir albo Atse.

– Rej Calperado – powiedział Marcel z taktem, godnym wujaszka Shantry – jak pan uważa, czy warto zaszczycić ów budynek naszą obecnością?

– Panie – gdyby można było podskoczyć, siedząc w siodle, Gerard by podskoczył – jak... jak pan sobie życzy, ale ja mogę jechać dalej. Nie jestem zmęczony!

Nie jest zmęczony, jasne! Wszyscy są, a on nie. Kłamie i się nie wstydi.

– Panie – Valme, najlepiej jak potrafił, skopiował intonację adiutanta – jeśli nie jest to dla pana kłopotliwe, proszę sprawdzić tę tawernę w zakresie grzanego wina, świeżego chleba i karaluchów. Ostatnie darzę nieprzyjaźnią.

– Tak, panie – wypalił potwór, wciąż jeszcze przeżywający przedwczorajszą konfuzję – W tej chwili.

Pohańbiona obowiązkowość zeskoczyła z obojętnej kobyły i zanurkowała w zielone drzwi. Valme ziewnął i spojrział w górę. Grube chmury obiecywały kolejny deszcz, jak nie teraz, to pod wieczór. Chyba jednak trzeba posłać „Księżycowego zająca” do kotów i jechać, dopóki niebiańskie przestwory nie rozszalały się na dobre. Marcel już zbierał się do wrywania Gerarda z zajęczych objęć, ale ze strony Chevre-Noir rozległy się tętent i chlapanie. Ktoś samotny gnał konia co najmniej cwałem. Kurier? Dobrze by było.

Valme wrócił na trakt w samą porę – zza zakrętu wyskoczył oblepiony błotem jeździec wyjątkowo dziwnego rodzaju. Marcel kichnął i posłał konia na spotkanie nieznajomemu. Nieznajomy zręcznie przełożył wodze w lewą rękę, prawa odruchowo opadła na siodło. Tak jest, żołnierz, ale nie kurier, królewscy kurierzy noszą płaszcze ze skrzydlatą strzałą. Marcel uśmiechnął się pod wąsem, także otwierając olstra³. Dobrze byłoby jeszcze wiedzieć, czy proch nie zamókł, chociaż jeśli nie wie tego właściciel, to już tym bardziej nie będzie wiedział obcy.

3 Olstro – kabura przy siodle, mocowana z obu stron przy przednim łuku. Kabury zazwyczaj były zapinane z wierzchu.

– Proszę o wybaczenie – wicehrabia uprzejmie skłonił głowę – pan przypadkiem nie jedzie z Ollarii?

– To moja sprawa... – zaczął nieznajomy i przerwał sam sobie – Jeśli się nie mylę, mam honor rozmawiać z wicehrabią Valme?

– Nie myli się pan – potwierdził Marcel, gorączkowo zastanawiając się, z kim się spotkał. Zmęczona ciemnobrewa twarz wydawała się smętnie znajoma, ale nic więcej.

– Pewnie mnie pan nie pamięta? – oficer, bo bez wątpienia był to oficer, otrząsnął się jak pies i kichnął. Policzki biedaka pokrywała szczecina, a kapelusz obwisł.

– Dlaczego, pamiętam – wicehrabia na wszelki wypadek postanowił nie pokazywać swojego zapominalstwa – po prostu dziwnie jest widzieć pana w tak opłakanym stanie.

– Tak się złożyły okoliczności – znajomy nieznajomy w skupieniu marszczył brwi, jakby mnożył w myślach sześćdziesiąt przez czterdzieści osiem, jeśli nie gorzej.

– Zdarza się – przytaknął Valme, żywo zainteresowany wspomnianymi okolicznościami.

Z boku rozległ się szelest, oficer drgnął i znów sięgnął po pistolet. Niedobrze!

– Proszę się uspokoić – wicehrabia na wszelki wypadek zagroził osłupiałego na widok nieznajomego poruczeńca – to mój towarzysz. Gerardzie, czego się pan dowiedział?

– Panie – kornet Calperado był jeszcze poważniejszy niż zazwyczaj – w środku jest czysto, ale bardzo prosto. Jest wiśniowa nalewka z Doraca i miejscowe wino. Na obiad gospodyni ma wołowinę, ale dla nas mogą zabić kure.

– Kure, oczywiście, zjemy – Marcel roześmiał się wyjątkowo beztrąsko – i to nie jedną, ale najpierw niech pan się przedstawi mojemu znajomemu. Świat zaiste jest ciasny.

Potwór niezwłocznie wypalił:

– Kornet Gerard Calperado, adiutant Pierwszego Marszałka Taligu Roke Alvy.

Rachuba się zgodziła. Ubłocony jeździec jakoś dziwnie westchnął i niegłęboko powiedział:

– Charles Davenport wicehrabia Daven do pańskich usług.

O Davenportach Marcel wiedział tylko to, że byli ordynariuszami, mieli posiadłości w Południowym Nadorze i byli spokrewnieni z Rocksleyami. Rocksleyom natomiast ojczulek nie ufał, tak samo jak Ockdellom, uważając, że od ludzi, których herb ozdabia dzika świnia, można oczekiwać tylko świństwa i dzikości. Davenport poruszył wargami i wyraźnie powiedział:

– Nie wiem, dokąd panowie jadą, ale między Doracem a Priddą nie radziłbym powoływać się na Pierwszego Marszałka. Jeśli oczywiście za waszymi plecami nie stoi armia.

Tenent Davenport widział wicehrabiego Valme co najwyżej pięć albo sześć razy. Następcą chytrusa Valmona wydawał się wyfiokowanym dandysem, któremu nie zaszkodziłoby pogłodować kilka tygodni. Tenent nie miał najmniejszej ochoty poznawać bliżej szastającego pieniędzmi próżniaka, ale po Oktawiańskiej nocy wicehrabia, ku powszechnemu zdziwieniu, zaprzyjaźnił się z Krukiem i, porzuciwszy kochanki i krawców, wyprawił się na wojnę. O tym poplotkowano i zapomniano, a teraz Charles sam nie rozumiał, jak rozpoznał w pochmurnym oficerze z zapadniętymi policzkami stołecznego hulakę. Dlaczego Valme wyjechał i, co ważniejsze, dlaczego

wraca, i to jeszcze razem z kenallijskim chłopcem, chwalcym się stanowiskiem poruczeńca Alvy?

– Nie wiem, dokąd panowie jadą – i nie wiem, ile można wam powiedzieć – ale między Doracem a Priddą nie radziłbym powoływać się na Pierwszego Marszałka. Jeśli oczywiście za waszymi plecami nie stoi armia.

– Armia za moimi plecami nie stoi – Valme poprawił bynajmniej nie dandysowski kapelus – i jest to, sądząc po pańskim wyglądzie, nader przykre. W każdym razie, odwiedzić „Księżycowego zajęcia” nie zaszkodzi ani nam, ani panu.

Charles, nie mówiąc ani słowa, skierował z zadowoleniem parsającego pegaza ku piętrowemu domowi, nad wejściem którego kołysało się bębniące po zielonym księżycu długouche monstrum. Widocznie zając.

Pachnący cebulą koniuch odprowadził konie, poruczeniec otworzył drzwi i weszli w zadymione ciepło. Davenport z owczą obojętnością patrzył, jak wicehrabia zajmuje stół w kącie durnego pięciokątnego pomieszczenia, rozmawia z gospodarzem, gdzieś posyła jasnowłosego reja. Dziewka w zielonym fartuchu wesoło stuknęła o stół butelką i kielichami. Niedawny dandys zrzucił płaszcz, pod którym pojawił się kapitański mundur, i zaczął starannie nalewać wino. Czerwone. Zupełnie proste włosy Valme były po kenallijsku ściągnięte nad karkiem, a miejsce pałacowej „wykałaczki” przy boku wicehrabiego zajęła bojowa szpada.

– Jest pan zszokowany moim wyglądem? – uśmiechnął się następca Valmonów – Zapewniam pana, sam jestem porażony. Pańskie zdrowie!

– Proszę mi wybaczyć – Charles odsunął kielich – Jeśli teraz wypiję, to upadnę i zasnę.

– Pan upadnie i zaśnie nawet jeśli nie wypije – Valme machnął ręką, przywołując grubą kobietę – Gospodyni, shaddi. Mocnego, słodkiego i dużo!

– Dziękuję – shaddi rzeczywiście mu nie zaszkodzi, że też sam się nie domyślił. A wszystko dlatego, że w Nadorze nie szanują „moryjskiego orzecha”.

– Tak w ogóle – przyszedł hrabia uważnie popatrzył Charlesowi w oczy – pana nie należy poić shaddi, a zaciągnąć do łóżka i postawić ochronę u drzwi. I tak właśnie zrobię, ale najpierw pan mi opowie, dlaczego nie powinniśmy wspominać Alvy. Manrikowie co, ostatecznie poszaleli?

– Gorzej – burknął Davenport – Manrikowie uciekli. Razem z Colignarami, księciem następcą i całą sforą różnych swołoczy.

– Pocięty Smok! – Marcel Valme jednym haustem osuszył kielich i natychmiast napełnił na nowo – Widocznie należy przypuszczać, że w Ollarii wybuchła dżuma?

Może i dżuma. W pewnym sensie. Stwory Zmierzchu, od czego zacząć?

– Valme – Charles potrząsnął głową i silnie uszczypnął się w ucho, odpędzając podstępujący z nożem na gardle sen – Niech pan powie, co wiecie, bo inaczej, obawiam się, nie dotrzmam do końca.

– Wiemy to, że w Wewnętrznej Epineix wybuchł bunt, a Manrik zagnał wszystkich, których nie darzył sympatią, do Bagerlee. Razem z królową.

– W takim razie nie wiecie nic – skrzywił się Davenport – Armia Rezerwowa, którą zebrał Manrik, przeszła na stronę Rakana...

– Kogo? – nie zrozumiał wicehrabia – Rakana? A ten skąd się wziął? Nie chcę wyglądać na niedowiarka, ale jest pan pewien, że nie śpi?

– Leworęki i wszystkie jego koty – ze smutkiem powiedział Charles – gdybym tylko spał... Aldo Rakan w jakiś sposób dołączył do szeregów buntowników. Simon Loura... Zna go pan?

– Ze słyszenia. Jest związany z Manrikami?

– Tak sądzono. Loura zaoferował się spacyfikować powstańców i zdradził. Królewską armię wycięto w pień. Rakan ruszył na stolicę, zaczęły do niego dołączać garnizony. Wszystkie najęte przez Manrików, nawiasem mówiąc. Doświadczonych żołnierzy spławili na północ razem z Lionelem, który rozniósł Kadańczyków na strzępy. Chociaż tu radość!

Drzwi otworzyły się i zamknęły, wpuszczając jakiegoś mieszczanina o wyglądzie lekarza i dwoje służących, ponuro zabrzęczała cierpiąca na bezsenność mucha. Shaddi nie było. Charles jeszcze raz uszczypnął się w ucho.

– Zaraz... Ja zaraz...

Valme kiwnął ze współczuciem. Rok temu on nie wychodził od fryzjerów i grał w karty na kochanki, a teraz przed Davenportem siedział oficer. Czego tylko nie bywa, ale w Ollarii wicehrabia nie ma czego szukać. Niech jedzie do Priddy albo do domu, chociaż Marcel Valme nie wygląda na człowieka, gotowego rzucić wszystko i uciec, jak te...

– Podlece!

– Przepraszam?

– Manrikowie – tchórze – wyraźnie powiedział Charles Davenport – a Rocksleyowie, Priddowie, Cracklowie, Wuscerdowie – podlece. No a Morena sam zabiję.

Valme nie odpowiedział – siedział, patrzył, czekał na ciąg dalszy. Tylko jak opowiedzieć ledwo znajomemu człowiekowi o zdziwionych oczach Ferdynanda, uśmiešku Henry'ego Rocksleya, plamistej fizjonomii Crackla? O tym, jak dźwięczało rozbite szkło, zapach prochu mieszał się z aromatem dyni, głośno wrzeszczała dwórka w żółtej sukni, a w głowie kręciło się od wysokości, bezsilnej złości i dokonanego?

– Pańskie shaddi – zielona panna walnęła na stół tacę z kubkami – Panowie chcą śmietanki czy zwykłe?

– Zwykłe! – Davenport jednym haustem przełknął parzący napój, nie czując ani smaku, ani zapachu. Valme w milczeniu podsunął mu swój kubek. Shaddi w kubkach... Chociaż czego oczekiwać od zielonych zajęcy?

– To naprawdę shaddi? – uprzejmie zainteresował się Valme.

Chyba shaddi, a może i nie. Co za różnica. On musi mówić, a reszta – potem.

– Manrikowie dowiedzieli się o pogromie i uciekli razem z Colignarami. Skarb i księcia z księżniczkami uprowadzili ze sobą.

– A Ferdynand?

– Został.

– Został? – niedowierzająco powtórzył Valme – Ta fajtłapa?

Charles też by nie uwierzył, ale król faktycznie został. Szukano go, ale Ferdynandowi udało się ukryć w jakimś schowku.

– Może pan nie wierzyć – mgła w głowie powoli się rozplątywała, czyli w kubkach jednak był shaddi – ale Jego Wysokość gdzieś przesiedział zamieszanie, a potem, kiedy tchórze uciekli, wydostał się i spróbował porządzić. Wypuścił z Bagerlee wszystkich jeńców, zebrał Radę Miecza, rozkazał przygotować pospolite ruszenie... Ferdynanda aresztowano na moich oczach. Rocksleyowie i Moren. On się nie sprzeciwiał, prawie... Rozkazał ochronie złożyć broń, ale ochrona... już nie była jego. Dzięki Manrikom...

– A pan, wicehrabio? – prosto w oczy zapytał Marcel Valme – Co zrobił pan?

Co on zrobił? Przegapił wszystko na świecie, chociaż mógłby się dogadać, że Rocksleyowie coś knują. James robił aluzje do zmian, a on myślał, że chodzi o Talig bez Manrików i Colignarów. Myślał, myślał i trafił jak kulą w płot... Nawet kura ma więcej mózgow, ale odpowiedzieć trzeba. Charles odsunął pusty kubek – jego rozmówca wciąż jeszcze czekał na odpowiedź. W milczeniu. Czy to naprawdę wicehrabia Valme, słynący ze swej gadatliwości na całą Ollarię?

– Byłem na posterunku u Małej Pieczęci – prosto powiedział Charles – usłyszałem szum, wbiegłem do jadalni. Było już po wszystkim. Wskoczyłem przez okno, w mieście zaczęły się pogromy, ale można było przejść. Dotarłem do koszar... Ansel już wszystko wiedział. Postanowił przedrzeć się do Priddy. Z Ollarii wyszliśmy razem, w Corcie Ansel skręcił na północ, a ja – na zachód. Zameldować Krukowi.

3

Trzeba wracać. Nie do Tomasa, do Kruka, którego w Ollarii nie ma, a gdzie jest, tylko koty wiedzą. Czy Alva wie, co się dzieje w stolicy, czy umknął nie dlatego?

– Tenencie – odezwał się Marcel – muszę pana rozczarować. Pierwszego Marszałka w Urgotelli nie ma. Ej, pan mnie słyszy?

– Tak – biedak oderwał się od zajęczego shaddi i spróbował trzymać głowę prosto – Słyszę.

On słyszy! Puste, szkliste spojrzenie. Nie rozumie? Bardzo prawdopodobne.

– Alva zniknął. Może wrócił do Felpu, do Savignaca, a może i nie. Otrzymał jakąś wiadomość i wyjechał. Myśleliśmy, że do Ollarii.

– Wszystko pasuje – Davenport kolejny raz potrzęsnał senną głową – Dowiedział się o zdradzie Loura.

Dowiedział się i wyjechał. Mógłby powiedzieć, nawiasem mówiąc. Czy nie mógł? Kruk lubi mnożyć tajemnice, a oni z wujaszkiem swoimi nic nie wiedzącymi gębami ogłupiali szpiegów przez

cały dzień. Stwory Zmierzchu, trzeba było od razu jechać do Savignaca, a nie leżeć w to błoto.

– Pan coś mówił? – uprzejmie zapytał Davenport. Oczy oficera były bardziej czerwone niż u królika, ale ziewać przestał. Albo od shaddi, albo od nowości.

– Tak – nieokreślenie machnął ręką Valme – zamyśliłem się. Nie rozumiem, na co liczą ci wszyscy panowie. Nawet yzarg wie, że rządzić będą do podejścia pierwszej armii.

– Armie latać nie mogą – tenent z troską zapatrzył się w pusty kubek – Przywódcy zdążą uciec, no a płotki... Kiedy je żałowano?

To na pewno, prowodyrowie uciekną, a płotki zostaną powieszona, tylko przez kogo? Fok Warzowa i Lionela związują Drikseńczycy, Alwę – Bordon i Gaifa. Owszem, można wszystko rzucić, ale czy trzeba?

– Słuchaj – zaczął Marcel, czując, że go ponosi – Wymyśliły to „pawie”, żebyśmy zdjęli wojska z granicy. Zgadzasz się?

– Tak – Charles Davenport ze zdziwieniem spojrział na Marcela. Ach tak, on w zapale przeszedł na „ty”, no i dobrze.

– Roke nigdy nie robi tego, czego się od niego oczekuje, tak?

– Tak.

– Czyli i teraz nie zrobi. On zostanie na południu i będzie walczyć z Bordonem, jak zamierzał. Tak?

Tenent kiwnął głową i podparł podbródek ręką. Jeszcze trochę i do sypialni trzeba go będzie nieść na rękach. No to doniesiemy!

– Jeśli wszystko wymyśliły nie „pawie”, a „gęsi”, to oczekują, że dławić bunt pójdzie fok Warzow albo Lionel, i urządzą jakieś paskudztwo. Tak?

– Tak – królicze oczy kleiły się, ale patrzyły świadomie.

– Czyli na północy też muszą stać, jak stali. I co nam pozostaje? Tronko i Kadela. Tronko jest bliżej stolicy i tam są Kenallijczycy, czyli musimy jechać tam!

– Panie, w większości ma pan rację – wymamrotał zasypiający wojak – ale ja muszę zawieźć meldunek Ansela Pierwszemu Marszałkowi Taligu.

– A gdzie go pan będzie szukał? Do Felpu może i Gerard pojechać. Jeśli tak bardzo pan chce, jedźcie obaj, a ja popędzę do Tronko uprzedzić Diegarrona. Kiedy przyjdzie rozkaz o ataku, będziemy gotowi...

– Racja – na znużonej twarzy pojawiło się zaciekawienie – Od Tronko do Ollarii nie jest tak daleko.

– Właśnie. A o tym, co się tam dzieje, pan wie więcej od aduanów i więcej ode mnie!

– Postanowione – Davenport wstał z miejsca. Wyraźnie zamierzał wskoczyć w siodło – Jadę z panem.

– Słusznie – zgodził się Marcel – ale wieczorem, a teraz idzie pan do łóżka. Nie cierpię nosić na rękach mężczyzn, a pan lada chwila upadnie.

– Panie...

– Tenencie Davenport! – ryknął Marcel, naśladując Derra-Piave – rozkazuję panu... Stwory Zmierzchu, jestem kapitanem czy ptako-rybo-idiotką?! Jazda spać!

V

Neumarinen. Zamek Neumar 399 r. K.S. 22 dzień Jesiennych Wiatrów

1

Neumar. Zamek na urwisku Litasflaehand. Szesnaście nieprzystępnych wież, szare skały, wieczna tęcza nad porohami niespokojnej Donnerstraal. Wilcze legowisko, które dostarczało Taligowi dowódców, kardynałów, regentów, a pewnego razu sprezentowało mu poetę. Wielkiego. Tak przynajmniej jednogłośnie twierdzili mentorzy. Czy mieli rację, Germon się nie zastanawiał, ale nieprzyjaźń do wierszy Waltera Didericha przeniósł przez całe swoje życie. Dobrze jeszcze, że ta nienawiść była wesoła, nie to co inne.

Droga oparła się o opuszczony most i otwarte na oścież wrota. Rudolf Neumarinen był silny i ostrożny, mógł sobie pozwolić na podobną rozkosz. Jeśli wszystkie ścieżynki są pod obserwacją, a żołnierze i oficerowie znają swoje twarze, wrót można nie zamykać. Przynajmniej dniem.

– Germon! – Arigau uniósł głowę i zobaczył młodszego brata Ludwiga. Trzydziestotrzyletni Albert, wiecznie zapominający o tym, że jest jeszcze i hrabią Donnerburg, radośnie machał z muru oficerskim kapeluszem – Nareszcie jesteście!

Generał zaśmiał się i podkręcił wąsa. Trwoga, która opanowała Arigau na początku jesieni, odstąpiła przed potęgą wzniesionych przez samego Manliusa murów i pewnością mieszkańców zamku.

Germon powierzył ogiera opiece stajennego i trafił wprost w godne dusiciela objęcia. Albert był w doskonałym nastroju, zresztą cała rodzina Neumarinen była przyjacielska. Dla przyjaciół i sojuszników, naturalnie.

– Aleś się wystroił – pokręcił głową Arigau, oddając co się należy purpurowemu kaftanowi i kremowej koszuli – Istny narzeczony!

– Wystroisz się tu – puścił oko rozweselony hrabia, skinięciem głowy wskazując potężnych mężczyzn w turkusowych kurtkach, rzucających w kuchenne okno pęczki gęsi i zamrożonych kaczek – To awangarda. Główne siły podejda jutro. Ojciec tylko na nie czeka. Na nie i na ciebie.

– Arnould uprzedzał, że nadchodzą Bergerowie – melancholijnie zauważył Germon – Cóż, w dziczyznę was krewny zaopatrzył.

Margrabia Wolfgang-Johann nie był z tych, co przyjeżdżają w gości z pustymi rękami, tym bardziej jesienią, kiedy na przechwycenie przelatujących nad przełęczami niezliczonych stad wychodzą i starzy, i młodzi. Bergerowie trzebią gęsi i kaczki dziesiątkami tysięcy, ale następnego roku pierzaści podróżnicy znów zasłaniają słońce, a górale palą po nich ze swoich potwornych „kaczkownic”.

– Biedne, biedne gęsi – przewrócił oczami Albert -

Trzepocząc, skrzydła rozcinały

Przedzimowy, przepojony łzami wiatr.

Po umarłym lecie ptaki płakały

I płakał wieczór ze znikającym stadem...

Ze znikającym? Czy ze skazanym? Nie pamiętasz?

– Na moje szczęście, nie – odpalił Germon – czego i tobie życzę. Durne wiersze!

Słusznie dorysował do portretu Didericha ośle uszy, chociaż bardziej one były podobne do zajęczych. Malarzem młody Germon był marnym, ale wyrafinowany mentor Capotta omal nie pękł z wściekłości. Na wspomnienie uwielbianego nauczyciela generał piechoty uśmiechnął się z rozmarzeniem i natychmiast oberwał silnego kuksańca w bok.

– Śmiejesz się? – surowo zapytał Albert – Ja też chcę.

– No to się śmieję – Germon poprawił szpadę – bo jest z czego.

– Mówisz o „Przerwanym locie”? I co też mentorzy znajdują w tych kupletach? Gęsi lecą, do nich się strzela, takie jest życie. Muszą przecież Agmowie zimą coś jeść.

– I nie tylko zimą – przed oczami pozieleniało i wydał żagle złoty okręcik – Bergerowie nie uspokoją się, dopóki nie zasolą wszystkich gęsi.

– O nie – pokręcił głową Albert – tutaj się z nimi nie zgadzam. Wędzone lepsze. A ty co powiesz, wędzić czy zasalać?

– Wędzić – postanowił Arigau – Ty przypadkiem nie wiesz, czy twój poetycki rodak jadał dziczyznę?

– Diderich? Pewnie jadał. Ale czy płakał przy tym, czy nie, tego już nie wiem.

– Jeśli z cebulą, to może i płakał.

– Oczywiście, że z cebulą. A jeszcze pił wino, uganiał się za pannami i marzył o szlachectwie...

I dostałby, gdyby nie rodzony ojciec. Goszczący u zięcia hrabia Dorac przyhołubił śliczniutką pokojówkę, która dziesięć miesięcy później uszczęśliwiła świat wielkim Walterem. Dorac bękarta uznał, dał mu wykształcenie i majątek, ale kategorycznie odmówił zabiegania o wyniesienie młodego poety w szeregi szlachty. Tatuś uważał, że tytuł skłania do pisania nudnych ód, a nie zajmujących dramatów, i miał rację. Diderich spłodził mnóstwo tragedii i niemal w każdej występował surowy ojciec, uwiedziona panna i szlachetny podrzutek...

– Tak w ogóle to nigdy tego nie znośm – w zadumie powiedział Germon.
– Cebuli? – zdziwił się brat Ludwiga – W takim razie doskonale ukrywałeś swoje uczucia.
– Didericha – szepnął Arigau – i im bardziej czepiali się mnie z jego wierszami, tym bardziej go nienawidziłem.
– A mnie jakoś wszystko jedno – mruknął Albert – Diderich to Diderich. W końcu w Taligu powinien być ktoś wielki, oprócz dowódców i łajdaków.
– A durnie? – zainteresował się Germon.
– Nie powiedziałbym, że nasi durnie przewyższają gaifijskich – zwątpił przyjaciel – inaczej pawie po Waraście nie polazłyby do Felpu i nie zostałyby bez ogona.
– Wiosną gaifijskim generałom będzie nie do korneckich nówek – z zadumą przeciągnął Arigau – Diwin to rozumie. Gotfryd też.
– Gęś pawiowi nie krewna – twarz przyjaciela zrobiła się zła – ale gęś lubi złoty groch. Za Sylwestra Driksowie siedzieliby i patrzyli, jak się sprawa skończy, ale z Manrikami, i to jeszcze pod nieobecność Alvy, mogą dziobnąć. O Friedrichu słyszałeś? Ten cesarski siostrzeniec przeprowadził się do teścia, w Lippe.
– Zesłali czy wręcz przeciwnie?
– A koty ich wiedzą – Albert zdjął kapelusz i strząsnął z niego kilka piórek – Miejmy nadzieję, że jednak zesłanie. Bruno Friedricha nie znosi z całego serca, a Bruno został feldmarszałkiem.
Friedrich najpierw skacze, a potem myśli. Bruno tydzień myśli, a potem buduje most. Przy takim feldmarszałku o Driksach do wiosny można zapomnieć, za to potem od kłopotów się nie wywiniesz.
– Postaram się wrócić przed Wiosennym Przełomem – kiwnął Arigau – miesiąc w tamtą stronę, miesiąc w tę, cztery miesiące na miejscu...
Wieczorny wiatr stoczył się z ciemniejących murów, uderzył w twarz, rozwinął obwisły sztandar z czuwającym wilkiem, zakrażył martwymi liśćmi i mglistym wodnym pyłem.
– Stwory Zmierzchu! – Albert rozluźnił wczepione w rękajeście palce i zaśmiał się wymuszenie – Co ty?
– To samo, co i ty – odciął się Arigau, z trudem dławiąc idiotyczne pragnienie wskoczyć na konia i pędzić na południe – to tylko wiatr.
– Wiatr z gór niesie zimę – przypomniał stare powiedzenie Albert – Wieści z gór niosą wojnę.
– Nie – Germon Arigau odrzucił w tył głowę, patrząc na tańczący w błękitnie purpurowy ścieg – ten wiatr nie jest z gór. On jest z Priddy, ale co do wojny, masz rację. I co do zimy też.
– Widać jestem prorokiem – zarechotał Albert – i jako taki przepowiadam ci jeszcze wiosnę. Wiosną...
– Panie generale – ciemnooki kornet z ręcznie i ładnie zasalutował – Książę pana prosi. Natychmiast.

2

Rudolf Neumarinen oderwał głowę od kolejnego papieru, niespiesznie wsunął pióro w rogową podstawkę i wstał z za stołu. Wyglądał książę, delikatnie mówiąc, na zmęczonego, ale ubrany był, jak zawsze, bez zarzutu.
– Potrzeba twojego wyjazdu odpadła. Niestety.
Arigau oczekiwał podobnego, a mimo to serce natrętnie jęknęło.
– Jesteś głodny?
– I tak, i nie – przyznał się Arigau – Jestem w siodle od rana, ale Bruno z Manrikami nie skłaniają do apetytu.
– Jeśli w dalszym ciągu zamierzasz zwracać uwagę na nowości, to niedługo umrzesz. Z głodu – Rudolf już od kilku lat jadł gotowane mięso z warzywami i białe suchary, ale pozostawał najgościnniejszym z gospodarzy – Kiedy posyłałem do ciebie Ludwiga, z Epineix dolatywał niewielki dymek, nie więcej. Tydzień temu dym już stał słupem.
Książę wstał niespiesznie. Arigau był niemałego wzrostu, ale na Rudolfa musiał patrzeć z dołu do góry.
– Siadaj do stołu, zaraz przyniosą coś do jedzenia. Ty będziesz jeść, ja będę mówić.

Nawyk dożywotniego Proemperadora Północy chodzić po pokoju, rozmyślając na głos, znał cały Talig. Inna sprawa, że widzieli to tylko bliscy. Germonowi ksiązę wierzył i miał rację. Rudolf Neumarinen był pierwszym z tych, za którymi generał Arigau skoczyłby w Zmierzch i nie zauważył. Drugi był Ludwig, trzeci – stary fok Warzow. Czwartym był Arnould Savignac, ale hrabiego nie było na świecie już dziesiąty rok.

– Siadaj, do kogo mówię. Za stół!

Germon bez sprzeciwu opadł na masywną dębową ławę, patrząc, jak Rudolf mierzy krokami znajomy pokój. Dowiedziawszy się o powstaniu Borna, on chodził tak samo, a Savignac szarpał szarfę i zniecka powiedział, że pojedzie do Karla i uspokoi go. I tak właśnie zrobił, ale dostał kulę w brzuch. Marszałek Arnould wiecznie traktował obce sumienie jak swoje.

Ksiązę doszedł do komina i gwałtownie obrócił się na szerokich obcasach, brzęknęły, wpadając na siebie, dwa łańcuchy – ksiązęcy i drugi, szeroki, z płaskich złotych ogniów. Łańcuch regenta? Jak on mógł go nie zauważyć?! Rudolf złapał spojrzenie Arigau i pochmurnie kiwnął, potwierdzając, że generalskie oczy nie kłamią i ksiązę Neumarinen rzeczywiście jest regentem Taligu.

– Do lata zdejmę tę obrozę do kociej babki – Neumarinen często zaczynał swoje monologi od odpowiedzi na niewypowiedziane pytania – Próbujesz zgadnąć, co się stało? Nie dogadasz się, chyba że zwariujesz. Ludwig powinien był powiedzieć o Epineix.

I powiedział, ale co tu ma do rzeczy regencja? Chyba że Ferdynanda po warastyjskich cudach pociągnęło na wyczyny i spadł z konia. A może mu pomogli? W takim razie królem został Karl, a Kruk – regentem. Czy regent Taligu może walczyć jako najemnik w obcym kraju? Czy może przekazać regencję? Germon nie był mocny w kazuistyce, jego zadaniem były ataki i odwroty.

Przyszedł służący, przyniósł grzaniec. Dwa driksieńskie kufle ze złotymi uchami i pozłacanymi wieczkami. W Epineix wina z przyprawami nie przygotowuje się nawet zimą, w Neumarze kolację zaczyna się od grzańca.

– Pij!

Trzaskał ogień, pachniało korzeniami i winem, na parapecie wylegiwała się gruba stara kotka. Nazywała się Metchen.

– Ferdynand umarł?

– Gdyby – regent machnął ręką i pobrnął od stołu do kominka – W Epineix wypłynął Aldo Rakan, a Roberowi Epineixowi udało się rozbić Leonarda Manrika. Będziesz się śmiał, ale zebrane przez tessoriusza swołocze, które on nazywał Armią Rezerwową, przeszły na stronę buntowników. Leonarda, sądząc ze wszystkiego, zabili swoi. Markiz Sabwe, na nieszczęście, uciekł. Pewnie do Kadeli, bo w Ollarii się nie pokazał, a Kruk jest dla niego gorszy od Rakana. Powiadomić stolicę o przegranej Sabwe, z powodu nawału zajęć, zapomniał.

– Tchorz – nie wytrzymał Arigau – Zając oskórowany!

– Nie bardziej niż braciszek – burknął Neumarinen, piorunując wzrokiem Stwórcy ducha winne polano – Wiadomość o pobiciu przywiózł tenent Curtis. Z chłopaka będzie pożytek, tak że weźmiesz go do zwiadowców. Przy okazji i wypytasz, jeśli będziesz chciał.

– Wypytam – obiecał Germon. Regent coś odburknął i poruszył węgle.

– Dowiedziawszy się o Loura i Rakanie, Manrik i spółka rzucili wszystko i uciekli. Mam nadzieję, że niedaleko – po twarzy Rudolfa tańczyły niedobre odbłaski, sama twarz też nie promieniała dobrocią – Księcia i księżniczki te cholery uprowadziły ze sobą, za to króla nie znaleźli. Ferdynand gdzieś się schował, potem wylazł i zaczął rządzić. Po trzech dniach Rocksleyowie sprzedali go z całym dobrodziejstwem inwentarza. Co dzieje się w Ollarii teraz, nie wiem. Ansel był ostatnim, kto chociaż trochę się orientował, więcej tam nie ma komu się sprzeciwiać.

Arigau nie zerwał się, nie wrzasnął, nie zakrzuszył się. On nawet nie przewrócił kubka, tylko w głowie zakręciło się wywołujące mdłości koło. Generał spieszenie przełknął zniecka gorzki grzaniec.

– Muszę się spieszyć.

– Nie – regent oderwał się od kominka i skierował w stronę biurka – Jedziesz ze mną do Priddy. Nie tylko jako generał, ale i jako hrabia Arigau.

Germon kiwnął; swoje generalstwo, w odróżnieniu od odebranego i odrzuconego za siebie tytułu, on cenił. A i Rudolf nieraz mówił, że genealogia – psia sprawa, a nie ludzka. Chyba że

chodzi o Katarinę.

– Monsignore, czy ja dobrze rozumiem, że będę musiał zostać opiekunem jej Wysokości?

– Niezupełnie – Neumarinen zatrzymał się przy biurku, dotknął zwój z zielonymi pieczęciami i potarł krzyż – Nie cierpię walczyć zimą – plecy bołą... Ty kiedy wyjechałeś?

– Piętnastego. Mogłem wcześniej, ale woziłem Ludwiga do Icemesser.

– Dobrze zrobiłeś – pochwalił regent Taligu, kierując się do okna – Kiedy sąsiedzi dowiedzą się o naszych sprawach, ucieszą się, a radość, jak wiadomo, uskrzydla. Nie zdziwię się, jeśli Driksowie i Gaunau spróbują polatać. I jeszcze mniej się zdziwię, jeśli wycelują w Hexberg.

A w Hexbergu dobrze będzie, jeśli zostało dwadzieścia statków... Kiedy Almeida odchodził do Felpu, sądzono, że Gotfryd z Heinrichem będą siedzieć i patrzeć, jak Gaifa gryzie się z Taligiem. Kesarowi znudziło się nosić ogon imperatora i byłby szczęśliwy, gdyby ten ogon został wyrwany. Właśnie dlatego Sylwester puścił Almeidę, a fok Warzow – Diegarrona i Weizela. Liczenie na ukrytą rywalizację Paony i Einrechta było wierne. Dopóki nie umarł Sylwester.

– Stwory Zmierzchu – wymamrotał Arigau – Alva wie?

– Nie – uciał księżę – i kiedy się dowie, wie tylko Leworeki i Tomas, a stary chytrus będzie przeciągał jak może i będzie miał rację. Grzech nie skorzystać z takiej okazji.

Tak, drugi raz Gaifa z Bordonem nie pozwolą złapać się za kark i to jeszcze w idealnej zgodzie ze Złotym Traktatem. Stwory Zmierzchu, Roke nie powinien wracać, nawet gdyby miał na sobie trzy regenckie łańcuchy.

– Czyli – podsumował Germon – pan jest nie tylko regentem Taligu, ale jeszcze Pierwszym Marszałkiem.

– Nigdy nie sądziłem, że znów wleżę w tę uprząż – Rudolf Neumarinen uniósł portierę. Przez pałający zmierzch szybko przerywała się noc. Jesienna czy już zima?

Troje służących – stary i dwóch chłopców – przytargali tace z jedzeniem, którego wystarczyłoby dla trzech generałów i jednego krokodyla, zapalili świece i wyszli. Neumarinen wrócił do stołu, odłamał kawałek chleba, umoczył w sosie i wsunął do ust, pod staranne siwe wąsy.

– Nie dziw się, z gotowaną tekturą skończone – regent zjadł jeszcze kawałek – Okazuje się, jestem głodny... I ty, nawiasem mówiąc, też.

Generał posłusznie rozgrzebał solidnie doprawione selerem zajęcze mięso. Rudolf miał rację, rzeczywiście chciało się jeść.

3

– Cieszysz się? – regent skrzywił się i potarł krzyż – Przeklęte plecy, jeszcze gorsze od Manrików, ich przynajmniej można powiesić.

– Z czego mam się cieszyć? – zapytał Germon, odsuwając na pół opustoszoną tacę, budzącą żywą ciekawość Metchen.

– Że zostajesz – księżę niespiesznie upił z kufla. Wilk, który przed polowaniem pije grzaniec. Stary wilk, ale to nie znaczy, że mniej niebezpieczny.

– Że zostaję, cieszę się – przyznał Germon – ale nie za taką cenę.

– Ceny jeszcze nie znamy – szare spojrzenie prześliznęło się po obwieszonym bronią gobelinie – Tylko, obawiam się, spóźnił się z wypłatą. Rinaldi Rakan płacił w dziewięćdziesiątym siódmym roku kręgu galtarskiego, rodzina imperatora – w dziewięćdziesiątym siódmym następnego, Ernani Ostatni dociągnął do jesieni dziewięćdziesiątego dziewiątego, a my nawet jeszcze gorzej.

Germon kiwnął ponuro, starożytne nieszczęścia nigdy go nie interesowały, ale z tymi Przełomami rzeczywiście coś jest nie tak.

– Nie lubisz mądrych rozmów? – regent przykrył ostygający kubek, wieczko szczęknięło, jakby zatrzasnęły się wnyki.

– Nie lubię. Czuję się jak kogut w worku.

– Dobrze, że nie jak yzarg⁴ – zażartował Rudolf – Jak długo cię znam?

Jeśli liczyć od pierwszego spotkania – ponad dwadzieścia lat, jeśli od pierwszej prawdziwej rozmowy – dziewięć. Spotkali się, kiedy księżę Neumarinen był Pierwszym Marszałkiem Taligu, a Germon – stołecznym szczeniakiem, wyrzuconym do Torki. Teraz jeden jest regentem, drugi – generałem, a Przełom – oto on! Driksowie kolejny rok wrzeszczą, że Ollarom dany jest jeden Krąg,

ale Ollarowie – to jeszcze nie Talig.

– Twojego ojca znałem krócej, niż ciebie – w zadumie powiedział książę – ale Pierre-Louis był sprawiedliwym człowiekiem.

– Sprawiedliwym – potwierdził Germon, bo to była prawda. Ojciec nie miał na sumieniu ani jednego niesprawiedliwego postępu, ani jednego złego słowa. Tylko jak nazwać list, nawet nie list, a notatkę, zamieniającą hrabiego Entrag w puste miejsce i zawiadamiającą owo miejsce, że ma ono niezwłocznie odprawić się do Torki i żyć wyłącznie za żołąd?

Królewski rozkaz spóźnił się wobec ojcowskiego „błogosławieństwa” zaledwie o dwa dni: gerencjusz Fukiano, jak i wszyscy w Ollarii, nie zwątpił w sprawiedliwość hrabiego Arigau.

– Nic nie zapomniałeś – Rudolf wstał ciężko i ruszył ku patrzącemu w wieczór oknu – Zapomnieć i nie wspominać – to różne rzeczy. Bardzo różne.

– Ojciec nie żyje – Germon popatrzył regentowi w oczy – to wszystko, co mogę powiedzieć.

– Nie żyje – witraże ukrywały gwiazdy o obłoki, ale nie ciemność – Inaczej rozmawiałbym nie z tobą, a z nim.

Metchen skończyła z resztkami sosu i oblizwała się, pokazując różowy języczek; za plecami coś sucho trzasnęło. Świeca...

– Esperatyści nie na próżno wymyślili spowiedź, nie można przez całe życie nosić w duszy kuli. Co ty zrobiłeś?

– Minęło dwadzieścia lat, czy to już nie wszystko jedno?

– Tobie nie jest wszystko jedno – Rudolf zaczął rozcierać nadgarstek – ale będzie wszystko jedno, kiedy opowiesz.

– Pan się tego nie dowie – Arigau dotknął palcem pustego kubka – Przynajmniej nie ode mnie.

– Ciebie posłuchać – mruknął książę – to ty obce dusze Leworękiemu sprzedawałeś, co najmniej. A jeśli nawet, czas zmazuje każdy grzech. Opowiedz i zapomnij.

– Nie mogę – wytrzymać spojrzenie Proemperadora Północy było niełatwo, ale Germonowi się udało – bo sam nie wiem. I Arnould Savignac nie wiedział. Obiecał zapytać, nie zdążył.

– Stwory Zmierzchu! – regent zatrzymał się, zachwiał się ogromny, pod sam sufit, cień – To po jakiego yzarga milczałeś?!

– Po takiego! – odciął się Germon – Chciałem najpierw udowodnić... Ojcu, matce, braciom... Po pierwszym orderze wziąłbym urlop i zażądał odpowiedzi, ale ojciec umarł wcześniej. O jego śmierci dowiedziałem się od fok Warzowa. Pół roku później. Matka do mnie nie napisała, nikt do mnie nie napisał, a Torka mnie i brudnego zjadła.

– Torka nie jest wścibska – potwierdził Neumarinen, wracając do stołu.

– Ojciec był chory – nie wiadomo po co wymamrotał Germon, wodząc palcem po rzeźbionym dębie. Dlaczego on nie popędził do Gaiare, nie rzucił się po radę do Arnoulda? Obrząził się? Przestraszył? Zagubił? Czy wszystko naraz? Teraz już nie wspomni. Zagnany w daleki kąt ból – oto i wszystko, co pozostało w pamięci po dalekiej, złej wiosnie. Bo to było wiosna, i dzień był słoneczny, do obrzydzenia, do bólu w oczach.

– Dopij – regent kiwnął na swój kubek – ja nie chcę.

4 Aluzja do warastyjskiej zabawy, kiedy dwa lub więcej yzargów wsadza się do worka; zwierzęta zaczynają walczyć, a na końcu żywy zostaje jeden. Jeśli podobnej rozrywce towarzyszą zakłady, yzargi oznacza się w specjalny sposób.

Dopić za kimś – poznać cudze myśli. Bergerowie przywieźli ten przesąd do Złotych Ziem razem z okrętem na fladze i nienawiścią do Gaunau i Driksów. Jeśli Berger oddaje swoje wino, to znaczy, że ufa rozmówcy do końca, a Neumarinenowie są w połowie Bergerami.

– Co myślisz o Bruno? – niespiesznie zainteresował się regent, drapiąc za uchem leżącą na jego kolanach Metchen. Przeszłość została przeszłością, a terażniejszością była wojna.

– Kiedy „gęsi” zrozumieją, co się u nas dzieje, rozzuchwałą się – zaproponował Germon – To nie żart, taka okazja. Dwadzieścia lat czekali.

– Swojego nie ustąpią – zgodził się Rudolf – ale kiedy i jak? Pójdą naprzód wszyscy naraz czy czekają, aż my rzucimy się na Rakana?

– A my się rzucimy? – Arigau jednym haustem dokończył wystygłe wino.

– Pozostawić stolicę w rękach buntowników – to nieprzyzwoite – świece pławiły się w szarych ludzkich oczach, zalewając je zwierzęcym złotem – Z drugiej strony, Manrikowie

zatrzaszczyli się o to, by w Ollarii nie pozostało przyzwoitych ludzi, a przyzwoici ludzie w porę wywieźli rodziny. Przynajmniej mam taką nadzieję. Na biurku stoi kasera i kieliszki, przynies.

Butelka była bergerska i kasera też. Germon odkręcił nakrętkę, zapachniało dymem i jałowcem. Arigau lubił ten zapach, on nie przypominał o niczym, oprócz Torki. Torka żyła wojną, Ollaria – pokojem, ale teraz wszystko się przemieszało.

– Nie możemy ogołacać granicy i nie możemy odciągać Alvy od Bordonu i Gaify, ale Lionel... – zaczął Germon i urwał.

– No właśnie – potwierdził Rudolf, przyjmując kasere – Jeśli Savignac odejdzie, Gaunau zawitają do Kadany i nie pożałują. My stracimy Północny Nador zamiast Północnej Priddy, i stracimy na długo.

– Czyli Rakana powinien gryźć Diegarron. Jeśli nie poruszą się „pawie”.

– Oto słowa mądrego człowieka, który w stolicy nie ma nikogo – regent uśmiechnął się, kotka przewróciła się na grzbiet, zabawnie machnąwszy łapką – To nic, odpędzimy dziki, dojdą ręce i do buszujących w kapuście zajęcy, a na razie niech żrą, nie do nich!

Rudolf Neumarinen umilkł. On już o wszystkim zdecydował i odmienić tę decyzję mógł tylko książę Alva. Gdyby zechciał. Albo Ferdynand, gdyby wrócił i ośmielił się powiedzieć „nie”.

TOM PIERWSZY Z GŁĘBIN

O człowieku, kimkolwiek jesteś i skądkolwiek przychodzisz, a wiem, że nadejdiesz, jam jest Cyrus, ja zdobyłem dla Persów ich imperium. Nie żałuj mi zatem tego skrawka ziemi, który przykrywa moje ciało.

Napis na grobowcu Cyrusa Wielkiego w Pasargadach⁵

Czysta prawda z czasem zwycięży...

Włodzimierz Wysocki

- 5 „Kiedy Aleksander dowiedział się, że mogiłę Cyrusa ograbiono, kazał stracić Polemacha, który dokonał tego przestępstwa, chociaż był to jeden z najznamienszych obywateli Pelli. Po przeczytaniu nagrobnego napisu, Aleksander rozkazał wyryć go także po grecku”. Plutarch, *Żywoty sławnych mężów*.

CZĘŚĆ PIERWSZA

„CESARZOWA”⁶

Zachowywać się godnie, kiedy los jest przychylny, trudniej, niż kiedy jest wrogi
Francois de la Rochefoucauld

ROZDZIAŁ 1

OLLARIA

399 rok K.S. 11 dzień Jesiennych Fal

1

Pierwszy Marszałek Taligoi nie ma obowiązku osobiście oporządzać koni, ale co robić, jeśli nikogo nie chcesz widzieć, a każdy dzień zamienia się w taniec to pomiędzy zgniłymi jajami, to wśród jadowitych żmij? Tutaj uciekniesz nie tylko do stajni, ale i na cmentarz. Trupy o nic nie proszą i niczego nie żądają, a wychodźce... Żywi bywają bardziej odrażający. I bardziej niebezpieczni.

– No co? – apatycznie zapytał księżę Epineix swojego ogiera – Co powiesz?

Drakko odpowiedział krótkim parsknięciem i silnym bodnięciem w ramię. Rober uznał, że w przekładzie z końskiego oznacza to: „Wystarczy mierzyć, pora odciąć”.

– Jesteś pewien? – ręka księcia prześliznęła się po ognistej grzywie, takiej samej, jak u inochodźca ni to ze snów, ni to z wizji. Drakko parsknął jeszcze raz i złapał pana za ucho. Nie boleśnie, a żartobliwie. W odróżnieniu od Robera półmorisk był w doskonałym nastroju i życzył sobie tylko jednego – przebieżki.

– Zdasz – zapewnił Epineix rozbawionego przyjaciela – my z tobą jeszcze pospacerujemy, a teraz musimy iść jeszcze do kogoś...

„Ktoś” stulił uszy, ale wejść pozwolił. Moro pogodził się z obecnością Robera, ale nikomu więcej nie pozwalał podchodzić do swojej osoby. Nawet tym, których znał z poprzedniego życia. Królewscy stajenni, którzy przyjęli zmiany z filozoficznym spokojem, omijali czarnego smoka szerokim łukiem. W ich obecności morisk nie chciał ani jeść, ani pić, patrzył wilkiem i próbował przyłożyć każdemu, do kogo uda mu się dosięgnąć.

Oczywiście, poradzić sobie można i z takimi: pragnienie złamie każdego konia, ale Epineix nawrzeszczał na mądrą, który zaproponował, by zostawić uparciucha bez wody. Rober nie mógł zdradzić Moro, przecież ten był cieniem przysięgi, o której wiedzieli tylko Władca Błyskawic i Władca Wiatrów. A przynajmniej Rober chciał myśleć, że Alva wie. I Pierwszy Marszałek Taligoi osobiście taskał wiadra i worki, szarpał się ze zgrzeblem i trenował osieroconego ogiera, nie bacząc na zazdrość Drakko i skrywane uśmiešky stajennych, którzy wbili sobie do durnych głów, że Epineixowi zachciało się przejażdżki na cudzym koniu.

– Witaj – marszałek Taligoi powoli wyciągnął rękę ku czarnej szyi. Moro nie odsunął się, ale i nie postąpił naprzód, stał w miejscu. Żył tylko oczy, i jeszcze nozdrza wciągały znajomy, a mimo to obcy zapach. Hematytowa statua z martwego miasta, która zniecka prawie ożyła.

– Będiesz jeść? – zapytał księżę, on zawsze pytał, chociaż Moro nigdy niczego nie brał z

ręki. Nie wziął i teraz. Epineix poczekał parę minut – niech kolejny raz przywyknie ku nieuchronności – i, chwyciwszy kantar, kazał stajennemu wziąć się za sprzątanie. Moro krótko i zło parsknął, zmieniając się na chwilę w żywego konia.

6 Wyższy Arkan Tarota. Symbolizuje zjednoczenie zewnętrznej i wewnętrznej potęgi, zrównoważonej rozsądkiem, wskazuje na to, że bliskie jest zakończenie jakiegoś procesu, można mieć nadzieję na sukces, wszystko dzieje się naturalnie, bez napięcia. Może mówić o nadchodzącym urodzeniu dziecka, a także wskazywać na despotyczną osobę płci żeńskiej, która nie posiada zdolności do krytycznego spojrzenia na swoje czyny. Karta odwrócona: wskazuje na bezużyteczny trud, brak radości, spadek sił twórczych, domowe kłopoty, trudności materialne, często zemstę, rodzinne niesnaski, trudności w pracy.

Rober z radością zabrałby konia do rodowej willi, ale życie Pierwszego Marszałka Taligoi mijalo wszędzie, tylko nie w wybudowanym przez Rene Epineixa domu na ulicy Niebieskiej Szpady. Pozostawić tam karosza oznaczało skazać go na uwięzienie w boksie, od czego nawet najlepszy koń za miesiąc wyjdzie z porządku⁷. Rober wybrał mniejsze zło i przyprowadził moriska do pałacowych stajen. Aldo się to nie spodobało, koniowi też.

– Monsignore, ostrożnie!

Nicolas... Odszukał jednak. Przed natrętnym karzełkiem uciec nie łatwiej niż przed losem.

– Spokojnie, Carvall – Epineix zerknął na znów skamieniałego moriska – śmierć od końskich kopyt mi nie grozi.

– Od końskich może i nie – skrzywił się południowiec – a ten zwierz gorszy od Obcego.

– Nic mi nie robi – uciał Rober – Co się stało? Przecież prosiłem...

– Chcą was widzieć.

Skoro „chcą”, znaczy, że chodzi o Jego Wysokość Aldo I Rakana. Nicolas, chociaż podskoczył z kapitana Taligu do generała Taligoi, dobrodzieja nie polubił, unikając nazywania go po imieniu, nie mówiąc już o tytułach. A Rober z równym uporem nazywał, tym bardziej, że uważać Aldo za przyjaciela mógł już z trudem. Kiedyś to wychodziło samo z siebie, ale im dalej, tym bardziej wyglądało na kłamstwo.

Rober ponuro spojrział na krzątających się stajennych i ci, nie czekając na okrzyk, zamachali widłami jeszcze szybciej. Pięć minut suzeren poczeka, przecież Moro nie będzie stał cały dzień wśród nawozu. Epineix złapał zadowolone spojrzenie Carvalla – cieszy się, że jego „monsignore” nie mknie do króla z zadartym ogonem. Ciekawe, co wybrałby Nicolas, gdyby znalazł się między Aldo i Alvą?

Władca Błyskawic westchnął w przewidywaniu kolejnej nieprzyjemnej rozmowy. Stajenni pójda i wierny wasal w setny raz zapyta, kiedy wrócą do Epineix, a suzeren sto pierwszy raz odpowie, że nie teraz, i schowa się za przysięgę, chociaż chodzi o coś innego. Nie można rzucać Ollarii na łaskę oglupiałego od zwycięstwa lekkoducha i padlinożerców, których staje się coraz więcej.

Głupio stuknęły widły. Stajenni zakończyli pracę i Rober kiwnął głową – wychodźcie. Potężni mężczyźni boczkim prześliznęli się za drzwi, wydawało się, że boją się nie tyle Moro, ile czegoś, czego sami nie rozumieją. Inochodziec też wiele nie rozumiał i jeszcze więcej się bał. Bała się większość – zalewający strach winem żołnierze, oszaleli z przerażenia mieszczanie, uciekające przed ludźmi psy. Bali się i czekali ni to zimy, ni to biedy, ni to jednego i drugiego.

– Nicolasie – okrzyknął Rober – niech pan przyniesie wody. Ja go trzymam.

Carvall bez zbytecznych słów przytargał cztery wiadra, wlał do kamiennego żłobu i pospiesznie odstąpił. Rober wypuścił kantar, Moro poruszył uszami, ale do wody nie podszedł. Nie chciał, żeby widziano go pijącym, pokonanym, zdradzającym. Ludziom by taką dumę i taką wierność! Epineix z trudem powstrzymał się przed poklepaniem błyszczącej szyi. Nie, Władca Błyskawic nie bał się, że koń go pokaleczy, po prostu to było coś, do czego on nie miał prawa. To to samo, co pchać się do łóżka żony będącego w nieszczęściu przyjaciela. Może później, kiedy spłaci dług, spróbuje oswoić Moro. Za pozwoleniem właściciela...

– Idziemy, Nicolasie. Co nowego? Deszcz pada?

– Nie... Courches powiesił pięciu szabrowników. Tym razem z pułku Ockdella. Byli ludzie Loura.

Pięciu złapano, a pięć tysięcy żyje w najlepsze. Leie Astrape, no jak wyjaśnić Aldo, że król w swoim kraju jest nie zaborcą, a panem. Grabią ci, którzy nie mogą utrzymać, ale suzeren jest pewien, że przyszedł na zawsze i popelnia głupotę za głupotą.

Owszem, można machnąć na wszystko ręką i uciec. Bunt, bo jak jeszcze nazwać to, co się stało, utopi się we własnej i cudzej krwi, ale do tego czasu oni będą daleko. Z Epineix można spróbować dogadać się z Savignacami albo spryciarzem Valmonem, a jak nie wyjdzie – uciec do Alatu...

7 Wyjdzie z porządku – termin, określający, że koń stał się apatyczny, stracił apetyt, schudł, niechętnie biega w czasie treningu, zaczął kuleć, itp.

– Nicolasiu, muszę panu powiedzieć raz i na zawsze, że nie odejdę z Ollarii. Przynajmniej dopóki nie ustaną grabieże.

A one ustaną, kiedy „zwycięzców” wyrzuci się ze stolicy do kociej matki...

– Monsignore! – Carvall zatrzymał się gwałtownie – wojownik o wielką Epineix nie mógł mówić w marszu o tym, co go gryzło – Monsignore, uznałbym za niehonorowe rzucić mieszkańców stolicy na pastwę losu. Oprócz nas nie ma komu ich bronić. Te bękarty z północy potrafią tylko grabić i prześladować.

Według Nicolasa wszystkiemu winni są „bękarty z północy”, chociaż wśród nich szabrowników akurat nie ma. Albo prawie nie ma. Urodzeni w Priddzie, Neumarinen, Bergmarku, Nadorze od wieków szli do armii północnych, a w przeszłej na stronę Aldo Armii Rezerwowej większość tworzyli mieszkańcy hrabstw centralnych, tylko że dla Nicolasa wszystko, co nie jest południem, jest północą. Zresztą, dla Bergerów wszystko, co nie jest Torką, jest południem...

– Carvall – Rober wziął generała pod łokieć – zamierzam prosić jego wysokość o specjalne pełnomocnictwa dla siebie i miejsce komendanta Ollarii dla pana.

Nicolas w odpowiedzi wpatrzył się w swoje buty i Roberowi przyszło na myśl, że Carvall jest podobny do młodego byczka, silnego, upartego, a i tak śmiesznego.

– Jestem gotów – mały generał, potęgując podobieństwo, z szumem wypuścił powietrze – ale u pańskiego Rakana można tylko żądać, inaczej nie ma sensu.

Żądać tym bardziej bez sensu, bo Aldo sobie wyobraził, że należy do niego cały świat. Suzerena zbije z tej myśli co najwyżej armia fok Warzow na przedmieściach Ollarii, a i to nie od razu, ale winien jest nie Aldo, a ten, kto zaczął, to jest książę Epineix. Można krzyknąć, że nie chciałeś, nie zamierzałeś, jaki sens? To Stwórca widzi zamiary, ludzie żyją według innego prawa: zrobileś – odpowiadaj. Albo uciekaj, jeśli nie masz sumienia.

– Nie trzeba było zabierać się za Pierścień Ernani – nie wytrzymał Nicolas – niechby się sami wygrzebywali. Tylko jak już zaszliśmy, trzeba się trzymać i myśleć, co robić dalej.

– Tak – jak echo odpowiedział Władca Błyskawic – trzeba myśleć.

I nie tylko myśleć, ale i robić. Ratować miasto, mieszczan i tych żołnierzy, którzy po prostu wypełniają rozkazy. I zagubionych też trzeba ratować, i zaplątanych w cudze sprawy i sprawki, a jeszcze jest Bagerlee i sterty donosów i skarg w nowej kancelarii.

2

– Wejdz – Aldo Rakan uśmiechnął się przyjaźnie i Dick mimowolnie uśmiechnął się w odpowiedzi – Co słyszeć?

– Wszystko dobrze – wypalił książę Ockdell, bo wszystko rzeczywiście było dobrze, nawet pogoda cieszyła. Poranne słońce zalewało królewski gabinet złotem, igrając na starej broni i wypolerowanych do blasku świecznikach. Pałac jakby radował się z powrotu prawowitego właściciela.

– Też myślę, że nieźle – skinał suzeren – a będzie jeszcze lepiej. Ależ siadaj, czego stoisz jak kat nad dobrą duszą. Powiedz mi – nadal mieszkasz u Rocksleyów?

– Tak – Dick chętnie usiadł na poślaczonym krześle – To nasi sąsiedzi i wasale... To znaczy byli naszymi wasalami.

– I będą – twardo powiedział Aldo – Richardzie, na razie to tajemnica dla wszystkich albo prawie wszystkich, ale nie dla ciebie. Przywrócę stare porządki. Nie kabitelskie – galtarskie. Złote Ziemie znów staną się jednym imperium. Nie będzie żadnych gaif, gaunau, felpów, tylko Złote Imperium od morza do morza. No, Władco Skał, co powiesz?

Dick z radością by coś powiedział, ale słowa gdzieś się zapodziały, pozostały tylko zachwyt i nieprzeparte pragnienie natychmiast rzucić się w bój. Aldo nie rzuca słów na wiatr. Obiecał wprowadzić ich do końca roku do Ollarii – i wprowadził! Teraz ostatni z Rakanów obiecuje

odrodzić Złote Imperium – i zrobi to, a Richard Ockdell stanie obok niego. Suzeren uśmiechnął się.

– Widzę, że się zgadzasz, no i chwala prawdziwym bogom! Głowa Wielkiego Domu powinien mieszkać we własnym pałacu, a nie w gościach u wasala, choćby wiernego. Kto zajął dom Ockdellów?

Domu Ockdellów nie zajmował nikt. Kiedy rozszerzano ulicę Triumfalną, korona wykupiła i zburzyła przeszkadzające budynki, wśród których była też willa z dzikami na frontonie. To było za dziadka Richarda, księcia Edwarda, nowego pałacu Władca Skał nie chciał budować, wołając wywieźć pieniądze do Nadoru. Ojciec puścił złoto Alicji na potrzeby powstania, ale i tak było go za mało.

– Nie wiesz, co za kanalia zabrała twój dom? – suzeren wydawał się zdziwiony – A może kogoś przykrywasz?

– Wasza wysokość...

– Owszem, jestem twoim królem – suzeren odchylił się na oparcie fotela i założył nogę na nogę – ale przede wszystkim jestem twoim przyjacielem. Dopóki jesteśmy sami, możesz nazywać mnie Aldo, bo inaczej jeszcze zapomnę własnego imienia. No więc kto was ograbił?

– Dziadek sam sprzedał willę – wyjaśnił Richard – i ona została zburzona. Kiedy budowano drogę.

– Rozumiem – przeciągle powiedział Aldo – i teraz potomek Alana Świętego nie ma w stolicy własnego kąta. Zresztą... Prawie rok mieszkałeś w willi Alvy, jaka ona jest? Podoba ci się?

– Tak – zaczął Dick, ale nie zdążył dokończyć.

– Jest twoja. Z całym dobrodziejstwem inwentarza – suzeren wziął pióro i szybko coś napisał na ozdobnym papierze – Tu masz darowiznę, tylko moja rada – wygoń służących. Od Kenallijczyków można oczekiwać każdej podłości.

Aldo Rakan kolejny raz miał rację, służący Kruka są wrogami. Szczególnie Juan ze swoimi rozbójnikami, chociaż były handlarz niewolnikami na pewno uciekł, porzucając i dom, i pana. Wzbogaceni na obcych nieszczęściach zawsze byli i będą tchórzami, uderzającymi w plecy.

– Co tak milczysz? – Aldo uniósł brew – Język połknąłeś?

– Dziękuję, wasza wys... przepraszam, Aldo. Dziękuję ci. Mogę wziąć do siebie siostrę?

– Naturalnie – król nachmurzył się, czy mu się to tylko przywidziało? Przywidziało... Przez oświetlenie: tylko co było słońce, a teraz nadbiegły obłoki.

– Iris jest frejliną jej wysokości – przypomniał Richard – Była z królową w Bagerlee.

– Dickonie – ręka Aldo spoczęła na ramieniu Dicka – Ja rozumiem, że wyrosłeś w Taligu, ale teraz żyjesz w Taligoi. Nie wątpię, że Katarina Ollar jest wspaniałą kobietą, ale nie jest królową i nigdy nią nie była. Tak samo jak jej tłusty mężulek nigdy nie był królem.

– Ale... Tak, oczywiście... Mówiłeś, że ollariaństwo jest nieprawne, czyli Katarina Arigau nie jest żoną Ferdynanda Ollara.

– Nie jest – powoli powiedział król – i jednocześnie jest. W oczach innych. Czterystu lat nie wyrzuci się za drzwi jak brudnej szmaty, nieważne jak bardzo tego chcesz. Będą potrzebne cztery lata, żeby wymazać z pamięci Ollarów, i dziesięć razy więcej, żeby przywrócić Taligoję prawdziwym bogom. Ja nie mogę wstać i oznajmić, że od dzisiejszego dnia ollariańskie małżeństwa nie mają mocy prawnej, przecież wtedy w całym kraju nie znajdzie się ani jednej osoby, urodzonej w prawowitym małżeństwie. Wyobrażasz sobie, jaka kotłowanina się zacznie?

Dick wyobraził sobie i zrozumiał, ale lepiej mu się od tego nie zrobiło. Przed Stwórcą Katari jest wolna, ale dla ludzi jest przykuta do swojego przekłętogo męża, który pozostał w żywych tylko dzięki idiotycznemu wyskokowi Kruka i głupocie Robera.

– Katarinę Arigau siłą wydali za mąż!

– Nie wątpię – skinął jego wysokość, bawiąc się sztyletem – Ani jedna dziewczyna dobrowolnie nie wyszłaby za Ollara, ale to nie nasza sprawa. Czekam na nowego kardynała. Jeśli pani Ollar zechce się rozwieść, esperatysta da jej rozwód. Powiedz mi lepiej co innego, dlaczego zamieszkałeś z Rocksleyami, a nie z Roberem? Pokłóciliście się?

Nie. I tak. Bo Inochodziec zmienił się na gorsze, ale Aldo i Rober są przyjaciółmi, a książe Ockdell nie jest donosicielem.

– Nie kłóciliśmy się – stanowczo powiedział młodzieniec – tylko... Książe Epineix jest bardzo zajęty. On prawie nie bywa w domu, a poza tym mieszkają u niego jego południowcy.

– Nieprzyjemni ludzie – wykrzywił usta król – osobiście wolę północ. Ona jest prostsza,

szlachetniejsza, lojalniejsza... Rober nigdy mnie nie zdradzi, ale południe myśli tylko o sobie. Nie obchodzi ich wielkość kraju, sprawiedliwość, honor, myślą tylko o tym, żeby nakarmić owce i nazrecić się swojego czosnku. Południowcy duchem nie są wojownikami, tylko chłopami i handlarzami, nawet szlachcice.

Richard zmilczał, żeby nie pokazać się lizusem, ale w głębi duszy nie mógł się nie zgodzić. Aldo może i nie był doskonałym wojownikiem, ale w ludzkich duszach czytał jak sam Diderich, od pierwszego spojrzenia rozumiejąc, kto ile jest wart.

– Patrz – Aldo rozsunął zasłony – znów słońce. To nasz los, Dickon. Światło, cień i znów światło... Zgadzasz się?

– Tak – twardo odpowiedział Władca Skał.

– I właśnie tym różnisz się od Robera – spojrzenie suzerena zrobiło się smutne – Epineix nie wierzy w dobro, on idzie za mną nie zwyciężać, a umierać. Nie oskarżam go, na biedaka i tak za dużo się zważyło: Renkwaha, Darama, śmierć dziadka i matki... Inochodziec nie jest w stanie zrozumieć, że zwyciężyliśmy, już nie mam nadziei, że oduczę go się bać.

Bać się? Richard z niezrozumieniem popatrzył na Aldo. Z Roberem w ostatnim czasie było potwornie ciężko, ale tchórzem on nie był. Ktokolwiek, ale nie Epineix!

– Aldo... – święty Alanie, jak to wyjaśnić? – Rober to śmiały człowiek. Przecież to Władca Błyskawic!

– Ja wcale nie mówiłem, że Rober jest tchórzem – król uśmiechnął się niewesoło – Jego nieszczęście nie polega na tym, że on boi się umrzeć, a na tym, że boi się żyć. Epineix przez całe życie tracił tych, których kochał: ojca, braci, przyjaciół, dziadka, matkę... I im mniej pozostaje mu bliskich, tym bardziej on się boi. Nie o siebie, a o ocalałych, to znaczy o mnie i o ciebie, o Matyldę, o swoich śmierdzących południowców... Gdyby to od niego zależało, zamknąłby nas wszystkich w kufrze, a sam siadł na wierzchu. Z pistoletem.

Jeśli będę musiał, chronicie Odeszli, odstąpić, nikt lepiej od Epineixa nie przykryje tyłów, ale atakować on nie umie i raczej się nie nauczy. Rober jest moją ariergardą, a moją awangardą, Dickonie, jesteś ty. Ty i nikt inny, bo Priddowie myślą tylko o sobie, a ci, którzy do nas dołączyli, tym bardziej.

– Wasza wysokość – Richard zerwał się z miejsca, omal nie przewracając stołu – ja już złożyłem przysięgę i będę wierny sprawie Rakanów do śmierci.

– Wiem – Aldo zaśmiał się i podał młodzieńcowi rękę – Siadaj, nie jesteśmy na Radzie. A teraz, Richardzie, muszę cię zmartwić. Mówiłeś mi o swojej damie. Już się widzieliście?

– Nie – zapłonił się Dick – jeszcze nie... Ona jest chora i nie wiem...

– Za to ja wiem – ostro rzucił Aldo – Księżę Ockdell nie może ożenić się z kurtyzaną, nieważne, czy ma ona męża, czy nie. Możesz myśleć, co chcesz, ale nie pozwolę ci zbierać resztek po Valmonach i Savignacach.

Z kurtyzaną?! Dick zakrztusił się ze zdziwienia, ale potem do niego dotarło: suzeren mówi o Mariannie. O spotkaniach Władcy Skał z Katari nie wie nikt, a baronowa i jej wysztafirowany małżonek nie robili sekretów z jego wizyt. Cóż, tym lepiej. Zanim opowie suzerenowi o Katari, trzeba ją przygotować, wyjaśnić, że przed Aldo można niczego nie ukrywać.

Dobrze, że Iri jest frejliną, ona mu pomoże, a w tym, że brat pragnie spotkania z siostrą, nie ma nic dziwnego. On naprawdę ucieszy się ze spotkania, księżę Ockdell nie jest już żebrakiem, on może darować siostrze konie, naszyjniki, futra...

– No – ręka Aldo ścisnęła ramię Dicka – czemu nic nie mówisz? Złóscisz się? To nic, później sam mi podziękujesz.

– Wasza wysokość – Richard z trudem powstrzymał uśmiech – przysięgam, że nigdy nie ożenię się z Marianną Kapul-Gizail.

– No i chwała prawdziwym bogom. Ale złożyć ślicznotce wizytę po prostu masz obowiązek – Aldo z całej siły klepnął Richarda po plecach – ona będzie zachwycona.

Dick zaśmiał się mimowolnie. Marianna się ucieszy, ale on jest wierny Katari i tylko Katari. Ależ się Aldo zdziwi, kiedy pozna prawdę! A może nie czekać na spotkanie i powiedzieć już teraz? Ockdell nie ma i nie może mieć sekretów przed Rakanem.

Drzwi otworzyły się i na progu pojawił się gwardzista z białą szarfą.

– Wasza wysokość, księżę Epineix. Na wasz rozkaz.

Aldo nie był sam. Przy stole stał Dickon z miną, mówiąc delikatnie, pełną zachwyty. Pewnie Aldo nakarmił syna Egmonta kolejnymi wielkimi zamysłami, a ten połknął i nawet się nie skrzywił. Leie Astrape, zamiast myśleć nad tym, jak wydostać się z pułapki, zachowując przy tym głowę na karku, suzeren łowi księżyc w strumieniu, a Dickon trzyma wiadro.

– Jestem ci potrzebny? – uśmiechnął się Rober, moszcząc się w wolnym fotelu. Wcześniej nie zastanawiał się, jak siadać i co mówić.

– Ty zawsze mi jesteś potrzebny – zapewnił król na godzinę – Richardzie, jedź do domu. Uważaj, dobrze się urządź, zajrzemy do ciebie w gości. Przyjmiesz?

– Aldo – rozkwitł Dickon – ja...

– Idź, książę – machnął ręką Aldo – i nie zapomnij wziąć ze sobą żołnierzy, nigdy nie wiadomo...

– Gdzie go posłałeś? – zaciekawiał się Rober, wpatrując się w jasną plamę na obitej szarobłękitnym jedwabiem ścianie. Aldo Rakan szczęśliwie pozbył się portretu Franciska Ollara, wielkie zwycięstwo, nie ma co!

– Oddałem mu willę Alvy – oznajmił suzeren – Zasłużył.

– Alvy?! – Roberowi kolejny raz w ciągu ostatnich miesięcy wydało się, że się przesłyszał – Zwariowałeś?

– Czego się wściekasz? – nie zrozumiał suzeren – Ileż może książę spać u hrabiów!

– A ty pomyślałeś, jak to jest spać w domu, gdzie każda szmatka przypomina o zdradzie?

– Jakiej zdradzie? – nie zrozumiał jego wysokość Rakan – Obowiązkiem eorów jest służba anaksom i nikomu innemu.

– A obowiązkiem giermka jest służba erowi – znów ta rozmowa głuchego ze ślepym, ileż można i, co ważniejsze, po co? – Na tym trzymało się taligojskie rycerstwo. Jeśli zamierzasz przywrócić stare porządki, to nie zamieniaj przestępstwa w wyczyn.

– Głupstwo – opędził się Aldo – Mogę uwolnić swojego wasala od każdej przysięgi.

– Możesz – westchnął Epineix – ale od sumienia nie uwolni nawet suzeren. Dickon wobec Kruka jest zadłużony po uszy.

– A ty? – przerwał Aldo.

– Co ja?

– Richard jest zadłużony wobec księcia Alvy, a ty? Czy to czasem nie dług spłacałeś, kiedy na twoich oczach przepołowiono biednego Loura, a ty palcem nie ruszyłeś?

– To prawda – powoli powiedział Rober Epineix – zawdzięczam Alvie życie, ale wtedy o tym nie pamiętałem.

– Nie pamiętałeś, to nie. Tak czy inaczej, teraz jesteście kwita.

Czyżby? Alva wypuścił Władcę Błyskawic z pułapki, w którą zwabili go Lis i własna głupota, a Kruka nikt nie łapał. On przyszedł sam, tylko po co?!

– Aldo, dlaczego mnie nie wpuszczają do Bagerlee?

– Bo nie masz tam nic do roboty – uciał Aldo – W Bagerlee zebrało się nie to towarzystwo, które jest ci potrzebne. Po koronacji zdecydujemy, gdzie ich podziąć.

– Wasza wysokość – niepotrzebnie zaczął tą rozmowę, nic, oprócz kłótni, z niej nie wyrośnie – Jakie będą pańskie rozkazy?

– Uspokój się – mruknął Aldo, poprawiając nowy pierścień ze Zwierzem – Wystarczy ci wojen, a jeszcze raz nazwiesz sam na sam wysokością – uduszę.

– Wojny na razie poczekają – nie chcesz być wysokością, to nie będziesz, dobre i to – Nam by do buntu nie dopuścić. Carvall robi co może, ale jest tylko generałem. Jednym z wielu. Jeśli chcesz, żeby w mieście panował spokój, mianuj go komendantem.

– Richard nie jest zachwycony twoimi czosnkarzami, ja zresztą też nie.

– A mieszczanie nie są zachwyceni twoimi szabrownikami. Aldo, trzeba coś zrobić, póki nas ostatecznie nie zniechęcili.

– Znalazłeś pieniądze? – zainteresował się jego wysokość – To pożycz.

– Gdzie? – Rober wzruszył ramionami – Nie mam kopalni złota.

– Ja też nie – suzeren podniósł jakieś papiery, potrząsnął nimi i rzucił na stół – Dopóki nie

możemy płacić, musimy brać.

– „Brać”? – powtórzył Inochodziec – Ty nazywasz to „brać”?

– Można nazwać jak się chce – wzruszył ramionami Aldo – Potrzebuję żołnierzy, a żołnierzom trzeba płacić. Gdyby nie twoja świętoszkowatość, mielibyśmy dziś pieniądze, a tak – cierp.

– Pieniądze by były, a honor – akurat. Jeśli jesteś królem, musisz dotrzymywać słowa.

– No i dotrzymuję – odgryzł się Aldo – ale ty żadnego słowa nikomu nie dawałeś. Dostał ci się w ręce zabójca ojca i braci. Kto ci przeszkadzał go zabić? Ja bym na ciebie głośno nakrzyczał, a cicho pogratulował, za to pozbylibyśmy się Kruka. Na zawsze... Dobra, co się stało, to się nie odstanie. Siadaj, pisz.

– Co pisać?

– Reskrypt o mianowaniu barona Insmillera cywilnym komendantem Kabiteli, a twojego Carvalla – wojennym. Na twoją odpowiedzialność. Niech gania szabrowników, ale za każdego zabitego żołnierza będą wieszać czterech mieszkańców miasta. Znajdą winnych – dobrze, nie znajdą, to powieszają pierwszych lepszych. Do koronacji w Ollarii, tfu, w Kabiteli ma być cisza.

Nie ma sensu się klócić. Odmówić? Stolicę oddadzą na wykup Insmillerowi, którego miejsce jest na szafocie, i tyle. Książę Epineix i jego ludzie będą czyści, tyle że zabitym i ograbionym lżej od tego nie będzie.

Pierwszy Marszałek Wielkiej Taligoi przysunął fotel do stołu i wziął złociste driksieńskie pióro.

– Dyktuj, jestem gotów.

ROZDZIAŁ 2

NEUMARINEN

399 rok K.S. 12 dzień Jesiennych Fal

1

Z jesiennej mgły jak zmierzchowe widmo wyłoniły się iglice opactwa Świętego Horsta. W końcowej fazie Wojny Dwudziestoletniej Michael Neumarinen i Alonso Alva nie pożałowali złota na grobowiec tych, którzy polegli na początku rzezi. Pod sklepieniem ze srebrzystego kenallijskiego marmuru znalazło się miejsce i dla Gui Arigau, jeśli tylko pochowany z honorami połamany szkielet należał do powieszzonego po śmierci generała. Z zagradzającego Driksom drogę oddziału ocalało czternastu ludzi, do zwycięstwa dożyli dwaj – książę Michael i kapral-południowiec, który otrzymał baronostwo...

– Mój generale – głos był niski i ochrypy – proszę pozwolić, że się przedstawię. Pułkownik Ansel. Rozkaz regenta.

Germon oderwał spojrzenie od pozłacanych iglic, zszywających przeszłość z teraźniejszością, i odwrócił się. Pułkownik Ansel był niemłody i spokojny, jak i przystało człowiekowi, który w idealnym porządku wyprowadził żołnierzy ze zdobytego zdracą miasta.

– Miło mi pana poznać – zupełnie szczerze powiedział Arigau – Czego chce regent?

– Monsignore powierzył mi tymczasowo przejąć oddaną panu awangardę, natomiast pan w towarzystwie tenenta Se ma natychmiast pojechać do rezydencji marszałka fok Warzowa. Oto rozkaz.

– Coś się stało? – Germon rozłożył rozkaz, w którym, oprócz pieczęci i podpisu, widniało tylko siedem słów: „Oddaj dowodzenie Anselowi. Czekam w Waldzee. Pilne”. Rudolf nigdy nie cierpiał na papierową gadatliwość i nigdy nie popędzał bez powodu.

– Nie posiadam rzetelnych informacji, ale sądzę, że tak – wyrecytował Ansel. Ma on krewnych czy tylko przyjaciół i towarzyszy broni? Arigau kiwnięciem głowy pożegnał się ze złotymi szpilami i leżącym pod nimi przodkiem. Ansel czekał na rozkazy, za plecami pułkownika błyszczały czarne oczy wicehrabiego Se. Stwory Zmierzchu, połowa Savignaców nosiła imię Arnould, a do starości dożył tylko pasierb Alonso. Jeden za wszystkich. Generał podkreślił wąsy.

– Ansel, przedstawiam panu pułkownika Carsphorna, on wszystko wyjaśni. Gavin, polegam na panu. Życzę szczęścia. Jedziemy, tenencie.

Gavin Carsphorn jest skrupulatny jak czterech Bergerów, a pułkownik Ansel nie należy do tych, którzy się gubią, do Gelbe jakoś się dobrać, a co dalej – sam Leworęki nie wie, a jeśli wie, to nie powie. „Czekam w Waldzee”... Regent uznał za konieczne odłączyć się od armii i zatrzymać dowódcę awangardy, a może nie tylko jego. Sprawy mają się źle czy wręcz przeciwnie, dobrze?

– Arnould!

– Mój generale?

– Regent w Waldzee?

– Zostawiłem go rano w Abenthande – Arnould umiejętnie zawrócił konia, przepuszczając sporą furę – To trzy godziny galopu do Waldzee.

– Wiem – jakby mógł nie znać Północnej Priddy – Fok Warzow jest w Gelbe?

– O ile wiem, to w Hexbergu – uśmiechnął się Arnould – Przynajmniej właśnie tam księżę posłał kuriera.

Marszałek porzucił Gelbe. To może oznaczać tylko jedno: Driksowie postanowili zacząć od pozostawionej bez floty twierdzy. Szczęśliwy moment, nie ma co. Wziąwszy Hexberg, jego wysokość Gotfryd włoży do kieszeni całą Nadmorską Priddę, a Armia Zachodnia znajdzie się w pułapce. Wesoło!

Hrabia i wicehrabia bok w bok jechali wzdłuż maszerujących muszkietarów i artyleryjskich zaprzęgów. Skrzypiały koła, parskały konie, rozmawiali i podśpiewywali woźnice. Rudolf przerzucał z Neumaru do Priddy to, co nazywało się osobistymi rezerwami Proemperadora Północy, a naprawdę było niewielką, ale doskonałą armią, którą utrzymywali książęta Neumarinen. Teraz Ludwig może liczyć tylko na Bergerów, a co, jeśli „gęsi” zaryzykują i tam? Księżę Friedrich jest uparty i zawistny: gdzie Kruk z pazurami, tam i „gąsior” z pługiem.

Hexberg, Gelbe, Agmaren... Agmaren, Hexberg, Gelbe... Chcąc nie chcąc, przyjdzie dzielić siły, a na rezerwy teraz nie ma co liczyć. Ani na nowe armaty, ani na zaopatrzenie...

– Mój generale, zakręt na Waldzee!

– Jest pan tu po raz pierwszy, wicehrabio?

– Tak, panie!

Dwadzieścia lat temu wszystko było na odwrót. Prawie na odwrót. Generał Savignac i tenent, który stracił imię i ojca. Arnoulda-młodsze jeszcze nie było na świecie, Arnould-starszy powiedział: „zapomnij i walcz”. I Germon Arigau walczy do tej pory.

– Piękne miejsce – generał uniósł się w strzemionach, witając granitową stelę z nie pasującą do lesistych wzgórz jaskółką – i zamek piękny. Na południu budują inaczej. Dawno pan był w Se?

– Przed Laik – Arnould uśmiechnął się z pewnym poczuciem winy – Davenport obiecał mi urlop na Zimowy Przełom, ale teraz nie ma urlopów. Wie pan, że Se spalili?

Różowe od zmięzchu jezioro, złociste wieżyczki, wiatrowskazy w kształcie jeleni i róże, wiele róż. Arletta Savignac uwielbiała kwiaty i synów...

– Co z matką? – żona Arnoulda lubiła Se najbardziej ze wszystkich zamków – Ona tam była?

– Mateczka jest bezpieczna. Wyjechała do Savignaca, zdążyła. Tak mówi baron Reinsteiner.

– Jeśli Reinsteiner coś mówi – potwierdził Germon – to tak właśnie jest.

– Dziękuję, mój generale...

Droga na Waldzee wydawała się bezludną. Do pierwszego zakrętu, za którym pojawili się muszkietarowie z turkusowymi mankietami. Bergerowie, oddani przez margrabiego do dyspozycji teścia. Pod zwieńczonym rozkosznymi piórami kapeluszem mignęła znajoma twarz. Katerschwanz, ale który? Germon sięgnął wodze i podniósł rękę, witając ogromnego pułkownika.

– Dzień dobry, panie. Wręcz mam obowiązek przekazać panu pozdrowienia z Agmaren. Od krewnego.

– Ja jest bardzo wdzięczny – białowłosego gigant rozplątał się w uśmiechu, który mógłby zostać uznany za wilczy, gdyby jego właściciel nie miał rozmiarów niedźwiedzia – W górach być zimno czy być ciepło?

– Kiedy wyjeżdżałem, gęsi machały skrzydłami, ale nie wlatywały – dobrze, że na bożym świecie istnieją Katerschwanzowie, ich obecność uspokaja – Jestem zmuszony uściślić, z którym z synów barona Sigmunda rozmawiam.

– Ja jest Erich – ochoczo przyznał się ogromny pułkownik – ja i będący w Gelbe Dietrich jest

średni bliźniaki. My mniejsi Erharda i znanego wam Gerharda, i my jeszcze nie jest dwa generała, a tylko pułkownik i jeszcze jeden pułkownik. My podobni, tak. Kiedy my z Dietrichem w jednym miejscu, ja nakładam na szyję malinową chustę, a brat-bliźniak białą. I wszystko staje się zupełnie proste.

– O tak, bardzo proste – rozmowa z góralami żąda dokładności i Arigau zupełnie szczerze dodał: – Cieszę się, że obok mnie będzie walczył Katerschwanz z Katerhaus.

– Ja też jest bardzo dumny – bez mrugnięcia okiem zapewnił brat Gerharda – Obok nas jest także dwa moi młodzi bratanki. Będę rad przedstawić ich przyjacielowi mojego starszego brata.

– Bardzo mnie to cieszy – im więcej Bergerów, tym lepiej, a jeszcze lepiej by było, gdyby w Priddzie pojawił się sam Sigmund z całym potomstwem i potomstwem potomstwa. Niestety, głowa rodu wysyłał do Taligu tylko młodszych, a starsi siedzieli na przełęczach – Erich, od dawna pan jest tutaj?

– Od końca nocy, która się zakończyła – oznajmił pułkownik – My jest osobisty eskort księcia Neumarinena, który znajduje się w rezydencji hrabiego fok Warzowa, który teraz jest nieobecny i pełniący swoje obowiązki w Hexberg, który ma się poddać atakowi dużej liczby „gęsich” statków z morza i „gęsich” ludzi z lądu.

Gdyby Katerschwanz mówił po bergersku, zmieściłby się w czterech słowach, inna rzecz, że każde składałoby się z szesnastu taligojskich. Kiedyś Germon Arigau omal nie zemdłał, słysząc w odpowiedzi na swoje powitanie słoweczko długości Rassanny, teraz przywykł.

– Johann i Norbert byli ze mną w Laik – oznajmił Arnould Se, kiedy odjechali – Mój generale, Driksowie nie mogą wziąć Hexbergu!

– Czyli nie wezmą – uciał Germon – Hexbergu jeszcze nikt nie wziął, właśnie dlatego, że to Hexberg.

Agmarenu też nikt nie zdobył, ale zawsze jest ten pierwszy raz. Wzięto przecież Irbisie Wrota, a Ollaria miała pecha dwa razy, co prawda, za pierwszym razem była Kabitelą.

– Mój generale – Arnould udowodnił, że umie zachowywać milczenie i subordynację i teraz chętnie by porozmawiał – Nie sądzi pan, że Driksowie lub Gaunau zwiększą nacisk na przełęcz?

Innymi słowami, czy „gęsi” nie przedrą się do Naumarinen, skoro odeszły stąd wojska. Jego ojciec tak właśnie by zapytał, ale obecny Arnould jest nie tylko Savignacem, ale i Rafiano. Dyplomata i wojskowy w jednym... Taki poradzi sobie choćby ze Stworem Zmierzchu. Jak nie ostrzem, to językiem!

Germon przechwycił wyczekujące, poważne spojrzenie. Wicehrabia Se chciał wiedzieć wszystko i na pewno. Hrabia Arigau też by nie odmówił, ale jasnowidzących można spotkać tylko w bajkach.

– Neumarinen, Agmaren i Bergmark trzymają się już od wielu lat – to oczywiste, ale czasem o oczywistościach należy przypominać i innym, i sobie – Prawda, księżę Friedrich nie odmówiłby okrycia się sławą, ale zima ochroni przełęczę lepiej niż każda armia, a do wiosny Albert zbierze kilka nowych pułków, a i Bergerowie poderwą dziesięć-piętnaście tysięcy. Torka się odbije, to w Priddzie różnie może być.

– Tak – kiwnął głową Arnould – Wcześniej fok Warzow miał nie trzydzieści cztery tysiące, a pięćdziesiąt.

Wnuk Rafiano nie powiedział, że myśl wzmocnić Nador i armię ekspedycyjną kosztem Armii Zachodniej okazała się nie najszcześniejsza, pytanie było wypisane na twarzy tenenta i Germon odpowiedział:

– To wydawało się rozsądne. Twoim braciom potrzebne były ostrzelane pułki, a nie zebrana w okolicach Ollarii hołota. Talig miał szczęście, że Lionel zdążył rozbić Kadane i przeciąć wschodnie przejścia z Gaunau. Inna sprawa, że rezerw z Ollarii już nie zobaczymy, ale Wojna Dwudziestoletnia zaczęła się jeszcze gorzej.

– Na granicach gorzej – wstrząsnął głową krewny i imiennik Arnoulda Kadelskiego – ale nie w stolicy.

– W Ollarii też różnie bywało – uśmiechnął się Germon – Alonso nie dla kaprysu rozstrzelał królewskiego brata, ale masz rację. Przełom nam się dostał, że gorzej być nie może. To nic, wyplączemy się.

– Oczywiście! – rozkwitł wicehrabia Se. Był bystry, ten potomek marszałków i eksterriorów, ale nie miał jeszcze dwudziestu lat.

Na Wieży Herbowej powiewał regencki sztandar, a obok sterczał pusty flagsztok, znamionując nieobecność gospodarza. Kiedy Wolfgang fok Warzow był w Waldzee ostatni raz? Najpewniej wiosną, w rocznicę śmierci żony. Przyniósł do grobowca niezapominajki i klonowe gałązki, poczekał, aż wypalą się cztery świece i wrócił do armii. Innej rodziny marszałek nie miał, zresztą nie była mu potrzebna.

– Oczekują pana – dziarski – nic dziwnego, Rudolf nie trzymał przy sobie innych – kapral przyjął konie. Se odsalutował Germonowi i wmieszał się w grupę młodych oficerów. Do nóg hrabiego Arigau upadł bury dębowy liść: Waldzee słynęła z dąbrów, to w Gaiare rosły kasztany.

– Mój generale, tędy – dyżurny adiutant, tracąc dech z poczucia obowiązku, poprowadził generała do gabinetu fok Warzowa. Germon mógł chodzić po rezydencji fok Warzow z zamkniętymi oczami, ale po co rozczarowywać chłopca?

Znajome drzwi z kołującą nad falą jaskółką, miękkie światło kominka, zapach jabłek. W Waldzee zawsze pachniało jabłkami, nawet zimą.

– Wejdz – Rudolf Neumarinen w czarno-białym mundurze stał u okna, za stołem siedziało jeszcze dwóch ludzi. Hrabiego Hohenlohe-zur-Adlerberga Germon znał, drugi, ciemnowłosy grubas w podeszłym wieku, był zbyt podobny do Arletty Savignac, żeby być kimś innym niż jej bratem-eksterriorem.

– Siadaj – regent machnął ręką i przeszedł się od okna do kominka – Hectorze, to generał Arigau. Germonie, masz przed sobą eksterriora Rafiano. On co prawda nalega na słowo „były”, ale my się z nim nie zgadzamy.

Germon wzruszył ramionami – niby że regent wie lepiej, i usiadł naprzeciwko Hohenlohe. Książę doszedł do kominka, obrócił się; zmęczone spojrzenie nie zwiastowało nic dobrego, ale dla kogo?

– Almeida wraca! – oznajmił regent roгатemu świecznikowi – I Weizel razem z nim. Alva zawrócił eskadrę i odesłał Kurta do nas.

– Kruk ma rację – z uczuciem powiedział były gerencjusz – Chociaż tu coś dobrego.

„Coś” – to łagodnie powiedziane. „Gęsi” uważają Hexberg może nie za bezbronny, ale za łatwy do zdobycia. To, że Talig może kasać nie tylko na południu, ale i stawać dęba na północy, zdecydowanie ich nie ucieszy. Stwory Zmierzchu, gdyby nie zawierucha w Ollarii, kesaria miałyby wesoło, ale Rudolf zaczyna od miłych wieści tylko wtedy, kiedy sprawy mają się źle.

– No proszę – rozciągnął usta regent – ucieszyłem was, a teraz przejdźmy do interesów. Musicie wiedzieć, że Bruno ruszył ku granicy i armię ma dobrą. Powiedziałbym nawet, zbyt dobrą.

Do tych trzydziestu tysięcy, które miał, dołączyło sześć pułków kawaleryjskich i nie mniej niż pięć nowo sformowanych pułków piechoty. Formowano je z priddyjskich i maragońskich weteranów, czyli po prostu zebrano tych, których rozpuszczono po gelbskim fiasku, i podobno zbiera się jeszcze. Dwukrotnie zwiększono artylerię. Kiedy feldmarszałek przekroczy granicę, będzie miał nie mniej niż pięćdziesiąt tysięcy.

– Proszę mi wybaczyć moje nieorientowanie – poruszył wypielegnowanymi palcami Rafiano – a jakimi siłami dysponujecie wy?

– My – poprawił Hohenlohe – Mam nadzieję, że nie zamierza pan wrócić do ojczyzny i wspomnieć, że niegdyś Rafiano było suwerennym księstwem?

– Ja o tym nie zapomniałem – uśmiechnął się eksterrior – A właśnie, nie zna pan przypowieści o pewnej pannie, która wołała wręczyć swoją niewinność i swoje kufry sąsiadowi z dużym mieczem, uważając, że w przeciwnym razie nie zachowa ani niewinności, ani kufrów?

– Panna była mądra – zauważył regent – wymienić swoją słabość na obcy miecz nie każdy potrafi. Co do mieczy, to w Gelbe jest trzydzieści tysięcy, a obrona jest łatwiejsza niż atak, jako że Pridda obfituje w wodne przeszkody i twierdze.

– Wspomniał pan o Almeidzie, ale nie o margrabim – zauważył Rafiano zrzędlwym tonem – czyli pięćdziesiąt tysięcy „gęsi” w Priddzie to jeszcze nie wszystko.

– Ma pan słuszność – regent wziął pogrzebacz i poruszył węgle – nie będę księciem Neumarinen, jeśli „gęsi” zapomną o przełęczach, tak że Bergerowie będą mieli co robić. Niemniej jednak Wolfgang oddał nam agmareńskich strzelców, a stary Katerschwanz ofiarował Taligowi

połowę swoich krewnych.

Pięćdziesiąt tysięcy przeciw trzydziestu w obronie i zimą, nie tak strasznie. Jeśli tylko za plecami wszystko w porządku.

– Almeida zajmie się morzem – Rudolf wyprostował się z widocznym trudem – Droga na Kenalloa też jest wolna, ale nie możemy ciągnąć soków z południa.

– Cóż – wolno powiedział eksterrior – będziemy czekać na Almeidę i myśleć, kto oskubał flaminga. Możecie wierzyć niebyłemu eksterriorowi, „gęsi” i „pawie” były porażone nie mniej niż my.

Rudolf pytająco uniósł brew, ale nie zdążył odpowiedzieć. Na progu pojawił się Eugen Reinsteiner we własnej osobie. Berger uklonił się powściągliwie, on był taki jak zawsze. Błady, niewzruszony i rzeczowy.

– Panie regencie, panowie, królewski orszak przybył.

– Dobrze – Rudolf Neumarinen dotknął regenckiego łańcucha i podszedł do okna – Pan Manrik nie zdziwił się na pański widok?

– Hrabia Manrik nie uznał za stosowne powiadomić mnie o swoich uczuciach – oznajmił baron i Germon omal się nie roześmiał. Zaiste, jest na tym świecie coś bardziej niewzruszonego od gór i poważniejszego od Księgi Oczekiwania.

3

– Panowie – uśmiechnął się regent Taligu – Informuję panów, że szóstego dnia Jesiennych Wiatrów pułkownik Reinsteiner napotkał orszak byłego conseillera i byłego oberprokuratora. Panowie, przewidując zabierając ze sobą skarbiec, kardynała i naszych z Germonem siostrzeńców, kierowali się przez Priddę do Ardory. Baron przekonał ich, by skręcili do Waldzee.

– Szkoda, że baron przedstawił swoje dowody w Priddzie, a nie w Ollarii – ściągnął brwi Rafiano – Nawet sobie panowie nie wyobrażają, jak nam go brakowało.

– Otrzymywałem pańskie listy, hrabio – Neumarinen zatrzymał się przy stole, gładząc bliznę na lewym nadgarstku – ale gońcy i armie nie latają. Możemy się pocieszać tym, że Bruno też nie ma skrzydeł.

– Przepraszam – skłonił głowę dyplomata – zapomniałem się. Rzeczywiście czas mi już przejść w stan spoczynku.

Dlaczego od razu w stan spoczynku? Eksterriorowie to też ludzie, złością się, nienawidzą, oburzają się i żałują dokładnie tak samo, jak regenci i generałowie. Co zrobi Rudolf z durkami, którzy zapędzili się za daleko? Powiesi, rozstrzela, zamknie gdzieś? Germon by rozstrzelał. Przez pluton egzekucyjny.

– Wasza świętobliwość, proszę – Eugen Reinsteiner otworzył drzwi i do gabinetu Michaela weszło czworo, a raczej troje i jeden. Jasnowłose ollarianin z przestachem oglądał się na łysiejącego mężczyznę w zieleni i różu, pamiętnego Germonowi jeszcze z Ollarii. Leopold Manrik był o dwa lata starszy od Rudolfa, ale na rówieśników oni nie wyglądali nigdy. Dwadzieścia lat temu Pierwszy Marszałek Taligu wyglądał na młodszego od tessoriusza o piętnaście lat, teraz Rudolf wyglądał gorzej, ale Manrik pozostał taki jak wtedy – rudy, bezczelny i czujny jak kot w kuchni.

Towarzyszy Leopolda hrabia Arigau nie znał osobiście, ale zadbany piękniś z książęcym łańcuchem mógł być tylko Colignarem, a nerwowy duchowny – nowym kardynałem. Trzeciego, szczupłego i jasnowłosego, z końską twarzą, Germon nie spotkał ani w Ollarii, ani w Torce.

– Wasza świętobliwość jest zmęczony – książe Neumarinen jeszcze wolniej, niż zazwyczaj, przeciął pokój i skłonił się ku dłoni kardynała, nie zauważając pozostałych „gości”. W torskich bajkach panowie górskich dróg spojrzeniem zamieniali śmiertelnych w kamień, Rudolf posunął się dalej: on zamieniał obecnych w puste miejsce.

Kardynał drgnął i z zaszczutym wyrazem twarzy obejrzał się na zaciskającego usta Manrika. Colignar wpatrzył się w brązowy kenallijski świecznik, końskolicy uniósł brew i ledwo zauważalnie się uśmiechnął. Zuch, mimo że nie wojskowy.

– Niestety, tutejsze drogi są tylko na siły bywałych podróżników – z naciskiem powiedział regent, patrząc w zagubioną, nie wyróżniającą się niczym twarz.

– Tak – zaczął kardynał i zająknął się – Tak, mój synu.

– Sprawy doczesne nie są warte pańskiej uwagi – „syn” jest starszy od ojca duchownego o dwadzieścia lat i wyższy o głowę, ale chodzi nie o wiek i nie o wzrost. Kardynał nie jest władcą duchowym, a lalką, kto złapał, ten się bawi.

– Dziękuję panu, monsignore – mamrocze czarna laleczka nowemu właścicielowi – Bądź cierpliwy, oczekując Jego, a będziesz zbawiony.

I to ma być następca Sylwestra?! Chudy, o ostrej twarzy, z nerwowymi, niepotrzebnymi gestami?

– Czczę słowo Jego, oczekuję powrotu Jego i zdaję się na litość Jego – bogobojne słowa w ustach Rudolfa przypominały wyrażenia, wyryte na armatniej lufie. Może Stwórca wróci, może nawet zlituje się nad niewinnymi, ale książe Neumarinen nie wybaczy sobie, jeśli wpuści „gęsi” do Maragony. I fok Warzow nie wybaczy, i Germon Arigau, i młody Arnould...

– Niech ucieszą się dusze bogobojne z powrotu Jego w ziemiach Taligojskich, w Ogrodach Świtu.

Jego świątobliwość przestępował z nogi na nogę, Manrik zadzierał głowę jak narowisty ogier, Eugen Reinstainer patrzył na wszystkich i na nikogo.

– Proszę waszą świątobliwość o rozmowę sam na sam i o błogosławieństwo – miękko powiedział regent. Berger z niewzruszonym wyrazem twarzy otworzył drzwi i kardynał, podtrzymując poły zakurzonego czarnego stroju, zniknął za progiem wraz z księciem.

4

– Proszę usiąść – uprzejmie powiedział Eugen, stając obok Manrika. Ni to bez żadnego podtekstu, ni to wręcz przeciwnie.

Były conseiller głośno wciągnął powietrze, ale opadł w fotel obok Rafiano. Colignar usadowił się naprzeciwko, a na lewo od Germona znalazł się posiadacz końskiej fizjonomii.

– Proszę pozwolić, że się przedstawię – fizjonomia skłoniła się wyrafinowanie – Hrabia Credinge, w niedawnej krótkiej i nieszczęśliwej przeszłości – tessoriusz.

Credinge... Ich ziemie leżą w Nadmorskiej Epineix, a oni spotkali się w Torce.

– Generał Arigau – przedstawił się Germon i w przystępie uprzejmości dorzucił: – Słyszałem o panu. Wszak to pan był intendentem Północnej Armii?

– Dawno – westchnął sąsiad – ale zawsze wspominałem Priddę z rozczuleniem i marzyłem, aby wrócić. Niestety, nie przypuszczałem, że stanie się to w tak opłakanych okolicznościach.

– „Nasze pragnienia są jak liście pędzone wiatrem” – pokręcił głową Rafiano – Nie sądzicie, panowie, że w tym roku mamy zadziwiająco ciepłą jesień?

– O tak – zgodził się z dyplomatą Colignar. Manrik milczał. Eugen podszedł do kominka, wyciągnął ze stojącego na trójnogu kosza świerkową szyszkę, rzucił do ognia. Wzleciały rude iskry i, jakby w odpowiedzi, zamigotała jedna ze świec.

Germon sięgnął po szczypcę do knotów, ale ubiegł go Hector Rafiano. Płomień wyrównał się. On był złoty, a niebo za oknem – purpurowe. Jutro będzie wiatr, silny i zimny, przyniesie do Priddy spóźnioną zimę, ale nie śnieg.

– Sądząc ze wszystkiego, droga z Ollarii do Priddy jest bezpieczniejsza, niż droga do Urgotu i Epineix? – hrabia Hohenlohe poprawił masywną zaręczynową bransoletę. Germon nie pamiętał, z kim był żonaty gerencjusz.

– Co to za aluzje? – a głos Manrik ma cichy i skrzypiący, jednym słowem – tessoriusz. Mógłby nadal nim być.

– Czas aluzji się skończył – nie wiadomo po co powiedział Germon, patrząc w gorejące niebo. Okna na zachód – radość Leworękiemu, ale w Torce zachodów się nie boją. Jak i wiatru, i wystrzałów. W Torce boją się ciszy.

– Nie czas teraz na spory – ciężko powiedział Colignar – trzeba ratować Talig.

– Słusznie – potwierdził Germon Arigau – ale najpierw należy wyjaśnić, jak Armia Rezerwowa i część garnizonów przeszły na stronę młodego człowieka, który nie ma nic, oprócz zapomnianego imienia.

– Zdrada – burknął Manrik – Spisek był odkryty, ale zbyt późno.

– To absurdalne objaśniać wiarołomstwo zdradą, a zdradę wiarołomstwem – uniósł wargę Hohenlohe – Tym bardziej, że zdradzali ci, którym pan patronował. Jak należy to rozumieć?

– Hrabio – twarz Manrika pałała nie gorzej od nieba za szklami, ale głosu nie podniósł – nie zamierzam przed nikim się usprawiedliwiać.

– W takim razie powinien pan być uciekać w innym kierunku – uprzejmie oznajmił gerencjusz – Zresztą, gdzie by pan nie przyjechał, zapytają pana o jedno i to samo i każą odpowiadać za jedno i to samo. Porzucając ich wysokości, dopuścił się pan zdrady stanu.

– Ferdynand zniknął – szybko powiedział Colignar – Nie uznaliśmy za konieczne narażać życie następcy tronu, księżniczki i jego świętobliwości.

– Oraz swoje własne – kiwnął Arigau, rozumiejąc, co go napadło – Ale osobiście nie mam pewności, że tu jesteście bezpieczniejsi niż w Ollarii.

– To groźba? – ponuro upewnił się zbiegły oberprokurator.

– W żadnym wypadku – Germon uśmiechnął się do ojca Leonarda – Mamy przed sobą wojnę. Na razie tylko z Driksen, ale nie wątpię, że Gaunau nie każą na siebie długo czekać. Wy raczyliście uciec przed buntownikami, których raczej nie jest więcej niż dwadzieścia tysięcy, a „gęsi” po nasze dusze zleciało się co najmniej pięćdziesiąt tysięcy.

– Nie podoba mi się pański ton – ponuro powiedział Manrik – ale co do jednego ma pan rację. Teraz nie czas na osobiste porachunki. Odpowiadamy za Talig.

– Nie, panie – sprzeciwił się Hohenlohe – pan za Talig w żadnym razie nie odpowiada. Taka jest wola jego wysokości.

– Czym może pan potwierdzić swoje słowa? – teraz u rudego conseillera spurpurowiały uszy i szyja – Jeśli jego wysokość jest tutaj, żądam audiencji.

– My żądamy – uściślił Colignar.

– Jego wysokości tu nie ma – oznajmił Rafiano – niestety. Ale jego rozkazy w stosunku do panów są znane.

– My – wyrecytował Hohenlohe-zur-Adlerberg – razem z hrabią Hectorem Rafiano byliśmy obecni na Radzie Miecza, zwołanej przez jego wysokość Ferdynanda po ucieczce conseillera i, nie obawiam się tego słowa, jego zauszników. Jego wysokość pozbawił stanowisk wszystkich tych, którzy opuścili Ollarię bez jego zgody.

– Od siebie zauważę – odezwał się od kominka Reinsteiner – że przyczyną nieszczęść, jakie spadły na Talig, były działania byłego conseillera Manrika i byłego oberprokuratora Colignara, którzy między innymi sprzyjali mianowaniu Simona Loura i markiza Sabwe, co też stało się przyczyną przegranej w Epineix.

– Loura wydawał się dobrym generałem – z wysiłkiem powiedział Manrik – Nie dawał żadnych powodów, aby wątpić w jego wierność.

– Widocznie, woda dla tego rybaka była niedostatecznie mętna – wzruszył ramionami Hohenlohe – ale czasy się zmieniły i „dobry generał” stał się zły.

– Pomyliłem się co do Loura – Manrik splótł i rozplótł palce – i jestem gotów to przyznać. Wcześniej czy później zdrajca dostanie to, na co zasłużył, jak dostał Paul Pellot. Niestety, nie mylił się tylko Stwórca. Robiłem to, co uważałem za swój obowiązek...

– Obowiązek? – skrzywił się Hohenlohe – Leopoldzie, czy pan czasem nie zmienił imienia na Alva albo fok Warzow? Nie, obowiązek nie ma tu nic do rzeczy. Pan nie życzył Taligowi zła, to owszem, pan szukał dobra dla siebie. Mało kto chce zła dla zła, ono wyrasta samo z siebie. Z pragnień, przewyższających i praw, i możliwości.

– Nie jest pan ani Stwórcą, ani królem, żeby sądzić – nadął się Colignar – Poza tym proszę nie porównywać mojego brata do niegodziwca, którego narzucił jego wysokości były conseiller.

– Panie Rafiano – salonowym tonem zainteresował się Credinge – nie przyszła panu czasem na myśl jakaś przypowieść?

– Powiadają – kiwnął głową eksterior – że żyły u pastucha rudy pies i bury kozioł. Pies odpędzał wilki, kozioł dobrze krył kozy i prowadził za sobą owce i barany. I wszystko szło dobrze, ale pastuch nie był już młody. Pies i kozioł narzekały, że gospodarz z powodu swojej starości nie przegania stada na nowe pastwisko, ale nie ośmieliły się otwarcie wstąpić w spór. Potem pastuch umarł, a pies i kozioł uznały, że bez trudu poradzą sobie ze stadem, i pogoniły owce tam, gdzie trawa była najzieleńsza. Niestety, łąka okazała się być trzęsawiskiem i owce zaczęły tonać. Wtedy pies i kozioł rzuciły stado na pastwę losu i uciekły w las...

– Nie podoba mi się pańska przypowieść, hrabio – warknął oberprokurator, wstając i kładąc rękę na rękojęści szpady – Tym bardziej, że pan też uciekł do lasu.

– Nie – eksterior nie poruszył się – ja uciekłem nie do lasu, a do wsi. Do pastuchów.

Baron Reinstainer poczęstował ogień jeszcze jedną szyszką i podszedł do stołu.

– A jak zakończyła się przypowieść? – zaciekał się – Owce utonęły?

– Mam nadzieję, że nie wszystkie – rzucił Hohenlohe – Przyszli pastuchowie i uratowali stado, pies spróbował ugryźć kozła, a kozioł stratować psa, ale obu odesłano do rzeźni.

– Zmienił pan stanowisko gerencjusza na oberprokuratorские? – ze złością rzucił Colignar – A może bardziej panu pasuje maska kata?

– To pan z powodzeniem połączył te postacie – wycedził przez zęby Hohenlohe – ale to nie ja zadecyduję o pańskim losie. Na szczęście dla nas obu.

– Nie życzę sobie kontynuować rozmowy w takim tonie – teraz były oberprokurator patrzył tylko na Bergera – Więcej, nie życzę sobie kontynuować rozmowy w obecności hrabiego Hohenlohe-zur-Adlerberga i hrabiego Arigau. Być może nie wie pan, że ich imiona raz za razem pojawiały się w toku śledztwa w sprawie zdrady stanu. O przyczynach, z jakich obecny tu generał znalazł się w Torce, uważam za zbyt cenne nawet wspominać.

– To niech pan nie wspomina – ręka Credinge spoczęła na ramieniu Germona. Pewnie sąsiad uznał, że zaraz dojdzie tu do zabójstwa. Spóźnił się ze swoim niepokojem tak z piętnaście lat.

– Zmarły księżę Pridd być może rzeczywiście był spiskowcem – hrabia Rafiano kaszlnął znacząco – Jej wysokość i August Stancler też wzbudzali podejrzenia, które się umocniły po ucieczce tego ostatniego, ale Simon Loura okazał się zdrajcą bez żadnego „być może”.

– Panowie – wymuszenie uśmiechnął się Manrik, teraz z pobladłą twarzą – spisek był o wiele szerszy, niż sądzono na początku, i zamykanie oczu na związek domu Hohenlohe z domem Priddów jest, według mnie, krótkowzroczne.

– Pamiętam, kto był mężem Angeliki Hohenlohe – oznajmił od progu regent, który już widocznie otrzymał swoje błogosławieństwo – Ale, panie były conseillerze i panie były oberprokuratorze, zdrajcami okazali się wasi ludzie. Jestem daleki od tego, by uważać was za zdrajców, ponieważ wasza pomyślność wprost proporcjonalnie zależy od pomyślności Ollarów. Niemniej jednak dom płonie, a podpaliliście go wy.

– Zbyt wiele pan sobie pozwala, księżę – Manrik powoli wstał, pobladła fizjonomia znów nalewała się krwią – Zbyt wiele.

– Równo tyle, ile może sobie pozwolić regent państwa, do którego lada chwila wtargnie wróg – odparował Rudolf.

– Pan nie jest regentem – wypalił zniechęca pogrubiły uzurpator – Pan samowolnie nadał sobie to stanowisko.

– Hrabio – nie podnosząc głosu, oznajmił Neumarinen – pan nie jest w tej sytuacji, żeby decydować kim jestem. To ja decyduję, kim jest pan i czy nie czas panu stanąć przed tym sędzią, który się nie myli.

Leopold Manrik nie odpowiedział, tylko wystając z różowych mankietów pięści to zaciskały się, to rozluźniały. Chce zabić, ale nie zabije, tacy nie łapią za szpady, przynajmniej nie swoimi rękami. A szkoda, Germon nie odmówiłby pojedynku.

– Siadaj – machnął ręką Rudolf – Krzyki to dowody osła, a nie conseillera, choćby nawet byłego.

Manrik siadł, żeby nie powiedzieć padł, na skrzypiący fotel. Neumarinen uśmiechnął się. Albo wyszczerzył, jak przystało na nasienie Leworękiego⁸. W nieprawdopodobnej ciszy ciężkie kroki księcia mogłyby ująć za stapanie Zwierza. Gdyby tylko regent był dziesięć lat młodszy i nie łapał się co chwila to za plecy, to za bok... A jeszcze gdyby żył Arnould Savignac, do armii fok Warzowa wrócili odesłani trzy lata temu muszkietierowie, a na drzewach rosły kule i armatnie pociski, chociaż pociski raczej powinny rosnać na grządkach. Jak dynie.

– Monsignore – hrabia Credinge spróbował złapać spojrzenie spacerującego księcia – czy nie wydaje się panu, że rozmowa zabrnęła w ślepą uliczkę? Nie wiemy, co nas czeka, a ludzie w takiej sytuacji są złymi rozmówcami. O ile wiem, regentem Taligu jest księżę Alva, ale ta okoliczność w żadnym razie nie polepsza naszego losu. Wręcz przeciwnie. Ja, jak tu uprzejmie zauważono, uciekłem przed buntownikami, ale nie jestem generałem ani bohaterem, poza tym musiałem wywieźć wnuków.

– Credinge – pokręcił głową Hector Rafiano – panu, jak i mnie, można zarzucić niechęć do obnażenia szpady, ale nijak pogoń za cudzym dziedzictwem. I pan już na pewno nie popierał

zdrajców i nie narzucał swojej woli królowi, kardynałowi i Taligowi.

– Eksterrior ma rację – potwierdził Rudolf, mierząc krokami liliowy dywan – Pan po prostu nie zaryzykował rzucenia wyzwania okolicznościom, a panowie Manrik i Colignar te okoliczności stworzyli. Niemniej jednak nie zamierzam robić więcej niż to konieczne. Książę Colignarze, hrabio Manrik, wasz los rozstrzygnie albo jego wysokość Ferdynand, albo książę Alva. Po powrocie z Urgotu. Szpady mogą panowie położyć na fotel, nie będą one więcej wam potrzebne.

– Popelnia pan błąd – szyja Manrika wciąż jeszcze była czerwona. Co poradzić, z rudymi zawsze tak.

– Wręcz przeciwnie – Neumarinen odwrócił się od byłego conseillera i wziął z rąk Eugena pogrzebacz – Ja go naprawiam. Błędem było pozwolić wam wziąć cugle w dłoń. Zostaniecie odesłani do Bergmarku do końca kampanii. Rano baron Reinsteiner oznajmi wam czas odjazdu, a teraz przygotowano dla panów komnaty. Nie zatrzymuję panów.

– Jak pan sobie życzy – Manrikowi zadrżał policzek – ale czuję się odpowiedzialny za ich książęce wysokości i jego świątobliwość.

– Miejsce kardynała jest obok regenta – Neumarinen niewzruszenie zajął się kominkiem – To samo odnosi się do eksterriora, gerencjusza i tessoriusza, którzy nadal będą zobowiązani wypełniać swoje obowiązki. Co do następcy tronu i księżniczek, to zaopiekują się nimi najbliżsi krewni. Jak pamiętacie, są nimi siostry jego wysokości i obecny tu brat jej wysokości. Dzieci zostaną odeskortowane do zamku Neumar i przekazane pod opiekę swojej ciotki, księżnej Georgii. Hrabio Arigau, zgadza się pan z tą decyzją?

8 Aluzja do założyciela rodu książąt Neumarinen, Manliusa Ferra. Manlius był mańkudem, dlatego też niezyczliwi przewalali go Leworekim.

– Naturalnie – potwierdził Germon.

ROZDZIAŁ 3 OLLARIA

399 rok K.S. 17 dzień Jesiennych Fal

1

Tarczę z rodowym herbem powieszono dokładnie tak, jak kazał książę Ockdell, ale wyszło niezbyt szczęśliwie. Sąsiedztwo z myśliwskimi trofeami zamieniało heraldycznego dzika w prosiaczka, malutkiego, obrażonego i żalosego. Rozkazać zdjąć? A co w zamian? A może zdjąć dzicze głowy?

Dickon jeszcze raz obejrzał gabinet Kruka. Mało co się tu zmieniło, co najwyżej zniknęły gitara i część broni, a Kenallijczycy, uciekając, opróżnili stół i biurko. Rwęce się do stolicy armie Aldo prawie nie zostawiły szabrownikom czasu, ale pieniądze, klejnoty i konie zdążono ukraść. Szczególnie żał było Soro – ogier, mimo że narowisty, wyróżniał się doskonałym krokiem i wspaniałą budową ciała, a Dick do niego przywykł.

Owszem, w walce i podróży nie znajdzie się lepszego konia od Sony, ale w czasie ceremonii koronacyjnej głowa Wielkiego Domu powinien jechać na ogierze. Tak było w czasach galtarskich i tak będzie teraz. Cóż, przyjdzie kupić linarczyka, bo męczyć się z Moro Richard nie miał najmniejszej ochoty. Niech czarną bestią zajmuje się Rober, a książę Ockdell nie życzy sobie spadać z konia na oczach suzerena i różnych tam priddów.

Młodzieniec wyciągnął z leżącego na stole safianowego biuwaru kartkę nuchuckiego papieru i dużymi literami napisał: „Ogier na paradne wyjazdy – 5 tysięcy”. Mniej nie wyjdzie. Władca Skał może ustępować tylko jego wysokości, ale nie równym i niższym, a znaleźć konia lepszego od Drakko nie będzie łatwo.

Wspomnienia o koniu przywiodły na myśl wspomnienia o jego panu. Byłym. Nie to, żeby Dickon był urażony tym, co Oskar kazał zrobić ze swoim ogierem, ale Drakko był więcej niż dobry. Dlaczego Kruk oddał go Epineixowi, a nie któremuś ze swoich oficerów? Nie chciał wspominać o Fensoi czy poddał się chwilowemu kaprynowi? Zresztą, wszystko jedno, najważniejsze – konia trzeba będzie kupić. I nie tylko konia, wydatków będzie wiele.

Władca Skał musiał zamówić portrety władcy, ojca i Alana Świętego, odnowić garderobę,

zamienić obicia ścian przynajmniej w poczekalni i w salonie, i to nie licząc wiana dla Iris! Według najskromniejszych podliczeń, potrzebne było nie mniej niż pięćdziesiąt tysięcy tallów, a Richard nie miał na rękach nawet połowy, chociaż Aldo dla przyjaciół nie żałował niczego. Oprócz willi wraz z całym jej inwentarzem książę Ockdell otrzymał dwadzieścia tysięcy. W Nadorze za takie pieniądze żyliby przez kilka lat, ale stolica rządzi się swoimi prawami.

Na szczęście w domu było mnóstwo rzeczy, bez których można się obejść: meble, dywany, naczynia... Sama broń warta była setki tysięcy. Richard bez żalu rozstałby się z moryjskimi szabłami i kadańskimi toporami, ale jak i komu je sprzedać? Nie Walentynowi przecież, chociaż Ośmiornica ma pieniądze. No pewnie! Priddowie wyczekiwali, a nie wzniecali powstania, oszczędzali, a nie tracili, za to teraz Władca Fal niczego sobie nie odmawia. Jego szary jest wart nie mniej niż Drakko, a na koronacji głowy Wielkich Domów jadą jeden za drugim. Będą ich porównywać wszyscy, komu będzie się chciało, czyli za konia trzeba będzie zapłacić nie pięć, a co najmniej osiem tysięcy, jeśli wręcz nie dziesięć. I jeszcze trzeba pogonić krawców i napisać do Nadoru.

Dickon rozumiał, że księżna wdowa powinna być obecna na ceremonii. Tego żądały pamięć ojca i prawa Honoru, ale młodzieniec okropnie nie chciał, żeby matka przyjeżdżała. Władca Skał nie jest chłopcem, którym pomiatają krewni i przyjaciele ojca, ale jak to wyjaśnić kobiecie, dla której cudze uczucia nic nie znaczą?! Dla wszystkich będzie lepiej, jeśli Mirabella Ockdell zostanie w Nadorze, ale jak to osiągnąć? Młodzieniec odchylił się na oparcie fotela i przymknął oczy, kalkulując, jak, nie prowokując nowej kłótni, wyperswadować mateczce podróż. Mógłby to zrobić er August, ale były conseiller jest w Bagerlee i nikogo do niego nie puszczają.

Rober przez pierścień zaliczył Stanclera do niegodziwców i przekonał o tym suzerena. Dickon rozumiał Inochodźca – komu się spodoba, kiedy jego przodków nazwą trucicielami, ale Epineix po powstaniu siedział w Agarisie, a er August został w Ollarii. Zimna wojna ma swoje prawa, w nich jest miejsce i na sztylet, i na truciznę. Nawet ojciec zgodził się na zabójstwo Kruka, co dopiero mówić o chorym starcu? Przed koronacją jego wysokość nie będzie miał głowy do byłego conseillera, ale po Przełomie koniecznie trzeba namówić suzerena, by spotkał się z więźniem osobiście, a nie sądził o nim z cudzych słów.

Richard wyciągnął jeszcze jedną kartkę i starannie napisał: „Miesiąc Zimowych Skał 400 roku K.S. Porozmawiać z jego wysokością o złagodzeniu losu hrabiego Stanclera”. Ojciec zawsze zapisywał ważne sprawy, ale nie dlatego, że bał się zapomnieć. Dickon kiedyś zapytał, po co on to robi, i otrzymał odpowiedź: „Zapis na papierze to obietnica, dana Stwórcy przy świadkach”.

Piasku w pojemniku nie było, trzeba był zapalić świecę i machać nad nią papierem, dopóki nie wysechł atrament. O ileż łatwiej rozmawiać z suzerenem niż z mateczką i Roberem, ale bez pisma się nie obejdzie. Jeśli tego nie zrobić, księżna-wdowa Ockdell zacznie rozpowiadać na prawo i lewo, że jej syn przeszedł na stronę Rakana z woli matki. Gdyby była to prawda, Richard zacisnąłby zęby i ścierpiał, ale on próbował zabić Kruka w imię miłości i honoru.

Co robić? Mateczka zostanie w Nadorze z rozkazu króla, ale Aldo nigdy nie obrazi wdowy po Egmoncie, a i Dick nie ośmieli się prosić suzerena o podobną przysługę. Iris też nie pomoże, Richard mógł tylko zgadywać, jakie emocje buszowały w Nadorze, kiedy siostra uciekła do stolicy. Lepiej żeby Iri i matka się nie spotkały, ale coś zrobić trzeba, i to natychmiast! Najlepiej posłać gońca już teraz, póki Nal z głupoty nie napisał o tym, o czym lepiej milczeć...

Nal! O to chodzi! Kuzyn odmówił podrobienia listu przed warastyjską kampanią, ale teraz pomoże. Też mi sprawa – zamienić „Noc Zimowego Przełomu” na „Wiosennego”, a potem przeprosić za „pomyłkę”. Tak, to jest wyjście!

Richard dwa razy szarpnął srebrzysty sznurek, przywołując dyżurnego lokaja, który dostał się młodzieńcowi w spadku po Loura. Po zabójstwie marszałka Richard, szczerze sympatyzujący Simonowi, wziął do siebie jego ludzi i nie zawiódł się. Loura, nie bacząc na mniej niż skromne pochodzenie, był doskonałym dowódcą, wspaniałym wojownikiem i honorowym człowiekiem. W sam raz dla niego byli też jego podwładni – mądrzy, uczciwi, lojalni.

– Monsignore? – Jeremy Beach ukłonił się z szacunkiem. Nowa czarno-złota liberia zamieniła odważnego kapitana w służącego z dobrego domu, ale wojskowa postawa dawała o sobie znać. Dickowi się to podobało.

– Znajdźcie wicehrabiego Reginalda Lara. To mój kuzyn. Wcześniej mieszkał niedaleko kościoła świętej Ilarii. Jest mi natychmiast potrzebny.

– Tak jest, monsignore – na twarzy Jeremy'ego odbiło się niejaki wahanie – a jeśli wicehrabiego nie będzie w domu?

Nie będzie w domu? Mało prawdopodobne. Nal jest domatorem, a jego wspaniały skarbiec został zamknięty, chociaż dziwne, że kuzyn do tej pory się nie pojawił. O czym jak o czym, ale o powrocie księcia Ockdella wie całe miasto.

– Jeśli go nie ma, dowiedźcie się, dokąd pojechał i kiedy wróci. Jeśli jest w mieście, wyciągnijcie go choćby spod ziemi. Zrozumiałeś?

– Tak, monsignore.

– Pośpieszcie się.

2

Rozczochrany cętkowany kot wyskoczył z bramy i zajęczymi skokami popędził przez ulicę. Rober Epineix, wspomniawszy kociego władcę, osadził konia, i tu z boku coś świsnęło. Jeannot Poulet, jęknąwszy głucho, opadł na końską grzywę, głośno zaklął sierżant Douvier, kot po drugiej stronie odwrócił się, przysiadając na tylne łapy. Ciekawość była silniejsza niż strach.

– Monsignore! Jest pan ranny?

– Nie – Epineix łypnął na południowców, którzy rzucili się do zabitej deskami willi – Spójrzcie, co tam z Jeannot.

Bezsensowny rozkaz. Z Jeannot nic nie jest i już nic nie będzie. Celowano w jednego, wmieszał się kot i śmierć kolejny raz dostała się drugiemu.

– Monsignore, on nie żyje.

– Miał krewnych?

– Chyba trzy siostry gdzieś w Pouen – przypomniał sobie Sec-Arige, który po awansie Carvalla został kapitanem książęcej ochrony – Niezamężne.

Rober kiwnął w milczeniu, patrząc na zalane słońcem dachy. Na jednym z nich ukrywał się wróg, mający wszelkie prawa do nienawiści i zemsty, ale złapać go należało. Albo spróbować złapać.

– Posłać ludzi! – dziewczętom potrzebne będzie wiano i księżę Epineix da im je jeszcze dzisiaj. Dopóki żyje i może to zrobić – Niech przeszukają domy.

– Już poszli – pod oczami Nicolasa legły ciemne kręgi, chleb komendanta wojskowego nie był słodki – szukają.

– Nie wydaje ci się, że nam tu nie radzi? – zażartował Inochodziec, ale żart nie był udany.

– Nie nam – burknął wojskowy komendant stolicy – a waszemu Rakanowi.

– Sto razy mówiłem – ze znużeniem rzucił Rober – każdy z twoich ludzi może wyjechać do Epineix, tylko niech najpierw powie, żeby go nie szukać, a to...

„A to” może oznaczać poderżnięte gardło, nóż w plecach, roztrzaskaną głowę. Ollaria się nie sprzeciwiała, ale i nie poddawała. Mieszkańcy odwracali spojrzenia i chodzili jak w zegarku, a żołnierze co jakiś czas znikali, i nie zawsze była to dezercja, choć i ona się zdarzała.

– My nie odejdziemy – na fizjonomii Nicolasa uraza mieszała się z oburzeniem – ale zakładników będę od jutra brać. Na tych ulicach, po których najczęściej jeździmy.

– Jesteś pewien, że bez tego się nie obejdziesz?

Po co pytać? Carvall zawsze jest pewien swoich słów i swoich czynów.

– Lepszy zakładnicy niż powieszni. Ja za ich życie ręczę, a jeśli na polowanie wyjdą ci z północy...

– Ci z północy wezmą się nie za mieszczan, a za nas. Jeśli nie szczepią się z Drikseńczykami – Rober przechwycił zbulwersowane spojrzenie i dorzucił: – Mówię o prawdziwych mieszkańcach północy. Tych, których ma fok Warzow i starszy Savignac, a mnie i tobie dostała się swołocz z wewnętrznych prowincji. Wojny nie widzieli, ale jak grabić – tak oni w pierwszym szeregu.

– Bękart – podsumował Nicolas – Nie, za Pierścieniem nie mamy czego szukać. Epineix jest od Pierścienia do Rafiano, osiem hrabstw i wystarczy! Słusznie pan zdecydował.

On o niczym nie decydował, po prostu pozwolił Nicolasowi, Pouenowi i Sec-Arige'owi oszukiwać siebie i innych. Aldo nie przeszkadza Mellit myśleć, że jest kochana. Władca Błyskawic pozwala południowcom uważać siebie za ich przyszłego króla. Najpodlejszy rodzaj kłamstwa!

– Monsignore – gdyby Douvier był o głowę niższy, uszedłby za brata Carvalla – Tym razem

złapali. Sam był, paskudnik jeden.

– Na pewno sam?

– Wszystko przeszukali. Ze strychu celował.

Rober zeskoczył z konia, na duszy było mdło jak przed spotkaniem z „prawdziwcami”. Carvall już stał na zaśmieconej ulicy, na twarzy komendanta złość mieszała się z rezygnacją. Inochodziec podejrzewał, że jego własna fizjonomia wygląda nie lepiej. Zostawili za plecami okrytego płaszczem Jeannot i weszli na zasypany zlepionymi liśćmi dziedzińczyk. Sympatyczna willa z bażantami na frontonie była pusta: gospodarze nie czekali na Rakanów i gdzieś się wyprowadzili.

– Tu – krótko rzucił sierżant – Smarkacz, a też... Z kuszą.

Jeniec rzeczywiście był smarkaczem. Chudy szesnastolatek, pryszczaty, szyja długa jak u gąski, a oczy – ostre i złe. Bardzo złe.

– Kim jesteś? – zapytał Rober, bo trzeba było o coś zapytać.

– Taligojczykiem! – wypalił „gąska” – a wy... wy – bękartami. Zabierajcie się do swojej Gaify i zabierzcie ze sobą swojego Rakana-Tarakana⁹!

No i co z takim zrobić? Czeladnik jakiś, wyobraził sobie, że jest świętym Alanem. Stop, a czy tylko wyobraził? On przecież jest Taligojczykiem. W odróżnieniu od zwycięzców.

– Dlaczego strzelałeś? – Rober zrozumiał, że wypuści durnia, nastraszy i wypuści. Jeannot wybaczy.

– Dlatego – odciął się Jeniec.

– Dureń – rzucił któryś z południowców – jak nic dureń... „Rakan-Tarakan”, też powiedział...

– Za mało go ojciec bił.

– O, jak się szczyrzy – z mimowolnym zachwytem wymamrotał Douvier – Zaraz pokąsa.

– A czemu ma się nie szczyrzyć, ci z północy napaskudzili tak, że do wiosny nie rozgrzebiesz...

– Na to oni paskudy, żeby paskudzić.

– Też prawda... Sojusznicy, a niech ich koty.

– Jeannota szkoda.

– Znalazł w kogo strzelać, szczeniak skubany!

– Cywilników¹⁰ ci mało, że na ludzi się rzucasz? Oślepieś?

– Dyć, może on i Insmillera strzegł. Ten suczy syn codziennie tędy jeździ...

– Złoić skórę i do mamy...

Carvall milczał, w zadumie patrząc na chłopca, a kilka kroków stąd leżał na ulicy Jeannot Poulet z bełtem w plecach. Oni byli rówieśnikami, ale nigdy by się nie spotkali, gdyby nie krwawe szaleństwo, które zatopiło najpierw Starą Epineix, a teraz cały Talig.

3

– Monsignore – zameldował służący – przyszedł Reginald Larack.

Nal! Znalazł się nareszcie!

– Zaprowadź do gabinetu i podaj wino. „Wdowią łzę”, dwudziestoletnią. Za godzinę – kolacja.

– Tak jest.

Lokaj wyszedł, a młodzieniec wziął pióro i papiery – niech kuzyn widzi, że księżę Ockdell nie ma wolnej minutki, ale dla krewnego rzuci wszystkie sprawy, nawet najważniejsze. Na wierzchu leżało pismo Entala Crackla. Pierwszy senior odrodzonej Rady Prowincji¹¹ prosił o oznajmienie, kogo z wasali-ordynariuszy Władcy Skał należy zaprosić na uroczystości koronacyjne. Dickon od razu wpisał Douglasa Templetona i generała Morena i zamyślił się, wspominając, kto z ojcowych towarzyszy po powstaniu został w Nadorze. Głan, Hogberd i Cavendish uciekli do Agarisu, Ansel i Davenportowie zdradzili, nie bacząc na pokrewieństwo z Rocksleyami...

– Wicehrabia Reginald Larack – oznajmił Jeremy. Dickonowi na widok kuzyna ścisnęło się serce. Oni nie widzieli się od Oktawiańskiej nocy, ileż od tego czasu minęło nie lat, a żyć!

Reginald wciąż był tak samo gruby, poważny i schludny. Znoszony ubiór, buty, które wiele przeszły, mizerna szpada... Teraz przyjdzie temu koniec! Najbliższy krewny Władcy Skał nie może wyglądać jak zwykły urzędnik i mieszkać u jakiejś mieszczańki!

– Dickon – kuzyn przestępował z nogi na nogę w drzwiach, uśmiechając się z zakłopotaniem
– tak dawno się nie widzieliśmy.

– No pewnie! – młodzieniec odrzucił pismo i rzucił się ku Nalowi, dopiero teraz pojmując, jak się cieszy na jego widok. Przyjaciela przyjaciółmi, ale oni nie zastąpią więzów krwi – Święty

9 Gra słów: tarakan (ros. tapakan) – karaluch.

10 „Cywilnicy” - pogardliwe przezwisko „straży cywilnej”, powołanej w miejsce poprzedniej straży miejskiej. „Cywilnicy” byli podporządkowani cywilnemu komendantowi stolicy, odpowiadającemu z kolei tylko przed królem. Do ich zadań należały: walka z buntownikami, ściąganie podatków i śledztwa w sprawie przestępstw przeciwko królowi i mieszkańcom stolicy.

11 Stworzony za Ernani Świętego i stopniowo tracący na znaczeniu organ, w skład którego wchodził najznaczący z ordynariuszy – szlachciców, których rody nie należały do Wysokich Domów.

Alanie, jak dobrze, że się znalazłeś! Gdzieś ty był, a niech cię koty? No siadajże wreszcie!

– Tutaj – kuzyn wydawał się zdziwiony – W mieście... W domu...

– A dlaczego nie przychodziłeś? – oburzył się Dickon, biorąc się za wino – Zapomniałeś, gdzie mieszkam? Dziwne, w Oktawiańską noc znalazłeś od razu.

– No – zającał po swojemu krewny i Dick zapragnął go objąć. Bo to był Nal, bo oni zwyciężyli i można nikomu nie nadszukać, nie ukrywać się, a śmiało patrzeć przed siebie – no... Nie byłem pewien, czy się ucieszysz... Ty masz teraz tyle ważnych spraw.

– No i co? – nie zrozumiał Richard – Ockdellowie nigdy nie zapominają o krewnych i przyjaciółach. Mogłeś nie czekać, aż cię będą szukać z pochodniami po całej Ollarii. Twoje zdrowie i nasze zwycięstwo!

– Twoje zdrowie! – Nal podniósł kielich do ust – Stwórcu, co za wino! Co to jest?

– „Wdowia łza”. Niezły rok, ale bywają lepsze.

– Żartujesz? – Nal z pietyzmem postawił kielich na stole – Lepsze po prostu nie może być.

– Niedługo się przekonasz – zaśmiał się Dick – Nie pozwolę, żeby mój kuzyn i przyjaciel pił jakieś draństwo, liczył suany i ubierał się jak mieszczanin. Jutro rozliczysz się ze swoją gospodynią i przeprowadzisz się tutaj.

– Tutaj? – na czole Nala pojawiły się kropelki potu – Do Alvy?!

– Do mnie – poprawił Richard – Willa Władców Skał została zburzona, ale jego wysokość Aldo należycie ceni wierność i honor.

– Richardzie – Nal zacisnął wargi – wybacz mi, ale wystarczy mi tego, co do mnie należy. Ja nie mogę... nie chcę żyć na twój rachunek, poza tym...

– Co „poza tym”? – och, ci Larackowie ze swoją taktownością – Nie będziesz dla mnie ciężarem, nie bój się.

– Nic.

– Chciałeś coś powiedzieć? To mów!

– Głupstwo – oczka kuzyna zabiegały jak żuczki po starym strumieniu – Naprawdę, nie warto...

– Jestem głową rodu – jeśli się na niego nie krzyknie, dureń będzie płakał nad każdą monetą i jadł w kuchni – i żądam, żebyś mi odpowiedział.

– Ty zasłużyłeś na to wszystko – zatrajkotał Nal, śmiesznie trzęsąc policzkami – uczestniczyłeś w bitwach, ryzykowałeś życiem, a ja nie zrobiłem niczego ważnego.

I kto powiedział, że syn nie jest podobny do ojca? Jeszcze jak podobny. Wykapany Ivon, tylko gruby i wygolony. A dobrze, nawiasem mówiąc, że w czasach galtarskich się golono, brody mało komu pasują. Richard przynajmniej był wręcz śmiertelnie rad, że może obejść się bez tej ozdoby.

– Reginaldzie – huknął Dick, z trudem powstrzymując śmiech – Jestem dla ciebie nie tylko krewnym, ale i głową domu, tak że nie masz co kręcić, mów, co myślisz.

– Niech ci będzie – wymamrotał Nal. Jakiż on absurdalny – Richardzie, moja gospodyni... Ja żyję wśród mieszczan...

– Zadłużyłeś się? – uniósł brew Richard – Na ile?

– Rozumiesz... Dick, ona mówi, że do wiosny Aldo ucieknie, a jego ludzi nazywa szabrownikami i zdrajcami. I nie tylko ona...

– Kanalie!

– Richardzie – twarz kuzyna zrobiła się czerwona – oni... Im jest gorzej, o wiele gorzej! Żołnierze zachodzą do każdego domu, biorą co chcą, piją, jedzą, zmuszają kobiety... Ludziom się to nie podoba.

– Za wszystko trzeba płacić. Aldo Rakan zbierze z odłamków wielki kraj, ale co niektórym przyjdzie zacisnąć pasa – Dick odepchnął kielich, ten upadł na podłogę, rozleciał się na drobne okruchy – A czego oni chcą, ci twoi mieszczanie? Oni wszyscy są zdrajcami, zdrajcami króla, zdrajcami Stwórcy, zdrajcami Taligoi! Gdzie oni byli, kiedy my umieraliśmy za ich wolność?!

– Dickon – Nal sapał jakby tylko co wdrapał się na górę – ludziom nie jest potrzebny wielki kraj, oni chcą żyć jak wcześniej. Jeść do syta, nie bać się chodzić po ulicach.

– A ty? – Dick patrzył na swojego krewnego i nie poznawał go. Ta gruba miernota – syn Ivona, przyszły hrabia Larack, Człowiek Honoru?! Nie, to nasienie karczmarza!

– Ja? – usta Nala pobiełały – Ja... Wszystko wychodzi bardzo źle. Ty tego nie widzisz, u ciebie jest spokojnie, ale ja mieszkam w Dolnym Mieście... Tam jest niespokojnie, gorzej nawet niż w Oktawiańskiej noc.

– Mów uczciwie – zimno powiedział Richard – Ty po prostu stchórzyłeś. Nie jesteś wojownikiem i nie jesteś Taligojczykiem!

– Nie – nieoczekiwanie twardo powiedział Nal – ja nie jestem wojownikiem, ale jestem Taligojczykiem i nie chcę, żeby jedni Taligojczycy zabijali drugich. Ludzie chcą żyć, jak możesz tego nie rozumieć? Żyć i nie bać się, a wy... to znaczy my przynieśliśmy im nieszczęście. Jesteś bliski królowi, to wszyscy wiedzą, powiedz mu.

– Co konkretnie? – drewnianym głosem zapytał Richard – Co powinienem przekazać jego wysokości? To, że mieszczanie nie cieszą się z jego powrotu? A może coś innego?

– Richardzie – kuzyn wyglądał na nieszczęśliwego – nałóż prosty płaszcz i przejdź się po mieście. Sam zobaczysz, co się dzieje. Albo pójdziemy razem, znam Ollarię lepiej niż ty.

– Kabitelę – gardło Richarda ścisnęło się wściekłością – Kabitelę! Ollarii nie ma i nigdy nie będzie.

– To Kabiteli nie ma – z zakłopotaniem powiedział Nal – dla mieszkańców miasto pozostało Ollarią... I im więcej Ra... żołnierze jego wysokości będą grabić, tym więcej będą wspominać Ollarów i Alvę. Dobrze wspominać.

– Czy ty rozumiesz, co mówisz?

– Tak – kuzyn spuścił wzrok – Za to ty nie rozumiesz. I twój król nie rozumie. Dickonie, proszę cię, przejdźmy się po mieście...

– Nie jest mi to potrzebne – Richard z odrazą popatrzył na rozbity kielich – Dla twojej informacji, jestem członkiem Wysokiej Rady i o tym, co się dzieje w państwie, wiem więcej od ciebie i twoich karczmarzy. Nasze zwycięstwo dla wielu jest solą w oku. Dość tego, pij swoje wino, inaczej się pokłócimy, a do miasta z tobą pójdę. Po Radzie. Jeśli jest tak, jak mówisz, winni zostaną ukarani.

4

– Mój książę – cywilny komendant Kabiteli Walter Insmiller w otoczeniu strażników stał przy furcie, wilgotno błyszcząc czarnymi oczami – co się stało? Trafił pan w zasadzkę?

– Nic poważnego, baronie – burknął Rober, odwracając się twarzą do gościa i jednocześnie próbując zasłonić jeńca.

– Ale widziałem trupa na ulicy i zameldowano mi, że przestępca został ujęty na miejscu przestępstwa.

– Obawiam się, że przyjęliśmy wyobrażone za rzeczywiste – wzruszył ramionami Rober, przeklinając się za kolejne głupstwo. Jakby nie wiedział, że szubienicznik jeździ ulicą Adriana, a skoro tak, to trzeba mieć się na baczności.

– Sądzę, że prawdziwy przestępca uciekł – niespiesznie powiedział Carvall – Naturalnie, będziemy go szukać. Nader prawdopodobne, że jest związany z Davenportem. Zamach na księcia Epineixa jest ogniwem tego samego łańcucha, co rzeźnia w Tarnice i atak na jego wysokość.

– Zabójca musi być żołnierzem – dołożył swoje trzy grosze Gilbert Sec-Arige – albo rozbójnikiem. Widziałem, jak ucieka po dachach. Bardzo zwinny człowiek.

– A co robi tutaj ten mieszczanin? – Walter Insmiller precyzyjnie się między skrzywionymi południowcami, zatrzymał o krok od jeńca i i podniósł do nosa żółtą chustkę – Ujęto go na miejscu przestępstwa?

– A Leworęki wie, co on tu zapomniał – wtrącił się Douvier – może chciał coś ukraść, dom

stoi pusty.

– Co tu robiłeś? – palec w czarnej rękawiczce celował w pierś „gąski”.

– Co, co – zło rzucił ten – polowałem... Jednego trzasnąłem, szkoda, że nie ciebie, wąsata żmijo!

Rzeczywiście szkoda. Tego, kto zabije Insmillera, należałoby nosić na rękach i dać mu order. A przecież gdyby on i Carvall wybrali inną drogę, durniowi mogłoby się udać, a z nim i Aldo. Insmillerowie i Laura jeszcze żadnego króla nie doprowadzili do dobra. Rober powiedział pospiesznie, patrząc w złe młode oczy:

– Nie kłam, nie ty strzelałeś. Strzelca złapiemy, a ty daj słowo, że nie podniesiesz broni przeciwko sługom jego wysokości.

– Podniosę – najeżył się chłopiec – i nikogo ze mną nie było. To ja strzelałem. Ja! Jasne?!

– Cóż – westchnął Insmiller – wszystko jasne. Zbiegłego przestępcę należy znaleźć, ale wobec prawa przestępcami są obaj, a zabójca musi zostać ukarany. Bezzwłocznie.

Wąsaty przystojniak wiedział, co mówi. Zgodnie z najjaśniejszym reskryptem złapanych na gorącym uczynku należało wieszać bez spowiedzi na miejscu przestępstwa, a majątek konfiskować na rzecz korony.

Bliscy skazanych stawali się zakładnikami, odpowiadającymi głową za bezpieczeństwo obrońców i bliskich współpracowników jego wysokości. Zabity żołnierz kosztował miasto czterech ludzi, oficer lub urzędnik – szesnaście, za dworzanina miało umrzeć sześćdziesięciu czterech niczemu nie winnych obywateli. Nie, nie można dawać orderu za zabójstwo Insmillera, bo odpowiadać za bydlaka będą inni. Głową. Ile żyć musiałyby oddać miasto za śmierć Pierwszego Marszałka, Rober wolał nie myśleć.

– Pan gdzieś się spieszył, prawda, baronie? – trzeba być spokojnym. Ale jak by pasowała Insmillerowi dziurka w czole albo „szarfa Laura”? – Nie lepiej, żeby pan kontynuował swoją drogę?

– O nie, mój przyjacielu – czarne wąsy poruszyły się, błysnęły śnieżnobiałe wąsy – Mówiąc szczerze, szukałem pana. Muszę z panem i panem Carvallem poważnie porozmawiać. Między strażą cywilną i wojskową istnieją pewne nieporozumienia, należy je przewyciężyć, ale najpierw skończmy ze smutną koniecznością.

Insmiller nie odczepi się, bo podoba mu się patrzeć na powieszonych. Ktoś o tym mówił... James Rocksley? Nie, Raimon Saligan! Flejtuch wczoraj kolejny raz napił się i pół nocy opowiadał, jak Insmiller jeździ na polowania na buntowników, a jeśli nie ma buntowników, zadowala się tymi, kto wpadnie pod rękę. Wcześniej przystojny ordynariusz męczył kochanki i psy, potem nie zgadł z jakąś damą i trafił do Bagerlee. I tam powinien być zostać, ale Ferdynand wypuścił podlega razem z ofiarami Manrików. Insmiller obwąchał sytuację i rześko przeskoczył do Rocksleyów. Jamesowi od tej bestii robi się niedobrze, ale zmarły marszałek Henry nie cierpiał na nadmierne obrzydzenie. Aldo, niestety, też nie.

– Zgodnie ze statutem musi pan przekazać przestępcę władzom cywilnym – wąsaty potwór nie mógł oderwać spojrzenia od nastroszonego „gąsiorka” – Każdy powinien robić to, co jest jego obowiązkiem, i robić to dobrze. Czyż nie, książe?

Cywilników jest nie mniej niż dwa tuziny. To nie Goganie, a garnizonowa soldateska, tak łatwo się ich nie wybije. A nawet gdyby się udało, cywilny komendant to nie wrona, za niego zabijają setkę zakładników i znajdą nowego łajdaka.

– Cóż – głucho powiedział Rober – Niech pan wyda rozkazy.

Można odjechać, poczekać na ulicy, odwrócić się, ale sumienie, a raczej to, co z niego zostało, żądało patrzeć do końca. I zapamiętać.

– Monsignore – ręka Gilberta Sec-Arige'a ścisła rękę – nie wydaje się panu... Jeńca nawet nie przesłuchano...

– Gilbertcie, proszę iść doglądać koni.

– Monsignore...

– Wykonać, tenencie! – ochryple warknął Carvall – Żywo!

Gilbert zniknął. Cywilnicy, może nie zauważając, może nie chcąc zauważać ciężkiej nienawiści w oczach południowców, zajęli się swoim zadaniem. Dwóch wlało na rozłożysty klon, nogami próbując wytrzymałość gałęzi, trzeci zajmował się liną, jeszcze kilku wlało się do domu i wróciło po kilku minutach, wlokąc kuchenną ławę. Jeniec śledził przygotowania z dziwnym

uśmiechem na wyładniałej nagle twarzy. Oczy, jasnobrażowe, jaśniały, nozdrza rozdymały się jak u rozbawionego żrebaczka.

– Szybciej! – piękna twarz cywilnego komendanta wydawała się odbiciem twarzy skazanego – płonące oczy, rozdymające się nozdrza, półotwarte, bardzo czerwone usta – Szybciej, powiedziałem!

– Gotowe – oznajmił ten, co włożył najwyżej – Wytrzyma.

– Dawajcie – pan baron nie mógł już ukryć niecierpliwości. Stwory Zmierzchu, to naprawdę szalenie. Rober wzdrygnął się od zalewającego go mętneho obrzydzenia. To nie była pierwsza egzekucja i tym bardziej nie pierwsza śmierć, którą widział. I nie ostatnia.

Dwóch cywilników złapało Taligojczyka pod ręce, ten się szarpnął. Przestraszył się? Zrozumiał wreszcie, co go czeka?

– Puście! – wrzasnął jeniec rozpaczliwym łamiącym się głosikiem – Zabierzcie łapy! Sam pójdę!

– Puścić! – huknął Carvall, który bez cienia wahania powiesił Maranów. Zaiste, wszystkie liny są ze sobą powiązane: zaczęli w Epineix, dociągnęli do Ollarii.

– Tak, niech idzie sam – wyszeptał Insmiller, oblizując usta – Powoli idzie... I pętlę też niech sam nałoży.

Obojętne twarze cywilników, ponure spojrzenia południowców.

– Ej, wy – skazany zręcznie wdrapał się na ławę – rakany-tarakany! Wam i tak koniec! My wam...

Chłopiec kłął brzydko, wulgarnie, nieumiejętnie, nie rozumiejąc nawet jednej trzeciej słów, które rzucał w twarz katom i żołnierzom. Chudy, bosi, z pętlą na szyi, stał na zakopconej ławie, wykrzykując groźby, a cywilny komendant stolicy, szeroko otworzywszy oczy, przechylił głowę na bok, jakby słuchał jakiejś serenady. Potem Insmiller schował żółtą chustkę i wyjął czarną ze szkarłatnym monogramem. Epineix poczuł zapach lilii i jeszcze czegoś, podobnego do piżma.

Cywilny komendant uśmiechnął się i uniósł czarny jedwab do prostego nosa. Zza pleców cywilników wytoczył się brzuchaty mężczyzna. Rober zrozumiał, kim on jest, dopiero wtedy, kiedy bękarci przystojniak machnął chustką. Brzuchacz jednym kopnięciem wybił ławę spod nóg chłopaczka, który już na zawsze pozostał po prostu Taligojczykiem, i, złapawszy za chude nogi, pociągnął z całej siły. Zatrzeszczała, ale nie pękła, czarna gałąź, upadł na ziemię ostatni liść, wspomniał Leworękiego Colin Douvier.

– Leie Astrape, poślij odchodzącemu godnego towarzysza!

– Pan coś mówił, księżę?

– Nic, baronie, absolutnie nic. Chodźmy.

– Zaraz – Insmiller nie mógł oderwać spojrzenia od tańczącego w pętli ciała – jedną minutkę...

– W takim razie dogoni nas pan – Rober przełknął stojący w gardle kłębek i, rozkopując bure liście, poszedł do furtki. Drakko zrozumiał, że z panem coś jest nie tak i stulił uszy nie gorzej od Moro. Rober obejrzał się i natknął na spojrzenie Sec-Arige'a. „Rakany-tarakany”... Ollaria powiedziała swoje słowo. Można wieszać, strzelać, chłostać – od hańbiącego przezwiska nie zbawi nic. Pojawił się Insmiller, spokojny, zadowolony, syty, zamruczał o buntownikach, obławach, zakładnikach. Rober słuchał, a kopyta Drakko wystukiwały „rakany-tarakany rakany-tarakany, tarakany, tarakany”... Karaluchy, które wpełzły do obcego domu i zamieniły się w zadżumione szczury.

ROZDZIAŁ 4

OLLARIA

399 rok K.S. 18 dzień Jesiennych Fal

Epineix, Pridd, Ockdell, Alva, Savignac, Dorac, Arigau, fok Warzow, Gont, Tristram, Bernheim, Rocksley, Carlion... Te imiona Richard pamiętał z dzieciństwa: ostatnia Wysoka Rada Taligoi, która przyjęła abdykację Ernani i wybrała regentem Hectora Pridda. Minęło ponad

czterysta lat i w Herbowej Sali król Rakan znów zbierze Ludzi Honoru. I niech sobie mówią, że zatrzymać czasu lub zawrócić go wstecz nie można, dla Aldo po prostu nie istnieje słowo „niemożliwe”. Wygnaniec odzyskał tron przodków, Ollaria znów stała się Kabitelą, w królewskim pałacu będzie zasiadała Wysoka Rada, a Władca Skał, jak w minionych czasach, stanie obok swojego króla. Rzeczywiście

Mgnienie – Wieczność, sztil i szkwał,
Skały...
Czterech jeden wezwał,
Skały...

– Monsignore życzy sobie popatrzeć na siebie? – balwierz odstał do tyłu i uniósł pachnące rezedą ręce, wskazując, że zrobił wszystko, co mógł i nawet więcej. Richard niespiesznie wstał z krzesła i podszedł do ogromnego, od podłogi do sufitu, lustra. Z zagadkowych głębin na Władcę Skał patrzył młody wielmoża w czarnym stroju ze złotą lamówką. Zaciśnięte usta, lekko wijące się jasne włosy, szare oczy. Książęcy łańcuch, rodowy pierścień z karasem na średnim palcu prawej dłoni i dwa parzyste pierścienie z rubinami na obu serdecznych... Jedyne czego brakuje, to łańcucha orderu.

Nagrody i tytuły, otrzymane z rąk Ollarów, Aldo ogłosił nieprawomocnymi. Suzeren postąpił słusznie i sprawiedliwie, ale wspomnień o pierwszym boju było okropnie żal. To nic, będą inne walki i inne orderzy. Prawdziwe.

– Monsignore jest zadowolony? – z przejęciem zapytał balwierz.

– Tak, Jacopo – uśmiechnął się Richard – jesteś doskonałym mistrzem, po prostu doskonałym.

– Orszak gotów – zameldował Andrew Nox. Były oficer do szczególnych poruczeń przy generale Loura po raz pierwszy nałożył paradny mundur kapitana osobistej gwardii Władcy Skał. Cóż, wyglądał świetnie, a już z pewnością lepiej od karzełkowatego Carvalla czy zastępującego go Sec-Arige'a z chłopięcym załamującym się głosem i przyszczami na szyi.

– Dziękuję, kapitanie! – z zadowoleniem powiedział książę Ockdell. Chyba o niczym nie zapomniał i niczego nie przegapił – Może pan iść, ja zaraz zejść.

Richard zatrzymał się na chwilę, obserwując, jak w korytarzu robotnicy rulon ze złocistym jedwabiem do obić, po czym wyszedł na ganek, przy którym czekał ciemnogniady linarczyk. Młodzieniec wziął od stajennego połówkę jabłka i podał ją wyginającemu szyję ogierowi, ani postawą, ani ceną nie ustępującemu pamiętnemu Bianco. Koń delikatnie przyjął poczęstunek i machnął starannie rozczesanym ogonem. W jaskrawym świetle Karas spodobał się Dickowi jeszcze bardziej, niż w stajni handlarza. Myśl o zakupie dla ceremonii linarczyka była słuszna. Nie ma i nie może być ani konia, ani człowieka, którzy będą łączyć w sobie wszystko. Do walki nie znajdzie się konia lepszego od moriska, do parad i spacerów potrzebny jest pokorny, spokojny piękniś, na którego można się nie obawiać posadzić najbardziej nieśmiałą damę.

Dick podał Karasowi drugą połówkę jabłka, którą ten wziął z widocznym zadowoleniem. Koń chrupał poczęstunkiem, a pan kalkulował, czy wyjeżdżać już teraz, czy trochę poczekać. Przyjeżdżać pierwszym jest tak samo głupio, jak ostatnim. Najlepiej pojawić się od razu po Walentynie, żeby ten zobaczył i Karasa, i świtę Władcy Skał. Młodzieniec okrzyknął służącego:

– Idź po wicehrabiego Lara.

– Tak jest.

Jednak nie trzeba było nikogo ponaglać – Nał, zadziwiająco niezgrabny w czerwono-czarnym, oblamowanym złotem stroju następcy Domu Skał, wytoczył się na ganek i z nieukrywaniem zachwytem wpatrzył się w Richarda.

– Święty Alan – pulchne policzki kuzyna zrobiły się czerwone z przejęcia – prawdziwy święty Alan!

– Przecież wiesz – zadowolony z życia i z siebie Richard z całego serca walnął krewnego po ramieniu – Ockdellowie są podobni do siebie jak liście z jednego dębu.

– O tak – z lekką zawiścią potwierdził kuzyn – ale jakże ci pasuje. Prawdziwy taligojski rycerz!

– Jego wysokość ma idealny gust – ostatecznie rozweselił się Richard – a Jeremy znalazł doskonałego krawca. Dobra, jedźmy, nie wypada pojawiać się najpóźniej ze wszystkich.

Richard chwycił Karasa za grzywę i zręcznie wskoczył w siodło. Właśnie tak siadali na konie Savignacowie. Dickowi trochę brakowało obu braci i młodzieniec w głębi duszy miał nadzieję, że

wcześniej czy później złożą oni przysięgę wierności prawdziwemu królowi i staną na Wysokiej Radzie za plecami Robera Epineixa. Bez Doraców Taligoja się obejdzie, ale za Savignaców, fok Warzowa i hrabiego Arigau trzeba walczyć. Oczywiście, kim by nie okazał się brat, na stosunku Dicka do siostry to się nie odbije, ale Katari będzie bolało, jeśli sztandar Arigau zostanie splamiony jeszcze mocniej.

Naiwnością było liczyć, że zesłany do Torki przez własnego ojca Germon okaże się człowiekiem Honoru. Dick to rozumiał, a mimo to miał nadzieję. Teraz hrabia Arigau ma ponad czterdzieści lat, większą część życia spędził na wojnie, a wojna uszlachetnia. Brat Katari mógł zmienić się na lepsze. Trzeba do niego napisać. Do niego, do Katerschwanzów i do Arnoulda – niech namówi Emila i Lionela, by wrócili do Kabiteli. Aldo się ucieszy, on nie zamierza na nikim się mścić. Epineixowie też przechodzili na stronę Ollarów, a Rober jest najlepszym przyjacielem jego wysokości.

– Monsignore – półgłosem zapytał Nox – czy rozkaże pan otworzyć wrota?

– Otwierajcie, kapitanie.

Kute skrzydła, z których już zdjęto kruki, ale jeszcze nie przymocowano dzików, powoli się otworzyły. Pierwszy ruszył chorąży w purpurowym płaszczu. Towarzyszyło mu dwóch żołnierzy z obnażonymi pałaszami i czwórka trębaczy, za którymi jechał kapitan Nox.

Richard obrócił się ku zachwyconemu Nalowi, wczepionemu w cugle nader przyzwoitego gniadosza. Dosiad kuzyna pozostawiał wiele do życzenia i Richard skrzywił się mimowolnie. Oczywiście, Pełna Rada zbiera się nie każdego dnia, a następcą tytułu Nal będzie tylko do czasu, kiedy Władcy Skał urodzi się syn, ale poduczyć się kuzyn będzie musiał. Dom Ockdellów nie może być pośmiewiskiem, a Nal, nieważne jak ubrany, pozostawał grubym urzędnikiem. Brakowało tylko, żeby jakiś kpiarz „pomylił” go z pisarzem albo liktorem.

– Reginaldzie – Richard postarał się osłodzić lekarstwo uśmiechem – nie zaszkodziłoby ci, gdybyś trochę schudł.

– Wiem – westchnął kuzyn – Mam to po mateczce, a przecież i tak mało jem.

– Ty jeszcze i ruszasz się za mało – zaśmiał się Dick – to znaczy ruszałeś się. Teraz każdego ranka będziesz fechtować i jeździć wierzchem.

– A może zachoruję? – zaproponował kuzyn – Zachoruję i wyjadę do Nadoru. Nie będziesz musiał za mnie świecić oczami, a ja nie będę musiał chudnąć.

– Do Nadoru pojedziesz, ale nie dlatego – Dick zająknął się, dobierając słowa – Rozumiesz... Trzeba zrobić tak, żeby mateczka nie przyjechała do Olla... do Kabiteli. Rozumiesz...

– Rozumiem – podchwycił kuzyn – Nie chcesz, żeby erea Mirabella spotkała się z Iris. Zgadzam się z tobą w pełni, one mogą znów się pokłócić.

– No właśnie! – Dick podziękował niebiosom, które wybawiły go od objaśnień. Pretekst taki, że lepszego się nie wymyśli. Chociaż żaden z tego pretekst. Richard zabierze siostrę przy pierwszej okazji, a mateczka bez wątpienia wciąż jeszcze jest zła na córkę. Po co umożliwiać im spotkanie?

– Dawno chciałem cię zapytać – Nal poczerwieniał – dlaczego Iri nie jest z nami?

– Jeszcze się z nią nie widziałem, ona jest we fraucymerze jej wysokości – co by tam Aldo nie mówił, dla Richarda Ockdella Katarina Arigau jest i zawsze będzie królową – a jej wysokość nikogo nie przyjmuje.

– I Iri do ciebie nawet nie napisała?

– Nie – krótko odpowiedział Richard, udając, że jest zajęty drogą i koniem. Dwadzieścia razy przeżywać jedno i to sam nie miał ochoty. Iri na listy nie odpowiadała. Tak samo jak Katari. I to zaczynało niepokoić.

Młodzieniec ani przez chwilę nie dopuszczał myśli, że Aldo Rakan może postąpić niegodnie z kobietą. Czyli Katari milczy z innego powodu. Królowa jest zbyt dumna, by, straciwszy tron, prosić o pomoc tych, którzy wstąpili na szczyt. A jeszcze pada na nią cień jej żalosnego męża, czy raczej, co jeszcze gorsze, nie męża.

Dick dopiero niedawno uświadomił sobie, co będzie, jeśli ollariańskie małżeństwa zostaną uznane za nieprawomocne. Tysiące kobiet, a wśród nich Katari, znajdą się w sytuacji Roweny z „Tańczącej mniszki”, uważającej się za żonę Galahada, która dopiero po jego śmierci dowiedziała się, że ich małżeństwo nie ma mocy prawnej. Ale Rowena kochała, a Katari!... Jej młodością i wciąż zapłacono za życie współtowarzyszy Borna.

Teraz Udo jest jednym z zaufanych towarzyszy jego wysokości, a Katarina Arigau jest

samotna i zhańbiona, więc co się dziwić, że ukrywa się przed ludźmi?! Ale dlaczego milczy Iri? Suzeren zapewnił, że księżna Ockdell jest zupełnie swobodna i może przeprowadzić się do brata w każdej chwili. I właśnie o to chodzi! Iri nie zna Aldo, może uznać, że jej wolność – to pułapka. Pozwól jej wyjść, a z powrotem nie wpuszczą. Właśnie tak postąpiono z damami dworu Alicji, Iris o tym wie, no więc pozostaje ze swoją królową. Odważne i wierne serduszko!

– Monsignore – kapitan Nox wydawał się poważniejszy od samego Weizela – musimy przejechać ulicą Adriana, proszę pana i pańskiego kuzyna zamienić się płaszczami ze mną i Tomasem i wmieszać się między żołnierzy.

– Co za bzdura – wzruszył ramionami Dick.

– To nie bzdura – Nal próbował mówić spokojnie, ale oczka kuzyna zdradziecko biegały, a głos drżał – przecież ci mówiłem... Was, to znaczy nas, w mieście nie lubią.

– Wicehrabia Lar ma absolutną rację – Andrew z całej siły próbował ukryć pogardę – Uciekli daleko nie wszyscy poplecznicy Ollarów. Oni naturalnie nie napadają otwarcie, ale... Wczoraj strzelano w księcia Epineix. Monsignore, ja nie chcę szukać sobie nowego pana. I moi ludzie nie chcą!

Tak, ludzie północy nie zapomnieli Simona Loura, takich się nie zapomina. Richard też co chwila wspominał to żarty generała, to jego rady. Loura był mądry, ale co ważniejsze, były w nim szlachetność i śmiałość. W żyłach generała nie płynęła ani jedna kropla krwi eorów, tytuł i stanowisko otrzymał z rąk Ollara, a mimo to przeszedł na stronę księcia Rakana, co zadecydowało o losie powstania.

Simon rozumiał, że nigdy nie dorówna szlachectwem nowym sojusznikom, zwycięstwo Rakanów wisiało na włosku, w Ollarii odstępce czekał nawet nie szafot, a szubienica, a mimo wszystko, Simon posłuchał sumienia. Ocaleć z tuzina potyczek i tak strasznie i bezsensownie zginąć! Richard ciepło uśmiechnął się do milczącego w napięciu oficera.

– Kapitanie, przysięgam panu, że imię Simona Loura nie zostanie zapomniane, ale byłbym niegodny pańskiej trwogi, gdybym zaczął ukrywać twarz i herb. Proszę być czujnym i niech decyduje Stwórca! Nal, do ciebie się to nie odnosi, możesz zmienić płaszcz.

Kuzyn zauważalnie pobladł, potem poczerwieniał i drżącym głosem powiedział:

– Pojadę obok ciebie w swoim płaszczu.

Rzeczywiście, gdzie koń z kopytem, tam i yzarg z ogonem, chociaż Richard jest niesprawiedliwy wobec biednego Nala. Urzędnik nie ma obowiązku być odważnym. Urzędnik nie ma, ale nie przyszedł hrabia Larack. Dobrze, że Reginald jednak o swoim obowiązku pamięta. Richard puścił oko do kuzyna:

– Dawaj, pokaż im, że Ludzie Honoru niczego się nie boją! Naprzód!

2

– Zabiłbym – Aldo Rakan nie wiadomo po co złapał stojącą na kominku brązową figurkę i machnął nią jak buławą – wziąłbym i zabił. Już lepiej ja niż inni! Czy ty sobie wyobrazasz, co robisz?

Rober wzruszył ramionami, odpowiadać było głupio. Chyba żeby powiedzieć, że akurat on wyobraża. W odróżnieniu od suzerena, urodzonego i wychowanego w Agarisie. Matka Aldo była Agaryjką, ojciec w połowie Alatem! A w połowie nie wiadomo kim. Taligojska krew w Rakanach rozpuściła się dawno, ale problem leżał nie w tym. Krew może być choć gogańska, choć biriezyjska, najważniejsze – zrozumieć i pokochać nie swoje wymysły, a prawdziwy kraj lub żywego człowieka. Suzerenowi to nie groziło. Aldo widział tylko to, co chciał. A słyszał siebie i tylko siebie. Inochodziec uśmiechnął się niewesoło.

– Insmiller się poskarżył?

– Nie poskarżył, a opowiedział – jego wysokość z grzechotem odstawił figurkę na miejsce – Dość! Od jutra racz jeździć po mieście w kirysie i hełmie. Możesz uważać to za rozkaz.

– Nie – okazuje się, książę Epineix nauczył się mówić spokojnie niezależnie od buszujących w piersi uczuć – nie będę jeździć po własnej stolicy w zbroi. I żołnierzom nie pozwolę. Inaczej już ostatecznie będą nas uważać za zaborców, a przed kulą w plecy nawet kirys nie obroni.

– W takim razie wymieniaj się płaszczami z gwardzistami – Aldo był nie na żarty zatrwożony i rozstrojony i Roberowi zrobiło się wstyd za zdychającą przyjaźń – Ty zupełnie się zagnałeś, tak

nie może być.

– Zaopatrzenie samo nie przyjedzie – Epineix z trudem powstrzymał się przed przykryciem oczu dłońmi – Aldo, poddani nie są owcami, żeby ich strzyc i zarzynać. Poddanych trzeba jeśli nie kochać, to chociaż udawać, że kochasz. I już na pewno nie grabić ponad miarę.

– I co jeszcze? – Aldo się nie złościł, po prostu nudził.

– Mamy tylko jedno wyjście – Leie Astrape, niech suzeren coś zrozumie, bodaj odrobinę! – Powywieszać najbardziej gorliwych szabrowników i najbardziej gorliwych szubieniczników.

– Poczekaj – Rakan w zadumie potarł kąciki oczu i ziewnął – Stwory Zmierzchu, znów się nie wyspałem! Jeśli dalej tak będzie, zapomnę, jak wygląda kobieta bez koszuli.

– Akurat zapomnisz – zaśmiał się Rober, a w duszę zjrzały zielone oczy. Laurencja... Kim ona była, jego ostatnia kobieta? W jakim ogniu spłonęła?

– Od Sakasci jestem bezgrzeszny – z oburzeniem oznajmił suzeren – Z tym królestwem tyle zawracania głowy, o samej Radzie nie ma co mówić, a bez niej wszystko leci do kotów.

– Na pewno wszystko? – zadał Rober potrzebne pytanie i sam do siebie poczuł wstręt – Poza tym nie wychodzi nam żadna Rada. Potrzeba dwudziestu jeden ludzi, za Ernani zostało trzynastu, a teraz ty, ja, Dickon, Pridd, Rocksley i tyle.

– Wcale nie tyle – pokręcił głową Aldo – Jest jeszcze Udo, znajdź go, tak przy okazji. Bernheim, oczywiście, nudziarz jakich mało, ale on też jest prawdziwy, tak że będziemy żyć! I w ogóle, Władcy zastępują swoich wasali, a ja zastąpię każdego Władcę, tak że Rada ma moc prawną.

– Nie zapomnij tego powiedzieć nowemu kardynałowi.

– Nie bój się – twarz Aldo przybrała żartobliwy wyraz – do heretyków nas nie zapiszą. Po pierwsze, jesteśmy potrzebni, po drugie przeciw Ernani Świętego kościół nie pójdzie, a Ernani zbierał Wysoką Radę. Najważniejsze, żeby ci twoi kochani Taligojczycy zrozumieli – nie ma prawa wyższego nad prawo krwi.

– Ja bym wolał inne – zawarczał Rober rozcierając ścierpniętą rękę – Czyżbyś nie chciał, żeby poddani cię polubili?

– Polubią – Aldo wziął się pod boki – bo nic innego im nie pozostaje, ale co do jednego masz rację. To tajemnica, ale tobie, niech już będzie, powiem, żebyś się nie męczył. Będziemy mieli święta, tyle że nie od razu. Z czernią trzeba się obchodzić jak z krnąbrną żoną – najpierw długo bić, potem długo kochać.

– Ożeniłeś się? – durny żart, ale zawsze coś – A ja nic o tym nie wiem?

– Nie – mruknął suzeren – Czytałem książki, póki ty biegałeś po SAGRANNIE. O Mariusie Kriońskim słyszałeś? On to powiedział, a miał i żonę, i królestwo.

– Miał też stado kochanek – odgryzł się Epineix – i bił Alatów, a kochał Agaryjczyków.

– Wszystko się zmienia, mój przyjacielu – Aldo zadarł głowę, przyjmując pozę starożytnego posagu, nie wytrzymał, machnął ręką i roześmiał się – Nie ma dobra i zła, niezmiennie są tylko mądrość i głupota. Niech głupcy zrozumieją, że komendant wojenny – to jedno, a cywilny – drugie. I że ty jesteś dobry i sprawiedliwy, a Insmiller – nie bardzo. A właśnie, dobry i sprawiedliwy, dlaczego nie jesteś w dworskim stroju?

– Bo go nie mam – przyznał się Rober, oglądając figurkę na kominku. Zgrabny skrzydlaty młodzieniec z niewzruszoną miną grał na fujarce, ale nie wiadomo dlaczego wydawało się, że miły muzykant tylko co dokonał jakiejś psoty – Jest taki sam, jak jego Władca.

– Władca? – nie rozumiał Aldo – Ty o kim?

– O Anemie – wzruszył ramionami Rober – Ewroty zawsze się śmieją.

– Ewroty?

Stwory Zmierzchu, on nie zna i nie chce znać żadnych ewrotów! I nie chce, żeby Aldo to rozumiał.

– Słyszałem coś takiego w Kagecie. Adgemar cenił stare rzeczy nie mniej niż Enniol, ale to go nie uratowało – z zewnątrz doniosła się rozmowa trąbek i Rober odsunął zasłonę, ciesząc się z możliwości zmiany tematu rozmowy – Ależ widok! Władca Fal przy wszystkich regaliach. Nie to co ja!

– Właśnie – Aldo stanął obok Robera, obserwując wlewającą się w Triumfalną Bramę procesję – Patrz i ucz się. Chorąży, muzykanci, odpowiednio ubrana świta, a przecież Pridd to smarkacz, ani stanowiska, ani zasług.

– I dlatego się wystroił – Inochodźcy nie lubili Ośmiornic i Rober nie zamierzał zostać

wyjątkiem – Nie ma zasług – potrzebny jest chorąży i orkiestra, są zasługi – wystarczy twarz i spada.

– Pierwszemu Marszałkowi Taligoi nie wystarczy – uciał Aldo – Szacunek innych zaczyna się od szacunku do samego siebie. Następnym razem bądź tak dobry i ubierz się jak przystało, a teraz znajdź mi Borna.

3

Władca Fal przybył wcześniej od Władcy Skał i teraz stał przy oknie w otoczeniu fioletowych oficerów. „Ośmiornica” nosił żałobę po zabitych krewnych i był w szarym aksamicie z samotnym książęcym łańcuchem na piersi. Życie jest surowe, ale sprawiedliwe. Kiedy Dziki i Inochodźce umierały, Ośmiornice żyły i się doczekały. Kata! Siedem lat temu martwych oplakiwał Nador, teraz nadeszła kolej Wasspada¹², ale nadorska żałoba była pełna smutku, a nie wyzwania. Zginęło wielu, ale nie ma zwycięstw bez strat, a Pridd swoją kamienną fizjonomią rzucał wyzwanie radości i nadziei.

Richard unikał byłego towarzysza z Laik najstaranniej jak mógł, ale teraz to było niemożliwe. Na widok Władcy Skał Walentyn uklonił się chłodno. Na uprzejmość należy odpowiadać uprzejmością, Richard przywitał się i szybko poszedł dalej – nie mieli o czym rozmawiać. Dickon uznawał zasługi Władców Fal, ale pozostały one w dalekiej przeszłości. Obecnemu Priddowi przyjdzie się postarać, żeby zająć godne miejsce wśród Ockdellów, Epineixów, Bornów...

– Wyraziłeś już współczucie księciu Priddowi? – zaszeptał Nal – To było takie straszne... Taka niesprawiedliwość, wszyscy byliśmy porażeni.

– Walentyn Pridd nie potrzebuje mojego współczucia – uciał Richard – I na przyszłość prosiłbym cię, byś powstrzymał się przed podobnymi radami.

– Jak sobie życzysz – skulił się kuzyn – ale przecież byliście razem w Laik, poza tym...

– Nal!

Krewniak zacisnął usta i zamilkł. Gwardziści kolejny raz rozsunęli halabardy, dając przejście hrabiemu Rocksleyowi i jego świcie. James szczęśliwie przestąpił nowy brązowy próg¹³ i rozejrzał się, szukając znajomych. Richard uśmiechnął się mimowolnie i, mimochodem kiwnąwszy hrabiemu Tristramowi, poszedł na spotkanie Rocksleyowi. Nowy dowódca gwardii podobał się młodzieńcowi tak samo, jak kiedyś Savignacowie, on nie będzie mówić o bzdurach i pchać się z radami.

Było wprost doskonale, że hrabiowski tytuł odziedziczył właśnie James. Może i marszałek Henry zginął godnie, ojciec odnosił się do niego chłodno, a Emil, mówiąc o poprzednim Rocksleyu, zauważył, że wojskowemu nie godzi się przedkładać pałacowych parkietów nad koszary. Marszałek

12 Rodowy zamek Priddów.

13 W galtarskim okresie wszystkie galowe pomieszczenia miały brązowy próg o wysokości „czterech męskich palców”, pokryty abweniackimi symbolami.

ma być marszałkiem, a nie dworzaninem. James Rocksley w stopniu pułkownika dowodził całą kawalerią Południowej Armii, a do stolicy wrócił na prośbę Gui Arigau. Aldo Rakan mianował pułkownika generałem i przekazał mu taligojską gwardię, na razie, niestety, nieliczną. Ale i tak James całymi dniami przepadał w koszarach i na poligonie. On nigdy się nie zmieni w salonowego strojnisia!

O tym, że zgodnie z etykietą to wasal podchodzi do głowy Domu, a nie odwrotnie, Dick przypomniał sobie akurat na środku sali. Upodobnić się do Pridda i stanąć jak słup było głupio, wracać do Nala – tym bardziej. No i co, że powinno być odwrotnie? Tytuł tytułem, a przyjaźń przyjaźnią. Richard spokojnie przyłączył się do Jamesa, w końcu robić wymówki Władcy Żywiółów może tylko suzeren, a on jeszcze się nie pojawił.

– Monsignore – hrabia Rocksley lekko skłonił głowę – Szczęśliwy jestem, widząc pana w dobrym zdrowiu.

– Daj spokój – Richard wziął wasala pod rękę – Nie jesteśmy na koronacji, obejdziemy się bez ceremonii.

– Jeśli nie zaczniemy trenować już teraz – nie zgodził się Rocksley – nieuchronnie wpadniemy nosem w błoto. Oprócz Walentyna, naturalnie. I jeszcze Carlionów, jeśli przyjadą. Już oni to się nie pomylą, jeśli sprawa będzie dotyczyć etykiety.

Rocksley raczej nie robił aluzji do mateczki, ale Richard wspomniał właśnie ją. Zaciśnięte wargi, szary woal, różaniec w długich palcach... W głębi duszy Dickon przyznawał, że ostatnim razem zachował się nie najlepiej, ale matka też jest winna. Władca Skał już dawno nie jest chłopcem, za plecami ma dwie wojny, nie licząc oktawiańskiej rzezi, i, ostatecznie, jest księciem i głową Domu. Kobieta pozostaje matką, siostrą, żoną, wdową, ale o wszystkim decyduje mężczyzna. Tak było od wieków. Jeśli księżna Ockdell czci tradycje, musi pogodzić się i z tą.

– Co z tobą? – James uważnie patrzył na zamyślonego suzerena – Coś się stało?

– Nie, nie – pokręcił głową Richard – Wszystko w porządku. Co myślisz o Wysokiej Radzie?

Generał zamyślił się, bawiąc się rękojeścią szpady. Rocksleya nazywano doskonałym szermierzem i Dick już od dawna chciał sprawdzić na nim swoją sztukę. Niestety, żałoba po marszałku Henrym wykluczała szermiercze zabawy.

– James – półgłosem odezwał się młodzieniec – Może po radzie odprężymy się trochę ze szpadami? Przyjedź do mojej willi, w końcu jesteś moim wasalem. Pojawisz się z wizytą.

– Z wizytą? – powtórzył James – Ach, no tak... Jakoś jeszcze nie przywykłem, gdzie ty mieszkasz. I w Radzie siedzieć też nie przywykłem. Dobrze, jeśli nam wyjdzie, a jeśli nie? Na prawie krwi można zostać hrabią, ale nie generałem i nie eksterriorem.

– Masz wiele racji – rzeczywiście, dlaczego ci, którzy nic nie zrobili dla wolności mają te same prawa, co walczący za nią?! – ale jeśli chcemy odrodzić Imperium, musimy wspomnieć stare obyczaje.

– Wszystkie? – w głosie Rocksleya brzmiało z wątpienie – Przecież nie zrezygnujemy z pistoletów i lunet i nie nałożymy na siebie płytowych zbroi? Czas nie stoi na miejscu, co odeszło, to odeszło.

– Nie wszystko odchodzi – Richard ścisnął rękę rozmówcy, dając do zrozumienia, że nie ma prawa powiedzieć nic więcej – A poza tym, taka jest wola jego wysokości.

– O tak – zgodził się James i umilkł. Dla niego król Rakan był nie więcej jak ożywioną legendą. Rocksleyowie szli za Ockdellami, ufali im, ale to zaufanie nie rozciągało się na urodzonego w Agarisie suzerena.

– Jego wysokość wie, co robi – Dickon zerknął na sterczącego zbyt blisko Pridda – No więc przyjedziesz?

– Nie dzisiaj. Po Radzie jadę na spotkanie nowej świątobliwości. Nie mogę powiedzieć, że mnie to zachwyca.

Dickon nie zdążył odpowiedzieć. Wysoka złocista figura cztery raz uderzyła berłem i powiedziała:

– Jego wysokość Aldo I, z woli Stwórcy król taligojski, niedługo was przywoła. Gotujcie się!

W ogóle to należało mówić „wołą Prawdziwych Bogów władcy i władca Złotych Ziem”, ale to później, kiedy władza Rakanów będzie tak samo mocna, jak ich prawa do niej, a teraz trzeba będzie oszukiwać, flirtując to z kościołem, to z sąsiadami...

Drzwi byłej Gwardyjskiej otworzyły się, weszło szesnastu wojowników w kirysach ze Zwierzem, zastępyło wzdłuż ścian. Nowi gimneci¹⁴ zastąpili Osobistą Ochronę króla po zamachu na jego wysokość. Teraz Richard był nawet wdzięczny podłemu Davenportowi. Gdyby nie on, Aldo do tej pory chodziłby bez ochrony.

Nowe uderzenie berła. Samotne, ostre, jak wystrzał w nocy. Tak witają kapitanów gimnetów¹⁵. Oni obejdą Salę Herbową i wrócą po władcę, żeby wprowadzić go do Sali Rady. Pierwszy stanie na stopniu tronu, miejsce drugiego jest u drzwi, przez które bez rozkazu nikt nie wejdzie i nie wyjdzie. To tradycja, i to konieczność, przecież przyszłość Taligoi trzyma się na jednej, jedynej kolumnie, której imię – Aldo Rakan.

Dwóch oficerów z obnażonymi klingami przeszło o krok od Dicka. Młodzieniec był na „ty” z oboma: z wicehrabią Mevenem poznał go er August, a David Rocksley wicehrabia Roisly był wasalem Ockdellów. Na wierność Mevena i Roisly można liczyć, ale czy wczorajsi tenenci będą w stanie obronić władcę nie tylko przed ostrzem, ale i przed trucizną? Kapitanowie gimnetów zniknęli i znów się pojawili. Razem z Aldo.

– Nasi wierni wasale – wyraźnie powiedział suzeren – Pragniemy mówić z wami w Sali Rady.

Zgodnie z galtarską etykietą za anaksem idą głowy Domów w otoczeniu wasalów krwi – jeden z przodu, dwoje po bokach, jeszcze jeden przykrywa plecy. W Złotym Imperium za władcą wchodzili Władcy Żywiołów, a dopiero potem wasale krwi, ale pochod zawsze prowadził Pan bieżącego Kręgu. Teraz pierwszymi byli Ockdellowie, choć ich czas dobiegał końca.

Berło zarządcy oznajmiło początek pochodu. Dick spiesznie kiwnął Rocksleyowi. Zwłoka była minimalna, ale Walentynowi wystarczyło i tego. Władca Fal równym wojskowym krokiem przeciął salę, okazując się między Richardem i Aldo. Proste plecy majaczyły przed oczami, odgradzając młodzieńca od suzerena. Gdyby na tym miejscu znalazł się Inochodziec, Dick by nie protestował. Epineix, nie bacząc na wszystkie swoje dziwactwa, zrobił dla zwycięstwa bardzo dużo, a poza tym przyjaźnił się z Aldo od wielu lat, ale Walentyn?! Ośmiornica może być zdolna do powtórzenia raz udanego chwytu i na koronacji. Aldo woli towarzystwo tych, kto dzielił z nim jego wygnanie i jego triumf, ale skąd prości ludzie mają o tym wiedzieć? Dla nich wszystko jest proste: kto stoi bliżej króla, ten jest mu najlepszym przyjacielem.

Oburzony młodzieniec cudem nie potknął się o jeszcze jeden usiany dziwnymi zawijasami próg, to go otrzeźwiło. Richard szybko i niezauważalnie rozejrzał się – w Sali Wysokiej Rady nie był nigdy. Za Ollarów była tu Paradna poczekalnia, ale Kruk unikał oficjalnych wejść, a osobistych zaproszeń od uzurpatora księżę Ockdell nie otrzymywał.

Pridd zatrzymał się gwałtownie i zastygł, zmuszając do zamarcia i Dicka. Za plecami Ośmiornica nosił moryjski sztylet, w rodzaju tego, jaki był u Kruka, tyle że nie z szafirami, a z ametystami. Gra liliowych świateł hipnotyzowała i Richard nie zauważył, jak Aldo Rakan i nieprzerwanie idący za nim kapitan gimnetów minęli cztery prowadzące do tronu stopnie. Dudniący dźwięk wyrwał młodzieńca z ametystowego snu. Suzeren siedział w prostym białym fotelu, a Meven, który uderzył w gong, stał obok, gotów w każdej chwili zasłonić suzerena własnym ciałem.

Walentyn niespiesznie ruszył ku tronowemu podestowi. Słusznie, członkowie Wysokiej Rady siadają bez pozwolenia. To prawo zostało podarowane przez prawdziwych bogów, potwierdzone przez anaksov i zapomniane przez królów.

Ośmiornica malowniczo opadł na fotel po prawej ręce suzerena i zastygł jakby połknął włócznię. Nad głową Władcy pobłyskiwała srebrna Fala. Cztery Domy, cztery symbole, cztery żywioły. Są równe między sobą i nie mają prawa na wrogość. Nie mają!

Richard niespiesznie wszedł po czterech stopniach i zajął przeznaczony mu fotel. Skałom,

14 W okresie galtarskim lekkobrojni żołnierze, ochraniający anaksa i epiarchów.

15 Kapitanami gimnetów mogli być tylko eorowie, ale nie głowy Wysokich Domów i nie najstarsi w Wysokim rodzie.

jako Władcom Kręgu, przynależało miejsce najbardziej wysunięte na lewo. Ockdellowie powinni zaczynać, a Epineixowie kończyć. Niech tam, dzisiaj pierwszy szedł Pridd, ale to się więcej nie powtórzy, przynajmniej do Przełomu Epok. A co będzie za rok, kiedy zacznie się epoka Wiatru? Władców musi być Czwooro, inaczej nic nie wyjdzie. Czy wyjdzie? Rakan może zastąpić każdego, ale ile będzie go to kosztować?

Jego wysokość tłumaczył coś półgłosem Mevenowi, przysłuchiwać się było nieprzyzwoitością, a gapić się na Pridda młodzieniec nie miał zamiaru. Inochodziec, miejsce którego było naprzeciwko, gdzie się zawieruszył. Rocksley i Tristram siedzieli w dole na ławce Skał. James wyraźnie trzymał się z daleka od sąsiada, jako że miejsce na to pozwalało – Carlion jeszcze nie przybył ze swoich włości, a Bernheimowie byli w Agarisie. Domowi Skał się poszczęściło, u innych nie było nawet tego. Przekłęci Ollarowie zniszczyli wszystko, do czego dosięgli.

Richard poprawił szpadę i zaczął oglądać plafon. Tapicerze zdążyli zmienić obicia ścian, ale malarze pracują latami. Na szczęście galtarskie motywy weszły w modę od razu po Wojnie Dwudziestoletniej. Właśnie wtedy Albrecht Richter wstrząsnął Taligoję „Triumfem Manliusą”, a jego uczeń Silas Hert otrzymał zamówienie na ozdobienie siedmiu pałacowych sal. Richard kontemplował gołonogich starożytnych jeźdźców w grzebieniastych hełmach i wspominał pochody Lorrio Borraski oraz zwycięstwa Lakoniusa.

Ciekawe, gdzie jest teraz obraz, który kosztował życie Justina Pridda? Richard nie odmówiłby możliwości kupienia go i powieszenia na schodach. Ośmiornicy wyszłoby to na dobre. Są ludzie, którym trzeba przypominać o tym, że na ich ubraniach są plamy, inaczej stają się nieznośni. Ale kogo wyobraził Hert? Dickon słusznie był dumny ze swojej wiedzy z zakresu historii starożytnej, ale rozpoznać dwóch wojowników, którzy koń w koń wcieli się w tłum ubranych w niedźwiedzie

skóry barbarzyńców, młodzieniec nie potrafił – hełmy i czerwone płaszcze zamieniały nieznanych galtarczyków w bliźniaków.

Cztery równe uderzenia w drzwi. Tak stukają tylko swoi.

– Pierwszy Marszałek Taligo! Rober Epineix do swojego władcy – głos Davida Roysleya brzmi równo i spokojnie.

– Czekamy! – kiwa głową suzeren. Aldo nie ma rękawiczek i ogień świec bawi się z królewskimi pierścieniami. Karas, szafir, ametyst, rubin, rój drobnych brylantów. Każdy kamień ma swoją duszę i swój charakter, one kochają, przyjaźnią się, nienawidzą, zupełnie jak ludzie. Rubin nigdy nie połączy się ze szmaragdem, turkus odepchnie karneol, ale najsilniejsze są diamenty i roje.

– Pierwszy Marszałek Taligo! – David robi krok w bok. Gimneci otwierają drzwi, dając drogę Roberowi, za plecami którego nie ma wasalów krwi ani nawet Carvalla, a jest Udo Born. Dlaczego? Bornowie są szlachcicami, ale to tylko potomkowie młodszej gałęzi Gontów i powinni czekać w Herbowej Sali razem z Nalem...

Rober krótko zgiął kolano przed Aldo, ni to przepaszając za spóźnienie, ni to meldując o wypełnieniu rozkazu. Suzeren machnął ręką, niebieską iskrą zapłonął szafir. Jakież nieprzyjemny blask! Inochodziec podszedł do swojego fotela, Udo został, schyliwszy głowę i położywszy dłoń na rękojeść szpady. Rozległo się bicie zegara. Jeden, dwa, trzy, cztery!

– Kiedy Maragończyk wziął Kabitelę, w Wysokiej radzie było trzynastu ludzi – Aldo Rakan kolejno obrzucił spojrzeniem swoich wasalów – Minęło czterysta lat i znów jest nas trzynastu. Trzynastu, bo my, Aldo Rakan, potwierdzamy, że właśnie Bornowie są jedynymi i prawowitymi następcami Heinricha Gonta. Agaryjska gałąź jest nieprawomocna, albowiem bierze swój początek od dalekich krewnych, którzy wykorzystali cudze nieszczęście.

Udo, synu Olafa, bracie Karla i Richarda! Zajmij swoje prawowite miejsce na ławie Fal. Rozkazujemy tobie i twojemu potomstwu nazywać się hrabiami Gontami i darujemy ci ziemie od Pierścienia Ernani do Południowego Neumaru. Twój brat Konrad wybrał pokój i bezpieczeństwo, niech więc tak będzie. Konrad Born i jego potomstwo pozostaną hrabiami Born ze wszystkimi przywilejami, za wyjątkiem praw do imienia i włości Gontów.

Policzek Udo zadrżał. Przed śmiercią Richarda tego nie było. Świeżo upieczony hrabia Gont z niezrozumieniem spojrzął na wyciągniętą do niego rękę, ciemnoszare oczy błysnęły. Od łez czy czegoś więcej?

– Moje życie należy do mojego króla i do mojego królestwa – usta Udo dotknęły pierścienia z ametystem, pierścienia Fal. Born nie słyszał o starych Siłach, dla niego Aldo był królem, a Taligoja królestwem, ale Gont ma prawo wiedzieć o wszystkim.

– Tak będzie – uśmiechnął się suzeren, przydając rytualnym słowom nieoczekiwane ciepło – tak będzie! Zajmij swoje miejsce, hrabio Gont.

Udo odszedł. Szkoda, że jest wasalem Priddów, a Bernheimowie służą Skałom, ale nic się z tym nie robi. Aldo zamyślił się, odrzucając w tył piękną głowę. Tykało wahadło, trzeszczały świece, wojownicy z plafonu kontynuowali swoją ciągnącą się przez wieki bitwę. Oni nie widzieli, nie słyszeli i nie rozumieli tego, co dzieje się w dole. Gdyby Richard Ockdell był poetą, prawdziwym poetą, a nie wierszokletą w rodzaju Barbotty, napisałby o galtarskich wojach, którzy w Ogrodach Świtu usłyszeli głos nowego anaksa. Starożytni władcy mogli być spokojni za pozostawione przez nich ziemie i ich młodego wodza.

– Stare prawo jest proste – uniósł rękę Aldo Rakan – do Wysokiej Rady wchodzi się z prawa urodzenia. Król rządzi życiem i wolnością poddanych, ale nawet on nie może pozbawić ich tego, co należy do nich prawem krwi.

Alva, Savignacowie, Doracowie, fok Warzow zdradzili swój honor i swoją krew, ale oni są, a dopóki są, w Wysokiej Radzie pozostaje trzynastu ludzi.

Zgodnie ze zwyczajem, głowa Wielkiego Domu mówi za nieobecnych wasalów. Richardzie Ockdellu! Do ciebie należą Słowa hrabiego Carliona i hrabiego Bernheima, dopóki nie przybędą oni na dwór. Walentynie Pridd, hrabia fok Warzow zdradził króla i Taligoję, zabieram od niego jego Słowo i powierzam twojemu honorowi.

Roberze Epineix, w Domu Błyskawicy jest dwóch zdrajców. Savignac i Dorac. Ich Słowa przechodzą do ciebie, tak samo jak Słowo nieobecnego hrabiego Arigau, którego mamy nadzieję zobaczyć w tych ścianach...

Suzeren mówił do wszystkich, ale Dickowi wydawało się, że słowa władcy są przeznaczone

tylko dla niego. I dla Wieczności.

5

Jeśli dniem miotać się po mieście, a nocami czytać papiery, po tygodniu będziesz zasypiać choć za stołem, choć w kościele, choć na Wysokiej Radzie. Żeby tylko cię nie szarpali.

Rober Epineix z siłą ścisnął rzeźbione końskie łby, ale były one zbyt gładkie, żeby wpić się w dłonie, a sen wciągał jak błoto. Wasale na swoich ławach, strażnicy u drzwi, kolumny, pomniki, freski zlewały się w drzące plamy i odjeżdżały gdzieś daleko. I jeszcze, jak na złość było ciepło i cicho. Równy głos Aldo nie mógł rywalizować z sennym otepieniem, z którego wynurzały się to fizjonomia Carvalla, to młyny prochowe, to mury Bagerlee, nad którymi krążyły wrony. Wiatr niósł uschnięte liście, stary klon skrzypiał, skarżył się, prosił zdjąć z niego sznury, on nie może zasnąć, dopóki obok brodzi powieszony. A powieszony nie odejdzie, bo nie ma imienia. Czyli i wiosny nie będzie, ona więcej nie przyjdzie do Ollarii, jej po prostu nie wpuszczą...

Ręka Epineixa ześliznęła się z podłokietnika, książkę drgnął i podniósł głowę, ciężką jak u martwego konia. Nie można było spać, nie spać było nie sposób. Inochodziec z siłą przygryzł wargę, potem policzek, słonawy smak w ustach wrócił Pierwszego Marszałka na Wysoką Radę. Aldo wciąż jeszcze mówił. Nozdrza suzerena rozdymały się, oczy błyszczały – on nie chciał spać, on chciał panować.

– Oddamy Złotej Anaksji jej wielkość – oznajmił Aldo Rakan ozdobionym koronami drzwiom – przejdziemy od Siwego Morza do Pomarańczowego.

Od Siwego do Pomarańczowego? Po co?! Na południu Talig i tak wychodzi na morze, ale my nie mamy głowy do szczegółów geografii, nam jest potrzebne wszystko i od razu. „Złota Anaksja” dusi się w stolicy i niecałych dwóch hrabstwach, a suzeren zdiera skóry z niezabitych niedźwiedzi i nakłada je na zające.

Rober Epineix dużo by dał, żeby nie słyszeć, co głądzi Aldo, ale zatykać uszy na Wysokiej Radzie – to przesada. Nawet dla Pierwszego Marszałka.

– Nam nie są potrzebne ogryzki z maragońskiego stołu! – perorował człowiek, który ani jednego dnia nie przeżył na własny rachunek – Wyrzekamy się wszystkich zwycięstw Ollarów. A raczej podłości, które uzurpatorzy i ich zausznicy nazywają zwycięstwami. Nie jest nam potrzebna warastyjska zaraza, bergerskie kamienie, maragońskie piaski! Wszystko, co leży za granicami Taligoj Rakanów, może iść do kotów. Do czasu! Zaczniemy od tego, co zakończył Ernani XI, a przyjdziemy do tego, czym władał Eridani Wielki!

Leie Astrape, co on plecie?! To nie upór, nie szaleństwo, a coś więcej. Z taką gębą tylko wiersze pannom czytać, ale nie panować i nie walczyć.

– My jesteśmy prawem – podniósł głos potomek Rakanów – i my jesteśmy władzą! My i nasi wasale krwi. Reszta – to tylko służby anaksji. Przypominamy Władcy Skał, że jest on Władką Połowy Nocy i Świtu i odpowiada przed nami za ziemie, leżące na północ od Rakany.

Rakana?! A to jeszcze co takiego?

– Jesteście zdziwieni? – Aldo uśmiechnął się z zadowoleniem – Myśleliście, że oddam mojej stolicy imię, które odebrał jej maragoński bastard? Nie! My nie chcemy wracać do czasów upadku. Kabitela – to imię porażki, a nam potrzebne jest imię zwycięstwa, zastaw siły, szczęścia, potęgi. Stolica – to serce Imperium, serce poddanego nam Zwierza, i zastawem tego niech będzie jej imię. Rakana – główne miasto Złotej Anaksji! Rakana – stolica Złotych Ziem! Rakana – centrum świata i wszechświata! Levon, levaie, eoriane!

Nierozumiejące spojrzenia Pridda, Borna, Rocksleya, szczęśliwa twarz Dickona, niepewny pisk Tristrama.

– Levon levaie eoriane! – biedni gwardziści nie rozumieją, co krzyczą, dla nich to tylko dziwnie brzmiące słowa. Tak samo idiotyczne i niezwykłe jak ich nowa nazwa.

– Levon levaie anakse Aldo! – wicehrabia Meven z trudem tłumy śmiech, dla niego wszystko, co się dzieje, to zabawa, ale czy na długo?

– Levon levaie... – za to Priddowi wszystko jedno, co powtarza – modlitwę czy pogańskie toasty. Udo Born, to znaczy Udo Gont, w ogóle nie wie, czego od niego chcą. I słów potrzebnych nie zna, nie nauczyli go jeszcze.

– Levon levaie – ponaglające spojrzenie suzerena, stare, zapomniane tysiąclecia temu słowa,

stare, wyciągnięte ze Zmierzchu szaleństwo. Może to jednak sen? Sen, w którym trzeba krzyczeć.

– Leie Astrape! – złote liście-iskry, tętent kopyt, krzyki jastrzębi, przenikliwe rzenie – Leie abwienie laetare!

Stare słowa, nowe miejsca, wieczna głupota, a suzeren znów mówi. Teraz o mogiłach.

– Oddamy to, co należne honorowi i zdradzie – Aldo umilkł na chwilę – W Starym Parku będzie świątynia, przeniesiemy do niej szczątki króla Ernani. Obok swojego suzerena znajdują przystań jego obrońcy Alan Ockdell i Hector Pridd. Władco Skał, Władco Fal, słyszeliście mnie?

– Mój królu! – Richard z płonącymi oczami zrywa się z miejsca – Mój królu!

– Tak, wasza wysokość – skłania głowę Pridd.

– Co do uzurpatora i jego pomocników – gna dalej Aldo – to nie mogą oni bezcześcić sobą ziemi Rakany. Przed naszą koronacją bastard i jego zausznicy zostaną wywiezieni za granice stolicy i spaleni, a popiół rozwiany nad maragońskim traktem.

„Zausznicy bastarda”... A co czeka marszałka Epineixa, broniącego Talig Franciska przed najemnikami królowej Blanche? Charles Epineix wybrał to, co należało. W odróżnieniu od Andre-Guillaume'a... Dziadek związał się z Alicją i zgubił rodzinę. Wnuk związał się z Rakanem i gubi Talig. W czym jest lepszy od Paula Pellota, powieszono go przez Rene Epineixa? Zamierzeniami, tylko komu one potrzebne, te zamierzenia?!

– My powiedzieliśmy – podniósł głos Aldo, wstając z miejsca i kładąc doń na rękojeści – a wy słyszeliście. Jutro w południe czekamy na was w Sali Zwierza, gdzie będziemy przyjmować zagranicznych ambasadorów i ordynariuszy, którzy okazali nam usługi.

Na koniec przypomnę o najważniejszym. Ordynariusze za swoje zasługi mogą otrzymywać nagrody, stanowiska, godności, ale oni pozostaną ordynariuszami, a eorowie – eorami. My jesteśmy ratunkiem Taligoi, jej przyszłością, jej chwałą i siłą! Idźcie i gotujcie się do wojny, nie, nie do wojny, do zwycięstw! Levon levaie!

Do zwycięstw? Do sera w pułapce, ale krzyczeć trzeba, przecież nie wda się w przepychankę z Aldo przy żołnierzach, jak by się oni nie nazywali! Dickon jest zachwycony, Meven rozbawiony, Rocksleyowie i Born, który teraz jest Gontem, nic nie rozumieją, Tristram nie zrozumie, a Ośmiornica... Żeby on nie rozumiał zbyt wiele.

ROZDZIAŁ 5

WARASTA

399 rok K.S. 18 dzień Jesiennych Fal

1

Zimna kropla zerwała się z przemokniętego kapelusza prosto na nos. Wicehrabia Valme zaklął cichutko i po jakiejś koty posłał konia do samej rzeki, tam, gdzie bynajmniej nie rzeczne fale z kłótliwym sykiem lizwały ni to bardzo gruby piasek, ni to bardzo drobny żwir. Biczowana ulewą Rassanna wyglądała odrażająco. Daleki płaski brzeg zlewał się z brudnym niebem, zamieniając rzekę w brudno-żółte morze. Deszcz też wydawał się żółty i zły, chociaż niby czemu ma się złościć, przecież to deszcz, woda, która poczuła chęć lać się na ciebie z góry... Rozległ się koci pisk – nad głową przemknęła czarnoogoniasta rzeczna mewa. Valme odprowadził ptaka złym spojrzeniem i zaklął już pełnym głosem.

– Co ty? – Charles Davenport dołączył do Marcela, próbując zrozumieć, po co tego poniosło do rzeki.

– Nic – burknął Marcel – nie cierpię rzecznych mew. Latające yzargi!

– Gołębie gorsze – pocieszył Charles – Niepotrzebnie zjechaliśmy z traktu, na tym kruszywie tylko podkowy pogubimy.

– No przecież wiem! – zaczął Valme i natychmiast w myślach wlepił sobie policzek – Wybacz, nie tą nogą dzisiaj wstałem. Jedziemy?

– Jedziemy – wymamrotał Charles, nie odrywając spojrzenia od mętnej rzeki. Davenport w ogóle nie wyróżniał się rozmownością, a dzisiaj na całego stroił z siebie rybę, jako że wody wystarczało.

– Dawno byłeś w Tronko? – nie rezygnował Marcel, któremu odechciało się milczeć.

– W ogóle nie byłem – Charles wciąż jeszcze patrzył w wodę – Przecież jestem z Nadoru. Do Laik nie byłem dalej niż w Priddzie.

– A ja jestem z Epineix – uradował towarzysza Marcel – Ale wszystkie drogi prowadzą do Ollarii, no to tam się szwendałem.

– I ja się szwendałem – wydusił z siebie Davenport. Gardło go boli czy co? – Najpierw jako giermek, potem – w garnizonie. Po oktawańskiej nocy poprosiłem o przerzucenie mnie do Torki, a zagonili mnie do osobistej ochrony... Leworęki, zabiłem Henry'ego czy nie?

– Wybieraj, co ci się podoba – poradził Valme – i przestań się męczyć!

– Miejsce Rocksleya jest w Zmierzchu – i tak zaciśnięte usta Davenporta zamieniły się w suchą szczelinę – i nie tylko jego. Z Jamesem i Davidem przyjaźniłem się, ale to już przeszłość.

„Przeszłość”... A co jest terazniejszością? Rozszalała rzeka i nastroszony towarzysz. Tenent, który zastrzelił marszałka. Albo nie zastrzelił. Cudowne, jak powiedziałby Alva.

I tak zawsze, zaczniesz od chęci wypicia i pochwalenia się znajomością, a kończysz wojną, której nie zakończysz, dopóki żyjesz. Nawet jeśli tego, kto cię w nią wciągnął, już nie ma.

– Nijak nie mogę zrozumieć – Davenport z uporem patrzył na Marcela – kto mnie wcisnął do pałacu? Rocksleyowie czy Savignac?

– A z którą myślą ci lepiej? – Valme ściągnął z mokrej głowy równie mokry kapelusz, otrzepał porządnie i znów nałożył.

– Wolałbym Rocksleyów. Lepiej zawieść ich niż Lionela albo Kruka, chociaż jego to tak z osiem razy chciałem zabić.

– Aż tak? – brwi Marcela skoczyły w górę i w oko natychmiast trafiła woda. Paskudztwo! – Nie jesteś osamotniony w swoich pragnieniach.

– Wyobraź sobie – potwierdził Davenport, popędzając konia – Bardzo chciałem...

2

– *Co się dzieje w mieście? – Pierwszy Marszałek Taligu patrzy na witającego go tenenta. Czarny koń ze złością tuli uszy i wali kopytem w płyty dziedzińca. Smagli żołnierze w beretach milczą i czekają. Na co?*

– *W mieście zamieszki – wyjaśnia tenent Davenport. Dowodzi on nocną strażą i wie, co się dzieje w stolicy, to znaczy wydaje mu się, że wie – Objęły Dolne Miasto...*

– *Więc dlaczego jesteście w koszarach?*

Dlaczego? Charles nie zna odpowiedzi, ale on słyszał, jak George Ansel klócił się z Morenem, a potem poszedł do komendanta. Po dziesięciu minutach pułkownik wrócił i znudzonym tonem zrugał sierżanta za źle wyczyszczone muszkiety. Wrota zamknięto, żołnierzy spędzono na plac. Garnizon Ollarii pod niemilknące wrzaski dzwonów ćwiczył paradną musztrę. Do bólu, do pełnego otepienia.

Za muru ciągnęło dymem, wrzeszczały zdenerwowane ptaki, po niebieskim niebie pełzły czarne pasy. Ktoś walił we wrota, głośno i rozpaczliwie. Walił i krzyczał, a oni maszerowali. Potem trębacze zagrali „spocznij”, nadszedł czas kolacji, i oni poszli jeść... Kilean-ur-Lombach starannie ciał nożem pieczone mięso i rozmawiał o dyspucie w Nosze i o nowych muszkietach, Moren odpowiadał, Ansel pochmurnie słuchał, co robił on sam, Charles nie pamiętał. Może nawet jadł...

„Dlaczego jesteście w koszarach?” Beznamiętna twarz, równy głos, białe paradne pióra, a rękawiczki czarne, codzienne. Charles Davenport po raz pierwszy widzi Kenallijskiego Kruka z tak bliska. Pierwszy Marszałek Taligu ma na sobie paradny, jak spod igły, mundur i biały płaszcz, zza atlasowego ramienia wytrzeszcza oczy roztrzepany chłopiec w kirysie. Kirysy mają też towarzyszący Krukowi Kenallijczycy, ale sam książę nie zniżył się do troski o własną skórę.

– *Pan komendant nie uznał za konieczne – Kilean-ur-Lombach to śnięta ryba, dureń, nudziarz, może nawet podlec, ale to przełożony. Przełożony, a niech go koty! Co pozostanie po armii, jeśli napluć na rozkazy? A co pozostanie po sumieniu, jeśli wypełniać wszystko, co każą?*

– *Gdzie on jest? – niebo za plecami Alvy nalewa się purpurą, mdląco i trwożnie pachnie spalenizną.*

– *W swoich apartamentach – pan komendant prosił go nie niepokoić, ale nie można o tym mówić. To prawda, ale i prawda bywa donosem.*

– *Wspaniale – obojętne spojrzenie, obojętny głos, i kto to powiedział, że u południowców*

wszystko jest wypisane na twarzach? – Poderwij ludzi, tenencie. Rozkaz Pierwszego Marszałka. Idziemy, Richardzie, porozmawiamy z panem komendantem Ollarii.

Richard? Oczywiście! Kruk wziął na giermka syna Egmonta Ockdella, a ten poszedł. Rok temu od takiej nowości David Rocksley omal nie spadł z mostu, teraz wszyscy przywykli.

Syn buntownika z zakłopotaniem kręci głową. Skąd ma wiedzieć, gdzie są apartamenty komendanta? Charles chce pokazać, ale księżę opędza się od pomocy jak od ulicznego psa.

– Znam drogę, tenencie – białe pióra i czarne, codzienne rękawiczki, idealna uprzejmość. Krzyk lub policzek nie poniżają, poniża lekceważenie. Kim on jest, żeby sądzić innych, sądzić i wydawać wyroki?! Kornet Ockdell też zadziera głowę i kręci nosem. Gdzie kruk, tam i wróbel.

– Za pół godziny garnizon ma być gotowy – rozkazuje Kruk – ubiór – świąteczny, kirysy i hełmy – bojowe.

Trzaskają drzwi, to wyskoczyli pułkownicy. Obaj! Kto im powiedział? Przecież straż jest tutaj, to on!

– Pułkownik Ansel, pułkownik Moren, proszę za mną – Pierwszego Marszałka Taligu nie obchodzą młodszy oficerowie, przełożonych tym bardziej. Odchodzą we czterech, pewnie do Kileana.

Gdyby nie Ansel i Moren, Charles by nie wytrzymał, odpowiedział, i niech wszystko szczerze w Płomieniu Zmierzchu, ale czas minął. Dla słów, nie dla wystrzału.

Davenport widzi proste plecy marszałka, gdyby ktoś chciał wsadzić w Kruka kulę, nie byłoby to trudne. Tenent dotyka pistoletu i myśli – nie, nie o tym, żeby wystrzelić, a o tym, że nie należy odwracać się plecami do tych, kogo obraziłeś...

– Ranek, panie – głos Valme ściąga na deszcz i drogę. Wszystko już się stało i wszystko jeszcze się stanie – Obudź się, zaraz będzie shaddi.

– Proszę wybaczyć, zamyśliłem się – On i Marcel dawno są na „ty”, ale pamięć nie tylko budzi przeszłość, ale i depcze terażniejszość.

– Myślenie szkodzi – mruczy niedawny dandys, wstrzymując konia – tutejsi mieszkańcy to, bez wątpienia, rozumieją i tracą czas na pożyteczniejsze rzeczy. Na przykład, na rozmowy z mokrymi podróżnikami.

– Stwory Zmierzchu, o czym ty mówisz? – Charles nigdy nie był dobry w salonowych rozmowach, a Marcel uparcie wypowiadał się jak właśnie salonowy lew.

– O tym, że za tymi iwami zebrało się przemiłe towarzystwo wojennego pokroju – wicehrabia Valme niespiesznie rozprostował fałdy płaszcza – a ponieważ w tutejszych krajach Rakanów nie zaobserwowaliśmy, pozostaje tylko możliwość, że jesteśmy u celu.

3

– Dzień dobry, panowie – wąsaty Kenallijczyk, odrzucił kaptur i przyłożył dłoń do wypolerowanego kasku – sierżant Pacharillo, Druga Armia Południowa, pułk reja Badiglo. Kim jesteście i dokąd jedziecie?

– Kapitan Valme – przedstawił się Marcel, z jawną aprobatą wpatrując się w ogorzałą fizjonomię – oficer do szczególnych poruczeń przy osobie Pierwszego Marszałka Taligu Roke Alvy. Z ustnym poruczeniem do generała Diegarrona i jego świątobliwości Bonifacego. Mój towarzysz – tenent Charles Davenport. Oto nasze listy podróżne.

Sierżant uczciwie potrzywał przed nosem podane przez Valme papiery, oddał właścicielowi i uśmiechnął się, owiewając podróżnych potężną czosnkową wonią.

– A my na was trzeci dzień czekamy. Choćby zaraz w siodło.

– Czekacie? – powtórzył Marcel, chowając przygotowane przez samego siebie listy podróżne do skórzanego futerału – Na nas?

– No, kogo soberano pośle – wyjaśnił Pacharillo – Tylko wy, prawdę mówiąc, wszystkich obstawili. Was z północy czekano, a wy z południa.

– A owszem – Valme uśmiechnął się znacząco, jak zawsze, kiedy niczego nie rozumiał – I wszystko byłoby w porządku, tyle że wymokliśmy jak myszy...

– A wysuszyć się nie chcecie? – Pacharillo sięgnął za pazuchę – Jeśli nie pogardzicie...

– Żartuje pan, sierżancie – rozweselił się Valme, przyjmując manierkę – kto kaserą gardzi? Może tylko Gaifijczycy, no ale oni i panienek nie lubią. No więc, mówi pan, trzeci dzień? W takim

razie trzeba się spieszyć. Pan z nami?

– Was kapral Azules odprowadzi – Kenallijczyk uniósł się w strzemionach i wrzasnął: - Blasco, vede ai¹⁶! A my tu jeszcze dwa dni się pokręcimy, zanim nas zmienią. Mało kogo przyniesie, a w Tronko byle kto nie ma czego szukać.

– A my kiedy dotrzemy? – dopiero po oderwaniu się od manierki i przekazaniu jej Charlesowi Marcel zrozumiał, jak bardzo chce wypić i zobaczyć nareszcie Diegarrona.

– Pod wieczór – ucieszył ich Pacharillo – Tylko konie by wam zmienić. Jedźcie na naszych zapasowych, a wasze my przyprowadzimy.

– Nie nasze one – Marcel pogłaskał mokrą, błyszczącą szyję – zmienne, na swoich to my byśmy jeszcze Leworęki wie gdzie się szwendali. A co u was słyhać?

– Cicho było – ściągnął brwi Kenallijczyk – potem o bziku w Epineix poszły słuchy. Gubernator ichni żołnierzy chciał, tylko nie nasza to sprawa – obcy nawóz rozgrzebywać. Bonifacy, biskup nasz, tak ichniemu gońcowi i powiedział. Niby że sam napaskudziłeś, to sam sprzątaj. Ale my drogi zamknęli, bo to wiadomo... Tak i żyli, póki od soberano kurier nie przygalopował. Manrik

16 Chodź tutaj (kenall.).

młodszy armię zakopał, a buntownicy zbeczelnieli i na stolicę otworzyli paszczę. Tu już nie do żartów, zima nie zima, a bić się przyjdzie. Blasco, dawaj tutaj Broncę z Karbonem, zaprowadzisz rejów do Tronko.

4

Znów obce konie, nie wiadomo które z kolei, ale droga się kończy. Jeszcze trochę i będą u Diegarrona. Ostatni raz Charles widział kenallijskiego markiza w Gelbe. Anthony Davenport dowodził pieszymi muszkietierami, Jorge Diegarron – konnymi strzelcami.

Szczupły szybki Kenallijczyk nie znosił aluzji i donosów, służyć z nim było czystą przyjemnością. Ówczesny kornet Davenport dużo dałby za to, by moc zostać w Priddzie, ale ojciec nie uznał za stosowne służyć w jednej armii z synem. Trzeba było wracać do stolicy...

– Charles – Valme wstrzymał otrzymanego od Kenallijczyków rudego Broncę – chyba nikogo nie zdziwimy, za to ty nareszcie się dowiesz, co z Rocksleyem.

– Oni są gotowi wystąpić – tenent spojrział na jadącego w przodzie kaprała – Jadę z nimi.

– Dokąd? – Marcel zadarł głowę ku niebu – Ja się oszukuję, czy rzeczywiście obłoki się przeredziły?

Obłoki pozostawały taki jak poprzednio, deszcz też nie przepadł, po prostu wszystko jest o wiele lepiej niż się wydawało. Alva jest w Taligu i działa, tak że Rocksleyowie i Rakanowie niedługo będą zazdrościć Egmontowi, ten chociaż na pojedynkę zasłużył.

– Robi się pan coraz bardziej rozmarzony – Valme z wyrzutem pokręcił głową – Cóż, spróbuję salonowo porozmawiać z kapralem Blasco.

– Zamyśliłem się – uczciwie przyznał się Charles – Mój ojciec służył z Diegarronem, ja też chciałem pójść do jego armii, ale nie wyszło.

– Teraz wyjdzie – radośnie zapewnił Valme – Teraz nam wszystko wyjdzie.

– No a ty? – Davenport otwarcie spojrział na uśmiechniętego przyjaciela – Ty dokąd pojedziesz?

– Jak powiedziałby najmilszy Pacharillo, do soberano – następca Valmontów ceremonialnym gestem uniósł wymęczony deszczami kapelusze – Jestem oficerem do specjalnych poruczeń przy personie Pierwszego Marszałka i tak łatwo się mnie nie pozbędzie.

Niezmordowany wicehrabia dał Bronce ostrogę, ogierek zarżał i skoczył w przód, Davenport wzruszył ramionami. „Soberano”... Wszędzie ich soberano, Monsignore, marszałek... On sam rzucił się nie do ojca, nie do starszego Savignaca, a do Alvy. Nie, obraza i złość nigdzie nie zniknęły, po prostu nie było na nie czasu.

Nakryty zgodnie ze wszystkimi zasadami stół, rozlane wino, okrągłe, zdziwione oczy Ferdynanda, kobiece krzyki, triumfujące twarze, takie znajome...

– Proszę złożyć broń – szepcze cień króla – Pańska śmierć nie jest nikomu potrzebna, jak i pański honor.

– Niech pan schowa szpadę i wyjdzie – rozkazuje marszałek Rocksley, który wygrał potyczkę z ufającym mu suzerenem.

Podporządkować się? Wyjść? Zostać ze zwycięzcami, przyjaciółmi, protektorami?

Tenent nie może nie posłuchać. Tenent o niczym nie decyduje, bo i nie ma już o czym decydować. Ferdynand jest skończony, stolica w rękach Rocksleyów. O wszystkim zadecydowano bez ciebie, niczemu nie jesteś winien, niczego nie zmienisz...

– *Imieniem Taligu!* – Charles spuścił kurek, prawie nie celując, spudłować było taką samą niemożliwością, jak nie strzelić.

Wyszedł ze swoich koszarów wbrew wszelkim rozkazom świata, nie można było inaczej. Chyba że zastrzelić się samemu, ale to byłoby tchórzostwem.

– Guen va? – okrzyknął wesoły głos – Eles Blasco?

– Ectoi – odezwał się Azules – Son tos oficiales. Jeneral?

– Ecta aiki – zza rogu pokazał się spory nos, do którego przyczepione było odpowiednie dla niego ciało – Dor cavore! Ectera un vorco¹⁷.

Posiadacz nosa zniknął. Kapral skierował konia w prawo.

– Generał jest u siebie – wyjaśnił – To blisko.

5

Jorge Diegarrona Marcel osobiście nie znał. Generał nie był z tych, którzy sterczą w stolicach, a Valme do niedawna należał do tak nielubianego przez żołnierzy plemienia dworskich wałkoni. Niemniej jednak markiz wskazał obite rudym atłasem fotele.

– Proszę... Przepuszczam, że są panowie głodni – Kenallijczyk nie wyglądał najlepiej, podobno nie do końca wyleczył się z rany.

– Jedliśmy obiad – zapewnił Marcel. Davenport milczał, przypuszczalnie tworzył raport o przeniesieniu do Południowej Armii.

– Czyli zjedzą panowie kolację – postanowił generał – a ja z wami, od rana nic nie miałem w ustach. Wicehrabio Valme, trzy dni temu otrzymałem list od pańskiego ojczulka, nic nie wspominał o pańskim przyjeździe.

– A, bo on o nim nie wiedział – przyznał się Marcel – ja sam nie wiedziałem. Wszystko wyszło przypadkiem. Roke wyjechał, ja za nim, niedaleko od Chevre-Noir natknąłem się na Davenporta, on jechał z Ollarii. Wymieniliśmy się nowościami i skręciliśmy do pana.

– I słusznie panowie zrobili – markiz Diegarron odchylił się na oparcie fotela. Valme kiedyś słyszał, ile Kenallijczyk ma lat, ale jak na złość zapomniał – Słucham.

– Charles – wtrącił Marcel – wygląda na to, że pańskie nowości są ważniejsze od moich.

– Dziękuję, panie – Davenport wstał i wyszedł na środek pokoju. Z tymi wojskowymi nie ma kiedy się nudzić – Czy słusznie zrozumiałem, że czeka pan na rozkaz Pierwszego Marszałka?

– Czekam – kiwnął kędzierzawą głową Diegarron – Ten rozkaz ma pan, czyż nie?

– Nie mam żadnego rozkazu – wyszczeekał tenent, wściekle przypominając Gerarda – opuściłem stolicę razem z pułkownikiem Anselem, kiedy Rocksleyowie uwięzili króla.

– Co pan powiedział? – generał zerwał się z miejsca i skrzywił boleśnie. Biedak! Z chorą głową dowiedzieć się o takim paskudztwie – Zaraz!

Diegarron otworzył drzwi.

– Lopez – głos markiza brzmiał niemal wesoło – znajdź mi biskupa, tylko żywo!

– A gubernatora? – zapytano zza drzwi.

– Obejdzie się. Przyjdzie Bonifacy, nakrywajcie na czterech – Kenallijczyk wrócił do biurka, ale nie usiadł, tylko jakoś dziwnie, samymi ramionami, oparł się o ścianę – Poczekamy na świętego ojca, on u nas mądry. Kiedy wyjechałeś?

– Piętnastego Wiatrów – zaczął Charles, jego twarz przybrała surowy wyraz – to znaczy szesnastego. Piętnastego zabiłem marszałka Rocksleya i przedarłem się do pułkownika Ansel. Kiedy zaczął się bunt, pułkownik zamknął się w koszarach wraz z rezerwowym pułkiem z Doraca i jedną trzecią garnizonu. Opowiedziałem o pochwyceniu Ferdynanda i zdradzie Morena i Rocksleyów. Odbijać miasto i szturmować pałac z naszymi siłami było bezsens. Ansel podjął decyzję o odejściu do Neumarinen. Wyszliśmy wczesnym rankiem, nikt nas nie zatrzymał, przynajmniej do Corty. Tam skręciłem na południe.

– I spotkałeś wicehrabiego – uważne czarne oczy wpatrzyły się w Marcela – Cóż, panie, teraz pańska kolej, proszę mówić o swoich przygodach. O felpskiej kampanii w ogólnych zarysach wiem.

– W takim razie nie będę się powtarzał – po jakiejś kocie Valem też się poderwał, jeśli wejdiesz między wrony... – Marszałek Alva dostał rozkaz zostawić armię pod dowództwem Emila Savignaca i pojechać do Urgotelli. Pojechaliśmy.

– „My”?

– Sam księżę, jego porucznik, pański pokorny sługa i kenallijska ochrona. A, byli z nami jeszcze Felpijczycy.

– A to co za ptaszki? – markiz strzelił palcami i zmieszał się. Czasem wydawał się

17 - Kto idzie? To ty, Blasco? - Ja. Z oficerami. Gdzie generał? - Tutaj. Proszę chwilę zaczekać. (kenall.)

postarzałym człowiekiem, czasem niemal chłopcem, tylko skronie były siwe. Dobry człowiek, szkoda, że rozchorował się nie w porę.

– Syn admirała Gildi, to kapitan galery i nasz przyjaciel. Roke... marszałek Alva wykupił od Felpu na trzy lata „Zakochanego rekina”.

– Co dalej?

– Dalej? – westchnął Marcel – Dalej siedzieliśmy jak kury w worku, bo listy, których nie kradł Manrik, kradł Tomas. Nie dostawaliśmy nic oprócz królewskich rozkazów, Alwę to wściekało... Rozumieliśmy, że w Taligu coś jest nie tak, i przygotowywaliśmy się do wojny z Bordonem.

– Tylko z Bordonem? – Roke jest krewnym Diegarrona czy nie? Pewnie jakiś daleki kuzyn, ale na pierwszy rzut oka tego nie widać – O Gaifie nie było mowy?

– Marszałek mówił – przypomniał sobie wicehrabia – że dożowie – to zakąska.

– Bo tak jest – skinął głową generał – „Delfiny” – droga do „pawia”. Co było później?

Później były otrute lilie, maestro Grossfichtenbaum ze swoimi skrzypcami, księżniczki, deszcz i ostatni wieczór, kiedy i ślepy by się domyślił... Valme odkaslnął, lilie i księżniczki nie interesowały markiza, a ostatnia pieśń... O niej nie da się opowiedzieć nawet Kenallijczykowi.

– Dwunastego Jesiennych Wiatrów Alva czegoś się dowiedział... – i udawał, że wszystko w porządku, łajdak – Zniknął rano razem z galerą Gildi, nawet Kenallijczyków zostawił.

– I pan?

– Pojechałem do Taligu – z Tronko wszystkie jego eskapady wyglądały śmiesznie i bezsensownie, jakimi i były. Wicehrabia Valme rzuca się na pomoc Kenallijskiemu Krukowi! Zdziwiająca fabuła...

– Rozumiem – umyślnie obojętnym głosem powiedział Diegarron – Drogi o tej porze roku pozostawiają wiele do życzenia.

– Na tym świecie dużo rzeczy pozostawia wiele do życzenia – oznajmił Marcel, rozumiejąc, że właśnie popełnia kolejne głupstwo – Generale, prosimy wykorzystać nas odpowiednio do naszych umiejętności i wiedzy.

– Chwileczkę, wicehrabio – machnął ręką Kenallijczyk – Co robić z umiejętnościami Valmonów, wiedzą najlepiej sami Valmonowie. Carlo, dawno widziałeś się z ojcem?

– Wiosną w Davenportie.

– Pojedziesz do niego, ale nie od razu, a przez Nador. Armie Taligu muszą stać się jedną całością – generał sięgnął do kałamarza, ale rozmyślił się – Nie ma nic głupszego od rozkazu, napisanego przed kolacją. Kapitanie, Alva panu tego nie mówił?

– Nie – wzruszył nagle zamarzłymi ramionami Marcel – On mówił, że armia wojny zawsze pokona armię pokoju...

Za ścianą coś trzasnęło, potem jeszcze raz, już bliżej. Valme obejrzał się i zobaczył imponującego ollariańskiego biskupa z bogatym znakiem na piersi, ale w ciężkich zdeptanych butach. Święty ojciec wszystkiego miał dużo, ale szczególnie – brwi i brzucha.

– Okna niebiańskie się roztworzyły – podniosło oznajmił duchowny – „i nie mogła ziemia przyjąć w łono swoje całej wody, i wyszły z brzegów rzeki...”, a wszystko dlatego, że opadła na ziemię woda, a wody dużo nie wypijesz.

Diegarron w milczeniu podszedł do barku i wyciągnął stamtąd butelkę i cztery kubki. Bonifacy, a posiadacz takich brwi mógł być tylko nim, chytrze spojrzął na Kenallijczyka i zwrócił się do Marcela:

– Powiedziane jest: szlachetność żony odbija się w twarzach dzieci jej, a ścieżka wojownika jest udziałem odważnych i silnych duchem. Widzę, że następca Valmonów zamienił szarłat i brokat na zbroję, a pozłotę – na stal.

– Sam się dziwię – wymamrotał wicehrabia, z osłupieniem patrząc na świętego ojca – wyszło tak.

– Nie ma takiej drogi, która by od Stwórcy nie była daną – podniósł gruby palec pasterz – ale wybór drogi życia, równo jak i wybór małżonki, jest dzieło dobre a niewymuszone. Ty nie liść spadający z drzewa, a człowiek, i nie wiatr tobą miota, a sam idziesz. Dlatego i mówię, zuch. Co przywiozłeś? Kiedy „pawia” skubać będziemy?

– Do „pawia” daleko – Diegarron nalał do kubków jakiegoś podejrzanego płynu, podobnego i nie podobnego do kasery, zapachniało piołunem – i do Ollarii też. Spóźniliśmy się my i Rosio też się spóźnił.

ROZDZIAŁ 6

RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 20 dzień Jesiennych Fal

1

Różowe zimowe lilie pachniały perfumeryjnym straganem i osypywały nieostrożnych lepkiem czerwono-brązowym pyłkiem. Paskudne kwiaty i paskudny ranek! Luiza Aramona z nienawiścią wepchnęła woniejący perfumami bukiet w brzuchatą nuchucką wazę i trzymając ją w wyciągniętych rękach, żeby nie defilować z poplamionym nosem, pojawiła się przed tonącą w fotelu królową, którą kazano nazywać „panią Ollar”.

Katarina nie protestowała. Z przyjściem Rakana kotka uznała za najlepsze zmienić się w półzdechłego anioła – jeśli nie leżała zemdlona, to modliła się albo trzęsła w gorączce, Luiza nijak nie mogła się zdecydować, udawanej czy nie. Katarina wyglądała tak, że w trumnę ładniejszych kładą, ale kapitanowej nie cieszyło nawet to.

– Skąd one? – zaszeleściła królowa, patrząc na przerażający bukiet.

– Z oranżerii Rocksleyów – hrabiowski braciszek jest w tobie zakochany jak wiosenny zając i ty o tym doskonale wiesz. I lilie też znasz, bo Pridd przysłała chryzantemy, a Okcdell – cyklameny i fuksje. Osły!

– Ja... dziękuję – jej była wysokość raczyła dotknąć paluszką różowego jak kalesony Manrika płotka, westchnąć i przymknąć oczęta. Przystawiona do chorego jagniątka Odetta Matthews zakołysała watomaną piersią i zaszczekała:

– Jaka rozkosz!

– O tak – szepnęła Katarina – ale ja wolę leśne i polne kwiaty... Od zapachu lilii robi mi się słabo. Miła Luizo, czy nie sprawi pani kłopotu wyniesienie tych kwiatów?

Miłej Luizie nie sprawiło. Jaka by nie była Katarina, od lilii rzeczywiście robiło jej się niedobrze. Można kłamać słowami, oczami, ustami, ale zieleniec na żądanie jeszcze nikt się nie nauczył. Pani Aramona spiesznie wylokła z sypialni przekłety bukiet, pomyślała chwilę, poszła do niewielkiego pokoiku, zamienionego w coś podobnego do poczekalni, i postawiła ciężar na kominku. Gdyby to zależało od niej, kobieta trzasnęłaby wazą ze śmierdziuchami o podłogę, a jeszcze lepiej – o głowę zakochanego kapitana Osobistej karaluszej ochrony czy jak mu tam, ale trzeba było iść za przykładem Katariny i siedzieć cicho.

– Pani Aramona – Luiza wzdrygnęła się nie gorzej od najdroższej Katari i równie pospiesznie się odwróciła. Odetta Matthews przycisnęła palec do ust i zamknęła drzwi – Pani Aramona, niepokoi mnie zdrowie jej... pani Ollar. Ona nic nie je!

Nie je – i Leworęki z nią! Mniej niż o apetycie Katariny Arigau Luiza myślała tylko o własnym. Nie, ona rozumiała, że życie jej i Seliny zależy od tego, na ile szczęśliwie błada niemoc w salonie zamiesza w głowach obecnym gospodarzom Ollarii, ale rozumieć – to jedno, a żałować – zupełnie co innego.

Kapitanowa kilka razy silnie westchnęła.

– Pani Ollar ma takie słabe zdrowie! Ona zawsze jadła jak ptaszek.

Może kotka rzeczywiście nie miała apetytu, ale najprawdopodobniej nieszczęsna bała się przytyć. W cierpienia krowy nikt nie uwierzy, mimo że krowy cierpią nie mniej niż motylki.

– Nie wie pani – Odetta była psem dobrodusznym i z całych sił troszczyła się o powierzona jej owcę – czy takie ataki bywały wcześniej?

Kto ją tam wie? Tak blada Katari nie była nawet w Bagerlee, ale wtedy głupia jeszcze nie zapędziła w pętlę człowieka, bez którego umierała. I lepiej by umarła! Gdyby nie żona, Ferdynand byłby w Priddzie, a Roke – na wolności. Miłej Katari nie chciało się iść do więzienia wraz z Manrikami i zatrzymała męża w stolicy...

– W ostatnich miesiącach pani Ollar musiała wiele przejść – z godnością powiedziała Luiza – Rozłączono ją z dziećmi, została uwięziona.

Jasne, akurat ta kukółka myśli o dzieciach! Niedoczekanie! Tylko o sobie. No, może jeszcze o Roke, tylko co jej teraz z tego myślenia? Swoje już zrobiła!

– O tak – zakołysała policzkami Odetta – Jak ja ją rozumiem. Ja sama...

„Ja sama...” Luiza już zapomniała, ile razy słyszała tę frazę. Odetta miała córkę, którą wziął za żonę krewny Rocksleyów. Teraz „mała Jenny” była w błogosławionym stanie, o czym matka trajkotała od rana do wieczora. Nieliczna świta byłej królowej wpadała przez Odetę w konwulsje, ale Luiza potulnie słuchała. Dobre stosunki z nadzorcami jeszcze nikomu nie zaszkodziły, poza tym dopóki Matthews brzęczała o porannych mdłościach, można było myśleć o swoich sprawach.

Gdyby była tu Aglaia Cregon i gdyby się domyśliła, jakie myśli brodzą po głowie córki, Luiza kolejny raz dowiedziałaby się, że jest wykapaną marmaluką. Na szczęście matki w Ollarii nie było. Tatusz wywłókł kochankę i młodszych wnuków z miasta, tak że o Julesa i Amalię kapitanowa się nie niepokoila. Hrabia Credinge nie był z tych, którzy trafiają w pułapki i liczą suany. Z Gerardem też wszystko było w porządku. Matki, nawet najbardziej marmalukowe, zawsze wiedza, co się dzieje z ich dziećmi. Kiedy siedmioletnia Selina przez głupotę Arnolda omal nie utonąła, Luiza to poczuła. I kiedy Jules złamał rękę, a Gerard wpadł do studni – też. Nie, Julesowi, Amalii i Gerardowi nic nie grozi, a Selinę ma na oku. Stare skrzydło pałacu, gdzie umieszczono „panią Ollar”, było jednym z najbezpieczniejszych miejsc zadzumionej Ollarii. I najspokojniejszych, bo Katarina Arigau nie chciała nikogo widzieć, Rakan nie chciał widzieć żony Ollara, a zakochany Rocksley ukrywał swój skarb przed rywalami.

– Pani, jak matka, mnie rozumie – brzęczała opętana Odetta – chociaż nie, panią to dopiero czeka. Naprawdę możesz zrozumieć, czym jest macierzyństwo, dopiero wtedy, kiedy twoja własna córka nosi dziecko. A teraz, skoro już tak rozmawiamy, to przejdźmy do kredensu. David przysłał kandyzowane gruszki, absolutnie rozkoszne! One i tak przepadną, jej wys... pani Ollar nie ma apetytu. A właśnie, lekarz powiedział mojej córce, że z jej budową ciała...

Zabić by matkę i córkę razem z nienarodzonym dzieckiem i zapisać się do wychodźców! Luiza ze zrozumieniem pokiwała głową:

– Doktor ma rację, za dużo słodyczy szkodzi, szczególnie jeśli kobieta nosi chłopca.

– Tak pani myśli? – Odetta złapała Luizę pod rękę – No chodźmy! Zapewniam panią, naszej nieobecności nikt nie zauważy.

– Z chęcią, szczerze mówiąc, uwielbiam słodycze.

Przyjdzie zjeść gruszki w cukrze i chrząkać, a Roke w Bagerlee. Sam! Książę nie jest z tych, którzy ciągną za sobą w Zmierzch innych. On nie wziął ze sobą nikogo... Nikogo! Gerard jest cały i bezpieczny, a niebieskooki Kenallijczyk znalazł się w łapach bękarta, któremu się wydaje, że jest królem. Święta Oktawio, no dlaczego on to zrobił?! Ferdynand to dobry człowiek, ale TAKIEJ ofiary nie jest wart. Gdyby byłego króla stracono, Luiza by ryczała, nie wysychając, całymi nocami, ale teraz kapitanowa własnoręcznie by udusiła głupiego grubasa, przez którego Alva wlaź do paszczy Zwierza.

Gabinet jego wysokości znajdował się we władzy tapicerzy, więc Aldo oczekiwał swojego marszałka w sali Wysokiej Rady. Rober wybrałby do pracy wygodniejszy pokój, ale on nie zamierzał władać światem. Gimneci stuknęli o podłogę potwornymi halabardami i Pierwszy Marszałek Taligoi wpadł do przystani mądrości. Suzeren siedział na tronie, pochłonięty dokumentami, na podłodze u nóg jego wysokości wznosiły się dwa stosy papierów. Aldo beztrudno rzucił to, co czytał, na lewy i przeciagnał się.

– Chodź tutaj, inaczej trzeba będzie krzyknąć.

– Większego pokoju nie znalazłeś? – Epineix z wahaniem obejrzał papierowe góry – I ze stołem?

– Nie pomyślałem – przyznał się Aldo – a skakać tam i z powrotem to niesolidnie, królowie nie skaczą.

– Królowie myślą – nie wytrzymał Inochodziec, opadając w najbliższy fotel, niebieski. Cóż, oto i powód do beznadziejnej rozmowy.

– Chyba staję się następcą Kruka. Najpierw koń, teraz fotel...

– Byłoby nieźle, jakbyś jeszcze miecz znalazł – żywo zareagował jego wysokość – Stwory Zmierzchu, koronę mam ja, berło Esperadora, a miecz ten niegodziwiec!

– Aldo... – najważniejsza teraz jest obojętność, ty nie chcesz mieszać się do tej sprawy, ale nie możesz nie zaproponować przyjacielowi swoich usług – Chcesz, porozmawiam z Krukiem? Niech odda miecz, a my...

– Nie! – ściągnął brwi Aldo.

– Dlaczego? – lekka uraza i niezrozumienie. No pewnie, chciałeś pomóc, a dostałeś nieuprzejmość – Nie ufasz mi?

– Nie chcę, żeby mój marszałek miotał się między obowiązkiem a fałszywą wdzięcznością – uciał suzeren – Dałem Krukowi czas do namysłu. Do koronacji. Potem niech ma pretensje do siebie!

– Więc z nim rozmawiałeś?

– Rozmawiałem – Aldo wyraźnie nie rwał się do wdawania się w szczegóły, ale zmarszczka między brwiami mówiła sama za siebie – Wyjątkowy impertynent! On jeszcze nie rozumie swojej sytuacji.

Alva nie rozumie? Jeszcze czego! To ty niczego nie zrozumiałeś, nie nauczyłeś się i nie widzisz, że niedługo będziesz musiał wybierać między skórą a koroną. W Epineix jeszcze można było się wycofać, nawet teraz nie jest za późno, ale Aldo wczepił się we władzę jak wybrakowany gończy w zająca. Trzęsie i nie zauważa, że dookoła – wilki. Rober beztrząsco machnął ręką:

– No i niech idzie do kotów. Lepiej mi powiedz, kto spotyka taligojskiego kardynała?

– A ty skąd wiesz? – Aldo podejrzliwie zmrużył oczy.

– Jestem Pierwszym Marszałkiem czy nie? – z ostatnich sił ziewnął Inochodziec – Zameldowano mi o kurierach Esperadora.

– Nicolas?

– On jest komendantem Olla... tfu, Rakany. Ale nie wie, co jest w liście.

– Mam nadzieję – Aldo odchylił się na oparcie fotela i psotnie puścił oko – Ale tobie powiem. Jedzie do nas Levi z Zakonu Miłosierdzia. Jak widzisz, obeszło się bez „prawdziwców”, a ty tak się tego bałeś.

– Bałem się – przyznał Rober – i teraz też się boję. Tak łatwo oni nas nie zostawią.

– Ile razy mam ci mówić, że to my ich zostawimy, kiedy będzie trzeba – Aldo przymierzył się i przeskoczył przez rozłożone papiery – Ale teraz nie obejdziemy się bez kleryków. Potrzebuję błogosławieństwa i potrzebuję berła, i ja je dostanę!

– Nie myślisz chyba – Rober też wstał, na niebieskim atłasie wił się srebrny huragan, zwiastując żywioł – że Esperador rozstanie się z podarunkiem Ernani Świętego?

– Rozstanie się – zapewnił Aldo – kiedy będę miał miecz i koronę. Wtedy będziesz mógł pożerać cywilników w całości, nawet słowa nie powiem.

– Jestem Inochodźcem, a nie yzargiem – skraplająca się od rana złość wyrwała się na zewnątrz, wyszczerzyła i zasyczała – padliną się nie żywię.

– A padlina jest – zaśmiał się Aldo – i ją trzeba jeść, żeby nie śmierdziała, czyli bez ścierwników się nie obejdziemy. Dobra, nie po to cię wzywałem. Pora złożyć wizytę twojej kuzynce, bo biedną zupełnie porzucono.

– Wybierasz się do Katariny? – innych kuzynek on nie ma, przynajmniej z prawego łóża – Po co?

– Właśnie – potwierdził jego wysokość – Za ową osobę wstawia się książę Ockdell, a mógłbyś i ty.

Suzeren poprawił szarfę i puścił oko. Był z siebie zadowolony, jak zresztą zawsze.

Luiza wściekle kroїła przekłete owoce, nie zapominając przy tym pretensjonalnie odstawić małego palca i ochać i achać w odpowiednich, z jej punktu widzenia, momentach. Grusze były przygotowane zgodnie ze wszystkimi zasadami sztuki cukierniczej, tylko pani Aramona od dzieciństwa nie cierpiała słodczy.

– Szkoda, że pani Ollar nie przyjmuje gości – Luiza heroicznie przełknęła kąsek kandyzowanego koszmaru – i nie może podziękować panu kapitanowi za troskę. To taki szlachetny młody człowiek! Teraz pewnie ma dużo spraw?

– Potwornie dużo – potwierdziła Odetta i nacisnęła na srebrny nożyk do owoców. Grusza pękła, spluwając w krzywdzicielkę miodowym sokiem. Luiza wyszarpnęła chusteczkę i podała oblepionej głuptasce.

– Szybko, proszę zetrzeć! A plamy na sukni zaraz zasypujemy solą!

– Dziękuję – zasapała łakomczucha, wycierając gębę – pani jest taka uprzejma.

– Ach, skądże! – wyśpiewała Luiza – To moja wina. Rozproszyłam panią rozmowami o krewnych, ale proszę mnie zrozumieć, jest pani osobą, stojącą blisko tronu, a ja jestem tak ciekawa...

Stojąca blisko tronu osoba uśmiechnęła się życzliwie i znów zajęła się owocem. Gdyby tylko mniej plotkowała o swojej brzuchatej córce i więcej o polityce...

– Tak, mój zięć nic nie ukrywa przed moją córką – połowa gruszki zniknęła w miękkiej paszczy – i to mnie niepokoi. W jej stanie nie powinna wiedzieć o pewnych rzeczach...

A pani Aramona w swoim stanie musi o nich wiedzieć wprost koniecznie! Czyli będziemy żuć słodczy i kiwać. Kiwać, żuć i pytać.

– Pani Matthews, pani mnie straszy! Coś się stało?

– Na szczęście nie, ale James Rocksley będzie musiał wyjechać na spotkanie nowego kardynała. To bardzo niebezpieczne.

– Niebezpieczne? – kwiknęła Luiza, lekko otwierając usta – Pani mówi, niebezpieczne?!

– Na drogach sytuacja jest bardzo ciężka – pani Matthews, bez wątpienia, powtarzała słowa zięcia – W Ollarii są trudności z zaopatrzeniem, a ci niegodziwi karczmarze i handlarze ukrywają zapasy. Pani nie uwierzy, ale po chleb trzeba teraz wysyłać żołnierzy.

I niby dlaczego ona ma nie uwierzyć? Nawet z chęcią uwierzy. Jaki dureń powiezie towar, jeśli go i tak odbiorą?

– Dziękuję – przysła babcia podała Luizie lepką, woniejącą cynamonem szmatkę – bardzo mi pani pomogła.

– Ale buntu nie będzie? – Luiza dwoma palcami wzięła zniszczoną chusteczkę i przypadkiem upuściła pod stół – Co za szczęście, że jesteśmy pod ochroną gwardii! I jak to wspaniale, że gwardią dowodzi James Rocksley. Tak mu pasuje nowy mundur. Przecież to prawdziwy przystojniak! Pewnie niedługo się ożeni?

– Widzi pani – przewróciła oczami Odetta – tu są pewne trudności. Mam nadzieję, że mogę być z panią szczerą?

Luiza całą sobą pokazała, że tajemnica pójdzie z nią do grobu, ale usłyszeć o trudnościach w rodzinie Rocksleyów się jej nie udało. W korytarzu rozległ się szum, pani Matthews klasnęła w dłonie i rzuciła się do drzwi, Luiza potruchtala śladem. Zdażyły zobaczyć, jak piękny kawaler w bieli i złocie składa wyrafinowany ukłon skulonej w kłębek Katarinie Arigau.

– Pani, powinienem był zrobić to wcześniej, ale miałem zbyt dużo spraw do załatwienia. Proszę mi wybaczyć, że obejdę się bez ceremonii i przedstawię się sam. Jestem Aldo Rakan.

Ten?! Oczy Luizy wpiły się w nowoprzybyłego króla. On rzeczywiście był przystojny. Zgrabny, wysoki, jasne włosy, błękitne oczy, na podbródku – dołeczek. Na widok takich aniołków kobiety mdleją z zachwytu, ale Luiza Aramona była megierą i nie znosiła słodczy pod każdą postacią.

Młoda krucha kobieta skuliła się w przepastnym połączonym fotelu. Na skórzanych poduchach zmieściłyby się trzy Katariny, ale ona była sama. Zupełnie sama. Przestraszona, nic nie rozumiejąca, chora. Twarz nieruchoma, ręce szarpią bursztynowy różaniec. Złociste, jak oczy

Mellit, kamienie drżą w długich palcach...

Rober stał za plecami Aldo i patrzył na cioteczną siostrę, sam nie wiedząc, poznaje ją czy nie. Nieraz widział Katari, najpierw jako małą dziewczuszkę, potem – dziewczynę, ale zapamiętywał tylko szkarłatne rodowe suknie i jasne, jak u matki – mieszkanki północy – włosy. Warkocze byłej królowej były jak dawniej zbyt ciężkie dla szczupłej szyi. Suknia kuzynki była teraz czarna, a twarz Rober zapomniał zupełnie, chociaż zgodnie ze wszystkimi prawami to on będzie teraz odpowiadał za tę kobietę. Jeśli, naturalnie, nie pojawi się jej zablakany braciszek, ale to mało prawdopodobne.

Z boku coś zaszeleściło, pewnie służący. Była królowa drgnęła, jakby się ocknęła, rzuciła różaniec, pospiesznie zerwała się z fotela.

– Ja... Witam... Jestem szczęśliwa, mogąc widzieć potomka Ernani Świętego...

Bursztyn ześliznął się z gładko wyprawionej skóry i bezdźwięcznie upadł na dywan. Aldo dżentelmeńsko podniósł paciorki i podał rozmówczyni.

– Proszę się uspokoić, pani, pani i jej dwórki są bezpieczne.

Królowa mrugnęła i nieśmiało dotknęła słonecznych koralików. Nieszczęsna istota! Kto ją tak zastraszył? Bo na pewno nie Ferdynand. Sylwester? Manrikowie? Zmarli bracia? Albo wszyscy naraz. Josina mówiła, że matka Katariny też nie należała do odważnych.

Aldo wziął kurczowo ściskającą kamyczki kobietę pod łokieć i podprowadził do fotela przy oknie. Na szczęście, nie tak ogromnego.

– Błagam, niech pani usiądzie – Epineix nie mógł widzieć twarzy suzerena, ale z kobietami Aldo obchodził się bardziej umiejętnie niż z końmi. Nie bały się go i wierzyły mu, niekiedy za bardzo.

Była królowa uśmiechnęła się z wysiłkiem i prawie upadła na brokatowe poduszki. Aldo osobiście przysunął krzesło i usadowił się naprzeciwko rozmówczyni.

– Pani, rozumiem, że przywykła pani do innej sytuacji, ale pani małżonek nigdy nie był prawowitym królem tego kraju.

– Wiem... Ale jego nazywano królem, a mnie – królową, tylko... Tylko... – kobieta w fotelu umilkła, wpatrując się w zaręczynową bransoletę na szczupłym nadgarstku – Byłam nikim... Nawet mniej niż nikim. Zakładniczką, która nie spełniła pokładanych w niej nadziei, przeszkodą na drodze mężczyzn, więźniarką... Nie, wasza wysokość, w mojej sytuacji nic się nie zmieniło. Nic nie straciłam i nic nie zyskałam.

– O nie – miękko poprawił Aldo – Zyskała pani wolność. Wydano panią za męża siłą, pani i Ferdynand Ollar należycie do różnych religii. To wystarczy, żeby nowy kardynał ogłosił wasze małżeństwo nieprawomocnym i zwrócił pani rodowe nazwisko.

– Wasza wysokość – Katarina podniosła oczy na gościa, jakby prosiła o wybaczenie – dziękuję panu za pańską dobroć, ale nie mogę z niej skorzystać.

– Dlaczego? – Aldo wyglądał na zdziwionego – Jest pani młoda, piękna, czeka na panią szczęście.

– Wasza wysokość – w głosie kobiety brzmiały smutek i nieprzejednanie – zgodziłam się wyjść za Ferdynanda Ollara i przeżyć z nim do końca swoich dni, kiedy był królem. Tak, zrobiłam to na prośbę rodziny, ale dobrowolnie. Nikt mnie nie zmuszał. Złożyłam przysięgę i dotrzymam jej. W świecie jest tylko jeden Stwórca, a dziewczyna tylko jeden raz może oddać swoją niewinność... Przed Stwórcą i swoim sumieniem jestem żoną Ferdynanda Ollara i muszę podzielić jego los, jakim by on nie był.

A Dickon tym razem miał rację, Katari rzeczywiście jest perłą! Nie kochać męża, ale nie zostawić go w biedzie! Na takie nie każda się zgodzi, chociaż szlachetność Katari może uratować jej życie, kiedy powrócą Ollarowie. A oni powrócą.

– Pani uczucia i pani słowa czynią honor pani i pani domowi – skłonił głowę Aldo – O losie Ferdynanda Ollara jeszcze nie zdecydowano, wrócimy do tej rozmowy później.

– To niczego nie zmieni – Katarina wstała, zmuszając do tego samego królewskiego gościa – Nie chcę, żeby mówiono o mnie: ta kobieta oddała się królowi i wyrzekła się więźnia. Jeśli zostawałam z mężem, kiedy był on na tronie, jak mogę odejść teraz? To... To niehonorowe!

Suzeren uśmiechnął się i Rober zrozumiał – przyszła mu do głowy myśl, która wprawiła go w zachwyt.

– Pani – Aldo Rakan pocałował szczupłą dłoń – jest pani prawdziwą eorią taligojską, ale ja jestem pani królem. Nie pozwolę pani gubić swojego życia, ale jest pani zbyt słaba i

zdenerwowana. Proszę usiąść.

Nie protestowała. Nie dlatego, że się poddała, ale dlatego, że i tak zrobi po swojemu. Pokona strach, niechęć, odrazę, ale zrobi. Bo uważa to za konieczne. U niektórych kobiet poczucie obowiązku przewyższa wszystko. Taka jest Katari, a u Mellit wszystko przewyższa miłość... I jedna, i druga zasługują na szczęście, ale czy jest ono na tym świecie?

– Erea – Aldo też usiadł, ale w odróżnieniu od Katariny nie uważał rozmowy za zakończoną – Pani małżonek jest wrogiem Taligoi, ale pani nie jest niczemu winna. Zgodnie z prawem, powinna pani przejść pod opiekę najbliższego krewnego. Mam nadzieję, że hrabia Arigau niedługo będzie z nami.

Hrabia Arigau nie przyjechał do stolicy nawet kiedy otrzymał tytuł. Kuzyn całe życie spędził w Torce i podobno został najprawdziwszym Bergerem. Niby dlaczego miałby wracać?

– Germon... – spojrzenie Katariny zamglilo się – Pisałam do niego, ale moje listy nie docierały... Otoczenie mojego... mojego męża oderwało mnie od wszystkich, których kochałam.

– Niech pani o tym zapomni – zażądał Aldo – Raz i na zawsze. Poza tym jednego krewnego pani przyprowadziłem. Jeśli się nie mylę, mój Pierwszy Marszałek – to pani kuzyn, i on jest tutaj.

5

Nie wiedział, o czym mówić. I Katarina nie wiedziała. Epineix patrzył w błękitne oczy ciotecznej siostry, o której nie wspominał przez dziesięć lat. Zapominałski podlec! Dobrze, że Aldo na prośbę kulącego się za drzwiami Dicka poszedł z wizytą do byłej królowej, jemu samemu nie przysłoby to do głowy. Władca Błyskawic kapał się w wyobrażonej samotności, a tuż obok był człowiek, kobieta, rozpaczliwie potrzebująca pomocy i zbyt dumna, żeby o sobie przypominać.

– No co, krewniaczku? – zarechotał Aldo – Odjęło ci mowę?

Odjęło. Najpierw sumienie, teraz mowę. On myślał o wszystkich: o południowcach, Aldo, Roke, powieszonym chłopcu, o Moro wreszcie – ale nie o kuzynce. I przecież nie on jeden! Udo też jest dla Katariny kuzynem, chociaż i dalszym. I też zapomniał. Biedną dziewczynkę wrzucono do legowiska zmił i tam zostawiono. Bo była niepotrzebna.

– Katarino – słowa wzięły w gardle – co mogę dla pani zrobić?

– Nic – w błękitnych oczach pojawiły się i zniknęły łzy – Mam wszystko... Niech się pan o mnie nie martwi... Dobrze, że pan przyszedł... Chcę ci coś powiedzieć. Ja wiem wszystko... i o erze Guillaume, i o twojej mateczce... Tak mi przykro!

Jej przykro! Zamiast wlepić mu policzek, ona płacze po jego matce. Rober uniósł do ust suchą gorącą dłoń:

– Katari, ja zupełnie cię nie znałem.

– Bo i skąd? – uśmiechnęła się bohatersko – Nie byłam w domu od... od ślubu, a ty?

– Po Laik jestem pierwszy raz w Ollarii!

– W Rakanie, Roberze – dobrodusznie poprawił suzeren – To nic, teraz sobie porozmawiacie. Ereo, jeśli kuzyn będzie dla pani nieuprzejmy, wsadzę go do Bagerlee jako zdrajcę stanu.

– Nie! Tylko nie Bagerlee! – Katarina zerwała się, ciężka fryzura nie wytrzymała, na szczuplutkie ramiona runął popielaty wodospad – Przepraszam! Ja... Ja po prostu się wystraszyłam. Tak głupio...

– To pani niech nam wybaczy – w głosie Aldo dźwięczała zupełnie niepodobna do niego skrucha – nieudanie zażartowałem. Rober jest moim najlepszym przyjacielem, nigdy nie zrobimy sobie nic złego. Jednak, pani, gdyby nie mój nietakt, straciłbym możliwość spojrzenia na najpiękniejsze włosy mojego królestwa.

– Wasza wysokość – Katari uniosła ręce, jakby się broniła – proszę tak nie mówić.

– Pani – suzeren często ukrywał zmieszanie za prawdą lub za figlarnością, ale skąd Katarina mogłaby o tym wiedzieć? – Jestem królem Taligoi i mówię wszystko, co uważam za słuszne. Ma pani naprawdę cudowne włosy.

– Wasza wysokość – powiedział, że są przyjaciółmi, niech cierpi – na prawach opiekuna proszę, by nie peszył pan mojej kuzynki. Ona nie zna nas zbyt dobrze i może nieprawidłowo zrozumieć.

– Niestety – Aldo z całej siły trzasnął Robera w ramię – ale niedługo pozna nas lepiej. Ereo, przez całe życie marzyłem, by spotkać kobietę, w której szlachetność łączy się z urodą i nareszcie

spotkałem.

Pusty komplement. Byłby pusty, gdyby nie obrażał Mellit, o której ten wartogłów nawet nie wspomina. Żeby tylko Katarina nie wzięła tego za dobrą monetę, ona i tak jest nieszczęśliwa.

– Wasza wysokość – wymamrotała kuzynka – Ja... cieszę się, że mogłam pana zobaczyć... I Robera, ale nie spodziewałam się gości. Jeśli pozwolicie... Chciałabym doprowadzić się do należytego porządku.

– Naturalnie – suzeren wstał i uklonił się – do pani dyspozycji będzie tyle służących, ile będzie trzeba. Mam nadzieję, że zobaczę panią na koronacji.

– Wasza wysokość – ona znów podniosła głowę, jak wtedy, kiedy odmawiała porzucenia Ferdynanda – proszę uwolnić mnie od tego zaszczytu. Małżonka nie powinna bywać na dworze, kiedy małżonek jest w Bagerlee.

– Jak pani sobie życzy – w głosie Aldo rozdrażnienie mieszało się z zachwytem – ale szwaczki i wzory tkanin ja pani i tak przyślę.

– Jest pan bardzo dobry, ale mi nic nie potrzeba.

– I po czymś takim ktoś jeszcze ośmiela się mówić, że aniołów nie bywa?! Cóż, erca, słuchamy i odchodzimy, ale nie na długo – Aldo rzeczywiście wstał, ale do drzwi nie doszedł. Czoło suzerena przecięły dwie zmarszczki. Przypomniawszy sobie o czymś, i to chyba o czymś nieprzyjemnym.

– Ereo, wiem, że wśród pani dwórek jest panna Ockdell.

– Iris jest moją przyjaciółką – oczy królowej zniemacka zrobiły się błagalne – Tyle jej zawdzięczam. Ona była moja oporą... Ona i wdowa po kapitanie Laik z córką. Gdyby nie one, ja bym... nie przeżyła.

– Cieszę się, że młoda księżna jest godna ojca i brata – z jawną niechęcią zapewnił Aldo – Richard pisał do niej, ale nie otrzymał odpowiedzi. Uważa, że Iris boi się rozłąki z panią.

– Wasza wysokość – twarzyczka Katariny poszarzała – Ja... Słabo mi. Proszę pozwolić...

Rober zdążył uprzedzić Aldo, łapiąc upadającą kobietę.

Suzeren głośno wzywał lekarza i krzyczał na służące. Pierwsze wbiegły dwie duenie – gruba i chuda – potem w drzwiach mignęła przestraszona dziewczęca twarzyczka. Koścista dama z rozkosznymi jasnymi włosami wcisnęła się między Robera a suzerena i rozkazała:

– Ona musi się położyć. Natychmiast.

Epineix pokornie opuścił swój ciężar na ogromne łóżko. Katarina była nieprzytomna. Trzasnęły drzwi, przyszedł lekarz. Jasnowłosa duenia złożyła ukłon:

– Panie, są rzeczy, które kobiety ukrywają nawet przed królami. Proszę wyjść.

ROZDZIAŁ 7

RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 20 dzień Jesiennych Fal

1

Jak długo można posyłać kwiaty i liściki, kiedy trzeba przyjść samemu i powiedzieć o swojej miłości. Głośno i otwarcie! Niech wszyscy wiedzą, że Richard Ockdell kocha Katarinę Arigau i broni jej swoim honorem, swoim ostrzem i swoim imieniem! Katari podziwiała ojca, ale szczęśliwa będzie z synem. Złączą się węzłem małżeńskim w Ollarii, a potem Dick zawiezie żonę do Nadoru, ale nie od razu. Zamek trzeba przebudować, tylko najpierw trzeba będzie namówić matkę, aby przeprowadziła się do wdowiej twierdzy.

Katarina jest zbyt łagodna i ustepliwa, nie wolno jej mieszkać pod jednym dachem z teściową, a i siostrą czas już wyjść spod matczynej opieki. Tej zimy w stolicy jest niebezpiecznie, ale następnego roku wszystko wejdzie na swoje miejsce i narzeczona z Domu Skał zajmą należne im miejsce. Oczywiście najlepszą partią byłby Walentyn Pridd, ale spowinowacić się z Ośmiornicami?! Rober jest starszy od Iris o trzynaście lat, ale to można byłoby przeżyć, gdyby nie ostatecznie zepsuty charakter. Aldo uważa, że Inochodźca zgubiły stare porażki. On nie wierzy w zwycięstwo i w swoje siły. Rozmawiać z nim jest coraz trudniej, ale o rękę Katari trzeba będzie prosić albo jej brata, albo Robera, tyle że stanie się to nie wcześniej, niż jej wysokość uwolni się od Ferdynanda.

Grubego uzurpatora, wciąż jeszcze uważanego za męża Katariny, zamknięto w Bagerlee, chociaż lepiej byłoby wysłać go w Zmierzch. Nieważne, jaką miernotą jest Ollar – jego istnienie to powód do buntu. Nawet jeśli teraz „gnojzarze” przycichli, nie należy się cieszyć, wiosną dadzą o sobie znać. Za wolność Taligoi przyjdzie się bić i do ostatecznego zwycięstwa dożyją nie wszyscy.

W dalekim końcu galerii rozległy się głosy i kroki, głucho stuknęły drzewca halabard, trzasnęły drzwi – zmieniła się straż. O czym można rozmawiać przez tyle czasu? Młodzieniec nie wiedział, co myśleć: Aldo nie zamierzał spędzić zbyt wiele czasu u Katari, tylko zapewnić ją o swojej opiece i pozwolić pannie Ockdell przeprowadzić się do brata. To powinno zająć kilka minut, a tymczasem zegar wybijał kwadrans za kwadrans, a król się nie pojawiał. Teraz Richard przeklinał się za to, że nie poszedł z Aldo, ale pierwsze po rozłące spotkanie nie jest przeznaczone dla cudzych oczu. Swoje damy królowa może odesłać, a upartych, gdyby się takie znalazły, księżę Ockdell może przywołać do porządku, ale króla przecież nie można poprosić, by wyszedł. Gdyby Aldo znał prawdę, nie przeszkadzałby, ale rodowa powściągliwość przeszkodziła Dickowi w wyjawieniu swoich uczuć nawet przyjacielowi i suzerenowi.

W Galerii Alackiej, łączącej pałac z Dworkiem Myśliwskim, gdzie umieszczono Katari, było dwadzieścia ozdobionych witrażami okien. Dickon trzeci raz z rzędu zabierał się do liczenia kolorowych szkielek, ale za każdym razem tracił rachubę i zaczynał od nowa, a czas mijał i do myśli o Katari podle wplątywały się inne, małostkowe i niedorzeczne. O gorącym winie, kromce chleba z masłem i bodaj jednej ławeczce.

Niestety, galeria nie była przeznaczona do czekania, nie było w niej mebli – tylko obrazy i myśliwskie trofea, dobrze jeszcze, że obeszło się bez dziczych głów. Złe języki mogą przewrócić do góry nogami wszystko, w tym i herb, a złych języków w Ollarii jest mnóstwo nawet teraz. Namazał przecież ktoś na wrotach „Świnia w kruczych piórach”. Napis zmyto, nieprzyjemny osad został.

Richard westchnął, oparł się o ścianę, starając się, aby ciężar ciała przyjęły na siebie plecy, i znów zaczął liczyć szkła. I tak liczył, dopóki przez dalsze drzwi nie wpadł impertynent w liliowej liberii z koszykiem chryzantem. Richard nigdy nie lubił tych rozłożystych, pachnących dymem kwiatów, ale dzisiaj wydawały się one szczególnie paskudnymi. Chociaż czego jeszcze oczekiwać od Ośmiornic? Nawet dobrze, że Walentyn nie ma pojęcia o kwiatach.

Lokaj Priddów przewłókł swój kosz obok Dicka, może nie widząc go przez sterzące kwiaty, a może nie chcąc widzieć. Rozmawiać ze służącym Dick nie miał ochoty, zaczął się więc przechadzać od obrazu do obrazu, udając, że jest absolutnie pochłonięty alackimi zabawami. Albo na południu zwierzęta były większe, albo malarz przesadził, ale czarne i bure potwory nie ustępowały w rozmiarach koniom, na które wbrew zdrowemu rozsądkowi napadały. Z nudów młodzieniec zaczął liczyć gończe i znalazł jedną zbędną nogę, wciśniętą między świerkowym pniem i potężnym myśliwym w rozpiętym na piersi futrze. Młodzieniec chrząknął nad pomyłką dawno nieżyjącego pacykarza. Piąta psia łapa była zabawnym kazusem, za to jego własne nogi osiągnęły granice wytrzymałości. Dreptać w jednym miejscu jest trudniej niż iść, szczególnie kiedy masz na sobie paradne obuwie. Nie ma co, wygląda ono ładnie, ale wysokie wygięte obcasy zamieniają czarno-złote buty w narzędzie tortur.

Z apartamentów Katariny wyszła gruba idiotka w marszczonej sukni, wzięła kosz, głupio zachichotała i zniknęła. Ośmiornica też odpełzył, a Richard go nie zatrzymywał – nie wolno zniżać się do wypytywania, nieważne jak bardzo chce się wiedzieć, kim jest ta grubaska i dlaczego wyszła właśnie ona.

Młodzieniec mężnie dotarł do końca galerii, za skrzyżowanymi halabardami Południowych gimnetów widać było półpiętro i kawałek Błękitnego Salonu z kanapami, fotelami i dworzanami. Jeszcze narwie się na kogoś, od kogo nie będzie można się odczepić, a w ogóle to on zbyt długo czekał, żeby teraz odejść. Ładny mi Władca Skał, nie może godzinę postać! Richard Ockdell zdecydowanie skierował się do okna, wychodzącego na jeden z „wiszących” ogródków, umiejscowionych wprost na dachach.

Złoto witraży nie mogło ukryć niskich szarych chmur, pomiętej suchej trawy, pustych donic. Latem bez wątplenia było tu wspaniale, ale teraz południowe rośliny i klatki z ptakami zostały wyniesione, fontanny wyschły i tylko posągom jesień nie szkodziła. Obnażeni młodzieńcy i dziewczęta wyraźnie nie pragnęli ratować swoich dusz, umartwiając ciała. Ciekawe, czy nowy kardynał zażąda zlikwidowania „galtarskich demonów”, czy też przymknie na nie oko? Dobrze, że Levi jest z zakonu Miłosierdzia, na pewno znał Honore.

Żeby tylko jego świątobliwość nie podzielił losu biskupa, przecież na drogach jest pełno zdrajców i zwykłych rozbójników. James wyjechał na spotkanie kardynała, ale czy nie za późno? Trzeba było zrobić to samemu jeszcze tydzień temu. W drodze ludzie szybko się zaprzyjaźniają, on opowiedziałby Leviemu o Katarinie Arigau, a tak jego świątobliwość utonie w polityce i uroczystościach koronacyjnych i nie będzie można do niego dotrzeć.

– Zachwycasz się ślicznotkami?

Z zaskoczenia Dickon się wzdrygnął. Tak zawsze bywa, kiedy czekasz zbyt mocno.

– Wasza wysokość!

Aldo wyglądał na zadowolonego, a Rober na wyraźnie rozgoryczonego. Coś się stało? Aldo ścisnął ramię Ockdella.

– Miałeś rację, Dickonie, Katarina Ollar jest zadziwiającą kobietą. Gdyby była bodaj w jednej czwartej tak piękna, jak jest szlachetna, nie oparłbym się jej.

Co on tam wie o piękności?! Rakan jest mądrym, najszlachetniejszym z ludzi, prawdziwym wodzem, ale na kobietach się nie zna. On by chciał gładkie Alatki i szkarłatne róże, więc czy potrafi ocenić urodę fiołka albo hiacyntu?!

– Mogę odwiedzić Ka... moją siostrę? Chcę ją wziąć do siebie.

– A czemu by nie? – Aldo zrobił się jakiś znudzony – My nie widzieliśmy twojej siostry, ale Katarina wie, że nie zamierzam pozbawiać jej towarzystwa panny Ockdell.

– Mogę pójść do... do siostry już teraz?

– Dickon – suzeren westchnął przesadnie – jesteś Władcą Skał i opiekunem wszystkich kobiet swojego rodu. Nie potrzebujesz żadnego pozwolenia, żeby zabrać Iris.

2

Chwała Stwórcy i Katari, cukierkowy lalusz i jego pochmurny przyjaciel zabrali się do kotów. I nieważne, od czego Katari wpadło do głowy zemdleć, najważniejsze, że zemdleła w samą porę. Luiza poprawiła poduszkę, na której opierała się pozieleniała królowa, i zameldowała:

– Książę Pridd przysłał chryzantemy.

– Niech pani Odetta podziękuje księciu – wyjąkała Katarina i przełknęła konwulsyjnie. Podejrzanie, że omdlenie było jak najprawdziwsze, nasiliło się. I tak to bywa – kłamiesz, kłamiesz i ściągasz na siebie chorobę! Choroby lgną do udających jak muchy do padliny, zwykli ludzie o tym wiedzą, a szlachcianki robią z siebie cierpiętnice, póki się nie doigrają.

– Wasza wysokość – Luiza uważała za słuszne sam na sam nazywać Katarinę poprzednim tytułem – Aldo Rakan jest bardzo uprzejmy, on pozwoli zaprosić lekarza.

– Nie! – wyszeptwała Katari, ale szept bardzo był podobny do krzyku – Ja... ja im nie wierzę!

Może i ma rację. Lituje się Aldo, nie zlituje się jakiś tam generał albo ambasador. I w ogóle Leworeki wie, co tam ci lekarze pchają do swoich mikstur! Jeśli już do święconej wody podsypano truciznę, lekarstwo tym bardziej zatrują i nie kichną, a Katarina Arigau jest potrzebna Luizie żywa. Póki chytra kotka ma dla siebie śmietankę i poduszki, Luiza i dziewczęta są bezpieczne. Pani Aramona z wyrzutem pokręciła głową.

– Jak sobie życzy moja królowa, ale owoce kociej róży ja pani zaparzę. Sama.

– Dziękuję – uśmiechnęła się była wysokość – Kocia róża – to, co trzeba... i jeszcze wielokwiat...

A środek wymiotny po co? Czyżby naprawdę truli, ale czym? Wszyscy jedzą i piją jedno i to samo, a i trucielei dookoła nie widać. Przecież nie Odetta!

– Dobrze, wasza wysokość.

– Będziemy pić to wszyscy razem...

Albo zwariowała, albo coś podejrzewa, a intuicję wiedźma ma lisią. Cóż, od wielokwiatu jeszcze nikt nie zdechł, a zielona mordę ona jakoś przeżyje. A i Selinie teraz uroda niepotrzebna, nie te czasy.

– Jak wasza wysokość rozkaże.

– Droga Luizo, jak ja mogę rozkazywać? – Katarina z wyrzutem pokręciła głową – Ja proszę...

Prosi ona... Matka też „prosiła”, szczególnie przy panu hrabim, ale spróbowałby ktoś nie zerwać się na prośbę pani Aglai z miejsca, żałowałby o tym przez miesiąc! Talig miał szczęście, że

panna Credon nie wyszła za mąż za króla, chociaż gdyby mateczka była młodsza, lepszej pary Rakanowi by się nie znalazło.

Pani Aramona ze złością odepchnęła krzesło, na którym tylko co siedział chłopiec jak lalka, i zajęła się kwiatami. Kiedy do sypialni wpadła Odetta, kapitanowa trzymała w rękach dzban z chryzantemami, w pełni przydatny do zabójstwa.

– W poczekalni księżę Ockdell – oczka przyszłej babci wywracały się jak u zakochanego raka – Za pozwoleniem jego wysokości.

– Miła Odetto – Katarina poruszyła się pośród swoich poduszek i złapała ręką za gardło – miła Odetto... Jestem niezdrowa, poproś księcia, by przyszedł jutro.

Grubaska wyszła. Katarina oparła się o poduszkę i zamknęła oczy. Luiza odebrała to jak życzenie zostać samej i wyskoczyła z pokoju. Ciekawość zgubiła furę bab i kotów, nie mówiąc już o mężczyznach, ale, dopóki nie nastąpi koniec świata, oczy w dziurkach od klucza nie znikną.

Pani Aramona dawno upatrzyła sobie drzwi, z których korzystali palacze, rozpalający w kominkach, a które wychodziły w niszę, oddzieloną od poczekalni ciężką aksamitną zasłoną. Luiza od dzieciństwa zauważała to, co mogło się przydać, i teraz akurat się przydało.

O tym, że Ockdell wrócił razem z Rakanem, Luiza wiedziała. Spróbowałyby nie wiedzieć, jeśli brat Iris zarzucał Katarinę trawopodobnym paskudztwem, ale popatrzeć na byłego giermka Kruka do tej pory się nie udawało. Katari nie chciała nikogo widzieć, a z apartamentów wypuszczano tylko Odetkę. Prawdopodobnie po karaluszej wizycie coś się zmieniło, i dobrze... Luiza męczyła się i od niewiedzy, i od nicnierobienia, bo przecież nie można za zajęcie uważać wyszywania nudnych różyczek i szarpaniny z kwiatami.

3

Gruba dama w sukni z koronkami nazywała się panią Matthews i była krewną Rocksleyów. To było dziwne – Rocksleyowie byli znani ze szczupłości i wąskich twarzy, ojciec żartował, że jego wasale psują Skałom całą rasę i ich miejsce jest w Domu Błyskawic. Gdyby księżę Egmont dożył do dzisiejszego dnia, byłby szczęśliwy i za Taligoję, i za syna, ale, gdyby ojciec żył, co byłoby z Katari?! Mogłaby pokonać dziewczęce zauroczenie czy przez całe życie tęskniłaby za żonatym Władcą, który nigdy nie zhańbił się zdradą? Nawet kochając.

– Monsignore – Odetta Matthews zakołysała spódnicami, co pewnie oznaczało rewerans – pani Ollar jest niezdrowa, ale, jeśli jutro będzie czuć się lepiej, przyjmie pana.

Jutro?! Jeszcze jeden dzień bez Katari! A jeśli ona i jutro nie będzie mogła? Albo nie będzie chciała?

– Co z jej... z waszą panią?

– Źle spała w nocy.

I tyle? Nie, zdrowie nie ma tu nic do rzeczy! Katari nie chce pokazywać się tym, kto znał ją wcześniej. Ona zawsze myślała o innych, o Stwórcy, ale nie o sobie, i ją tyle razy zdradzano. Młodzieniec ledwie się powstrzymał, by nie chwycić krewnej Jamesa za sterczące koronki.

– Mam bardzo ważne wieści – to było kłamstwo czy nie? – Muszę się z nią zobaczyć.

– Bardzo mi przykro – zasapała duenia – ale to niemożliwe. Pani Ollar spędza czas na modlitwach, ona nie przyjmuje nawet lekarza.

Na modlitwach? Ona i wcześniej modliła się dzień i noc, nie za siebie – za braci, za Taligoję i za... Ockdellów. I oto teraz jej modlitwy zostały wysłuchane, ale sama Katari czuje się samotna i bezbronna. Jeśli jej nie powstrzymać, pójdzie do jednego z nowo otwartych klasztorów. Czy to czasem nie o tym przez tyle czasu rozmawiała z Aldo?! Trzeba coś zrobić, i to natychmiast, inaczej będzie za późno!

Grubaska wykonała jeszcze jeden rewerans, pożegnałny. I Richard się zdecydował:

– Pani, królowa jest chora, rozumiem, a moja siostra?

– Pańska siostra? – dama była zakłopotana – Co pańska siostra?

– Iris, Iris Ockdell jest zdrowa?

– O tak – okrągłutkie, ciemne oczka zamrugały z zakłopotaniem – księżna Iris jest zdrowa.

– Muszę ją zobaczyć. Rozkaz króla!

– Monsignore – wyśpiewała duenia – natychmiast ją poproszę.

Okoronkowana tusza z nieoczekiwaną szybkością miotnęła się ku drzwiom, zakołysała się

aksamitne zasłony, zapachniało kurzem.

Richard przyglądał włosy i poprawił szpadę. Iris... Siostrzyczka, płacząca nad martwym koniem. Dziewczynka, której wystarczyło męstwa pójść za wzgardzoną królową do Bagerlee. Iri zawsze była śmiała i lojalna, ona musi być szczęśliwa! Może i wyrosła w ubóstwie, ale teraz będzie miała wszystko, i to najlepsze. Ona tak żałowała Bianco, trzeba kupić jej takiego samego! Albo nie, biały linarczyk będzie przypominał o starych nieprzyjemnościach, a za to jabłkowity... Szary koń dla szarookiej dziewczyny – akurat to, co potrzeba! I nieważne, że wśród linarczyków taką maść można spotkać rzadko, dla siostry Władcy Skał handlarze sami rozważają się na placek. I dla żony też. Katari rzeczywiście powinna jeździć na śnieżnobiałej długogrzywej klaczy.

W willi Stanclera Richard widział obraz, przedstawiający ślub Lorrio. Młoda Beatrice była tak podobna do Katariny! Ta sama czystość, czułość i męstwo. Księżę Ockdell zamówi dla swojej królowej takie same ozdoby, tylko nie ze srebra Borrasców, a ze złota Ockdellów. I godnego narzeczonej konia też znajdzie. Białe moriski – nieopisana rzadkość, ale Katari w dniu ślubu będzie miała właśnie białą moriskę z wplecionymi w grzywę frezjami i polnymi dzwonekami.

– Monsignore, księżna Iris Ockdell szczęśliwa jest mogąc widzieć swojego odważnego brata. Iris wleciała jakby ktoś ją gonił. Policzki siostry były zarumienione, oczy błyszczały. Nal miał rację, ona naprawdę stała się ładna! Jak dawno oni się nie widzieli! Ale wygnaniec wrócił zwycięski. Richard rzucił się na spotkanie, gotów złapać dziewczynę na ręce, ale Iri uchyliła się. Dickon nie zdążył niczego zrozumieć, a siostra z wrzaskiem „podły yzarg!” z całej siły uderzyła go w policzek.

4

Richard z osłupieniem potrząsał głową, a poczerwieniała Iris napadała na braciszka jak rozwścieczony wróbel. I nie tylko napadała.

– Świnia! – odgłosy policzków były głośne i absurdalne, jakby kucharz rozbijał mięso – Świnia ze śmierdzącej kałuży! Tchórz! Zdrajca! Bagienny potwór!

Księżna waliła księcia po twarzy, a duenia jej nie powstrzymywała. Rozumiała, że trzeba, ale stała i rozkoszowała się. Niech chociaż jeden „zwycięzca” dostanie za swoje nie kiedyś „potem”, a już teraz.

– Gadzina! – szczupłe palce wczepiły się w jasne włosy – Nie jesteś moim bratem! – w drzwiach mignęła i przepadła fizjonomia Odetty z otwartymi ustami – Zabiję cię, zabiję, zabiję! – grad ciosów, niezręcznych, bezsensownych, ale silnych i złych, bardzo złych – Spadaj w Zmierzch! – świecznik z kominka poleciał w kierunku głowy Richarda, białe świece padają w dół jak wiosenne sople, toczą się po podłodze...

– Jesteś gorszy od „gnojarka”! – Iris jak koń tupie nogą i zadziera podbródek – Sam jesteś gnojem... Żebyś zdechł! Podrzutek! Psi kleszcz!

Jeśli braciszek jest yzargiem, nieprzyjemności tylko czekają, a jeśli nie – pobiją się i uspokoją. Iri dawno powinna była wyładować złość i lepiej na krewnych niż na jakimś karaluchu.

– Kocia świnia! Zdrajca... Ropucha! Przysięgałeś, tak?! Przysięgałeś?!!

Z boku głośno jęknęło, głupio i nie na miejscu zaszczębiała moryskilla. Głupi ptak! Luiza w końcu wzięła się w garść. Bić mordy – szlachetna sprawa, ale trzeba to robić rozsądnie. Kapitanowa pędem wyskoczyła w korytarzyk i pomknęła ku prawowitym, solidnym drzwiom. W przejściu, wystawiając fałdowany zad, sterczała Odetta. Luiza odepchnęła teściową krewnego Rocksleyów i wpadła do poczekalni. Księżę Ockdell trzymał rozwścieczoną siostrę za ręce, na policzku Władcy Skał purpurowiały świeże zadrapania. Iris wyrывała się nieumiejętnie, rozpaczliwie jak żrebak, nie przestając przeklinać.

Dziewczyna to milkła, jakby wpadając na niewidoczny wybój, to wykrzykiwała nowe obelgi. Moryskilla szczębiała, służący i strażnicy podsłuchiwali, nawet się z tym szczególnie nie kryjąc.

– Podlec... Jakież z ciebie podlec, Dickon – jeśli ona będzie tak wrzeszczeć, to zaczniesz tracić oddech. Święta Oktawio, ona już oddycha jak topielica – Nie jesteś wart jego obcasa! Paskudnik niewdzięczny... Zabiję cię, słyszysz? I Rakana-tarakana twojego zabiję... zaduszę...

Karaluchów się nie dusi, a truje, ale weź to wyjaśnij rozszałej głuptytasce, nawet jeśli ma ona absolutną rację.

– Iris, Richardzie! – teraz braciszka z siostrzyczką nowy krzyk nie powstrzyma, trzeba mówić

spokojnie. Wyraźnie i spokojnie – Uspokójcie się, jak wy się zachowujecie?

– Ja go zabiję! – Iris nie słuchała, nie chciała słyszeć, w jej oczach nie było łez, tylko nienawiść – Nie będziesz żyć, słyszysz, ty?! Nie będziesz! I jak cię tylko ziemia nosi?! I tą twoją jasnowłosą kanalię!

– Iris!! – wrzask brata mało czym różnił się od wrzasku siostry – Jak śmiesz obrażać...

– A jak ty śmiesz żyć, paskudo?! – wypaliła Iris – I czemu cię w Waraście yzargi nie zeżarły!

– Zamknij się! – na twarzy Władcy Skał wystąpiły takie same plamy, jak na twarzy jego siostry.

– Gadzina! – zawyła Iris, wykręcając się nawet nie jak kot, a jak żmija. Zęby księżnej wpiły się w trzymającą ją rękę, palce Richarda rozluźniły uścisk, dziewczyna wyrwała się i natychmiast wczepiła obiema dłońmi w znieawidzoną twarz. Jedna ręka ześliznęła się i złapała książęcy łańcuch, druga szarpała twarz, ucho, włosy.

– Stwory Zmierzchu! – tak muczą oczadziałe byki i ogłupieni mężowie. Aramona też tak wrzeszczał, kiedy nie wiedział, co robić. I Richard nie wie!

Władca Skał szarpnął się, z kuchennym brzękiem pękł książęcy łańcuch, młodzieniec zachwiał się, dziewczyna odskoczyła pod ścianę i zasyczała. Luiza, zaciskając zęby, rzuciła się do kominka, złapała rocksleyowski bukiet razem z wazą i cisnęła pomiędzy synka świętego Egmonta i jego córeczkę. Łupnęło jak z dobrej armaty. Waza rozleciała się w drzazgi, woda oblała walczących, paskudnie i słodko zapachniało liliami. Richard Ockdell rozdeptał obcasem tłusto chrzęszczącą lodygę i nastąpiła cisza, przerywana konwulsyjnym oddechem i tykaniem zegara.

– Iris – Katarina, która wpłynęła do salonu, była bladozielona jak rozdeptane lodygi – jest mi pani potrzebna, ale najpierw powinna pani poprawić fryzurę. Książę Ockdell, miło mi będzie przyjąć pana jutro. Pani Aramona, mogę panią prosić o odprowadzenie księcia?

– Naturalnie, wasza wysokość – znużonym tonem powiedziała Luiza – Monsignore, proszę za mną.

Były giermek księcia Alvy popatrzył na nią jak na wychodźca. Władca Skał był mokry jak mysz, oderwany kołnierz odkrywał szyję ze starannie zamazanym młodzieńczym przyszczem i pozostawioną przez pęknięty łańcuch purpurową pręgą. Osiem innych napuchniętych pręg ozdabiała policzki, a lewe ucho szybko przybierało éwikłową barwę. Jak na młodą pannę Iris wykazała nieprzeciętną biegłość.

– Książę – wymruczała była królowa – jeśli nie może pan odwiedzić mnie jutro, proszę przyjść w dowolnym, dogodnym dla pana terminie. Będę czekać.

Ockdell ocknął się. Łypnął na stojącą pośród odłamków siostrę, spróbował się uklonić, pośliznął się na świecy, która przytoczyła się nie w porę. Katarina tego nie zauważyła, jak nie zauważała ani kałuż na podłodze, ani podrapanej twarzy.

– Panie – przypomniała o sobie pani Aramona – Proszę pozwolić, że pana odprowadzę.

Richard głośno wypuścił powietrze i pobrnął do drzwi w ślad za Luizą. Co się działo z tyłu, kapitanowa nie widziała, ale coś tam brzęknęło. Ochryply krzyk „Zabieraj się do kotów!” złał się z jakimś świstem, złota żmija soczyście chlasnęła Richarda Ockdella po plecach, spadła i okazała się książęcym łańcuchem. Władca Skał podniósł zbezczeszczone regale, jego twarz wykrzywiła ni to wściekłość, ni to ból. Pani Aramona zręcznie podniosła zasłonę, za którą skrywały się wspomniane już drzwi, i sama wzięła Ockdella za łokieć.

– Monsignore, tutaj.

Młody człowiek rozejrzał się tępo i zatrzymał. Przyszło go lekko popchnąć. Władca Skał przedstawiał sobą nader żaloszny widok, ale Luiza była daleka od współczucia. Kapitanowa z rozkoszą oderwałaby warchlakowi ocalałe ucho, ale przecież nie wypuści z apartamentów Katariny mokrego, podrapanego księcia, choćby był on świnią do kwadratu. Trzeba będzie suszyć, łątać i pudrować...

Leworęki by zabrał tę paskudę! Urządzić coś takiego! Przy Katari! I co tylko na tą głupią napadło?!

– Tutaj stopień, panie – uprzedził jasnowłosy strach na wróble, którego on skądś znał. Ona wszystko widziała. I fałdowana grubaska widziała, i strażnicy, i Leworęki wie ile służących, ale na

służących księżę Ockdell mógł nie zwracać uwagi. Na służących, ale nie na Katari.

Stanąc przed swoją królową z podrapaną przez oszalałą kotkę twarzą! Tę bestię zabić to mało, ale co się stało, to się nie odstanie.

– Monsignore, myślę, że będzie lepiej, jeśli zaszyję pański kołnierz i przemyję twarz ałunem. Takie zadrapania czasem się paskudzą.

A jak, pazury Iris pewnie ma jadowite, jak Stwór Zmierzchu, a już język!

– Monsignore, zgadza się pan? W takim razie lepiej zdjąć kaftan. Wysuszę go, póki będę się zajmować kołnierzem, ale najpierw – twarz.

– A potem? – język zapytał sam, Richard o „potem” nie myślał.

– Potem zapudruję pańskie policzki. Zapewniam pana, nic nie będzie widać.

Za to będzie słyhać, służący z pewnością się wygadają, i nie tylko służący. Iris wrzeszczała jak obdzierana ze skóry. Niedługo cały pałac się dowie, że Iris Ockdell nazwała swojego brata zdrajcą. Jego, gotowego umrzeć za sprawę Rakanów i Taligoję?!

– Proszę wypić – ręka w czarnym rękawie podała Richardowi szklankę – To pana uspokoi.

– Co to jest? – zapytał młodzieniec, podejrzliwie patrząc na wstrętne pachnący wywar.

– Koci korzeń – wyjaśniła brzydula – Ma właściwości uspokajające.

Jakby księżę Ockdell nie miał nic innego do roboty, tylko pić różne tam paskudztwa. Richard skrzywił się z obrzydzeniem i policzki odpowiedziały ostrym bólem.

– Nie będę tego pić – młody człowiek zdecydowanie odstawił szklankę na stolik.

– Jak pan chce – kobieta obojętnie wruszyła kościstymi ramionami – Ale będzie bolało.

Dick ponuro kiwnął. Ten ból nie miał żadnego porównania z tym, co czuł, kiedy oczyszczano mu ranę na dłoni, ale poniżał. Uczciwe rany są ozdobą mężczyzny, ale coś takiego?!

Zwilżony czymś piekącym tampon z szarpi dotknął policzka, ale Richard nawet nie drgnął, chociaż miał wrażenie, że wsadzono mu twarz do ognia. Kim jest ta wdowa? A, kim by ona nie była, najważniejsze, że ufa jej Katari.

– Monsignore, teraz musi pan poczekać, dopóki nie wyschną pańskie rzeczy, a ja za pańskim pozwoleniem zajmę się pańskim kołnierzem.

– Jest pani bardzo uprzejma. Mam nadzieję, że będę mógł odwdziaczyć się pani za pomoc.

Godzinę temu Dick dodałby, że Władcy Skał nie zapominają okazanych im usług, ale wyskok Iris zhańbił wszystkich Ockdellów. Święty Alanie, siostra albo oszalała, albo jest chora, ale czy to powstrzyma plotkarzy? I co on teraz ma zrobić z tą kotką? Może wydać ją za Nala? Ale kuzyn, nie bacząc na swoją niepozorność i nerwowość, jest dobrym człowiekiem. Nie należy przywiązywać go na całe życie do żmii, chociaż miłość jest ślepa. Cóż, jeśli Reginald, wiedząc wszystko, poprosi o rękę Iris, to ją dostanie.

ROZDZIAŁ 8

WARASTA. TRONKO

399 rok K.S. 20 dzień Jesiennych Fal

1

Gdyby ktoś rok temu zapytał wicehrabiego Valme o rozstania, Marcel z czystym sumieniem powiedziałby, że gdyby nie było rozłąk, to on by się powiesił. No bo rzeczywiście, co może być gorszego od rodziców albo kochanek, od których nie można uciec, a i przyjaciele wcześniej czy później zaczynają robić się męczący. Valme nie miał bladego pojęcia, co to znaczy gdakać z niepokoju i smarkać, patrząc w plecy odchodzącym, za co i zapłacił. Kotka-Fortuna podsunęła niczym nie martwiącemu się wicehrabiemu najpierw Kruka z jego pojedynkami, wojnami i kardynałami, i poszło... Mucio, Derra-Piave, Luigi, maestro Grossfichtenbaum, wujaszek Shantry, piękna Francesca – wszyscy oni skądś wyskakiwali, odłamywali kawałek serca i znikali z oczu, ale nie z głowy. I to nie mówiąc o porannym potworze, parze zapłakanych księżniczek i księciu, który nawarzył tego piwa, a teraz szwenda się Leworęki wie gdzie.

Wicehrabia poklepał po szyi podarowanego mu Broncę i wszem i wobec obwieścił:

– Znajdę – zabiję!

– Marcelu – Charles Davenport w skórzanym warastyjskim płaszczu trzymał pod uzdę

białogłową Mance – kogo ty chcesz zabić?

– Ciebie! – odgryźł się Valme – Jak utoniesz, możesz nie wracać.

– Nie wygłupiaj się – Charles był poważniejszy od podwórzowego kota, zamierzającego dostać się do kuchennych zapasów – Nie możemy wiedzieć, kiedy znów się spotkamy i czy w ogóle się spotkamy. Ja muszę zabić Jamesa Rocksleya i pułkownika Morena. Ty też masz długi. Kto? Mogę spotkać tych ludzi?

– Możesz. Jak popatrzyś w lustro – no nie ma wicehrabia Valme takich wrogów, żeby z ich powodu gnać konia przez pół kraju, a przyjaciele, żeby ich koty, są, i jeden akurat wybiera się na wojnę – Dobra, jedźmy.

Nie ma nic głupszego od odprowadzania. I bardziej zakłamanego. Dobrze, jeśli jest sprawa, którą można omówić, a jeśli nie ma? Pozostaje pleść bzdury o pogodzie i ślicznotkach.

– Aduani już czekają – Charles obejrzał się na dom, który ich przygarnął – chyba.

Za pół godziny Davenport odjedzie, zniknie, utonie w mokrym stepie. W Waraście odprowadzają do ostatniej rogatki, dalej – zły znak. W Waraście nie lubią pożegnań, ich nigdzie nie lubią.

– Oczywiście, czekają – jeszcze można odjechać razem, tylko co ma robić Marcel Valme u Lionela Savignaca? – Diegarron ludzi nie rozpieszcza. Generał to dusza-człowiek, tylko złościć go nie należy.

Złościć nikogo nie należy, nawet Marcela Valme, chociaż nie jest Kenallijczykiem.

– Pokój z wami, dzieci moje!

Biskup warastyjski i sagrański siedział na potężnym gniadym mierzynie i przedstawiał sobą zaiste imponujące widowisko. Szczególnie dla pieszego.

– Co tak patrzycie, dzieci? – zapytał jego przewielebność i podrapał małym palcem opalony winnym płomieniem nos – Skruczę okazać chcecie?

– Niezupełnie – Marcel wskoczył w siodło, otrząsając się ze złych przeczuć i innych bzdur. Dobrze, że pojawił się Bonifacy, inaczej oni z Charlesem doszliby do testamentów i pożegnalnych pozdrowień, a przy biskupie nijak nie da się nikogo pochować za życia. Było w jego przewielebności coś starożytnego, potężnego i wesołego, zabraniającego myśleć o śmierci i innych bzdurach.

– Ty, synu, poczekasz – Bonifacy zmrzął oczy i zręcznie ujął wodze – nie dziś się rozstajemy, a przyjaciela twojego wypowiadam. Na drogę, a to nieporządek.

– Rzeczywiście, Charles – poparł jego przewielebność Marcel, przytrzymując Broncę – ulżyj duszy, a ja pojedę z tyłu.

Tenent wzruszył ramionami, oddając się na wolę Stwórcy, losu i Bonifacego. Radości i drżenia na twarzy przyjaciela nie było. Nic to, pocierpi.

Marcel poprawił chustę na szyi i potruczał za duchownym i jego ofiarą, szczerze żałując, że nie słyszy biskupich pouczeń. Davenport na widok Bonifacego próbował uciec, za to Marcel poczuł do biskupa szczerą sympatię. Jego przewielebność przy całym swoim niepodobieństwie przypominał wicehrabiemu własnego rodzica. Warastyjski biskup wydawał się pijakiem i obzartuchem, zdolnym tylko do tego, żeby odbębnić wbite do głowy kościelne teksty, ojczulek też uwielbiał robić z siebie idiotę.

Na pierwszy rzut oka hrabia Valmon był najprawdziwszym nudziarzem, troszczącym się o swoje zdrowie i swoje astry, w które Marcel w dzieciństwie wpuścił kozę. O tym, że jęczący domator trzyma w cuglach nie tylko własne posiadłości, ale i całe hrabstwo, syn i następca dowiedział się dopiero po powstaniu Egmonta.

Nowym gubernatorem Epineix mianowano Fernanda Colignara, który niemal natychmiast zwał się do Valmonu z wizytą. Czego chciał, Marcelowi nie powiedziano, ale gość stoicko słuchał narzekań gospodarza na bezsenność, niestrawność i grożącą ukochanym astrom czarną zgnilizną, o wiele niebezpieczniejszą od zgnilizny mącznej. Jedenastego dnia gubernator poddał się i wyjechał, otrzymawszy w prezencie napar na nadmierną potliwość oraz zawiniętą w wilgotny mech sadzonkę, a migiem ozdrowiały ojczulek zażądał kenallijskiego i następcy.

– Marcelu – wyrzekł hrabia, krojąc zimne jelenie mięso – zapamiętaj, że nie ma nic gorszego od urzędniczych durniów ze znajomościami. Nie mówię o wałkoniach w rodzaju ciebie, ty wcześniej czy później się ustatkujesz, a o baranach, którym się wydaje, że są moriskami. Jeździć na nich nie można, ale można i trzeba ich strzyc. Bądź tak dobry, zbierz wszystkie te lekarskie

wymysły i schowaj gdzieś. Nie mogę na nie patrzeć!

Marcel rzetelnie wpychał do szafeczek i szufladek wypełniające gabinet tynktury i maści, a ojczulek smakował „Złą krew”, snując rozważania o tym, że miłosierniej byłoby wpuścić do Starej Epineix szarańczę.

– Jedno w tym dobre – oznajmił ojczulek, odsuwając opustoszony półmisek – więcej pana gubernatora nie zobaczymy.

Ojciec jak w wodę patrzył – Fernand objeżdżał Valmon szesnastą drogą, a o sprawach hrabstwa zdecydowano w stolicy. Można przypuszczać, że po pogromie królewskiej armii i ucieczce Sabwe ojczulek weźmie się za całą prowincję, a Bonifacy nie ma za co się wziąć. Tutejszy gubernator nadaje się tylko do tego, żeby jeść jajecznicę, a Warastą rządzą biskup z Diegarronem i aduańskimi naczelnikami.

– Ej, dziecię! – Bonifacy zwrócił ku Marcelowi swoje oblicze – Wszystko ma swój czas. Czas na myśli i czas na rozmowy. Podjedź.

– Wasza przewielebność – Valme natychmiast skorzystał z zaproszenia – czy mój krwiożerczy przyjaciel został rozgrzeszony?

Biskup nachmurzył się i poruszył ustami.

– Prawdę mówię, nie ma w czynach Charlesa Davenporta pragnienia krwi, a jedynie szlachetność. Zsyłając się na miłosierdzie Stwórcy, nie wątpię o śmierci Henry'ego Rocksleya.

Wdowa zaś owego gnuśnego marszałka powinna nieustannie modlić się do Stwórcy za rękę tego, kto poraził męża jej. Albowiem, porażając zdrajcę w brzuch, szlachetny tenent złagodził los jego – wyrzekł Bonifacy, zwracając się do ogłuszonego spowiedzią Davenporta – Gdyby ubity yzarg pozostał w żywych, urządziłby on niemało podłości. Ty zaś, sprowadzając grzesznika w Zmierzch, uratowałaś duszę jego przed nowymi grzechami, i Rocksley oczekiwać będzie Powrotu, siedząc w złowonnym trzęsawisku nie po szyję, a jedynie po pas. Zawsze to przyjemniej.

– To znaczy – podtrzymał Marcel teologiczną rozmowę – wobec niektórych braci w Oczekiwaniu można popełniać przestępstwa?

– Nie przestępstwo to – najeżył się biskup – a braterska pomoc. Przerwijając życie grzesznych, przerywasz łańcuch bezeceństw, przez nich tworzonych, czego życzy sobie Stwórca nasz i wszyscy dobrzy ludzie. Jeśli ty nie zabijesz wroga twojego, on zabije ciebie. A jak nie ciebie, to bliskich twoich. I nastąpi w Taligu zniszczenie i podłość, zapłaczą wdowy, zapłaczą sieroty, i zasmuci się Stwórca, kiedy wróci, i zapyta silnych: jakeście mogli tego dopuścić? I zginą w piekle ci, którzy nie obronili domu swego, i kraju swego, i kobiet swoich. Pojąłeś?

– Pojąłem – zupełnie szczerze powiedział Marcel – Charles, zabijaj swojego Morena na zdrowie.

2

Marcel nawet na łożu śmierci nadal będzie stroił z siebie błazna. Charles dużo by dał za umiejętność mówienia o niczym. Kiedy mówisz, nikt się nie pcha z pytaniami i radami, choćby nawet potrójnie dobrymi. Kiedy mówisz, nie myślisz Leworęki wie o czym.

– Dziękuję, Valme – Davenport spróbował przejąc słowną piłkę – zrobię to przy pierwszej nadarzącej się okazji.

– Nie stawia się zadowolenia przed obowiązkiem – zahuczał biskup – jak nie stawia się kisielu przed polewką. Od ciebie nie zemsty się oczekuje, jaką by słodką ona nie była.

– Pamiętam – o obowiązku mówić łatwiej, a Bonifacy, chociaż i przemawia jak duchowny, to myśli jak marszałek – Zamelduję Savignacowi o wszystkim, co widziałem w Ollarii i tutaj, a potem przez Bergmark pojedę do Neumarinen i Gelbe. Pod koniec zimy dotrę.

Śmieszne, ale gdyby nie rozstał się z Anselem, to byłby już w Neumarinen i prawie na pewno spotkałby się z Alwą, którego szukał. Jeśli Kruka nie ma w Tronko i jeśli przejeżdżał przez Valmon, to może być tylko na północy.

– Zimą w górach zdarzają się lawiny – przypomniał Valme – a to gorsze, niż Driksowie i Gaunau.

– Dla mnie lawiny nie są niebezpieczne – odezwał się Charles, łowiąc wyslizgującą się myśl – Ja, w odróżnieniu od ciebie, jeżdżę w milczeniu.

– A ja nie jeżdżę po górach – odparował Marcel. Szkoda, że on zostaje. Nawet dziwne, jak

szybko stali się przyjaciółmi. Braci Rocksleyów znał od urodzenia, no i co? Przyjaźni nie ma, pozostał dług nawet nie honoru, a czegoś innego, co zaczęło się od pragnienia złapać pana Kileanur-Lombacha, przywlec na plac Błogosławionego Huberta i zabić na oczach ocalałych jubilerów. Nie wyszło, były komendant odszedł w Zmierzch bez pomocy tenenta Davenporta, ale on go jednak zastrzelił. Razem z marszałkiem Rocksleyem – wujkiem Jamesa i Davida, przyjacielem ojca, opiekunem, prawie krewnym...

– Nie rozumiem – nieoczekiwanie dla samego siebie wymamrotał Charles – dlaczego...

– A może nie masz rozumieć? – zaproponował Marcel – No to nie rozumiesz.

– Nie rozumiem, co naszło na Rocksleyów. Inni – koty z nimi, ale oni?

– Rocksleyowie niedaleko odeszli od Ockdellów – machnął ręką Valme – Czego brakowało Egmontowi? Książę, generał, a od świni na herbie nigdzie nie uciekniesz, nawet jeśli to dzik.

– Egmont był uczciwym człowiekiem – zaczął Charles i znów znalazł się w przekłętej jadalni obok zaskoczonego króla – jakie to ma teraz znaczenie?

– Biedy dzisiejsze wyrastają ze starych ziaren – odezwał się Bonifacy – a skrzywdzeni przez Stwórcę skłonni są obrażać się na obdarowanych przez Niego. Twierdzą skrzywdzeni o pogodzeniu się, ale widzą w marzeniach swoich jedynie poniżenie obdarowanych i siebie w odzieży cudzej, ale świnia pod siodłem jest odrażająca, a pełnokrwisty koń i w chlewie postawy nie straci.

Skrzywdzeni? Czy Rocksleyowie zostali skrzywdzeni przez Ferdynanda? Nie! A przez Stwórcę? Marszałek Henry-starszy z honorami odszedł w stan spoczynku, omal nie zagubiwszy kampanii 387 roku. Henry-młodszy po hańbie wujaszka pozostał w Ollarii. Ferdynand uznał, że nieutalentowanym, ale wiernym żołnierzom miejsce w stolicy – jakże się z tego śmiano! Henry Rocksley też się śmiał, kiedy przyjeżdżał w gości do Davenporta. Czyżby już wtedy nienawidził? Ale do Egmonta się nie przyłączył.

Co do jednego Charles nie miał wątpliwości – z ojcem marszałek Henry niczego nie omawiał.

– Panie! – krzyknął Marcel – Pan znów usnął w najbardziej interesującym miejscu. Obudź się, zaraz będziemy się żegnać.

3

Dwa tuziny aduanów, dwadzieścia sześć koni na zmianę. Niezła eskorta, tym bardziej, że jadą tylko do Zicotery. Dalej trzeba będzie płynąć. Przeprować się jesienią przez Renkwałę i wewnętrzny Nador – to pewna śmierć, a Rassanna doniesie i nie zauważy.

Bonifacy zatrzymał konia i wyciągnął flaszkę.

– Błogosławieni wędrujący i płynący – wyrecytował jego przewiełność, z całego serca przykładając się do źródła błogosławieństwa – albowiem dobra sprawa żąda dobroci i sił ducha. Pij, wicehrabio!

Marcel ochoczo przyjął błogosławieństwo i omal nie upuścił: na czarnym srebrze rozkładał skrzydła znajomy kruk. Biskup zauważył i uśmiechnął się

– Dar ten od męża szlachetnego, głowy swojej za przyjaciół swoich i za ziemię swoją nie szczędzącego. No więc wypijmy za niego, gdzie by go koty nie nosiły!

– Niech ja go tylko dorwę – warknął Valme, połykając palącą nalewkę; biskup nie rozmieniał się na wino – Też wymyślił: od własnych oficerów uciekać.

– Nieładne to – potwierdził biskup – tylko zła owca porzuca jagnięta w lesie pośród wilków ryczących, no ale wy nie jagnięta! Sami kogo popadnie zagryziecie.

Tenencie Davenport, pijemy za ciebie, albowiem masz na sumieniu grzechów niewybaczalnych, a zamysły twoje czyste i miłe Stwórcy. Odpuszczam ci grzechy twoje, walcz w pokoju.

– Walcz w pokoju, bracie mój – wymamrotał i Marcel, z zachwyty zachłystując się kaserą – I niech będą z tobą... Leworęki, niech ci się szczęści! I trzymaj się!

– To ty się trzymaj – Davenport przypadł do flaszki z krukiem jak do komunii świętej – Dziękuję, wasza świątobliwość. Marcelu, cieszę się, że cię spotkałem. Jeszcze się zobaczymy.

– Naturalnie – żeby tylko przeżył, i niech tam jego Morenowie i Rocksleyowie chodzą żywi. Ani jedna kanalia nie jest warta życia, ani jedna! – Bo co innego możemy zrobić? Przecież jesteśmy teraz mili Stwórcy. Prawda, wasza przewiełność?

– Zaiste – kiwnął Bonifacy, chowając manierkę – Wy tylko zsyłajcie się na Stwórcę, a

pistolety owijajcie naoliwionymi skórami. Wilgotno nynie, a olstry owe od naszych deszczów nie strzegą.

ROZDZIAŁ 9

RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 21 dzień Jesiennych Fal

1

Miłość jest ślepa, a najlepszym tego dowodem był Nal. Kuzyn wylaził ze skóry, żeby usprawiedliwić Iris, chociaż jakie tu mogą być usprawiedliwienia! Oszalała z miłości do mordercy idiotka zhańbiła nie tylko brata, ale i ojca, i herb, a Nal jęczał o próbach i chorobach. On po prostu nie chciał widzieć oczywistego, i Dickowi zrobiło się smutno, że jego nikczemna siostra tak zawróciła w głowie tak w ogóle to dobremu, choć i niezdarnemu człowiekowi. Richard wiedział, czym jest miłość, i bardzo szanował Ivona, dlatego cierpiał, jak długo mógł, ale każda cierpliwość ma swoje granice. Kuzyn znów zaciągnął swoją piosnkę o tym, że Iris widziała w życiu niewiele dobrego i Dick nie wytrzymał.

– Mówisz, mało? – Richard zachowywał się spokojnie, ale kuzyn szarpnął się i często zamrugał prosięcymi oczkami. I to ma być następca Ockdellów?! – Można by pomyśleć, że ja i ona rośliśmy w różnych rodzinach, a ty w ogóle w lesie! Ale ja i ty o honorze rodu nie zapomnieliśmy i nie zapomnimy.

– Ale, Dickon... Musisz zrozumieć, przecież ona jest taka młoda...

– W dawnych czasach kobiety z Wysokich Domów już jako siedemnastolatki miały dzieci – uciał Richard – Iris jest moją siostrą i córką Egmonta, a zachowuje się gorzej niż „gnojarka”.

Nal w odpowiedzi tylko westchnął, nie miał nic na swoją obronę. Richard poklepał krewnego po ramieniu:

– Dobra, wystarczy. Nie chcę znać Iris. Przynajmniej dopóki się nie opamięta. Ale jeśli ty jesteś gotów tolerować jej wysoki, to siężeń. Daję swoją zgodę.

– Ty... Ja? – Nal poczerwieniał rozpaczliwie, grube palce zaciskały się i rozluźniały. Ten nawyk Laracków Dickon pamiętał z dzieciństwa. Ivon, kiedy się denerwował, robił to samo. Dick poczuł wesołość i niepotrzebnie – zamazane zadrapania nie omieszkały przypomnieć o sobie dzikim bólem.

– Właśnie ty – odgryzł się Dickon – Chcesz mieć w domu wściekłą kozę – żeń się. Tylko potem nie mów, że cię nie uprzedziłem.

Kuzyn umilkł, wpatrując się w moryjską szpalerę, przedstawiającą polowanie na czarne lwy. Szpalera była utrzymana w złotych, czarnych i purpurowych tonach, dlatego Richard uznał za możliwe ją zostawić i nawet przeniósł do gabinetu na miejsce starego alackiego gobelinu, na którym wcześniej wisiała ukradziona przez Juana broń. Reginald myślał, Richard spojrzął na zegar w kącie i szarpnął za sznurek, wzywając służącego. Kuzyn westchnął jeszcze raz i wstał.

– Dickonie, ja kocham Iris. Od dawna kocham, ale nie mogę się z nią ożenić wbrew jej woli. Rozumiem, że nie jestem dla niej parą.

– Bzdura! – nie wytrzymał Richard – To ona dla ciebie nie jest parą! Ty naprawdę myślisz, że ją ktoś weźmie za żonę? Jeśli ty się z nią nie ożenisz, pozostanie jej jedna droga – do klasztoru. Mam jeszcze dwie siostry, nie mogę ryzykować ich szczęściem. Zgodnie z prawami Honoru Deirdre nie wyjdzie za mąż wcześniej niż Iris.

– Wiem – westchnął Reginald – ale nie chciałbym...

Czego konkretnie nie chciał kuzyn, Dick się nie dowiedział. Wszedł kamerdyner i Reginald zamilkł w pół słowa. Dickon kiwnął krewnemu:

– Dokończymy rozmowę, kiedy wrócę.

– Gdzieś jedziesz? – zdziwił się Reginald, niedwuznacznie wpatrując się w twarz Richarda – Ale przecież ty... niezbyt dobrze wyglądasz.

– Nie jestem kurtyzaną – odciął się Dickon, czując, jak i bez tego parszywy nastrój jeszcze się pogarsza – i mam, jak wiesz, obowiązki wobec jego wysokości.

– Tak, tak – pokiwał głową Reginald – ale wydawało mi się... że po wczorajszym... będzie ci nieprzyjemnie, jeśli ktoś zapyta...

Nieprzyjemnie będzie, ale chować się – to tchórzostwo. I głupota. Szydła w worku się nie schowa, wszyscy i tak wiedzą, że na księcia Ockdella napadła jego własna siostra. Katari wyznaczyła mu audiencję, jeśli nie przyjdzie, będą się z niego śmiać, a pierwszym będzie Pridd. Jedyne wyjście – pojawić się jak gdyby nigdy nic. W oczy mówią mniej, niż za plecami, a dla szczególnie bezczelnych jest szpada, lepszej odpowiedzi dla amatorów żartów jeszcze nie wymyślono.

2

Pierwszym, kto nawinął się Richardowi przed oczy, był cioteczny wujaszek Angerran, który tylko wczoraj wrócił z Pouenu. Krewny mówił o pogodzie, koronacji i odebranych przez Doraców rodowych włościach, ale jego oczy nie odrywały się od twarzy młodzieńca. Jeśli o tym, co się stało, wie Carlion, to znaczy, że o wczorajszej bójce mówi całe miasto i nie ma co mieć nadziei na nieświadomość Aldo. Rakan to nie Ollar, on nie króluje, a rządzi, ale dzisiaj młodzieniec wolałby, żeby Aldo nic nie wiedział albo żeby suzeren miał zbyt wiele spraw, w których utonęły pałacowe plotki.

– Więc jest pan pewien, że jego świątobliwość przybędzie o czasie? – niepokoił się Carlion – Wszak będzie musiał przejeżdżać przez niebezpieczne prowincje.

– Jestem pewien, baronie. Proszę wybaczyć, oczekują mnie niecierpiące zwłoki sprawy.

– A co z moją najdroższą kuzynką, już przyjechała?

– Nie! – uciał Richard.

Paskudny poranek, a dzień będzie jeszcze paskudniejszy, ale on wytrzyma. Richard uprzejmie i obojętnie pożegnał się ze wścibskim krewnym, zadarł głowę i, lekko wystawiając przed siebie prawe ramię, przeszedł przez na razie jeszcze nielicznych dworzan. Właśnie tak chodził Kruk, kiedy nie chciał z nikim rozmawiać. Chwył zadziałał i tym razem, księcia Ockdella nie tylko nie zatrzymywano, ale i pospiesznie schodzono mu z drogi. Śmiać się w twarz Władcy Skał nie ośmielił się nikt. Nastrój powoli się poprawiał, ale przed nim było najtrudniejsze – spotkanie z Katari.

Na wygnaniu Richard oddałby dziesięć lat życia za przelotne spotkanie ze swoją królową, ale kotka-Fortuna wypuściła pazury i dzisiaj Dickon marzył o odroczeniu, a Galeria Alacka i apartamenty Katari nieubłaganie się zbliżały.

– Dzień dobry, książę – Walter Insmiller uśmiechnął się przyjaźnie, spod czarnych wąsów błysnęły śnieżnobiałe zęby – A ja słyszałem, że jest pan chory.

– Źle pan słyszał – Dick z radością przyłożyłby w piękną, wypielegnowaną gębę, ale cywilny komendant nie powiedział niczego obraźliwego, a głupio byłoby czepiać się uśmiechu.

– Widocznie tak – przeciągle powiedział Insmiller – Ludzie mają to do siebie, że błądzą. Cieszę się, że jest pan zdrowy, to naprawdę przyjemna niespodzianka. Taka sama jak dzisiejsza pogoda. Wygląda na to, że deszcze przeżyliśmy i przed nami tylko słońce. Ale pan chyba się spieszy?

Richard kiwnął, chociaż nie miał dokąd się spieszyć. Więcej, gdyby przystojny komendant zaproponował księciu Ockdellowi objazd ulic, po których przejdzie koronacyjna procesja, Richard zgodziłby się z zachwytem, ale Insmiller niczego nie zaproponował i Dick poszedł dalej, starając się nie patrzeć na soje odbicie w licznych lustrach. Balwierz zrobił wszystko, co mógł, ale wybielona twarz przypominała o jarmarcznych arlekinach i Richard rozkazał zmyć z twarzy nieudaną charakteryzację. Nie wyszło zamazać całkowicie – niech patrzą, książę Ockdell niczego nie ukrywa i niczego się nie wstydzi.

„Jeśli nie możesz ukryć, wystaw na pokaz” – powiedziała kiedyś Matyllda. Mowa była o gorsecie, który księżna wdowa rozkazała wyrzucić, ale same słowa Richard zapamiętał.

W Małej Poczekalni tłoczyli się strażnicy i dworzanie, w tym kilku znajomych. Richard poznał Nicolasa Carvalla i odwrócił się. Mały kapitan nigdy nie podobał się Dickowi, a poza tym przypominał zbiegłego Juana. Nie twarzą, manierami. To samo bezczelne, oceniające spojrzenie i ta sama bezceremonialność. Młodzieniec nie wątpił, że Carvallovi i jego „czosnkarzom” nie można ufać. Trzymała ich w stolicy nie lojalność wobec króla, a wola Robera Epineixa, który mógłby zachowywać się i mądrzej, i godniej. Inochodźcowi podoba się, że jego ludzie stawiają swojego księcia wyżej od króla, ale Władcy służą Rakanom i Taligoi, a nie sobie. Rober musi wbić to do głowy swojej czeladzi, ale tego nie robi. No pewnie, przez tyle lat był jedynym bliskim

przyjacielem Aldo, a teraz musi się posunąć.

Mignęło kolejne zwierciadło w pozłacanej ramie, ale Richard nawet nie pomyślał o tym, by zwolnic kroku. Być podrapanym przez własną siostrę, i to z czyjego powodu? Z powodu zabójcy, bestii, zdolnej rozrąbać człowieka na pół i zaśmiać się! Szalona kotka, tak zhańbić dom Ockdellów... Wstydziliby się! Chociaż czego oczekiwać od panny, jeżdżącej po kraju z rotą żołnierzy?

Ostatni zakręt, Gołębie schody. Za dziesięć minut zobaczy królową. Co jej powie?

Mówić o najważniejszym, o swojej miłości, w takim stanie nie sposób. Cóż, ograniczymy się do opowiadań o wojnie i podróżach. Szkoda, że nie obejrzał jak należy Świątego Miasta, Katari chciałyby usłyszeć o rezydencji Esperadora. Świątynia Siedmiu Świec, grobowce świętych...

Zresztą, ona i tak wszystko wie. Z opowiadań mentora Chablisa i z książek Kruka. Można wspomnieć kilka niezbyt znanych legend. O Esperadorze Ruciusie. Albo o młodości świętego Adriana. Teraz wszyscy zapomnieli, że uciekł on z cudzą żoną na Marikjarę, która wówczas nosiła nazwę Fulgiatu.

3

Wysoka figura na progu salonu nie wydała się pogrążonemu w swoich myślach Richardowi znajoma. Młodzieniec obojętnie prześliznął się spojrzeniem po zbliżającym się człowieku i ten skłonił głowę w uprzejmym pozdrowieniu równego przez równego. Pridd! Jeszcze tego brakowało.

– Dzień dobry, książę – Władca Fal zatrzymał się, co Dicka, delikatnie mówiąc, nie ucieszyło – Jeśli kieruje się pan do jej wysokości, to niepotrzebnie traci pan czas. Królowa wyjechała do opactwa.

– Dziękuję, panie – jak dobrze! On przyszedł do pałacu jak gdyby nigdy nic, ale Katari nie ma. Aldo pozwolił jej wyjeżdżać i ona od razu rzuciła się do świątyni. Przekazał jej, że przychodził książę Ockdell, ale jej nie zastał. Teraz trzeba wydobyć jakieś poruczenie od Aldo. Mógłby dogonić Rocksleya albo spotkać Matyldę. Za tydzień zadrapania się zagoją, a o wyskoku Iris wszyscy zapomną.

– Jej wysokość wróci nie wcześniej niż pod wieczór – znudzonym tonem oznajmił Ośmiornica. Gdyby Walentyn nazwał Katari panią Ollar, Dickon z rozkoszą by go poprawił, ale Ośmiornica powiedział „jej wysokość”. Pozostawało tylko albo powtórzyć jego słowa, albo... stanąć w obronie sprawy Rakanów.

– Ferdynand Ollar nigdy nie był królem – odpalił Richard.

– Słabo pan zna Protokoły Agaryjskie, książę – Walentyn zachowywał się jak na lekcji w Laik, i to było odrażające – Zgodnie z nimi, Ollarowie, zaczynając od Oktawiusza I, są uważani za prawowitych władców. Święte Miasto nie uznało ollariańskiego kościoła, ale uznało dynastię.

– Uznanie było wymuszone siłą – Richard z całej siły starał się zachować spokój. To, że Pridd czuł się w apartamentach Katariny jak w domu, rozwścieczało. Jak jej musi być ciężko znosić towarzystwo tego bałwana i nie tylko jego! Nic dziwnego, że ona prawie nie opuszczała sypialni...

– Broń – to ważki argument – Walentyn poprawił kołnierz – Ramiro II był bardzo przekonujący, ale protokoły konklawe, dopóki nie zostaną zniesione przez samo konklawe, mają moc prawną. Na szczęście dla pana.

– Co pan ma na myśli? – on nie może wychodzić z siebie, nie może podnosić głosu na tego stołecznego próżniaka. Nie czas na to i już tym bardziej nie miejsce!

– Tylko to, że wasi przodkowie, w odróżnieniu od moich, sumiennie służyli Ollarom. Czyżby chciał pan, żeby marszałek Richard, generał Lewis i inni pańscy krewni byli uważani za pacholków uzurpatora? Zresztą, pan wie lepiej, czym kierowali się Władcy Skał, składając przysięgę.

– Pan tego nie zrozumie – uciął Dickon, uświadamiając sobie i konieczność zatrzymania się, i niemożność odstąpienia.

– Bardzo prawdopodobne – Walentyn rozciągnął usta w uśmiechu – Mój ojciec i mój er myśleli jednakowo. Teraz obaj są w Świcie, a ja robię to samo, co robili oni. Mogę zdradzić albo obu, albo żadnego.

– Co za aluzje pan czyni? – Ośmiornica uznał, że Władca Skał nie może rzucić wyzwania Władcy Fal? No to się pomylił, chociaż Aldo wyjdzie z siebie.

– Nie mam w zwyczaju czynić aluzji – jasne oczy patrzyły zimno i obojętnie – po prostu

zgodziłem się z tym, że nie rozumiem, dlaczego przysięgał pan Alvie. Zresztą, mnie to nie dotyczy.

– Pana nigdy nic nie dotyczy – teraz Ośmiornica go wyzwie. Albo on wyzwie Ośmiornicę, i wtedy nie będzie odwrotu – Za pana walczą i umierają inni.

Słowo zostało powiedziane i on się nie wycofa, tym bardziej, że to prawda. Alan zginął, a krewni Hectora przeżyli. Ojciec wzniesił powstanie, Walter je przesiedział z założonymi rękami. Nawet w historii z Suzą-Muzą Walentyn wyczekiwał...

– Piękne słowa – równym głosem powiedział Pridd – szczególnie w ustach człowieka, za którego nie tylko bili się w pojedynku, ale i płacili.

– Dość! – krzyknął Dick i urwał, łapiąc zdziwione spojrzenie jakiegoś starego fircyka – Mam nadzieję, że rozumie pan, iż nie mamy wyboru?

– W pełni – skłonił się Walentyn Pridd – Mam nadzieję, że pan w odróżnieniu od swojej siostry rozumie niewłaściwość pojedynku w pałacu. Proponuję odwiedzić Stary Park. To nie tak daleko i jest tam wystarczająco bezludnie. Poza tym mamy dziś doskonałą pogodę.

ROZDZIAŁ 10

RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok. K.S. 21 dzień Jesiennych Fal

1

Najbardziej na świecie Richard chciał zrzucić rękę Walentyna, ale Ośmiornica miał rację – głowy Wielkich Domów nie mogą wyjaśniać zadrażnień na oczach żołnierzy. Oni przyszli tylko pospacerować, nic więcej.

– Proszę – Walentyn Pridd zatrzymał się przy bocznej furtce, przepuszczając Dicka przed sobą – Chłodno dzisiaj, kapralu.

– Tak, monsignore!

– Niech pan ugości swoich przyjaciół, kiedy skończy się pańska zmiana.

– Bardzo dziękuję, monsignore – żółta moneta wsunęła się w twardą dłoń, brzęknęła wzorzysta krata. Ośmiornica szasta złotem jak Kruk, tylko to za mało, decyduje nie złoto, a stal. W Laik Walentyna uważano za niezłego szermierza, ale póki Władca Fal polerował pałacowe parkiety, Władca Skał walczył. W tym i za Priddów. Potomkowie Alana walczyli, potomkowie Hectora intrygowali i siedzieli w kątach.

Niebieskie niebo, czarne gałęzie, chrzęszczący żwir, słoneczny, jasny chłód. Jaki cudowny dzień, on nie może przynieść przegranej.

– Odeszliśmy na wystarczającą odległość – Walentyn Pridd wypuścił łokieć Richarda i odsunął się w bok – Nie warto dalej ukrywać naszych uczuć.

– Proponuje pan skończyć z tym tutaj? – burknął młodzieniec, oglądając łagodne bure zbocze, pośrodku którego sterczał marmurowy byk z ludzką głową.

– Jeśli panu pasuje – zmrużył oczy Walentyn – ale Górny Park jest nieco bardziej wygodny dla naszych celów.

– Cóż, setka dodatkowych kroków nikomu nie zaszkodzi.

– Bez wątpienia.

Rozmowa urwała się. Walentyn szybko kroczył zasypaną zamarzłymi liśćmi aleją, Richard trzymał się równo z przeciwnikiem. Dokąd szli, młodzieniec nie wiedział, za Ollarów do Starego Parku wpuszczano nielicznych. Owszem, giermek Pierwszego Marszałka mógł wejść i tutaj, ale po co księciu Ockdellowi mogiła uzurpatora, który rozkazał zabić Alana Świętego?

Droga skręciła, rozległ się plusk wody, wśród nagich krzaków mignął pozieleniały kamień i Richard zrozumiał, gdzie są. Przy Smoczym Źródle, do którego rzuca się monety na szczęście. Przez setki lat w wyłożonym marmurem zbiorniku zebrało się niemało złota i srebra. Podobno nie wolno go ruszać... Przy strumieniu aleja rozgałęziała się, Walentyn wybrał lewą ścieżkę, obsadzoną bezlistnymi dzikimi różami, za którymi widniały wysokie topole, oblepione ptasimi gniazdami. Jak w Laik. Młodzieniec zapatrzył się na oblane słońcem pnie i ledwie utrzymał się na nogach, kiedy pośliznął się na czymś miękkim.

– Ostrożniej, panie – były współuczeń był wcielona uprzejmością, za którą tak bardzo się chce dać policzek. To nic, już niedługo stracisz swoją niewzruszoność!

– Dziękuję, panie – Richard spojrział w dół. Na drodze leżało gołębie skrzydło i kilka okrwawionych piór. Kot?

– Proszę patrzeć pod nogi – poradził Walentyn – Upaść przed walką to zły znak. Zresztą, prawie przyszliśmy.

– Nieżle pan zna pałacowe parki – arogancko rzucił Richard – Niestety, ja nie miałem możliwości ich obejrzeć.

– Mam dobrą pamięć – wzruszył ramionami Ośmiornica – bardzo dobrą. Niekiedy to pomaga.

– A niekiedy przeszkadza? – nie wytrzymał Dickon.

– Widocznie tak – w równym głosie nie było ani złości, anie wyzwania, tylko doprowadzająca do szału uprzejmość – Patrząc na pańską szczęśliwą twarz, człowiek uświadamia sobie wszystkie zalety zapominalstwa.

– I co też ja, pana zdaniem, zapomniałem?

– O proszę? – cienka brew uniosła się lekko – Wychodzi na to, że zapomniał pan nawet o tym, co zapomniał? Nie zaryzykuję przypomnienia, w głębinach pamięci żyją bardzo niebezpieczne ryby.

– Może i zapomniałem, ile w stołecznych parkach jest posągów – odgryzł się Richard – za to pamiętam, jak trzymać szpadę.

– Być może – Ośmiornica prawie się uśmiechnął – Ale czy pamięta pan, kim dla pana był ten, kto pana tego nauczył?

– Na szczęście, nie tym, kim był dla pańskiego nieżyjącego brata! – wypalił Dickon i urwał. Zapalczywość w walce nikomu jeszcze nie pomagała. Aldo przegrywa właśnie dlatego, że wychodzi z siebie. Ośmiornica nie wierzy w swoje siły i dlatego wyprowadza przeciwnika z równowagi. Nie wyjdzie!

– Należałoby panu współczuć – Walentyn Pridd dotknął książęcego łańcucha – gdyby nie był pan tak głupi. Do śmierci czy do pierwszej krwi?

– Jak pan chce – ponuro powiedział Richard – ale czasem pierwsza krew okazuje się ostatnią.

– Słyszałem o czymś takim – skinął Walentyn – a pan widział.

Znów aluzja! Nie wyjdzie! Richard Ockdell nie rzucił się na szpadę przeciwnika, będzie spokojny. Zupełnie spokojny.

– Panie – równym głosem podsumował Dickon – uznaliśmy, że walczymy tutaj, w Górnym Parku, bez świadków, dopóki możemy i chcemy kontynuować walkę.

– Broń? – sprecyzował Walentyn – Wystarczy panu szpada czy chce pan jeszcze sztylet?

– Nie jestem Kenallijczykiem – odciął się Richard.

– Naturalnie, nie jest pan Kenallijczykiem – zgodził się Władca Fal i Richard zrozumiał, że się nie uspokoi, dopóki nie zetrze z wąskiej, rasowej fizjonomii tej przeklętej niewzruszoności i jeszcze bardziej przeklętej uprzejmości.

2

Richard zsalutował krótko, starając się złapać ostrzem promień słońca: złapał słońce – złapał szczęście. Udało się! W odpowiedzi Walentyn uniosł swoją szpadę, błysnęły zdobiące rękojeść ametysty. Co z mieczem Rakanów? Przy Kruku nie był relikwii...

– Do pańskich usług.

– Do pańskich usług.

Walentyn zaatakował pierwszy, jeśli to, oczywiście, atak. Szarpnąć się w przód i natychmiast zasłonić... To niepoważne! Nie walka, a kłamstwo, próba... Chcesz wiedzieć, z kim walczysz? Zaraz się dowiesz! „Władcy Kotów”¹⁸ wykladać nie będziemy, wystarczy dziewiątka...

Dick zrobił prosty wypad, najprostszy ze wszystkich możliwych. Walentyn odbił, całkiem pewnie. Richard powtórzył, starając się poruszać nieco szybciej. Ostrze spotkało ostrze i Pridd odstał. Tylko troszeczkę, na pół kroku, i natychmiast kontratakował. A raczej spróbował. Dick bez trudu sparował szybki, ale prostoliniowy cios. Jasne... Drikseńska szkoła! Za Alicji grzmiał nią cały Talig, ale to za Alicji! Bez gaifijskich fint obecnie się nie przeżyje. Czy Ośmiornica je zna? Może i zna, tylko że Richard Ockdell wiele ma w zapasie.

Richard zrobił wypad, celując w bok. Walentyn odstał w tył. Znów! Dickon ostro rozciął szpadą powietrze. Nie, atakować z takiej pozycji nie będzie, do tego trzeba być Alwą, ale Ośmiornica tego nie wie i znów się cofnie. Cofnął! Co było do udowodnienia! Pridd jest tchórzem, i to nawet niezbyt bystrym, jak tylko coś mu nie pasuje, odskakuje... Cóż, książę, nie chce pan przespacerować się po alei? O, do tej piękności z łańią?

Dickon uśmiechnął się do własnej myśli i atakował. Nie, on nie zabije byłego współucznia, inaczej kłopoty go zasypią. On go ukarze. Niech zapamięta na całe życie, co znaczy zaczepiać Ockdella. Zostawić mu bliznę? Można spróbować. Na policzku, jak u Morena! I niech wszyscy pytają, skąd...

Richard przesunął się w prawo, nie wypuszczając z zasięgu wzroku statui w końcu alei. Przycisnąć do niej przeciwnika i ranić. W rękę, a potem w twarz. I puścić ze słowami „To już nie pierwsza krew, ale jeszcze nie śmierć...” Tak, właśnie tak. Richard uśmiechnął się i ruszył naprzód. Walentyn zrobił dokładnie to, czego od niego oczekiwano, czyli wycofał się.

Nie, Pridd nie złamał się od razu, próbował się odgryzać. Przy zasypanej liśćmi marmurowej ławce, u nóg obejmującej łańią dziewczyny i tam, gdzie łączyło się pięć ścieżynek, Ośmiornica próbował się zatrzymać i kontratakować. I jakież żalosne były te próby! Dick bez trudu raz za razem odbijał nieskomplikowane drikseńskie wypadki i Walentyn znów się cofał. Tam, gdzie go pędzono.

No pewnie! Dziki są szybsze od Ośmiornic. Twarzą w twarz Ockdella się nie weźmie, a pleców on nie podstawia nikomu i nigdy. Młodzieniec pędził rywala po wysypanej złocistym żwirem alei. Dzisiaj jest jego dzień, dzisiaj on pokaże, że, wyszedłszy z Laik czwartym, stał się pierwszym.

– Jaki cudowny park – uśmiechnął się Władca Skał, kierując Władcę Fal na nową dróżkę, różaną – czyż nie, panie?

Walentyn nie odpowiedział, jego twarz jakby skamieniała. Syn poszedł w ojca, zmarły Walter przez całe życie grał na czas, nie mówił ani „tak”, ani „nie”, chował się za cudze plecy. To za Epineixów, to za Ockdellów. Teraz nie ma się za kogo chować, teraz oni są tylko we dwóch, jeśli nie liczyć marmurowych posągów i kraczącego kruka.

– Nie podpowie pan, co to za posąg obok pana? Ja tak rzadko bywam w stolicy...

Przeciwnik milczał i Dick poczuł taką wesołość, jakiej nie czuł już od bardzo dawna. Szkoda, że ich teraz nie widzą suzeren, Rober, Katari... I dobrze, że nie widzą, bo przerwaliby walkę.

Do dziewczyny z łańią pozostawało kilka kroków, ale Richard rozmyślił się. Przegoni Walentyna przez cały Górny Park do samego wyjścia. Tam jest marmurowa waza, lepszego miejsca się nie znajdzie.

– Walentynie, nie mówiono panu, że szary panu nie pasuje? Szczególnie dniem. Ja bym poradził latem nosić zieleń... A zimą biel. Łatwiej się chować.

Nie odpowie, to jasne. I nie trzeba. Niech słucha i zapamiętuje... Jak się panu podoba taki cios? A taki? A ten?

Richard nie raz słyszał, że trzeba zjednoczyć się z ostrzem, ale udało mu się to tylko dzisiaj. Nieprzerwanie atakując z różnych stron i na różnych poziomach, książę Ockdell pędził księcia Pridda po różnokwiatnych alejach, zamykając przez nich samych wyznaczony krąg. Richard szedł naprzód, Walentyn się cofał. A co mu jeszcze pozostawało, jak tylko przestanie odstępować – porażka!

– Książę, nie przychodziło panu do głowy zmienić herb? Rak pasowałby panu bardziej.

– Pan złożył śluby niesprzeciwiania się czy tylko śluby milczenia?

18 Karta do gry. W większości złotoziemskich gier hazardowych może zastąpić każdą inną.

– Pan znów odstępuje? Czyżbym był panu aż tak niemiły? A może niemiła jest panu moja szpada?

Niebezpiecznie jest poruszać się plecami do przodu, lada chwila można na coś nadepnąć albo wpaść. I Walentyn wpadł. Na tą samą wazę, którą wybrał Dick.

– Może teraz raczy pan wspomnieć o broni?

Szybki cios, prosty jak prawda. Taki odbije każdy, czy to kapitan Rut, czy to książę Pridd. Ostrze Walentyna odrzuciło ostrze Richarda, tak jak miało być... A teraz jeszcze raz... Sparuj wypad w pierś... Jest! Szpada Walentyna poszła w górę, przyjmując oszukany cios.

„Kierunek, młodzieńcze, kierunek... Ostrze do nogi!... nadgarstek... tylko nadgarstek! Nie rąbie pan dREW!”

Tylko nadgarstek... A już jeśli w dłoni pałacowe „wykałaczkę”... Książę Ockdell odepchnął się od szpady Walentyna swoim ostrzem, miękkim ruchem kierując je w dół, w nieostrożnie podstawione cudze udo.

„A teraz – w tył!... W tył! Uwolnić ostrze! Broni nie wolno zapomnieć w obcym ciele... Jeśli to ciało żyje...”

Ludzka noga to nie trzcinka. Przebijając, ryzykujesz, niekiedy – bardzo. Twoja broń „związana”, jesteś odkryty, a przeciwnik może nie stracić głowy. Walentyn to, oczywiście, tchórz, ale mimo wszystko... Richard gwałtownie cofnął rękę, odstąpił krok w tył i zamarł, zaskoczony własnym powodzeniem. Wszystko było skończone.

Żałośnie stuknęła wypadła z obcej ręki szpada. Ośmiornica zachwiał się i niezręcznie osunął na ziemię, zaciskając prawą ręką przebite udo. Szkarłatna krew na palcach, na koronkach, na marmurowym kruszynie, krew, przelana przez Richarda Ockdella, a on sam jest nieuszkodzony, nawet się nie zmęczył.

3

Szkoda, że nie udało się zostawić na policzku morskiej bestii rysy. Wielka szkoda, ale rannego albo się dobija, albo opatruje. Nie wcześniej, aż przyzna swoją porażkę, no to niech przyznaje!

Richard czekał, Walentyn milczał, na bladej rasowej twarzy zastygł rybi spokój, jakby nic się nie stało. Gdyby książę Pridd uznał się za pokonanego, straciłby świadomość albo chociaż zaklął, Dick by mu pomógł, ale to ciężkie, zimne spojrzenie... Jeszcze gorzej niż u Kruka.

Cóż, nie chce przyznać oczywistego – przyjdzie popchnąć. I nie słowami, które, jak na złość, nie chciały się znajdować, a stałą. Dickon uśmiechnął się zimno i podniósł szpadę, kierując ostrze w gardło przeciwnika. Wąska twarz zupełnie skamieniała, no proszę, a wydawałoby się, że bardziej już nie można. Ręka Richarda kontynuowała niespieszny ruch i książę Pridd szarpnął się, próbując może odpełznąć, a może tylko się uchylić, przeszkodziła waza, o której Ośmiornica zapomniał.

Święty Alanie, on nie tylko się wystraszył, on oszalał ze strachu. Tchórz nie rozumie, że Ockdell nie pozwoli sobie na taką rozkosz jak zabójstwo Pridda! To się nie spodoba Aldo, to rozstroi Katari, a poza tym starej krwi i tak jest mniej niż potrzeba. Dickon przysunął ostrze jeszcze o włos, jeszcze krok – i dotknie szarego jedwabiu.

– Panie, spokojnie. Jestem daleki od tego, żeby pozbawiać Taligoję tak dostojnej osoby...

Okrwawiona rękawiczka gorączkowo maca ziemię, w czasie upadku szpada potoczyła się w lewo, ale z przestachu Pridd zapomniał nawet o tym.

– Nie tam pan szuka, książę. Bardziej na lewo – niech szuka i nawet znajdzie, nie będzie miał czasu na złożenie się do ciosu – Na lewo, panie!

Nie wierzy czy nie rozumie? Zakrwawiona ręka natyka się na marmurowy cokół, obmacuje go. Na ślepo. Jasne oczy wpiły się w twarz Dicka. Nie, to nie osłupienie, nie strach, nie szaleństwo. To złość. Cóż, Władca Skał przyjmie i to wyzwanie. Pridd spuści wzrok! Spuści i może iść na wszystkie cztery strony świata, chociaż gdzie on pójdzie ze swoją nogą.

Zakrzywione palce drapią marmur, pora kończyć! On i tak dał arogantowi zbyt dużo czasu. Richard wyjął chusteczkę.

– Nie należy mieszać starej krwi ze świeżą – trzeba obetrzeć ostrze, odrzucić brudną tkaninę, zrobić krok w przód, przyłożyć czubek ostrza do gardła i zapytać. Ostatni raz. Rozkazy suzerena są ważniejsze od życia, ale nie od honoru. On zmusi Ośmiornicę do spuszczenia oczu, zmusi, albo...

– A więc postanowił pan ostatecznie opuścić ten padół? – Dickon postąpił w przód, patrząc w jasne, złe oczy – Pańskie prawo, ale nie ma pan racji.

Krok naprzód, dziki grymas na obcej twarzy, Ośmiornica szarpnięciem podaje się naprzód, z prawej coś błyska, ostry ból rozrywa niebo na strzępy, miesza białe obłoki z czarnymi gałęziami. Coś drwiąco dzwoni i Walentyn znów pada w tył, na wazę. Wargę zagryziona, na czole paciorki potu, palce lewej ręki wczepione w rękojeść... Lewej?! Święty Alanie! Nie do pojęcia!

– Pan coś upuścił, książę – Ośmiornica znów opiera się o cokół – Wydawało mi się, że broń.

Podłość! Potworna, bezbożna, ale szpadę trzeba podnieść i skończyć z tym cyrkiem. Broń upadła tuż obok, dlaczego on nie wytarł rękojeści? Richard schylił się po broń, w oczach pociemniało i ledwie utrzymał się na nogach, tępo patrząc, jak na jasne kamyczki najpierw kapie, a

potem leje się krew. Tym razem jego własna. Młodzieniec z zakłopotaniem dotknął ręki, jeszcze nie rozumiejąc, co się stało. Szkarłatna struga płynęła przez rozcięty zamsz, a Górny Park powoli krążył wraz ze zniechęconą białą twarzą, tylko teraz na cienkich wargach był uśmiezek.

– Pan przypomniał mi o moim bracie – wyraźnie powiedział Walentyn – i o księciu Alvie. Teraz o nich przypomniałem panu ja.

„O nich”? Dick nie od razu zrozumiał, o czym mowa. Ból narastał, ręka płonęła ogniem, a Walentyn się uśmiechał. Uśmiechał się, oparty o durną wazę, która stała się jego pomocnicą. Uśmiechał się, ściągając i odrzucając zakrwawione rękawiczki, wycierając czoło, przekładając szpadę do prawej ręki. Uśmiech, bladeść i krwawe plamy na ubraniu zamieniały Władcę Fal w jakiegoś upióra.

Młodzieniec zacisnął zęby i znów się nachylił. W pewnym koszmarnym momencie wydało mu się, że zaraz padnie na zalany szkarłatem żwir... Nie upadł, ale ręka... Palce nie chciały zaciskać się na rękojeści, choćbyś zdechł. Wziąć w lewą? Przekleństwo, w czym on jest gorszy od Pridda?! Tylko że lewą on jeszcze nie walczył, Krukowi nie przyszło do głowy go nauczyć...

Nogi w porządku, można odwrócić się i odejść, ale to... to będzie ucieczka i porażka, a winić w tym nie ma kogo. On sam podstawił się pod uderzenie, sam! Jednonogi nigdy by nie sięgnął zwycięzcy, gdyby ten nie wyciągnął ręki. „Pan przypomniał mi o moim bracie. I o Kruku...” Swojego giermka Alva wyuczył gorzej niż swojego kochanka, a ten przekazał naukę Walentynowi... Ale co robić?

Richard z nienawiścią spojrzał na przyciśniętego do kamienia przeciwnika. Walentyn nie mógł oderwać się od wazy, ale w bladych oczach było zdecydowanie. Ośmiornica nie podda się, dopóki nie zdechnie z utraty krwi. On upadnie, musi upaść wcześniej, został ranny pierwszy i poważniej. A jeśli nie? Brakowało tylko runąć tutaj, interesujące byłoby widowisko. Udowodniaj potem, kto zwyciężył. Jeden ranny w nogę, drugi – w rękę, sekundantów nie ma, czyli remis... Akurat, remis! On ganiał Pridda po alejach jak zająca i ten niczego nie mógł zrobić, póki Dick mu nie pomógł. Że też go podkusiło podejść bliżej, niż było to potrzebne.

Richard, walcząc z mdłościami, popatrzył na ranę: wyglądała koszmarnie, a Pridd szpady nie odłoży. I krew u niego chyba przestaje płynąć – jednym słowem, Ośmiornica. Morskie gadziny można na kawałki ciąć, a i tak będą się wić i kąsać.

– Potrzebny panu lekarz – ponuro burknął Richard – zaraz pan upadnie.

– Tylko po panu – Walentyn poprawił kołnierz – Ale, obawiam się, że nie uda się nam kontynuować. Nie dogonię pana...

Łajdak! Łajdak, którego teraz się nie weźmie! W głowie szumiało, waza już nie krążyła, a odstawiła jakiś pijany taniec z saltami i podskokami. Co z ręką? Święty Alanie, jeśli nie opatrzyć, jeszcze zostanie kaleką, ale bólu Ockdella Ośmiornica nie zobaczy. Nigdy! Richard lekko skłonił głowę.

– Ockdellowie nie uciekają. Przyślę panu lekarza. Kiedy będzie pan mógł chodzić, będziemy kontynuować.

Władca Skał odwrócił się i odszedł, starając się iść równo i pewnie, chociaż ledwie się trzymał na nogach. Walentyn wyszczał „Będziemy kontynuować, kiedy da pan radę utrzymać szpadę”, ale Dickon udął, że nie słyszy. W końcu to wszystko jedno, kiedy się spotkają, najważniejsze, że we dwóch na tym świecie żyć nie mogą...

CZEŚĆ DRUGA

„KOCHANKOWIE”¹⁹

Niewdzięczność pozostaje niewdzięcznością, nawet jeśli obdarowany jest mniej w niej winien niż dobroczyńca.

Francois de la Rochefoucauld

Przeklęta duchota – gorąca, grząska, nieruchoma. Priddę nazywa się północą, ale lato jest tu o wiele bardziej gorące niż w przewiewanej wszystkichmi wiatrami Epineix. Co prawda, trwa niedługo – kilka miesięcy i koniec!

Gelbe?! Co on tu zapomniał? Co najwyżej młodość i spokojne sumienie. Tenent Epineix twarzo wiedział, gdzie są swoi, a gdzie – obcy, marszałek Epineix, jeśli oczywiście jest marszałkiem, nie wie nic.

Uniósłszy się na łokciach, wyjrzał zza nagranych kamieni i zobaczył tęczę! Siedmiobarwna arka podnosiła się zza Lausschen i opadała gdzieś za wzgórzami.

Ciemno-szare, przedburzowe niebo, oślepiające światło niewidocznego słońca, kamieniste łysiny w półuschniętej trawie, na mgnienie oka stojące się oślepiająco białymi, zapach kurzu i przekwitającego łubinu, a nad tym wszystkim – czarodziejska arka... Tęcza – to wrota do Świtu. Albo nie do Świtu, jakie to ma znaczenie, przecież i tak się do nich nie dobiegnie.

...Jeździec wypada zza niskiego pasma i cwałem mknie po ucichłej równinie, tratując zakurzone liliowe linie. Jakiż pęd! Grzywiasty bułany zwierz nie biegnie, a leci, z lekka tylko dotykając kopytami gorącej, drżącej nad ziemią mgiełki. To nie torska niezdara, to półmorisk, o ile wręcz nie morisk! Skąd?

Bułanek przeskakuje nad wyschniętym strumieniem, zamiera na skraju krętej szczeliny i znów pędzi w liliowe od łubinu wzgórze. Obok samotnego drzewa, obok ogromnego białego kamienia z czarnym znakiem, obok wzgórze, na którym oni tak zreźnie się przyczaili.

– Cugle! Wybierz cugle!!! – Albert Neumarinen, zapominając, że są w zasadzce, prostuje się na całą swoją rodową wysokość, wymachuje rękami.

Jeździec nie słyszy. Albo nie rozumie. Albo nie chce rozumieć. Oszalały w biegu morisk rwie się ku tężowym wrotom. I ku śmierci, która waruje w paśmie wzgórze. Głupiej, trywialnej, niepotrzebnej!

– Do siebie! Słyszysz!

19 Wyższy Arkan Tarota. Wskazuje na nieuchronność wyboru pomiędzy dwoma wzajemnie się wykluczającymi wariantami. W silnej pozycji to duża emocjonalna swoboda, lekceważenie konsekwencji czynów, poddyktowanych uczuciami. Karta symbolizuje także miłość i przyjaźń, może wskazywać na domysły i emocjonalne olśnienia. Karta odwrócona: uprzedza o możliwości niesłusznej decyzji, wskazuje na nierealność planów, niemożliwość zawarcia małżeństwa, wyrzeczenie się swojej „połówki”. To wewnętrzne rozdwojenie, konflikt ze sobą, nieprawidłowy wybór i/albo jego konsekwencje. Może oznaczać rezygnację z wyboru, co w perspektywie doprowadzi do zaostrzenia sytuacji.

Kiedy zrozumiał, że nieznajomy pędzi nie po tęczę, a po śmierć? Kiedy ten nie odwrócił głowy na krzyk Alberta? A może intuicja podpowiedziała, że to nie szalony koń niesie skamieniałego jeźdźca, a szalony jeździec gna bułanego pod drikszeńskie kule. Dureń! Dureń i podlec!

– Dokąd?! – ten wrzask przeznaczony jest już jemu, ten i wszystkie następne, ale z nim nic się nie stanie. Najprawdopodobniej...

– Stać!

– Co ty wyrabiasz?!

– Monsignore!

Tętent kopyt, szalone słońce bije w oczy, krzyki oddalają się, tają w zakurzonej mgłę. Kurz, jakiż tu kurz! A bułanek jest dobry i jest w przedzie, za bardzo w przedzie. Nie ma czasu na pogoń: Drikszeńczycy nie są ślepi. I nie święci.

Wyciągnięta w szalonym biegu spieniona szyja, bijąca po wietrze grzywa, czarny mundur, szkarłatne pióra na kapeluszu – paradne pióra! Dureń, czy to nie wszystko jedno, w czym zdychać? Kopyta młocą białe kamienie, zbijają łubin, lnicę, przekwitłe dzwoneczki. Jeszcze pięć minut i on dogoni, ale tych pięciu minut nie ma – zaraz bułanek przeskoczy jeszcze jeden strumień i jeździec zamieni się w cel. W doskonały cel... Czy człowiek więcej wart jest od konia? Koń nie uderzy w plecy, nie zatriumfuje z powodu cudzego bólu, nie oszuka... Stwory Zmierzchu, po co on to robi? Dla kogo?!

Samobójca skręca w bok... Chociaż tu się udało, inaczej przyszłoby samemu... Gotuje się do

skoku, ale skoku nie będzie! Leworęki by wziął gaifijskie pistolety! Ręka jak martwa...

Bulanek potyka się, przednie nogi załamują się, biedak pada pyskiem w dół, w liliowo-pylne fale. Zad zarzuca w lewo. Stwory Zmierzchu, jeździec od siedmiu boleści znalazł się pod koniem! Jeśli lęk siodła trafił w brzuch, bulany zginął na marne.

Drikseńczycy jak nic uznali, że zastrzelili konia. Spróbują przejąć uciekiniera? Czy stchórzą? Tęcza zgasła... Albert wyprowadził swoich, za pięć minut będzie tu setka Neumarczyków, czyli „gęsi” stchórzą. To znaczy nie uznają za celowe, i słusznie: gra nie warta świeczki.

Kwiaty i krew... Ile razy on już to widział – szkarlatne rozbryzgi na płatkach – białych, żółtych, niebieskich? Tylko na makach nie widać krwi, na czerwonych stepowych makach, ale one tu nie kwitną.

Bulanek nie żyje. Dureń w paradnym mundurze rusza się i jęczy. Siadł! Młody, czego należało oczekiwać, a twarz znajoma, nawet zbyt znajoma. Skąd się tu wziął? Gelbe to nieodpowiednie miejsce dla tak ważnej osoby. Persony powinny siedzieć w stolicach i słuchać mądrych ludzi.

Tak, a więc już się ocknęliśmy i nienawidzimy? No, no, przeżyć – to jeszcze nie najstraszniejsze. Czasem bywa gorzej.

– Następnym razem, hrabio, kiedy będzie pan chciał skończyć z życiem, proszę o tym zameldować zgodnie z wszelkimi przepisami. Wyślę pana tam, gdzie z pańskiego tchórzostwa będzie pożytek.

Chrobot, potem stuk, jakby po drzewie. Skąd w Gelbe drzewo? Stąd, skąd w Ollarii dębowe głowy. Leie Astrape, czy jemu kiedykolwiek przyśni się coś normalnego?

– Panie marszałku, pan komendant wojskowy do pana.

– Dobrze.

Kominy na dachach błyszczą, czyli gdzieś musi być słońce. Czyżby Nicolas znalazł gdzieś dostawców, którzy zaryzykują związaną się ze szlachetnymi eorami, a jeśli znalazł, to skąd wziąć złoto? Jeżeli nie zapłaci się tym, którzy zaryzykowali – do wiosny zostaną bez zaopatrzenia, a suzeren oddaje długi co najwyżej krawcom i tapicerom. Sprzedać willę? Teraz w Ollarii nie kupuje się domów...

– Monsignore! – wojenny komendant i generał w drodze wyjątku świecił nie gorzej od kominów – Proszę o udzielenie mi audiencji w niezwłocznej sprawie.

– I ile chcą panowie kupcy za mięso i wino?

– Monsignore – Carvall spieszył się, niebywała rzecz – pańskie polecenie odnośnie uzupełnienia zapasów jeszcze nie zostało wypełnione, ale do końca uroczystości przetrwamy. Przetrwalibyśmy i dłużej, ale... Rakan chce, żeby w dniu koronacji były winne fontanny, a na skrzyżowaniach piekło się mięso.

Jeszcze tego brakowało, mało tego, że połowę zapasów przyjdzie wyrzucić kotu pod ogon, to jeszcze pijaństwo na ulicach. Aldo uważa, że pijani poddani go pokochają, a oni pójdą bić mordy żołnierzom i cywilnikom. A najgorsze, że to on podsunął suzerenowi myśl o święcie.

– Fontanny? Co za głupstwo – Epineix zwykłym już gestem przykrył oczy, trzeba jednak kiedyś się wyspać, inaczej jak nie zdechnie, to otepieje – No więc co chciał mi pan oznajmić?

– Książę Ockdell i książę Pridd walczyli w pojedynku w Starym Parku – wyrecytował Nicolas – Obaj są ranni, przyczyna sporu nieznana.

Leworęki by ich porwał, znaleźli sobie czas!

– Poważnie ranni?

– Książę Pridd ma przebite na wylot udo, stracił dużo krwi, ale nic poważnego. Jeśli nie będzie zakażenia, niedługo wstanie. Książę Ockdell jest ranny w rękę. Rana raczej nieprzyjemna, leczenie będzie długie.

Pytanie jeszcze, kto był bardziej odrażający – chudy lekarz z maślаныmi oczkami czy kuzyn Nal, który rozgdakał się jak cały kurnik. Najbardziej na świecie Dick chciał zamknąć oczy i nie widzieć ani pierwszego, ani drugiego, ale jak tylko spróbował to zrobić, Nal zawył, że „Dickon stracił przytomność” i zaczął machać przed jego nosem palonymi piórami, czego Richard od dzieciństwa nie cierpiał. Poza tym młodzieniec nie zamierzał mdleć od rany, zadanej przez Ośmiornicę.

Coś ostrego z siłą weszło w ciało i Dick mimowolnie się szarpnął.

– Monsignore – zaśpiewał konował – Błagam, niech pan się nie rusza, muszę zaszyć pańską ranę.

– Tak, tak, Dickonie – zagdakał Nal – trzeba pocierpieć, to całkiem niedługo. Daj, przytrzymam cię.

– Nie! – warknął Dickon i skinął na lekarza – Niech pan szyje, tylko szybko.

Konował uśmiechnął się, pokazując duże śnieżnobiałe zęby. Wilk! Wilk w owczej skórze. Gdzie kuzyn takiego wykopał? Jeszcze zostawi bez ręki...

– Kim pan jest? – wytchnął Richard – Widzę pana pierwszy raz.

– Mentor Hellbah jest doświadczonym lekarzem – wtrącił się Reginald – Znam go od pięciu lat, gdyby nie on...

Co by było z kuzynem, gdyby nie spotkał mentora Hellbaha, młodzieniec już nie słuchał. On w ogóle niczego nie słuchał, bo poczuł potworny ból, do oczu napłynęły łzy, ale krzyżeć przy lekarzu i służących to nieprzyzwoitość. Przynajmniej jeśli jesteś Władcą Skał. Richard zagryzł wargę, patrząc przez okno na wyłączone dachy. No i po co poddał się tej grze na wytrzymanie spojrzenia? Do Priddów nie można blisko podchodzić, oni są zbyt wiarołomni. Ośmiornica poradził sobie z dzikiem za pomocą chytryści, a teraz będzie kłamać, że zranił Ockdella w uczciwym pojedynku. I uwierzą mu, bo świadków nie ma, a rany – są!

Niepotrzebnie odmówił wzięcia sekundantów, trzeba było zabrać ze sobą choćby Nala. Nie, ten niezdara rzuciłby się do godzenia wszystkich, a pomyślano by, że stchórzył on, Richard. Liczyć można tylko na wojskowych. David jest kapitanem gimnastów, był w pałacu, trzeba było do niego zajść...

– Leie Astrape, coś ty nawyrabiał?

Rober! Już wie! Od kogo?

– Głupstwo – Dickon uśmiechnął się wymuszenie – Zadrapanie, choć i przykre!

– Zadrapanie? – Inochodziec szybko podszedł do lekarza i stanął za nim, patrząc mu na ręce.

– Skomplikowana rana, monsignore – złośliwie oznajmił przeklęty mentor – Rozcięte mięśnie przedramienia, krew opuściła wiele naczyń, zaczyna się gorączka. Mam nadzieję, że powstrzymam proces, ale za nic nie ręczę...

– Proszę robić, co trzeba - rozkazał Epineix – i nikogo nie słuchać, a już najmniej pacjenta.

Po co on przyszedł? Oni już od dawna się nie rozumieją, a raczej nie rozumieli się nigdy. Rober był towarzyszem ojca, to prawda, ale się złamał, stał się zły, nerwowy i nie zawsze sprawiedliwy. Suzeren lubi go i takiego, za to Richardowi Ockdellowi to nie wychodzi.

– To twoja pierwsza rana? – dłoń Władcy Błyskawic spoczęła na czole Dicka – Chyba naprawdę masz gorączkę.

– Nie pierwsza – szarpnął się Dick – ale i nie ostatnia.

– Bez wątplenia – kiwnął głową Inochodziec – szczególnie jeśli nie będziesz myślał o obronie.

– Ja myślałem – wypalił Richard – Zaproponowałem mu, żeby się poddał. Pamiętałem, że on też jest Władcą i że jest potrzebny Aldo...

– Ale księżę Pridd nie zechciał się poddać? – Inochodziec skinął lekarzowi i usiadł w fotelu przy stole – Zdarza się. Tym bardziej kiedy nie ma sekundantów.

– Następnym razem będą.

– Nie byłbym taki pewny – Rober przykrył oczy dłońmi i młodzieńcowi na chwilę wydało się, że czas się cofnął. Dzikie głowy na ścianach, ranna ręka, człowiek z długimi ciemnymi włosami, odbłaski kominka...

Księżę Epineix odsunął dłonie od twarzy, złudzenie minęło, a ból został. Czyżby z ręką było aż tak źle? On w ogóle nie ma szczęścia do prawej, najpierw szczur, teraz – Pridd. Jego on też zagonił w kąt i nie dobił.

– Jeśli odetną mi prawą rękę, będę się bił lewą – twardo powiedział Dick – To kwestia honoru. Mam nadzieję, że to rozumiesz?

Co on ma rozumieć? Że księżę, młody osioł, nie uspokoi się, dopóki nie wykończy Pridda, albo odwrotnie? Bzdura, ale chłopiec, który dostał policzek na oczach ukochanej, nie potrafi logicznie myśleć. Gdyby nie było Walentyna, Richard napadłby na kogoś innego.

– Twoja ręka zagoi się za miesiąc, ale dopóki ani ty, ani księżę Pridd nie macie następców, nie będziecie się bić. Z Walentynem porozmawiam. Nie wątpię, że zgodzi się poczekać.

– Tchórz!

– Sądząc po twojej ręce, nie. Jak on cię dostał?

– Lewą – Dickon skrzywił się ni to z bólu, ni to od wspomnień – Przycisnąłem tę meduzę do wazy... Takiej dużej, na cokole. On nic nie mógł zrobić, tylko się cofa. Drikszeńska szkoła, nic więcej nie trzeba mówić... Roberze, ja go nabiłem na szpadę, a on od razu upadł. Ta Ośmiornica nie jest szermierzem, a pustym miejscem, rozumiesz, pustym!

– Rozumiem, że zwyciężałeś – dureń musi się wykrzyczeć, wypić jakieś zioła i usnąć – ale trzeba nie zwyciężać, a zwyciężyć. No więc, raniłeś Walentyna w udo, on upadł, a ty?

– Chciałem, żeby się przyznał do porażki.

– To już słyszałem. Co robiłeś ty i co robił Walentyn?

– Leżał – powoli powiedział Dickon – na boku, zaciskał ranę. Kazałem mu się poddać, ale on nic nie pojmował. Szpada mu wypadła, kiedy upadł, Ośmiornica zaczął jej szukać. Po omacku, nie tam, gdzie ona była. Poradziłem szukać bardziej na lewo, Pridd nie odpowiedział.

Już my wiemy, jak „radzą” zwycięzcy, sam był taki, póki życie nie wydarło ogona.

– A potem przepuściłeś cios? Jak?

– Ty też byś przepuścił! On nie mógł dosięgnąć do szpady, przecież widziałem! Widziałem!

– Nie mógł, ale dosięgnął – a gorączka bierze swoje: coś ten rumieniec na policzkach podejrzanie wygląda.

– To dlatego, że uderzył lewą, jego Kruk nauczył... To znaczy nie jego, a Justina, tylko że to jedno i to samo. On uderzył mnie lewą ręką, rozumiesz?! Władca Fal walczy lewą...

– Nie chodzi o rękę, a o opanowanie. U Pridda z nim wszystko w porządku, a ty, na to wygląda, nie jesteś lepszy od Aldo – Tyle że do ciebie może coś dotrze, a do suzerena raczej nie – Powinieneś być zauważyć, co robi przeciwnik, i zauważyłbyś, gdybyś patrzył. A w ogóle, po jakie koty podszedłeś tak blisko?

– On cały pobladł, a już złości w oczach... Gorzej niż u Leworękiego! Przystawiłem tej bestii szpadę do gardła – Dickon sam błysnął oczami nie gorzej od kota – no, prawie... chciałem przystawić, a on wskoczył, uderzył i padł...

A więc tak to było. Pridd od razu umyślił sobie wykorzystać wagę jako oporę, dlatego i obmacywał piedestał, a rozzuchwalony Dickon nie zrozumiał. Upajał się własnym triumfem, zapisał przeciwnika do tchórzów, ale Ośmiornice zawsze umiały panować nad sobą. W odróżnieniu od Epineixów i, jak się wyjaśniło, od Ockdellów.

– Richardzie – Rober potrząsnął głową, odpędzając senną mgłę, przeszytą podwójną gelbską tęczą – nie należy patrzeć w oczy tym, którzy są silniejsi. Szczególnie tym, którzy upadli. To się źle kończy.

– Jestem silniejszy od Walentyna! – wykrzyknął Richard – Ganiałem go po parku jak owcę!

– Tym gorzej! Nie przegrać, kiedy nie można zwyciężyć – to więcej, niż zwyciężyć.

– Co? – chłopiec wychylił się do przodu, wywołując u lekarza wrzask przerażenia – Jak powiedziałaś?!

– Nijak – sen czepiał się do oczu jak priddski łubin do odzieży – ale z Priddem lepiej nie zaczynaj.

– Są rzeczy, których się nie wybaczają!

– Są. Co powiedziałaś Walentynowi?

– Prawdę – wyprostował się Richard – Wszyscy to wiedzą.

„Wszyscy” oznacza „nikt”, ale Dickowi jest teraz potrzebny wróg, którego on nie tylko nienawidzi, ale i którym pogardza. Leie Astrape, i od jakiego głupstwa zaczynają się rodowe waśnie!

– Dobrze, zostawmy to – Rober wstał z fotela – Ale jeśli będziecie kontynuować walkę, znajdziecie się w Bagerlee. Obaj. Obiecuję to jako Pierwszy Marszałek Taligoi i przyjaciel jego wysokości. Zrozumiałeś?

Richard milczał, ponuro patrząc w podłogę. Po co on powiesił herb pomiędzy dziczymi

głowami? Lepiej by je zdjął, a jeszcze lepiej – zamknął osobiste pokoje Kruka i przeprowadził się do innych, miejsca jest dość.

– Roberze – zaczął Dickon – czy my nie możemy bronić swojego honoru?

Przed kim i przed czym? Nazwijmy kota kotem, oni wszyscy tutaj są zdrajcami i krzywoprzysięzcami.

– Mamy teraz tylko jeden honor na wszystkich – głupio brzmi, ale chłopiec nie rozumie nic innego – i bardzo trudno będzie nam go obronić. Szczególnie kiedy do roboty wezmą się Savignacowie i fok Warzow.

– Oni muszą zrozumieć – wypalił Richard – Aldo jest Rakanem, prawowitym królem. Savignacowie to dobrzy ludzie, ty ich nie znasz, a ja znam. Trzeba do nich napisać...

– Służyłem z Emilem w Priddzie – w Priddzie, o której latami nie wspominał i która dzisiaj się przysniła – Savignacowi nie po drodze z nami.

– Jesteś na niego obrażony za to, że nie przyłączył się do powstania, ale trzeba mu wybaczyć – stanowczo powiedział Władca Skał – Wszyscy popełniają błędy. Charles Epineix też zdradził... to znaczy przeszedł na stronę Franciska, ale ty jesteś teraz z nami.

To beznadziejne. Dick święcie wierzy w sprawę Rakanów i w to, że Savignacom należy „wybaczać”. Nie da się go przekonać. I Aldo się nie da, i Nicolasa z Sec-Arige'em. Nawet Clement i Drakko by zrozumieli, a oni – nie, zaiste, ludzie są najbardziej upartymi i głuchymi stworzeniami we wszechświecie.

Władca Błyskawic poprawił szarfę i wziął kapelusz. Z góry szczyrzyły się dzicze pyski, między nimi migotał herb Ockdellów.

– Dickonie, to nie moja sprawa – naprawdę nie jego – ale na twoim miejscu ja bym zdjął te dziki.

– Zdejmę – kiwnął młodzieniec – Będą gotowe portrety ojca i Alana Świętego, i zdejmę. Jeśli zrobię to teraz, zostaną plamy.

– Nie wątpię – burknął Inochodziec – Mleko i wyciąg z maku znajdują się w tym domu?

– Mleko jest – zatrząśł policzkami Reginald. No jasne, urzędniczyna z pewnością je na śniadanie mleko i chleb – A wyciąg z maku... Zapytam służących.

– Jeśli Kenallijczycy nie ukradli, to jest – odgryzł się Richard – ale ja nie będę go pić.

– Głupio – Rober w zadumie ścisnął nasadę nosa – Sam nie zaśniesz.

– Wszystko ze mną w porządku – wypalił Dick – Jutro wstanę.

– Tylko jeśli wyśpisz się jak należy.

– Nie – uparcie powtórzył Richard – Niech Walentyn to pije, on ze swoim udem jeszcze przez tydzień będzie leżał.

– Teraz tak mówisz – Rober wstał – Ale moja rada: wypij wyciąg z maku albo ostatecznie koci korzeń i kładź się. Jutro do ciebie zajdę.

Młodzieniec uśmiechnął się wymuszenie:

– Dziękuję. Będzie mi miło.

4

Będzie mu miło, jasne! Jeśli Dick chce teraz kogoś widzieć, to Pridda. Żeby zabić.

Z jakiego powodu ci durnie się szcepili? Chociaż Richardowi po wczorajszym dużo nie trzeba. Dziwne by było, gdyby on na nikogo się nie rzucił. Inna rzecz, że Walentyn nie wygląda na beczkę z prochem; żeby wciągnąć go w pojedynek, trzeba się postarać. I to porządnie.

– Monsignore!

– Tak, Reginaldzie?

Dziwnego Dickon ma kuzyna, jeśli nie wiedzieć, że to szlachcic, za nic się nie domyślisz.

– Monsignore, proszę poświęcić mi kilka minut.

– Naturalnie – o czym z nim rozmawiać? I po co?

– Tylko – grubas zająknął się – można... Mogę pana odprowadzić?

Nie chce mówić w domu? Dlaczego? Chodzi o służących? Bardzo możliwe. Dick się pospieszył, biorąc do siebie zauszników Laura, chłopiec jest zbyt ufny i kiedyś za to zapłaci. Tak,

Inochodźcze, dożyłeś, radzisz synowi Egmonta nie wierzyć własnym towarzyszom.

– Jadę teraz do Pridda.

Reginald Larack nie zapytał, po co, ale Rober uznał za konieczne wyjaśnić:

– Pierwszy Marszałek Taligu... Taligoi powinien odwiedzić obu uczestników pojedynku i zameldować jego wysokości – a także zrozumieć, kim jest Walentyn Pridd, ale najpierw dowiemy się, kim jest Reginald Larack. Richard mianował go swoim następcą, ale chłopak nie miał wyboru.

– Richard bywa bardzo nieopanowany – gruby wicehrabia westchnął głośno i pokręcił głową – i bardzo boleśnie przyjmuje żarty.

Czy to znaczy, że Walentyn miło zażartował? Ośmiornica-żartowniś... Śmieszne samo z siebie.

– Nie rozumiałem, jaki był powód sporu.

– Dick nic nie mówił – zatrajkotał krewniaczek; czyżby uznał, że Rober Epineix będzie wypytywać za plecami Dicka? Zresztą nie wie ta niezdera niczego. Egmont nie dzielił się swoimi nieszczęściami z domownikami, Dickon jest taki sam.

– Reginaldzie, czyżby pan sądził, że będę wypytywać o tajemnice pańskiego kuzyna?

– Nie – twarz Laracka pokryła się nawet nie dziewczęcym, a babskim rumieńcem, dziwny widok – nie, ale... Chciałem porozmawiać o czym innym. Odprowadzę pana do willi Priddów.

A potem południowcy będą musieli taszczyć łamagę z powrotem, chociaż będą mieli na to czas. Rozmowa z Walentynem może się przeciągnąć, jeśli, naturalnie, Ośmiornica nie wpadnie na pomysł udawania umierającego.

– Dobrze, jedźmy. Z powrotem odprowadzą pana moi ludzie.

Reginald Larack rozpląnął się w słowach wdzięczności, wyraźnie nie miał ochoty jeździć po mieście w samotności. Odważnym wicehrabiego nie można nazwać, ale jest gotów zaryzykować.

Dla czego? Rober ukradkiem popatrzył na sapiącego obok grubasa. Niezdara jakich mało, gdyby nie szpada i rodowe barwy, można by go uznać za sklepikarza, w najlepszym wypadku za liktora, ale kto powiedział, że sklepikarze są głupcami, a liktorzy – prostakami?

Usłużny służący w czarno-złotej liberii otworzył drzwi i Rober zobaczył Douviera, trzymającego Drakko za uzdę. Półmorisk parsknął na powitanie, Rober z roztargnieniem pogładził złocisty pysk i wskoczył w siodło. Żołnierze poszli za przykładem marszałka, otwarcie ciesząc się z odjazdu. Znów klócili się z mieszkańcami północy? Ile można!

– Gilbercie! – młody Sec-Arige, któremu Carvall ze zgrzytem zębów powierzył monsignore'a, też był pochmurny. Nie otrząsnął się z egzekucji?

– Tak, monsignore.

– Poczekamy na wicehrabiego Lara. Jedzie z nami, potem go odprowadzicie i wróćcie po mnie.

– Tak jest, monsignore.

Epineix nasunął na oczy kapelusz, rozprostował mankiety rękawiczek. Służący otworzyli wrota, w oczy uderzyła świeża poźłota. Dziki Ockdellów jak sadowe koszatki wczepiły się w pozieleniałe brązowe łoży. Leie Astrape, jak można w cudzym domu wieszać własne herby?! Chociaż mieszkał przecież Francisk w pałacu Rakanów, i nic. Zwycięzca na to jest zwycięzcą, żeby dostać wszystko... Albo skrócić kark.

Podobny do kaprała stajenny wyprowadził gniadego ogierka, całkiem niezłego. Reginald Larack nieładnie, ale i nie beznadziejnie, wlaź w siodło i popatrzył na Robera. Inochodziec uniósł brew i poruszył cugłami. Dźwięcznie szcęknęły zawiasy bramy i Epineix nie wytrzymał:

– Jak pan się czuje w nowym domu, wicehrabio?

Wicehrabia westchnął i zasepił się. Cóż, westchnienie też można uznać za odpowiedź. Kawalkada pokłusowała przez plac. Dźwięk podków wydawał się głuchy, jak nocą, pewnie od pustki. Mieszkańcy stolicy wolą siedzieć w swoich norach i słusznie robią. Epineix zwrócił się do Reginalda:

– Jesteśmy sami, słucham pana.

– Monsignore – twarz Laracka przybrała zrozpaczony wyraz – Monsignore... Rozmawiam z panem, bo moja gospodyni... Moja była gospodyni i inni ludzie... Służyłem w skarbie i mieszkałem u mieszczan... obiady przynoszono mi z karczmy...

Bardzo wzruszające, za to teraz następca Ockdellów nigdzie nie służy i mieszka w willi

Kruka.

– Panie – meczący grubas na drogim koniu wywoływał mdłości – nie rozumiem pana.

Larack coś przełknął, widocznie nie do końca, bo przełknął jeszcze raz.

– Panie, muszę panu powiedzieć... Aldo Rakan przyniósł Taligowi i Ollarii nieopisane nieszczęścia!

– Co pan ma na myśli? – Rober zagapił się na rozmówcę tak, jakby widział go pierwszy raz. Usłyszeć coś takiego od syna szlachetnego Ivona?! Nie od Dicka, który widział Warastę i Epineix, a od tego piwnicznego chomika? Reginald zrozumiał zdziwienie Robera po swojemu.

– Ja i tak powiem – wypalił hardo grubas – a potem może mnie pan oddać Insmillerowi jako zdracę. To, co wy robicie, to, to...

Oratorem kuzyn Dicka był beznadziejnym, zabrakło mu słów, a może przestraszył się własnej śmiałości. Rober westchnął:

– Panie, może pan mówić absolutnie swobodnie. Obiecuję, że wasze słowa nie pójną dalej.

– Nie – wypalił Larack i spurpurowiał – pan musi powiedzieć. Pańskim obowiązkiem jest powiedzieć jego wysokośći...

On mówi, ale Aldo nie słyszy. Suzeren żyje w wymyślonej przez siebie Rakanie i nie chce znać Ollarii.

– Reginaldzie – i tak to jest, śmiejesz się z kogoś, nie bierzesz poważnie, a on okazuje się porządniejszy o śmielszy od ciebie – rozmawiałem z jego wysokością i będę rozmawiać znów, ale musi pan zrozumieć...

A co on musi zrozumieć? Że księżę, któremu nieoczekiwane zwycięstwo uderzyło do głowy, i sfera niegodziwców połamali tysiącom ludzi życie? Do lata z Aldo zostanie nie więcej niż z zeszłorocznego śniegu, ale powieszni nie zmartwychwstaną. Nawet jeśli rozerwie się na kawałki Insmillera.

– Rozumiem – wymamrotał Reginald – to znaczy rozumiałem... Byłem w Nadorze, kiedy przyszli królewscy żołnierze, wszystko widziałem... Oni byli brutalni, bezceremonialni, ale wszystko zgodnie z prawem. Jeden sierżant i kapral... Oni zgwałcili dwie służące... Ich rozstrzelano... Był taki kapitan. Weisfert, Berger... On powiedział, że Nador – to Talig, a oni nie są Warytami, żeby mścić się na kobietach. I rozstrzelał. Księżę, dlaczego wasze wojska zachowują się jak obcy? Powiedzcie królowi albo puśćcie mnie do niego! Niech mnie wsadzą do Bagerlee, ale ja wszystko powiem!

– No, powie pan – nie wytrzymał Rober – a co potem?

– On... – oczka Laracka zrobiły się prawie duże – On wie?

Wie, ale nie rozumie. Nie z okrucieństwa, z pewnością, że jest w swoim prawie i w swojej przyszłej sile i sławie.

– Panie! – nie przestawał kuzyn Dickona – Trzeba coś robić. Ludzie giną, pan... Pan rozumie, że niedługo zacznie się głód, a potem bunt? Czy będzie pan wieształ głodnych?

– Reginaldzie – dlaczego on to rozumie, a Dick nie? Chociaż Larack jest dziesięć lat starszy, on pamięta i Egmonta, i to, co było potem – Prawie przyjechaliśmy. Ma pan wiele racji, jeszcze o tym porozmawiamy, a na razie – niech pan milczy. Słowami w niczym pan nie pomoże, a zajęcie się dla pana znajdzie. Obiecuję.

– A co ja mogę? – grubas wyglądał na zdziwionego, nie na wystraszonego, a właśnie zdziwionego – Jestem nikim, byłem urzędnikiem byłego skarbu.

ROZDZIAŁ 2

RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 21 dzień Jesiennych Fal

Wysoka głucha ściana, drzewa, pamiętające nieledwie marszałka Hektora, masywne wrota z herbami, stróżówka, bardziej podobna do donżonu, i herby, herby, herby...

Kim trzeba być, żeby umieścić na tarczy morską gadzinę? A może najpierw to nie była ośmiornica, a coś przyjemniejszego? Kto wie, jak powstawały symbole Wielkich Domów, ale sens

na pewno w nich był. Starożytni niczego nie robili na próżno, to później ludzie stali się wielkimi zabłąkanymi.

Sierzant Douvier stuknął brązowym pierścieniem w kute skrzydło wrót. Odźwierny był na miejscu i chyba znał gości, bo bez zbędnych pytań zabrzęczał zasuwami. Nie minęło pół godziny, jak wąskie skrzydło otworzyło się, ukazując światu sporego mężczyznę w liliowo-szarej liberii, za plecami którego majaczyło jeszcze kilku wojaków. Jakim cudem Walter Pridd trafił w Zmierzch, przy takiej czujności?

– Czym mogę służyć? – zahuczał odźwierny ośmiornica.

– Księżę Epineix z poruczeniem od jego wysokości – odpalił Douvier, który podłapał trochę pałacowych mądrości, mimo że żadnego poruczenia nie było.

Ośmiornica uklonił się, ale nie ruszył z miejsca. Wrota otworzyli inni, tak samo pochmurni i uprzejmi. Do tej pory oplakują Waltera czy po prostu nie umieją się uśmiechać?

– Sec-Arige – Nicolas nie pochwali, no i niech idzie do kotów – odprowadźcie wicehrabiego Lara i wracajcie.

Rozkaz Gilbertowi się nie spodobał, ale nie ośmielił się sprzeciwić przy obcych służących. Dzięki i za to.

– Tutaj nie ma wrogów – przyjaciół tym bardziej, ale Ośmiornice nie ruszą gości w swoim domu. Nie tak ich wychowano – Zrozumiał mnie pan?

– Tak, monsignore – zapewnił wojownik o wielką Epineix. Południowcy zawrócili konie, otaczając Laracka, skrzypane wrota. Rober nie lubił dźwięku opuszczanych zasuw za swoimi plecami, ale pozostawiać wrota otwarte na oścież w obecnej Ollarii byłoby nieostrożnością.

Władca Błyskawic w milczeniu zeskoczył z Drakko na okazałe kwadratowe płyty. W gnieździe Priddów wszystko było staranne i stare, a raczej starożytne. Przedstawić na tutejszych wrotach nowiutkie herby? Łatwiej sobie wyobrazić śpiewającą mątwę!

– Monsignore czeka na pana – zameldował stary sługa z blizną na pół policzka – niestety, nie może zejść.

– Wiem – rzucił Rober i postąpił w zmrok. Groźnie trzasnęły potworne drzwi, zapachniało żalobnymi kadzidłami. Ośmiornice, jakby się do nich nie odnosić, byli w tym domu na swoim miejscu, a on – nie.

Miękki, przyciśnięty miedzianymi prętami dywan głużył kroki, pogrzebowa cisza pętała nie gorzej od całunu, służący ze świecami przypominali wychodźców. Nieprzyjemny dom, wybudowany przez nieprzyjemnych ludzi. I sprawa też nieprzyjemna.

– Tutaj, monsignore.

Jeszcze jedno zatraskujące się drzwi. Zapach cyprysu, zmierzchowe odbłaski kominka, półmrok i cisza.

– Dobry wieczór, księżę. Cieszę się, że pana widzę.

Nie bardziej, niż ja ciebie, ale uprzejmość zobowiązuje, a sytuacja – tym bardziej.

– Dobry wieczór, panie. Jak pan się czuje?

– Dziękuję, wszystko w porządku. Proszę usiąść. Muszę przyznać, że nie wiem, co pan lubi. Jakie wino pan wybiera?

– Czerwone. W końcu jestem południowcem.

– Zaraz podadzą – ręka z ciężkim sygnetem sięga do dzwonka – Proszę pozwolić, że zapytam: nie jest pan głodny?

Jego śniadanie zostało w domu, obiad zjadł Nicolas, ale kolację zje nie u Priddów. Jeśli w ogóle zje.

– Dziękuję panu. Tylko wina.

– Gerhardzie, przynieś czerwone wino i zapal więcej świec.

– Tak jest.

Rzeźbiony dąb, liliowy aksamit, pociemniały przez wieki brąz, wielmoże z zimnymi twarzami, bezcenna broń, oprawione w skórę książki i blady młody człowiek, z którym trzeba rozmawiać i pić wino.

– Dzisiaj był niezły dzień – o czym by ludzie mówili, gdyby nie było pogody? – Co prawda, pod wieczór się ochłodziło.

– Koniec jesieni – zgodził się Władca Fal – w tym roku dziwnie ciepło, przynajmniej w Rakanie.

Dla Pridda Ollaria już jest Rakana. I dla Dickona też. Służyć jednemu królowi, wierzyć w jedną sprawę i skrzyżować szpady? Głupio.

– Trudno mi sądzić – ostrożnie powiedział Rober – Żle znam tutejszy klimat.

O czym z nim rozmawiać? Błyskawice i Fale nigdy nie szukały swojego towarzystwa, co najwyżej Irena... Zapytać o nią czy nie warto?

– Wiem, pan dawno nie był w Taligoi.

On dawno nie był w Taligu, a w Taligoi nie był nigdy. I teraz oni obaj są w Taligu. Podwórzowe szczeniaki, które wkradły do kuchni pod nieobecność kucharza, ale kucharz niedługo wróci.

Walentyn czekał, odchyłony na oparcie fotela. Szary aksamit, książęcy łańcuch na szyi, starannie rozczesane włosy. Gdyby nie futrzany pled na kolanach, można by sądzić, że Władca Fal zamierza jechać do pałacu.

– Walentynie, pan na kogoś czeka?

– Przypuszczałem, że jego wysokość zechce się dowiedzieć, co się stało.

Logiczne, ale Dickowi do głowy nie wpadło, żeby zakładać pałacowe szmatki. Priddowie zawsze mieli bzika na punkcie manier, Justina kosztowało to życie.

Języczki świec poruszyły się lekko – wrócił Gerhard z winem. Stwory Zmierzchu, w tym domu służący skradają się jak koty.

– Dziękuję – ręka z wypolerowanymi paznokciami wskazała niski stół – Postaw i możesz odejść.

Na owalnej tacy baraszkowały ogoniaste wodne astery, dzban i kubki były złote z emalią. Morskie potwory patrzyły złymi akwamarynowymi oczami, chłodno migotały szare perły. Galtarska robota! Kiedyś była warta wiele, teraz w ogóle nie ma ceny.

– „Smocza krew” – niegłęboko oznajmił Walentyn – A może woli pan jakąś inną?

Każdą, byle nie ludzką, a w legowisku Ośmiornicy smocza²⁰ krew jest w pełni na miejscu. Rober Epineix postarał się przybrać beztruską minę:

– To dobre wino.

– Tak, szczególnie, jeśli rok był udany. Czy może pan nalać?

– Naturalnie.

Jaka pusta rozmowa, ale syn Waltera nie jest głupi. Nie doczeka się od niego otwartości, to nie Dickon. Trzeba będzie wypytywać.

– Jeśli się nie mylę, pan i książę Ockdell uczyliście się w Laik?

– Tak – Walentyn podniósł kielich – dziwny zbieg okoliczności. Liczba dwadzieścia jeden nie na próżno uważa się za nieszczęśliwą, a nas było właśnie tylu, i dwóch już nie ma.

– Nie wszyscy absolwenci Laik dożywają starości. Nas było trzydziestu dwóch, ilu zostało – nie wiem.

Ilu by nie było, większość – to wrogowie. Nie, nie tak, to Rober Epineix jest wrogiem Serge'a Valmona, Caesare Tozaccini, Huberta Letzke.

– Co poradzić, przyszło nam żyć na Przełomie – Pridd obrócił kielich, zielonkawym morskim lodem błysnęły galbrijskie akwamaryny – Czworo chce krwi, więc my ją przelewamy.

Czworo czy my sami? Aldo nie chce krwi, on jej po prostu nie zauważa, a Ośmiornica zauważa, ale jest mu wszystko jedno.

– Książę, ponieważ wasz pojedynek dotyczy interesów Wielkich Domów i ponieważ nie byli przy nim obecni sekundanci, muszę zapytać, co się stało.

– Panie marszałku – przezroczyście oczy wydawały się ni to lodem, ni to akwamarynami – książę Ockdell opowie wszystko, co uzna za konieczne. Pokładam zaufanie w jego krasomównie i jego pamięci.

– Książę Ockdell ma gorączkę.

– Sądzę, że ja też. Przynajmniej wszystko, co było przed pojedynkiem, wypadło z mojej pamięci. Pamiętam tylko nasze spotkanie w apartamentach jej wysokości, a potem – Stary Park.

– I więcej nic?

– Nic, panie. Jeśli książę Ockdell wspomni i uzna za konieczne powtórzyć swoje słowa, to je powtórzy. Być może to zmusi mnie do wznowienia pojedynku, kiedy tylko będzie taka możliwość.

Ośmiornica wszystko pamięta i nic nie powie. Jeśli i Dickon będzie milczał, niedobrze to będzie wyglądać. Bo od takiego milczenia do śmiertelnej wrogości jest mniej niż krok, a Walentyn

Pridd jest niebezpieczny. Dickon – to chłopiec. Porywisty, zakochany, ufny, bez podwójnego dna, a co ma w głowie ten lodowaty piękniś? Co mieli w głowach jego ojciec dziad, pradziad? Priddowie mało mówili i jeszcze mniej robili, tylko czekali. Czyżby się doczekali?

– Dziękuję za wino. Niestety, moje obowiązki żądają mojej obecności w innym miejscu.

Tutaj nie ma co robić, a od siedzenia w tym grobowcu ni to z wychodźcem, ni to ze statua – mdli. Niepotrzebnie odesłał eskortę, ale nie ma siły czekać.

– Jedzie pan do koszar czy do swojej rezydencji?

– Do pałacu.

– Dziękuję panu za wizytę – bezkrwiste usta rozciągnęły się w nic nieznaczącym uśmiechu – ale wiem, że odesłał pan swoich ludzi. Niestety, Rakany, w odróżnieniu od Ollarii, nie można nazwać spokojnym miejscem. Odprowadzą pana.

20 Gra słów: „змеиный” oznacza zarówno „smoczy”, jak i „wężowy”.

– Dziękuję – trzasnąć by drzwiami i posłać cię do twoich mątów i kotów, ale nie wolno. Dlatego, że jesteśmy w jednym zaprzęgu i dlatego, że masz rację – w pojedynkę po stolicy lepiej nie jeździć. Szczególnie najlepszemu przyjacielowi jego wysokości.

2

– U jego wysokości są ambasadorowie – oznajmił dyżurny adiutant i malowniczo uniósł rękę w przedpotopowym pozdrowieniu. Jeśli dalej tak pójdzie, trzeba będzie się ubierać w sandały i chitony.

Rober apatycznie opędził się od świeżo upieczonego „galtarczyka” i podszedł do okna. W dole, w wiszącym ogródku, zmieniła się straż. Nieznajomy oficer w nowym mundurze kroczył przed gimnetami, wyglądających jak szalony sen krawca. Mistrzowie gną plecy dniami i nocami, przygotowując się do koronacji. Zapłacą im czy po prostu nie zabiją i nie ograbiają? I gdzie potem to wszystko podziąć?

Oficer machnął szpadą. Ochraniający donicę z bezlistnym drzewem żołnierze stuknęli halabardami o ziemię, ustępując miejsca towarzyszom. Donica była dobrze chroniona, i nie tylko donica. Pałacu strzeże niemal tysiąc żołnierzy, a Aldo ma zaledwie dwadzieścia tysięcy wysiedzianych przez Manrików kukulczych podrzutków, dwa tysiące południowców i nie wiadomo ile mątów. Na to, żeby trzymać mieszczan w garści, wystarczy, na to, żeby powstrzymać bunt, kiedy się zacznie – już nie, a o tym, żeby odrzucić Savignaca albo Bergerów – nawet nie ma co mówić.

W głębi poczekalni rozległy się stuk ceremonialnego berła i wrzask portierusza²¹. Rober obrócił się i ujrzał konchessera Marcosa Gambrina. Pełnomocny ambasador Imperium Gaifijskiego przypominał smardza, ale oczka były mądre, chytre i niedobre. Nieprzyjemne oczka, chociaż niby skąd ma wziąć inne? Na widok Robera „smardz” wyobraził najuprzejmiejszy ze wszystkich możliwych uśmiechów. Trzeba było podejść.

– Dobry wieczór, doradco – podobno w Turkusowych Ziemiach rosną blade grzyby. Trujące, ma się rozumieć – Jak minęła audyencja?

– Rozmowa z jego wysokością nieco się przeciągnęła – pomarszczone wargi wyciągnęły się w dzióbek i znów wciągnęły – ale, marszałku, mam nadzieję, że rozumie pan, iż nasze spotkania noszą wyłącznie osobisty charakter i w żadnym razie nie mogą być rozpatrywane jako uznanie przez jego wysokość Diwina jego książęcej mości Aldo królem Taligu?

Rober ponuro spojrział na ociekającego miodem i pieprzem Gaifijsczyka i wyglądającego zza „smardza” jasnowłosego Kadańczyka. Ambasadorów Gaunau i Driksen nie było na spotkaniu. Nie chcieli przyjść czy tak postanowił Gambrin?

Kadańczyk ocenił spojrzenie Robera jako zaproszenie do rozmowy.

– Król staje się nim dopiero wtedy, kiedy przyjmie namaszczenie na władzę.

Jak on się nazywa? Chyba hrabia fok Scheienwartz, a może tak nazywa się drugi doradca ambasady Gaunau? Dobra, obejdziemy się bez imion. Epineix skłonił się z szacunkiem:

– Panie, posłańcy jego świątobliwości już są w drodze.

– Jego książęca mość uznaje długi i zobowiązania swoich przodków, ale odmawia odpowiedzialności za to, co uczynili uzurpator i jego potomkowie – zauważył Gaifijszyk – To nader rozumne.

Czyli Aldo, jak zamierzał, odzegał się od przyłączonych przez Ollarów ziem. Ziem, gdzie

stoją armie Savignaca, fok Warzowa, Diegarrona. Rozkoszny prezent. Proszę, panowie, macie niedźwiedzią skórę, a teraz idźcie do lasu i zabijcie niedźwiedzia.

– Rakanowie zawsze byli rycerzami – oznajmił ambasadorom Inochodziec.

– O tak – zaśpiewali dyplomaci. Jakiż duet, misterium można wystawiać. Jeśli zagorzali przyjaciele przełkną przynętę, taligojscy dowódcy będą musieli wybierać między starymi wrogami i buntownikami za plecami. Kogo wybiorą? I co zdąży nawyrabiać „Pierworodny”, jeśli fok Warzow i Savignacowie zaczną nie od yzargów, a od „pawi” i „gęsi”? Rober znów się skłonił:

– Mam nadzieję, że w najbliższej przyszłości będzie nam dane kontynuować tę rozmowę – te

21 Majordom, kamerdyner.

same słowa powiedział Reginaldowi. Śmieszne.

– Będę szczęśliwy – zapewnił słodki grzyb – tym bardziej, że muszę panu przekazać list od pańskiego przyjaciela.

Jacy znów przyjaciele, którzy w dodatku przekazują listy przez gajfijskich ambasadorów? Brwi Robera popęzły w górę, zanim zdążył je powstrzymać.

– Kapitan artylerii Lambros – odpowiedział Gajfijczyk.

Kapitan? W Kagecie był tylko tenentem... Rober nie uważał artylerzysty z Newanty za swojego przyjaciela, być może niesłusznie. Do Agarisu Gajfijczyk napisał uczciwie, a i zapraszał do siebie bez żadnych korzyści.

– Cieszę się, że Lambros awansował – zupełnie szczerze powiedział Rober.

– Więcej, on jest gotów przyjść z pomocą swojemu przyjacielowi. Kapitan Lambros ma wielu wpływowych znajomych. Jeden z nich, generał Sartakis, jest gotów wiosną stanąć pod sztandarem Rakanów.

Co było do udowodnienia. Paona będzie ostrożna, co nie przeszkodzi „wolnemu” generałowi wejść do Taligu, przecież to tylko najemnik, który dał się namówić przez kapitana Lambrosa, działającego na prośbę swych taligojskich przyjaciół.

– Kiedy mogę przyjechać po list?

– Kiedy będzie to dla pana wygodne.

Czyli trzeba będzie pojechać i opowiedzieć Aldo. A ten wczepi się w gajfijskich najemników. Naturalnie, do tej pory, póki nie zawładnie siłą Rakanów.

– Za pańskim pozwoleniem odwiedzę ambasadę jutro lub pojutrze.

– Będę czekał.

Wyjście musi być, musi, musi! A jeśli go nie ma? Patrzyć na to, co się dzieje, czy uciekać? Aldo nie uda się powstrzymać, Insmillerów – tym bardziej, czyli trzeba ich ograć. Ograć?! Gracz się znalazł.

Porteriusz łupnął swoją durną pałką i ogłosił: „Jego wysokość życzy sobie widzieć marszałka Epineixa!”

3

– Stajesz się coraz bardziej królewski – żarty przychodziły Roberowi z trudem, ale bez nich ryzykował, że zostanie albo lizusem, albo buntownikiem – Jeszcze rano nie stukali i nie wrzeszczeli.

– Przyzwyczajasz się – machnął ręką Aldo – I dasz mi stu przystojnych południowców.

– Przystojnych?! – Inochodziec miał wrażenie, że się przesłyszał – My co, będziemy Gaifie daninę płacić w piękniśiach?

– Brrr – otrząsnął się suzeren – Ależ masz myśli!

– A co innego miałem pomyśleć? – durny dzień, durna rozmowa, durne życie! – W poczekalni wpadam na gajfijskiego ambasadora, on zaprasza mnie w gości, wchodzę do ciebie, a ty żądasz stu przystojniaków.

– „Pawie” się obejdą – Aldo z widocznym zadowoleniem poprawił nowy złoty łańcuch – Południowcy są potrzebni mnie. Podzieliłem gimnetów na cztery rotę czarną, niebieską, liliową i szkarłatną. Służyć w nich będą urodzeni w Nadorze, Priddzie i Epineix, z rotą Wiatru jeszcze nie wiem. Kapitanów z czasem też będzie czterech.

– Z rotami rób co chcesz – siadać czy nie? Z jednej strony – są przyjaciółmi, z drugiej – wielki król może nie zrozumieć – Ale nawet dwóch kapitanów to przesada. Osobista ochrona

królewska to nie Zwierz, z czterema głowami oszaleje.

– Głowa będzie jedna – suzeren padł na fotel i Rober poszedł za jego przykładem – moja! Do zadań kapitanów rot należeć będą straża i musztry, a głównymi będą po kolei, od Przełomu do Przełomu. Zimą czarni, wiosną – niebiescy i tak dalej.

– W Galtarze też tak było? – „Zimą czarni, wiosną – niebiescy”, a letnich najpewniej po prostu nie będzie...

– Nie – puścił oko przyszły władca wszechświata – ale na poprawę nigdy nie jest za późno. No i co tam z naszymi pojedyńkowiczami?

– Żyją, choć są nieco potrzepani.

– Ockdella uczył niepokonany Roke – z naciskiem powiedział Aldo – i Ockdell przegrał z Priddem. Co ty na to?

– Nieukończenie nauki jest niebezpieczniejsze niż jej brak – i musi pamiętać, by powiedzieć o fontannach z winem i przebojach z zaopatrzeniem – Ale nie cieszę się ze zwycięstwa Pridda. Jeśli on, oczywiście, zwyciężył.

– Ci, którzy rozwozili ich po domach, nie mają co do tego wątpliwości – suzeren poprawił wykrochmalony kołnierzyk – Mnie ta liliowa statua z lodu też nie zachwyca, ale dobrze, że z Dickona spuścił powietrze. Musi być ostrożniejszy.

– Miejmy nadzieję – jego wysokość liczy cudze pchły, ale na sobie nie zauważa yzargów – To otrzeźwi obu.

– Na nadziei daleko nie pojedziesz! – Aldo ściągnął ze stołu ozdobiony wielką pieczęcią zwój – W wolnej chwili napisałem edykt o zakazie pojedynków między eorami. Twoim zadaniem jest uświadomić o tym obu bałwanów. Dlaczego się bili?

– Akurat powiedzą – wychodzi na to, że on, próbując okiełznać Dicka, miał przyływ jasnowidzenia – Richard chciał ugryźć, no to ugryzł.

– A jak tu nie ugryźć, jak się ma taką siostrzyczkę! – Aldo w udawanym przerażeniu złapał się za głowę – Przełknie i się nie zadławi. A właśnie, jadłeś kolację?

Nie jadł i nie chce, a co do Iris Ockdell, to suzeren ma rację. Mniej, niż na własnym miejscu, Rober chciałby się znaleźć na miejscu Dickona, a mniej, niż na miejscu Dickona, na miejscu Aldo.

– Śmierć z głodu mi nie grozi – Epineix oddał edykt jego wysokości – ale jeśli dzisiaj się nie wyśpię, jutro nie będziesz miał marszałka.

– No to idź stąd, a ja coś przegryzę. Umieram z głodu, nawet panowie ambasadorowie nie zepsuli mi apetytu, chociaż się starali.

– Czego chcą?

– W tym problem, że ja chcę więcej niż oni – skrzywił się suzeren – i gaifijski smardz doskonale to rozumie.

Można było zaprotestować, że Gaifie zawierucha w Ollarii jest potrzebna nie mniej niż Aldo, bo walczyć z Savignacem i Tomasem im się nie chce, ale Rober wołał zamilczeć. Suzeren i tak jest zbyt pewny siebie, niech chociaż smardzów się boi.

– Jeśli Driksen albo chociażby Kadana nie ruszą naprzód – w oczach Aldo błysnęło coś podobnego na rozdrażnienie – Lionel Savignac albo ten stary pień Warzow rzuca się na nas, a ja nie mogę się dostać do miecza.

– I dlatego ciągniesz do Taligu Matyldę i Mellit!

– Mellit? – Aldo chyba nie zrozumiał – A po tu ona? Łasiczka nawet na swoich enniolach się nie zna. Mam nadzieję, że Matyldzie starczyło rozumu, by zostawić dziewczynę w Sakasci.

Jeszcze czego! Matylda nie porzuca tych, których przygarnęła, a Mellit umrze, ale dotrze do swojego „Pierworodnego”. Obie będą w Ollarii jednocześnie z nowym kardynałem, o ile nie wcześniej.

– Aldo – a on, jak się okazuje, stał się wytrawnym łgarzem – nie lepiej poprosić Matyldę, by odwiedziła siostrę? W Kadanie pomoże bardziej, niż tutaj.

– Księżna wdowa musi być obecna na koronacji – uciął suzeren – a potem rzeczywiście odeślemy ją do Kadany.

– A Savignac będzie czekał? Mówiłeś, że prawdziwą przysięgę złożysz w Galtarze, tam Matylda zdąży.

– Do Galtary teraz nie dotrzemy, a im szybciej mnie koronują i im szybciej ożenię się z Urgotką, tym lepiej. A właśnie, co będziemy robić z Ockdellami?

– Sądząc ze wszystkiego – uczciwie przyznał Rober – Iris Ockdell nie chce być twoją żoną, a życzenie damy jest prawem.

– Jest jeszcze Mirabella. Wiesz, jakoś mnie nie ciągnie wyjaśniać wszystko wdowie po Egmoncie. Podobno to istna megiera.

– Nie pamiętam jej – Egmont kochał inną, ilu ludzi ta miłość uczyniła nieszczęśliwymi? Dwoje, troje, cały zamek? – Dickowi było trudno z matką.

– I z siostrą też – zarechotał Aldo – Słowo honoru, już się boję nadorskich kobiet.

– Lepiej byś się wystraszył czegoś innego – nie wytrzymał Epineix – Koronacja jednak będzie w Nosze?

– Dziwi cię to?

– To miejsce ma nie najlepszą reputację.

– Co masz na myśli? Pojedynki czy ducha?

– I jedno, i drugie, i trzecie. Zapomniałeś o „prawdziwcach”?

– Nie zapomniałem – nachmurzył się suzeren – wręcz przeciwnie, pamiętam, i to bardzo dobrze. Chcieli Nochę, ale jej nie dostaną! Świątynia Koronacji nie może należeć do żadnego zakonu. A jej przełożonym jest kardynał.

– Nie miałem pojęcia, że orientujesz się w kościelnych szczegółach.

– Przydaje się – Aldo był bardzo zadowolony ze swojej persony – Król, lekceważący drobiazgi, ryzykuje, że wyślą go w Zmierzch.

A król, który lekceważy poddanych, ryzykuje dziesięć razy bardziej.

– Carvall mówi, że zamierzasz spoić mieszczan? – Stwory Zmierzchu, on znów złapał za nieistniejącą bransoletę! – To nierozsądne.

– Darmowe wino to najlepsza droga do serca prostego człowieka – oznajmił przyszły anaks Złotych Ziem – Sam przecież chciałeś święta, a teraz co? W krzaki?

– Aldo! – no jak wyjaśnić kotu, że trzeba chodzić na dwóch nogach? – Co trzeźwy myśli, pijany mówi. Chcesz, żeby na ulicach rzucono kamieniami w żołnierzy i wrzeszczano o Rakanie-tarakanie?

– Coś ty powiedział? – a oto i najjaśniejsza wściekłość, panie Pierwszy Marszałku, rozkoszuj się i zapamiętuj – Gdzie to słyszałeś? Gdzie, pytam?!

– Chłopiec w czasie egzekucji krzyknął – co on mówi?! Przecież Insmiller trafi teraz do obrońców wysokości – Aldo, jeśli urządzisz winne fontanny, nie będziemy mieli czym poić garnizonu. Kupcy do Ollarii, wybacz, do Rakany nie jadą.

– Pojadą – warknął suzeren – a fontanny będą. Nie zamierzam chować się przed krzykaczami, ale ciebie to nie dotyczy. Jesteś marszałkiem, więc wypełniaj swoje obowiązki, a porządku dopilnuje Insmiller. Słyszysz? Uroczystości koronacyjne nie dotyczą ciebie i Carvalla, ale jeśli garnizon nie będzie miał co zjeść, odpowiesz przede mną! Żebyś następnym razem nie mieszał mi kart. Zapomniałeś, dzięki komu zostaliśmy bez pieniędzy?

– Lepiej bez pieniędzy niż bez sumienia – odpałił Inochodziec – a zjeść nie będzie co, jeśli do twojej Rakany będzie strach wejść.

– Do naszej Rakany – Aldo jak gdyby nigdy nic wziął Robera pod rękę – Wybacz, mam zły nastrój. Te ambasadorskie szczury każdego wyprowadzą z równowagi.

– Aldo, usuń Insmillera – co to tam mówią o samotnym głosie, zawodzącym na szczytach gór? – Jeszcze przed koronacją! Komendant powinien być jeden. Chcesz, żeby Carvalla lubiono, a pozostałych nienawidzono? Nawiasem mówiąc, ludzie Pridda też są na nożach z cywilnikami.

– No to ich pogódź!

– Łatwiej przejechać się na Moro – machnął ręką Rober, czując się jak obcy, stukający do pustego domu.

– Na Moro? – w oczach suzerena mignęła figlarna iskierka – Przecież ty jeździsz!

– Tylko po to, żeby się nie zastał, inaczej po koniu.

– Pojedziesz – mruknął suzeren – znam ja was, koniarzy, nie wytrzymasz. A Insmillera zostaw w spokoju, potrzebuję go takiego, jaki jest, i dość już o tym. Odwiedzasz kuzynkę?

– Zamierzam – nie życzymy sobie kontynuować rozmowy o Insmillerze, a mieszczanie już biegają na skargę do Carvalla. Najbardziej oswojeni, naturalnie. Dzicy leżą na dachy z kuszami.

Suzeren ziewnął i ciałniej zaciągnął pas.

– Gdyby Katarina była młodsza i bodaj w połowie tak dobra, jak alackie chłopki, ożeniłbym

się z nią, chociaż byłoby to niesłuszne. Ale nie pozwolę, żeby głuptaska pochowała się za życia.

– Ona nie zostawi Ferdynanda.

– To nie znaczy, że Ferdynand nie zostawi jej – pocieszył Aldo – No więc będziesz jeść kolację?

– Nie, bo jeszcze usnę, na co mi to...

– Spać trzeba nocą, a nie wieczorem, szczególnie jeśli nie ma damy – twarz jego wysokości przybrała melancholijny wyraz – Stwory Zmierzchu, co ja mam robić z tymi zaręczynami?! Jak powiem, że Iris zachowywała się nieprzyzwoicie, to Mirabella podsunie mi kolejną córeczkę. Bez skazy. I nie wykręcę się, a przecież muszę ożenić się z urgocką księżniczką.

– A co z galtarskimi tradycjami? Tomas nie jest eorem i nigdy nim nie był.

– W galtarskich czasach eor mógł się ożenić nawet z chłopką. Małżonka – to naczynie, a małżonek – wino!

– Co takiego? – nie zrozumiał Epineix – Goganie ci to powiedzieli?

– To starożytne przysłowie – pouczająco powiedział suzeren – Mówiąc po ludzku, żona może być nawet chłopką, i tak najważniejszy jest mąż. Roberze, muszę pozbyć się nadorskiej bransolety, ale przecież nie mogę otwarcie odrzucić prapraprawnuczki świętego i córki męczennika!

ROZDZIAŁ 3

TRONKO I RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 23 dzień Jesiennych Fal

1

Charles dotarł do Zicotery szybko i szczęśliwie, i to było jedyną złotą monetą w dziurawej kieszeni. Nie licząc pogody, która wreszcie się zmiłowała, ale już lepsze lodowate deszcze ze śniegiem niż niektóre nowości. Tym bardziej, że wicehrabia Valme ostatecznie machnął ręką na wytworność i modę. Komu to potrzebne w Waraście? Komu to w ogóle potrzebne? Jest tylko jedna wytworność – udawać, że wszystko w porządku, nieważne, jak bardzo chce się kąsać i wyć.

Marcel rześko odpowiedział na powitanie aduańskiego pułkownika, uśmiechnął mieszcze w podbitym stepowym lisem płaszczu, pomachał znajomemu kawalerzyście. Kawalerzysta przeszedł przez ulicę, wziął Valme pod rękę i zaproponował, żeby wypić. Marcel skłamał, że jest zajęty, chociaż był wolny jak czterysta piwnicznych kotów – to Roke siedział w Bagerlee.

Nowość nie chciała ułożyć się w głowie, ale wychudzony handlarz ziarnem, którego przywiózł kenallijski podjazd, widział wszystko swoimi oczami. Jego opowieść mogła być tylko prawdą, bo czegoś takiego nie można wymyślić!

Ulica wyprowadziła go na brzeg – Rassanna jeszcze nie zamarzała, tylko na wodzie pływało coś podobnego do zastygłego tłuszczu. Odrażające! Valme powoli pobrnął po ciężkim mokrym piasku wzdłuż krawędzi oszronionych wodorostów, zastanawiając się, co ma robić.

Zazwyczaj następca Valmonów był w zgodzie ze sobą i z życiem, ale czasem sam sobie chciał przyłożyć w pysk. Wtedy Marcel zabierał się jak najdalej, myśląc, jak ma się wykręcić z kłopotów i co wyjaśnić najdroższemu rodzicielowi. Tym razem ojcowski gniew w żadnym wypadku wicehrabiemu nie groził, jemu w ogóle nic nie groziło. W odróżnieniu od Kruka, który po jakiejś koty polazł do Ollarii. A on też dobry, zamiast jechać gdzie jechał, zaczął się pchać do Tronko. Bo jemu, widzicie, wydało się, że to dalekowzroczone. Nasłuchał się Tomasa i wujaszka Shantry i wyobraził sobie, że jest wielkim mądrałą, a sam bażant nad bażanty! Pióra pstre, mózg kurzy, i pazurów nie ma.

„Eve re guerde sona ederiente... Żeby struna dźwięczała wiecznie!” Ona dźwięczy, a żeby ją Leworęki! „Eve re guerde...” Handlarz ziarnem stał przy samym szafocie i zostałby bez głowy, gdyby nie Roke! On i jeszcze tuzin grubasów, nie licząc Ferdynanda.

Rakan zażądał za króla Alwę i dostał! Jak w durnej bajce o królu, który oddał za dynię serce. „Eve re guerde...” Ależ się przyczepiło!

On budził zaspanego Gerarda, a Roke podjeżdżał do Valmona, rozmawiał z ojcem, pisał listy. I później, kiedy oni z Charlesem siedzieli w „Księżycowym zajacu”, kluczyli po Malle, spali, jedli, kupowali konie w Vaine, Alwę jeszcze można było dogonić...

Marcel przeskoczył przez wybielony szronem pień, podobny do posypanego solą yzarga. Szron na brzegach Rassanny, sól na brzegach jezior Galbraix... Felp, Urgot, abordaże, misteria, nawet Francesca – jak daleko to wszystko odeszło, stało się chwiejne, małe, niepotrzebne. Niskie białe słońce zamieniało zasypiającą rzekę w srebrną drogę, a zachodnie drogi stały się istnym trzęsawiskiem. Diegarron mówi, że marsz na Ollarię jest niemożliwy, ale on będzie szukać wyjścia. Jest generałem, może, a co strzeliło do głowy Alvie? Znalazł kogo ratować!

Dźwięk skazanego kryształu, śmiech braci Savignaców, alacki kielich w dłoni Kruka. „Stwórczo, chroń Talig i jego króla. A jeśli nie on, to ja”.

Marcel bezmyślnie podniósł pustą muszelkę. Żyjąca w niej istota zdechła, a domek został. W Tronko jest ulica guzikarzy. Dzieciaki zbierają muszelki, rodzice robią białe guziki, które uwielbiają mieszczanie. Słoneczny odbłask prześliznął się po wnętrzu muszli, księżycową zielenią błysnęła masa perłowa.

Zły zielony księżyc, wyraźny profil na tle rozwalonego muru, martwi muszkieterowie, jutrzejsza bitwa.

– *Co my tu robimy?*

– *Pan – nie wiem, a ja bronię Taligu.*

Taligu on broni, widzicie go! Stwory Zmierzchu! Muszelka w rękach wicehrabiego z trzaskiem rozpadła się na połowy. Marcel strząsnął przyklepione ziarenka piasku i wsunął perłowe listki do kieszeni. Na szczęście i na pamięć. Tronko to dobre miasto, doskonale obejdzie się bez wicehrabiego Valme, jako że wymieniony wicehrabia jedzie do Ollarii.

Próżniakom i wałkoniom się powodzi, a kim on jest, jeśli nie próżniakiem i wałkoniem?! A jak się nie powiedzie, to trudno. Następny hrabia Valmon będzie miał na imię nie Marcel, a Serge, też mi nieszczęście!

2

– Dotrzymuje pan słowa, marszałku – konchesser Gambrin tkliwie patrzył na Robera przez kielich z białym kenallijskim winem – Miałem nadzieję, że znajdzie pan czas na rozmowę, ale nie byłem tego pewien.

– Na nieszczęście, zajęć mam więcej niż czasu – potwierdził Rober – ale teraz jestem do pańskiej dyspozycji. Jak rozumiem, mowa będzie o propozycji pana Lambrosa.

– To na razie poczeka – nachmurzył się smardz – Mam jednak zadziwiającą nowość. Mam nadzieję, że pan rozumie, iż mój obowiązek jako przedstawiciela jego wysokości Diwina kazał mi natychmiast oznajmić Paonie o areszcie Ferdynanda Ollara.

– Naturalnie – zgodził się Rober, mający o ambasadorskich obowiązkach bardzo mgliste pojęcie.

– W związku z ważnością i sekretnością informacji – Markus Gambrin żalobnie westchnął i poruszył ustami – powierzyłem depezę mojemu zaufanemu sekretarzowi, bardzo zdolnemu młodemu człowiekowi, i dałem mu eskortę spośród ochraniających ambasadę żołnierzy. Ten środek był usprawiedliwiony, choć w nieco nieoczekiwanym sensie. W jednej z przydrożnych gospód mój pomocnik spotkał człowieka, w którym rozpoznał pana Davenporta, i spróbował go zatrzymać. Niestety, bez powodzenia. Ów jegomość spróbował powtórzyć swój wyczyn, ale został zabity na miejscu.

– Kiedy to było? – wytchnął Rober. Davenport, który „napadł” na Aldo i gogańskich najemników, został zabity, a suzeren znalazł się po uszy w, delikatnie mówiąc, kłamstwie. Taligojczyków to nie zdziwi, ale czcigodnych...Co przedsięwzięcie Enniol, kiedy się domyśli? A może nie warto się tym zajmować? Przyjdzie fok Warzow albo Neumarinen i gogańskiej zemsty można będzie się nie obawiać.

– To było – zmrużył oczy Gaifijczyk – to było dwunastego dnia Jesiennych Wiatrów. Mój pomocnik nie uznał za konieczne napisać do mnie od razu, jednak przemawia za nim to, że nie mógł wiedzieć o przypisywanym Davenportowi napadzie na jego książęcą mość.

Żal! Bardzo żal tenenta, który nie zdradził swojego króla, ale żal poczeka, a ambasador – nie. Czego on chce? Gambrin wybrał do przepytania tego, kto dużo wie i źle kłamie i nie pomylił się. Epineix westchnął gorączkowo – powietrze w gabinecie znienacka zrobiło się rozpalone jak w piecu.

– Książę – słodki uśmiezek i zimne oczka, ale Clement był jeszcze paskudniejszy – dlaczego pan nie pije? Nie podoba się panu bukiet?

Można wspomnieć o pilnej sprawie, wstać i wyjść, ale to to samo, co się przyznać. Gaifijczycy nie uspokoją się, dopóki nie poznają prawdy, o ile już jej nie znają. A co potem? Skłamać? Leie Astrape, co?! On nie jest ani Adgemarem, ani Stanclerem, ani nawet Aldo, a Gaifijczyk nie jest głupszy od „prawdziwców”, co najwyżej nie bawi się magią.

– Doskonale wino, doradco – wypalił Rober – Jeśli się nie mylę, to rocznik 385? Czterdziestoletnie łożo?

– Jest pan wytrawnym znawcą – rzadziutkie brewki popęzły w górę – Jestem zdumiony.

A już jak on sam jest zdumiony: wystrzelił w boży świat, trafił w owoc abecho. Czego tylko nie bywa, ale jeśli już karta poszła, to graj!

– To był udany rok – Rober upił wina, nie czując ani smaku, ani aromatu – Ale wróćmy do naszej rozmowy. Myli się pan, doradco. Nieprzyjemnie mi o tym mówić, ale Davenportowi udało się ujść sprawiedliwości. W chwili obecnej znajduje się on w Gelbe ze swoim ojcem, generałem Anthony'm.

– Myślę, że to pan się myli – pomarszczona główka zakołysała się na cieniutkiej szyjce.

– Mamy swoje źródła – usta Robera same z siebie rozciągnęły się w najprzyjemniejszym uśmiechu – Proszę mi wierzyć, informacje są dokładne. Nie wątpię, że niedługo otrzyma pan te same wieści z Driksen, przecież ma pan tam swoich ludzi, czyż nie?

– Driksen to nasz sojusznik – szybko powiedział ambasador – mój władca nie widzi sensu, by posyłać tam szpiegów, to zachwiałyby naszą przyjaźnią.

– Jestem zachwycony sojuszem Gaify i Driksen – ręka Robera lekko uniosła kielich – Dwa wielkie państwa stawiają interesy przyjaciela ponad własnymi. Wydawałoby się, że dla ludzkiej natury charakterystyczne jest dążenie do pierwszeństwa za wszelką cenę, ale cesarz i imperator wznieśli się ponad to, ukazując zaiste esperatyjską dobroć. Driksen nie myśli o tym, żeby wykorzystać trudności, jakie pojawiły się u jego wysokości Diwina, hm, na południu. Gaifa na tyle ufa cesarzowi, że nie uważa za konieczne pilnować północy, opierając się na słowach sojusznika! To wspaniałe!

– Książę – pan ambasador zakaszłał i ukrył twarz w obszytej koronkami chusteczce – Przepraszam...

– Ostrożnie, panie – poprosił Inochodziec, stawiając kielich na skraj stołu – Pomóc panu?

– Nie... – dyplomata starannie wytarł twarz; nie bacząc na silny atak, w grzybach oczach nie było łez – Dziękuję... wszystko w porządku.

Gambrin starannie kaszłał, a oddech tracił Rober. Żar jak w Kagecie i nawet munduru nie można zdjąć.

– Doradco – nie wytrzymał Rober – Nie jest panu duszno?

– Gaifa to południowy kraj – ze skrucłą westchnął Gambrin – a ja nie jestem już młody. Proszę o wybaczenie za niewygodę. Obiecuję następnym razem przyjąć pana w nie tak mocno ogrzanym pokoju.

Nie chce kontynuacji rozmowy! Niech żyje bezczelność! Bezczelność i kłamstwo w żywe oczy, a duchotę on jakoś przeżyje.

– Nie trzeba się martwić – rozsunął wargi Inochodziec – Jestem żołnierzem, przywykłem i do żaru, i do zimna. Proszę mi wierzyć, nie mam wątpliwości, że zastrzelony przez waszych ludzi podróżny był podobny do Davenporta. Rodzinne podobieństwo to bicz Złotych Ziem, przecież szlachetne damy dzielą swoją przychylność równo pomiędzy odważnych generałów i młodych kornetów. A do tego w Taligu te uczucia są odwzajemniane.

– Sądzi pan – wymamrotał Gaifijczyk – że moi ludzie spotkali nieślubnego brata uciekiniera?

– Albo wuja – twarz Robera płonęła, po grzbiecie spływał pot – albo kuzyna. W innym wypadku należałoby sądzić, że pański zaufany umyślnie zastrzelił niewinnego człowieka i na dodatek poddanego sojuszniczego obecnie wam państwa, co mogłoby zachwiać naszą rodzącą się przyjaźnią.

– Trudno się z panem sprzeczać – powoli, niemal śpiewnie powiedział Gambrin – Proszę powiedzieć, nigdy nie zastanawiał się pan nad tym, aby odwiedzić Paonę? Jego wysokość Diwin z przyjemnością by z panem porozmawiał, on uwielbia paradoksy.

– Pochlebia mi pan – przeklął kominek, żeby choć okna otworzyli! – Poza tym okoliczności

zatrzymują mnie na brzegach Danaru. Pozostaje nadzieja, że jego wysokość nie będzie rozczarowany moimi rodakami, którzy mają możliwość i ochotę odwiedzić Gaifę.

– I któż to? – ambasador wychylił się do przodu – Być może będą potrzebowali pism polecających?

– Jeśli nie będzie to dla pana ciężarem...

Dla pana Gambrina nie był to żaden ciężar. Więcej, pan Gambrin byłby szczęśliwy okazać księciu Epineixowi taką przysługę. Nieszczęście polegało na tym, że Rober pojęcia nie miał, kto i po jakie koty miałby jechać do Paony. Zgłupiał z tego gorąca i zaczął mówić bzdury, które okazały się ratunkiem, bo każdy urodzony dyplomata w byle bzdurze zobaczy ukryty sens, którego tam nie ma i nie może być.

– Mój przyjacielu – podniósł głos Gaifijczyk – muszę przyznać, że nie oczekiwałem, iż spotkam w panu tak wytrawnego rozmówcy. Więcej, powiem, że po naszej rozmowie zwycięstwa i sukcesy jego książęcej mości Aldo wydają mi się bardziej... zgodne z prawem.

Ambasador z poczuciem wypełnionego obowiązku zamknął pomarszczone usteczka i znacząco popatrzył na gościa. Trzeba było coś odpowiedzieć, a każde powiedziane słowo mogło dojść albo do jego wysokości Diwina, albo do... jego wysokości Aldo.

– Panie – przeciągnął Inochodziec – nasz świat pełen jest nie tylko praw, ale i paradoksów i przypadków, które z kolei zamieniają się w prawa. Czy nie było przypadkiem spotkanie pańskiego sekretarza z człowiekiem, przypominającym wyglądem Davenporta? I czy nie jest zgodne z prawem pragnienie pańskiego młodego przyjaciela (on przecież jest młody?) zatrzymania przestępcy? To z kolei doprowadziło do pozornego paradoksu: Davenport zabity na południowym trakcie, o czym oznajmia pan. Davenport żyje i szczęśliwie przebywa w Priddzie, na co nalegam ja. Z rozwiązania tej przeciwstawności zgodnie z prawem wypływa nasze z panem, hm, zrozumienie, jeszcze bardziej zgodnie z prawem prowadzące do położenia podwalin pod zrozumienie między naszymi, bez wątpienia, wielkimi państwami. Zgadza się pan ze mną?

W oczach ambasadora jego wysokości błysnęło coś bardzo podobnego do podziwu, ale Rober mógł myśleć tylko o jednym. O tym, że zaraz wydostanie się z tego piekła i wciągnie w płuca przedzimowy chłód.

– Szczęśliwy byłem, mogąc widzieć pana w moim domu – rozplątał się w ostatnich uprzejmościach gospodarz – Proszę przekazać mój zachwyt jego książęcej mości.

– Oczywiście, panie.

Rober uklonił się wytwornie i, bawiąc się rękawiczkami, zbiegł z ganku. Chciał tylko jednego – wody. Zwykłej wody, przezroczystej, czystej, palącej zimnem, chciał czerpać ją garściami i pić, pić, pić w nieskończoność!

– Monsignore – rzeczowo zainteresował się Sec-Arige – Dokąd teraz?

– Do Starego Parku – wytchnął Inochodziec – Nie rzucał pan jeszcze monety do Smoczego Źródła?

– Nie, monsignore – Gilbert patrzył z zakłopotaniem, jakby nie poznawał swojego suzerena – po co?

– Na szczęście, młodzieńcze – wyjaśnił Rober, podstawiając twarz świeżemu wiatrowi – Ludzie płacą podatki królowi, dają łapówki sędziom, a dobrzy esperatyści także świętemu Tronowi, ale żaden klecha i żaden król na świecie nie zatrzymają wystrzelonej w pana kuli. Tylko szczęście, więc czy pożałuje mu pan kilku tallów?

3

Bonifacy obejrzał Valme spod krzaczastych brwi. Od biskupa apetycznie pachniało mięsną polewką i u niego było tak ciepło!

– Jedziesz? – duchowny był wstrząsająco lakoniczny i zupełnie trzeźwy.

– Jadę – podkreślił węża Valme – Nudno tu u was. Nie lubię prowincji.

– Nie kłam – Bonifacy pochmurnie zdjął z parapetu dzban i postawił na stole – Przyjaciół ty porzucać nie lubisz. No więc jedź. Sam bym z tobą pojechał, ale obowiązki moje wobec słabych są wielkie i nie przewyższą obowiązku mojego wobec silnego, jakkolwiek wielki by on nie był. Czerwone pijesz?

– Piję – Marcel ochoczo wziął spory kubek. Nad Rassaną było potwornie zimno, ale wicehrabia zrozumiał to tylko wtedy, kiedy wpadł do jego wielebności. Nie chciał informować

Diegarrona o odjeździe – jeszcze nie puści, a nie uda się zniknąć, nic nikomu nie mówiąc. Zaczną szukać i znajdą, aduani to potrafią!

– Piersią zakrywający przyjaciela miłszy jest Stwórcy od wznoszącego modlitwy – Bonifacy łyknął wina i skrzywił się – Nie godzi się. Taka sprawa żąda kasery. Należy nam przemyć myśli i uspokoić serca.

– Ja nie chcę – pokręcił głową Marcel – nie mam czasu na leżenie pod stołem, jechać muszę.

– Chcesz! – huknął biskup – I pojedziesz nie dzisiaj, a z podjazdami. Jeszcze tego brakowało, żebyś w pojedynkę wałęsał się po Taligu! Konia masz dobrego, broń też, natkniesz się na szabrowników i koniec. Sam zdechniesz i sprawy nie załatwisz.

– Niech pan naleje – on by zdążył na egzekucję, on i Charles by zdążyli, ale poniosło ich do Tronko! – Muszę jednak napisać list do Tomasa.

– Pisz, zawiozą – zapewnił Bonifacy, podając butelkę – Co będziesz robić?

– Nie wiem – opędził się Marcel – Jak karta wypadnie. Pańskie zdrowie, ojcze święty.

– Za twój sukces!

Kasera pachniała piołunem i dymem. Piołunem, dymem i solą tchnął wiatr, kiedy oni szli do Urgotelli. „Zakochany rekin” doganiał wiszącą nad horyzontem gwiazdę, z lewej ciemniał brzeg, bliski i niepotrzebny, a oni mówili o wojnie. Alva nigdy nie przegrywał, nigdy! Kto mógłby pomyśleć, że właśnie on złoży broń?!

– Nie rozumiem – wicehrabia stuknął pięścią w stół i sam się zdziwił – Ni kota nie rozumiem!

– Wypij – polecił Bonifacy – Ty z marszałkiem od wiosny się szwendałeś i nic nie zauważyłeś?

– Akurat da się go zrozumieć – machnął ręką Marcel i urwał.

– Tak – ożywił się Bonifacy – Zaiste na dzień skarbcza kamień drogocenny się znalazł. Co sobie przypomniałeś?

– Nie przypomniałem – wymamrotał Marcel – Po prostu... Przywidziało się.

– Nie jesteś aż tak pijany – pouczająco powiedział biskup – żeby ci się przywidywało. Mów, dziecię.

– Wieczór – niezbyt pewnie odpowiedział Marcel – wieczór przed tym, jak on odszedł... Roke przysłał gitarę, księżniczka Julia przysłała. I on na niej grał. Śpiewał i grał... a wcześniej odmawiał... Nas było pięciu: wujaszek Shantry, Luigi, Gerard, ja i Roke... Niech mnie Stwory Zmierzchu rozszarpia, jeśli on już wtedy się nie zdecydował! Dał tytuł Gerardowi, kazał na nikogo się nie oglądać. Te pieśni... Jak wspomnę, mróz po grzbiecie, on się z nami żegnał, a my nie zrozumieliśmy... Niczego nie zrozumieliśmy!

Wicehrabia oparł się łokciami o stół, patrząc biskupowi w twarz. Nos Bonifacego był piękny. Duży, czerwony, z fioletowymi żyłkami. Człowiekowi z takim nosem można ufać. Valme potrząsnął głową i wyszeptał:

– Wie pan, co Roke o... o Ferdynandzie mówił? „Stwórco, chroń Talig... a jeśli nie on, to ja!” Zwariował czy co?!

– Szaleństwo jest karą bożą – burknął Bonifacy – Alva został przez Boga naznaczony, a nie stracony. Głowa u niego pracuje lepiej niż u nas z tobą. Skoro zrobił to, co zrobił, to znaczy, że tak trzeba było. A to, że nikomu nie powiedział, to źle. Albowiem jak szukać pierścienia, nie wiedząc, gdzie został upuszczony, i jak znaleźć zwierza, nie wiedząc, którądy przeszedł?

Którędy przeszedł to akurat wiadomo. Którędy przeszedł, pozostały trupy i plotki, z których za dwadzieścia lat wyrosną legendy. Rota gapiących się na egzekucję kanalii zamieni się w armię, Ferdynand z chomika wyrośnie na orła, nawet Moro pobieleje. Marcel łyknął kasery, omal się nie zakrztusił i natychmiast łyknął jeszcze.

Bonifacy westchnął głośno jak koń i pokręcił siwiejącą głową.

– Bagerlee to nie Świt, synu, jeśli wszedł, to i wyjdzie. Byłem ja tam i wróciłem, jak święty Adrian z pieczar galtarskich.

– Pan? – wrzasnął Valme przez piołunowy dymek – W Bagerlee? Za co?!

– Za nic – nachmurzył się biskup – a z ręką na sercu, za wszystko. Mniemałem o sobie wiele, rozkwitły kwiaty próżności i zlatywały się do nich jadowite osy, ale nie dojrzały jagody, a były ścięte sierpem ostrym. Siedem lat... A, co było, to było! Nynie ten, kto mnie obalił, w grobie kamiennym spoczywa, a ja za stołem nakrytym spożywam z czary życia...

– Nic nie rozumiem – przyznał się wicehrabia, pociągając nosem. Bonifacego było żal. I Roke

też, jak by się ten nie odgryzał – Za pańskie zdrowie... I w ogóle za pana... I za Alvę! Nie wolno, żeby on... Siedem lat – to dużo!

– Komu i góra kamienna, a komu i piasku drobinka – łapsko biskupa zacisnęło się na ramieniu Marcela – Nie mamy siedmiu lat... Nawet siedmiu miesięcy nie naskrobimy... Marszałkowi zostało tyle życia, póki Rakanowi pod ogonem nie zacznie się palić. Tacy zdychają, a i tak paskudzą, zdychają i paskudzą! Stwory Zmierzchu, gdyby mi ktoś powiedział, że wroga swojego oplączę łzami krwawymi, a przyjaciela pogrzebię za życia...

Marcel już nic nie rozumiał. Kto był biskupowi wrogiem, kto – przyjacielem, kogo opląkiwał, kogo grzebał... Kasera się skończyła, wzięli się za wino. Przyszła noc, zajrzała przez niezaciągnięte zasłony, dotknęła księżycowymi palcami kubków, prześliznęła się po siwych włosach płaczącego biskupa. Marcel zdecydowanie objął jego wielebność.

– A i tak my zwyciężymy! – w tej chwili Rassanna była wicehrabiemu nawet nie po kolano, a po kostkę – Zzwyciężymy, i już... Trzeba tylko Roke z Bagerlee wyciągnąć... Ale ja go namówię... Chce pan, przysięgnę?

ROZDZIAŁ 4

RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 24 dzień Jesiennych Fal

1

Aldo potrzebuje marszałka, a nie intryganta, ale marszałek jest teraz bezużyteczny, a intrygant może wygrać. Jeśli się poszczęści. Epineixowie nigdy nie byli mocni w polityce, nawet dziadek, ale Rober otrzymał niemało lekcji od Hogberda, Enniola, Adgemara, Loura i wreszcie od Aldo. Teraz nadeszła jego kolej postawić cel ponad przyjaźnią, honorem, sumieniem i obcym życiem, bo swoje życie przyjdzie mu strzec. Przynajmniej do końca ollarskiej zawieruchy.

Rober sam nie rozumiał, kiedy ostatecznie zdecydował się na zdradę. Kiedy pił lodowatą wodę w Starym Parku po wizycie w gaifijskiej ambasadzie? Po kolejnej rozmowie z Aldo? A może wszystko zaczęło się od jękającego się Reginalda Laracka, który nie mógł już patrzeć na zalewające Ollarię podłości?

Pierwszy Marszałek odrodzonej Taligoi poprawił szpadę i zaczął intrygować, na początek ukłoniwszy się zatroskanemu koronacją Walterowi Insmillerowi. Inochodziec z najuprzejmniejszą miną zapewnił czarnookiego oprawcę, że w pełni podziela jego obawy, ale pomoc mu nie może, nawet gdyby chciał, albowiem taka jest wola króla.

Skończywszy z cywilnym komendantem, Epineix zacisnął zęby i wziął pod łokieć Raimona Saligana, spędzającego dnie i noce przy karcianym stole. Najwyższy niechluj poprzedniego i nowego dworu rozjaśnił się i, co było do przewidzenia, zaproponował drogiemu księciu złożyć wizytę Kapul-Gizailom. Intryganci muszą mieć wejścia do kurtyzan, inaczej jacy z nich intryganci!

Inochodziec zauważył, że słyszał o baronowej od Richarda Ockdella, ale młody książę był bardzo powściągliwy w swoich opowieściach. Saligan zarżał i wyjaśnił, że mowa o czarującej, choć i obłudnie drogiej żonie i bezpiecznym, dobrodusznym mężu. Rober wyraził pragnienie natychmiast poznać tak interesującą parę. Saligan wyszczerzył się i niedbale strzepnął z wiśniowego aksamitu płatki łupieżu. Włosy markiza ostatni raz widziały wodę i mydło chyba za Franciska Wielkiego, ale ich posiadacza to nie peszyło. Robera też nie – lepsza znoszona chustka na szyi niż zapaskudzone sumienie, zresztą, sumienia u Raimona Saligana też nie było. Żadnego.

– Marianna jest taka zachwycająca – w natchnieniu perorował pałacowy flejtuch – taka zachwycająca... Proszę sobie wyobrazić, że wpadła w oko komendantowi Ollarii i on spróbował wygrać ją w karty od wicehrabiego Valme. Nie jestem pewien, że hrabia Kilean-ur-Lombach grał uczciwie, ale zwyciężał, a to najważniejsze. Nieprawdaż?

– Marszałek nie może uważać inaczej – uśmiechnął się Rober – I czym zakończyła się batalia?

– Kilean już rozścielał prześcieradła, ale wmieszał się książę Alva i odegrał od nieszczęsnego Kileana nie tylko zdobycz, ale i rodowy brylant. Wyszedł przewspaniały skandal, a Kruk nie skorzystał z wygranej. To znaczy skorzystał, ale odwrotnie. Złapał nie ślicznotkę, a Valme, i

wywiózł na wojnę! Valme i wojna, czy pan może to sobie wyobrazić? Ale Marianna niedługo tęskniła, podarowano jej karetę w cztery konie i jak pan myśli, kto?

– Przegrany komendant – zaproponował Epineix, coraz bardziej upewniając się w konieczności wizyty.

– O nie! – Saligan roześmiał się, opluwając spokojnego staruszka z alicjańską²² bródką, Rober, jako doświadczony szermierz, zdążył odskoczyć – Komendanta do tej pory już nabili na rożen.

– Ach tak – przeprosił Rober – jakoś o tym zapomniałem. Zresztą, nie znałem przedostatniego hrabiego Kileana.

– I nie pozna pan – markiz zarżał jeszcze raz – A linarczyków ofiarował Mariannie hrabia Savignac. Niestety, przystojniak musiał wyjechać do Nadoru, a baronową zaczął odwiedzać hrabia Rocksley. Obecnie nieżyjący, tak że ma pan szansę.

– Zaraz – Rober złapał rozmówcę za zatłuszczony rękaw – Chyba widzę Udo Borna. Weźmy go ze sobą.

Udo trzeba wziąć, bo po śmierci brata on zamienił się we własny cień. I jeszcze dlatego, że pierwsza wizyta u kochanki Lionela powinna być przypadkowa i wszystkim wiadoma. Wielkie dzięki niechłujowi za przypadkową podpowiedź. Trzeba skontaktować się z Lionelem Savignacem. Marianna może wiedzieć, jak skontaktować się z minionym kochankiem, a może nie wiedzieć.

– Hrabio Gont – Saligan złapał Udo za ramię, ten szarpnął się, równocześnie zwracając się twarzą do żartownisia.

– Roberze... Wybacz, cały czas zapominam, że zwyciężyliśmy.

Zwyciężyli, jasne! Z takimi zwycięstwami uśniesz za stołem, obudzisz się na cmentarzu.

– Zapominasz? – Epineix wziął przyjaciela pod łokieć – To wspomnij. Markiz zaprasza nas do barona Kapul-Gizaila i jego czarującej żony. Pójdiesz?

– Pójdę – z nieoczekiwaną łatwością zgodził się Udo – Wszystko mi jedno...

2

Teraz Katarinie dostały się apartamenty, w których mieszkały siostry Ferdynanda, kiedy przyjeżdżały do Ollarii. Jeśli dalej tak pójdzie, cały dworzec obejda. Jej była wysokość przyjęła wieść o nowej przeprowadzce tak samo, jak o poprzednich, czyli nijak. Za to Odetta Matthews wpadła w zachwyty i pomknęła oglądać nowe mieszkanie. Luizę wciąż jeszcze przyszła babcia

22 Stronnicy Alicji nosili krótkie bródki i przykrywające uszy włosy.

powłokła z sobą, i ta poszła. Zorientować się, gdzie są jakie nisze i zasłony, trzeba zawczasu.

– Jego wysokość jest tak dobry – kwakała Odetta, przepelzając z pokoju do pokoju – Tak dobry...

– O tak – godziła się Luiza, gotowa przy pierwszej nadarzającej się okazji otruć urodziwego dobrodzieja. Albo udusić. Albo rąbnąć świecznikiem po głowie – Jego wysokość jest także nadzwyczaj przystojny.

– I śmiały – podjęła krewna Rocksleyów, obwąchując kolejną leżankę albo biurko – Prawdziwy rycerz...

W końcu Luiza nie wytrzymała.

– Pierwszy rycerz Taligo – oznajmiła, pociągając nosem – Przypomina mi mojego drogiego Arnolda. Oczywiście, jego wysokość jest nieporównanie piękniejszy... Jak zdrowie pani córki?

– Obrzmiewa jej twarz – westchnęła pani Matthews – i cierpną ręce.

– Gorąca osolona woda – poleciała kapitanowa – Niech trzyma ręce po łokcie w gorącej osolonej wodzie, będzie jej lżej.

– Pani Matthews – młodziotka camerista zadyszała się z wysiłku – Pani Matthews, pani Ollar panią prosi.

– Przepraszam, moja droga – chrząknęła Odetta – Kiedy wrócę, wypijemy shaddi ze śmietanką i słodkimi bułeczkami.

– Brzmi zachwycająco – zapewniła pani Aramona wypływający z orzechowych drzwi zad. Niedługo nie da się przejść między cameristami. Między cameristami, gośćmi, listami i innymi paskudztwami. Ciekawe, co myśli królowa, którą przelotny fircyk uszczęśliwił pokojami jej szwagierek?

Pani Aramona zwyczajnym gestem poprawiła zmiętą przez Odettę zasłonę i korzystając z krótkotrwałej swobody, poszła sprawdzać nowe włości. Apartamenty okazały się po prostu odrażające. Dwie rozchodzące się od wspólnej poczekalni amfilady absolutnie nie nadawały się do podsłuchiwania. Jedynym znośnym pokojem była sypialnia, do której przylegały kapliczka i mająca wyjście w korytarz łazienka, ale pożytku z tego nie było żadnego. Katarina, mimo że umiera na stojąco, raczej nie będzie przyjmować koronowanego parszywca w łóżku, a kochanka nie ma, przynajmniej teraz. Luiza postąpiła chwilę u sięgającego podłogi okna, patrząc na skulony z zimna ogródek, ale nie udało jej się wpaść w smutek. Fruwające między posągami ptaszki natychmiast zauważyły obecność człowieka i zaczęły stukać dziobami w szkło, domagając się okruszków.

– Jutro – obiecała kobieta szczególnie aktywnemu wróblowi i poszła do siebie.

W Galerii Alackiej pani Aramona wpadła na Odettę i głupią Fensoi. Damy były w futrach, a obok nich przestępował z nogi na nogę młodzianki oficerów w makowych szmatach.

– Miła Luizo – pani Matthews poprawiła podbity siwoziemskimi łasicami płaszcz, pasujący jej jak korona karaluchowi – jedziemy do hrabiny Rocksley przekazać słowa współczucia od pani Ollar.

– Jej wysokość – podjęła Fensoi, kolejny raz zapominając, że Katari nie jest królową – prosi hrabinę, by wróciła na dwór.

Ciekawe, do czego więdnącemu kwiatkowi potrzebna świeżo upieczona wdowa, bo do czegoś musi być. Luiza rozplynęła się w uśmiechu, co wprawiło makowego tenenta w przerażenie.

– O, jeśli to będzie na miejscu, niech panie przekażą hrabinie Jennifer również moje kondolencje. Ja sama niedawno straciłam...

„Ja sama...” Jeśli chcesz się pozbyć rozmówców, zaciągnij tę piosnkę i gotowe! Hrabina Fensoi złapała Odettę Matthews i w towarzystwie pałającego durnia runęła precz. Luiza poprawiła szal i weszła do woniejącej kolejnymi liliami poczekalni. Przy oknie umościła się Selina z jakąś książką.

– Mamo? – w błękitnych oczach chyba już na zawsze zamieszkały łzy – Już wróciłaś?

– Oczywiście – zatrajkotała Luiza – Nie wyobrażasz sobie, jakie ładne będziemy mieć pokoje. Szczególnie twoja i Iris, taka wesola, ściany różowe w deseń, zasłonki błękitne z ptaszkami... Aż dziwne, przecież Karla Ollar jest opatką, mimo że ollariańską, a lubi jaskrawe rzeczy...

Jeśli ktoś chował się za zasłoną, uszy natychmiast mu uwiędły, chociaż teraz nie ma kto podsłuchiwać. Służący krzątają się w nowych pokojach, Odetty i Fensoi nie ma, a panna Ockdell się nie domyśli.

– Gdzie jest Iris?

– U jej wysokości... Czytałyśmy „Żywot świętego Adriana”, ale jej wysokość powiedziała, że mam chrypkę i zawołała Iris, a mnie kazała wypić wody z miodem.

– Wypiłaś?

– Nie, nie chcę...

– Idź i natychmiast wypij, rzeczywiście masz chrypkę.

Uciekła... Z gardłem córki wszystko jest w porządku, tylko serduszko boli. Luiza powąchała lilie, przypadkowo szarpnąwszy za zasłonę: nikogo, no i wspaniale. Pójdziemy i posłuchamy „Żywoty świętego Adriana” w wykonaniu córki „świętego Egmonta”.

3

Zdążyła w samą porę. W tym sensie, że nie przepuściła niczego oprócz historii Cezare Marikjare, któremu do świętości było jeszcze daleko. Przynajmniej na tych stronicach, do których dobrała się czytająca.

„...dowiedziawszy się o tym, sławny Borrasca rozkazał wycofać się za rzekę Gorus – bębniła Iris – ale Waryci przeprawili się w górze rzeki, było ich wielu i byli źli...”

Tę historię Luiza знаła, przy czym z dwóch stron. Mateczka szpikowała córki żywotami świętych, a Gerard nie wyłaził z wojskowych książek, jako że aprobujący zainteresowania syna Arnold przywoził je z Laik w przeogromnej ilości.

Goruski marsz czterystu bohaterów, których prowadzili przysły święty i jego pobratymiec, imię którego nie zachowało się w kronikach, zajmował Gerarda niemal miesiąc. Syn godzinami opowiadał, jak cztery setki ówczesnych gwardzistów wyprzedziło barbarzyńskich Warytów i

zastąpiło im drogę nad Ferrą, wygrywając dla Lorrio tak potrzebny mu czas. Trzymali się przez dwa dni, a trzeciej nocy podpalili obóz wroga i z bojem wyrwali się z gotowej do zatrzęsnięcia pułapki. Cezare i jego przyjaciel stracili stu dziewiętnastu ludzi i uratowali armię. Co było dalej, Luiza się nie dowiedziała, ponieważ Gerard, którego interesowały bitwy, a nie międzyludzkie stosunki, utonął w nowej kronice. Zdaje się, że pobratymiec przyszłego Adriana wyprowadził żołnierzy, nie pytając Lorrio, i wyleciał z armii, a Cezare go nie zostawił. A może chodziło o coś innego?

Pani Aramona zamyśliła się i nie zauważyła, kiedy Iris porzuciła czytanie i zapytała o coś Katarinę. O co konkretnie, zamyślona duenia nie usłyszała, za co natychmiast skłęła sama siebie, jednocześnie nastawiając uszu.

Umierająca kotka przeciągnęła się i zakryła usteczka chusteczką.

– Książę Alva - zamiauczała cierpiętница – i ten młodzieniec... Davenport... Byli jedynymi, którzy nie zdradzili mojego małżonka.

O co zapytała Iris? I co teraz będzie?

– I pani – wypaliła uczciwa głuptaska, wytrzeszczając oczy na niedawnego wroga – pani też nie zdradziła!

– Miła Iri – wyjęczała Katarina – oni zrobili więcej... O wiele więcej... Nie chcę kłamać, gdybym była wolna, a jego książęca mość Rakan zażądałby mnie w zamian za życie Ferdynanda, nie zdecydowałabym się. Nie... nie zdecydowała...

– Ale przecież pani go nie kocha! – pocieszyła córka Egmonta. Siedemnaście lat to jednak siedemnaście lat. Dla miłości spalisz miasto i pošlesz do kotów cały świat razem z mateczką, a jeśli nie kochasz, to znaczy, że nic nie jesteś winien.

– Nie Kocham – pokornie zgodziła się królowa – ale mój małżonek był dla mnie dobry, i nie tylko dla mnie... Ferdynand postąpił jak król, Iri. Głupi, nieumiejętny, ale król. Nie uciekł ze swojej stolicy, a jak mógł spróbował ochronić ją i swoich poddanych. Rozumiem go.

Rozumiem też jego książęcą wysokość Rakana, on chciał odzyskać tron przodków i odzyskał. Rozumiem swojego kuzyna. On podniósł szpadę razem z twoim ojcem i nie opuścił jej aż do zwycięstwa, ale są inni... Oni brali wszystko, co się im dawało, i zdradzili. Ich nie rozumiem nigdy...

– Jak mój brat! – wysyczała panna Ockdell – On też brał i brał. I od króla, i od... księcia Alvy.

– Iri, miła – Katarina przytknęła oczy, dzisiaj wyglądała jeszcze gorzej niż wczoraj i to wywoływało podejrzenia – nie zrównuj Richarda z Rocksleyami albo Priddami. Richard całym sercem jest oddany sprawie Rakanów i pamięci ojca, on nie mógł postąpić inaczej.

– On niczemu nie jest oddany – oczy dziewczyny błysnęły, a palce same zakrzywiły się w poszukiwaniu odpowiedniej mordy – On sam mówił, że Rakanowie nikomu nie są potrzebni, a monsignore – to dobry człowiek.

– To prawda – kiwnęła królowa – Książę Alva jest dobrym człowiekiem, chociaż próbuje to ukryć.

– Wasza wysokość – policzki Iri pokryły purpurowe plamy – Wasza wysokość, pani go kocha?

– Jakiego jego? - ochryple zapytała Katarina Arigau.

– Monsig... księcia Alve.

– Nie wiem, Iri – cicho powiedziała Katarina – kobiecie trudno kochać człowieka, który nie kocha jej. A raczej nie nienawidzić, przecież nasza nienawiść – to też miłość, tylko obrażona... Albo strach za tych, których kochasz.

– Czyli pani go nienawidzi? – szare oczy wpiły się w błękitne, ale Katarina nawet nie drgnęła.

– Nienawidzę? Za co? Jeśli mężczyzna nie kocha kobiety, nie chodzi o niego, a o niekochaną. Jeśli nie jesteś potrzebna, nie naprawisz tego.

Tutaj lisczka ma rację, jeśli nikt cię nie kocha, nic na to nie poradzisz. Możesz wytruć wszystkie kobiety i wykapać ukochanego w kaserze. Przespać się z tobą może i prześpi, na bezrybiu i rak ryba, ale od takiej „miłości” lepiej się powiesić.

– Wasza wysokość – wygląda na to, że Iris postanowiła młócić obce drzwi nie tylko nogami, ale i głową – Pomoże pani księciu Alvie?

– Jak? – wykrztusiła Katarina Arigau – Gdybym mogła, spróbowałabym... Ale nie mogę. I ty nie możesz. Księcia może uratować tylko on sam. I być może Lionel Savignac, ale on jest daleko.

– Nie można tak – Iris odepchnęła księżę, ta spadła na utkany w białe maki dywan – nie

można po prostu siedzieć i tyle! Musimy coś zrobić! Musimy!

– Możemy się modlić – pokręciła głową królowa – Uwierz, to niemało.

– Nie – Iris Ockdell wyraźnie nie zamierzała opierać się na Stwórcy – to znaczy... Pani niech się modli, a ja... No dlaczego Dickon jest takim niewdzięcznym draniem?!

– Richard jest jeszcze bardzo młody – Katarina zadrżała – Daj mi szal, proszę.

Iris Ockdell ochoczo rzuciła się po haftowaną szmatkę. Ona umiała tylko kochać i nienawidzić. Nie minęło nawet pół roku, jak Katari osiągnęła miłość, a brat – nienawiść.

– Proszę, wasza wysokość – dziewczyna podała dobrodziejce biały kłębek – tylko to nie tak. Ja jestem młodsza, ale nikogo nie zdradzę. Nikogo i nigdy!

– Ty jesteś inna – Katarina skrzywiła się jakby z bólu i znów uśmiechnęła suchymi ustami. Biały szal z liliowymi hiacyntami pasował jej zdumiewająco – Tak samo jak mój kuzyn Epineix. On też nigdy nie zdradzi, nawet tych, kogo by należało.

– Książę Epineix związał się z Rakanem – uparcie szczeękła Iris – On też jest zdrajcą.

– Iri, miła – zaszeleściła królowa – nie trzeba o tym krzyżeć. Nikomu tym nie pomożesz i niczego nie naprawisz. A poza ty, co złego zrobił Aldo Rakan? On uczciwie walczył za koronę, która należała do jego rodziny, a Rober mu pomagał. Twój ojciec uważał tak samo, inaczej by się nie zbuntował, czy i jego uważasz za zdrajcę?

– Nie wszystko pamiętam – nachmurzyła się Iri – Miałam dziesięć lat, ale ojciec był generałem, a generałowie nie powinni zdradzać swojego króla.

– Oczywiście – uśmiechnęła się królowa – ale życie płacze wszystkie nici. Egmont Ockdell był najlepszym z ludzi, których znałam, dobrym, szlachetnym, uczciwym...

– Ojciec był dobry – zgodziła się córka – to prawda. Ale był głupi, inaczej... Inaczej nigdy nie ożeniłby się z mateczką.

– Dziecko – królowa ciaśniej owinęła się szalem, ją rzeczywiście trzęsło – moje dziecko, tylko chłopci żenią się z miłości, a i to nie zawsze. Kochamy jednych, a życie spędzamy z innymi, nic się z tym nie robi, nic...

Po twarzy Katariny płynęły najprawdziwsze łzy, Luiza mimowolnie pociągnęła nosem, pomacała własną fizjonomię i zrozumiała, że w niczym nie jest lepsza od królowej. Brednie...

– Wyjdę za mąż za tego, kogo kocham – odpaliła Iri – albo umrę.

– Mnie też tak się wydawało – wykrztusiła Katarina, mnąc białe frędzle – Ale musiałam... Przecież wiesz, zapłacono mną za życie tych, których kochałam. Prawda, nie do końca rozumiałam, na co się zgadzam.

– A ja rozumiem – wypaliła Iris – Richard jest zdrajcą, a ten jego Rakan to żaden król... I tak powiedziałam temu podrutkowi. I znów powiem!

4

Dom był nie prosto rozkoszny, on był niezwykły, elegancki i przy tym przytulny, a gospodyni przeszła najśmielsze oczekiwania. Marianna Kapul-Gizail przypominałaby Matyldę, gdyby Matylda była niższa, młodsza i gdyby patrzyła na mężczyznę nie jak moriska, a jak łania. Rober wytwornie pocałował pachnącą różami i brzoskwinią rękę.

– Szczęśliwa jestem, mogąc powitać w moim domu księcia Epineixa i hrabiego Gonta – Marianna uśmiechnęła się szkarłatnymi ustami, w małych uszach zakołysały się topazy, złociste jak oczy Mellit.

– Och, drogi marszałku – niewysoki człowieczek w żółciach i brązach szeroko rozłożył ręce, roztaczając zapach pomarańczy i czegoś jeszcze – Jesteśmy nie po prostu szczęśliwi, a niewiarygodnie, szalenie, niewypowiedzianie szczęśliwi. Taka niespodzianka, czyż nie, moja droga?

– Wspaniała niespodzianka – droga pod każdym względem małżonka czule uśmiechnęła się do karzelka – Panowie, markiz Saligan jest naszym dobrym znajomym, tak że możemy obejść się bez ceremonii. Zaraz podadzą wina i zakąski, a panowie opowiedzą nam wszystkie nowości. Nie wyobrażają sobie panowie, jaka jestem ciekawa.

– Pani – głucho powiedział Udo – żyjemy w nie najprzyjemniejszych czasach. Niektóre nowości mogą panią przerazić.

– Panowie – piękność poprawiła złocistą chryzantemę w wycięciu równie złocistej sukni –

boję się myszy, ciemności i starości, ale nie nowości.

– Za to ja się ich boję – wtrącił baron – Udowodniono, że złe wieści źle wpływają na trawienie, a ja uważam, że ponadto psują też słuch. Nie mogę sobie pozwolić na niemiłe informacje, to przeszkadza w uczeniu moich śliczności.

– Baron tresuje moryskille – wyjaśniła baronowa – i odnosi w tej dziedzinie niemałe sukcesy. Po obiedzie zagra nam na flecie, a jego wychowanki zaśpiewają.

– Z całą pewnością zostanę – zniecała oznajmił Udo – Śpiew ptaków – to jest to, czego mi potrzeba. Przynajmniej dzisiejszego wieczoru.

Lody pękają? Czy chce zapomnieć? Rober sam topił swoje strachy i nieszczęścia w objęciach Laurencji. Próbował topić, a znalazł jeszcze jedno – wieczne poczucie winy wobec pięknej istoty, która rzuciła się między niego i śmierć.

– W tym domu wciąż jeszcze podają kenallijskie? – zainteresował się Saligan – A może przeszłicie na bardziej przyjacielskie wina?

– Markizie – wydał mięsistą wargę baron – niech politycy dzielą świat na stronników Rakanów i stronników Ollarów. My żyjemy prościej. Dla nas najważniejsze jest piękno.

– I złoto – mruknął niechluj.

– Też – z godnością zgodził się pan Kapul-Gizail – Po pierwsze, złoto jest piękne samo w sobie, po drugie, można z niego zrobić zachwycające rzeczy, po trzecie, ono nie poddaje się sile czasu, a po czwarte, daje człowiekowi to, czego on potrzebuje.

– Uważa pan, że wszystko można kupić? – nie wytrzymał Rober.

– Źle mnie pan zrozumiał – zakolysał peruczką treser moryskill – My – to drogie kamienie, ale takie kamienie potrzebują szlifu i godnej oprawy, a do tego są potrzebne odpowiednie środki.

– Niektóre kamienie lepiej wyglądają w srebrze – skinęła głową Marianna – a niektórym nie pomoże żadna oprawa. Raczej odwrotnie.

– Co pani ma na myśli? – Saligan spróbował zawładnąć wachlarzem piękności, ale w niewyjaśniony sposób natknął się na Borna.

– Pani baronowa – zauważył Udo – prawdopodobnie sugerowała, że pecyny błota nie mogą stać się szlachetnymi kamieniami, nawet w oprawie.

– To prawda? – surowo zapytał markiz.

– Hrabia Gont mówi zagadkami – Kapul-Gizail poprawił chryzantemę na sukni żony – ale, Raimonie, pan rzeczywiście powinien zmienić koronki i doprowadzić do porządku fryzurę.

– Wiedziałem – wyrócił oczami Saligan – Cóż, jeśli zostanę królem, to umyję włosy. W dniu koronacji. Przysięgam na honor.

– Błagam, markizie – Marianna trzepnęła niechlujka wachlarzem – niech pan tego nie robi.

– Ale dlaczego?

– Bo wtedy wszyscy zobaczą, że pana już nic nie uratuje – ucięła baronowa – Ani mydło, ani miecz, ani korona nie zamienią koguta...

– W kruka – usłużnie podpowiedział Saligan.

– Miałam na myśli innego... ptaka – uśmiechnęła się baronowa – ale ma pan rację, w kruka kogut nie zamieni się w żaden sposób.

– Kogut tego nie przeżyje – Udo kolejny raz ucałował różowe paluszki.

– Kogut wiele nie przeżyje – Marianna beztrząsła machnęła rękami – bo na mocy urodzenia czekają go nóż i kuchenka.

Zwykły żart czy coś więcej? Kim ona jest, ta Marianna? Laurencja też wydawała się być kurtyzaną.

– Moja małżonka wyrosła z dala od Ollarii – uśmiechnął się baron – i dobrze zna wiejskie życie. Dziecięce wrażenia są takie jaskrawe, prawda, moja droga?

– O tak – czarne oczy wydawały się dwiema nocnymi głębinami i kto wie, co się w nich skrywało – Ale chyba czas już przejść do salonu?

Marianna z gracją wstała i oparła się na rękę małżonka. Była wyższa od barona z jego peruką prawie o głowę. Udo nie odrywał wzroku od wychylających się ze złotej piany białych ramion, jego oczy płonęły myśliwskim ogniem. Biedny Born, dzisiaj się napije i zostanie tutaj. Wino i kobieta zmuszą do zapomnienia o Lasie Świętej Martyny do rana. O świcie ból wróci, a po odurzeniu pozostanie ból głowy i smutek. A mimo to Rober z chęcią odzyskałby Laurencję, kim by ona nie

była, może więc i Udo poszczęści się z czarnooką baronową, która już zapomniała Lionela Savignaca. A może nie zapomniała?

– Nie jest pan rozczarowany? – Raimon Saligan nawet nie uznał za słuszne zniżyć głos.

– Jak powiedziałaaby nasza czarująca gospodyni – uśmiechnął się Epineix – o nie!

Z Kapul-Gizailami rzeczywiście należałoby zaznajomić się bliżej. Nawet jeśli nie istnieje niteczka prowadząca do Lionela, to w tym domu można spotkać potrzebnych ludzi. Albo wyznaczyć spotkanie.

– Wie pan, mój przyjacielu, pani baronowa rzeczywiście urodziła się w ptaszarni albo czymś w tym rodzaju – z niejakim zdziwieniem wymamrotał Saligan – ale jaka jest piękna! A ja i pan, chcąc nie chcąc, ożenimy się z jakimiś suchymi rasowymi dziewczycami. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie, mój przyjacielu.

Co on powiedział? Leie Astrape, co on powiedział?!

– Książę – wytrzeszczył oczy brudas – co z panem? Zobaczył pan ducha czy znalazł skarb?

– No właśnie – potwierdził Rober Epineix – Jestem pańskim dłużnikiem i z pewnością zaproszę pana na wesele. Z każdą głową.

ROZDZIAŁ 5

OKOLICE BARSINY I TRONKO

399 rok K.S. 1 dzień Jesiennych Błyskawic

1

Matylda ze złością szarpnęła cugle, spasiony gniady ogier chrapnął z oburzeniem i pobiegł ciężkim galopem, próbując rozchlapać jak najwięcej kałuż. Z tyłu uderzyły kopyta – Laszlo Nagy nie zamierzał opuszczać swojej gisicy. Może naprawdę się zakochał, jakby jej było mało!

Księżna wdowa uśmiechnęła się i wstrzymała gniadosza. W samą porę, jak się okazało. Jeśli i tak cię dogonią, lepiej się zaśmiać i osadzić konia.

– Myślałeś, że ucieknę? – głupia rozmowa zawsze jest lepsza od mądrych myśli. Jeśli są one podłe.

– O nie, gisca – błysną zębami dojeżdżacz – Beczka jest zbyt tłusty, daleko nie popędzi.

– Z takim ciężarem – uściśliła Matylda – Beczka na Beczce!

– Gisca – Laszlo aż zapało dech z oburzenia – jak tak można! Wy przecież czyste złoto!

– Beczka ze złotem – odgryzła się Matylda, tłumiąc śmiech – nadal pozostaje beczką!

Laszlo zmilczał. Bardzo wymownie. Matylda Rakan wyprostowała się w siodle i pogrzebowym marszem skierowała się ku pełznącemu między zdechłymi przydrożnikami oddziałowi. Przez cieniutką warstewkę głupiej babskiej radości szybko przebijały się trwoga i zagubienie. Jak okiełznać Aldo i wyprowadzić go z Taligu?

Braciszek wyda ich już po pierwszym żądaniu, w najlepszym wypadku wyrzuci poza granice, ale dokąd? Znów do Agarisu, Esperadorowi pod ogon? Czy do Gaify? Jedno gorsze od drugiego! Ech, niech ona tylko dorwie marmalukę, która zaciągnęła durne ogiery w trzęsawisko, zagryzie ją!

– Wasza księżęca wysokość – posłany przez Aldo baron Artur Gaviot uniósł kapelusz – Prawie przyjechaliśmy. Niedaleko Barsiny czeka na panią kareta i honorowa eskorta.

Twoją kawalerię, wiedziała! Przez góry się przeprawili, do Taligu dotarli, a teraz, mateczko, nakładaj perukę i spódnicę i włącz do skrzynki. Bo księżne wdowy wierzchem po królestwach nie jeżdżą. Ty bardziej babcie.

– A pudel czeka?

– Proszę o wybaczenie, wasza księżęca wysokość – wymamrotał baronek – co pani ma na myśli?

– Znakomita dama powinna podróżować z pudlem – ucięła Matylda – a jeszcze z grzejnikiem, poduszką do klęczenia, spowiednikiem i tuzinem camerist.

– Wasza księżęca wysokość – wyjęczał nieszczęśnik – postaramy się zdobyć wszystko, co konieczne, ale obawiam się, że pieska będzie można znaleźć dopiero w Barsinie.

– Cóż – z miną prawdziwej agaryjskiej cierpiętnicy powiedziała Matylda – jestem gotowa poczekać.

– Pojadę przodem i zrobię wszystko, co można, by ulżyć pani w drodze – zamachał skrzydłami posłaniec drogiego wnuka. No i niech pędzi, i żeby nie wracał bez grzejnika.

– Będę bardzo wdzięczna – drżącym głosem przeciągnęła Matylda – i proszę nie zapomnieć o Esperacji i mufce z łabędziego puchu.

– Wasza książęca wysokość – wygląda na to, że biedak gotuje się do polowania na grzejnik – Chciałbym wiedzieć, czy mogę odesłać przewodników? Oni nie chcieliby pokazywać się w mieście.

Dziwne by było, gdyby chcieli. Przemytncy to przemytncy, przywieźli towar – i z powrotem.

– Zapłaćcie i niech zejdą mi z oczu – poleciła Matylda, zreflektowała się i zagruchała – Proszę przekazać tym szlachetnym panom moją wdzięczność.

– Wasza książęca wysokość, nie zechciałaby pani przy wjeździe do miasta nałożyć maskę? – znacząco powiedział Gaviot, zamierzający ukryć krowę w stogu siana.

– Nie zechciałabym – jeszcze czego! Głupia ona była zawsze, oczywiście, ale nie zamierza być jarmarczną małpką.

– Jestem zmuszony nalegać – przewrócił oczkami baron – Jego wysokość nalegał na tajemnicę i szybkości.

– Twoją kawalerię – zawarczała wdowa, tracąc resztki cierpliwości – konie od mnie nie uciekają, a ludzie jakoś ścierpią.

– Wasza książęca wysokość! – natrętny posłaniec aż poczerwieniał, i dobrze mu tak – Jak pani mogła pomyśleć, że ja... Że mógłbym...

– Co pan mógł? – zaciekała się Matylda, myśląc intensywnie, czy wyciągnięcie pistoletu to już nie będzie przesada – Nie jestem piękna, ale nie wstydę się swojej twarzy.

– Chodzi o pani bezpieczeństwo.

– Moje bezpieczeństwo zostało w Sakasci – ucięła Matylda – a tutaj jest tylko niebezpieczeństwo.

I wszyscy oni są w tym niebezpieczeństwie po pas, a na wiosnę będą po uszy, bo taligojscy marszałkowie – i nie potrzeba do tego wróżki – posłają wojnę do kotów i zajmą się rodzimymi buntownikami.

– Dostarczę panią do Rakany żywą i zdrową albo umrę – zadarł głowę baronek – Przysięgłem na Honor.

Do Rakany może i dostarczy. Za to z Rakany przyjdzie jej uciekać samej i jeszcze gołoogoniastą wysokość taszczyć na garbie.

– Wierzę panu, młody człowieku – oznajmiła patetycznie Matylda i zadarła podbródek, dając do zrozumienia, że audyencja dobiegła końca. Beczka przestąpił z nogi na nogę, podstępnie rozchlapując kolejną kałużę. Wśród przyskających na nieszczęśnika bryzg była i ostatnia kropla. Kielich cierpliwości Artura Gaviota przelał się, męczennik dał ostrogę ładniutkiemu linarczykowi i zniknął jej z oczu. Matylda z wdzięcznością poklepała Beczkę po garbonosym łbie. Beczka chrząknął, dając do zrozumienia, że za dziękuję się nie najesz.

– Laci!

– Tutaj – wesoło odezwał się dojeżdżacz.

– Daj kasery.

Laszlo ochoczo wyciągnął flaszkę. Wybierając się w drogę, Matylda zamierzała zachowywać się jak przystało babci, ale babcie siedzą w zamkach i syczą na synowe, zięciów i wnuków, a nie jeżdżą ukrytymi ścieżkami w towarzystwie przemytncików.

Pod wieczór księżna Rakan uznała, że pistolety zachowa przy sobie, a flaszkę wozić będzie Laci. Jesienią bez kasery nawet mnisi nie jeżdżą, a ona nie jest mniszką, co razem z Laci wyjaśnili drugiej nocy po wyjeździe. I nieźle wyjaśnili, ale w Taligu trzeba będzie się uspokoić. W Taligu ona będzie nie oszalała na starość gospodarką, a babcią nowo ogłoszonego króla, którego należałoby przydusić razem z jego najlepszym przyjacielem Roberem Epineixem. Nie na śmierć, a do momentu przejaśnienia się w głowach, bo lepiej być przez całe życie gospodarzami, niż królami do wiosny i trupami do Powrotu Stwórcy.

Matylda nie życzyła sobie być babcią trupa, dlatego właśnie zerwała się z miejsca, gdy otrzymała informację o wielkim zwycięstwie. Nie trzeba być świętym Tankredem, żeby zrozumieć, w co wdepnęli nudzący się w stajni durnie. Król z próżniaka jest taki, że gorszego nie da się wymyślić. Brat Albert chociaż rozumie, na jakim jest świecie, Aldo – nie, a Rober idzie za nim na smyczy. Wasal, twoją kawalerię! Nie, żeby za kantar i do boks!

Matylda serdecznie łyknęła kasery i zamyśliła się. Z trudem wyobrażała sobie, jak będzie odciągać wnuka, który dorwał się do pierożka, ale jeśli nie ona, to kto?! Przecież nie Mellisa! Ta tylko rzęsami trzepotać umie. Też niemało, gdyby Aldo zawisł na tych rzęsach, ale on chce się bawić szabelką, a nie laleczką. I dlaczego Aldo jest tak podobny do ojca? Można byłoby wziąć grzech na duszę i oznajmić, że osioł jest bękartem. Księżna wdowa łyknęła jeszcze raz i oddała napój przyjacielowi.

– Jedźmy, bo zamarzniemy.

– Gisca – w oczach dojeżdżacza pląsały gorące iskry – tak po prostu zamarzniecie?

– W Alati było gorąco – z godnością powiedziała Matylda – a w Taligu – zimno. Takie już moje wdowie życie – marznąć po nocach.

2

Tronko wydawało się spokojnym i gościnnym, nie bacząc na przegradzające ulice rogatki i patrole na skrzyżowaniach. Zakutani w skórzane holtyjskie i wojłokowe bakrańskie płaszcze żołnierze i aduani siedzieli przy przykrytych okapami ognisk, przywodząc na myśl nie muszkiety i szpady, a pieczone mięso i szklaneczkę wina. Owszem, gdyby ktoś bez pozwolenia spróbował przespacerować się po mieście, wyłowiono by go już przy pierwszej rogatce, ale obcy nie szwendali się po Tronko i to dodawało otuchy. Ponieważ wicehrabia Valme nigdy w tej dziurze nie był i być nie zamierzał. Wicehrabia Valme hulał w Urgocie, hulał do takiego stopnia, że sam stał się Urgotem, ale nie do końca.

Po to, żeby ostatecznie spowinowacić się z Tomaszem, należało załatwić pewne formalności z ojczulkim i ojczyzną. To, że w ojczyźnie wszystko stanęło na głowie, wałkonia nie interesowało. Też mi, król się zmienił. Wielkie nieszczęście! Jedni żonglują koronami, drudzy bawią się na wojnach, no a Marcelowi Valme wystarczą karty, misteria i ślicznotki. Szczególnie ślicznotki, bo bez Marianny się nie obejdzie.

Wicehrabia odchrząknął i zapiął aduańską kurtkę z rudego zamszu. Leżała na nim nieźle, a i wyglądała w pełni przyzwoicie, o wiele lepiej od podbitych watań bardońskich kaftanów. Marcel zaciągnął wystrzępiony pas, nakręcił na palec nie pamiętające o szczypcach jasne pasmo i pokręcił głową. Zasiadziały w Urgocie próżniak i hulaka nie może przypominać stepowego włóczęgi, czyli przyjdzie łapać krawca, szewca, szwaczki. Owszem, można ograbić jakiegoś dandysa albo posłać po ubrania do Valmonu, ale bez balwierza się nie obejdzie, do stolicy świeżo upieczony Urgot powinien wjechać zakręcony i woniejący zgodnie z wszelkimi krzykami mody. I jeszcze trzeba wywabić opaleniznę i wyhodować jakiegokolwiek policzki.

– Valme!

Diegarron w własnej osobie. Co to się w dzisiejszych czasach porobiło z generałami, do kapitanów wpadają bez pukania.

– Panie? – Marcel podjął próbę zaszalutowania, ale Diegarron tylko machnął ręką.

– Konner i Badigło są gotowi. Zaraz pojawi się jego wielebność i możecie jechać.

– Czyli pojedę z błogosławieństwem – dziwne by było, gdyby Bonifacy się nie pojawił. Skoro biskup odprowadzał Davenporta, to takiego tłumu tym bardziej nie puści bez błogosławieństwa – Dziękuję panu za pomoc, generale. I za... za zrozumienie.

– Wicehrabio – policzek generała zdrzął lekko – życzę panu więcej, niż szczęścia. A mimo to zmuszony jestem uprzedzić: bardzo pan ryzykuje.

– Bzdura – machnął ręką Valme – jakoś to będzie.

On ryzykuje? Można pomyśleć, że wybrał się na abordaż. I co w takim razie mówić o Kruku, który poszedł do Bagerlee za króla, niewartego nawet dobrego słowa!

Jorge Diegarron potarł palcami skroń: trzeba będzie napisać ojczulkowi, żeby przysłał generałowi walizkę maści i tynktur, może któraś podziała.

– Pan ma chociaż pojęcie, co będzie robił? – Kenallijczyk wyglądał na zatroskanego. Och, ci generałowie, wiecznie chcą konkretów.

– Zacznę od urgockiej ambasady – dzięki Tomasowi jestem teraz jego poddanym. Potem odwiedzę znajome damy i krawców. Nie wyobraża pan sobie, ile wiedzą krawcy...

– Do Urgockiego Traktu pana odprowadzą – przerwał generał – Pacharillo dogoni Davenporta po brzegu i uprzedzi, tak że o waszym spotkaniu będzie wiedział tylko Savignac.

A kiedy on się dowie... Gorzej, jeśli jego i Charlesa zauważyli w Malle, no ale kto nie ryzykuje, ten umiera prawiczkim.

– Generale, a kto u pana gościł cały tydzień, jeśli to nie byłem ja? – na wszelki wypadek uściślił wicehrabia.

– Jeden z oficerów Ansela, ale nie sądzę, że to dojdzie do Ollarii. Żyjemy w ciasnym kręgu, jak pan zauważył – Diegarron obrócił się szybko – Wasza wielebność, Klaus!

– I nie tylko – zahuczał Bonifacy, wpływając do pokoju w towarzystwie trzech ludzi. Pułkowników Badiglo i Konnera, którzy mieli przeciąć alacki i gaifijski trakty, Marcel już znał, trzeciego – szczupłego, wąsatego chłopaka – widział po raz pierwszy.

– Święty ojcze, ma pan kasere czy będziemy pić moją? – zapytał Diegarron.

– Jestem jako pszczoła miodonośna i jak krowa tuczna – oświadczył biskup – ale człowiek rozumny nie zabije swojej świni przed sąsiedzką. Oczywiście jest rzeczą, że sąsiad musi być szlachetny, albowiem szlachetność nakazuje się dzielić.

– Cóż – kiwnął Diegarron – jestem gotów przejawić szlachetność. Wicehrabio Valme, przedstawiam panu tenenta Shemantala. Oddaję go panu do dyspozycji z nakazem, tak, tak, Aurelien, nakazem wypełniać każdy pański rozkaz. Ma pan do dyspozycji także stu konnych aduanów.

– Stu pięćdziesięciu – poprawił Bonifacy.

– Stu pięćdziesięciu – potwierdził generał – i trzysta koni.

– Nie zjem tyle – palnął Marcel – wystarczy i dziesięciu.

– Nie pleć andronów, dziecię – Bonifacy nachmurzył się i podrapał małym palcem niezwyčajnie bładny nos – Dzieło twoje jest miłe Bogu, ale nieproste. I w zasadzce siedzieć przyjdzie, i próżniaczych oraz chełpliwych potrząsać i wypytywać. Więc i ludzie będą potrzebni. Kto walczyć będzie, kto ciekawskich uspokajać, kto próżnujących zawróci, most rozwali, fałszywy słuch rozpuści...

– Cóż, jak półtorej setki, to półtorej setki – westchnął Marcel – A może powinienem wziąć i psa? Może się przyda... Ślad weźmie albo kogoś popilnuje?

Valme nie zdążył poprosić o parkę wierzchowych kozłów i worek z yzargami: pułkownik Konner walną chciwego wicehrabiego po ramieniu i zaśmiał się:

– Zabieraj Kotika, żabę jego słowika, dla ciebie nie żal!

3

– Wasza książęca wysokość – baron Gaviot jaśniał, błyszczał i świecił się – w Barsinie przejazdem z Agarisu znajduje się jego świątobliwość kardynał Taligo Levi. Prosi, by wasza książęca wysokość przesiadła się do jego karety.

A bystrego ona ma wnuczka, nie zdążył jeszcze dobrze usiąść na tronie, a już wziął kardynała. A może to kardynał bystry i wziął sobie królika?

– Wspaniałe nowości – przedstawiła obowiązkową radość księżna – Będę szczęśliwa, mogąc zobaczyć jego świątobliwość.

– Ale najpierw... Wasza książęca wysokość, w domu pewnego bardzo czcigodnego człowieka czekają na panią cameristy.

– Spokojnie, baronie – zapewniła Matylda – nie pokażę się osobie duchownej w męskim stroju. Jedźmy do czcigodnego człowieka.

A ona chciała sobie zrobić święto wszystkiego ostatniego. Ostatni dzień w siodle, ostatnia kasera, ostatnia nocka z Laci. A co jej się dostało? Koczokodan ze szczypcami do zawijania włosów!

Matylda obejrzała się na znużonego dojeżdżacza:

– Laszlo, odpowiadasz za Beczkę.

– Tak jest, gisca – i już, było, minęło. No, niech ona tylko dorwie Aldo, odpowie przed nią i za kardynała, i za karetę z peruką.

Matylda posłała Beczkę za linarczykiem barona. Gniady, kolejny raz wykazując rzadką przenikliwość, wykręcił się i capnął bułanego piękniśa. Linarczyk zarżał z urazą i bryknął. Gaviot utrzymał się w siodle, ale Matylda i tak gotowa była ucałować kąsający skarb. Na nieszczęście, kłusak przy całej swojej pracowitości nie mógł skopać i pokasać wszystkich, kogo wskazałaby jej książęca wysokość. Księżna zdławiła westchnienia i pragnienia upicia kasery i zaciekawiła się, jak

orszakowi kardynała udało się tak szybko dotrzeć do Barsiny.

– O – uniósł się na duchu Gaviot – jego świątobliwość podróżuje z solidną eskortą.

Wspomniana eskorta jeśli chodzi o solidność, przewyższała wszystko co wyobrażalne, przypominając niewielką armię. Matylda z trudem powstrzymała się od pytania, jak cała ta wspaniałość przedfilowała przez pograniczne posterunki. Sami powiedzą. Będą chcieli się pochwalić i powiedzą.

– To tutaj – Artur wskazał milutką willę. W gęstniejącym mroku okna świeciły się na różowo. Jeśli w środku pachnie fiołkami, ona kogoś zabije!

Jej książęca wysokość ponuro zlazła z rozhukanego Beczki i przystąpiła do spełniania najjaśniejszych obowiązków, a dokładnie – oddała się w ręce czterech wykrochmalonych kóz. Po półgodzinie Matylda doszła do wniosku, że to nie kozy, a sroki. Księżna stała z uniesionymi rękami, a dookoła niej krzątano się, zaciągano, kłuto, ujmowano, przyszywano i trzeszczano, trzeszczano, trzeszczano... O gaifijskiej modzie, nieziemskiej urodzie jej książęcej wysokości i jeszcze bardziej nieziemskiej mądrości jego wysokości. Matylda tępo okręcała się, kiedy nią kręcono, i milczała, z ostatnich sił głuszac pragnienie morderstwa.

Nie minął nawet rok, jak wczepione w księżną marmaluki przestały kłuć i pociągnęły ofiarę do dużego lustra. Na szczęście mętnego. Matylda z udręką spojrzała w ciemne szkło i zobaczyła to, co oczekiwała zobaczyć. Starą kapustę, obszytą złotymi koronkami. Należało powiedzieć, że jest w żalobie, chociaż od szarego okropniejszy jest tylko różowy, a ją ubrali w purpurę. Za to kamienie niezłe, nie gorsze od tych, które przejadł małżonek ze swoimi towarzyszami. Ciekawe skąd te rubiny? Prezent, łapówka, a może garnitur zwyczajnie ukradziono?

Matylda ponuro wzięła z wiernopoddańczych łap ręczne lustro i obejrzała się z tyłu. Zad był imponujący, nawet bardziej niż przód. Loki peruki ukrywały szyję, ostatecznie zamieniając nosicielkę w porosły czarnym włosiem pień, a spódnice i rękawy sterczały, żywo przypominając stóg siana, w którym może się ukryć para zakochanych.

– Wasza książęca wysokość – zameczała główna koza – pani jest piękna!

– O tak! – podchwyciły trzy inne – Wasza książęca mość jest wprost stworzona dla purpury... Te kamienie... Najlepsi balwierze Agarii... Aksamit... wstęgi... wzór... wszyscy będą wstrząśnięci...

A już co do tego nie ma wątpliwości. A najbardziej wstrząśnięty będzie Laci. Z konia chłopak zdejmował może i nie pierwszej młodości, ale ślicznotkę, a zobaczy pularde w pawich piórach. Trzeba będzie otwierać na noc okienko – on po prostu musi pokazywać się biedakowi bez tych szmatek.

– Wasza książęca wysokość jest zadowolona? – w czterech parach patrzyłek widniało oczekiwanie na pochwałę i marchewkę.

– Brak słów – uczciwie burknęła księżna, wypływając do salonu, gdzie czekał na nią jeszcze jeden wstrząs. W osobie Archibalda Bernheima. Najlepszy przyjaciel Anesti z drapieżnym jękiem zerwał się z obitej brzoskwińowym atłasem kanapki.

– Padam do stóp wspaniałej Matyldzie! Jakże jestem szczęśliwy, że wnuk mojego drogiego Anesti odzyskał wieniec przodków. Nigdy nie wątpiłem w szczęśliwą gwiazdę naszego drogiego młodzieńca...

Jedyne, w co nie wątpił Bernheim, to że wszyscy mają obowiązek go karmić. I karmili.

– Archibaldzie! – „Jest w tym domu trucizna czy nie?” – Myślałam, że jest pan w Agarisie...

– Jak mogłem tam zostać, kiedy nasz Aldo tak potrzebuje pomocy?!

A ty pomożesz. Obgryźć tuzin szynek i ukraść to, co nie zostało przybite.

– Pańska pomoc będzie nieoceniona – kiwnęła puklami Matylda – A co z naszymi drogimi przyjaciółmi? Cavendish, Carlion, Hogberd...

– Baron Hogberd jest niezdrowy, przyjedzie nieco później. Cavendish i Carlion są z nami. A także Bellamy i Wanag...

Nieobecność Hogberda oznacza tylko jedno – szczur nie zamierza pchać się na skazany okręt. Co było do udowodnienia.

Matylda Rakan wyrwała z rąk najlepszego przyjaciela zmarłego męża obślinioną dłoń

– Cieszę się, że mogłam pana spotkać, jednak już się ściemnia, a ja muszę zdążyć do jego świątobliwości.

– O tak – pokiwał Bernheim – Jego świątobliwość... Prosił uprzedzić o jego wizycie. Levi to zdumiewający człowiek! Zdumiewający. Znam go nie pierwszy rok i zawsze opowiadałem mu o

Anesti, Ernani, młodym Aldo i, oczywiście, o wspaniałej Matyldzie. Zapewniam panią, kardynał z całej duszy sympatyzuje z prawdziwymi Taligojczykami i sprawą Rakanów. Levi niezmordowanie modlił się o nasze zwycięstwo i jego modlitwy zostały wysłuchane.

Może i się modlił, ale Hogberd został w Agarisie, a intuicji pstrokatego wieprza Matylda ufała bardziej niż modlitwom.

– Jestem wdzięczna jego świątobliwości – zapewniła księżna – i zaszczytem dla mnie będzie przyjąć błogosławieństwo tak przychylnego mojemu domowi pasterza.

– A dla mnie zaszczytem będzie dać błogosławieństwo kobiecie, którą jego świątobliwość Adrian nazywał alackim brylantem.

Matylda obejrzała się. W drzwiach stał niewysoki siwy człowiek z emaliowanym gołębkiem na piersi i uśmiechał się przyjaźnie.

ROZDZIAŁ 6 RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 3 dzień Jesiennych Błyskawic

1

Rober Epineix pocałował dłoń kuzynki. Katari zadrżała ledwo zauważalnie i uśmiechnęła się.

– Cudownie, że przyszedłeś.

Cudownie czy nie, niedługo stanie się jasne.

– Jak się czujesz?

– Dobrze – stanowczo powiedziała była królowa – bardzo dobrze.

A na pierwszy rzut oka on by tak nie powiedział: blada, pod oczami kręgi, a dłoń gorąca.

– Dlaczego nie chcesz przyjąć lekarza?

– Bo nie jest mi potrzebny. Ja będę pić ziołowy napar, a ludzie... Ludzie i tak będą umierać.

– Tak wyszło – jakież bzdury on gada – Nikt tego nie chciał.

Na pewno nikt? Goganie, zmarły Loura, siedzący w Bagerlee Stancler, Gaifa, Driksen, Gaunau, Agaris, nie mówiąc już o suzerenie... Każdy zbiera swoje jagody, a żmije dostają się tym, kto po prostu chce żyć.

– Nikogo nie oskarżam – natychmiast zapewniła Katarina i na pewno skłamała – Po prostu się boję.

Rober nakrył ręką kruchą, gorącą dłoń. Pierwszemu Marszałkowi Taligoi nie udało się radośnie palnąć, że wszystko było, jest i będzie w porządku. Gdyby na miejscu Katariny była Matylda, on by opowiedział jej wszystko i zapytał o radę, ale wciągać cioteczną siostrę w to, co sobie zamyślił, byłoby bezbożnością.

– Katari – Rober starał się wyglądać na wesołego – co myślisz o Iris Ockdell?

– Lubię ją – prosto powiedziała była królowa – ale ona... Ona jest zbyt prostoduszna dla tego świata.

– A ty? – spróbował zażartować Epineix. Katarina zamyśliła się, szarpiąc nieodłączne paciorki. Cienkie brwi zmarszczyły się, jakby kobieta o czymś wspominała albo wręcz przeciwnie, odpędzała od siebie jakieś myśli.

– Nie wiem – kuzynka dotknęła zaręczynowej bransolety i szybko cofnęła dłoń, jakby się oparzyła – Ja przynajmniej nauczyłam się... milczeć. Ale ja jestem starsza od Iris...

– Jesteś pewna? – on robi się wulgarny, to wstrętne!

– Mam kalendarz i lustro – Katarina lekko odsunęła kołnierzyk, jakby ją dusił – Dlaczego zacząłeś mówić o Iri? Chcą ją zabrać? Zostawcie dziewczynkę ze mną, z bratem i matką będzie jej trudno.

– Wiem – Leie Astrape, gdyby mógł zaufać Katari, ale przy całym swoim męstwem ona jest zbyt słaba – Chodzi o coś innego. Wiedziałaś, że Aldo Rakan powinien się ożenić z jedną z córek Egmonta?

– Stwórco! – Katarina rzuciła różaniec na kolana – Nie może być!

– O ślubie umówiono się jeszcze przed powstaniem. Aldo nie przydawał temu znaczenia,

dopóki nie otrzymał listu od księżnej Ockdell.

– Co teraz będzie? – w głosie kuzynki pobrzmiwała beznadziejność – Co teraz będzie?

– Katari – Rober surowo popatrzył na Katarinę Arigau – Jak to się stało, że Iris Ockdell znalazła się w Ollarii i została narzeczoną Roke Alvy?

– Nie wiem – długie rzęsy ocieniły oczy – Roberze, ja nic nie wiem. Zawiadomiono mnie, że będę miała nową frejlinę, i to wszystko. Uznałam, że to kolejny szpiedzy, ale na przedstawieniu zrozumiałam, że to córka Egmonta Ockdella. Iri – skóra zdarta z ojca i brata. O tym, że to zrobił Alva, dowiedziałam się później. Kiedy Leonard Manrik zachował się wobec mnie... nieprzystojnie, wmieszała się Iris. To wtedy powiedziała o zaręczynach.

– Czyli nie zostały one ogłoszone?

– Nie – Katari znów wzięła swój bursztyn – Księżę Alva nie lubi ceremonii, poza tym nie zdążyliby. Roberze – złociste ziarna bezmyślnie przesuwają się po nici – mówię ci jak bratu. Iris Ockdell nigdy nie zgodzi się zostać żoną Aldo Rakana. Nie trzeba doprowadzać małej do skrajności, ona i tak... jest wzburzona.

– Kuzynko, dziewczyna nie ma wyboru. Jeśli ona odmówi Aldo, on ożeni się z jej siostrą, ale młodsza według praw Honoru nie może wyprzedzić starszej, czyli starsza ma tylko jedną drogę – do klasztoru.

– W Taligu nie ma klasztorów – Katari szeroko otworzyła oczy. Błękitne spojrzenie przypomniało o złocistym – Widzi Stwórcę, dzisiaj się z tego cieszę.

– Będą – „pocieszyl” Epineix – Kardynał przybędzie za kilka dni.

– Biedna Iri – wyszeptła Katarina – ona nie jest stworzona dla klasztorowego życia, ona jest taka... ziemską.

– Zaproponuję jej inne wyjście – Wybacz, Katari, ale kłamię ci i będę kłamać dalej – Być księżną Epineix to lepiej niż gnić w opactwie.

– Chcesz ożenić się z Iri? – nie rozumie, słyszy, co powiedział kuzyn, ale nie rozumie – Z Iri?!

– Nie podoba ci się to?

– Nie – w cichym głosie było to samo nieprzejednanie, co w czasie rozmowy o Ferdynandzie

– Nie możesz ożenić się z dziewczyną, której nigdy nie widziałeś i która...

– Która kocha innego? – dokończył Rober.

– Tak – wytchnęła kuzynka – Ty nie rozumiesz. Lepszy nikt, niż ten, który jest ci wstrętny, ale z którym jesteś związana... Na całe życie!

– Ty kogoś kochałaś? – po co on pyta, komu to teraz potrzebne?

– Kochałam – Katari złapała różaniec – Ale okazałam się tchórzliwą miernotą. I to na dodatek opanowaną przez dumę. Roberze, zasłużyłam na wszystko, co się ze mną stało, bo chciałam być królową. Chciałam! Myślałam, że zapomnę, i zapomniałabym gdyby Ferdynand był taki jak... jak pewien szlachcic. Wybacz...

Kim on był, ten „pewien szlachcic”? Lepiej nie pytać, podle jest budzić cudzy ból.

– Ja też kochałam – i będę kochał, ale lepiej mówić o przeszłości, mniej pytań – i też nic nie wyszło. Josina... Matka chciała, żebym się ożenił. Obiecałem jej to.

– I postanowiłeś prosić o rękę pierwszą spotkaną dziewczynę? – Katarina uśmiechnęła się smutnie – To takie rycerskie – zaproponować księżęcą koronę dziewczynie, której grozi klasztor. Tylko że Iris nie przyjmie twojego prezentu. Nawet jeśli... Pomóż mi wstać.

Rober natychmiast podał rękę. Katari uśmiechnęła się z poczuciem winy i podeszła do okna.

– Patrz – blade twarzyczka przybrała marzący wyraz – ja znów mam ogród, jest piękny nawet teraz... Wiosną zakwitną tu anemony i wrócą jaskółki. Tutaj zawsze było dużo jaskółek...

– W Kagecie też jest ich mnóstwo – wymamrotał Rober, wpatrując się w najeżone gałęzie jałowca, okrywające doniczki z kwiatami – białych... I pomarańczowych róż.

– One są zbyt pyszne – pokręciła główką kuzynka – Roberze, nigdy bym ci o tym nie powiedziała, ale nie pozostawiłeś mi wyboru. Iris wierzy w miłość Alvy, ale on okazał tylko uprzejmość. Dziecko pokłóciło się z matką i uciekło do brata, ale jego nie było w stolicy. Alva okazał wielkoduszność, a Iri to wystarczyło.

– W takim razie tym bardziej proszę o twoje pozwolenie.

– Jeśli powiem „nie”, ty i tak zrobisz po swoim.

Zrobi, chociaż z innego powodu. Rycerz, jasne! Rycerze nie kłamią kobietom, ich bronią jest miecz, a nie intrygi. I dlatego rycerze wymarli. Ostatnimi byli Egmont i ojciec.

– Katari, jeśli Iris odmówi, odejdę.

– Po co odchodzić? – kuzynka z wyrzutem pokręciła głową – Kiedy skończysz ze swatami, wracaj tutaj. Zbyt długo się nie widzieliśmy, żebym tak szybko cię wypuściła.

2

Katarina modliła się, Odetta Matthews mlaskała w poczekalni, pozostałe damy były królowej, a obecnie osoby, znajdującej się pod osobistą opieką Aldo Rakana, rozeszły się po jadalni i dwóch salonach. Te, które uciekły i wróciły, łypały na te, które znów przypęzły, hrabina Fansoi, towarzysząca pani w Bagerlee, obdarzała jedne i drugie lodowatą pogardą, a panna Ockdell sterczała przy oknie – podbródek zadarty, usta zaciśnięte, tylko patrzeć jakiejś głupoty. Uporu w córeczce Egmonta było nie mniej niż we wdowie po nim, a kysz, a kysz.

– Mamo – Selina cichutko usiadła na pufie obok tamborka – Mamo, co będzie z Iri?

– To znaczy? – nie rozumiała Luiza i dziobnęła igłą w przebrzydłą robótkę.

– Hrabina Fansoi mówi, że Richard jest teraz opiekunem Iris. A oni się pokłócili – wyszeptwała córka.

Pokłócili? Jeśli to była kłótnia, to co w takim razie nazwać bójką? Luiza z siłą wyciągnęła złocistą nitkę i ziewnęła:

– Młodzi ludzie nie lubią się przyznawać, że ktoś ich pobił – Katarina nie wyda Iris, ale przecież Luiza nie wyzna rodzonej córce, że podsłuchuje – Kołnierz Richardowi zaszyłam, zapudrowałam policzki. Za kilka dni się zagoi, wtedy zobaczymy, co będzie.

– Iris mówi, że Richard jest krzywoprzysięzcą i niegodziwcem – znów zaszeptwała Selina – A ja myślę, że on udaje, żeby uratować monsignore'a.

Gdybyż! Luiza widziała, z jaką gębą młody Ockdell przechadzał się po poczekalni, czekając najpierw na Katarinę, a potem na siostrę. Tak spiskowcy nie wyglądają, szczególnie głupi, za to młode koguciki – jak najbardziej. Pani Aramona zrobiła kilka ściegów i zaczęła grzebać w koszyczku z jedwabnymi nićmi, wybierając odpowiedni kolor.

– Richard Ockdell jest jeszcze zbyt młody – powtórzyła Luiza słowa Katariny Arigau – a poza tym nie należy zapominać, że jest synem Egmonta Ockdella.

O tym, że od bobra – bobrze, a od świni – prosię, Luiza rozsądnie przemilczała. Podopieczna księżna i tak strzelała iskrami, dolewać oliwy do ognia kapitanowa nie zamierzała.

– Giermek, który złamał przysięgę, nigdy nie zostanie rycerzem – oznajmiła obarczona szlacheckimi mądrościami córka.

– Iri wie lepiej – zgodziła się Luiza – Ja nie bardzo się orientuję w tych męskich sprawach. Nie wydaje ci się, że zbyt często chodzisz z tą samą fryzurą?

– Mamo – Selina nigdy na nic się nie skarżyła, ale teraz w jej oczach był wyrzut – Monsignore jest w więzieniu, a ty...

A ona nic nie może zrobić. Tylko skakać dookoła Katariny i czekać w polu wiatru, który wcześniej czy później powieje.

– Księżno Ockdell – gruba Matthews pojawiła się w drzwiach, niemal tańcząc z ciekawości – przyszedł książę Epineix i chce panią widzieć.

Iris obejrzała się. Błysk w oczach i rozdymające się nozdrza nie zwiastowały nic dobrego i Luiza zaczęła śpiesznie wpychać robótkę do koszyczka.

– Pani Aramona – Odetta nieprawidłowo odebrała gest Luizy, no ale w końcu to idiotka – Książę Epineix nalega na rozmowę sam na sam.

– Proszę się o mnie nie bać – wypaliła Iris – wiem, co odpowiedzieć przydupasowi uzurpatora!

– Iris – hrabina Fansoi z niezrozumieniem zatrzepotała rzeczywiście bardzo długimi rzęsami – Iris, co ty...

Zatopiona w swoich wymysłach głuptaska nie słuchała. Wcześniej ona i Selina zdążyły urodzić Krukowi dzieci, teraz Iri wybierała się albo na stos, albo do walki.

– Cieszyła mnie wasza przyjaźń – na Odettę siostra Richarda nie patrzyła – ale teraz moje życie i moja śmierć należą do mojego narzeczonego. Podzielę jego los, jakim by on nie był. Selino,

stałaś się dla mnie więcej niż siostrą, bądź szczęśliwa. Pani Aramona, była pani dla mnie dobra. Proszę się za nas modlić. Pani Fensoi, żegnaj panią. Proszę prowadzić, jestem gotowa!

Święta Oktawio, ona przecież była w Bagerlee, powinna zrozumieć, że do więzienia bierze się nie honor, a grzebień i pończochy! I co tu ma do rzeczy więzienie? tu nawet wróżką być nie trzeba, Epineix będzie próbował pogodzić złościcę z bratem, nie na próżno tyle czasu spędził u kuzynki.

– Iris – Selina wisiała na szyi przyjaciółki, a na jej policzkach błyszczały łzy – Nigdy cię nie zapomnę, nigdy, jesteś taka...

– Selino – Luiza wzięła córkę za rękę – Książę Epineix jest szlachetnym człowiekiem, a nie gnębicielem.

– Szlachetni ludzie nie służą łajdakom i nie naruszają przysięg – ucieła córka Egmonta, który napluł na wszystkie przysięgi.

– Iris – Luiza złapała przyszlą męczennicę za ramię – nawet z łajdakami należy rozmawiać z przyzwoitym wyglądem.

Panna zło szarpnęła głową, ale pozwoliła wygładzić kołnierzyk i przewiązać wstążki.

– Ona ma nóż – wymamrotała Fensoi – Niech pani zabierze nóż.

Nóż rzeczywiście był, a raczej nożyk. Do owoców – srebrny, miękki, takim nawet moryskilli nie zarzniesz, nie mówiąc już o mężczyźnie. Iris raczej nie miała pojęcia, co trzyma w rękach. Kiedy się denerwowała, zawsze się czymś bawiła.

– Nóż nie jest dla przydupasów Aldo Rakana – odpała Iris Ockdell – Stal jest dla nich zbyt szlachetna.

A pazury, znaczy, w sam raz. Luiza policzyła do szesnastu i twardo powiedziała:

– Iris, proszę odłożyć nóż.

Katari, gdyby przyszło jej rzucać broń, powoli rozluźniłaby paluszki i westchnęła. Panna Ockdell cisnęła nieszczęsny nożyk w stronę kominka, od którego ten odskoczył z żalnym dźwiękiem.

– Żegnajcie! – wykrzyknęła narzeczona Alvy i znikła, na pożegnanie z całej siły trzasnąwszy drzwiami. Odetta i hrabina Fensoi milczały, pozostałe kury w ogóle zamarły. Selina podniosła nieszczęsny nożyk i cicho położyła na talerz z owocami. Tak, jakby on po prostu upadł.

3

Siostra Richarda nie była brzydka, ale Inochodźcowi nigdy nie podobały się wysokie kanciaste kobiety z ostrymi, zamaszystymi gestami. A panna Ockdell prawdopodobnie nie cierpiała brązowookich brunetów.

Rober Epineix uklonił się uprzejmie:

– Pani, dziękuję za to, że zgodziła się pani mnie przyjąć.

Iris skrzywiła się zło i jak żrebak szarpnęła głową.

– Po co te uprzejmości, panie Epineix. Siła jest po waszej stronie.

Oho. A siostra, choć i wymłóciła braciszka, wciąż jeszcze pragnie krwi.

– Myli się pani – wymamrotał Epineix, czując narastające pragnienie ucieczki – w żadnym wypadku nie zamierzam pani skrzywdzić.

– Nie trzeba zbytecznych słów – rozmówczyni zadarła podbródek – niech pan czyni swoją powinność.

Swoją powinność? On ją właśnie czyni.

– Co pani ma na myśli?

– Kłamstwo też nie jest potrzebne – zażądała Iris, chociaż on jeszcze nie zaczął kłamać. Jasnowidząca czy co?

– Księżno – bez wątpienia są tutaj podsłuchiwni albo podglądani – proszę okazać mi honor i przejść się ze mną po ogrodzie.

– Nie zamierzam spacerować ze zdrajcami i krzywoprzysięzcami – gdyby Iris Ockdell była koniem, to teraz obróciłaby się zadem i zaczęła kopać. I szkoda, że nie jest koniem, z końmi Inochodziec Epineix rozmawiać umiał, z pannami, które zagryzły wędzidło – nie.

– Pani opiekunka obiecała, że mnie pani wysłucha – nic takiego Katari nie obiecała, więcej, uczciwie uprzedziła, że rezultatu nie będzie – Mam nadzieję, że spełni pani jej życzenie.

– Księżna Ockdell i przyszła księżna Alva nie potrzebuje niczyjej opieki – zaraz parsknie albo kłapnie zębami – Wysłucham pana, ale tutaj.

– Pani mantylka, Iris – jasnowłosa duenia, którą Rober już widział, stała na progu z naręczem strojów – i pani płaszcz. Dzisiaj jest słonecznie, ale chłodno.

– Dziękuję pani – Epineix gotów był wycałować dłonie domyślnej kobiety – Proszę pozwolić, księżno.

Rober ujął podbity futrem płaszcz i założył na ramiona Iris. Ta kolejny raz szarpnęła się i stuliła uszy, ale nie ugryzła.

Nieoczekiwana pomocniczka wyciągnęła mantylę, ale panna Ockdell przygryzła wargę i skoczyła gdzieś w bok, gdzie było zejście do kolejnego ogródka, zaszypanego rdzawymi liśćmi.

Myśl o podaniu damie ręki Rober przewidująco odrzucił. Siostra Dicka galopem przebiegła obok pary zamarzłych posągów, ominęła stos jałowcowych gałęzi, zakrywających jakieś kwiatki, i zatrzymała się przy milczącej fontannie, w czasie której pływały klonowe liście.

– Słucham! Czego pan chce? – gdyby to Egmont miał tyle zdecydowania, nie przegrałby. Albo nie podniósł powstania, nieważne, jak bardzo by go ciągnięto za uzdę.

On chce powstrzymać ogarniające wszystkich szaleństwo, a do tego jesteś potrzebna ty. Nawet nie ty, a twój Nador, ale Katari się nie pomyliła. Iris nie zrezygnuje ani z Kruka, ani z wojny, rozmawiać z nią o wyborze między opactwa a księstwem to głupota. Pozostaje tylko jedno.

– Pani – jedyna pociecha, że kłamstwa będzie mniej – jeśli ktoś się dowie o naszej rozmowie, czeka mnie co najmniej Bagerlee, ale jestem zmuszony być z panią szczerą. Chce pani uratować księcia Alwę?

Odjęło jej mowę? Może nie należało tak od razu? Ręka Iris Ockdell szarpnęła się do kołnierza, usta pobladyły. Leie Astrape, przecież ona jest chora, Dickon mówił. Jeszcze tego brakowało!

– Iris! Słabo pani?

– Zaraz – zamarła, konwulsyjnie chwytając zimne powietrze – zaraz... przejdzie.

– Nie powinienem był wyprowadzać panią na zimno.

– Powinien! – nóżka w domowym pantoflu tupnęła o zamarzły żwir – Ja... pomogę panu.

Zorganizujemy ucieczkę.

Z Bagerlee? Zaiste, u Ockdellów wszystko prosto.

– Pani, naprawdę pani lepiej?

– Księżę – atak chyba minął, dzięki Stwórcy – dlaczego postanowił pan nam pomóc?

„Nam”... Biedna, co z nią będzie, kiedy dowie się prawdy? A ty sobie wyobraź, co będzie z Mellit, i zrozumiesz! Inochodziec namacał szramę po zaginionej bransolecie:

– Pani, być może Richard mówił pani o SAGRANNIE. Roke Alva uratował mi życie i zwrócił wolność.

– Rozumiem – dla niej to dowód. Córka Egmonta poważnie sądzi, że za dobro płaci się dobrem, wcześniej Rober też tak myślał.

– Pani długo żyła w zamknięciu i wielu rzeczy nie wie. Dlatego błagam, by mnie pani wysłuchała i nie przerywała.

Iris kiwnęła, z fryzury uwolniło się jasne pasmo, lekki wiaterek chwycił je jak rozbawiony kotek. Rober wziął dziewczynę pod rękę, ona już nie brykała, i poszli pomiędzy śpiącymi drzewami i marmurowymi asterami.

– Iris – złości w szarych oczach już nie było, tylko nadzieja i zaufanie – pani rozumie, że dla sprawy Rakanów nie ma nadziei? Na wiosnę jego wysokości pozostanie tylko jeden atut – zakładnicy, a przede wszystkim Roke Alva. Proszę mi wierzyć, teraz jego życiu nic nie grozi. Aldo Rakan nie będzie podpalać jedyne go statku.

Nie podpaliłby, gdyby nie wiara w przeklętą Siłę, chociaż i tu jest za co się zaczepić. Roke, jakby nie było, to przywódca Domu Wiatru. Prawdziwy przywódca, bo Albin był starszym synem starego Lorio. Pozbawić można dziedzictwa, ale nie krwi.

– Wiosną Roke już nie będzie w Bagerlee – wypaliła Iris i Roberowi zrobiło się strasznie. Sam nie wiedział dlaczego.

– Pani – jeśli ona nie zrozumie teraz, to nie zrozumie nigdy – księżę Alva poddał się z własnej woli, związawszy swój los z losem Ferdynanda. On nie ucieknie.

– Alva jest człowiekiem Honoru, on nie zostanie krzywoprzysięzcą jak Richard Ockdell –

oznajmiła siostra Dicka – dlatego najpierw porwiemy Ferdynanda.

Zaiste imię szaleństwu – kobieta, ale Iris ma rację. Kłopot w tym, że wyciągnięcie z Bagerlee byłego króla jest trudniejsze niż wyciągnięcie Kruka. Gdyby ten zechciał się wydostać, już by to zrobił, ale zagubiony grubas, nie mogący ani biec, ani walczyć... Z taką kulą u nogi nijak nie uciekniesz.

– Ma pani rację, nie pomyślałem o tym. Spróbuję się dowiedzieć, co można zrobić dla Ferdynanda, ale potrzebna mi pani pomoc.

– Jestem gotowa!

– Będzie musiała pani kłamać, kłamać dużo i długo.

Szare, do niemożliwości uczciwe oczy spojrzały prosto w duszę. I niby dlaczego on uznał, że Iris jest nieładna?

– Skłamię – twardo powiedziała córka prawie świętego – jeśli trzeba, nawet w kościele.

– Iris – jaką podłością jest zdradzanie ludzi, którzy ci wierzą i za tobą idą, nawet jeśli zdradzanie zamyka się tylko w słowach – jest nas teraz tylko dwoje. Muszę przyznać, że liczyłem na pani brata, ale...

– Dickon okazał się kanalią, ja już nie mam brata.

Jakaż zdecydowana osoba!

– Proszę nie osądzać zbyt surowo, przynajmniej teraz. Tym bardziej, że będziecie musieli się pogodzić.

– Ze zdrajcą?!

– Iris, uprzedziłem, że trzeba będzie kłamać, i w pierwszej kolejności krewnym. Bo we dwoje nic nie zrobimy. Są nam potrzebni zaufani ludzie, zaufani i doświadczeni, a takich w Ollarii nie znam. Jestem tu obcy, pani – też. Moi południowcy nienawidzą Ollarów i księcia Alvy.

Aldo i mieszkańców północy nienawidzą o wiele mocniej, ale jak kłamać, to kłamać.

– Co robić? – jeziora odbijają to chmury, to błękit, a w oczach nadzieja zamienia się rozpaczą. Mellit, kiedy myśli o Aldo, patrzy tak samo.

– Muszę posłać po pomoc, otrzymać ją i doczekać się odpowiedniej chwili, przy czym tak, żeby Aldo Rakan i jego stronnicy niczego nie podejrzewali. Nie mogę zniknąć z miasta tuż przed koronacją. A raczej, mogę, ale wtedy przestaną mi ufać. Pani może.

– Oczywiście – teraz niemal klaszcze w dłoń. I co z nią, taką, robić?! – Da mi pan list, przebiorę się za chłopca...

Z godziny na godzinę gorzej. Jednego takiego „chłopca” Matylda rozgryzła po dziesięciu minutach i to przy tym, że Mellit była pod nadzorem.

– Pani nieobecność zostanie natychmiast zauważona, ale chodzi nie o to, a o to, jak do miasta potajemnie wprowadzić swoich. Jest tylko jeden sposób. Ja i pani ogłaszamy nasze zaręczyny.

– Nie! – szarpnęła się, ale Rober z siłą przycisnął szczupłą rękę do swojego boku.

– Proszę wysłuchać do końca. Jeśli oczywiście chce pani uratować Alwę i Ollara. Pani, jako moja narzeczona, z honorową eskortą wyjeżdża do Nadoru, skąd ja, jak to jest w zwyczaju u Ludzi Honoru, powinienem panią zabrać. Ponieważ zależy nam na szybkim ślubie, od razu po koronacji wyjeżdżam po panią. Nikt nic nie będzie podejrzewać.

– W Nadorze nienawidzą monsignora – z goryczą powiedziała Iris – Przez ojca.

– Słusznie, ale z Nadoru jest rzut kamieniem do Lionela Savignaca. A on to ten właśnie człowiek, którego potrzebujemy. Wrócimy z eskortą w barwach Skał i Błyskawic, ale w rzeczywistości będą to żołnierze Savignaca. Ale i to jeszcze nie wszystko. Lionel nie na próżno był kapitanem Osobistej królewskiej ochrony, on wiele wie. W tym i to, jak trafić z pałacu do Bagerlee.

– I on walczył w pojedynku dla Seliny! – Iris znów jaśniała – Kiedy ogłosimy nasze zaręczyny? Dzisiaj?

– Tak, tylko proszę postarać się wyglądać na zachmurzoną. Pani przyjęła moją propozycję tylko dlatego, żeby uniknąć klasztoru.

– Dobrze – Iris zamyśliła się na chwilę – A czy naprawdę muszę pogodzić się z Richardem? Będę się starać... Ale... nie mogę patrzeć na tego podrzutka!

– Moja kuzynka... To znaczy Katarina Ollar poprosiła, by was nie rozłączać. Do wyjazdu zostaniesz przy niej, tylko postaraj się wyglądać na złą i nieszczęśliwą.

– Nieszczęśliwą? – Iris uśmiechnęła się psotnie, od czego stała się nader ładniutka – Zwątpienie to grzech, ale będę wspominać Dickona i złościć się.

ROZDZIAŁ 7
HEXBERG I RAKANA (B. OLLARIA)
399 rok K.S. 3 dzień Jesiennych Błyskawic

1

Z mglistej siwizny wyrosła góra. Nieoczekiwana, samotna, z płaskim, jakby ściętym, wierzchołkiem, na którym leżało niebo. Ono było obce i zimne, ale Luigi Gildi sam wybrał i to niebo, i tę górę. Wracać nie to, żeby nie było dokąd, po prostu oznaczałoby to poddanie się, płynięcie z prądem, zamienienie się w kolejną miernotę, między obiadem a kolacją narzekającą na los, żonę i podagrę, które nie pozwalają nieszczęsnemu stać się wielkim.

– No co, tenencie Varotti – Luigi puścił oko do byłego bosmana, a obecnie starszego oficera górnego pokładu – i oto przyszliliśmy.

– Przyszliliśmy – zahuczał Ugo Varotti – i jak dobrze! Jak mysz po serze!

Po serze nie po serze, ale morze rzeczywiście było spokojne ponad wszelką miarę. „Zakochany rekin” nie tylko uniknął jesiennych sztormów, czyhających u Wrót Astrapa na szaleńców i impertynentów. Porzucając wiekowy nawyk, „kenallijczyk”²³ dognał Felpijczyków do Hexbergu w ciągu dwudziestu pięciu dni i ucichł dopiero u skał Sternsteinen. Nic dziwnego, że cała załoga, od starszego oficera do ostatniego wioślarza, święcie wierzyła w szczęśliwą gwiazdę Roke Alvy i w to, że los i szczęście każą iść za taligojskim marszałkiem do Wrót Zmierzchu i dalej. Kruk rzucił się na północ? Wspaniale! „Rekin”, rzetelnie wypełniwszy zadanie, pomknął za swoim idolem. I za wojną.

– Bojowa galera na dziobie! – wesoło wrzasnął majtek w bocianim gnieździe.

– Jest bojowa galera na dziobie – powtórzył starszy oficer Lenuzza, wpatrując się w wypływający zza łagodnego przylądka okręt – Rangoni. Wita!

Można by pomyśleć, że na tutejszych wodach pływa chmara galer! Marynarze na północ od Marikjary zdają się na wiatr, ale wiatr jest zdradliwy. W głębi duszy Luigiemu chciało się udowodnić, że patrząc na galery z góry, mieszkańcy północy popełniają błąd. Po pogromie Bordonczyków kapitan Gildi modlił się do Zaskoczenia i Nieprzewidywalności, a co może być bardziej zaskakującego od południowych statków przy północnych brzegach? Statków, niezależnych od wiatru, zdolnych prześliznąć się w najwęższą szczelinę i podejść niemal do samego brzegu. Szkoda, że szczelin prawie tu nie ma, a wiatry charakteryzują się stałością. I mimo wszystko, lekceważyć takie piękności – to grzech!

Luigi uniósł lunetę, łowiąc to znikający, to pojawiający się wśród łagodnych fal drapieżny,

23 Silny południowy wiatr.

zgrabny cień. Z opinią Rangoni, że „Kruk” jest najlepszą galera na świecie nie mógł zgodzić się jedynie Derra-Piave, uważający za takową „Odważnego yzarga”. Gildi rywalizacja przyjaciół szczerze bawiła, wszak kapitan doskonale wiedział, że nie ma i nie może być lepszego okrętu od „Zakochanego rekina”. Luigi puścił oko do Lenuzzy i Varotti:

– A my się wlecemy jak skacowane kraby, tyle pociechy, że nie bokiem! Ugo, rozruszaj no tych próżniaków.

Varotti rozpląnął się w szczerbatym uśmiechu i zniknął. Lenuzza uśmiechnął się lekko, starszy oficer byłby na „pan” nawet z okrętowymi szczurami, ale na jego galerze szczurów nie było.

Wesoło zawyły gwizdki, „Zakochany rekin” na mgnienie oka zwolnił, jakby się potknął, spieniał szarą wodę i skoczył na spotkanie nowemu losowi i starym przyjaciółom. Szalone jesienne przejście z Alvasete do Hexbergu było zakończone.

– Sygnał! – wrzasnął dyżurny – „Radość spotkania”!

– Odpowiadaj: „Widzę”, „Chorych nie ma”, „Radość spotkania”, „Gotów do boju”.

Flagi sygnalizacyjne wzleciały w górę z wiewiórczą zręcznością. Witając rodaków radośnie buchnęła dziobowa armata „Kruka”. „Rekin” odpowiedział dwoma wystrzałami.

– Kapitanie – zaszeptał Ugo – dyżurny mówi, że Rangoni jest w paradnym mundurze.

Na twarzy Ugo rysował się nieszczęśliwy wyraz. No pewnie! Biedak nie przeżyje, jeśli jego kapitan będzie miał w ogonie mniej piór niż Giuseppe. Gildi wzruszył ramionami i pobiegł na rufę. Rangoni wszystko jedno, co on nałoży, ale po co martwić załogę?

Zmiana koszuli i chustki na szyi i wciśnięcie się w biało-złoty kaftan zajęły ledwie kilka minut. Luigi, nie patrząc w lustro, nałożył paradny kapelusz i wyskoczył z kajuty. Galery szybko zbliżały się do siebie. Gildi już bez żadnej lunety widział na dziobie rozkładającego skrzydła kruka, bardziej podobnego go marikjarskiego naiera. Nad masztem powiewał felpijski wimpel, ale flaga na rufie była niebieska, kenallijska. I ci też! Alva nie wymagał od wykupionych galer podniesienia jego flagi, Felpijczycy zrobili to sami. Na szczęście.

Obłoki nad górą zasrebrzyły się – przerywało się przez nie uwięzione słońce. Ostro pachniało solą, wodorostami i jeszcze czymś gorzkim, niepojętym i dlatego trwożnym. W kark sapał Varotti, na pomoście tłoczyli się wolni od okrętowych spraw marynarze i ogłupiali od braku zajęcia żołnierze. Czy słusznie postąpił, biorąc w Felpie załogę do abordażu? to nic, dobrzy rębacze nikomu jeszcze nie przeszkadzali!

Pękła, rozsypała się obłokowa skorupa, przed dziobem „Rekina” legł amarantowy szal, psotna orilla²⁴ dotknęła policzka, złapała sygnalizacyjne flagi, spryskała gości perłowymi bryzgami.

– No proszę – zdziwił się Varotti, wycierając twarz.

– Dziękuję! – nie wiadomo po co krzyknął Luigi w stronę rozbawionego wiatru.

Wiatr nie odpowiedział, tylko prysnął w usta szaloną solą, jakby w pocałunku. Niebiańska przesieka zgąsła, jakby nigdy jej nie było, morze też pogasło, poszarzało jak dusza, która pokochała i straciła.

Ugo wspomniął świętego Andiusa i stwory zmierzchu, uderzył okrętowy dzwon, uprzedzając o spotkaniu. Zwieńczony pierzastą nocą dziób rozminął się ze złotym rekinem, umęczonymi wachlarzami opadły wiosła. Cóż, kto przyszedł, temu i skakać. Nie spadniesz – przyniesiesz gospodarzowi jedno szczęście, a sobie – dwa.

Gildi zmrużył oczy, oceniając odległość. Czas! Oderwać się od trzykroć uwielbianego pokładu, na mgnienie oka poczuć się latającą rybą, ścisnąć podaną przez przyjaciela rękę – to też szczęście... Szczęście, które dają fale i wicher, fale, i wicher, i błysk...

– Witam najlepszego kapitana Felpu, nie licząc Fokkio Gildi i mnie – Giuseppe Rangoni ze śmieszkiem klepnął Luigiego po ramieniu – Zuch!

– Derra-Piave cię zabije – Luigi z kolei z całej duszy trzasnął rodaka po plecach – jak nie za siebie, to za „Yzarga”.

– Nie, to ja zabiję Derra-Piave – odpalił Rangoni – Szwenda się Leworęki wie gdzie.

– Wie Leworęki, wie i Alva – pocieszył Gildi.

– No to mów, gdzie jest Alva albo spadaj do kotów ze swoimi radami. Stwory Zmierzchu, a ja

24 Tak marynarze Morza Pomarańczowego nazywają wiatr od brzegu.

myślałem, że ty i Lanzio pojawicie się razem.

– Dziękuj Stworom, że widzisz chociaż mnie – postanowił obrazić się Luigi – Nas do tutejszych śledzi nikt nie gonił.

– Dziękuję – uklonił się Giuseppe. Jak dziwnie wygląda Rangoni w taligojskim mundurze! Ale jeśli zmieniłeś flagę, zmień i kaftan.

– Walczymy czy nie? – rzeczowo zainteresował się kapitan „Zakochanego rekina”, zerkając na płaski wierzchołek – Muszę przyznać, obawiałem się, że spóźnimy się na deser.

– Wojna będzie – Rangoni był zadziwiająco lakoniczny – Nawet większa, niż potrzeba. Gdzie Kruk?

– Wyszadziliśmy go w Garze. Nie powiedział, dokąd się wybiera. Jak tu u was? Że wesoło, to już zrozumiałem.

– Czekamy – raczył wyjaśnić przyjaciel – Na zimę, na wojnę, na wieści. Pojawileś się w samą porę, wieczorem będzie wojenna narada, od razu wszystkich zobaczysz i wszystkiego się dowiesz.

– Jakich „wszystkich”? – Luigi mimowolnie zadarł głowę, obserwując oświetlony niewidocznym słońcem szczyt. Złoto i ołów. Pięknie i... strasznie – Czyli to właśnie jest Hexberg?

– Na naradzie będą tutejsi oficerowie i marszałek fok Warzow – oznajmił Giuseppe – I zapewniam cię, on nie przyjechał tu na kielicha. On w ogóle nie pije. Po naradzie pójdziemy na Sternsteinen, przedstawiś się Almeidzie, odstałeś od niego na cztery dni.

– A góra? – przypomniał Luigi, nie mając sił oderwać spojrzenia od lejącej się przez przerwę w obłokach jasności, zamieniającej ołów w srebro.

– Miejscowi mówią, że w czasie pełni tańczą tam nieczyste siły. I oni razem z nimi. Na razie nie widziałem, ale czemu by nie popatrzeć.

– Dziękuję – uciął Luigi – Nie lubię sił nieczystych.

2

Reginald Larack wydawał się zdziwiony. No pewnie, głęboką nocą jechać nie wiadomo gdzie w towarzystwie dwudziestu ochroniarzy. Lepiej byłoby poczekać do rana, ale księżę Epineix jest początkującym intrygantem, a u nowych z cierpliwością nie bardzo. Rober uśmiechnął się wymuszenie:

– Dobry wieczór, Reginaldzie. Przepraszam za czas i miejsce, ale zamierzaliśmy kontynuować naszą rozmowę.

– Pamiętam – odważnie powiedział gruby człowiek, od którego teraz zależało wszystko.

– Połowa tego, co panu powiem, nie jest tajemnicą. Zaproponowałem rękę i serce Iris Ockdell, a ona je przyjęła.

– Pan się żeni z Iris? – wymamrotał Reginald, zamieniając się z rzepy w ćwikłę – Jak to...

– Nie – Rober uśmiechnął się mimowolnie, chociaż nic śmiesznego, jeśli nie liczyć fizjonomii rozmówcy, nie było – ja się tylko zaręczyłem. Jego wysokość zamierza powrócić do galtarskich obyczajów, jeśli pan o nich coś wie.

– Tttak – wykrztusił Reginald, jakby wąpiąc we własne słowa – Wiem... trochę...

– Narzeczony zabiera narzeczoną z jej domu, przy czym wręcza ją nie matka, a głowa rodziny. Jednak Richard nie może towarzyszyć siostrze do Nadoru. Z szeregu powodów, o których pan wie.

Larack pospiesznie kiwnął głową i przelknął coś niewidocznego. Każdy ma swoje nawyki: Michel przesuwiał palcem po wąsach, ojciec poprawiał szarfę, on sam to łapie za nieistniejącą bransoletę, to przykrywa oczy, a Reginald przetyka. Rober położył dłoń na pulchnym ramieniu rozmówcy. Jeśli się zgodzi, to może umrzeć. Jeśli się nie zgodzi, trzeba będzie go zabić. Jak Goganów...

– W przypadku, kiedy głowa rodziny jest chory albo zajęty – Epineix starał się mówić powoli i zrozumiale – za pozwoleniem jego wysokości zastępuje go jego oficjalny następca. Czyli pan.

– Mam odwieźć Iris do Nadoru? – podniósł oczy grubas – Do erei Mirabelli?!

– Iris nie pojedzie sama, tylko z duenią i jej córką. Jego wysokość Aldo i... moja kuzynka napiszą księżnej Ockdell o swojej przychylności dla Iris.

– Dobrze – Nał popatrzył Roberowi w twarz – jestem gotów. Ja... nie pozwolę erei Mirabelli skrzywdzić Iris.

Ona sama nie pozwoli się skrzywdzić. Ani matce, ani bratu, ani Leworękiemu, a Roke ją i tak skrzywdzi. Prędzej czy później.

– Reginaldzie, to co powinien zrobić pan, jest o wiele niebezpieczniejsze. Między zaręczynami a ślubem musi minąć nie mniej niż szesnaście tygodni. Przez ten czas dotrze pan do Lionela Savignaca i przekaże mu list i pewne rzeczy ustnie. Jeśli naprawdę chce pan uratować stolicę.

Wicehrabia Lar milczał, patrząc nawet nie na Robera, a gdzieś w bok. Milczał, poruszał ustami, przetykał. I razem z nim milczała, poruszała i przetykała przyszłość tysięcy Taligojczyków. Jeśli Larack znajdzie Lionela, jeśli Lionel uwierzy i da słowo nie prześladować buntowników oraz zachować życie Mellit, Matyldy, Aldo, Richarda i Udo, Epineix podda mu Ollarię. Jak niegdyś Ramiro.

Młody człowiek w barwach Skał przestał żuć i teraz uważnie i smutno patrzył w oczy Inochodźca.

– Postaram się. Najtrudniejsze to wyjechać z Nadoru samemu, ale coś wymyślę. Wie pan, gdzie dokładnie jest marszałek Savignac?

– Nie – Epineix poczuł, jak z jego ramion spada lodowata góra – ale na północy nie ma tak wielu miejsc, które są odpowiednie dla zimowania armii. Jeśli marszałek rusza na stolicę, trzeba go przechwycić.

– Rozumiem – cóż, wygląda na to, że w odróżnieniu od setek innych „rozumiejących”, kuzyn Dicka odpowiadał za swoje słowa, ale czy miał pojęcie, w co się wplątuje?

– Reginaldzie, będzie pan musiał podróżować samotnie, a czasy teraz są sam pan widzi jakie. Mogą pana schwytać szabrownicy, może pan nie zostać rozpoznany albo, przeciwnie, rozpoznany

aż za dobrze. Jeśli list trafi nie do tych rąk...

– Oddam go tylko Lionelowi – Larack znów trochę pozuł – Wiem, jak go schować. W Nadorze są bardzo złe konie i bardzo stara uprzęż, nikt się na nie nie skusi...

– Do Nadoru pana i księżną Ockdell odprowadzi pewna eskorta. Przynajmniej przed szabrownikami was obronią.

– Jeśli złapią nas ludzie Lionela, nie będę musiał ich szukać – Reginald niezdecydowanie uśmiechnął się z własnego żartu – Co powinienem przekazać ustnie?

Lionel przypuszczał, że ostatni z Epineixów nie jest beznadziejny, inaczej nie posłałby matki do Josiny, ale jedna sprawa – przyprowadzić do ojczyzny wygnańca, który poszedł na smyczy trzymanej przez dziadka, i zupełnie co innego – wdać się w pertraktacje z hersztem buntowników.

– Niech pan przekaze marszałkowi, że Josina, proszę zapamiętać, właśnie Josina, rozmawiała ze mną i postanowiłem spojrzeć na zimowe deszcze. I niech pan jeszcze powie, co się dzieje w Ollarii, pan wie to lepiej niż ja. Umówcie się o spotkaniu. Przyjadę po narzeczoną, jak tylko dostane list. Potrzebujemy hasła.

– Nic prostszego – Larack ściągnął brwi, jasne, ale gęste – Jeśli napiszę: „Niech pana błogosławi święty Alan”, to będzie to znaczyć, że na razie nic mi nie wyszło. A jeśli... jeśli wspomnę świętego Honore, to wszystko zrobiłem.

– Zgoda. Niech będą święty Alan i święty Honore.

– Monsignore – teraz Reginald Larack był urzędnikiem, któremu przełożony kancelarii wydał polecenie – kiedy dostanę list?

– Do odjazdu macie co najmniej trzy dni, ale goniec od jego wysokości i od księcia Ockdella wyjedzie do Nadoru, jak tylko porozmawiam z jego wysokością i Richardem. Jak on się czuje?

– Ma niewielką gorączkę, ale lekarz mówi, że tak powinno być.

No pewnie! Rana parszywa, chociaż nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło: rozciętą ręką nie złapiesz szpady. Dickon wiele nauczył się od Kruka, ale Pridd to nie dla niego orzech do zgryzienia. Taka śliska bestia – przeskoczy między palcami i oparzy.

– Proszę uprzedzić Richarda o mojej wizycie, ale nie o jej przyczynie.

– Oczywiście, monsignore – Nał szybko przechodził od ćwikłowego rumieńca do śmietankowej bladości – Mogę zapytać...? Co wie Iris Ockdell?

– Tylko to, że zamierzam pomóc księciu Alvie. O pańskim uczestnictwie nie wie nikt. I nie powinien wiedzieć.

– Proszę wybaczyć moją natrętność – Reginald Larack wpatrzył się w czubki rozkosznych pałacowych butów – Pan rzeczywiście postanowił związać swój los z losem Iris Ockdell?

Leie Astrape, ależ styl! Nawet w czasach wojny Dwudziestoletniej tak nie mówiono.

– Nie będę pana oszukiwać. Ślubu nie będzie, Iris o tym wie.

– Dziękuję, monsignore! Dziękuję... Znajdę sposób, by spotkać się z marszałkiem Lionelem, na pewno znajdę!

Co z nim? Stwory Zmierzchu, no przecież to samo, co z tobą. Reginald jest zakochany, przy czym beznadziejnie. Podobna do żrebaczka dziewczyna zabrała serce krewnego i nie zauważyła, bo takich grubasów nigdy nie zauważają. I nie takich też. Do spotkania z Mellit uważałeś się za nieodpartego, ale serce kobiety żyje według swoich praw.

3

Ścianę ozdabiały dwa portrety i obraz. Kawalerzyści w kirysach i hełmach cwałem pędzili przez łąk żyta, z tyłu i z boku płonęła jakaś wioska, w dymie i błękicie krążył niemożliwie czarny ptak wojny.

– To Kadela – wyjaśnił wysoki ciemnowłosy marynarz – ostatni atak Arnoulda Savignaca. Proszę pozwolić, że się przedstawię. Rotger Valdez. Wiceadmirał. Dowodzę tym, czym nie dowodzi Almeida.

– Kapitan Gildi – spróbował ukryć zdziwienie Felpijczyk – Luigi Gildi.

– Niech pana nie dziwi moje imię – wyglądało na to, że Valdez przyzwyczył się do podobnych spojrzeń – Mnie tu nazywają Kenallijczykiem, ale to kłamstwo. Po ojcu jestem Marikjarczykiem, a Marikjarczyki nie mogą spokojnie przejść obok jasnych warkoczy. Mój ojciec nie był wyjątkiem, co stało się przyczyną moich narodzin i mojego imienia. Czyż nie tak,

Dietrichu?

Nazwany Dietrichem wysoki szarooki blondyn z wyrzutem pokręcił głową:

– To moja daleka cioteczka nie mogła przejść spokojnie obok czarnookiego kawalera. Za to jej młodsza siostra oddała serce znanemu panu generałowi Weizelowi. Jedna rodzina – i takie różne gusta... No a ja, jak pan już zrozumiał, jestem Dietrich, Dietrich Lauzehn. Kapitan portu i kuzyn tego tu Kenallijczyka, którego Driksowie z pełnym przekonaniem przezwali Szaleńcem. Niechże pan usiądzie. Sterczące słupy nie ozdabiają świata.

Luigi posłusznie usiadł, kuzyni napadli na wysokiego chudego mężczyznę, który okazał się być generałem-intendentem o nazwisku fok Clepphis. Luigi powrócił do obrazu. Na płótnie wojna wydawała się wspaniała. Nie gorsza od morskich batalii, ozdabiających palazzo ojca. Lecące konie, błysk, zryw, potęga, nieśmiertelność... Malarz nie namaluje okaleczonej dziewczyny na zakrwawionych deskach i stratowanego przez konie rannego, malarzom płacą za piękne zwycięstwa.

– Cieszę się, mogąc powitać pana w Taligu, kapitanie Gildi – Kurt Weizel serdecznie uściśnął dłoń Felpijczyka i z godnością usiadł w stojącym obok fotelu – Pańskie przybycie to dobry znak.

– Przekazałem komendantowi Alvaesete, że idę do Hexbergu.

– Rej Echevarria przysłał kuriera, ale marynarze jak nikt są zależni od kaprysów żywiołów.

– O – machnął ręką Gildi – Żywioły były dla nas łaskawe. Za wiosła wzięliśmy się dopiero wczoraj.

– Flota Almeidy też miała szczęście – znacząco powiedział Berger – jeśli, oczywiście, jest to szczęście.

Weizel nie wierzył w powodzenie, inaczej nie byłby Weizelem. I już tym bardziej nie byłby samym sobą, gdyby przestał się chmurzyć i zaciskać usta. Artylerzysta zawsze oczekiwał najgorszego, kawalerzysta Savignac – najlepszego, ale Emil został w Felpie.

– Marszałek Savignac przekazuje panu pozdrowienia – skłamał Luigi, uważając, że nikomu to nie zaszkodzi.

– Dziękuję – zapewnił Berger – Bardzo wysoko oceniam talenty Emila Savignaca. A teraz proszę pozwolić, że przedstawię panu obecnych tu oficerów. Ten, który pisze – to dowódca garnizonu Hexberga, generał piechoty Paul fok Tanner. Trójka przy oknie...

– Już się znamy – uśmiechnął się Felpijczyk – admirał Valdez wyjaśnił mi, dlaczego nazywa się Rotger.

– Lepiej by wyjaśnił panu sytuację, w której się znajdujemy – nachmurzył się artylerzysta – Lekkomysłność Valdeza w pewnym stopniu łagodzą jego niewątpliwe talenty wojskowe.

Za to powaga Weizela usatkwowałaby setkę Kenallijczyków, ale i tak Luigi cieszył się, że go widzi.

– Pan się już gdzieś zatrzymał? – Berger surowo spojrzał na Luigiego – Jeśli nie, to logiczne będzie, jeżeli przyłączy się pan do mnie i kapitana Rangoni. Mieszkamy w domu w siostrzeńca mojej żony. To znany już panu Rotger Valdez. Niestety, jeszcze nie zatroszczył się o posiadanie rodziny.

Ogromny zegar, zwieńczony rzeźbionym, ostrobasztowym zamkiem, wybił sześć razy. Weizel nachmurzył się, ale nic nie zdążył powiedzieć. Rozległy się kroki, okrągłolicy adiutant otworzył drzwi i Luigi zobaczył Wolfganga fok Warzowa. Naturalnie, był on zupełnie inny, niż kapitan to sobie wyobrażał. Znakomity marszałek w niczym nie przypominał ani Weizela, ani tym bardziej Alvy. Nawet na wojskowego był podobny tylko dzięki mundurowi i szarfie. Stary, niewysoki, krępy, dowódca byłby na miejscu przy rodzinnym stole albo w kupieckim straganie, ale nie na polu walki.

Fok Warzow stanął na progu, oglądając zebranych; luźny mundur nie mógł ukryć marszałkowskiego brzucha.

– Kapitana Gildi wszyscy znają? – a głos fok Warzowa był ni mniej ni więcej, a właśnie wojskowy, zdolny budzić respekt i zagłuszać huk armat. Luigi sam nie zrozumiał, kiedy zerwał się na nogi. Marszałek uśmiechnął się, pokazując światu mocne końskie zęby.

– Teraz na pewno znają, tak że może pan usiąść. Panowie, najpierw proponuję wysłuchać komandora Faltze. Proszę.

– Rozmawiałem dzisiaj z driksieńskim przemytnikiem – komandor był sędziwym starcem z wesołymi błękitnymi oczami – Ten znakomity człowiek wyszedł z siebie. Proszę sobie wyobrazić, kesar zamknął porty Metchenberg, Rohtfogel i Kirchenbaumen. Mało tego, skonfiskował

czcigodnym kupcom okręty, przy czym puste. Nieszczęśni właściciele muszą czyścić ładownie i szukać na brzegu magazynów na towary. Dobry Gotfryd obiecał wynagrodzić straty. Kiedyś...

– Dziękuję – fok Warzow oparł się rękami o stół – Wasze zdanie, panowie?

– Nie wynagrodzi – pokręcił głową fok Clepphis – „Gęś” to nie krowa, w siebie – ziarno, z siebie – mmm, nie miód!

– Ależ dlaczego – przeciągnął Rotger – Są sposoby namówić gęś, żeby rozstała się i z piórem, i z puchem, i z mięsem. Tylko to nie sposoby dla gołąbków.

– Panowie – surowo powiedział Weizel – nie widzę powodu do żartów. Jest jak najbardziej oczywiste, że strona przeciwna zamierza zrealizować atak nie tylko strony lądu, ale i z morza poprzez wysadzenie desantu, ponieważ nie widzę innego powodu, dla którego kesarii byłyby potrzebne statki handlowe. Desant uczyniłby nasze położenie bardzo niewygodnym, gdyby nie powrót floty, o czym w Einrechcie, o ile wiem, nie mają pojęcia.

– Właśnie – żywo odezwał się syn Marikjarczyka i blondynki – i to bezwarunkowy powód do żartów.

– Kto jeszcze tak myśli? – fok Warzow przysunął sobie kartkę papieru i pióro – Pan, Tanner?

– Szturm Hexbergu z morza wygląda bardzo kusząco – zimno powiedział dowódca garnizonu

– Naturalnie pod nieobecność floty, ale Bruno jest zbyt doświadczony, żeby ograniczyć się do jednego uderzenia w jednym miejscu.

– Jeśli podzieli swoje siły lądowe – potarł brew fok Clepphis – odpadną ostatnie wątpliwości.

– Panie intendencie – zdziwił się Lauzehn – to pan je jeszcze ma?

– Wątpliwości są zawsze – pouczająco powiedział fok Clepphis – szczególnie u intendentów.

– A więc – podsumował fok Warzow – zgodziliśmy się co do tego, że Gotfryd przygotowuje się do wzięcia czegoś od razu z morza i z lądu i to coś to najpewniej pozostawiony bez floty Hexberg.

– Nieszczęsny i bezbronny – uściślił Valdez, wywołując z oczu Weizela kolejną błyskawicę.

– Tak – z naciskiem powtórzył marszałek – nieszczęsny i bezbronny, dlatego pan Almeida w Hexbergu się nie pojawi. Nawet w cytadeli, wśród naszych felpijskich gości. Za to nasi felpijscy przyjaciele w portowych tawernach zaczną dzielić się wspomnieniami o tym, jak w Felpie hulali z hexbergskimi marynarzami. I jak by chcieli następnej wiosny razem z nimi wstrząsnąć dożami, a muszą siedzieć na północy.

– Będzie to dla nas zaszczyt – zapewnił Rangoni. Luigi uklonił się w milczeniu. Zimowanie w Hexbergu obiecało być wesołe.

– Dziękuję – marszałek Zachodu był uprzejmy, ale jego wygląd już nie wydawał się pokojowy – Czy ktoś ma wątpliwości co do tego, że Driksenów należy topić, nie czekając na lądowanie?

Wątpiący się nie znaleźli. Tylko Rotger Valdez łypnął południowym okiem na Weizela i szepnął:

– Topić „gęsi”... To takie podniecające, nieprawdaż, wujaszku?

ROZDZIAŁ 8

RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 4 dzień Jesiennych Błyskawic

1

Szybko zapadał zmierzch. Przez nagie gałęzie prześwitywało żółte niebo, w którym z głośnymi wrzaskami miało się stado wron.

Stwory Zmierzchu, gdzie się podziała ta przeklęta waza? Trzeba było iść tą samą drogą, co w dniu pojedynku, a jego poniosło prosto. No i zablądził w najbardziej głupi sposób.

Co on robi w Starym Parku, Richard nie rozumiał, po prostu nie mógł usiedzieć w domu. Nal gdzieś przepadł, a ludzie Loura byli zbyt dobrze wyszkoleni, żeby zatrzymać pana. Wyjeżdżając, Richard był niezwykle dumny z tej okoliczności, ale teraz cieszyłby się, gdyby Jeremi okazał się bardziej natarczywy. Młodzieniec rozejrzał się, próbując zrozumieć, gdzie go zaniósł. Gdyby nie ptaki, można by było usłyszeć plusk wody, a od kaskady do wyjścia można dotrzeć z zamkniętymi oczami. Dickon z nienawiścią uniósł spojrzenie na krążące w zmierzchu stado i prawie pobiegł po

sprężynującym pod nogami żwirze. Jeśli przez cały czas będzie skręcał w prawo, wyjdzie na jedną z głównych alej. We wszystkich labiryntach trzeba zawsze zawracać na prawo, gdzie on to słyszał? W Laik? W Agarisie?

Pierwszy zakręt wyprowadził Richarda na rozstaje, oznaczone wysokim obeliskiem, drugi – na znajomą polanę, pośrodku której bieląla statua byka z ludzką głową. Na potężnych ramionach obojętnie czyścił pióra górski kruk. W Ollarii? Skąd?! Młodzieniec przyspieszył kroku, z niepokojem zerkając na ogromnego ptaka. Ten leniwie machnął skrzydłem, ochryple wykrzyknął „Ferdynand – rogacz!” i Dickon pojął, że ma przed sobą kruka Arigau. Więc to tutaj się zadowowił!

– Ollar – dureń! – nadwierał gardło siedzący na byku wróż – Ferdynand – rogacz!

Ferdynand był durniem i miernotą, ale zmarły Gui nie powinien był uczyć kruka takich słów. Z powodu kobiety, którą oddano najpierw Ollarowi, potem Alvie. Niestety, zmarły hrabia myślał tylko o sobie. Najpierw zmusił Katari do nienawistnego małżeństwa, potem zaczął pleść intrygi, a za rachunki braci płaci siostra.

– Kruk – przystojniak! – wrzeszczał czarny ptak – Ollar – rogacz!

Nie wolno dopuścić, żeby ktoś to usłyszał! Aldo niedługo otworzy Stary Park, będzie mógł tu wejść każdy, a kruki żyją potwornie długo. Richard złapał pistolet. Czarna gadzina leniwie rozłożyła skrzydła i natychmiast złożyła, gdzieś zarżał koń, między gołymi pniami przemknął wiatr.

Młodzieniec spuścił kurek, huknął strzał, w zmierzchu błysk był oślepiający. Bestia na ramieniu człowieko-byka zarechotała, wleciała w górę, zataczając koło nad głową młodzieńca, i zniknęła. Richard rozejrzał się, próbując znaleźć drogę. Może na odgłos wystrzału przybiegną strażnicy? Oni wszak wiedzą, że Władca Skał jest w parku. Przy wejściu stoją nie południowcy, a Barsińczycy, mają porządnego kapitana, na jego skromność można liczyć. Trzeba zaproponować im nagrodę, niech złapią albo zastrzelą kruka. Katari i tak niełatwo przeżyje rozwód, nie trzeba jej przypominać jeszcze o Alvie.

Dzwon Świętej Oktawii wybił w pół do dwunastej, ptaki ucichły, ale Richard nadal nie mógł się zorientować, gdzie jest źródło. Nad parkiem wzniósł się starzejący się księżyc, jasne refleksy zapląsały po urgockim marmurze, wydawało się, że byko-człowiek marszczy krzaczaste brwi i coś mamrocze w kędzierzawą brodę.

Słupy zimnego światła, czarne pnie, wczepione w gałęzie gwiazdy i cisza... Głupio było zostawać na tym miejscu. Richard poszedł tam, skąd donosił się dźwięk dzwonu, i od razu usłyszał kroki. Niestety, był to tylko koń, do tego kulawy.

Kto go wpuścił do Starego Parku? Ach tak! Aldo burzy grobowiec uzurpatora, pewnie klacz należy do murarzy albo śmieciarzy. Odwiązała się i wędruje po parku. Raczej nie wskaże drogi, ale i tak lepszy koń niż kruk. Richard poszedł w kierunku dźwięku i niemal od razu znalazł się tam, gdzie chciał. On się nie pomylił i nie zablądził, po prostu o zmroku wszystko wygląda inaczej niż dniem. Młodzieniec przyspieszył kroku, miejsce pojedynku go nie przyciągało, ale za wagą zaczynała się ścieżka, prowadząca do bramy.

Koń odstał, może znalazł jeszcze żywą trawę? Pokazał się wiekowy kasztan, Dickowi wydało się, że między węzlastymi korzeniami siedzi ogromny pies, ale to był tylko kamień. Duży, szary, nieufny. On na kogoś czekał, długo, bardzo długo...

Aleja zakończyła się schodami, łagodne stopnie zaścielało zwiędłe listowie. Przez suchy, natrętny szelest dał się słyszeć plusk wody – Dickon jednak doszedł do źródła. Księżyc wisiał nad samą głową, zalewając stary taras mlecznym światłem, do podnóżków posągów tuliły się czarne cienie. Jak koty.

Młodzieniec mimowolnie zapatrzył się na zastygłą w tańcu skrzydlatą istotę, nieuchwytnie przypominającą Katari, ale przepełnioną szczęściem i radością. Cóż za uroda, i jakie to niepodobne do ozdabiających pałace i parki panien i wojowników! Trzeba zamówić kopie dla Nadoru i postawić na skalnym występie, tym, który jest naprzeciwko głównej wieży. Marmurową tancerkę na pewno przywieziono z Galtary. W starożytności eorom pojawiały się nieśmiertelne piękności, obdarowujące wybranych swoją miłością. One i teraz schodzą do opuszczonej stolicy, ale tam jest pusto. Tylko kamienie pamiętają o miłości i o nienawiści, kamienie nie zapominają niczego.

Znów dał się słyszeć stuk kopyt, ale Dickon się nie obejrzał, bo po co? Rano robotnicy złapią uciekinierkę, a na razie niech sobie spaceruje na zdrowie. Wiatr, który zniecka nadleciał, pachniał dymem, śniegiem i żywicą. Szum wody zrobił się głośniejszy, zamiotały się dziwne cienie, skarżyły się na nadchodzące mrozy drzewa, śmiały się gwiazdy, kamienna dziewczyna z kocią głową unosiła

gibkie ręce w wiecznym tańcu, na białej szyi szkarłacił się naszyjnik z jarzębiny. Ktoś zażartował, ale wyszło pięknie.

Na potraskane płyty, krążąc powoli, opadł samotny liść, zapach dymu stał się ostrzejszy i wyraźniejszy. Richard podniósł głowę – dookoła księżycy migotała tęcza aureola, zwiastując zimno. Dick poczuł chęć znalezienia się w domu i przyspieszył kroku.

Księżycowe światło kłamało, waza okazała się być dalej, niż obiecały oczy, i miała dwa cienie. Co za bzdury, to ciemne piętno na jasnym kamieniu nie jest cieniem, a jego i Walentyna krwią. A on co myślał? Że strażnicy rzucą się odmywać marmur? To nic, przyjdą deszcze i krew wsiąknie w ziemię wraz z gorzka jesienna wodą.

Końskie rzenie było nieoczekiwane i zaskakująco głośne. Richard ledwie zdążył odskoczyć, jak obok, krzesząc iskry, przemknęła ciemna sylwetka. Moro?! Czyżby Rober go wypuścił? A może czarny smok uciekł? Ogier wyszczerzył zęby i zaczął walić kopytem w kamień. Znajdujący się na wolności morisk-zabójca – to koszmar, a morisk-zabójca, który stracił pana? Moro parsknął zło i ruszył naprzód. Czyżby wiedział? Bzdura, co może rozumieć koń?!

Richard wyjął pistolet – nie zamierzał umierać pod kopytami. Kary zamarł przy krwawej kałuży, wyciągając wąską mordę. Czarna statua, która zawieruszyła się pośród białych.

– To nie to zwierzę, którego należy się obawiać. Przynajmniej nie dla pana – Walentyn Pridd w mundurze tenenta wyszedł zza przekłętej wazy i poprawił wstęgę od orderu na piersi.

Moro odwrócił się gwałtownie, wciągając nozdrzami cudzy zapach, i zniemacka zdradziecko wtulił pysk w obciążone czarnym sukniem ramię. Pridd uśmiechał się, położywszy na karku rumaka wypielegnowaną dłoń. Zrobił się starszy i weselszy. Gdyby nie uśmiech, Richard jeszcze mógłby wybaczyć.

Młodzieniec sam nie rozumiał, w kogo celuje – w moriska czy w Ośmiornicę. Sucho szczęknął kurek. I tyle.

– Pudło – w księżycowym świetle oczy Walentyna świeciły fioletem, jak i oczy Moro – Ale następne głupstwo może nawet się panu uda.

– Moim następnym głupstwem będzie pan – uciał Richard – światło jest wystarczające. Na pozycję!

– Młody człowieku – rzucił Pridd – to miejsce jest niebezpieczne, przynajmniej dla pana.

– Poprzednim razem ono okazało się niebezpieczne dla pana.

– Niech pan przestanie – skrzywił się Walentyn – i odejdzie stąd, dopóki nie jest za późno. Nie mamy ze sobą nic wspólnego.

– Tchórz!

– Mocno powiedziane, młodzieńcze – dłoń w czarnej rękawiczce złapała Moro za uzdę, zimno błysnęły szafiry – Dziękuję za pomoc, hrabio. Richardzie, niech pan idzie do domu.

– Nie pójdę! – odpalił młodzieniec, rozumiejąc, że jest sam przeciw Walentynowi, Krukowi i moriskowi. Rober zdradził suzerena, jak i Pridd, ale Alva nie może dotrzeć do armii, inaczej koniec dla wszystkiego: dla Aldo, Taligo, miłości...

– Tym gorzej dla pana – zauważył Kruk, on był taki jak zawsze: silny, pewny siebie i drwiący.

Richard, sam nie rozumiejąc, co robi, znów nacisnął spust. Tym razem zawiódł nie pistolet, a ręka: kula trafiła w wazę, Kruk wzruszył ramionami i nie patrząc na byłego giermka, wskoczył na konia. Pridd złapał marszałka za rękę i usadowił się za jego plecami. Moro zarżał kpiąco, machnął rozkosznym ogonem i ruszył niespiesznym truchtem.

– W siodło, Ockdell! Dogonimy ich!

Jeździec, który wypadł z nocy, osadził rumaka obok Richarda, pod uzdę trzymał Sonę. Dick odrzucił rozładowany pistolet i wczepił się w cugle.

– Szybciej! – Richard posłusznie dał ostrogę morisce, ta runęła z miejsca w galop. Mglenie – i zalany światłem księżycy placyk z kałużą zaschniętej krwi został w tyle. Richard obejrzał się, jego towarzysz – Simon Laura – zaśmiał się i poprawił szkarłatną szarfę. Sona stanęła dęba, zamłóciła w powietrzu kopytami, jedno z nich było białe. Laura zaklął, coś runęło w zwiędłe liście, bezgłowy, jednoręki kikut wygodniej ujął wodze, ostro zapachniało krwią...

Jakież odrażający zapach! Leworeki by porwał lekarza z jego naparami. Richard z wysiłkiem uniósł się na łokciach.

– Co się stało, Jeremy? Która godzina?

– Za kwadrans dwunasta. Pozwolę sobie zauważyć, że monsignore ma wysoką gorączkę. Obudzę lekarza.

– Obudź!

To była maligna, najzwyczajsza na świecie maligna. Dobrze, że widział tylko Loura, mogło być gorzej. Richard usiadł na łóżku, patrząc wprost przed siebie. Jednak słusznie zamienił dzicze głowy na portrety.

– Panie! No i po co pan usiadł? – lekarz, który wtoczył się do pokoju, był senny, ale przepełniony wyrzutem – Pan powinien leżeć, inaczej może dojść do zakażenia.

– Leżę – burknął Richard. Nie chciało mu się kłócić z lekarzem, leżeć z gorączką tym bardziej. Jeśli Pridd pojawi się wcześniej w pałacu, ludzie mogą pomyśleć, że to on jest zwycięzcą.

– Zaraz przygotuję uspokajający napar – zapewnił metr Hellbah – i pan zaśnie.

– Dobrze – spać się chciało bez żadnego naparu, ale jeśli znów przyśni się koszmar? – Muszę się przyznać, że miałem zły sen.

Jak bardzo święty Alan jest podobny do ojca! Jedna twarz, różnica leży tylko w zbroi i broni. Nawet witraż za plecami jest taki sam, stary nadorski witraż z dzikami.

– Więcej złych snów nie będzie – lekarz wściekle potrząsnął szklaną butelką – tylko spokój. Potrzebny panu spokój, książę, i pan zaśnie. Wszystko będzie dobrze, dobrze i spokojnie.

Lekarskie mamrotanie uspokajało, Richard oparł się na poduszkach, sennie wpatrując się w psa, którego głaskał święty Alan. Szkoda, że on nie ma psa. Kiedy przy łóżku pana śpi pies, to takie przytulne. Duży pies, podobny do wilka – to jest to, czego potrzebuje Władca Skał.

– Pański napar.

Pachnie przyjemnie! Miodem, jabłkami i czymś jeszcze. Goździki? Nie, goździki mają silniejszy zapach. Richard sięgnął po kielich, niechęcą poruszając ranną ręką, ostry ból przeciął senne otumanienie, w oczy skoczyły pstre iskry. Metr rzucił się na pomoc, zachwiał, napar wylał się na poduszki. Purpurowe piętna na bieli wyglądały potwornie.

– On jest czerwony? – dlaczego to tak dziwi? Nieprzyjemnie dziwi.

– Naturalnie – nie rozumiał lekarz – przecież jego podstawą jest wino. Pański służący dał mi „Czarną krew”. Zdumiewający bukiet.

„Czarna krew”... ulubione wino Kruka, nic dziwnego, że są nim zapełnione wszystkie piwnice.

– Wolę białe. „Dziewicze łzy”.

– Doskonały wybór – zaaprobował lekarz – ale nie teraz. Ci, którzy stracili dużo krwi, powinni pić czerwone. To pomaga uzupełnić niedobór krwi i przyspiesza zdrowienie.

– Tak, słyszałem – kiwnął młodzieniec, siadając przy stole i przyjmując z rąk lekarza znów napełniony kielich. Jeremy zapomniał zaciągnąć zasłony i w oczy Richardowi świeciła złota gwiazda, należąca do gwiazdozbioru Jeźdźca. Młodzieniec patrzył w czarne niebo i smakował leczniczy napój, oczekując, kiedy zostanie zmieniona zachlapana pościel.

– Monsignore może się położyć.

– Dziękuję.

– Jestem jeszcze potrzebny monsignore'owi?

– Możesz odejść.

Pierwszy wyszedł lekarz, czekała na niego stygnąca pierzyna. Jeremy został: przyciął knoty świec, poruszył wypalone węgle, przysunął do łóżka grzejnik. Loura umiał dobierać ludzi... Co za straszna śmierć, straszna, absurdalna, niesprawiedliwa. Ruch Simona okazał się decydującym, to właśnie on i jego armia odzyskali koronę dla Rakana, ale w stolicy mówią nie o tym, a o „szarfię Loura”... Alva zabrał nieszczęśnikowi nie tylko życie, ale i czyn.

– Monsignore czegoś potrzebuje?

– Postaw wino na stole i możesz iść.

– Wedle życzenia.

Północ. Jutro rano trzeba być na Radzie Miecza. Aldo zobaczy, że Władca Skał, w odróżnieniu od Władcy Fal, jest zdrowy. Richard łyknął „Czarnej krwi”, po przygotowanym na miodzie i ziołach napoju wino wydawało się kwaśne. Żeby nie mieć kręgow pod oczami, należy się

wyspać, ale Dickon nie spieszył się kłaść. Sny rzadko powracają, ale nie chciało się znów zobaczyć spadającego pod kopyta Sony kikuta.

– Robisz się coraz poważniejszy – głos był zapomniany, ale znajomy. Richard drgnął i otworzył oczy. No proszę, jednak zadrzemał.

– Nawiasem mówiąc, witaj – Paolo z kielichem w ręce rozwalił się w fotelu naprzeciwko. Kenallijczyk miał na sobie strój do jazdy konnej, w wycięciu koszuli świeciła szkarłatem espera. Dziwne, Dickon zawsze uważał towarzysza za bezbożnika.

– Wybacz, zadrzemałem – Richard potrząsnął głową – Ty tutaj? Jak? Skąd?

– A gdzie jeszcze mam być? – zdziwił się kolega – Nocowanie na ulicy to już przesada.

– Gdzie ty się podziewałeś? – trzeba przeciągnąć czas i wybadać, czego chce Paolo. Kiedyś byli przyjaciółmi, ale krewny Kruka – to krewny Kruka – Czego my tylko o tobie sobie nie nawyobrażaliśmy!

– Byłem w Agarisie – oznajmił Kenallijczyk – Ja i ojciec German mamy tam sprawy. Dużo spraw.

– Cieszę się, że zaszedłeś – wybąkał Richard, sam nie wiedząc, czy kłamie, czy nie – Kiedy wróciłeś?

– Latem – Paolo z ciekawością obejrzał gabinet i Dickowi zrobiło się niewygodnie. Jeśli kolega bywał tutaj wcześniej, to zapyta o portrety. I o dzicze głowy. Owszem, wola Aldo – to prawo, ale nie dla Kenallijczyków.

– Nie wiedziałem, że jesteś esperatystą – jeśli nie chcesz pytać, pytaj sam.

– A ja nim jestem? – zdziwił się Paolo – Nigdy bym nie pomyślał.

– No, przecież nosisz esperę...

– To podarunek – smagłe palce dotknęły szkarłatnej gwiazdy – Ty przecież lubisz podarunki?

Co to za aluzja? Do Sony? Do willi? Do przyjaźni z Aldo? Richard nie chciał kłótni, ale jeśli Paolo jest wrogiem Rakanów, nie da się jej uniknąć.

– Piękny pierścień – pochwalił Paolo, upijając wina – Czerwone kamienie, złota błyskawica... misterna robota. Zwiastuje zwycięstwo. Tylko czyje?

– Pierścień? – powtórzył Richard, w najgłupszy sposób patrząc na swoje ręce – Jaki?

– Został u lekarza – sprecyzował były współuczeń – Był mu potrzebny.

– O czym ty mówisz? – Dick uważnie wpatrzył się w na pół zapomnianą twarz, ona była spokojna jak u Pridda.

– Patrz – długopalca ręka szarpnęła się w górę, wskazując portrety – Twój przodek cię nie rozumiał. On nie lubił trucicieli.

Pierścień z Błyskawicą... Truciciel... Paolo wie wszystko, ale od kogo? Od Kruka czy od Robera?

Trzeba było coś powiedzieć, a potem pewnie się bić, ale przecież nie lewą ręką! Próbując zyskać na czasie, młodzieniec spojrział na obrazy. Z prawego portretu patrzył szary pies, Alana Świętego na nim nie było. Portret ojca też się zmienił: księżę Ockdell stał na stosie wystających z purpurowej kałuży trupów, w ręce Władcy Skał był rodowy sztylet, noga w spryskanym krwią bucie opierała się na ciele Robera Epineixa.

– Co to jest?! – wytchnął Dick – Kto to powiesił?!

Richard szarpnął dzwonek i nie ocenił siły. Oberwany sznurek upadł na podłogę, Paolo podniósł go pełnym gracji gestem tancerza.

– Nie należy bać się tego, co już się stało, ale ty pytałeś, dlaczego nie zaszedłem wcześniej. Dlatego, że wcześniej byłeś żywy.

Co on powiedział? Święty Alanie, co on powiedział?!

– Nie żyjesz, Dickonie, jakkolwiek smutno to brzmi – Paolo postawił kielich na podłokietnik fotela i przycisnął palce do oczu – Truczna była w winie. W czerwonym winie. Niestety, ty, jak i wszyscy z północy, nie czujesz bukietu.

– Truczna? – wymamrotał Richard – Truczna?

– Cahaetis falinhoe – uściślił ojciec German, kładąc wąską dłoń na ramieniu Paolo – Antidotum jest nieznanne, ale taka śmierć ma swoje zalety. Przynajmniej nie będzie się pan męczył, po prostu nie będzie pan mógł wstać. Za pół godziny straci pan przytomność, tak że radzę spędzić pozostawiony panu czas jak najrozsądniej. Nalać panu?

Richard nie odpowiedział. Ollarianin przechylił dzban, światło z przerażeniem zamiało się

po czarno-czerwonej strudze. Ojciec German podał młodzieńcowi kielich, na ramieniu duchownego stroszyła sierść trójkolorowa kotka, jej oczy były przezroczyście i zielone jak niedojrzały agrest.

– Pij, Dickonie – powiedziała bestia i oblizwała się - to dobra łoża. Czworo podarowało nam radość, więc raduj się...

Dobra łoża... „Czarna krew”... Przeklęty lekarz! On to zrobił... Lekarza przyprowadził Nal, którego Dick mianował swoim następcą. Nal zawsze mu zazdrościł, i jeszcze on chce Iris. Oni są w znowie, siostra i kuzyn, i wykorzystali pierwszą odpowiednią sytuację.

– Uprzedzałem pana, tanie Ockdell – zauważył duchowny – pan nie posłuchał. Cóż, pański wybór i pańskie prawo. Pijcie, to wszystko, co wam pozostało.

3

„Pijcie, to wszystko, co wam pozostało...” - ręce poruszały się z trudem. Jednak Richardowi udało się odrzucić przeklęty kielich. Może w nim nie było trucizny, nawet na pewno nie było, ale wino było to samo. „Czarna krew”... Jak łatwo rozpuścić w niej truciznę, biały okrucuch roztapia się i znika, jakby go nie było... Wszystko jak było, tylko zamiast życia – śmierć.

Alacki kryształ rozleciał się na mnóstwo żądłacych iskier, złocisty dywan napęczniał ciemną czerwienią... Richard pomyślał nieobecnie, że teraz po tym dywanie będą chodzić Iris i Nal, i obudził się. W swoim łóżku. Żywy... Ręka bolała, ale można było to znieść, księżycowe refleksy pełzały po ścianach, grały na broni, prześlizgiwały się po dziczych pyskach, które on wyrzuci jutro z samego rana. I nic go nie obchodzi, że na obiciu zostaną plamy, on nie może dłużej żyć wśród tych trofeów! Teraz Richard nie rozumiał, po co kazał pościelić sobie w gabinecie, jakby w domu było mało sypialni. Najlepiej przenieść się już teraz, ale księżę, który w środku nocy zmienia łóżka, nie budzi szacunku. Trzeba poczekać do rana.

Młodzieniec przekręcił się na bok, próbując ułożyć się wygodniej, nie nadwężając przy tym ręki. Spać chciało się potwornie, ale gdzie dwa koszmary, tam i trzeci. Zresztą, w drugim był swój sens – w domu jest lekarz i ten lekarz może przygotować coś na uspokojenie. Władca Skał usiadł, próbując wymacać krzesiwo, ale zamiast tego trącił jakąś szklanę, ta się przewróciła. Richard machnął ręką na krzesiwo i przesunął ręką w poszukiwaniu sznura od dzwonka. Ciepła aksamitna żmija znalazła się od razu, księżę Ockdell zadzwonił, zastanawiając się, co, odpowiedzieć, jeśli lekarz zacznie wypytywać.

Lekarzom i spowiednikom nie można kłamać, ale są rzeczy, o których nie powinien wiedzieć nikt. Metr Chablis mówił, że sny są odbiciem naszych myśli, przeczuć i obaw, lepiej je trzymać przy sobie. Richard przyglądał włosy i usłyszał kroki, ciężkie i powolne.

Służący tak nie chodzą, tak w tym domu w ogóle nikt nie chodzi. Kruk poruszał się lekko i szybko, a po schodach prawie biegał, Juan się skradał jak kot i swoich zabijaków wyszkolił tak samo, a Savignacowie bręczeli ostrogami i śmiali się. Lekarz? Ale metr Hellbah, chociaż i był gruby, to jednak szybki, a poza tym skąd dyżurny lokaj mógłby wiedzieć, że monsignore potrzebuje lekarza?

Kroki zbliżały się. Ktoś duży, pewny siebie i swojego prawa, wchodził po schodach. Kto?! I gdzie jest Jeremy, a niech go koty porwą?! W pokoju jest pełno broni, ale jaki pożytek będzie miał jednoręki z halabard i nienaładowanych muszkietów, a szable, szpady i sztylety wywiózł Juan, ale to nie on! Gdyby handlarzowi niewolnikami wpadło do głowy wrócić, nikt by go nie usłyszał. Richard znów szarpnął sznur, nienawidząc siebie i za swój strach, i za swoją bezsilność. Jeśli z dzwonkiem wszystko jest w porządku, zbiegnie się tutaj cały dom, a jeśli nie? Trzeba zamknąć drzwi, ale nie ma klucza. Jedyne, co pozostaje – to wstać, wziąć z kominka świecznik, wycofać się za parawan i czekać. Nocny gość jest jeden, jeśli uderzy się go w skroń, będzie po nim.

Richard zerwał się pospiesznie, futrzany dywan wydał się zimny i wilgotny. A, no tak, on coś rozlał przez sen. Mokra sierść pod nogami była obrzydliwa, rozlany napar pachniał wędzącymi liliami i jeszcze czymś, czym pachnie w piwnicach i niezamieszkanym pokojach, w Nadorze takich było dużo. Dick schwycił świecznik, on też był wilgotny. Święty Alanie, co to ma być?! A może to kolejny koszmar? Pokój wczoraj doskonale ogrzano, dom jest zamknięty, wszystko w porządku, ale on jest ranny i ma gorączkę, no to i śni się zimno i obce kroki. Zaraz się obudzi, tym razem już na dobre, i więcej się nie położy. Młodzieniec mocno uszczypnął się w rękę, świetnie rozumiejąc, że to nie pomoże.

Poplamiony księżycowymi palcami mrok odstąpił przed wpelzającą do pokoju świecąca się mgłą, jakby rekwahskie ognie oderwały się od trzęsawiska, które je zrodziło i przyszyły do domu człowieka, który niegdyś naruszył ich pokój. Westchnęły, jakby skarżąc się na niedołęstwo, i rozsypały się próchnem drzwi, a w wejściu, opierając ręce na bokach, stanął wysoki i masywny. Za plecami gościa kłębiła się wyblakła zieleń i Dick mógł widzieć tylko sylwetkę, podobną do beczki, która wyhodowała sobie kończyny. Bonifacy? Ale warastyjski biskup nie nosi ani kapelusza z piórem, ani szpady, a poza tym nie ma co robić w stolicy, chociaż przecież to sen! On nie może o tym zapominać i wtedy się obudzi. On musi się obudzić!

– Ha! – nocny gość postąpił krok naprzód – Unarze Ockdellu, jak pan wita swojego kapitana? Armona?! Co za bzdura... A może nie bzdura, a głupi żart, i wiadomo, czyj.

– Skończcie z tym cyrkiem! – warknął Richard – Ile wam zapłacił książę Pridd za to przedstawienie?

– Ha! – przybyły tupnął butem z białą cholewką – Ja służę Jej. Zapamiętaj to, unarze Ockdellu. Jej i nikomu innemu.

Gruby kapitan ruszył w kierunku kominka, jego kroki były dziwnie powolne, jakby brodził po błocie.

– Nie jesteś Aramoną – wytchnął Richard w zbliżającą się, do odrazy znajomą paszczę i urwał, bo wcześniej gęba Świna była purpurowa i raziło od niego winem, czosnkowymi kiełbaskami i potem. Teraz w powietrzu wisiał zapach wędnących lilii i słodkiej zgnilizny, a skóra kapitana Laik stała się biała i porowata jak twaróg.

– Jesteś moim unarem – przenikliwie powiedział Świn, biorąc Richarda za ramię – Ale ja już za ciebie nie odpowiadam. Nie jesteś mi potrzebny. Ona na ciebie nie czeka, ty masz swojego pana. Ona mówi, że między wami jest krew i przysięga. Twoja przysięga i twoja krew...

– Jesteś snem – Richard sam nie wiedział: krzyczy czy szepcze – Snem, przepadnij... Niech cztery skały obronią przed... przed...

– Skały nie wybaczą krzywoprzysięzcy – Arnold Aramona wypuścił Richarda i młodzieniec, ślizgając się na zgniłych deskach, cofnął się w stronę kominka – Ha! Powiedziałem, ty słyszałeś. Ale ty byłeś złym unarem. Nie zrozumiałeś. I nie zapamiętasz.

– Zabieraj się stąd. „Stwórco wszelkiego istnienia, imieniem twoim i w imię twoje...”

– Ha! – blady grubas niespiesznie odwrócił się i poszedł w stronę ściany między oknami. Zielona mgła mieszała się z księżycowym dymem, otaczając pijaka, który stał się potworem i który nie miał cienia. Aramona szedł powoli, jak kaczka, mlaskały w niewidocznym błocie botforty, powoli, jak morska trawa, kołysały się włosy i pióro na kapeluszu, zapach zgnilizny i kwiatów stawał się nie do zniesienia. Richard krzyknął dziko i wypadł z zamienionej w kryptę komnaty. Gdziekolwiek, byle jak najdalej od koszmarnego i zapachu i rozpadających się w oczach dywanów. Wcisnął się w najdalszy ką, ukryć się, przeczekać...

Nadgniła deska załamała się, Richard złapał się poręczy, zapominając o ranie. Dziki ból przeszył rękę od nadgarstka po bark, Władca Skał nie utrzymał się na nogach i spadł po śliskich, pozieleniałych stopniach.

ROZDZIAŁ 9

HEXBERG I RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 5 dzień Jesiennych Błyskawic

1

Hexberg mało przypominał Felp, a Maragona i Pridda – Urgot, ale wojna pozostaje wojną, a oczekiwanie – oczekiwaniami. Miasto wrzało, ale pełnej jasności nie było. Driksowie mogli zacząć coś podejrzewać w ostatniej chwili i zostawić Hexberg w spokoju, zajmując się sprawami lądowymi. Luigi niespecjalnie orientował się w strategii, ale nawet kirkorella by zauważyła, że sytuacja pozbawionych rezerw Priddy i Południowej Maragony pozostawia wiele do życzenia. Taką samą opinię wyrażał i generał Weizel.

Artylerzysta niemal z rozkoszą opisywał nadchodzące nieszczęścia i pomyłki, a Luigi starannie słuchał, przeklinając łamiące język i zęby nazwy, których nawet wymówić nie sposób, a co dopiero mówić o zapamiętaniu. Więcej i tak nie było nic do roboty, tylko siedzieć i zgadywać,

komu pierwszemu wypadnie spotykać „gości”.

Gdyby Driksen rzuciła wszystkie swoje siły przeciwko Hexbergowi, ulżyłoby to sytuacji armii fok Warzowa w Priddzie, ale miastu i jego obrońcom przysłoby wtedy bardzo ciężko, niezależnie od Almeidy. Weizel w każdym razie nie wątpił, że drikseński feldmarszałek wymierzył w Hexberg.

– Bruno wybierze jedno pełne zwycięstwo tutaj zamiast pół zwycięstwa w Gelbe – perorował artylerzysta – Nerozsądne jest następować, mając na flance wrogą twierdzę i port, do którego wiosną może wrócić flota.

– Bruno to nie człowiek, a żarna – wtrącił fok Tanner, który wpadł na szklaneczkę grogu – Feldmarszałek mieli powoli, ale na pewno. Zatakuje tylko wtedy, jeśli będzie pewny sukcesu.

– Hexberg wart jest ryzyka – nie zgodził się Weizel – W razie powodzenia wróg pozbawia nas pomocy od morza, dostaje do swojego użytku składy zaopatrzenia, broni i kupieckie i zmusza Almeidę do powrotu jeśli nie Marikjarę, to w Sen’io. Miasto stanie się punktem wyjścia do dalszego następowania w głąb Priddy, które zacznie się wiosną. Będziemy zamknięci między zbuntowanymi prowincjami i Drikseńczykami, wymęczeni trudnym zimowaniem, pozbawieni rezerw...

– Drogi małżonku mojej najdroższej cioteczki – siedzący przy kominku Valdez zdjął pierścień ze szmaragdem i uniósł do oczu – zapomniał pan o dwóch drobiazgach. Hexberg *jeszcze* nie został wzięty, a flota *już* wróciła. Chyba się pan zgodzi, że to trochę zmienia barwy namalowanego przez pana obrazu. Poza tym nie wolno zapominać o tak wielkim umyśle, jak Pfeichteier...

– A kto to? – wtrącił się do rozmowy Luigi, po napiętym portowym dniu rozkoszujący się ciepłem, grogiem i mądrą rozmową.

– O – przewrócił oczami Valdez – Pfeichteier – wspaniały człowiek. Był drikseńskim feldmarszałkiem i napisał najważniejszą pracę o strategii i taktyce. Wszyscy szanujący się dowódcy walczą zgodnie z zasadami Pfeichteiera, w konsekwencji czego przegrywają z dowódcami nie szanującymi się, co widział pan w Felpie.

– Nie ma pan racji, Rotgerze – Kurt Weizel starannie odsunął szkic, nad którym czarował przed przyjściem fok Tannera – Praca Pfeichteiera uporządkowała wojskową myśl i złączyła w jedno całe zdobyte doświadczenie. Jego uczniowie osiągnęli poważne sukcesy.

– Które się skończyły – podchwycił Kenallijczyk – kiedy owi oświeceni panowie natknęli się na Rudolfa Neumarinena. Za to teraz traktat Pfeichteiera zastępuje całą armię szpiegów. Wiemy, co będą robić „gęsi”, trzeba tylko je policzyć i otworzyć książeczkę na odpowiedniej stronie.

– Mimo wszystko przewagi liczebnej i taktycznej nikt *jeszcze* nie znosił – Weizel zebrał rysiki i włożył do specjalnego futerału – Owszem, jeśli Bruno w zgodzie z rekomendacjami Pfeichteiera i zebranymi przez swoich szpiegów danymi postanowi zająć Hexberg uderzeniem od morza przy minimalnej pomocy ze strony Herbstland, nasza sytuacja się polepszy, ale co będziecie robić, jeśli rzuci na nas wszystkie będące w jego dyspozycji wojska? Albo zwątpi w nieobecność Almeidy i zrezygnuje ze szturmu na korzyść ataku w Gelbe?

– Ja – Valdez ściągnął brwi i wysunął do przodu szczękę – nic nie będę robił. Jestem prostym żołnierzem i moim obowiązkiem jest czekać na rozkazy od moich naczelników.

– Rotger! – huknął artylerzysta – Pańska błazenada przekracza wszelkie granice!

– Jeszcze nie wszystkie – wiceadmirał odchylił się na oparcie fotela i założył ręce za głowę – Ideał nie ma granic.

– Panie Weizel – wrócił do podpełzającej wojny fok Tanner – niedawno pan twierdził, że Bruno z całą swoją potęgą runie na Hexberg.

– To bardzo wiarygodne – z godnością powiedział artylerzysta – w przeciwnym razie marszałek fok Warzow już wyjechałby do Gelbe i, co prawdopodobne, ja razem z nim.

– Z Hexbergu do Gelbe cztery dni cwałem – ziewnął Valdez – Jeśli Rudolf Neumarinen zacznie padać, zdążycie go uratować.

– Owszem – zgodził się Weizel – ale...

– O co chodzi, Udo? – Luigi skinął Varottiemu, z którym rozstał się mniej niż godzinę temu – Coś na „Rekinie”?

– Panie kapitanie – zawadiacko trzasnął obcasami tenent – kapitan Rangoni zawiózł pana marszałka do Szt... Stesz... Szt...

– Do Sternsteinen? – bez zająknięcia powiedział Luigi i sam osłupiał od swojego wyczynu.

– Tam! – ucieszył się Ugo – Szybko. Proszą pana. I pańskiego gospodarza. I jeszcze pana

Tanerri i pana Wezelli...

– Wezelli! – zachwycił się Valdez – Rozkoszne! Wujaszku, za pańskim pozwoleniem, będę teraz nazywał pana właśnie tak.

– Twoja lekkomyślność, Rotgerze, czasem staje się nieprzyzwoita – przypieczętował Berger – Oczekujemy wojny, przyszła wiadomość, na tyle ważna, że marszałek fok Warzow osobiście pofatygował się do admirała Almeidy. Wyraźnie widać, że...

– Że nic nie widać – puścił oko Kenallijczyk – A jeśli tak, stawiam cztery do jednego, że Bruno jednak przeszedł granicę. Tanerri, przyjmuje pan?

– Jeden do dwóch może być – melancholijnie odezwał się dowódca garnizonu – Dwa do jednego, że goście idą do nas!

– Przegra pan – mruknął wiceadmirał – Hexbergowi, zgodnie z wysoką „gęsią” opinią, wystarczą i odebrane kupcom łajby.

– No to przegram – machnął ręką Tanner – Najpierw ja, potem Bruno. Lepiej tak niż na odwrót.

2

Reginald poważnie zmizerniał i wyraźnie był wystraszony. Jeśli wicehrabia dalej będzie tak patrzył, z pewnością obudzi czyjeś podejrzenia. Trzeba uczyć się kłamać. Jeśli tę naukę przyswoił sobie Inochodziec Epineix, to Larack też może. Rober ceremonialnie uklonił się blademu grubasowi i umyślnie głośno powiedział:

– Dzień dobry, wicehrabio. Cieszę się, że pana widzę, ale chciałbym porozmawiać z księciem Ockdellem.

– Richard źle się czuje – nerwowo powiedział Reginald – Leży w łóżku, ale ucieszy się z pańskiej wizyty.

W łóżku?! Rober mógłby przysiąc, że dureń skacze na całego, udowadniając wszystkim naraz i każdemu z osobna, że dostało mu się mniej niż Priddowi.

– Czyżby rana okazała się aż tak poważna?

– Nie – wicehrabia znacząco spojrział na stojącego jak słup służącego w imponującej liberii – Ale kuzyn źle spędził noc. Bardzo źle. Proszę za mną, zaprowadzę pana do niego.

– Chętnie – zapewnił Rober, wyglądając mankiety. Szkarłatny kaftan ze złotą lamówką był odrażająco, nieprzyzwoicie jaskrawy, ale Władca Błyskawic musi prosić o rękę siostry Władcy Skał zgodnie ze wszystkimi zasadami, nieważne, jak głupie one są.

Nał ceremonialnie przepuścił gościa przed sobą. Na schodach krzatali się tapicerze i snycerze, zamieniając błękit na złoto. Dobrze, że Iris została u kuzynki, inaczej nie obeszłoby się bez awantury. Na pierwszym piętze Reginald skręcił na prawo. Czyli Dickon przeniósł się z gabinetu do innych pokoi, i słusznie! Wicehrabia Lar zatrzymał się przed masywnymi drzwiami ze srebrnym okuciem, na którym splatały się misternie wyrzeźbione gałęzie, i zapukał.

– Kto tam? – głos, który zadał to pytanie, był jednocześnie arogancki i usłużny.

– Księżę Epineix chce się widzieć z księciem Ockdellem.

Coś brzęknęło i przed Roberem pojawiła się gęba, pamiętna jeszcze z awantury z zakładnikami. Wtedy gęba wiła się dookoła Loura, a teraz przepelzła do Dicka, a ten się cieszy.

– Dziękuję, Jeremy – zasapał Reginald. I niepotrzebnie, bo Jeremy to lokaj nie z zawodu, a z charakteru. Takim się nie dziękuje i już tym bardziej takim się nie wierzy. Zresztą w Agarisie ten przystojniak uszedłby za potomka jakiegoś Cavendisha. No a Cavendish spokojnie mógł urodzić się lokajem, jakie tam mógł – urodził się.

– Proszę, panie – łajdak w liberii wręcz promieniował szacunkiem – Monsignore czeka.

Monsignore leżał na szerokiej kanapie i zdecydowanie nie wyglądał dworsko. Do gorączkowego rumieńca i zabandażowanej ręki dołączyła spora ilość siniaków, doskonale widocznych nie bacząc na przewidująco zaciągnięte zasłony. Rzeczywiście, jak się nie wie, to się nie wie. Policzek od Iris, rana od Ośmiornicy, a teraz jeszcze siniaki.

– Widzę, że dziwi pana mój wygląd? – zaczął Richard, próbując przywołać na twarz uśmiech.

– Dziwi – szczerze przyznał Rober – Ale od kiedy jesteśmy na „pan”? I skoro już zacząłeś, to co się z tobą stało?

– Nie uwierzysz – Richard zaśmiał się bardzo głośno – spadłem ze schodów. Robotnik idiota

zostawił narzędzia, a lampa zgasła. Nie zauważyłem, pośliznąłem się... Przejść dwie wojny i omal nie złamać karku we własnym domu! Co za głupota!

– Z gorączką trzeba leżeć, a nie biegać po schodach, co, zadzwonić nie mogłeś?

– Sznur przegnił – skrzywił się Dickon – Kenallijczycy uciekli, dom stał pusty, to co się dziwić?

Czyli winny jest sznur i gapa z narzędziami. Może tak, ale trudno w to uwierzyć.

– Wiesz, ja bym na twoim miejscu leżał. Przynajmniej do przyjazdu Matyldy, potem nikt ci nie da chorować. A właśnie, Pridd raczej nie wstanie wcześniej niż przed koronacją – a jeśli nawet wstanie, to Richard Ockdell niekoniecznie musi o tym wiedzieć – Ma gorączkę wyższą niż ty.

– Tak? – przeciągnął Richard – Muszę przyznać, że nie jestem zdziwiony, Ośmiornicy nieźle się dostało.

– Owszem – kiwnął Inochodziec – ale nie powinieneś zapominać o zasłonie i nauczyć walczyć lewą ręką. Na wszelki wypadek.

– Zacznę ćwiczyć już jutro – zapewnił młody kogucik – moja rozmowa z Walentynem nie została zakończona.

– Została, przynajmniej do końca wojny – a jeszcze lepiej, gdyby na zawsze, ale to już jak się powiedzie – Jego wysokość podpisał edykt, zabraniający eorom likwidować eorów. Musisz to ścierpieć.

– Stwory Zmierchu! – błysnął oczami Dickon. Dobrze, że parszywiec jest zakochany w suzerenie, inaczej nie obeszłoby się bez buntu. Ale i tak lepiej będzie, jeśli on i Walentyn się nie spotkają.

– Co jeszcze prosił przekazać jego wysokość? – ponurym głosem zainteresował się Dickon. Oto ono! No, leie Astrape, naprzód.

– Jego wysokość zaaprobował moją decyzję poprosić o rękę panny Ockdell i wyraził nadzieję, że Władca Skał powierzy swoją siostrę Władcy Błyskawic.

– Kogo? - ponurość odleciała jak przestraszony wróbel. Na Robera wytrzeszczał oczy nie doświadczony życiem pojedynekowicz, a osłupiały chłopiec – Chcesz ożenić się z Deirdre?! Ale przecież jej nie znasz.

– Młodsza siostra nie może wyjść za mąż wcześniej niż starsza. Proszę o rękę Iris.

– Iris?! – na policzkach Dicka zagrał niedobry rumieniec – Ta... Ta... wściekła kocica. Niech idzie do klasztoru, to najlepsze dla niej miejsce!

– Czyli nie wyrażasz swojej zgody?

– Nie! – Richard wziął głęboki oddech i wyjaśnił – Jesteś moim przyjacielem, chcę, żebyś był szczęśliwy. Iris nie jest tą żoną, która jest ci potrzebna. I nie jest żoną, która jest potrzebna Władcy Błyskawic.

– A moja kuzynka uważa, że będziemy razem szczęśliwi – Rober rzucił bój ostatnie rezerwy – Szczerze mówiąc, to właśnie ona poradziła mi...

– Katari?! – spiął się Dick – Nie może być!

– Nie wierzysz mi? – zakochany nie stanie przed swoją królową z siniakami, godnymi pobitego woźnicy, czyli można kłamać dalej – Cóż, na pojedynek z powodu rany i edyktu nie mogę cię wyzwąć, tak że trzeba udowodnić swoją szczerłość w inny sposób. Zapytaj kuzynki, ona ci powie, jak Iris Ockdell bronila jej przed Manrikami i poszła z nią do Bagerlee. Katarina uwielbia twoją siostrę.

– Czyli – drewnianym głosem powiedział Richard – jej wysokość chce, żeby ten ślub doszedł do skutku?

– Tak – potwierdził Rober i zupełnie szczerze dodał: – Tak samo jak jego wysokość, który bardzo troszczy się o los dzieci Egmonta Ockdella, chociaż najbardziej niepokoi się o syna.

Richard zamyślił się, zagryzając wargę i ściągając brwi. Właśnie tak patrzył Egmont, kiedy dowiedział się o renkwahskiej przerwie. Dick też musi wybrać. Między obrazą i miłością. Rober Epineix miał ogromną nadzieję, że wygra miłość. Dick potarł nasadę nosa i uśmiechnął się:

– Zgadzam się. Przekaż jej wysokości, że błogosławię to małżeństwo...

regulaminem fraza w ustach Ramona Almeidy zabrzmiała nieoczekiwanie ciepło – Jeśli dobrze zrozumiałem, otrzymał pan wieści od regenta?

– Nie myli się pan – Wolfgang fok Warzow usiadł po prawej stronie admirała, stawiając stary biuwar wprost na rozłożoną mapę. Płonęły lampy, mdło migotało srebro, na ścianie rozciągała wieczną falę legendarna „Cammorista”, a za burtą wzdychało Morze Ostrygowe – nabierał siły odpływ.

Marszałek Zachodu milczał, Almeida też. W Marikjarczyku nie było nawet śladu śmiertelnie niebezpiecznej subtelności, którą promieniował Alva. Zwycięzca „Imperatrix” był wysoki, szeroki w ramionach i spokojny. Nie pytał, a czekał, położywszy czteropalczystą dłoń na wiśniowym aksamicie.

– Panie admirale – głucho powiedział Wolfgang fok Warzow – proszę odesłać na chwilę swoich ludzi.

– Sebastien, Julio, Filipp – równym głosem polecił Almeida – proszę wyjść. Berto, ciebie to też dotyczy.

Dwóch wiceadmirałów, komandor i tenent wstali, ukłonili się, wyszli. Skoczyły do sufitu i zniknęły cztery cienie, skrzypnęły zawiasy drzwi.

– Panowie – zaczął marszałek – muszę natychmiast wyjechać do powierzonej mi armii. Generał Weizel jedzie ze mną. Przyczyną mojego wyjazdu jest list od księcia Neumarinena. Nowości, które ów list zawiera, są bardzo nieprzyjemne.

Rotger Valdez upuścił chustkę, podniósł, nic nie mówiąc, wsunął do kieszeni. Kpiąca twarz stała się twarda i obca.

I tak zaczynają się wojny. Od złych wieści i długich rozmów.

– Drikseńcyzy wzięli Agmaren? – nie wytrzymał Weizel – W Kadanie pojawiła się armia Gaunau?

– Kurt, sam pan w to nie wierzy – fok Warzow przesunął cyrkiel, potem dotknął naczynka z piaskiem – Alva jest w Bagerlee.

– Co? – twarz artylerzysty skamieniała – Niemożliwe!

– Jest ranny? – wychylił się w przód Rangoni – Oczywiście, musi być ranny!

– Zdrajcy – twardo powiedział Almeida – Kto?

– Nie zdradzono go – głos fok Warzowa był równy i martwy – Pierwszy Marszałek Taligu poddał się sam. Jeśli to, co zrobił, można tak nazwać.

– Co on zrobił? – zapytał Rotger. On znał Alvę gorzej niż Weizel, gorzej niż Almeida, gorzej niż fok Warzow, on mógł pytać.

– Och, zaledwie wyrąbał sobie drogę do szafotu przez pułk łajdaków i złapał Rakana za słowo. Ten, jak pamiętacie, oznajmił, że wypuści zakładników i odwoła egzekucję Ferdynanda, jeśli zostanie mu wydany Pierwszy Marszałek Taligu.

– Stwory Zmierzchu! – Weizel wstał ciężko, być może pierwszy raz w życiu zapominając o subordynacji – On zwariował, on w końcu zwariował!

– Nie – pochmurnie rzucił fok Warzow – Roke Alva nie zwariował. On dotrzymał przysięgi. Pierwszy Marszałek Taligu musi ratować króla. Za wszelką cenę.

– Ale przecież nie za taką! – rozwścieczył się Almeida – Bez Ferdynanda nikt nie zdechnie, a bez Rosio my...

– Zrobimy to, co nam rozkazano – uciał fok Warzow – Znam księcia Alvę. Gdyby było inne wyjście, on by je znalazł.

– Co postanowił Rudolf? – Weizel wychylił się w przód, na czarnym suknie munduru bieleł samotny włos – Bo przecież coś postanowił?

– Regent – marszałek Zachodu wyciągnął z biuwara złożoną kartkę papieru i położył na niej dłoń – proponuje wziąć pod uwagę nowe okoliczności i gotować się do odbicia ataku na Hexberg i Maragonę. Przełęcz bierze na siebie Bergmark. Generale fok Tanner, od dzisiejszego dnia odpowiada pan osobiście za Hexberg.

– Jeśli dobrze rozumiem – artylerzysta wciąż jeszcze stał, patrząc na fok Warzowa z góry na dół – proponujemy Rakanowi ultimatum? Albo on wydaje nam księcia Alvę, albo nasze armaty wysyłają go w Zmierzch!

– Jest pan gotów strzelać w Ollarię? – Wolfgang fok Warzow spojrzał artylerzyście prosto w twarz – Dobrze pana zrozumiałem?

– Przygotować pozycje nie znaczy wystrzelić – odgryzł się generał – Rakan musi zrozumieć, że rozniesiemy go na strzepy, kim by się nie przykrywał... Być może... Być może przyjdzie zrujnować przedmieścia.

– Kto jeszcze tak myśli?

– Ja – podniósł rękę fok Tanner – Postępek Alvy czyni mu honor jako poddanemu, ale nie jako dowódcy. Niemniej jednak nie możemy zostawić wszystkiego tak, jak jest. Alva musi wrócić do armii. Za wszelką cenę. Jeśli się uda, razem z Ferdynandem, jeśli nie – samego.

– Panie Weizel – marszałek Zachodu wciąż jeszcze patrzył na Bergera – Pan i tak już stoi, czy mógłby pan nalać mi wody?

Artylerzysta posłusznie wziął dzban. Poruszał się jak we śnie. Do pełnego szczęścia brakuje tylko srokatej kobyły i koszmarniej dziewczynki, chociaż koszmar – a oto i on... Alva nie może przegrać. Alva się poddaje. Komu i po co?!

– Dziękuję panu – fok Warzow przyjął srebrny kubek, upił, odstawił, rozłożył list – Kapitanie Gildi, czy może pan to przeczytać na głos?

Wyraźne, bez jednego przekreślenia wersy, prosty, krótki podpis, pieczęć z lecącym krukiem. Przeciw wiatru czy przeciw losowi?

„Ja, Pierwszy Marszałek Taligu Roke książę Alva, na czas swojej wymuszonej nieobecności przekazuję wszystkie podporządkowane mi siły marszałkowi Zachodu Wolfgangowi hrabiemu fok Warzow, który od tego momentu aż do mojego powrotu będzie wypełniał moje obowiązki i otrzymuje wszystkie moje pełnomocnictwa, za wyjątkiem decydowania o losie schwytanych przez wrogów Taliga zakładników i jeńców, kim by oni nie byli i jaką cenność by nie przedstawiali.

Każde pertraktacje o wydaniu zakładników i jeńców w odpowiedzi na takie lub inne ustępstwa z naszej strony są zdradą stanu i karane będą śmiercią przez rozstrzelanie...”

– On już o wszystkim zdecydował, kiedy to pisał! – Almeida walnął pięścią w stół – Zdecydował, niech go Leworęki porwie! A sam?! Sam co zrobił?!

– Podał się – przypomniał fok Tanner.

– Ratując zakładników! – huknął Marikjarczyk – On może, a my nie?! Panie Warzow, niech pan spali te androny i idzie na Ollarię. „Gęsiami” zajmę się ja i Tanner.

– Alva nigdy nie wypełniał rozkazów – na czole Weizela pojawił się pot – nigdy! I miał rację! Wolfgang, Driksen poczeka!

– Nie „poczeka”, a czeka, kiedy oczyścimy im drogę – fok Warzow delikatnie schował list do biuwaru – Weizel, zna pan Maragonę nie gorzej ode mnie. Wziąć ją od strony Driksen niełatwo, ale wziąć ją ze Starej Priddy udało się tylko Alonso.

– Mógł Alonso, może i Roke – rzucił Tanner – Zgadza się z Weizelem i z admirałem, zgnieciemy Rakana i wrócimy. „Gęsi” dostaną za swoje.

– Bez wątpienia – Warzow uderzył dłońmi w stół i wstał – Kapitanie Gildi, kapitanie Rangoni, proszę o okazanie pomocy pozostającym w Hexbergu.

– Naturalnie – skinął Giuseppe – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

– „Zakochany rekin” jest do waszej dyspozycji – każdy powinien robić to, co potrafi. Z kapitana Gildi więcej pożytku niż z kawalerzysty Gildi, nieważne, jak bardzo chce się popędzić do Ollarii.

– Panowie – Weizel wyglądał jak tylko co uratowany od pętli – mam nadzieję, że rozumiecie, iż niepowodzenie w Hexbergu spuści powietrze i z Rakana, i z Bruno. Wolfgang, nie mógłby pan naszkicować pozostającym ogólnego zarysu kampanii?

– Armia porzuci Gelbe i odejdzie do Donnerwaldu – Warzow tknął piórem w mapę – skąd w tajemnicy skręci na Lottenburg, gdzie się zatrzyma, dopóki ariergarda lub, jeśli chcecie, awangarda, będzie iść do Akony.

– Kto dowodzi ariergardą – rzeczowo zapytał Almeida – i ilu ma ludzi?

– Germon Arigau – ręka marszałka narysowała kilka strzałek – Ma pięć tysięcy Neumarów i „fulgatów”.

– Doskonała lekka kawaleria – wyjaśnił fok Tanner, przechwyciwszy spojrzenie Gildi – Ale to za mało. Przy całym moim szacunku dla generała Arigau, z takimi siłami nie da on rady szturmować stolicy...

– Bo on jej szturmować nie będzie – rzucił marszałek Zachodu – Jak tylko Bruno przekroczy Herbste w jej średnim biegu, ariergarda zawróci i ruszy do Derring, gdzie otrzyma nowe rozkazy.

– Nie może pan tego zrobić – Kurt Weizel wydawał się zagubiony: potworny widok! – Nie może!

– To rozkaz, generale Weizel – upomniał marszałek – Mój, regenta i Alvy. I będzie wypełniony, nie ważne, czy pan się zgodzi czy nie. Markizie Almeida, pańskie słowo. Pozostaje pan na służbie Taligu?²⁵

– Zostaję – Almeida zamknął oczy i odchylił się na oparcie fotela, za jego plecami przepowiadała powodzenie nieruchoma „Cammorista”.

„Cammorista”, „Imperatrix”, tenent Reuben Arrojado... Czy Luigi Gildi mógłby zostawić Mucio w urgockim więzieniu i zająć się Bordończykami? Czy admirał Mucio mógłby rzucić Luigiego Gildi?

Fok Warzow pochylał się nad mapą, Weizel i Tanner poszli za jego przykładem. I wszystko. Nikt nigdzie nie pójdzie, a postanowił tak nie regent, nie Warzow, a Kruk. Tej samej nocy, kiedy mówił o zaroślach granatów i zielonej alvaseckiej wodzie.

– Wolfgang – naruszył ciszę Weizel – Gdyby miał pan syna, postąpiłby pan inaczej.

– Nie mam syna – marszałek Zachodu popatrzył artylerzyście w oczy – Nie mam *innego* syna. Panowie, jeśli macie pytania do mnie lub do generała Weizela, postaramy się na nie odpowiedzieć. Jeśli nie – pożegnamy się, dziewiątego mam zamiar być w Gelbe.

CZĘŚĆ III

„SPRAWIEDLIWOŚĆ”¹

ROZDZIAŁ 1

RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 5 dzień Jesiennych Błyskawic

1

Iris jak wicher przebiegła obok duenii, złapała podbity futerkiem wydry płaszcz, jedwabne pantofelki i szkatułkę z lusterkiem i z impetem usiadła na kozetce obok naręcza sukien, które przebierała Luiza. Pomogła. Pani Aramona niewzruszenie włożyła do kufra atlasową spodnią spódnicę, która powinna wprawić księżną wdowę Ockdell w przerażenie, i odwróciła się do wychowanki.

– Iris, nie mamy wiele czasu na pakowanie. Wicehrabia Lar z eskortą przybędzie w południe, a pani jeszcze nie jest uczesana.

– Selina mnie uczesze – uspokoiła przyszła Władczyni Błyskawic – Ona szybko to robi.

– Selina też potrzebuje czasu – ucięła Luiza – Ma pani zbyt dużo włosów, Iris, i to włosów nieposłusznych.

– Może po prostu je zapleść? – dziewczyna z wahaniem szarpnęła wyswobodzone pasemko – W warkocz? Kiedy jechałam tutaj, zaplatałam sama.

No pewnie, przecież Goks, który cię tu przywłókł, był sierżantem, a nie fryzjerem.

– W drodze rzeczywiście można nosić proste fryzury, ale teraz będzie pani musiała pożegnać się najpierw z jej wysokością, a potem z narzeczonym – Luiza wyciągnęła z naręcza oburzająco niebieską suknię z czarną lamówką i zdecydowanie odłożyła na bok – tak że żadnych warkoczy. Niech Selina zrobi „morską muszlę” z rubinowymi szpilkami. To nie jest trudne, a wygląda doskonale.

– Dobrze – panna uśmiechnęła się wesoło i wyskoczyła z pokoju. Pani Aramona schyliła się, podniosła z podłogi samotny pantofelek, postawiła obok kufra i zamyśliła się. Iris coś knuła, to było widać, ale co?

Gdyby ta miła istota nie była po uszy zakochana w Alvie, Luiza wcale by się nie zdziwiła ani na wieść o przyjętych oświadczeniach, ani na widok rozpromienionych oczu. Rober Epineix był przystojny. Mówiąc szczerze, zbyt przystojny dla panny Ockdell, a jednak wziął i poprosił o jej rękę. I otrzymał, co najdziwniejsze!

Gotująca się ni to do Bagerlee, ni to na szafot męczennica jak za pomocą czarodziejskiej różdżki zamieniła się w jaśniejącą radością narzeczoną. Co się stało, nie wiedziała nawet Selina.

Córka chodziła jak topielica – cierpiała, że przyjaciółka zdradziła niebieskookiego księcia dla brązowookiego. Luiza podejrzewała, że sprawy mają się dokładnie na odwrót i Iris przyszło do głowy coś szalonego, co pomoże jej uwolnić Alwę, pokonać wszystkich wrogów i jeszcze raz stłuc na kwaśne jabłko brata. Jeśli tak rzeczywiście było, to przyjdzie nie spuszczać panny z oka i zrozumieć, dlaczego Iris tak rwie się do Nadoru. Czy czasem nie dlatego, że z Nadoru blisko do Kadany, a na kadańskiej granicy stoi Lionel Savignac, o którym wspomniała Katarina?

1 Wielki Arkan Tarota. Symbolizuje rozwój, poszukiwanie wolności i niezależności, obiektywizm, skłonność ku porządkowi, wskazuje na konieczność starannego rozpatrzenia wszystkich stron sprawy w celu podjęcia słusznej decyzji. „Sprawiedliwość” - to papiery, umowy, działalność prawna. Karta przypomina o tym, że przy każdym działaniu należy przewidzieć przeciwdziałanie i wskazuje na konieczność zachowania równowagi i braku uprzedzenia, żeby załagodzić zetknięcie lub go uniknąć. W niektórych przypadkach może oznaczać czekający sąd (może to także być konkurs lub zawody). Karta odwrócona – symbol niesprawiedliwego sądu, uprzedzenia w ocenie, osądzenia na podstawie fałszywego oskarżenia, niedokładności, dysharmonii. Zostaną udzielone nieprzyjemne lekcje, należy pogodzić się z nieuchronnością. Karta obiecuje złość, obrazę, zetknięcie z niesprawiedliwością, ciężary sądowe; może wskazywać na niestabilność charakteru, niekompetencję, urazę, uprzedzenia, nieadekwatność samowyróżnienia.

Owszem, jasnowłosa marszałek wie o wszystkim albo niedługo się dowie i bez panny Ockdell. Bardzo prawdopodobne, że „narzeczona księcia Epineixa” nie dojedzie do Nadoru, a trafi w objęcia znajomego sierżanta. Wtedy... wtedy Luiza Aramona wyśle dziewczęta do Bergmarku, a sama uczepi się armii. Choćby jako markietanka, choćby piechotą, ale żeby dojść Ollarii! Żeby na własne oczy zobaczyć, jak obecnych władców topią w Danarze. I złapać odważnego Goksa za rękaw, jeśli topić będą nie tych.

Była i trzecia przyczyna, którą wdowa po kapitanie Laik będzie nieść za pazuchą do samego Zmierzchu. Luiza Aramona nigdy nikomu nic nie powie, ale musi zobaczyć Roke Alwę żywego i zdrowego. Albo wepchnąć potomstwo w objęcia szczęścia i z poczuciem wypełnionego obowiązku zdechnąć na mogile Kenallijczyka.

Kapitanowa z hukiem zatrzasnęła ostatni kufer, wezwała służących, kazała zanieść go do karety i zajęła się sobą. W tym sensie, że przypudrowała twarz i poprawiła włosy. Zdążyła w samą porę: w drzwiach zaszeleściło i Odetta Matthews oznajmiła, że „pani Ollar oczekuje księżnej Ockdell i jej dam”.

– Księżna zaraz zejdzie – czyżby to było ostatni raz? Błady pyszczek Katariny, chryzantemy i lilie w nuchuckich wazach, zamarznęte posągi pod oknami? Rzeczywiście, w pałacach się nie cieszy i nawet nie żyje, a łapie za brzytwy, żeby nie zaciągnęło w głębinę.

Pani Matthews, głośno sapiąc, wyszła. Luiza dotknęła przysłanej przez Aldo szpalery z tańczącymi różowymi ptakami, pewnie wyniesionej z domu jakiegoś Manrika, i poszła po podopieczną. Selina nie zawiodła. Główkę Iris ozdabiała całkiem przyzwoita fryzura, rubinowe gwiazdeczki błyszcząły tam, gdzie powinny, jakoby „zapomniani” samotny lok był nie dłuższy i nie krótszy niż należało. Za to własne kędziory córka ściągnęła tak, jakby wybierała się do kąpieli albo do klasztoru.

– Brawo, Selino – o bzdurnej fryzurze i innych głupotach ona powie później – bardzo dobrze. Iris, widzisz teraz, że powinnaś nosić właśnie „muszlę”?

– Widzę – panna Ockdell zerwała się – Wszystko gotowe? Jedziemy?

– Najpierw idziemy – nie wytrzymała Luiza – Iris, pani zbyt otwarcie wyraża swoją radość.

– Kocham Robera – zadarła podbródek szczęśliwa narzeczona – a on kocha mnie. Od pierwszego spojrzenia. Nasze rodziny zawsze walczyły za wielką Taligoję i sprawę Rakanów. My powinniśmy być razem.

– Bez wątpienia – Luiza wygładziła pasowe wstążki na sukni dziedziczki świętego Alana – ale zbyt gwałtowna zmiana nastroju u młodej dziewczyny to oznaka złych manier.

– Naprawdę? Nie pomyślałam – Iri uczciwie spuściła wzrok, ale kąciki ust zdradziecko wyginały się w górę. Była podekscytowana i zadowolona. W odróżnieniu od pani Ollar.

Była wysokość pólleżała w fotelu. Naturalnie plecami do okna. Katarina nadal nie zdjęła czarnej ollariańskiej żałoby, zamieniającej matkę na razie jeszcze trojga dzieci w wieczernego ciemnoskrzydłego motyla, kruchego i delikatnego. Dłonie ze szczupłymi palcami przebierają różaniec, rękawy podwinięte, na szczupłym nadgarstku widoczna zareczynowa bransoleta. Pani Ollar szesnaście razy mogła uwolnić się i do bransolety, i od Ferdynanda, ale się nie uwolniła. Dlaczego?

– Iris, usiądź – Katari wskazała obitą różowym jedwabiem pufę, której Luiza jeszcze nie widziała. Iris przysiadła, przypominając gotowego natychmiast odfrunąć dzięcioła. Królowa zostawiła różaniec i złożyła dłonie na kolanach. Otoczone szarymi cieniami oczy, alabastrowa skóra, popielate loczki na wysokim czole... „Paońska wieża” to skomplikowana fryzura, bardzo skomplikowana, szczególnie dla obalonej, chorej i nieszczęśliwej.

– Iri, moja droga – małżonka Ferdynanda Ollara uśmiechała się, a miało się wrażenie, że płacze – mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa z moim kuzynem, a on z tobą. Jeśli ktoś zasługuje na szczęście na tym świecie, to ty i Rober, ale chcę cię poprosić o coś innego. Zlituj się nad swoją matką. Zrozum i zlituj się.

Iri milczała, tylko ściągnęła brwi. Zbyt gęste i szerokie. Teraz nie do nich, ale wyskubać zbędne włoski trzeba będzie prędzej czy później.

– Moje dziecko, słyszysz mnie? – Katarina rozciągnęła wargi w męczeńskim uśmiechu, przycisnęła do ust chustkę, słodko i natrętnie zapachniało hiacyntami. Co za lisiczka! Zostawić męża na pewną śmierć w stolicy i dochowywać mu wierności – nie każdy tak potrafi!

Błada łapka dotknęła popielatych włosów.

– Nawet jeśli mateczka będzie wobec ciebie niesprawiedliwa, jeśli twoje serce zbuntuje się przeciwko jej słowom, nie pozwalaj urazie wyrwać się na swobodę. Księżna Mirabella tak długo cierpiała... Kiedy człowiek czuje ból, to często zadaje go innym, ale jego winy w tym nie ma.

A właśnie że jest! My sami tworzymy swoje nieszczęścia i dlaczego niby po moich kurach powinien sprzątać ktoś inny? Ach, Mirabella jest nieszczęśliwa – a inni to niby szczęśliwi? Choćby Jennifer Rocksley albo Katari, a niech ją koty. Tylko że jedni rzucają się na ludzi, a drudzy płaczą i modlą się albo milczą i się uśmiechają. Mało to komu męża zabito, każdemu może się przytrafić, ale dzieci, uciekające z domu – to już wyrok.

– Wasza wysokość, nie będę się sprzeciwiać mateczce – wydusiła z siebie Iris – To grzech, a ja Czczę i Oczekuję.

Święta Oktawio, i kiedyż ona nauczyła się kłamać? A może ktoś ją nauczył, ale kto? Przecież nie Epineix.

– Teraz jestem spokojna – Katarina odchyliła się na poduszki, blada ręka sięgnęła do zapiętego na głucho kołnierza – Będzie mi cię brakowało. I pani, pani Aramona. I Seliny. Byłabym szczęśliwa, gdybyście zostały ze mną, ale w Nadorze będziecie potrzebne bardziej.

Potrzebne do czego? Łapać za kołnierz Iris albo, wręcz przeciwnie, nie łapać? A jeśli wszystko urządziła Katarina? Przewróciła w głowie Iris, namówiła kuzyna, ale po co? W poprzednich pokojach mądra duenia wiedziałyby wszystko, a w tym okólniku pozostaje tylko szyć, jeść i trzepotać rzesami.

Katarina Arigau odciągnęła białą koronkę od szyjki:

– Pani Aramona, Selino! Proszę, podejdźcie.

Luiza złapała córkę za łokieć i podprowadziła do byłej królowej. Byłej? Ha, Katari ma wielkie szanse odzyskać i męża, i koronę, i kochankę. I niech ją, żeby tylko oni wszyscy ocaleli. Alva, Ferdynand, nawet głupia Matthews, której nie ma za co zabijać i u której lada chwila urodzi się wnuk Rocksley.

– Selino – cierpiętница wzięła z orzechowego stolika szkatułkę – To... Weź jako pamięć o... o dziewczynie z Epineix, która marzyła o miłości i cichym szczęściu. Nigdy ich nie nałożyłam, przyszło mi nosić inne drogocенności. Zupelnie inne. Pani Aramona, dziękuję pani za... za wszystko. I liczę na panią. Pomoże pani Iris?

Pojmuj to jak chcesz, ale kto, oprócz Katari, mógł okiełznać Iris? A poza tym, jeśli wzywać kogoś na pomoc, to starszego Savignaca. Przystojny hrabia ma armię, zna stolicę jak nikt inny, ale nawet Lionelowi są potrzebni sprzymierzeńcy w pałacu, a zdechły hiacynt – to pomocnik, że lepszego nie znajdziesz. Od kota wyprosi ptaszka, a od psa – kota.

– Księżna Ockdell może na mnie liczyć – stanowczo powiedziała Luiza, biorąc z lodowatych rączek jeszcze jeden futerał. Gaifijski, ze skrytką. W futerale leżała kolia, która pasowała Luizie nie bardziej niż trzonkowi miotły, ale szmaragdy można sprzedać, a w szkatułkę schować list, którego nikt nie przeczyta. Oprócz królowej.

– Pani Ollar – Odetta Matthews coraz bardziej przypominała białą mysz, zdziwioną i bardzo odkarmioną – przybyli jego wysokość i książe Epineix. Proszą o pozwolenie wejścia.

– Ten, kto zakrył suzerena swoim ciałem, odchodzi w Świt – Aldo trzasnął Inochodźca po ramieniu – i to odnosi się nie tylko do wojny, ale i do ożenku.

– Sądząc po mojej narzeczonej – zażartował świeżo upieczony narzeczonej – w rodzinie Ockdellów jedno niewiele różni się od drugiego.

– Czyli wszystko w porządku – suzeren odsunął portierę, wpuszczając do salonu zimne słońce – Chyba zmienię swój herb. Zwierz zostanie, ale będzie umieszczony na skrzyżowaniu słonecznych promieni.

Jego wysokość gotował się do uszczęśliwienia całego świata. Nie teraz, a po tym, jak oładnie siłą Rakanów. Rober zetknął się z jaśniejącym błękitnym spojrzeniem i odwrócił wzrok. Aldo zinterpretował to po swojemu.

– Roberze, mógłbyś już przywyknąć do powodzenia. Zapomnij o tych wszystkich Renkwahach i Sagrannach, nie było ich. Nie było i już! O... – suzeren wygiął brew – Chcesz, zrobię cię eksterriorem? A co? Marszałek-eksterrior – to brzmi dumnie! Skoro już uratowałeś mnie przed Mirabellą i obróciłeś w proch gaifijskiego ambasadora, to i Leworękiego ograsz.

– Nie bywa marszałków-eksterriorów – podtrzymał rozmowę Inochodziec. Dziwna rzecz, ale zaufawszy Iris i Reginaldowi, prawie się uspokoił: wszystko zostało zrobione, pozostawało tylko czekać na wieści od Savignaca, nie pozwalać Insmillerowi za bardzo szaleć i od czasu do czasu zachodzić do Kapul-Gizailów. Niby że przed ślubem nie grzech zaszaleć.

– Będą – mruknął suzeren, bębniąc palcami po szkle – Musisz odwiedzić ambasadora Tomasa. Jest chory.

– No i na zdrowie – poczuł współczucie do nieznanego Urgota Inochodziec – Wyzdrowieje – porozmawiamy.

– Nie, ty jednak jesteś marszałkiem – wydał wargi władca Żółtych Ziem – Przebłycki u ciebie bywają, nie przeczę, ale za dużo myślisz o zaopatrzeniu i fok Warzowie.

– Za to ty o nich zupełnie nie myślisz – „Eksterrior, jasne... Eksterriorowie mącą w obcej wodzie, a nie w swojej” – Wciąż jeszcze zamierzasz kapać mieszczan w winie?

– Aleś ty skąpy – Aldo odwrócił się plecami ku zamarzłemu ogródkowi – Dobra, niech ci będzie. Będę częstować swoich poddanych, ale nie w dzień koronacji, a następnego ranka. I nie w całym mieście, a tam, gdzie można ich upilnować. Jak coś pójdzie nie tak, winnym pourydam głowy. Zadowolony?

– O tak, wasza wysokość – szcęknął Epineix umyślnie kaprańskim głosem, rozśmieszając suzerena i nawet siebie – Mówiłeś coś o Urgocie.

– Zamierzam prosić o rękę jednej z córek Tomasa – twarz Aldo znów stała się poważna i skupiona – a pertraktacje trzeba zacząć natychmiast, bo miecz Rakanów ma Tomasa.

– Stwory Zmierzchu! – zaklął Inochodziec, który kolejny raz zapomniał o przeklętym złomie – Skąd wiesz?

– Innej możliwości nie ma. Nie rozumiesz?

– Nie, wyjaśnij.

– Alva pojawił się na misterium w dniu urodzin Eleny Urgockiej w kostiumie eora i z mieczem Rakanów – suzeren od swojej domyślności wpadł w absolutny zachwyt – Kiedy Kruka ujęto, relikwii przy nim nie było, czyli musiał zostawić miecz w odpowiednim miejscu. Gdzie? Do Kenalloa i innych bergmarków nie zajeżdżał, a Tomasa jest jego sprzymierzeńcem. Czyli miecz musi być w Urgotelli. Alva nie może z niego skorzystać, nie jest Rakanem, ale i wypuszczać z rąk takiego skarbu nie będzie.

Teraz rozumiesz, co zrobiłeś, wyciągając mnie z nadorskiej pętli? Córka Tomasa przyniesie nam nie tylko złoto, ale i miecz, a berło będę miał nie dalej jak za cztery dni.

– Junius zgodził się oddać podarunek Ernani Świętego?! – Rober omal nie upadł – Nie może być!

– Może – twarz Aldo przybrała rozmarzony wyraz – to znaczy niezupełnie oddać. Berło zostało przekazane kardynałowi Taligoi tylko na jakiś czas, ale zostanie w Rakanie na zawsze, ale to tajemnica.

– Naturalnie – potwierdził Inochodziec – Myśmy już oszukali Goganów, teraz zamierzamy

okraść Esperadora. Szlachetnie, nie ma co.

– Odzyskać swoje – to nie znaczy ukraść – Aldo poprawił szpadę – Miejmy nadzieję, że damy są gotowe nas przyjąć. Szkoda, że stan zdrowia twojej kuzynki się nie poprawia.

– Lekarz sądzi, że to konsekwencje wstrząsów – siostrę trzeba wyciągnąć z Ollarii, ale dokąd? – Katarinie są potrzebne spokój, spacer i wzmacniające napary.

– Spacer zimą? – prychnął Aldo – Kobiecie, która cały czas marznie?! Lekarzy z ich radami trzeba wieszać.

– Powiedz to Insmillerowi – nie wytrzymał Rober – On będzie zachwycony.

– Wszystko ma swój czas – Aldo znacząco puścił oko – Popraw mankiety, narzeczony.

Rober posłuchał – mankiety rzeczywiście się pomięły. Stuknęli halabardami południowi gimneci w liliowym, zapachniało kwiatami, gdzieś miotnęły się gruba dama i dwie panny – szczupła i ruda. Aldo szybko przeciął zapchaną azaliami poczekalnię i osobiście pchnął białym butem półprzymknięte orzechowe drzwi.

3

– Jak się pani czuje? – królewiatko ustroiło się w biel i złoto, a koszula i pióra na kapeluszu były szkarłatne. Dla Domu Błyskawic, należy przypuszczać.

– Dziękuję, wasza wysokość – wykrztusiła Katarina Arigau – ze mną wszystko dobrze.

– Ale jest pani bardzo blada – Aldo dżentelmeńsko wziął wiszącą jak szmatka łapkę i uniósł do ust – Za bardzo.

– Wasza wysokość – pokręciła głową pani Ollar – kuzyn potwierdzi, że zawsze byłam blada, a w mojej sytuacji rumieniec byłby niestosowny.

A poza tym róż przeskadza w strojeniu z siebie umierającej kozy. Rumiane mężczyźni ciągną do łóżka, bladym całują ręce. Takie życie: łabędziem się zachwycają, kury jedzą, a te, które tego nie rozumieją – to idiotki.

Książę wypuścił bezwonną rączkę i usiadł naprzeciwko Katariny, książę Epineix wolał stać. Wyfiokowany fircyk bardziej wyglądał na narzeczonego niż jego ciemnooki towarzysz, którego wyraźnie coś bolało. Jeśli nie brzuch, to dusza.

– Pani – Rakan poprawił rozkoszny złoty łańcuch – byłbym szczęśliwy, mogąc widywać panią częściej, ale sprawy państwowe zajmują zbyt wiele czasu. Książę Epineix potwierdzi, że Taligoja jest bardziej wymagająca od najbardziej nawet natrętnej kochanki.

– Królowie nie należą do siebie – zgodziła się małżonka Ferdynanda – Tak było i tak będzie.

– Pani upiła z tej czaszy – królewiatko przewróciło błękitnymi oczkami – i pani mnie rozumie, ale nawet królowie mają prawo do radości. Jestem szczęśliwy, że mój przyjaciel i pani kuzyn wybrał na swoją towarzyszkę życia Iris Ockdell. Sojusz wnuka wielkiego Guillaume'a i córki Egmonta zaiste zwiastuje zwycięstwo. Uzurpator i jego zausznicy pozbawili Iris ojca, przyszedłem więc powiedzieć, że w czasie ślubnej ceremonii zastąpię go.

– Miła Iris – Katarina dotknęła zamarłej na swojej pufie figurki w pąsowej sukni – słyszałaś? Jego wysokość okazuje ci ogromny zaszczyt.

Księżna Ockdell, jak przystało wysoko urodzonej pannie, zerwała się i złożyła całkiem znośny ukłon. Nie było już wątpliwości, dziewczynka uwięzła w spisku, inaczej nie przepuściłaby okazji wczepić się w gładką, arogancką gębę. Śmieszne, ale z pięciu sterczących w pokoju bab na widok Rakana straciła głowę tylko głupia Matthews. Pozostałym nie jest on potrzebny nawet jako stajenny. Aldo, a niech go fretka, miłościwie spoglądał na narzeczoną.

– Dziękuję, wasza wysokość! – wypaliła Iri, gapiąc się na wczepionego w turkusowy kwiatek malinowego ptaka z dużym dziobem – Jestem szczęśliwa.

Rakan rozplątał się w uśmiechu, pokazując śnieżnobiałe zęby, i machnął łapą. Jakby przywoływał psa. Iri podbiegła, nie odrywając płonącego spojrzenia od ptako-kwiatnej szpalery. Fircyk w białych spodniach podał narzeczonej rękę, którą należało pocałować. Iris zgięła kolana.

4

Dziewczynka wytrzymała. Nie zakrzyczała, nie uderzyła, nie złapała za sztylet, po prostu gorączkowo westchnęła i dotknęła ustami cudzych palców. Jego wysokość miłościwie pocałował

narzeczoną przyjaciela w czoło. Iri drgnęła, w oczach Aldo błysnęło coś w rodzaju poczucia winy. Suzeren nigdy nie lubił krzywdzić kobiet, dlatego właśnie kłamał.

– Pani – jego wysokość pomógł wstać klęczącej dziewczynie, a ona nawet nie wyszarpnęła ręki – z niecierpliwością czekam na dzień, kiedy złączy pani swoje życie z życiem księcia Epineixa.

A tu mamy prawdę, prostą i czystą jak skorupka jajka. W momencie, kiedy Aldo Rakan podprowadzi Iris Ockdell do narzeczonego, na wieki pozbędzie się bransolety z dzikiem². Czy Mirabella odgadnie tę grę i co zrobi, jeśli odgadnie? Rober nigdy nie widział małżonki Egmonta, ale słyszał o niej dużo, w tym także od samego księcia. Z domu baronowa Carlion, księżna była całą duszą oddana sprawie Rakanów i Domowi Skał. Co prawda w istnienie u Mirabelli tejże duszy znający wdowę Douglas i Udo nie wierzyli.

Cicho westchnęła Katarina; jasnowłosa duenia, która tak pomogła Roberowi w dniu zaręczyn, podała pani flakon z solami trzeźwiącymi. Iris milczała. Teraz patrzyła nie na ścianę, a w podłogę, ale Aldo do tego przywykł.

– Czekaj panią długa droga, moje dziecko – suzeren nie bez przyjemności cmoknął dziewczynę w czoło – Proszę się nie smuć i uważać na siebie. Dla narzeczonego.

– Dziękuję, wasza wysokość – wyraźnie powiedziała Iris. Czy dziewczyna wiedziała, że w dzieciństwie zaręczono ją z Aldo Rakanem?

– Roberze – błysnął zębami jego wysokość – myślę, że możemy nieco odejść od etykiety. Władca Skał wciąż jeszcze jest chory, nie będzie więc takim wielkim grzechem, jeśli narzeczoną podsadzi na konia nie brat, a narzeczoną.

– Ktokolwiek za nami śledzi – zażartował Rober – mam nadzieję, że nas nie wyda.

Aldo chrząknął. Tak sobie czy Pierwszego Marszałka Taligoi obserwuje jakiś Insmiller? No i niech obserwuje! W czym jak w czym, a w zaręczynach księcia Epineixa spisku nie wyczuje nawet Stancler.

Narzeczoną uklonił się wytwornie i podał narzeczonej rękę, za którą ta ochoczo złapała. Panna Ockdell cieszy się na widok narzeczonego, co było do udowodnienia. Rober delikatnie ścisnął gorące paluszki. Zupełnie szczerze. Ona była wojownikiem, ta dziewczynka, i wiedziała, czym jest przyjaźń. Jak i Katari, ale kuzynka była słaba i przestraszona, a Iri rwała się do boju.

– Moja droga sestro – Rober spróbował złapać spojrzenie Katariny, ale ta patrzyła na swoje dłonie – proszę o twoje pozwolenie odprowadzenia Iris do Górskiego Traktu.

– Oczywiście, bracie – kobieta podniosła głowę, była blada jak płótno. Inna poprawiłaby to przy pomocy różu i króliczej łapki, ale w życiu Katariny Ollar nie było miejsca ani na oszukiwanie, ani na nadzieję, ani na miłość – Przedstawiam ci Seline, przyjaciółkę Iris. I jej mateczkę, panią Aramona. Będą towarzyszyć Iris do Nadoru.

Pani Aramona? Krewna wylupiastookiego mentora z Laik? Jak znalazła się przy Katarinie?

– Cieszę się, pani, że zgodziła się pani nam pomóc – dopiero teraz Rober zrozumiał, jak się boi o powierzona mu dziewczynę – Czekaj was trudna droga.

– Iris to doświadczona podróżniczka – uśmiechnęła się Katarina – a droga Luiza już jej towarzyszyła z Nadoru do Ollarii.

– Pojedzie z wami stu dwudziestu jeźdźców i kapitan Levforge. Był drugim tenentem garnizonu Epineix.

– Po co nam ochrona? – szybko zapytała Iris – Teraz każdy żołnierz się liczy, a nam nic nie grozi.

– Jesteśmy mężczyznami, pani – Aldo surowo spojrzał na dziewczynę w czerwieni – a obowiązkiem mężczyzny jest ochrona swoich kobiet. Proszę się o nas nie niepokoić, jesteśmy skazani na zwycięstwo.

Iris westchnęła głośno i spuściła oczy. Wszedł David Rocksley, podał Aldo rozkoszny płaszcz. Suzeren osobiście otulił ramiona Iris, a ona wytrzymała i to. Rober śpiesznie ścisnął łokieć narzeczonej.

– Wasza wysokość, kuzynko, proszę pozwolić, że was opuścimy. Przed nami długa droga.

– I szczęśliwy powrót – obiecał suzeren. Cieszył się i był szczęśliwy, że wszystko się udało, przynajmniej jemu. Cóż, od ślubu można się wywinąć, a spróbuj wywinąć się od losu.

2 Kościół uważa małżeństwa między przybranym ojcem narzeczonej i jej siostrami za kazirodztwo.

5

Książę Epineix podsadził narzeczoną na siodło. Spokojny szary konik machnął srebrzystym ogonem i wdzięcznie przestąpił nogami w białych skarpetkach. Narzeczonego zreżymnie wskoczył na złocistorudego konia, w siodle był wprost nierealnie przystojny. Nie w siodle – też.

– Pani Aramona, czy mogę pomóc pani i pani córce? – Reginald Larack nie grzeszył urodą i Luizie natychmiast zrobiło się go żal.

– Moja córka będzie wdzięczna – pospiesznie powiedziała kapitanowa i gruby syn chudego ojca uroczyście podał rękę Selinie, kurczowo wczepionej w kenallijską szkatułkę.

Wyglądowi córki cierpienia i nerwy nie naniósł uszczerbku. Gdyby Selinę zauważył jakiś szlachetny rycerz, natychmiast padłby do stóp pięknej dziewczycy, ale szlachetni rycerze nie szwendali się po Taligu, a to, co się szwendało, wołało nie do stóp padać, a spódnice zadzierać. Nic dziwnego, że pani Aramona była niewypowiedzianie rada obecności południowców i Reginalda Laracka.

– A teraz pani – Larack nie robił różnicy między urodą i paskudztwem – proszę.

– Och, wicehrabio – westchnęła Luiza, wsiadając do karety – Pan jest tak dobry...

Gdzie jest teraz tenecik, wożący ją po mieście przed ujściem Ferdynanda? Poszedł na północ, zginął czy jest gdzieś tutaj? Dobry był chłopiec, szkoda by było, gdyby coś się z nim stało...

– Wygodnie pani?

– O tak!

Kapitanowa niewzruszenie wygładziła spódnice, starając się nie patrzeć na wciśniętą w kątek córkę. Wicehrabia nie wlaź do karety, a wdrapał się na konia, tak samo smutnego jak hrabia Ivon.

Coś zaśpiewała trąbka, trzasnęły ozdobione błyskawicami drzwiczki, odcinając Luizę od kolejnej przeszłości. Pierwszy ponaglił konia chłopak w czerwieni. Pewnie wspomniany Levforge; za nim ruszył tuzin żołnierzy. Iris, zagryzłszy wargę, obejrzała się... Czyżby nie wiedziała, że to zły znak? Epineix coś powiedział i narzeczonego z narzeczoną koń w koń wyjechali z dziedzińca. Reginald, kołyszając łokciami, potruchtął śladem, potem nadeszła kolej karety.

Masywny powóz z godnością minął najpierw jedno wrota, potem drugie. Kopyta zastukały po moście, błysnęła ciemna woda – można powiedzieć, że wyjechali! Córka Aglai Credon opuściła zasłonki, odcinając się od przenikniętego zimnem miasta. Jesień, rok i Krąg dożywały ostatni miesiąc, w przedzie czekały półmartwy Nador, Zimowy Przełom i nieznane.

Luiza ze złością szarpnęła tasiemki, wyciągając przekłętą robótkę. Paskudztwo, a uspokaja. Że też ją to spotkało, przez ponad czterdzieści lat siedzieć w kurniku, a na starość trafić do psiarni. A wszystko przez to królewiatko, niech je fretka. I Ferdynanda... Chciał dureń słuchać yzargów, no to ma! Razem z całym Taligiem.

Karetą wstrząsnęło, kłębek zielonego jedwabiu spadł na podłogę, potoczył się do nóg córki, ale Selina nie zauważyła. Ogromne oczy patrzyły w zasłoniętą pikowanym atłasem ściankę. Co ona tam widzi? Wychodźce? Królową? Alwę?

– Selino – Luiza postarała się zrobić z siebie mateczkę, wrzeszczącą na służących – podnieś nici.

Córeczka drgnęła, ale podniosła kłębek.

– Proszę – chłodna szmaragdowa kulka stoczyła się w dłoń, kawałeczek lata pośrodku jesieni

– Mamo, ty znów szyjesz?

– Wszywam – uściśliła Luiza – i tobie też radzę. Droga jest długa, a przez okna lepiej nie patrzeć.

– Mamo – wyszeptwała córka – Mamo...

– No, co się stało? – kapitanowa poprawiła szpilki i ziewnęła szeroko – Coś zapomniałaś?

– Mamo – jęknęła Selina – Jak ona mogła?

– Kto? – nie zrozumiała matka – I co?

– Iri... Ona zdradziła monsignora'a. Jak jej brat...

– Nie gadaj głupstw – huknęła Luiza – Iri to twoja przyjaciółka, znasz ją nie pierwszy dzień.

Czy ona może zdradzić?

Iris?

– Myślałam, że nie.

– No to i dalej tak myśl – ucięła pani Aramona – Nie uważaj innych za gorszych od siebie.

– Ale ona się zgodziła... Przyjęła bransoletę.

– Podoba ci się Rober? – głosem nie matki, a marmaluki, zapytała kapitanowa – Zazdrościsz

– Och – westchnęła Selina – przecież wiesz, że ja... Kocham innego.

Nie ma co, zdziwiła. Śmieszne one są, te panny, czy to księżne, czy to koronczarki. We własną miłość wierzą nawet wtedy, jeśli jest ona mydlaną bańką, a w cudzą – tylko jeśli się o niej wrzeszczy na całe gardło.

– Kochasz innego? – powtórzyła Luiza – No to wyjdź z karety, wdrap się na dzwonnice i krzyknij na całe miasto, że kochasz księcia Alvę. A ja posłucham.

Córka z przestachem mrugnęła długimi rzęsami. Nic nie zrozumiała. I słusznie, bo matka plecie bzdury.

– Selino – stanowczo powiedziała pani Aramona – nam w Nadorze nie będzie wesoło, ale Iri będzie najgorzej. Ona jest chora, skłócona z matką i bratem. Ty jesteś jej przyjaciółką, więc jej nie dobijaj. I nie zmuszaj do usprawiedliwień. Zechce – sama wszystko opowie. Nie – to znaczy, że tak ma być.

Selina kiwnęła. Na szczupłutkiej szyi białą perłę, te same, w których przedstawiono ją na dworze. Pamięć o Conchicie.

W Nadorze córce duenii lepiej nie nosić biżuterii, nawet tej, którą podarowała Katarina. W Nadorze trzeba będzie stać się szarymi i zakurzonymi. Ona nie musi się specjalnie starać, ale młodości i urody nie ukryje się pod wyliniałymi szmatkami. Luiza odstawiła koszyk z robótką i przesiadła się do Seliny. Kareta podskoczyła i kapitanowa omal nie przewróciła się na córkę. Ta chciała coś powiedzieć, ale zmilczała. Woźnica krzyknął ni to na konie, ni to tak sobie, głośno i nachalnie zabił dzwon, zapachniało dymem.

– Coś się stało – westchnęła córka – Mamo, coś się stało.

Bez wątpienia! Luiza ziewnęła i odsunęła zasłonkę: jechali obok pustego opactwa, za ceglanym murem kołysały gałęziami wyłysiałe drzewa i podnosił się szaroniebieski dym.

– Wszystko dobrze – kapitanowa przyciągnęła do siebie Seline – to tylko ognie... Jesienne ognie. W Cochonnet też paliliśmy liście, pamiętasz?

– Pamiętam – co za oczy, takich nawet mateczka w swoich najlepszych latach nie miała – Mamo, my nie powinniśmy jechać do Nadoru. Iris nie powinna! Niech ona zostanie.

– Ona nie zostanie – pokręciła głową wdowa po kapitanie Laik – I nie zatrzyma się.

ROZDZIAŁ 2 HEXBERG I GELBE

399 rok K.S. 6 dzień Jesiennych Błyskawic

1

– Kapitanie – wyjęczał Ugo Varotti – no kiedy oni nareszcie przyjdą?

Ugo chciał się bić, bić się chcieli wszyscy. I zechcieliby jeszcze bardziej, gdyby się dowiedzieli o Alvie, ale Almeida kazał milczeć, więc milczeli. Nawet Valdez.

– Kiedy przyjdą, mówisz? – Luigi zlizął sól z ust – Przypuszczam, że szybko.

Liczyli i przeliczali. Razem z Valdezem, Rangoni, Weizelem, Lauzehnem, próbując wejść w cudze głowy, łącząc znane wszystkim z tym, o czym donosili wywiadowcy, a list taligojskiego regenta – z brodzącymi po wybrzeżu słuchami. Z tego wszystkiego wychodziło, że nie będą czekać długo.

– A jeśli stchórzą? – nachmurzył się Ugo – Szyje myjemy i myjemy³, niedługo dziury będą, a

„gęsi” spać pójdą.

3 Morski przesąd. Przed walką koniecznie trzeba umyć szyję i zawiązać czystą chustkę.

– Nie pójdą – ojciec mówił: chcesz się upewnić, że masz rację, upewnij najpierw innego – Gotfryd może i poczekałby do wiosny, ale ma siostrzeńca.

– Porządnego siostrzeńca chociaż? – żywo zainteresował się Varotti, uwielbiający mądre rozmowy niemal bardziej niż bitwy – Czy kukła?

– Zależy z jakiej strony spojrzeć – Luigi nie wytrzymał i prychnął – Valdez mówi, że Friedrich podoba się naraz damom, „pawiom” i gorącym generałom.

– Oj – gwizdnął Ugo – On co, z tych, niedospodnich?

Co za słowo! Valdez wpadnie w zachwyt, i nie tylko on. Zaiste, co wieczór trzeba rozmawiać z Varotti i wtedy odczepią się od ciebie sny, w których dosypujesz Krukowi zioła nasennego, „gubisz” kotwicę, mylisz północ z południem, wywożąc Kenallijczyka na Marikjarę, do Alvasete, do Morisków ostatecznie... Nie zrozumiałeś pieśni, nie złapałeś Alvy za rękę, i on zrobił to, co zrobił. Cóż, czasu nie zawrócisz, czyli zapomnij i walcz.

– Ze spodniami u księcia Friedricha wszystko w porządku – równym głosem wyjaśnił Gildi – za to z głową nie bardzo. On chce walczyć, to znaczy nie walczyć, a mizdrzyć się.

– Jasne – kiwnął rodak – między nogami – chłop, a głową – baba nad baby. Znamy takich! Ostatni suan z męża wytrząsną, i to nie z potrzeby, a na cacuszka i szmatki. W domu bajzel, za to spódniczka nowa i zalotników stado. Ja panu coś powiem, baby i durniów trzeba trzymać krótko.

– A owszem – zgodził się Luigi, zaznajomiony z rodzinnym życiem brata Ugo – Tylko nie wszystkim się to udaje.

– Bo nie ma co ścierką być – wzburzył się Varotti – O, monsignore na przykład rozpieszczą nie będzie. Na wszystkich znajdzie sposób, czy to na duxów, czy to na dożyce.

– Gdyby... – Ugo nie wie, jemu łatwo mówić – Gdyby było tak, jak mówisz, to w Taligu byłby porządek, a ja i ty siedzielibyśmy w Urgocie i czekali na wiosnę.

– Porządku nie ma – przejawiał nietuzinkowy polityczny rozsądek Ugo – bo monsignore wyjechał. Wiadomo: kota nie ma, myszy tańczą.

– Właśnie tańczą – w zadumie powiedział Luigi – a na fujarce gra jego wysokość Diwin, i ta fujarka jest ze złota.

– Diwin może i niedospodni, ale nie dureń – pochwalił gaifijskiego imperatora były felpijski bosman – Nie, już lepsi różni tam królowie niż duxowie. Wrócimy i trzeba będzie im dać kolanem w zad, i króla sobie urządzić. O, choćby pańskiego tatuśka...

– Ugo – Luigi omal nie upadł, tym bardziej, że dmący wiatr mimochodem podrzucił „Rekina” w górę, owinał wimpel dookoła masztu i uciął, jakby go nigdy nie było.

– Ależ... – Varotti otrząsnął się jak wydra – Jednym słowem, więdźmy! Chociaż tutejsi mówią, że pożytku z nich mnóstwo, a te durnie same nie wiedzą, gdzie leżą.

– Tym lepiej dla nas – pospiesznie zgodził się Luigi, nie życząc sobie wracać do rozmowy o felpijskich królach, chociaż Duksję rzeczywiście najwyższy czas rozpędzić. Paskudztwo, ta Duksja, nawet Varotti to rozumie.

– Jeśli więdźma z tobą zatańczy – oznajmił Ugo – to za nic nie utoniesz, tylko wybredne one, że strach. A król nam i tak potrzebny. Król to w jedną kieszeń grabi, i tę kieszeń wszyscy znają, a duxowie po kątach rozciągają, ze świecą się nie znajdzie... Lepiej konia w stajni karmić, niż szczury w piwnicy, z konia choć pożytek jest!

– Bosmanie! – wrzasnął Luigi, kompletnie zapominając, że miesiąc temu mianował walkonia oficerem – Ty chyba o coś pytałeś?

– Tak jest, panie kapitanie – z poczuciem winy chrząknął Ugo – Ale duxów i tak przegnać trzeba. Najpierw – „gęsi”, a jak wrócimy – tych paskudników.

– Najpierw trzeba wrócić – Luigi sam nie wiedział, czy ma się złościć, śmiać, czy zastanowić – Sądziś, że z Driksęńczykami tak łatwo się uporamy? To nie dożyca, kirkorell się nie wystraszy.

– Monsignore coś wymyśli – nie znoszącym sprzeciwu tonem oznajmił Ugo – Przecież nie na próżno wyjechał. Pajęczaki nie pajęczaki, a swoje „gęsi” dostaną. Ech, jakby tak jeszcze ten Friedrich Gorfri... God... Gad Frida rzucił i się nawygłupiał! Łatwiej by nam było!

– O proszę? – dociał kapitan zwolennikowi jedynowładztwa – A sobie na szyję takiego Friedricha nie chcesz? Dux – czym on jest? Jak wybrali, tak i wygnali, a króla się tak prosto nie

pozbędziesz.

– Et... dlaczego nie? – Varotti wymownie poruszył włochatymi palcami – Udusić i po sprawie! Albo zastrzelić, jeśli trzeba będzie wojować... No, że niby spudłowałeś. Panie kapitanie, a ten Gad Frid się nie nie rozmyśli? Siostrzeniec może sobie chcieć, a on raz – i w krzaki!

– Nie wyjdzie – uspokoił zdenerwowanego tenenta Luigi – Kesar nie po to wojska zbierał, żeby je teraz rozpuścić.

– I słusznie – zaaprobował będący nie tylko politykiem, ale i wielkim strategiem Varotti – Jest armia – będzie i wojna.

2

Germon Arigau uniósł do oka lunetę, obserwując szare bezleśne wzgórza. Mentor Capotta bezczelnie łął, mówiąc, że były one dnem jakiegoś starożytnego morza. Bzdura! Szkoda, że ocytany w omszałych akademikach i jeszcze bardziej omszałych poetach ulubieniec mateczki nigdy nie był w tej suszarni.

Gelbe była podobna do morza jak krab do yzarga. Miejsce było wprost stworzone do manewrów i generalnych starć, inna sprawa, że Armia Zachodnia na taką rozkosz w obecnych czasach nie mogła sobie pozwolić.

Arigau westchnął z tęsknoty za sześćdziesięcioletnią armią, nowymi armatami i innym niespełniającym się szczęściem. Kiedy Egmont z głupoty spróbował wyjąć księżyc z kałuży i utonął, kesar się zasmucił. Można go było zrozumieć: podrośnięty siostrzeniec usilnie machał skrzydłami i rwał się do boju, a Gaifa spała i widziała we śnie, jak osłabia najwierniejszych sojuszników za pomocą najgorszych wrogów.

Najgorsi wrogowie jednakże nie chcieli radować Paony. Panoszenie się Alicji i północne wojny, które po nim nastąpiły, doprowadziły taligojski skarbiec do pełnego opustoszenia. Driksen też nasyciła się walką po gardło. Proemperador Północy jakoś doniósł do jego wysokości Gotfryda informację, że książę Friedrich nie odmówiłby zostania kesarem, a „pawie” popierają to życzenie. Kesar zjadł swoją jajecznicę⁴, podrapał się w głowę, oznajmił o upadku – z powodu wysokich podatków – rzemiosła i handlu, po czym rozpuścił dobrą jedną trzecią armii. Pierwsi bez swoich pułków zostali przyjaciele Friedricha i galfijskiego ambasadora. Siostrzeniec próbował się kłócić, nic nie osiągnął i został odesłany do Gaunau.

Uwolniony od dokuczliwego krewniaka kesar ogłosił obniżenie podatków i opłat celnych, pozostawiając na granicy tyle wojska, ile potrzeba dla obrony, i ani rotę więcej. Rudolf i Sylwester westchnęli z zadowoleniem i odpowiedzieli tym samym. Równowaga na granicy została zachowana, ale teraz kosztowała obie strony o wiele taniej. Paonę bardzo to trwożyło. Diwin spróbował nacisnąć, Gotfryd się nie poddał.

Sojusznicy zaczęli wyjaśniać stosunki, a Talig – lizać rany, i prawie wylizał! „Prawie”, ależ paskudne słówko. Tak samo, jak „by”. Ja go prawie pokonałem, ale... Ja bym go pokonał, gdyby...

Arigau powoli, walcząc z powstałą na pustym miejscu obrazą, schował lunetę do futerału. Nic się nie zmieniło – te same wzgórza i to samo niebo, co najwyżej dzwonnica stała się niebieskawa i niewyraźna jak rozmyty podpis.

– Proszę wybaczyć, że przerywam pańskie rozmyślenia – baron Reinsteiner, który przywiózł do Gelbe dwa rozkazy regenta, tajny i jeszcze bardziej tajny, z chęcią zgodził się objechać możliwe pozycje – Wydaje mi się, że będziemy mieli trudności z driksieńskimi zwiadowcami.

– Niestety – potwierdził obawy Bergera Arigau – Dawno chciałem pana zapytać, czy nie wydaje się panu, że Gelbe przypomina Epineix?

– Jeśli mówić o krajobrazie, to tak – zgodził się Eugen – ale nie możemy dopuścić, żeby wydarzenia w Priddzie przyjęły równie nieprzyjemny obrót.

– Żeby to się nie zdarzyło – Germon podstawił twarz zimnemu, ale i tak wspaniałemu słońcu – wystarczy nie puszczać tutaj Manrika i Colignara.

– Książę Neumarinen nie zamierza wspominać o tych panach do końca wojny – z całą

4 Jajecznicą z wieprzowiną i smażonym chlebem jest uważana za driksieńskie danie narodowe.

powagą zapewnił Reinsteiner – ale ja miałem na myśli rozmiar nieprzyjemności, a nie ich przyczynę.

– Davenport proponuje podrzucić Bruno rozkaz o odstąpieniu – jeśli nie zgadzasz się z przyjacielem, to nie znaczy, że rację masz właśnie ty i nie daje ci prawa ukrywać obcej opinii – Proponuje wciągnąć „gęsi” w strzelaninę i wygonić do nich „oszałałego” konia z martwym kurierem.

– Zabity przed chwilą poważnie różni się od zabitego kilka godzin wcześniej – w zadumie powiedział Eugen i Germon omal go nie uściskał – Poza tym, fałszywi kurierzy i dezenterzy to zbyt stary podstęp. A jak pan uważa?

– Wydaje mi się, że nie należy nie doceniać obcych wywiadowców – Germon leniwie poruszył wodzami i gniasosz ruszył dalej, od jednego wzgórze do drugiego, takiego samego – Bruno nie należy do tych, którzy zbierają wszystko, co poniewiera się po drodze, przechwycony rozkaz wzbudzi jego czujność.

– U nas się mówi – oczy barona miały taki sam kolor jak niebo, ale gdyby ktoś mu o tym powiedział, Eugen Reinsteiner nie zrozumiałby, o co chodzi – Powiedziałeś. Ja uwierzyłem. Ty powtórzyłeś. Ja zwątpiłem. Ty powiedziałeś jeszcze raz. Zrozumiałem, że kłamiesz. Osobiście poradziłbym odstępować ku Herbste, zachowując wszystkie konieczne środki ostrożności, ale wyznaczyć w jednym z oddziałów ariergardy najgłępszego z posiadanych przez armię oficerów. Reszty dokona cudzy umysł.

– Potrzebny jest nam Lasterchaut-uwer-Niksich młodszy – zaproponował Germon – On już od dawna marzy o tym, by się wyróżnić.

– Doskonały wybór – skinał Eugen, nie pierwszy rok znający „Dębowego Horsta” – Myślę, że to rozwiąże wszystkie nasze problemy.

– Nawet Horst może się do czegoś przydać – podsumował Arigau – Cóż, karty mu w ręce.

... Urowadzenie spod nosa przeciwnika armii tak, żeby ten nic nie wiedział, jest trudne, ale możliwe. Germon nie wykluczał, że jemu, Davenportowi i Anselowi by się to udało, ale regent oczekiwał od swoich generałów czegoś innego. Zachodnia Armia powinna była ruszyć z miejsca i forsownym marszem skierować się do Akony, pozostawiając w Gelbe zasłony, mające ukryć odejście. Manewr należało przeprowadzić szybko i cicho, ale nie aż tak, by takie wydarzenie przeszło obok Bruno.

Pan feldmarszałek nigdy nie był głupcem: w to, że Taligojczycy przez jedną noc zamienili się w przestraszone kurczaki, on by nie uwierzył. Inna sprawa – ukryty skok na zajęta przez buntowników stolicę. Sam Bruno, gdyby coś stało się z jego koronowanym siostrzeńcem, postąpiłby właśnie tak, a ludzie, z rzadkimi wyjątkami, sądzą po sobie.

– Eugen – Germon ściągnął wodze – Nie chcę odchodzić z Gelbe. Szczególnie teraz.

– Przyzwoitość nakazuje, żebyśmy zachowali dla Taligu to, co odebrał Driksen księżę Alva – skinał Reinsteiner – owszem. To nasz dług wobec niego, ale nie mamy rezerw. Możemy wydać przygraniczną bitwę na dobrych pozycjach i odbić natarcie Bruno, ale co będziemy robić wiosną?

Księżę Neumarinen chce zachować armię i dać nauczki Driksom, ale żeby tego dokonać, trzeba zostawić Gelbe w tym momencie, który będzie wiarygodny. To wydaje się słusznie. Nie?

Wiarygodny... Wiarygodne będzie dla Bruno rzucenie się fok Warzowa na ratunek Alvie. Kiedy o rzezi pod szafotem dowiedzieli się w Einrechcie? Dwudziestego trzeciego, może dwudziestego czwartego... Przypuśćmy, że przez kilka dni „gęsi” mdlały, przychodziły do siebie, śpiewały i tańczyły. Potem – rozkaz o ataku. Gotfryd, jeśli chce zostać kesarem, nie może go nie wydać, a Bruno – nie wykonać.

Do admirałów najjaśniejsze polecenie wyjścia w morze dotrze za dwa dni, do Gelbe – za pięć, czyli jak nie dziś, to jutro. „Gęsi” wystąpią nie wcześniej jak za dwa-trzy dni.

– Bardzo się pan zamyślił, German – Eugen Reinsteiner – dziw nad dziwy – uśmiechał się – A z zadumy można się przeziębici. Powinniśmy podążyć do pańskiej stawki i znaleźć wino.

– Zmarł pan? – nie uwierzył własnym uszom zamieniony na Germana Germon.

– W żadnym wypadku – lekko uklonił się baron – ale nazwał mnie pan po imieniu, a ja także czuję zdecydowaną chęć przejść na „ty”. Po prostu koniecznie musimy wypić na bruderszaft.

Wszystko było takie jak wcześniej i wszystko stało się inne. Tak zawsze bywa, kiedy ktoś odchodzi donikąd. Nawet jeśli płoną świece, szeleści papier, dźwięczą szklanki, tym którzy pozostali – jest zimno, ciemno, i pusto. To się czuje każdym słowem, każdym wdechem, każdym

łykiem...

– Panowie – Almeida górował nad dębowym, zaścielonym wiśniowym aksamitem stołem, za plecami admirała mknęła w Wieczność „Cammorista” i kołysał się, podpierał sufit ogromny cień – Zachodnia flota Driksen czeka na sprzyjający wiatr. Conraio!⁵

– Conraio! – jeśli z Almeidą coś się stanie, flotę poprowadzi Antonio Breve.

– Conraio! – Sebastian Berlinga też był na „Cammoriście”, a teraz dowodzi awangardą. On nie zwyczajnie chce walki, on jej pragnie tak, jak Varotti nawet się nie śniło.

– Conraio! – wiceadmirał Julio Salina jest spokojny i zimny jak ściśnięta sprężyna. Jego „Marikjara” ustępuje tylko „Franciskowi Wielkiemu”.

– Conraio! – gdyby Filipp Alarcon nie dowodził „Franciskiem”, to prowadziłby awangardę albo ariergardę.

– Conraio! – Rotger Valdez będzie się śmiał nawet w Zmierzchu.

– Doczekali się? – fok Tanner patrzy przed siebie – Cóż, dawno pora!

– Doczekali, ale niezupełnie – na ustach Valdeza błędził stały uśmiezek – To tobie na twoich kamyczkach wszystko jedno, kiedy rozbijać jajka, a biednym Driksom przy takich falach ambrazury dolnych pokładów pozalewa. I jak wtedy miałby bić po twoich bastionach?

– No to powiedz, kiedy szwan⁶ z galopu przejdzie na kłus – burknął Lauzehn.

– Za cztery dni – w ciemnych oczach błysnęły błękitne drapieżne iskry – nie wcześniej, ale i nie później.

– Kaldmeier nie będzie czekał – kapitan flagowca był Marikjarczykiem czystej krwi i przy tym słonecznym blondynem – Zejdzie z kotwicy przy pierwszej możliwości.

– Szesnaście kotów mu na pomoc – życzył Valdez – dawno już nie spotykałem pana admirała zur see⁷.

– Od czterech lat – uściślił Almeida; okaleczona ręka bawiła się złotym admirałskim sztyletem – Panowie, ogłaszam Concho Deraio⁸ za otwarte. Enombredastrape⁹!

Morze ma swoje prawa, stare i nieprzezwycone jak ono samo: wstali wszyscy, nawet dobrzy ollarianie pan generał-intendent i Paul fok Tanner. Luigi i Rangoni też się zerwali, bo jak mogło być inaczej?

– Conroka! – admirał stał, reszta usiadła – Słowo o Driksach. Pierwsze i ostatnie.

– Conroka – podjął Antonio Breve; o wrogach mówi drugi admirał, tak jest od wieków – W Metchenberg stoi sześćdziesiąt linealów¹⁰ trzech wyższych rang, nie licząc małych statków. Nikt nie ukrywa, dokąd się wybierają. Dowodzą tym wszystkim nasi starzy znajomi: Olaf Kaldmeier, Gottlieb Donner, Gustaw Zweier, Otto Büntz. Do pomocy Kaldmeierowi z Einrechta przysłali Wenera fok Bermessera.

– Wenera?! – gwizdnął Valdez – W takim razie, Breve, pan się pomylił. Jego przysłali nie do pomocy Kaldmeierowi, a mnie na radość.

– Lodowaty Olaf by się z tobą zgodził – drugi admirał strzelił palcami, ojciec też miał taki nawyk – Gdyby to od niego zależało, to zamknąłby gościa do końca kampanii w skrzynce na liny.

5 Marikjarski okrzyk bojowy, dosłownie: „Z Błyskawicą!”.

6 Sezonowy wiatr brzegowy.

7 Dowódca jednej z drikseńskich flot.

8 Concho Deraio – tradycja marikjarskich i moryjskich marynarzy. Poprzedzająca starcie narada wojenna, na której są obecni tylko admirałowie i ich najważniejsi oficerowie. Narada ma ściśle określony porządek (opisanie sił przeciwnika – Conroka, opisanie własnych sił – Convente, przypuszczalne działania przeciwnika – Cononda, plan własnych działań – Conroio) i kończy się rytualnymi gestami, określającymi zachowanie w czasie i po starciu.

9 Marikjarskie i kenallijskie powitanie – wezwanie sił wyższych, używane w szczególnie uroczystych przypadkach.

10 Okręt liniowy.

Razem z generałem Hohwende.

– Desantem dowodzi to bydlę? – zainteresował się fok Tanner – Kiedy wrócę do Heksbergu, postawię świętemu Adrianowi cztery świece.

– „To bydlę” – Almeida rzucił sztylet na mapę – gości na flagowcu, a z żołnierzami jest generał Gruber. On i Olaf będą walczyć, a Hohwende i Bermesser – przyjmować paradę.

– Kocią – uściślił Berlinga – na tamtym świecie. Ilu mają żołnierzy?

– Metchenberscy przemytnicy mówią, że piętnaście tysięcy – oznajmił Breve – a ja sędzę, że około dwunastu. Zapędzili ich na zarekwirowane kupcom fleuty i galeony, a tych jest około czterdziestu. Wygląda na to, że statków zebrano mniej niż potrzeba. Jeśli tak, to część żołnierzy

umieszczą na okrętach ariergardy. Conroka!

– Conroka – potwierdził Almeida i Breve usiadł – Ostatnie słowo o nas. Convente!

– Convente! – zmrzążył oczy Valdez – Ja stoję w Hexbergu, o czym wiedzą wszyscy. Moja flaga jest na „Asterze”, nazywanej w Driksen „Stworem Zmierzchu”. Nie licząc drobiazgu, mam do swojej dyspozycji dwanaście linealów, „gęsi” je znają, wy – tym bardziej.

– Garnizon Hexberg liczy pięć tysięcy sześćset osiemdziesięciu dwóch ludzi – Tanner walczył na brzegu, mógł nie powtarzać morskiej herezji – Powierzone mi miasto od morza zakryte jest fortami Świętego Franciska i Świętego Fabiana, a także bastionami Rothwand, Nachtigal, Herbstewind, port handlowy – fortami Hexdanze i Alterpferd. Część murów jest w przebudowie, nie sposób ustawić na nich armat. To też wiedzą wszyscy.

– Convente! – zagrmiał admirał – Ja ósmy dzień stoję u Sternsteinen. Moja flaga jest na „Francisku Wielkim”. Mam do dyspozycji siedemdziesiąt dwa wimpe¹¹. Cononda.

Cononda. Gra za wroga. Co będzie robić nieznanym na Pomarańczowym Morzu admirał, którego tutaj nazywa się Lodowatym Olafem?

– Zaczniemy od najważniejszego – pstryknął palcami Salina – Kaldmeier nas nie oczekuje.

– Jego zadanie – to wysadzić żołnierzy i uratować okręty do nowych spacerów – fok Tanner odpiął górną haftkę i Luigi zrozumiał, że w kajucie rzeczywiście jest gorąco – Osobiście wybrałbym dla lądowania port handlowy. Wygodnie i blisko do celu.

– Jeśli mogę coś powiedzieć – Rangoni podniósł rękę i Almeida kiwnął dużą głową – Felp to nie Hexberg, a Hexberg to nie Felp, rozumiem to, ale Bordończycy działali rozsądnie. Oni wciągnęli nas w walkę na podejściu do zatoki i w tym samym czasie wylądowali tam, gdzie nie mogły im zaszkodzić miejskie armaty. Możliwe, że Drikseńczycy myślą tak samo. W takim układzie wylądują na południe od wojskowej przystani. Między błotami i bastionem.

– W Schmutze? – zapytał Breve – Niewygodnie. Płytko i mielizny.

– Za to bezpiecznie – wtrącił Valdez – jeśli dotrzeć do brzegu. Nie zapominajcie o mnie. Kaldmeier pamięta, a Werner tym bardziej.

– Akurat o tobie da się zapomnieć – skrzywił się Tanner – Owszem, przeciwko sześćdziesięciu Olafa twoich dwadzieścia nie wytrzymają, ale krwi im napsuć możesz. Sądzę, że Lodowaty da ci możliwość ucieczki, i tylko jeśli zaczniesz kąsać...

– Zacznę – zapewnił Kenallijczyk – inaczej jaki ze mnie Valdez?

– Wtedy zaczną cię topić bez żadnej litości – przepowiedział Alarcon – szczególnie jeśli w awangardzie pójdzie twój przyjaciel Werner.

– Będę szczęśliwy, widząc go – Rotger oblizał się zupełnie jak kot – Tak dziwnie się rozstaliśmy...

– Ja bym poszedł w zalew trzema kolumnami – Salina bez żadnej litości przerwał wspomnienia Valdeza – Szczerze bym chciał, żeby pierwszą prowadził Werner Bermesser.

– A już jak ja bym chciał – ziewnął Kenallijczyk – Werner jest zachwycający.

– Wiceadmirale – Almeida nawet się nie śniło podnosić głos – Cononda! O pańskich upodobaniach później. Tanner ma rację, Kaldmeierowi jest potrzebne zwycięstwo, a nie rzeź. Jeśli nie uda się zamknąć Valdeza w zatoce, spróbuje odepchnąć go na bok do końca lądowania.

11 Wimpel – wąska (10-15 cm), bardzo długa flaga. Podnoszona jest na grotmaszcie okrętu wojennego (poza flagowcem) na początku kampanii i nie opuszczana do jej zakończenia. Służy do odróżnienia okrętu wojennego od statku handlowego. Mówiąc o liczbie wimpli, marynarze mówią o liczbie okrętów wojennych.

– Zamknąć *mnie*? – oburzył się krewny Weizela – Nie zdąży!

– Nie zdąży – zgodził się Breve – ale na pewno spróbuje. Awangarda skoczy do wejścia w wojskową przystań z rozkazem nie pozwolić hexbergskiej eskadrze ani ustawić się pod osłoną baterii brzegowych, ani napaść na „kupców”. Żeby wyłączyć cię z gry, wystarczy półtora dziesiątka linealów. Główne siły podejną później i zaczną walić w forty portu handlowego.

– I dobijać mnie – Rotger złożył ręce na piersi, zieloną gwiazdą zapłonął torski szmaragd – Zamierzam doczekać się owych panów i udać ucieczkę.

– Lodowaty z radością się ciebie pozbędzie – burknął fok Tanner.

– Nie on jeden – Valdez złapał krawędzią kamienia ognieniek świecy i uśmiechnął się – ale nie zrobię tej przyjemności ani „gęsiom”, ani mokrym „kogutom”.

– A propos „kogutów” – Alarcon sięgnął po szczypecę do świec – czy raczej balii, w których siedzą. Nie pomijałbym handlarzy w naszych rachubach. Owszem, dwadzieścia-trzydzieści armat

na pokładzie to nie siedemdziesiąt, i z manewrowaniem u nich gorzej niż u nas, ale kupcy nie powierzą swojego dobra złym marynarzom.

– Złote słowa – ocknął się podrzemujący do tej pory fok Clepphis – Niech mnie ostrygi zeżrą, jeśli handlarze nie będą pilnować swoich statków, bardziej od cudzych żołnierzy.

– Nie zeżrą cię ostrygi – obiecał Valdez – a ja wyjdę z przystani i ustawię linię w ujściu.

– Wtedy – kapitan-komandor Alarcon lekko uklonił się Rangoni – stanie się to, o czym mówił nasz przyjaciel – Driksowie wylądują na południe od miasta.

– Nie wszyscy – uderzył dłonią w mapę Almeida – Kaldmeier nie jest głupszy ode mnie, a ja bym jedną trzecią „kupców” posłał w Schmutze, a pozostałych przytrzymał. Póki pierwsi będą lądować, wzmocniona awangarda dobieje Rotgera i otworzy drogę do portu handlowego. No a cytadelę można zostawić na potem.

– Jakież to smutne – Valdez uniósł do oczu rozek chustki na szyi – jednak mnie dobiją. Przyjaciele moi, czy wspomnicie wiceadmirała, który położył głowę za swoją nierozumną ojczyznę, czy tylko łzy niewieście zroszą moją mogiłę?

– Jaka znów mogiła? – mruknął Dietrich – Opanuj się. Przecież ty utoniesz, tak że co najwyżej przelotna wiedźma nad tobą chlipnie.

– No, niech będzie wiedźma – zgodził się Rotger – Byle nie małżonka.

– Valdez, fok Lauzehn – Almeida nawet nie podniósł głosu, ale śmiech z oczu przyjaciół starło jak moką ścierką – żartować będziecie w walce. Conroio!

Zło świsnęło rozcięte powietrze, w dębową boazerię niemal po samą rękojęść wbił się admirałski sztylet. Nóż w ścianie własnego domu, wbity własną ręką... Znak krwawej zemsty, wspólny dla Kenallijczyków, Marikjarczyków, Morisków. Litości nie będzie – wrogów krwi nie bierze się do niewoli.

– Rotger – warknął Almeida – zdążysz wyprowadzić swoją eskadrę i pokażesz się w całej krasie. Schmutze czy ujście Herbste – zdecydujesz stosownie do okoliczności, ale chcę, żeby owczarki oderwały się od owiec. Jak – twoja sprawa. Pchaj się na rożen, obrażaj, podstawiaj burty...

– Wykonam – Valdez był zadziwiająco lakoniczny – Conroio, almirante¹²!

– Kapitanie Gildi, kapitanie Rangoni. Jak tylko szwan ucichnie, schowacie się w odnogach Anthenizel, Valdez wam pokaże, gdzie. Muszę pojawić się w odpowiednim momencie, ale zwiadowcy Kaldmeiera zobaczą, jeśli ktoś z naszych dyżurnych skręci na południe. Za to galery bez żagla wśród wysp raczej nie dostrzegą.

– Jesteśmy do pańskiej dyspozycji – potwierdził Rangoni i po sekundzie wahania dodał: – Conroio!

– Conroio – powtórzył i Gildi, wpatrując się w sterczący ze ściany sztylet. Conroio, Kruku, co by z tobą nie było. Ty przywykłeś decydować za innych, ale inni mogą się z tym nie zgodzić.

Almeida krótko skinął:

– Dziękuję. Nasi felpijscy przyjaciele będą mieli doskonały powód by wspomnieć o domu. Panowie z Driksen tańczą pod fujarkę Gaify? Bardzo dobrze. Panowie z Driksen uznali, że my jesteśmy na Marikjarze, soberano w Bagerlee i oni są gospodarzami? Jeszcze lepiej! Panowie z

12 Admirał (*marikjar*.)

Driksen biorą przykład z panów z Bordonu? Wspaniale! Zamiast Hexbergu dostaną drugi Felp i koty Zmierzchu.

ROZDZIAŁ 3 RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 9 dzień Jesiennych Błyskawic

Rober usiadł plecami do okna, za którym nowi gimneci przygotowywali się do marszu koronacyjnego, i wpatrzył się w ośmioramienny kandelabr, rozpaczliwie próbując zmyśleć albo choćby otworzyć sklejące się oczy. Nie można wkładać wszystkich jajek do jednego koszyka. Nie można wysłać Reginalda do Savignaca i tępo oczekiwać informacji, trzeba się przygotowywać.

Ollarię, tfu, Rakana, trzeba zająć tak, żeby bunt nie przeszedł w smutę i żeby nie zaszkodzić

Aldo i Matyldzie, których trzeba będzie w tajemnicy ciągnąć przez płonący kraj. To już łatwiej ogień w wozie z sianem schować! Suzeren będzie chciał walczyć do końca i zagna do grobu siebie i wszystkich. Wyjście jest jedno – napoić, jak dragonów w Epineix, ale do tego trzeba zdobyć odpowiednią truciznę, a Władcy Błyskawic, co by tam nie gadał Stancler, nie mieli z nimi do czynienia...

Przez podwójne szyby przebijały się dziarskie marsze i urywki komend. Nic mądrego nie przychodziło do głowy. Stwory Zmierzchu, jutro przylezie szewc i krawiec, jakby dla szczęśliwego władania nie było nic ważniejszego nad obcasy i wstęgi przez ramię. Rober zasłonił oczy dłońmi, ten jego nawyk już zauważono, no i dobrze.

– Monsignore – dlaczego kiedy jesteś niewyspany, nawet szept wydaje się krzykiem? – Monsignore, prosił pan, żeby przypomnieć.

– Pamiętam.

Jakby o czymś takim dało się zapomnieć! Aldo w kolejnym rytualnym ataku postanowił, że jego świątobliwość przy bramie Róż powinien spotkać przewodniczący Wysokiej Rady, którym jest Pan Kręgu. Niestety, twarz Władcy Skał nie pozwalała mu pojawić się na oczach narodu. Rober uważał, że nic się nie stanie, jeśli pod nieobecność Ockdella kardynałem zajmą się jego wasale, ale suzeren się uparł. Władcę Skał zastąpi jego przyszły szwagier i nikt inny.

Przyszły szwagier ziewnął rozdzierająco i narzucił na ramiona pierwszomarszałkowski płaszcz, jako że był on już gotów. Generał Carvall, wpadający w furję na widok nowych mundurów, trzasnął obcasami i odszedł na bok. No naturalnie! Pierwszy wychodzi marszałek, majestatycznym krokiem mija galerie, schodzi po schodach, siada na wiernego konia, natychmiast stojącego dęba. Batalistyczny obraz, nic innego! I bez tego nie najlepszy nastrój na widok koronacyjnych szmatek i usłużnych pysków złośliwie prychnął i zarzucił zadem.

Jedna radość – kardynał jest z zakonu Miłosierdzia, o którym nie da się powiedzieć nic złego. A i tak Rober wolałby mieć do czynienia z adeptami Sławy. Ostatecznie święty Adrian był krewnym Epineixów.

– Monsignore, cóż za piękny dzień – przystojny Insmiller zdążył ubrać się w biel, i to z jego nawykami! Bękart powinien zawinąć się w szkarłat, żeby nie było widać krwi. I nałożyć skórzaną maskę.

– Dzień zaiste piękny – powiedział Epineix tonem, za który szanujący się szlachcic wyzwałby na pojedynek, ale Insmiller tylko się uśmiechnął. Pod ciemnymi wąsikami błysnęły idealne zęby. Cywilny komendant Ollarii był spokojny i zadowolony i Rober postanowił nie pytać, jak spędził ranek.

– Baron Crackl proponuje urządzić święto dla czerni w Dorze – nie ustępował szubienicznik – Jego wysokość uznał myśl zamienienia więziennych dziedzińców na miejsce zabawy za bardzo udaną. Dora stanie się symbolem zmian, poza tym tam łatwo utrzymać porządek.

– Niech będzie Dora – odezwał się Rober, próbując jednocześnie nie zachowywać się po chamsku i złapać uciekającą myśl – ale ja bym nie dawał mieszczanom zbyt wiele wina.

– Ograniczymy się do jednej fontanny – zgodził się Insmiller – dla mężczyzn. Kobiety, dzieci i starcy otrzymają prezenty od jego wysokości.

– Nie masz nic przeciwko? – do munduru Udo była przypięta pomarańczowa chryzantema, a pod oczami leżały sine kręgi. Hrabia Gont wyraźnie spędził bezsenną noc, no i chwala Stwórcy.

– Przeciwno? – Rober wzruszył ramionami – A niby dlaczego? Ale ja bym wybrał weselsze zajęcie.

– A może zachciało mi się oczyścić? – zaproponował brat Richarda – Z grzechów.

– Jeśli z grzechów – zgodził się Epineix – to oczywiście...

Pojawił się Meven, zameldował, że gimneci są gotowi. Rober kiwnął, Meven odjechał, parsknął i przestąpił z nogi na nogę Drakko, w oknach pierwszego piętra zamajaczyła wysoka figura: Aldo sprawdził, czy wszystko w porządku, i natychmiast odszedł.

Zaśpiewała trąbka, moryskillą odezwał się flet, huknęły tarabany. Eskorta jego świątobliwości Leviego ruszyła marszowym kłusem po czterech jeźdźców w rzędzie. Miłosierdzie w otoczeniu muszkietów... Miłosierdzie, błogosławiące oprawców... Czy można bardziej obrazić Stwórcę?

– Jest pan dzisiaj zadumany, książę – zauważył Insmiller. Lekki wiaterek bawił się białymi piórami, słońce kruszyło się o diamentową broszę, dobrze, że pod rękawiczką nie widać pierścieni. Widoku błyszczących na komendanckich łapach rubinów Rober by nie zniósł.

– Tak – odciął się Epineix – jestem zadumany. Zapewniam pana, mam o czym myśleć.

– Ale czy trzeba? – cicho, jakby do samego siebie, powiedział Udo – Im mniej myślisz, tym jest lżej.

2

Talig był właśnie Taligiem, a nie cukierkową Taligoją. I nie czuł radości z przyjścia Rakanów. Matylda patrzyła na kraj, którym zamierzał władać wnuk, a widziała zaczynający kipieć kocioł. Nie minie nawet kilka miesięcy, jak obecni zwycięzcy trafią prosto do zupy. Z całym dobrodziejstwem inwentarza. Matylda poruszyła ramionami, jakby poczuła chłód, i złapała współczujące spojrzenie jego świętobliwości.

– Zmarzła pani? – duchowny zręcznie przysunął do nóg towarzyszki podróżny grzejnik – Oczywiście jest też inny sposób. Czasem uciekają się do niego i księżta kościoła.

Adrian na pewno się uciekał. To, że Esperador pije, wiedzieli tylko najbliżsi. Tacy, jak Matylda Alati i biskup Levi. Księżna wdowa zdusiła pragnienie zapytać jego świętobliwość, czy nie ma kasery. Jej własna flaszka została pod opieką Laci, tak samo jak i Beczka, z którym Matylda nie miała siły się rozstać.

– Uśmiecha się pani? – zauważył Levi – To dobrze. Silni ludzie powinni się uśmiechać, na tym trzyma się świat. Siła silnych i słabość słabych – dwa skrzydła, które niosą Kertianę. Jeśli słabi osiągną siłę, a silni popadną w słabość i zaniechanie, nastąpi koniec wszystkiego. Śmieję się, księżniczko! I uważaj, by nie zamoczyć prochu.

Twoją kawalerię, co on plecie? Nawet Adrian z nią tak nie mówił, a przecież znali się dłużej niż życie. Całe życie i osiem dni w drodze... Matylda poprawiła fałszywy lok i zapytała wprost:

– Wasza świętobliwość, czego pan chce?

– Tylko jednego – wzruszył ramionami duchowny – żeby Wspaniała Matylda pozostała Wspaniałą Matyldą. Wtedy będziemy mieli szansę zatrzymać powóz nad przepaścią. Niech się pani nikomu nie poddaje. Pani jest najstarsza w rodzie, co by o tym nie sądził pani wnuk.

Taką radę mógł dać tylko przyjaciel Adriana. Albo sam Adrian, który był śmiały we wszystkim oprócz jednego. No po jakie koty on przez całe lata przyjaźni nie dał swobody językowi i rękom? Czekał, aż ona przyjdzie pierwsza? I ona by przyszła, gdyby do niej dotarło, ale przekłety kleryk zbyt zręcznie ukrywał swoje uczucia.

No i doukrywał się do pełnego celibatu. Został Esperadorem i umarł, a ona została sama. Co za głupota – żyć w jednym mieście ze swoją miłością, a spać z innymi, a przecież wystarczyłoby przyjść i powiedzieć „Nie odejdę...”

– Wciąż pani myśli – ręka Leviego dotknęła ramienia Matyldy – a nas, nawiasem mówiąc, witają. I nawet wiem, kto.

Matylda też wiedziała. Czy raczej dowiedziała się, kiedy wylazła z karety. Rober! Żywy i zdrowy. W szkarłatno-złotym kaftanie i białym płaszczu.

Obok Inochódzca krzywił się Udo Born i słodko uśmiechał się jaskrawousty czarnowąsy cherubinek. Zadziwiająco odrażający!

– Księżę Epineix? – Levi bez wahania zwrócił się do Inochódzca – Proszę podejść. Chcę pana pobłogosławić.

3

Matylda! Leie Astrape, Matylda! Tutaj... Już...

Drakko czegoś się wystraszył i skoczył w bok. Rober naciągnął wodze, z trudem powstrzymując półmoriska, i drgnął z bólu, przesywającego nadgarstek.

– Księżę Epineix? – niewysoki, siwy jak gołąbek duchowny przyjaźnie patrzył na Władcę Błyskawic – Proszę podejść. Chcę pana pobłogosławić.

Szary strój, emaliowany gołąb na szyi... Nowy kardynał Taligoi, któremu przeznaczono sprowadzić kraj na łono Kościoła.

– Roberze! – Udo chwycił uzdę rżącego Drakko – Jego świętobliwość czeka.

– Tak, tak...

Epineix pospiesznie zeskoczył na ziemię, Levi niewzruszenie czekał. Lekko otyły, z jasnymi

błękitnymi oczami i twardym podbródkiem, w niczym nie był podobny do Clementa i jego zauszników i Roberowi kamień spadł z serca.

Niewygodnie było patrzeć na kardynała z góry, więc Epineix pospiesznie ukląkł:

– Wasza świątobliwość!

– Czy dawno się spowiadałeś, mój synu? – spojrzenie duchownego było uważne i spokojne.

– W zeszłym roku – Goganie, Laurencja, Jesienne Łowy... Między Władcą Błyskawic i zbawieniem leży przepaść, której nie można przeskoczyć, ale duszy można przecież nie ratować – Moją spowiedź przyjął magnus Prawdy Clement. Odpuścił mi moje grzechy.

– Magnus Clement nie szczędził sił w poszukiwaniu Prawdy – powoli powiedział Levi – to zgubnie odbiło się na jego rozsądku. Cóż, książę, skoro nie ma pan swojego spowiednika, sam przyjmę pańską spowiedź i dam odpuszczenie, kiedy tylko będzie pan gotowy. A teraz bądź błogosławiony w imię Stwórcy wszystkiego, co istnieje! Żyj i działaj ku wielkiej Jego chwale. Orston¹³!

– Meraton¹⁴! – Rober dotknął ustami pierścienia z lwem. Ręce jego świątobliwości pachniały słodkawym kościelnym kadzidłem i shaddi. Świętemu Tronowi potrzebna jest esperatyjska Taligoja, a Władcy Błyskawic – żywy Talig, ktoś więc musi przegrać.

– Wasza świątobliwość – Walter Insmiller klęczał obok Robera. Cywilny komendant Ollarii nie mógł przepuścić okazji otrzymania błogosławieństwa z rąk kardynała, jeśli nie pierwszy, to drugi.

– Kim jesteś, mój synu? – głos Leviego był miękki i beztroski – Nazwij swoje imię.

– Walter Insmiller – głośno powiedział kat i morderca.

– Słyszałem o tobie – powoli powiedział kardynał – Wstań, baronie Insmillerze, i odejdz. Stwórca jest miłosierny, wstrętne mu są okrucieństwo i zło.

– Jestem wiernym sługą Rakanów – kącik czerwonych ust zadrżał konwulsyjnie i Rober przysunął się do kardynała. Na wszelki wypadek.

– My wszyscy jesteśmy sługami Stwórcy i dziećmi Jego – błękitne oczy błysnęły stałą – i władzy na tronach, i żebracy w rynsztokach. Wygnaj z serca swojego zwierza okrucieństwa – i otrzymasz błogosławieństwo, a teraz odejdz. Od ciebie pachnie krwią, niewinną krwią...

– Proszę odejść, panie – Udo w nieznanym sposobie znalazł się obok Insmillera. Cywilny

13 Niech tak będzie! (*galtar*.)

14 Tak będzie! (*galtar*.)

komendant łypnął na kardynała, ale odszedł. Levi nawet nie spojrzał w jego stronę.

– Przykro mi, książę – niegłośno powiedział jego świątobliwość – ale nie mogłem sprzeciwić się woli Stwórcy, nakazującego nam Miłosierdzie i Miłość. Jego książęca wysokość powinien opierać się na innych ludziach.

– Czczę i Oczekuję – wymamrotał Rober, nie mając pojęcia, co mówić i robić. Kardynał wiedział o Insmillerze i nie aprobował go, co też pokazała całej Ollarii. Posiadacz upragnionego berła może i jest miłosierny, ale nie łagodny, Aldo jeszcze się z nim namęczy.

– Książę Epineix – twarz duchownego znów była beztroska – mogę liczyć na pańską pomoc?

– Wasza świątobliwość...

– O ile wiem, Ferdynand Ollar, jego małżonka, Roke Alva i August Stancler znajdują się w Bagerlee?

– Katari...na Ollar mieszka w pałacu. Jest wolna – leie Astrape, kogo przywiozła ze sobą Matylda? Księżna była przyjaciółką zmarłego Esperadora, czy to nie o to chodzi?

– Cóż – kiwnął jego świątobliwość – w takim razie Katarinę odwiedzę jutro, a teraz poprosimy pańskich ludzi, by zaopiekowali się jej książęcą wysokością, a sami pojedziemy do Bagerlee.

– Wasza świątobliwość, jego książęca wysokość czeka na pana – kardynała trzeba uprzedzić, niech wie, że wizyta w Bagerlee oznacza starcie z Aldo – On nie zrozumie, jeśli pan skieruje się w inne miejsce.

– Aldo Rakan ma świadomość warunków, na jakich jego ekscelencja gotów jest błogosławić jego panowanie – biała dłoń dotknęła zakonnego znaku jak rękojeści szpady – Powierzono mi tysiące dusz ludzkich i muszę wypić kielich nieufności. Pójdę do Bagerlee i porozmawiam z obaloną królem i tym, kto wykupił jego życie za cenę swojego, ale pan, książę, nie musi mi towarzyszyć. Pan służy swojemu władcy, ja zaś jestem pokornym sługą Stwórcy. Jego wola znaczy

dla mnie więcej niż wola władców ziemskich.

– My wszyscy jesteśmy sługami Stwórcy – powtórzył Rober słowa kardynała – Udo... hrabio Gont, powierzam panu jej książęcą wysokość. Wasza świątobliwość, jestem do pańskiej dyspozycji.

ROZDZIAŁ 4 RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 9 dzień Jesiennych Błyskawic

1

Komendant Bagerlee był baronem i generałem. Generałem został z woli Ferdynanda, a baronostwo otrzymał za „zwycięstwo” nad nieszczęsnym królem. Moren bardzo się trząsał nad nowym tytułem i wstąpić do powierzonego mu zamku było niemożliwe bez osobistego reskryptu jego wysokości. Udo po jakiejś koty spróbował, powołując się na dawną znajomość, dobrać się do Stanclera, ale poniósł porażającą klęskę. Epineix natomiast od jakiegoś czasu porzucił myśl przespacerowania się po Bagerlee. Awantura z Savignacem wymagała najściślejszej tajemnicy i najjaśniejszego zaufania, a Inochodziec twardo postanowił doprowadzić intrygę do końca. Wszystkie próby dostania się do Alvy zostały porzucone i Rober obok Bagerlee nawet nie przejeżdżał, ale przecież nie będzie się spierać z kardynałem?

Pierwszy Marszałek Taligoi osadził konia tuż przy podobnej do bastionu stróżówce i władczo zastukał. W okienku natychmiast pojawiła się rybioka fizjonomia.

– Jego świątobliwość kardynał Taligu – wyrecytował Epineix – chce się widzieć z komendantem Bagerlee.

Rybie oczy zamrugały, po czym zniknęły. Nie na długo. Otworzyła się furtka i na drogę wytoczył się podobny do dyni tenent, po czym drzwi się zatrzasnęły.

– Monsignore – dynia trzasnęła obcasami i z wysiłku pozieleniała, stając się kabaczkim – po pana komendanta posłano.

– Otwórzcie wrota – rozkazał Epineix.

– Monsignore – wykrztusił kabaczek – pan komendant... Pan komendant tylko sam osobiście... Tylko sam osobiście pan komendant...

– Poczekam na komendanta w stróżówce – Levi wysiadł z karety i skierował się ku drzwiom. Rober pospiesznie zeskoczył z Drakko i rzucił się za duchownym, który już ujął ciężki brązowy pierścień.

– Wasza świątobliwość – wydawało się, że kabaczek zaraz umrze na miejscu z przerażenia – pan komendant!... Tylko osobiście...

– Mój synu – głos Leviego był pełen prawdziwego miłosierdzia – nie ma grzechu straszniejszego, niż naruszenie woli Stwórcy dla zaspokojenia woli władcy świeckiego, ale odpuść ci twoje grzechy. W stróżówce.

– Sierzancie – wydusił nieszczęsny tenent – otwieraj... Rozkazuję.

Ozdobiona smoczymi pyskami furtka ze skrucą pisnęła i otworzyła się. Kardynał przeżegnał się i zniknął w ciemnej wyrwie. Książę Epineix wszedł śladem. Nic się nie stało: grom nie uderzył, on i jego świątobliwość nie zapadli się w usłaną kośćmi piwnicę. Straszne Bagerlee zaczynało się od przestronnej, choć i ciemnej komnaty, pośrodku której przestępowało z nogi na nogę pięciu żołnierzy.

Levi rozejrzał się i niewzruszenie przeszedł do kąta, gdzie spokojnie stały stół i dwa krzesła.

– Proszę usiąść, książę – kardynał dał przykład, moszcząc się na skórzanych siedzeniach – Widzę, że jest pan zdziwiony moim naleganiem? Chodzi o to, że przyjąłem święcenia w zakonie Sławy, to później serce moje przepelniało się Miłosierdziem do bliźnich.

– Znał pan jego ekscelencję Adriana? – Rober zapytał, zanim pomyślał, ale jego świątobliwość ani myślał przywoływać do porządku natrętnego marszałka.

– Adrian był moim opiekunem. To właśnie on... hm, poradził mi przejść do innego zakonu. Najpierw była mowa o zakonie Prawdy, ale nie odpowiadałem, hm, koniecznym wymaganiem. Poza wzrostem, naturalnie.

Levi odszedł z zakonu Sławy na prośbę Adriana? Czy nie po to czasem, żeby pilnować

Clementa i jemu podobnych? Trzeba porozmawiać z Matyldą i o Adrianie, i o agaryjskim kłębowisku, i o kardynale. Oni razem podróżowali, a księżna zawsze знаła się na ludziach.

– Chce pan o coś zapytać? – Levi poprawił swojego gołębia – Proszę pytać, mamy jeszcze czas.

– Nie bardzo się orientuję w sprawach Kościoła – Inochodziec podniósł wzrok i zetknął się z otwartym, nawet wesołym spojrzeniem – choć przeżyłem w Agarisie kilka lat.

– Człowiek nie może objąć nieobjętego, księżę – duchowny znów dotknął znaku na piersi, widać był to jego nawyk – ale coś wiedzieć pan po prostu musi. Choćby o pańskich krewnych, stojących u źródeł Kościoła. Żywot Adriana, czy raczej Cezare Marikjare, jest bardzo pouczający. Szczególnie pierwsze zapisy. Czyżby Władcy Błyskawic o wszystkim zapomnieli?

– Chyba gdzieś były stare zapiski – przed oczami Robera stanęły mroczne, zapelnione księgami i rękopisami komnaty – ale czytałem mniej, niż by należało, a potem zrobiło się nie do czytania.

– Szkoda – zmrużył oczy Levi – ale jestem gotów przy okazji opowiedzieć panu o szlachetnym Cezare, do ostatniego tchu negującym oczywiście.

– Adrian coś negocował? – pytanie zabrzmiało głupio, ale Władca Błyskawic nie ma obowiązku wyrażać się jak scjentyk.

– Nie Adrian, Cezare. Był przyjacielem Rinaldi Rakana i kiedy dowiedział się, co ten zrobił, nie uwierzył. Marikjare rzucił się do szukania dowodów niewinności Rinaldi. Na ziemi nie znalazł, więc zszedł do podziemi. Co tam widział, nie wie nikt, ale z katakumb wyszedł już Adrian. Niektórzy zresztą sądzą, że Cezare podzielił się tym, co zobaczył, ze swoim przyrodnim bratem, który dał początek rodowi Epineix.

– Jeśli nawet tak było – wymamrotał Rober – to ja nic o tym nie wiem. Może dziadek...

– Księżę Guillaume już nic nikomu nie powie – westchnął jego świątobliwość – On był dumnym człowiekiem i rozpałił wielki ogień. Trudno będzie go ugasić.

Kardynał przyjechał tutaj gasić ogień? Leie Astrape, jeśli tak, to krwi w Ollarii nie będzie. Albo będzie jeszcze więcej. Jeśli kardynał, zamiast ryć podkopy, zacnie walić we wrota taranem. Przyjechał z Matyldą i do wnuka Matyldy, ale co wie księżna wdowa o obecnym Aldo?!

– Wasza świątobliwość – zaczął Rober – muszę panu powiedzieć...

– Wasza świątobliwość – baron Moren stał w drzwiach, wypinając naraz i pierś, i gawroni nos – To dla mnie zaszczyt witać pana w Bagerlee!

Levi niespiesznie i majestatycznie zwrócił się do komendanta. Niby wielodziałowy okręt. Wydawało się dziwne, że ten człowiek umie puszczać oko, uśmiechać się, żartować.

– Panie generale – głos byłego adepta Sławy też się zmienił – chcę widzieć Ferdynanda Ollara, Augusta Stanclera i Roke Alvę.

Trzeba przyznać, Moren utrzymał się na nogach. Więcej, on w ogóle się utrzymał. Komendant uklonił się ponuro:

– Z radością, wasza świątobliwość, ale muszę mieć na to pozwolenie jego wysokości Aldo Pierwszego.

– Jego wysokość Aldo jeszcze nie istnieje – poprawił kardynał – Młody Rakan stanie się wysokością dopiero po namaszczeniu. A z decyzją jego księżęcej wysokości może się pan zapoznać. Księżę Epineix – Levi podał Roberowi prosty futerał z szarej skóry – proszę otworzyć, przeczytać i przekazać panu komendantowi.

„...niniejszym potwierdzam, że Jego Świątobliwość kardynał taligojski i bergmarski Levi posiada prawo do odwiedzania zamku Bagerlee w każdej chwili i do rozmowy bez świadków z każdym więźniem, oficerem, żołnierzem lub służącym. Może także przyprawdzać ze sobą osoby duchowne lub inne według swojego uznania. Aldo Rakan.”

Zaiste w zakonie Sławy przysięgano nie tylko na miecz, ale i na pióro! Kardynał poczekał, aż Moren przetrawi list, i wyciągnął rękę. Komendant ze skamieniałą twarzą oddał rozkaz.

– Z kim z więźniów wasza świątobliwość życzy sobie rozmawiać najpierw?

Kardynał schował dokument do futerału i niespiesznie wstał.

– Z księciem Alvą.

Dokąd oni szli, o czym kardynał rozmawiał z komendantem, ile czasu zajęła droga, Bagerlee był wielki, czy wręcz przeciwnie – mały?

Rober gdzieś skręcał razem ze wszystkimi, kiedy go pytano, odpowiadał „tak” albo „nie”, gorączkowo zastanawiając się, jak przekazać Krukowi, że ksiązę Epineix zdradził Aldo Rakana i posłał po Savignaca. Jeszcze rankiem najtrudniejsze wydawało się trafić do zamku. Trafił, ale co dalej?

Roke zapyta o Moro, on odpowie, a co potem? Oni nie mogą rozmawiać jak przyjaciele, a jak mogą? Co się mówi, przychodząc do więzienia, by odwiedzić wroga, który cię nie zabił, nie wydał, a wypuścił? Wroga, który nie zdradził ani swojego króla, ani swojej przysięgi? Jak dać do zrozumienia, że jesteś gotów nie tylko oddać dług, ale przechodzisz pod inne sztandary?

Służący zadzwijał zasuwami i zamkami, drzwi, równe grubością wrotom twierdzy, niechętnie się otworzyły i w twarz zmarłego w nieskończonych korytarzach Robera uderzył nieledwie kagecki żar. Levi skrzywił się i zwrócił do Morena:

– Zbyt duszno.

– W dole jest piekarnia – obojętnie wyjaśnił komendant i Rober poczuł pragnienie zabójstwa.

Pokój, do którego weszli, był najzwyczajniejszy, co najwyżej nie było w nim okien. Światło lamp dziwnie tańczyło po nagich suchych ścianach, wychwytyjąc to róg stołu, to drewnianą ławę, to stare biurko. Kruka w pokoju nie było, za to w ścianie ciemniały dwie wąskie arki. Sierżant postawił lampę na stół, czworo strażników stanęło przy drzwiach. Epineix widział twarz Morena, była zła i zakłopotana: komendant wyraźnie nie wiedział, co ma robić. Levi z rozdrażnieniem machnął ręką i generał ochoczo usiadł na skrzypiącej ławie.

– Ksiązę Alva – niegłówno powiedział jego świątobliwość – Jestem Levi, kardynał taligojski i bergmarski. Przybyłem z Agarisu i muszę z panem porozmawiać. Jest pan tutaj?

– Kardynał – powtórzył ochryply, senny głos – Wychodzi na to, że jestem nie w Zmierzchu, a w Świcie? Cóż za niespodzianka...

– Roke Alva – zaznaczył swoją obecność Moren – jest pan w Bagerlee i chce z panem mówić jego świątobliwość.

– Pułkowniku – zapewnił niewidoczny Alva – kiedy znajdzie się pan w Świcie, bez wątpienia mianują pana głosem Stwórcy.

Policzek Morena zadrżał. Levi bez zbędnych słów podniósł lampę i ruszył w kierunku głosu. Komendant szarpnął się śladem.

– Proszę tu zostać – nie bacząc na żar, oczy duchownego były lodowate. Nazwany pułkownikiem generał przymarzył do podłogi. Epineix nie miał ochoty lubować się nowym posągiem.

W sypialni, jeśli to była sypialnia, było jeszcze goręcej niż w przedpokoju. I ciemniej. Żółte światło wylało róg łóżka, opartą o ścianę gitarę, samotne krzesło, na którym usiadł kardynał. Inochodziec, wytarłszy pot, stanął za ramieniem jego świątobliwości. Oczy stopniowo przywykały do mroku i Rober dojrzał więźnia w jasnej koszuli niewiadomego koloru. Alva siedział na łóżku, podciągnąwszy pod siebie jedną nogę i wyprostowawszy drugą. Rozsznurowany kołnierz, opuchnięte usta i rozsypane na ramionach włosy odmładzały marszałka, zamieniając go niemal w młodzieńca.

– Przecież tu nie można oddychać – Levi uniósł rękę, rozluźnając kołnierz – Pana jeszcze dzisiaj przeprowadzą w inne miejsce!

– Kenallijczykowi nie może być gorąco – wzruszył ramionami Kruk – Poza tym nie należy robić problemów naszemu pułkownikowi. On dopiero wczoraj wybrał dla mnie te pokoje.

– Wczoraj? – Levi chciał zapytać o coś jeszcze, ale z pierwszego pokoju doniosło się:

– Roke Alva kłamie. On znajduje się w tym pomieszczeniu ósmy dzień.

– Tak? – zdziwił się więzień – A mnie się wydawało, że pan Rakan ostatni raz odwiedzał mnie wczoraj. Jak szybko płynie czas.

– Ksiązę – ręce kardynała nawykowo dotknęły mgliście błyszczącego gołębia – tutaj nawet ja czuję się nieswojo, chociaż dopiero co wszedłem i mam prawo wyjść. Nie wątpię, że jego ksiązęca wysokość nie ma nic wspólnego z tym znęcaniem się. Będę nalegał na zmianę komendanta Bagerlee.

– Nie warto – pokręcił głową Kruk – Z tych, których nie zdążyłem zabić, Moren jest bez

wątpienia najlepszy.

– W takim razie porozmawiajmy o panu. Czy mogę w jakiś sposób złagodzić pański los?

– Nie sądzę, żeby była taka potrzeba – uśmiechnął się Alva – tym bardziej, że mój los w żadnym razie nie zależy od pana.

– Tak pan sądzi? – zainteresował się kardynał.

– Jestem tego pewien – potwierdził Alva. Leie Astrape, on tu jest ósmy dzień. Ósmy!

– Niemniej jednak – beznamytnie powiedział jego świątobliwość – muszę zapytać, kto jest pańskim spowiednikiem i czy potrzebuje pan jego pomocy?

– O ile pamiętam, spowiednika nie mam – Alva znów się uśmiechnął – ale jeśli pan nalega, jestem gotów przyjąć odpuszczenie grzechów od mojego króla jako od głowy również mojego Kościoła.

– Książę Alva – Levi niedobrze zmrużył oczy – Czy mogę pana prosić, żeby pan wstał?

– Po co? – zdziwił się Kruk – Pan nie jest damą ani królem, a ja nie jestem esperatystą.

– Wydaje mi się, że ma pan na sobie łańcuchy.

– A – potrząsnął głową Alva – cóż za głupstwo. Proszę nie zwracać uwagi.

– Dobrze, niech pan nie wstaje – kardynał podniósł się z siedziska, które skrzypnęło z oburzeniem, i podszedł do łóżka – Książę Epineix, proszę pożyczyć mi sztylet.

Rober wyciągnął broń Milży, podał Leviemu. Zdejmować łańcuchy sztyletem? Śmieszne! Coś takiego mogło przyjść do głowy tylko duchownemu. Albo Iris Ockdell.

3

Levi schylił się nad Krukiem, badając kajdany, zdolne utrzymać byka. Książę, przechyliwszy głowę na ramię, obserwował kardynała z uprzejmą obojętnością. Z bliska Alva już nie wydawał się młody. Zapadnięte policzki, sińce pod oczami, ciemne usta, na kościach policzkowych rumieniec. Zbyt jaskrawy dla zdrowego człowieka. I jemu nie jest gorąco w tym piekle! Gorączka? Rober rozejrzał się w poszukiwaniu wody albo, co byłoby lepsze, wina i niemal od razu zobaczył imponujący kryształowy dzban. Na szczęście, pełny.

– Roke, chce pan wody? – Stwory Zmierzchu, on nie powinien nazywać Kruka po imieniu. Tutaj nie powinien!

– Książę Epineix – skrzywił się Alva – nie przypominam sobie, żebyśmy pili bruderszaft.

– Proszę o wybaczenie – z wdzięcznością przeprosił Rober – No więc nalać panu? Ja osobiście chcę pić.

– W takim razie niech pan poprosi pułkownika – poradził Kruk – Ta woda jest słona, ona tu stoi dla ozdoby. Słodkiej jeszcze dzisiaj nie przynosili.

– Dobrze – Rober zrozumiał, że traci oddech – zaraz poproszę.

Moren ze zdziwieniem spojrział na Pierwszego Marszałka Taligu, który z bergerską skrupulatnością rozstawiał na stole dzban i szklanki.

– Panie komendancie – tak właśnie popełnia się głupstwa, bezużyteczne, niepotrzebne, wpędzające do grobu siebie i innych – proszę nalać wody.

– Monsignore – zadarł podbródek Moren – proszę o wyjaśnienia.

– Oto one – Rober wyciągnął pistolet, położył na brzegu stołu. Nienawiść była zimna i ciężka jak zmrożony gład – Nalewaj. Po brzeg!

Moren wzdrygnął się, ale przechylił dzban. Polała się woda. Błyszcząca struga, bulgocząc szyderczo, napelniała jedną za drugą rozkoszne – w sam raz dla króla – naczynia. Alacki kryształ, ciemność, żar, sól... Ręce Morena drżały. I dobrze. Bardzo dobrze, wprost wspaniale!

Inochodziec Epineix patrzył na komendanta Bagerlee, ale widział Stanclera. Błatego, z wykrzywioną twarzą i rozbieganymi, zaszczytymi oczkami. *I ten człowiek wyciąga łapy po dusze i korony? Jakże by straszne nie były Pierwotne Stwory, pożrą nas nie one, a yzargi!*

– Pij, er Auguście. Zapewniam, nigdy nie pił pan takiego wina.

Dlaczego on tak długo czekał? Przecież było jasne... Zabijać trzeba w odpowiedniej chwili, a on się spóźnił. O pięć lat, jak nie więcej...

– Monsignore! Co pan robi?! Wasza świątobliwość!

Stancler zniknął. Przed naprowadzoną lufą, zakrywając się ręką, cofał się pułkownik Moren. Co za podlec! Ale karta już na stole. Wypije – i niech spada, choć w Zmierzch, choć w Paone!

– Pij – kazał Rober – Do dna.

Moren szybko podniósł najbliższą szklanę, nieco wody wychlusnęło na stół. Kardynał się nie pojawiał. Nie słyszał? Akurat.

– Pij – powtórzył książę Epineix i generał przełknął. Gładko wygolona twarz zmarszczyła się, ściągnęła ku ostremu nosowi, zamieniając w jakąś mordę. Komendant Bagerlee pił, zalewając niezdatną do picia wodą zhańbiony mundur, a Pierwszy Marszałek wielkiej Taligoi patrzył, nie mając sił rozluźnić zaciśniętych na pistolecie palców. Moren opróżnił szklanę, na wążach i szyi błyszczały krople, oczy nalały się krwią.

– Bierz drugi – Inochodziec kiwnięciem wskazał stół – bierz i pij.

– Nie – głos Morena zrobił się ochryple. Ze strachu czy od soli? – Monsignore... zapewniam pana... Wypełniałem rozkaz jego wysokości...

– Aldo kazał ci trzymać Kruka w tym piecu i poić solą? – warknął Rober, zapominając, że suzerena nie wolno nazywać po imieniu – On ci to rozkazał?

– Jego wys... Kiedy on był tu czwarty raz... Rozkazał wyjaśnić marszałkowi, że jego czas minął.

– A ty postanowiłeś wyjaśnić, że przyszedł czas niegodziwców? – leie Astrape, wszystko wymyślił gorliwy podlec, Aldo o niczym nie wie! Ani o piekarni, ani o wodzie, której nie można pić... Oczywiście, że nie wie! Suzeren zagalopował się, stracił głowę, ale to szalenie, a nie rzeźnik.

– Więcej nie będzie pan rządził się w Bagerlee – Levi jednak się pojawił. W otworze arki jego świątobliwość mógłby zostać uznany za esperatyjską ikonę, gdyby na jego twarzy nie malował się wyraz bardzo daleki i od łagodności, i od miłosierdzia.

– Odpowiadam tylko przed jego wysokością – w obecności kardynała nie można zabić, łajdak to rozumie i ożywa w oczach. Padlina! A takich u Aldo jest większość.

– Jego książęca wysokość Aldo Rakan jest wiernym synem Kościoła – uciał Levi – on usłucha słów sług Stwórcy. Niech pan rozkaże natychmiast podać wody, wina i świec i zdjąć łańcuchy. Książę Epineix, czy może pan zostać tutaj, dopóki będę wybierał dla księcia Alvy przyzwoite pomieszczenie?

4

Trzasnęły drzwi, zabrzęczały liczne zasuw. To na pół godziny, najwyżej na godzinę, on sam postanowił zostać, a mimo to... Śmierć w walce lepsza od więzienia, tak że braciom, można powiedzieć, się udało. Rober wziął drugą lampę i wrócił do Alvy. Kruk nadal siedział na łóżku, z półprzymkniętymi oczami.

– Książę... – w pierwszym pokoju czterech strażników. Co oni usłyszą, co zrozumieją?

– Epineix? – sprecyzował Alva, nie odwracając głowy – Coś pana interesuje?

Interesuje. Po jakie koty wróciłeś do Taligu i złożyłeś broń? Dla króla i zakładników? Ale o egzekucji oznajmiono dwanaście dni wcześniej, przez ten czas wieści ledwie co zdążyły dotrzeć do Urgotelli. Nie, Kruku, wlałeś w pętlę z innego powodu. Zrobiłeś to, co chciałeś, czy nie zdążyłeś?

– Moro jest zdrowy – oznajmił Władca Błyskawic, chociaż nikt go nie pytał – ale tęskni. Wyjeżdżam z nim każdego ranka.

– Dziękuję – ochryple podziękował Alva. Leie Astrape, o czym z nim rozmawiać? I jak? Mogliby chociaż wodę szybciej przynieść, bękarty!

– Gra pan? – Rober wskazał na gitarę przy ścianie.

– O nie – machnął ręką Alva – pan pułkownik był tak uprzejmy, że przysłał mi portret swojego nowego pana.

Epineix nie wiadomo po co wstał i dotknął instrumentu. Na nieszczęsnej gitarze nie było strun.

– Zdziwiający podobieństwo, czyż nie? – brzęknęły łańcuchy, Alva w końcu raczył zwrócić się twarzą ku rozmówcy. Na rękawie koszuli coś ciemniało. Krew?

– Co z pana ręką? – z ręką, z życiem, z duszą? Stwory Zmierzchu, nie milczże tak! Obrażaj, szydź, przeklinaj, tylko nie milcz!

– Nic szczególnego – świeckim tonem odpowiedział Alva – Pan Levi próbował zdjąć łańcuchy, polala się krew. Z duchownymi to się zdarza.

– Jest pan niesprawiedliwy wobec jego świątobliwości, on chce panu pomóc – to czysta

prawda, ale spróbuj wyjaśnić złapanemu w potrzask wilkowi, że ma on przyjaciół!

– Być może, jestem nieco stronnicy – zgodził się Alva i znów umilkł. Rober szarpnął kołnierz koszuli, nie wiedząc, kto z nich dwóch traci oddech od czarnego, głuchego żaru. Swarliwie trzasnęło wyschnięte drewno, w dalszym pokoju kilka razy z rzędu kichnął żołnierz. Kruk poruszył się, może próbował odrzucić z czoła włosy, a może po prostu zadrżał. Leie Astrape, jak mu powiedzieć, że już nie jest sam?

– Zamierzam się ożenić – wypalił Rober – z Iris Ockdell. Ona już wyjechała do Nadoru. Po Zimowym Przełomie pojedę po nią. Być może, sprawy zatrzymają mnie... na północy, ale potem wrócimy do stolicy.

– Jest pan śmiałym człowiekiem – znużonym głosem oznajmił Kruk – Ja bym na pańskim miejscu uciekł.

Alva uniósł skute rękę, w dziwny sposób składając palce. W kręgu światła pojawił się rogaty jeleni. Czarny cień zerwał się do góry, jak w skoku. Alva znów złożył palce, na ścianie potrząsnęła grzywą końska głowa. Koń... Jeleń... Znów koń... Epineix – Savignac – Epineix...

– Są damy, od których lepiej trzymać się jak najdalej – zaśmiał się Roke i zakaszłał – Przepraszam, książe. Stołeczny klimat nie jest odpowiedni dla południowców.

– Monsignore! – w otworze pojawiła się niezgrabna figura – Komendant łańcuchy przysłali zdjąć...

– No to zdejmuj!

Kowal zajął się przecinakiem i Rober się odwrócił. W skroniach stukało, włosy zlepily się i wlażyły do oczu. Ile on wytrzymałby w tym piekle, nie wariując i nie rozbijając sobie głowy o ścianę? Trzy dni? Pięć? Czy dociągnąłby do ośmiu?

– Widuje się pan z Ockdellem? – zainteresował się Alva przez stuk przecinaka – Słyszałem, że ten godny młody człowiek wrócił, nie będzie panu trudno coś mu przekazać?

– Nie, panie – w ton Roke odezwał się Epineix – Trzy dni temu Richard Ockdell bił się z Walentynem Priddem.

– Bił się? – w ochryplym głosie pojawiła się ciekawość – I kto wygrał?

– Obaj są ranni. Richard – w rękę, Pridd – w udo. Fechtowałem z Dickiem, nieźle mu idzie – leie Astrape, o jakich głupstwach oni mówią, chociaż dlaczego „oni”? Mówi, to znaczy próbuje mówić, tylko jeden.

– Nieźle? Cóż, miło to słyszeć – na pięknej twarzy nie było ani zainteresowania, ani bodaj złości, tylko uprzejma uwaga gospodarza, skazanego na słuchanie nudnego gościa – Widocznie te same słowa należy adresować także do młodego Pridda.

– O ile zrozumiałem, Richard zwyciężał. Zranił przeciwnika, ale ten dał radę się odegrać.

Dickon się zagalopował. On zbyt łatwo traci głowę, chociaż kto to mówi... Za to Walentyn – lodowata bestia. Z raną w udzie nie da się biegać, o wszystkim zdecydował jeden cios. Nieoczekiwany, niezwykle... Podnieść leżącą daleko szpadę lewą, „przeklętą” ręką i zrobić wypad. Z dołu do góry, z całej siły. Bardzo łatwo, jeśli się wie, jak.

Stwory Zmierzchu, i kto tylko ich, takich, uczy? Dobrze, że dureń uciekł z Ollarii, a nie wplątał się w tuzin pojedynków. I przecież przez tydzień się go nie nauczy, chociaż...

– *Panie, jest pan zabity, proszę wyjść z kręgu! Następny!*

– *Poczekaj, Albercie. On jest tylko ranny. W nogę.*

– *No, jak uważasz...*

– *Sięgnij po szpadę, hrabio. Nie wstawać! Jesteś ranny, i to poważnie... Sięgaj po nią lewą... Tak, powiedziałem „lewą”, wyrzuć z głowy jeszcze i tę bzdurę... Patrz mi w oczy i sięgaj! W oczy, powiedziałem! Zwiąż mnie spojrzeniem. Dosięgnęś? A teraz – wypad! No! Silniej! Ostrzej! To twoje życie, panie! Ono panu jeszcze będzie potrzebne...*

– Gotowe, monsignore – kowal łapał powietrze ustami jak ryba.

– Zabieraj się do kotów i przypomnij o wodzie!

– Tak jest – pochyłony cień na mgnienie oka zasłonił Alwę i zniknął.

– Książe – Kruk przykrył dłońmi oczy, taki znajomy gest – Niech pan będzie bardziej powściągliwy, szczególnie przy służących.

– Nie jestem z żelaza – odciął się Epineix – W odróżnieniu od pana.

Człowiek na łóżku odrzucił z czoła przylepione pasmo:

– A propos żelaza, niech pan nie zapomni o swoim sztylcie.

Coś świsnęło, biriezyjskie ostrze niemal na jedną trzecią weszło w rozeschniętą drewnianą różę. Pierwszy Marszałek Taligu kolejny raz nie zabił Pierwszego Marszałka Taligo. Rober z trudem wyszarpnął prezent Milży i wsunął w pochwę, zgadując, czy Kruk poznał sztylet, który sam zwrócił jeńcowi.

– Dziękuję, panie.

– Nie ma za co...

Duchota robiła się nie do wytrzymania, koszula kleiła się do pleców, kaftan zamienił się w narzędzie tortur, ale Inochodziec z jakiegoś powodu nie mógł go zdjąć w obecności Alvy. Stuknęły zasuwę i Epineix skoczył na spotkanie strażnika, który przyniósł wodę, wino i świece.

– Chce pan wodę czy wino?

– Zależy jakie wino – Roke w końcu raczył wstać i podszedł do stołu – Kageckie, na pierwszy rzut oka znośne... Nalać panu?

– Tak.

Białe jaskółki wśród pomarańczowych róż, słodkie wino, słodkie słowa... Czy to naprawdę Rober Epineix siedział przy bijącej ze złotej muszli fontannie, a siwy kazar proponował mu rękę córki i radził trzymać się z daleka od starych tajemnic?

– Adgemar Kagecki był mądry – Roke Alva w zamyśleniu kręcił w dłoni kielich – on nikomu nie wierzył. Szczególnie sojusznikom. Szkoda, że mu się nie udało.

– Szkoda?!

– On naprawdę mógł zrobić z Kagety coś wartościowego – Kruk upił wina. Rober na jego miejscu już by wypił pół dzbanka wina, a wodę wylał sobie na głowę.

– Za słodkie – Kenallijczyk odstawił kielich, ciemne usta wykrzywił uśmiech – Już lepsza woda.

– Nie mogę się nie zgodzić – czy nie można się po prostu napić? Po co dręczyć siebie samego, jaki w tym sens?

– Gorąco panu? – dłonie Kruka znów splotły się w jelenią głowę – Niech pan zdejmie mundur, będzie panu lżej, a dam tutaj nie ma i nie zanoszą się na to, żeby były. A szkoda. Jak pan myśli, jeśli poproszę Leviego o podobnego rodzaju przysługę, on zemdleje?

– Wątpię – Rober pospiesznie osuszył szklanekę i nalał jeszcze – On zaczynał w zakonie Sławy, kiedy magnusem był tam Adrian.

Alva wzruszył ramionami. Nie obchodził go zmarły Esperador, a co go obchodziło? Rober wpatrzył się w nieruchomą, ostrą twarz. Kruk powoli pił wodę, smakując każdy łyk, a plama na koszuli ze szkarłatnej stawała się bura.

– Monsignore – nieznajomy tenent wynurzył się z ciemności jak stwór zmierzchu – wszystko gotowe. Księcia Alwę przeniesie się do komendanckiego skrzydła. Jego świątobliwość prosił przekazać, że spowiada pana Stanclera, ale przyjdzie, jeśli książę Alva potrzebuje pociechy i rady.

– Nie potrzebuje – zapewnił Kruk, kolejny raz zakrywając oczy – Cóż, Epineix, żegnam. Rad byłem pana widzieć, ale czwarte spotkanie raczej nie będzie nam potrzebne.

– Chciał pan coś przekazać księciu Ockdellowi – przypomniał Rober.

– A, tak – Roke Alva przeciągnął się – To oczywiście głupstwo, ale w niektórych rodzinach z jakiegoś powodu do takich rzeczy przykładają się dużą wagę. Proszę przekazać Władcy Skał, że uważam jego naukę za zakończoną. Jest godzien stać się jednym z taligojskich rycerzy. Potwierdzam to wobec ziemi i niebios. Młody Ockdell jest wolny od przysięgi giermka i od tej chwili nie ma wobec mnie żadnych zobowiązań.

ROZDZIAŁ 5

GELBE I RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 9 dzień Jesiennych Błyskawic

Germon Arigau odłamał spory kawałek zasychającego ciasta, wsunął do ust i zapił winem. Generał nie wyróżniał się wyrafinowaniem i wytwornością, w tym sensie, że jego własne nieszczęścia i ogólnoswiatowe biedy nie pozbawiały go ani snu, ani apetytu. Nawet pozbawiony

dziedzictwa i zesłany Germon i tak jadł jak koń i spał jak suseł, więc i teraz wisząca nad głową wojna i strata, która spadła na fok Warzowa, choć i szarpały duszę, nie przeszkadzały z niecierpliwością czekać na obiad, tym bardziej, że nic innego do roboty hrabia nie miał. Przybyły nocą marszałek Zachodu ze swoją zwykłą skrupulatnością wyjaśnił, co się działo w czasie jego nieobecności, i zamknął się z baronem Reinsteinerem. Ani Arigau, ani Davenporta, ani Ansela nie poproszono o pozostanie i każdy zajął się swoimi sprawami. Anthony z Anselem pojechali doganiać wycofujące się oddziały, a Germon objechał opustoszałe obozy i poszedł na obiad, a raczej oczekiwać rozkazu.

„Gęsi” krzątały się już trzeci dzień, pewnie dostały najjaśniejszy rozkaz, każący odzyskać Gelbe, a jeszcze lepiej – Południową Maragonę.

Germon przeżuł ciasto i wpatrzył się w mapę. Między Lausschen, którą on zostawi przy pierwszym poważnym nacisku, i Herbste nie było niczego, poza niskimi wzgórzami, gdzieśgdzie przeciętymi wąwozami i wysychającymi na jesieni rzeczkami. Gelbe było doskonałym buforem między wrogimi państwami i jeszcze doskonalszym miejscem dla starcia w stylu niezapomnianego Pfeichteiera. Arigau wziął niebieski ołówek i najlepiej jak potrafił narysował gęś w koszyku, na którym napisał „30”.

Na trzydzieści tysięcy oceniano „starą” driksieńską armię, pozostawioną w Löne po niepowodzeniach dziewięćdziesiątego siódmego roku, kosztujących Friedricha marszałkowską buławę, a jego wysokość Gotfryda – Płaskowzgórze Gelbskie. Prawdę powiedziawszy, Germon wolałby widzieć „Zuchwałego księcia” na przedzie wojsk i teraz, ale niestety, niespożyty Friedrich utknął w Gaunau, a przeciw fok Warzowa wystawiono Bruno. Stary byk szesnaście razy sprawdzi i jeden raz zrobi krok, nie bacząc na oczywistą przewagę.

Rudolf pisał, że jako uzupełnienie siedmiu tysięcy konnicy w Löne przerzucono jeszcze cztery tysiące. Podeszła i piechota, choć nie tak dużo, jak mogłoby być, gdyby „gęsi” nie otworzyły dzioba na Hexberg. Wywiadowcy Ansela potwierdzali przybycie rezerw. Po buncie w Ollarii Driksieńczycy przestali grać w chowanego, ale i tak ostatnią kroplą stała się wieść o Alvie...

– Mój generale – roztropny kapral z czarnymi wąsami i rudymi brwiami dał radę nie tylko wejść z tacą, ale i zamknąć za sobą drzwi – pański obiad!

– Dziękuję, Franz – Germon podniósł przykrywkę, łapiąc nozdrzami zapach pieczonej w czosnku kury – Wybijacie?

– Trzeba – brwi Franza opuściły się męczeńsko – Przecież nie zostawimy!

– W takim razie urządźcie ucztę zgodnie ze wszystkimi zasadami – zarządził generał – Bruno dziś i jutro jeszcze na pewno będzie się krzątał, żeby mi do tego czasu tylko myszy po Lausschen biegały!

– Będzie zrobione – warknął wojak i umilkł, z psim oczekiwaniem patrząc na dowódcę. Arigau chrząknął i wprost pod niebieskim gąsiorem napisał polecenie dla intendenta: wytoczyć do kolacji „odpowiednią ilość młodego wina”. Uskrzydłony kapral pomknął łapać ocalałe kury, a Germon wziął się do gorącego jedzenia, ale przełknął tylko kilka łyżek. Tym razem generalskie osamotnienie naruszył Eugen.

Berger był pochmurny, spięty i trzymał na ręce zimowy płaszcz.

– Jedzie pan? – Germon odłożył łyżkę i wstał. On i Eugen trzeci dzień byli na „ty”, ale Arigau cały czas o tym zapominał. W odróżnieniu od Eugena.

– Wyjeżdżam do rezydencji regenta – wyjaśnił baron, starannie kładąc płaszcz na kufrze – chcę się pożegnać i życzyć ci szczęścia w wykonaniu zamyślnego manewru.

– A obiadu nie chcesz? – Germon wytrząsnął na stół ciasteczka, oswobadzając miskę – Rudolf nie cierpi, kiedy się głoduje bez uzasadnionej przyczyny.

– Z przyjemnością zjem obiad w twoim towarzystwie – Berger wprawnie zdjął z najbliższego krzesła wszelkie różności. Nic nie powiedział, ale Germon w myślach obiecał sobie, że w nowej kwaterze będzie wykorzystywał krzesła wyłącznie do siedzenia.

– Zamierzasz wrócić – Arigau po bratersku rozdzielił złocisty bulion – czy zostaniesz przy księciu?

– Jeśli nie będzie innych rozkazów – baron wziął ciasteczko – to liczę, że spotkam się z wami za jakiś czas w okolicach Donnerwaldu.

– Byłbym rad – zupełnie szczerze powiedział Arigau – ale najpierw trzeba upewnić Bruno tak w naszym odejściu, jak i w tym, że idziemy na Ollarię. Właśnie, gdyby to ode mnie zależało, to

byłoby drugie, co bym zrobił. Po walce w Gelbe.

– To czyni zaszczyt twojemu sercu, ale nie twojemu rozumowi – oznajmił Reinsteiner, poważnie biorąc się za ciasteczka – a nasz obiad czyni zaszczyt kucharzowi i intendentowi.

– Podziękuj Driksom – poradził Germon – Wszystko, czego nie uda się wywieźć i zjeść, trzeba będzie spalić. Ta kura to pierwsza z ofiar nowej wojny i ostatnia z danych nam radości.

– Piszesz wiersze? – uściślił Berger – Jeśli tak, to nie czytaj ich, dopóki jemy. Od dzieciństwa nie lubię poezji.

– Przeraża mnie nasza jednomyślność – mruknął Germon, rozrywając mimowolną ofiarę jego wysokości Gotfryda na pół.

– A mnie przeraża sytuacja w centrum kraju – Eugen Reinsteiner nadal nie rozumiał żartów i rozumieć ich nie zamierzał – Zupełnie nie widzę przyczyn, które kazały Pierwszemu Marszałkowi się poddać. I jeszcze mniej mogę wyjaśnić, co kazało mu porzucić Urgotellę. Mogę sobie wyobrazić, czym kieruje się Driksen, dlatego tutaj jestem spokojny, ale nie jestem w stanie zrozumieć, jak człowiek z tak idealną reputacją jak książę Alva dokonuje przeczącego zdrowemu rozsądkowi postępku. Powiedziałem coś śmiesznego?

– Wybacz – żartobliwość to nie ta cecha, z którą należy przesadzać w przyjaźni z Bergerami – poraziło mnie to, że nazwałś Alwę człowiekiem z idealną reputacją.

– Ale tak właśnie jest – w błękitnych oczach nie było ani cienia uśmiechu – Pierwszy Marszałek Taligu nie przegrał ani jednej kampanii i nie podjął ani jednej decyzji, która by nie była usprawiedliwiona. To, co on robi, zawsze jest rozsądne, wystarczy wspomnieć letnią kampanię 387 roku.

– Mówisz o zabójstwie Carliona? – na wszelki wypadek upewnił się Arigau.

– Naturalnie – potwierdził Berger – Sytuacja żądała natychmiastowej interwencji, Gregory Carlion temu przeszkadzał, należało go usunąć. Podaj mi sól, proszę...

2

– Proszę zameldować jego wysokości – znudzonym głosem powiedział Rober – że przybył książę Epineix.

– Jego wysokość jest zajęty, u jego wysokości jest jej książęca wysokość – ucieszył czarny gimnet. Chyba był z oddziału Rocksleyów, a może i nie. „Nie, gimnet, sonet...” I dlaczego on nie pisze wierszy?

– W takim razie niech pan zamelduje jego wysokości, że jego świątobliwość Levi, przyjąwszy spowiedź Augusta Stanclera i Ferdynanda Ollara, pojechał do swojej rezydencji w Nosze. Książę Alva, będąc zdeklarowanym ollarianinem, odmówił spowiedzi. Jego świątobliwość prosił przekazać, że jest gotów przyjąć jego wysokość wieczorem.

W ogóle to Levi uważał suzerena za książęcą wysokość i Rober wcale nie był pewien, że Agaryjczyk, odwiedzwszy Bagerlee, zechce widzieć Aldo Rakana królem. Nowy kardynał nie był święty, jak nieszczęsny Honore, ale w jeszcze mniejszym stopniu był kanapowym pieskiem. Kardynał nosił emaliowanego gołębia, ale zęby miał lwie¹⁵.

– Moje uszanowanie, książę – David Rocksley w kirysie ze Zwierzem mógłby ująć za uczestnika misterium, gdyby nie złość w zaczerwienionych oczach – Chciałbym z panem porozmawiać o cywilnym komendancie.

– Raczej nie powie mi pan nic nowego – i nic, czego bym nie mówił Aldo – za to mogę pana ucieszyć. Jego świątobliwość Levi odmówił udzielenia błogosławieństwa Insmillerowi.

– Już słyszałem – kapitan gimnetów uśmiechnął się niewesoło – Jak tak dalej pójdzie, zostanę esperatystą. A co na to Szubienicznik?

– Był nieprzyjemnie zdziwiony – zapewnił Rober podniesionego na duchu Davida – Mam nadzieję, że to tylko początek, kardynał wygląda na stanowczego człowieka.

– Oby Stwórca mu dopomógł – z uczuciem życzył David, poprawiając napierśnik – Gdyby on nas jeszcze od tego potwora wybawił. A co? Bestia według wszystkich artykułów bezbożna, czyżby święty ojciec ją ścierpiał?

Stuk halabard oznajmił, że suzeren przerwał rozmowę z Matyldą. Rocksley wyprostował się zuchowato, bezczelnie błysnął skrytykowany kirys. Epineix po jakiejś koty przyglądził włosy i poprawił szpadę.

– Marszałku – twarz Aldo płonęła – idziemy do małego gabinetu, jesteś mi potrzebny.

15 Aluzja do symbolu zakonu Sławy, w którym zaczynał Levi – Iwa ze świecą.

Kapitanie, nikogo nie przyjmuję. I odprowadźcie... Niech Manzell odprowadzi jej książeczkę wysokość do jej apartamentów.

Jego wysokość z całego serca trzasnęła drzwiami, zamasyście przekręcił klucz, podszedł do okna, szarpnął zasłony, ale przeliczył się z siłami. Dwa pierścienie pękły i biały brokat obwisł. To pomogło – suzeren z niezrozumieniem patrzył na dzieło swoich rąk, potem się roześmiał.

– Siadaj! Ależ się rozżłościłem.

– Ja też – ruszył do ataku Inochodziec – Jeśli ty nie powiesz Morena, to ja to zrobię.

– A co on zrobił? – Aldo opadł na fotel i wyciągnął nogi – Nie ma nic gorszego od spotkania z krewnymi, wcześniej tego nie rozumiałem.

– Mówisz o Matyldzie? – nie uwierzył własnym uszom Inochodziec.

– O Matyldzie, ale o niej później, wciąż jeszcze kąsam. No to co tam z Morenem?

– Coś ty mu rozkazał?

– Nic – Aldo ze zdziwieniem patrzył na Robera – nic takiego...

– Nic? – wychylił się w przód Rober – Dobrze pamiętasz?

– Przyznaję, że mnie twój Alva wyprowadził z siebie – suzeren nachmurzył się – Nie nauczono mnie podnosić ręki na człowieka bez broni i on to wykorzystał. To nie Kruk, a jakaś zmija! Niezłą przysługę mi z nim wyświadczyłeś. Zabić nie można, ścierpieć nie można jeszcze bardziej. Krótko mówiąc, przyszedłem do siebie dopiero na koniu.

– A Moren?

– Nie wiem! Może palnąłem coś w złości... Ręce mnie swędziały, żeby tę uśmiechniętą gadzinę wykończyć na miejscu. Próbowałem z nim rozmawiać po dobroci, cztery razy próbowałem, ale łatwiej dogadać się z wężem, niż z tym... A co zrobił Moren?

– Zamknął Alwę w jakimś piecu nad kuchnią. Bez okien. Ja tam przez godzinę omal nie zdechłem, a on przesiedział osiem dni. Ciemność, że oko wykol, szklanka wody na dobę, za to słonej – pięć dzbanów, gdzie nie spojrzysz – dzban. Alacki!

– I co? – zmrużył oczy suzeren – Pomogło?

– Co? – zaciął się Epineix – Co masz na myśli?

– Twój przyjaciel zrobił się uprzejmniejszy?

– Roke Alva nie jest moim przyjacielem – Rober usłyszał swój głos i zrozumiał, że warczy – i nigdy nim nie był, ale to człowiek. I my też jesteśmy ludźmi. A może już nie?

– Uspokójże się – poradził Aldo – Nic o tym nie wiedziałem. Co mówi Moren?

– Powołuje się na ciebie. Niby że kazałeś mu wyjaśnić księciu Alvie, że jego czas się skończył.

– Dureń – przypieczętował suzeren – służalczy dureń, choć i z pomysłu. A gdybym mu kazał powiesić to bydło do góry nogami albo utopić?! Mówię przecież, że byłem zły! Ty też byś się na moim miejscu rozżłościł. A co raczył powiedzieć nasz książę kardynałowi?

– Nie był w nastroju do rozmów.

– Coś takiego? – w głosie Aldo można było usłyszeć rozczarowanie – Wychodzi, że pieczenie po morenowsku przyniosło owoce?

– Nie sądzę – przed oczami kolejny raz pojawiły się ciemne usta, zaostzona twarz, czerwone plamy na kościach policzkowych. Z daleka – młodość, z bliska – koszmar – Po prostu Levi był z nim uprzejmy.

– Lepiej by był uprzejmy ze mną – odciął się Aldo – A ja się cieszyłem, że kardynał z Miłosiernych...

– On zaczynał w zakonie Sławy – z niedobrą radością oznajmił Rober – u Adriana. Wypytaj o jego świątobliwość Matyldę.

– Jedno warte drugiego – suzeren skrzywił się z rozdrażnieniem – Jej ciągle się wydaje, że bawię się drewnianymi konikami. Stwory Zmierzchu, Matylda nie chce widzieć, że wyrosłem, bo moja dojrzałość to dla niej – starość! Ja jestem królem Taligoi, a ona to tylko Alatka, która złapała Rakana. Roberze, ona pozostała Alatką. I już nią zostanie. W Sakasci Matylda jest na miejscu, ale tam nie ma miejsca dla mnie... Dla mnie i dla ciebie!

A gdzie ono jest, to miejsce, gdzie Roberowi Epineixowi nie będzie chciało się wyć? Co

najwyżej w Zmierchu...

– Jesteś niesprawiedliwy wobec Matyldy – Inochodziec starał się mówić beztrąsko i spokojnie – A poza tym, sam ją wezwał.

– No właśnie, sam, a teraz myślę, czy nie niepotrzebnie. Pomocy się od niej nie doczekam, a w moje sprawy będzie pchać nos. Już pcha. Nie mówię już o tym, że moja najdroższa babcia przywlokła ze sobą kochankę.

– No, to już jej sprawa.

– Nie jej! – Aldo naprawdę był zły, Rober chyba jeszcze nie widział, żeby złościł się bardziej

– Księżna z domu Rakanów nie może zadawać się z dojeżdżaczem!

– Daj mu tytuł – zażartował Rober – i po sprawie.

– Szlacheckimi tytułami nie wolno szastać – twarz suzerena jakby skamieniała – Nie zamierzam płodzić ordynariuszy, a eorem można się tylko urodzić. Nie kupić, nie zasłużyć, nie zdobyć w czyimś łóżku, a urodzić się. Na tym Rakanowie trzymali się tysiącletni. Ernani krzywonogi, którego ogłosili świętym, dał tytuł najpierw swojemu pacykarzowi, potem innym plebejuszom – i koniec! Nie minęło nawet osiemset lat, jak po imperium zostały same ogryzki.

– Sam zrobiłeś Loura Kileanem-ur-Lombachem – przypomniał Epineix – a Kileanowie są eorami.

– A za Loura – puścił oko suzeren – jestem gotów podziękować twojemu przyjacielowi. Kilean to mój błąd w każdym sensie, ale to się nie powtórzy.

– Jeszcze trochę – nie wytrzymał Inochodziec – i uwierzę, że Alva to mój przyjaciel.

– Dobrze już – ze skruchą burknął Aldo – Kogo ugryziesz, jak nie przyjaciela? Gdybyś nie przyszedł, ja bym chyba pękł od tych babskich głupot...

Co takiego powiedziała Matylda? Nazwała ich tymi, kim naprawdę są? Na to wygląda...

– Aldo... – z Matyldą on sam porozmawia, a suzerena trzeba jak najszybciej wsadzić na jego ulubionego konika. Dla uspokojenia – A jak zamierzasz odróżniać eorów od nie-eorów?

– Są sposoby rozpoznawania starej krwi – przełknął przynętę przysły anaks – W Galtarze był plac, na który mogli wejść tylko eorowie. Stwory Zmierchu, czasem mi się wydaje, że wyświadczyłeś mi niedźwiedzią przysługę. Gdybyśmy zaczęli od Galtary, wszystko byłoby łatwiej.

Nie wyświadczał on nikomu żadnych przysług! Po prostu wpadł do rzeki i powlokło go po kamieniach, teraz też wlecze. Alva nawet w Bagerlee potrafi spierać się z wiatrem, a Epineix... Rober pogładził bolący nadgarstek:

– Wasze pojawienie się w Epineix było absolutnym zaskoczeniem. Ja nie zamierzałem szturmować Ollarii.

– Rakany – poprawił Rakan – Nie Ollarii, a Rakany. Czy to tak trudno zapamiętać? Roberze, wiem, że działałeś tak, jak uważałeś za najlepsze. Twoje nieszczęście leży w tym, że nie wierzysz w zwycięstwo. Dla Władcy Błyskawic to po prostu niestosowne.

– Moja sprawa – to zwiastować zwycięstwo¹⁶ – wiernopoddańczo skalamburował Rober, dusząc się odrazą do samego siebie – a zwyciężać musisz ty.

– Dogadaliśmy się – do Aldo znów wróciła jego zwykła radość życia – A Morena rzeczywiście trzeba przegnać. Niech spada do Barsiny jako naczelnik garnizonu. Też wymyślił! Powoływać się na mnie, i to jeszcze przy tym agaryjskim szczurze...

3

Germon, jak i inni mieszkańcy północy, co rusz nazywał fok Warzowa staruszkiem, ale po raz pierwszy to słowo zyskało sens. Marszałek wyglądał strasznie, co nie przeszkodziło mu ostrożnie rozwinąć swojej ulubionej mapy i rozłożyć kolorowych ołówków.

– Może pan odejść, Davenport – Wolfgang zwracał się do podwładnych „pan”, a do przyjaciół „ty”. Teraz przed Germonem był dowódca – i, z błogosławieństwem, zacząć. Przyłączę się do pana, jak tylko wydam polecenia hrabiemu Arigau.

– Tak jest – hrabia Anthony wziął wyświechtany płaszcz, któremu wierności dochowywał już

16 Aluzja do zawołania Epineix: „Zwiastuje zwycięstwo!”.

od ośmiu lat – Powodzenia, Germonie!

– Zabieraj się do kotów – Arigau serdecznie potrząsnął podaną dłonią. Davenport do tej pory

nie wiedział, co się stało z jego synem, ale nie pokazywał tego po sobie. Jedni robią swoje ze sztyletem w plecach, drudzy mdleją, nadepnąwszy na gwóźdź. Takie jest życie.

– Będziemy na ciebie czekać! – generał piechoty Anthony Davenport narzucił na ramiona swoją relikwię i zniknął, zrobiło się obrzydliwie cicho. Marszałek Zachodu wpatrywał się w mapę, dowódca ariergardy udawał, że go tu nie ma.

– Kiedy? – burknął marszałek, nie podnosząc głowy, ale Germon zrozumiał.

– Nie wcześniej niż pojutrze, nie później niż za trzy dni.

– Zgadzam się – Wolfgang odepchnął ołówek, ten potoczył się po mapie i zatrzymał, wpadając na załamanie – Pańskie działania?

– Przyjmę bitwę – powtarzanie matką nauki i babcią porządku – Będę się trzymać, jakbym był armią.

– Dwa dni – burknął Warzow – Trzeciej nocy odejdziesz pan zgodnie z wszelkimi zasadami sztuki wojennej – chcę mieć wzorcową ariergardę. Spali pan wszystko, co płonie, od Bruno oderwie się na jeden dzień marszu – i utrzyma ten dystans. Nie wie pan, że Bruno wie o odstąpieniu i o tym, że jest pan sam.

– Nie wiem – potwierdził Arigau – Przykrywam armię i gotów jestem położyć głowę, ale zachować wasze odejście w sekrecie.

– Jesteś mi potrzebny żywy, łajdaku! – nieoczekiwanie warknął marszałek – Zrozumiałeś?! Żywy!

– Tak jest – Germon wyciągnął się w strunę jak najgorliwszy z kaprali. Wolfgang powiedział tylko to, co powiedział, ale Arigau znał starszka nie pierwszy rok. Davenport liczy na lepsze, fok Warzow przygotowuje się na najgorsze i pewnie się doczeka.

– Nie wygłupiaj się – obrzękniętą twarz wykrzywił uśmiezek, na widok którego Arigau omal nie zawył – ty znasz mnie, ja znam ciebie. Będziemy walczyć.

– Już walczymy – gdyby Wolfgang pił, należałoby mu teraz nalać – i my, i Hexberg, a może i Savignac.

– Nie – Wolfgang już prawie był podobny do siebie, dzięki za to Stwórcy – Drugi raz w ciągu jesieni Gaunau nie zaryzykują, nawet z Friedrichem. Lionel jest wolny.

Wolny i może iść na Ollarię, tylko czy on o tym wie? I kiedy dotrze, nawet jeśli wystąpi? Wystąpi, zwycięży, skręci kark niepojętemu Rakanowi i całkiem pojętym Rocksleyom. Szkoda tylko, że powieszni łajdacy to zaledwie powieszni łajdacy. Pellota wyłowiono i powieszono, ale ci, których zdradził, nie zmartwychwstali...

– W Hexbergu przewaga jest na naszej stronie – palnął Germon to, co fok Warzow wiedział lepiej od niego – „Gęsi” przyplyną w pułapkę.

– Marikjarczycy zrobią wszystko, co możliwe – zgodził się marszałek, znów wpierając wzrok w mapę. Zazwyczaj w takich wypadkach Germon niezauważalnie odchodził, ale tym razem nogi przywarły do pstrokatego dywanika.

Fok Warzow postawił kilka haczyków i potarł czoło:

– Wiesz, miałem niełatwy wybór. Rudolf prosił wziąć na giermka Roke Alvasete, twój ojciec – poczekać na Gui.

– Gui? – Germon z niezrozumieniem popatrzył na marszałka – Ojciec za niego prosił?

– Dostałem list od Pierre'a – fok Warzow tonął w przeszłości jak każdy inny – prosił, żeby zrobić z Gui sensownego wojskowego i dostojnego dworzanina. Zgodziłem się, wszyscy współczuliśmy marszałkowi Arigau.

– Rozumiem – i w taki właśnie sposób upewniasz się, że nic nie goi się do końca – starszy syn okazał się łajdakiem, trzeba było pomóc młodszemu.

– Chciałem – Wolfgang fok Warzow o włos przesunął ołówek – ale wezwano mnie do Ollarii do Pierwszego Marszałka. Neumarinen chciał, żebym wziął markiza Alvasete. Powiedziałem mu o Gui i o swojej obietnicy. Rudolf nic nie odpowiedział, ale następnego dnia zaprowadził mnie do Laik. Na ostatnie walki. Naturalnie, unarowie o naszej obecności nic nie wiedzieli... Zobaczyłem Roke i zgodziłem się: chłopcu potrzebna była uzda. Wiesz, co mówi się w Bergmarku o gwiazdach?

– Że zapalają się same i spadają też same. Jeśli gwiazda upadnie na ziemię, spali ją, dlatego anioły przybijają je do nieba gwoździami...

– Rudolf uznał, że sobie z tym poradzę – marszałek Zachodu znów się uśmiechnął i, naprawdę, lepiej by tego nie robił – tylko gwoździe nie wytrzymały. Alvaro nikogo nie oszczędzał,

a już najmniej – swoich synów, ale takiego nie zażądałby nawet on...

Czegoś takiego w ogóle nie można żądać. Wziąć i oddać się w ręce gorzej niż wrogów. Kim trzeba być, żeby się na to zdecydować? Chyba świętym, ale Pierwszy Marszałek Taligu na świętość nie cierpiał.

– Panie, co pan powiedział mojemu ojcu? – o czymkolwiek, byle nie o Alvie, inaczej staruszek się rozpłaczę. Płaczący Wolfgang – to prawie koniec świata. A poddający się Kruk? – Przecież pan coś powiedział?

– Rudolf do niego napisał – fok Warzow powoli zwinął mapę – Wyjaśnił, że nie może zabrać Alvaro ostatniego syna. Po Carlosie nie umie już być surowym, a bez tego się nie obejdzie – markizowi Alvasete potrzebne są twarda ręka i wojenne doświadczenie. Neumarinen obiecał wziąć Gui do siebie, ale Pierre odpowiedział, że jego miejsce jego następcy jest w armii, a nie w stolicy... Hrabia Entrag został giermkim Maurice'a Epineixa, nie powiedziałbym, że wyszło mu to na dobre...

– Jemu nic by nie wyszło na dobre. On zdradziłby pana dokładnie tak samo, jak zdradził Epineix.

– Nie miałyby takiej możliwości – fok Warzow z niejakim zdziwieniem obejrzał byłą kwaterę Davenporta – Dla Gui Arigau nie było miejsca w armii, ale Epineix i Savignac myśleli nie o interesach, a o zmarłym przyjacielu. Owinęli jego następcę watą i wychowali malowanego marszałka. Z pióropuszem.

ROZDZIAŁ 6 RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 11 dzień Jesiennych Błyskawic

1

W taligojskim mundurze Laci wyglądał świetnie, nie gorzej niż w dolmanie z szamerunkiem. Nie to, co ona w dworskich sukniach, oby je mole zeżarły razem z perukami. Jej książęca wysokość Matylda Rakan puściła oko do kochanka i usiadła na aksamitnej pufie, zakładając nogę na nogę. Zmarły mężulek nienawidził, kiedy tak robiła, i dlatego księżna wtedy jeszcze nie wdowa wprowadziła zwyczaj klócić się właśnie w takiej pozie. A dzisiaj zdecydowała się na klótnię. To, co wymyślił Aldo, nie było podłością tylko dlatego, że przedstawiało sobą potworną głupotę. I trywialność. To Agaryjczyków nie trzeba namawiać do ciągnięcia kości w tę i z powrotem, no ale w końcu to Agaryjczycy.

– Gisca – Laci z nieukrywanym zainteresowaniem patrzył na ubraną w strój myśliwski księżną – co, tak i nie pójdziecie?

– Nie pójde – ucięła wdowa – durniom trzeba dać nauczkę, a po dobroci głuptas nie rozumie, całkiem zerwał się z łańcucha. Nic dziwnego, całe życie jak żebrak chodził, a tu tron, dworzanie, żołnierze – i wszystko twoje! Do czasu.

– Oj, gisca – gwizdnął Laci – szumu będzie!

– A będzie – Matylda puściła oko do kochanka – No, nalewaj! Ale nie tej melasy, tylko turegvize! Bo masz, nie?

– Jak nie mieć, gisca – ależ z niego przystojniak, i że też zakochał się po uszy w starej poduszce. Ale skoro się zakochał, znaczy, poduszka jeszcze niczego sobie!

W drzwi ni to zastukano, ni to zaskrobano. Twoją kawalerię, zaczyna się.

– Proszę!

Dworska koza w zielonym atłasie zagapiła się na wysokość z kieliszkiem jak na rogatą kobyłę.

– No – Matylda opróżniła kieliszek – co w lesie zdechło?

– Wasza książęca wysokość – zameczała koza – jego wysokość przypomina, że karetę będzie podstawiona za godzinę.

– Nie jadę – ucięła Matylda. Można było dodać, że w mogiłach tylko wiedźmy i yzargi się kłębią, ale wnuk jest wnukiem, a służący są służącymi. Powiesz „kopyto”, pałac pod wieczór zaczniesz mówić o krowie, a miasto nad ranem – o stadzie.

– Ja... Ja powinnam to przekazać? – w patrzalkach szambelanki, czy jak ją tam zwać, drżało nieopisane przerażenie, krostowate i zielone.

– Owszem, i to natychmiast – jej książęca wysokość podsunęła miłemu pusty kieliszek – Jeszcze!

Koza zrobiła się podobna do kury, zaraz jajko zniesie. Matylda wstrząsnęła odrośniętymi włosami, które przydałoby się uczernić.

– Idź i przekaz!

Szambelanka zniknęła, księżna wdowa jednym haustem przelknęła turegvize i warknęła:

– A ty na co czekasz?! Twoją kawalerię, pij!

Laci wypił, otarł wąsy i powiedział, jakby przez ogień skakał:

– Wracać nam trzeba, a tu to będzie jak Myśliwi zechcą.

– Chcesz – to spadaj – szarpnęła się Matylda – Nie trzymam, sam się przypętałeś.

– Bez giscy nie wrócę – zwięził oczy kochaneczek – ale i głowy pod skrzydło nie schowam, nie gąsior. Młody gisci tylko siebie słyszy. No to jodłuje jak pijany na przełęczu. Zawali – sam będzie winien.

– Sam nie sam, a innego wnuka nie mam – twoją kawalerię, sama przecież wychowała! – Pocałowałbyś, czy co...

Dojeżdżacz usłuchał. Z przyjemnością. Turegvize roztopił zamrznietą duszę, a usta Laci dokończyły dzieła. Ech, teraz by drzwi na klucz, a dzień – w noc! Jej książęca wysokość zręcznie wywineła się z silnych objęć:

– Idź, pospaceruj, Beczkę obejrzyj. Niezręcznie mi kłócić się przy tobie.

Laci wyszedł bez zbędnych słów. Obrócił się na progu, błysnął przekłętymi oczami i tyle go widziała. Nie, swojej giscy on nie porzuci, a gisca nie porzuci Aldo, co by ten parszywiec nie nawyrabiał.

Księżna nalala trzeci kieliszek, ale nie wypila – wystarczy. Reszta po bójce, bo bez niej się nie obejdzie. I dobrze, inaczej ona albo pięknie, albo kogoś zastrzeli. Choćby tego czarnowąsego upiorka, który kręci się dookoła Aldo. I jeszcze zezowatego gadułę, jak mu tam?

Jej książęca wysokość wyciągnęła bezcenne, подарowane przez shada pistolety i zaczęła je czyścić. Tak po prostu, dla przyjemności.

Najłatwiej byłoby posłuchać Laci, trzasnąć drzwiami i zabrać się do Sakasci Clementowi pod ogon. I ona by się zabrała, gdyby Aldo nie wyglupiał się na składzie prochu.

2

Siniaki prawie zeszły, ale ręka wciąż jeszcze bolała. Było to nieprzyjemne, ale do zniesienia i Dickon, wbrew jękom teraz już dwóch lekarzy, wsiadł na konia. Niech widzą, że książę Ockdell jest zdrowy i gotów służyć swojemu suzerenowi. Aldo trzy razy przysyłał gońców z zapytaniem o zdrowie Władcy Skał, a w swoim ostatnim liściku zasugerował, że będzie rozgorączony nieobecnością potomka Alana w Starym Parku, ale Richard nie przepuściłby takiego wydarzenia nawet bez listów.

Sprawiedliwość wobec żywych zaczyna się od sprawiedliwości wobec zmarłych. Dla uzurpatora i nazwanej świętą rozpustnicy nie ma miejsca w świątyni, zbudowanej na miejscu dawnego chramu. Ich imiona również należy zapomnieć. Ollarii nie ma, jest Rakana, a święta Oktawia była i jest tylko jedna – legendarna agaryjska pustelniczka. Przyjdzie czas, esperatyjscy święci zostaną tak samo zapomniani jak i ollariańscy i do Kertiany powróci prawdziwa wiara, ale najpierw trzeba wykorzystać pamięć o Francisku. Zbyt wielu widzi w uzurpatorze wielkiego króla, który uratował rozpadający się kraj. To byłoby prawdą, gdyby Ollar zajął Gaiwę albo Driksen, ale on podniósł rękę na potomków bogów!

Pokazał się Plac Fabiana, Richard przytrzymał linarczyka, oglądając zapełnioną tańczącym mokrym śniegiem przestrzeń pomiędzy byłą willą Colignarów i kościołem świętego Fabiana. Świątynia będzie przemianowana i w trzecim dniu Jesiennych Błyskawic znów poświęcona imieniem świętego Alana. Tutaj z Renkwahy zostaną przeniesione prochy ojca, a sam święty Alan razem z marszałkiem Hectorem znajdą ostatni spoczynek w Starym Parku.

Ta ostatnia okoliczność wywoływała w Dickonie całą burzę uczuć. Rozumem młodzieniec pojmował, że Hector, który oddał życie za króla i Taligoję, nie jest winien temu, iż jego

potomkowie wyrodzili się w tchórzliwych podleców, ale stać obok Walentyna w czasie ceremonii? Młody człowiek podejrzewał, że Aldo w ten sposób próbuje pogodzić Władców Skał i Fal i miał, niestety, rację, ale jakże to odstręczało.

Richard strząsnął z ramion i ronda kapelusza natrętny śnieg i skręcił z Niedźwiedziej w Oktawiańską. Był, choć i pochmurny, ale dzień, obok kłusował Andre Nox, a na duszy leżał nawet nie kamień, a kawał lodu. Młodzieniec doskonale rozumiał, że winna wszystkiemu jest przeobrażona w nocny koszmar gorączka i rozszalała wyobraźnia, ale Stary Park z każdym krokiem stawał się coraz bardziej nieprzyjemny. Milczenie zrobiło się nieznośne i Dick nie wytrzymał:

– Kapitanie Nox!

Kapitan osobistej ochrony Władcy Skał zrećnie osadził swojego gniadosza

– Monsignore?

– Poczekaj pan na mnie przy Źródłanych Wrotach. Może pan na zmianę odsyłać ludzi, niech się ogrzeją.

– Dziękuję, monsignore.

Sznur od dzwonka po prostu przegnił, bo w domu długo nie ogrzewano. I poręcz złamała się sama, bo przecież może się złamać, a w pokoju może wystygnać. Nie zamknięto komina, na ulicy zimno i wilgotno, no to przez noc się wychłodziło, a kielich i butelkę on sam rozbił i zapomniał. Gorączka źle wpływa na pamięć, to wszyscy wiedzą.

– Kapitanie, co pan myśli o... o mojej rezydencji?

– To piękny dom – Nox wyglądał na zdziwionego i Dickon poczuł wstyd za swoje strachy – i bardzo wygodnie położony. Można z niego niezauważalnie wyjść i łatwo można go bronić.

– Mówi pan tak, jakby groziło nam oblężenie – nie trzeba przeżywać złych snów i wtedy one nie wrócą.

– Monsignore, jestem żołnierzem. I odpowiadam za pańskie życie.

Noxa nie boli głowa od różnych tam głupstw. Kapitan widzi niebezpieczeństwo tam, gdzie ono jest, i nie wierzy w głupie bajki. Tak właśnie trzeba. Czego się bać we własnym domu pod ochroną takich zuchów? I już tym bardziej nie ma co się bać porośniętego drzewami skrawka ziemi.

– Nie mam co do pana wątpliwości, kapitanie – kiedy wszystko się skończy, on zabije Pridda właśnie w Starym Parku, na złość wszystkim snom – Co do pana i pańskich ludzi.

– Dziękuję monsignore'owi.

Za jednopiętrowym domkiem pokazały się oblepione jemiolą i mokrym śniegiem drzewa, święta Oktawia wybiła pół do trzeciej. Jak we śnie!

– Kłusem – nie wiadomo po co poleciał Richard, odwracając się od siwych topoli.

Kawalkada zmieniła tempo, od razu łatwiej było oddychać. Gdzieś zawył pies, odpowiedziały mu jeszcze dwa albo trzy, znów uderzył dzwon. Doskonale, pan Kręgu pojawi się nie wcześniej i nie później niż należy, chociaż można było trochę się wstrzymać. Niedużo, o dziesięć minut.

Na skrzyżowaniu ze Źródlaną zamarli w szeregu konni gimneci. Ogromne niechlujne śnieżynki tajały na końskich grzbietach, niezadowolone konie przestępowały z nogi na nogę i próbowały potrząsać głowami.

Władca Skał odpowiedział na powitanie tenenta i skierował Karasa wzdłuż oblepionego śniegiem ogrodu. Stary Park, jak wszystko dookoła, był mokry, szary i zmarznięty. Nic zagadkowego ani tym bardziej straszego w bezlistnych drzewach nie było i nie mogło być. Przy Źródłanych Wrotach Dickon dogonił Udo, Douglasa i Jamesa. Walentyna nie było widać. I nic dziwnego – Ośmiornica za bardzo lubi siebie, żeby sięść w siodło wcześniej, niż jest to konieczne.

– Dzień dobry, panowie – Richard kolejny raz spróbował pozbyć się oblepiającego płaszcz śniegu – Zdaje się, że zima jednak przysła.

– Witaj – odpowiedział Udo – Ty to nazywasz zimą? Robera to bym jeszcze zrozumiał, ale ty przecież jesteś z Nadoru.

– Tak, u nas śnieg już leży – potwierdził Dickon – I będzie leżeć do Wiosennych Fal.

– Pańska siostra dotrze do Nadoru przed Zimowym Przełomem czy spotka Nowy Rok w drodze? – zaciekał się baron Nardi, którego Dick akurat zamierzał zapytać o nochską bójkę. Co to jest, uprzejmość czy wręcz przeciwnie?

– Jeśli nic się nie stanie – wzruszył ramionami Richard – Nie lubię mokrego śniegu, już lepszy deszcz.

– Deszcz jest uczciwszy – skinał Udo – ale po Lesie Świętej Martyny wolę słońce.

– A ja wolę walczyć z żywymi, a nie z umarłymi – znieacka rzucił Templeton – To też jest uczciwsze.

– Żal ci uzurpatora? – uniósł brew Rocksley.

– Nie pochwalam zemsty na tych, którzy nie mogą odpowiedzieć – burknął Douglas – Poza tym w starych mogiłach może gnieździć się zaraza.

– Dickon, jak twoja ręka? – szybko zapytał Udo, wciskając się między Jamesa i Templetona.

– Prawie się zagoiła – Richard poruszył palcami – Od jutra chyba już zacznę ćwiczenia.

– Pridd, jak mi się zdaje, też jest zdrowy – zauważył Rocksley, patrząc w głąb alei.

Walentyn jechał na szarym morisku z podciętym ogonem, uprząż i czaprak też były srebrzyste. W śnieżnych kłębach wydawało się, że koń Władcy Fal nie jest osiodłany. Nardi ściągnął wodze, zmuszając innych, by poszli za jego przykładem. Ośmiornica puścił szarego w lekki galop, rana może i dawała o sobie znać, ale na dosiadzie Walentyna nijak się to nie odbiło.

– Dzień dobry, panowie – Pridd uśmiechał się samymi ustami, umiejętnie utrzymując tańczącego konia – Koszmarna pogoda. Jeszcze trochę i nas zasypie.

– Niedługo nasz spacer się zakończy – pocieszył Rocksley – Walentynie, jego wysokość prosił przypomnieć panu i Richardowi, że schodzicie do krypty od razu za robotnikami. Jako potomkowie w prostej linii Alana Ockdella i Hectora Pridda.

3

Wnuk wystroił się w biel i złoto. Przy takiej pogodzie! Płaszcz, pióra, łańcuchy, ostrogi, tylko grzebień dorzucić i już może siadać na płocie – i piąć!

– Powiedziano mi, że odmawiasz wyjazdu? – jego wysokość powstrzymywała się, jak przystało wysokości i wnukowi, ale wyraźnie z ostatnich sił.

– Nie odmawiam – poprawiła Matyllda – a nie jadę. I tobie nie radzę. Zrezygnuj z tej głupoty, póki nie jest za późno.

– Prosiłem cię, żebyś nie piła od rana i trzymała swojego... kapitana ochrony jak najdalej od sypialni.

– A ja prosiłam cię myśleć własną głową, a nie marmalukowym tyłkiem – odparowała jej księżęca wysokość – Coś ty zrobił z Lorio Budowniczym¹⁷?

– Taligoję uratowali Taligojczycy – odciął się wnuk – a nie Kruki.

Dużo by oni naratowali, gdyby Diego Alva nie przyszedł z pomocą. Soberano wyrzucił Agaryjczyków za Kadelę, czym zachwycił cały Alat. O „Czarnym Djerdie”, który rozrąbał na pół podłego Maksimiliana, w Alacie śpiewają do dzisiaj.

17 Lorio V (Lorio Budowniczy), rządził w latach 307-329 K.B., za jego rządów Taligoja przeżyła ostatni wzlot, chociaż władza Lorio zaczęła się niespokojnie. W 308 roku do kraju wtargnęła armia Uerty, kampania układała się niepomyślnie dla Taligojczyków, ale marsz soberano Diego Alvy przełamał sytuację. W 308 roku w Kabiteli postawiono pomnik Lorio Rakana, na którym król, podnosząc na duchu swoje wojska, wskazuje w stronę Kenalloa, skąd ma przyjść pomoc.

– A teraz widocznie ratują ją wilki? – Matyllda uśmiechnęła się czule.

– O czym ty mówisz? – najeżył się wnuczek. Jasne, on przecież nigdy nie interesował się geografią. W odróżnieniu od Ernani.

– O tym, że teraz dzięki tobie Lorio wskazuje na Neumarinen. Dla Rudolfa będzie to bez wątpienia pochlebstwo.

– Stwory Zmierzchu! – Aldo z impetem usiadł na fotelu – Dlaczego nie powiedziałaś tego wcześniej?!

– A ty pytałeś? – Matyllda skrzyżowała ręce na piersi – Za to teraz ci mówię: zostaw zmarłych w spokoju, nie ośmieszaj się.

– Wszystko już postanowione – usta Aldo pobladły, one zawsze bladły, kiedy się złościł – W mojej stolicy nie ma miejsca dla ollarskiej padliny. Przez zimę woń wywietrzeje, a na wiosnę przeniosę tam Hectora i Alana.

– A im by się spodobało łożenie po cudzych łóżkach? – nie wytrzymała wdowa – Ty do nich jeszcze Alicję z Pelotem przyciągnij. Jak się wygłupiać, to na całego.

– Pelot nie był eorem, a Alicja myślała o sobie, a nie o Taligojczykach.

To znaczy nie o tym, jak z agaryjskiej piwnicy wytoczyć beczkę ze stęchłymi Rakanami i osadzić na tronie. Tylko że Rakanowie to już od dawna nie Taligojczyki.

– Aldo – bardzo spokojnie powiedziała Matyllda – ty też myślisz tylko o sobie. Przy czym źle myślisz, bo wiosną zostanie po nas mokre miejsce.

– Nie bój się – fizjonomia wnuka zrobiła się figlarna – niczego się nie bój!

– Nawet tak? – chrząknęła jej książęca wysokość – Nie, ja rozumiem, że durniów koty strzegą...

– Nie koty, a krew. Jestem Rakanem, Matylldo, ostatnim Rakanem, i w dniu Zimowego Przełomu nałożę koronę. Tę samą, przywiezioną z Galtary. Berło Rakanów też jest tutaj. Miecz u Tomasa, ale ja go zdobędę.

Żartuje? Twoją kawalerię, gdyby! Jego wysokość jest poważny jak topielec.

– Matylldo – wnuk, jak w stare, dobre czasy, ześliznął się z fotela i usiadł na podłodze, patrząc na babkę z dołu do góry. Jakże ją rozczułały błękitne oczęta i jasne włoski, a dzieciaczek wyrósł...

– Matylldo, zapewniam cię, ja i Rober mamy wystarczająco dużo dowodów! Siła Rakanów – to nie bajka, ona istnieje. Kertiana jest po mojej stronie. Ollarom dano jeden Krąg, oni go zjedli i się zadławili, przyszedł mój czas, to znaczy nasz... Nie bój się, ja utrzymam koronę. Oczywiście, pełną siłę osiągnę tylko w Galtarze, ale Zwierz nie jest mi na razie potrzebny. Myślisz, że to wszystko przypadek? Wyjechali na polowanie, a znaleźli się na tronie?

– Że nie przypadek, nawet Clement wie – Siła, jasne! Chociaż gaifijskie złoto to też siła, i to jaka – Diwin kupił dziesięciu generałów, a ciebie, jak tego kurczaka, w czyjaś zupę rzucono. Myślisz, że Hogberd przypadkiem zachorował? Jeszcze czego!

– Nie złość się – Aldo ścisnął jej rękę – Hogberd dalej niż swoje koryto nie widzi, no i świetnie! Nie jest nam potrzebny. Poczekaj, niedługo rozpędzimy wszystkie yzargi, a Paonie i Agarisowi wyjaśnimy, że w Złoty Ziemiach jest jeden pan. I to nie oni, a Taligoja.

– Rozkoszne – pochwaliła Matyllda – tylko ja na razie żadnego cudu nie widziałam.

– Ty nie rozumiesz – szarpnął się wnuczek – Siła się wmiesza tylko wtedy, jeśli nie będę mógł poradzić sobie sam.

– O, o – pokiwała Matyllda – Przyleci orzeł wielkości krowy i wyszarpnie cię z zadu.

Co za dureń, co za porażający dureń! Zwierza Rakanów mu się zachciało! Przecież ty sobie nawet ze swoimi yzargami nie poradzisz, połkną i nie zauważą.

– Ty się śmiejesz – Aldo wstał i poprawił kaftan, on nic nie rozumiał i nie chciał rozumieć – a mnie o moim pierworództwie powiedzieli ci, którzy rzeczywiście wiedzą. I nie byle co, a moja krew wyleczyła Robera. Moja krew i ta sama stara trumna, którą chciałaś wyrzucić i po którą wdarł się do ciebie złodziej. A Roberowi pomogli Jesienni Jeźdźcy i przyprowadzili tam, gdzie zaczęło się powstanie. Mało ci tego? Co powiesz?

– Tylko jedno – warknęła ostatecznie rozwścieczona Matyllda – Twojego dziadka trzeba było zastrzelić jeszcze przed twoim urodzeniem.

ROZDZIAŁ 7

RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 11 dzień Jesiennych Błyskawic

1

Aldo się spóźniał, Leviego też nie było widać. Jego świątobliwość próbuje przemówić jego wysokości do rozumu? Chociaż kardynał byłby zdolny po prostu nie przyjść, jak nie przyszedł, kiedy likwidowano Kolumnę Fabiana i pomniki Franciska i Karla II.

– Monsignore – prowadzący ceremonię Insmiller był zdenerwowany – nie wie pan, gdzie jest jego wysokość, jej książęca wysokość i jego świątobliwość? Wszystko gotowe, a poza tym, ten koszmarny śnieg.

Śnieg rzeczywiście sypał jak z rozprutej pierzyny. Duże, miękkie płaty były, jak i powinny, białe, ale błoto pod nogami pozostawało czarne. Nie śnieg, a dobre zamiary, które w zetknięciu z życiem zamieniają się w brudne kałuże. Rober spojrział na tłoczących się u wejścia do świątyni na razie jeszcze Świętej Oktawii dworzan, co chwila strzepujących z ramion i kapeluszy mokre, topniejące poduszki. Widok był żaloszny i absurdalny.

– Książę Ockdell jest tutaj?

– Tak, jest razem z księciem Priddem, hrabią Rocksleyem, hrabią Gontem i kilkoma innymi dworzanami.

Głuptas, przecież lekarz powiedział, że gorączka może wrócić. Rober zwrócił się do Insmillera:

– Otwórzcie świątynię, poczekamy na jego wysokość w środku, inaczej śnieg rzeczywiście zapędzi nas w Zmierzch.

Zdaje się, że cywilny komendant pierwszy raz w życiu wpadł w zachwyt z powodu rozkazu Pierwszego Marszałka. W każdym razie spiesznie pokłonił się i odszedł.

Rober naciągnął kapelusz po sam nos i wyprawił się na poszukiwanie Richarda. Młodzieniec bohatersko drżał w towarzystwie Udo i Douglasa, a na stronie Walentyn Pridd z kamienną fizjonomią słuchał młodego Rocksleya. Mówiąc dokładnie, James miał już około trzydziestki, ale do tego, że dziedziczy on po swoim wuju, jeszcze nie wszyscy przywykli, więc wciąż nazywali świeżo upieczonemu hrabiemu młodym.

Inochodziec złapał Richarda za rękę:

– Książę Ockdell, proszę poświęcić mi kilka minut.

– Naturalnie – usta chłopca były sine, a nos – czerwony. Cudem będzie, jeśli gorączka nie wróci – Otrzymał pan wieści od swojej narzeczonej?

„Naręczona”, jakby chodziło nie o Iri, a o pannę Pridd. Ależ zaciętość!

– Nie, z Nadoru na razie nie ma listów. Dickonie, byłem w Bagerlee razem z jego świątobliwością i widziałem Alwę. Prosił przekazać, że uważa twoją naukę za zakończoną i uwalnia cię od przysięgi.

– Mnie już uwolnił mój suzeren – gdyby nie krople na nosie i na policzku, odpowiedź zabrzmiałaby dumnie – Rakan może uwolnić swojego wasala od każdej przysięgi.

– Może – tylko nie wszystkich takie uwolnienie uwalnia – w oczach ludzi. Ale nawet Abwenia nie są w stanie wyzwolić od klątwy Starej Krwi.

– O czym ty mówisz? – młodzieniec poruszył ramionami, próbując się rozgrzać.

O czymś starym i niepojętym, czego nie można wyjaśnić, a można tylko czuć. I jeszcze o tym, że inni mogą wybaczyć. Albo zapomnieć. Albo się nie dowiedzieć, a nawet pogratulować ci zwycięstwa, tylko ty sam sobie nie wybaczysz, nie zapomnisz i nie pogratulujesz.

– O niczym – nieokreślenie machnął ręką Rober – Jakby to nie było, teraz jesteś wolny, czego ci gratuluje.

– Roberze – niezbyt pewnie powiedział Dick – A jak tam jest? W Bagerlee?

A jak jest w Zmierzchu? Chcesz usłyszeć prawdę? O gitarze bez strun, żarze, od którego mąci się w głowie, ciemności, rozpalonych ścianach, słonej wodzie?

– Nic szczególnego – wzruszył ramionami Inochodziec – wieże, mury, korytarze. Trochę podobne do Laik. A co chcesz wiedzieć?

– Widziałeś era Augusta?

Era Augusta! Nie era Roke... Ale usłyszysz właśnie o nim!

– Nie – w skroniach Epiniexa znów znajomo zastukało – z hrabią Stanclerem rozmawiał jego świątobliwość, a ja w tym czasie byłem z Alwą. Chcesz znać szczegóły?

– Po co? – Richard poprawił rękawiczkę – Najważniejsze mi powiedziałeś.

– Tak – zmrzążył oczy Inochodziec – najważniejsze ci powiedziałem, ale nie najważniejsze też ci opowiem. To ci się przyda.

– Monsignore – Insmiller! Pewnie otworzył drzwi.

– Tak, komendancie? – Rober kolejny raz poprawił nieszczęsny kapelusz, zmuszając się do spokojnego oddechu. Przed powrotem Nala on nie może wychodzić z siebie, oburzać się, sprzeczać, udowadniać.

– Pomieszczenie otwarto – Insmiller zniżył głos – ale pojawiły się pewne trudności z księciem Priddem. On nie życzy sobie brać udziału w ceremonii.

– Może trudno mu zejść po schodach? – domyślił się Rober.

– Bynajmniej – Insmiller zacisnął czerwone usta – Książę Pridd nie odmawia obecności przy otwarciu grobowca, ale nie chce, żeby prochy marszałka Hectora przeniesiono do Starego Parku.

– Doprawdy? – zapytał Epineix, zbierając myśli – A dlaczego?

– Książę Pridd wyjaśnia swą niechęć tym...

– Proszę pozwolić, że sam wyjaśnię swoją niechęć – Walentyn Pridd nie wiadomo w jaki sposób potrafił wyglądać nie tak mokrym, jak pozostali. Być może chodziło o srebrzysty płaszcz, na którym przekłety śnieg był prawie niezauważalny. Ciekawe czy bywają śnieżne ośmiornice?

– Książę – Rober starał się mówić uprzejmie i spokojnie, ale zduszona złość, która nie znalazła ujścia, teraz wyrwała się na zewnątrz – nie sądzę, że powinien pan coś wyjaśniać mnie. Niech pan poczeka na jego wysokość.

– Jego wysokości powtórzę to samo – głos Walentyna też był jakiś taki... śnieżny – Jestem wdzięczny za honor, jaki Taligoja jest gotowa oddać mojemu przodkowi, ale wszyscy Władcy Fal spoczywają w rodzinnym grobowcu. Nie wydaje mi się słusznym niepokoić prochy marszałka Hectora i rozłączać go z krewnymi. Poza tym nie uważam za słuszne zajmować obcy dom albo obcą mogiłę, tym bardziej, jeśli to mogiła wroga.

– Książę Epineix – głośno powiedział Richard Ockdell – baronie Insmiller, proszę, by zapamiętali panowie te słowa, w razie gdyby książę Pridd je zapomniał.

– Rzeczywiście, panowie – Walentyn jednak strząsnął z ramienia przyklepione śnieżynki – zapamiętajcie, co powiedział książę Ockdell. Nie żebym skarżył się na swoją pamięć, ja nawet pamiętam, komu przysięgałem w dniu świętego Fabiana, ale tak będzie pewniej.

– Bez wątpienia – leie Astrape, dzisiaj tylko sprzeczki brakowało – A przy okazji przypominam wam o królewskim edykcie, zabraniającym pojedynków, ale teraz pora rozstać się z tą przeklętą zamiecią. Wy jak sobie chcecie, a ja zamierzam czekać na jego wysokość pod dachem.

2

W świątyni było zimno, chyba nawet zimniej niż na zewnątrz. Przez zalepione śniegiem witraże przebijało się mdłe światło, zbyt mdłe, żeby obejrzeć wewnętrzny wystrój. Bijące w okna słońce albo mnóstwo świec rozegnałyby półmrok, ale Leworęki nie zatroszczył się o pierwsze, a Insmiller – o drugie.

Przemoknięty tłum dreptał pomiędzy kolumnami najpierw w milczeniu, potem ktoś coś powiedział, ktoś odpowiedział, ktoś się zaśmiał. Budowla napełniła się nieharmonijnym dworskim szumem. Obok Dickona jak wcześniej byli Udo i Douglas. Walentyn gdzieś zniknął razem z Rocksleyem, i dobrze, bo nieznośnie było widzieć zastygłą, długą fizjonomię i nie móc rzucić w nią rękawiczką.

Książę Pridd, widzicie go, nie życzy sobie trwożyć spokoju przodka. Jasne! Po prostu nienawiść do rywala okazała się silniejsza i od sprawiedliwości, i od szacunku do zmarłego Hectora.

– Udo – Richard ścisnął łokieć przyjaciela – po wojnie ja go zabiję.

– Jeśli ono dla nas będzie, to „po wojnie” – wtrącił Douglas – A poza tym, prędzej zgodzę się z Ośmiornicą niż z Aldo. Nie ma po co niepokoić zmarłych, a i walczyć trzeba nie z pomnikami i nazwami...

– Złote Ziemie należą do Rakanów – uciął Richard, kolejny raz żałując, że jest związany przysięgą. Udo, Douglas, Rober przeżywają, wątpią, nie wierzą, bo nie znają całej prawdy. Aldo trzyma swoje plany w tajemnicy, to jest słuszne i dalekowzroczone, ale okrutne.

– Na razie do Rakanów należy tylko Pierścień Ernani – hrabia Gont westchnął ze zmęczeniem – a i to nie w całości. Nasze szczęście, że fok Warzow i Savignacowie wybrali starych wrogów, jeśli, oczywiście, wybrali.

Udo do tej pory nie pogodził się ze śmiercią brata, Douglas po bitwie w Lesie Świętej Martyny też chodzi sam nie swój. Richard okropnie chciał uspokoić przyjaciół, ale dla tego przyszłoby naruszyć przysięgę.

– My zwyciężymy – to wszystko, co on może powiedzieć – na pewno zwyciężymy.

Douglas wzruszył ramionami, Udo uśmiechnął się, ale jakoś niewesoło. Przyniesiono pochodnie. Rudy płomień zatańczył po białym marmurze, mrok zjeżył się, tuląc do kopuły i wysokich okien, a razem z nim roztajał szum, wszak prawdziwe piękno odbiera głos.

Młodzieniec patrzył i nie mógł się napatrzeć na dwa rzędy białych kolumn, rozdzielonych lekką srebrzystą siateczką. Jeszcze jedna siateczka, wyższa i mocniejsza, dzieliła świątynię na dwie nierówne części. Żółte żywe światło igrało w szklach witraży, ożywiając wymyślnie splecione rośliny, pieściło klęczące figury, rozszczepiało się w kryształach świeczników.

Czaru nie zabiły nawet na poły zgniłe, na poły zeschnięte lilie, zwisające z marmurowych waz. Martwe kwiaty były jedynym, co przypominało o śmierci. I o zwycięstwie.

Zburzyć tę świątynię, jak Kolumnę Fabiana, byłoby świętokradztwem. Nie wolno podnosić

ręki na cud. I nie wolno dopuścić, by w urodzie, dorównującej Ogrodom Świtu, spoczywało zło.

– Szkoda – wyszeptał Templeton, patrząc w oczy rozpromienionej, szczupłej dziewczynie z długim warkoczem – jakąż szkoda...

– To szkło – wyjaśnił ktoś znający się na rzeczy, stojący tuż obok – a za nim zwierciadło.

Szkło... Nasze życie – to też szkło, tak łatwo je rozbić. Richard patrzył na nieśmiałą dziewczynę w niebieskiej sukience i widział nie rozpustną obłudnicę, a Katari. Właśnie taka była córka hrabiego Arigau przed ślubem, który zniszczył jej życie. Malarz nie mógł znać prawdy o żonie Franciska, bo pędzel nie może skłamać. Mistrz nie skłamał, on po prostu, wyobrażając umarłą, malował jeszcze nie narodzoną. Czy to czasem nie ta ikona natchnęła nieznanego pacykarza z „Taligojskiej gwiazdy”? Bardzo możliwe, chociaż niby jak pacykarz trafił do zamkniętej przed wszystkimi świątyni?

– Proszę wybaczyć moje spóźnienie – głos Aldo wdarł się w złocisty sen, sprowadzając Richarda do zapchanej ludźmi zimy – przyszły ważne wieści z Driksen. Dziś lub jutro wojska kesara wstąpią do Południowej Maragony.

– Wspaniała nowość – z uczuciem powiedział przybyły z Agarisu Archibald Bernheim – wprost wspaniała.

– Maragona, zgodnie z prawem, należy do Driksen – dodał Ental Crackl.

– Pozostało tylko wyjaśnić to Maragończykom – mruknął Templeton – Już nie mówię o Bergerach.

– Ciszej, Douglas – syknął Udo – Crackla może pan podrażnić później.

– Panowie – podniósł rękę suzeren – czeka nas nie najprzyjemniejsze pół godziny, ale ta świątynia, pamiętająca pierwszych imperatorów Taligoi, musi być oczyszczona ze skazy. Nie ma tu miejsca kościom uzurpatora i rozpustnicy. W dniu Wiosennego Przełomu pod tymi kopułami spocznie Alan Ockdell, Alan Święty, eor, który pomścił swojego władcę.

Władcy Skał zawsze byli wierni Rakanom. Inni zdradzali, wahali się, wycofywali, ale wierność Ockdellów była niewzruszona jak same Skały. Richardzie książę Ockdell, podejdź do mnie!

... To było jak we śnie: płonące pochodnie, podekscytowane twarze, ciężar szpady u boku. Richard Ockdell szedł do swojego suzerena, a obok niego niewidoczny szedł jego ojciec, dziad, pradziad. Tutaj, w starożytnym chramie, zamykał się Krąg, odchodziły w przeszłość porażki, rozsypywały się w proch urazy. Władca Skał zgiął kolano przed swoim królem, ale Aldo Rakan podniósł młodzieńca i mocno objął:

– Niech się stanie najwyższa sprawiedliwość. My nie mścimy, my oddajemy sprawiedliwość za zasługi. Niechaj w śmierci i po śmierci z każdym będzie to, na co zasłużył. Tak będzie!

– Tak będzie – powtórzyły usta Richarda – tak będzie...

3

Przysłani przez Insmillera robotnicy łamali siateczkę. Młoty nieharmonijnie biły po jęczącym żelazie, rozbijając wplecione w pędy dzikiej winorośli litery „O” i „F”, a Władca Błyskawic przez płaczący dźwięk słyszał końskie cokanie.

Szeroki w barach robotnik z rozmachem uderzył w brązowy splot i nie obliczył siły. Młot przeszedł przez niemal nieważką pajęczynę i rąbnął we wrota ołtarza. Prysnał różnobarwny szklany deszcz, krople-odłamki wpiły się w twarz, ręce, szyję niszczyciela i on z wyciem zwałił się na wgnieniu oka poczerwieniałą podłogę, zbijając marmurową wazę. Odrazająco zapachniało zgniłą wodą i jeszcze czymś słodkawym i budzącym mdłości, zielona ciecz rozpląnęła się, mieszała z krwią i wyschniętymi płatkami, podpływała do samych stóp.

Rober odskoczył, powolne cokanie stało się wyraźniejsze, szkarłatny, przezroczystry listek drasnął w rękę pechowego gimneta, jeszcze jeden, bladoróżowy, wpił się w policzek barona Crackla, który tylko co opowiedział wyrafinowany żart o świętości Oktawii. Jęczącego barona odprowadzono pod ręce, robotnika trzeba było wynieść, krew z rozciętej szyi była fontanną, zalewając eorów i ordynariuszy, którzy nie zdążyli się odsunąć. Ktoś cicho westchnął. Rober zerknął na Aldo: suzeren stał, zaciskając usta i patrząc wprost przed siebie, jakby nic się nie stało. Tak wyszło, że on i Insmiller obejrzel się jednocześnie, twarz pięknego szubienicznika była natchniona jak u minstrela albo malarza, cienkie nozdrza rozdymały się, oczy błyszczały.

– Wasza wysokość – cywilny komendant często i nierówno oddychał – Kaze pan kontynuować?

– Kontynuujcie!

Trzasnął kuty sworzeń, pogięta płaska korona odpadła od pędu winorośli i z brzękiem upadła po drugiej stronie pokaleczonej przegrody. Z prawego skrzydła wybito zawias, lewe okazało się mocniejsze. Robotnicy starali się jak mogli, brązowe gałęzie gięły się, przyjmowały jeszcze bardziej misterne kształty, ale się nie łamały. Słodkawy zapach zgnilizny stawał się coraz silniejszy. Dziwne, przecież przewrócono tylko jedną wazę.

Douglas Templeton zatkał usta ręką i zaczął przeciskać się do wyjścia, za jego przykładem poszedł stary kawalerzysta. Światło pochodni już nie wydawało się złote, purpurowe odbłaski splatały się z jadowitą błotną zielenią, krew na podłodze zmieszała się z roztopionym śniegiem.

– Proszę się cofnąć – powiedział Insmiller, ale sam się nie poruszył. Tak samo jak Aldo, Richard, Pridd. Robotnicy napaarli na uszkodzoną siatkę, kute, ziejące dziurami skrzydła odskoczyły w objający ściany półmrok.

Pierwszy do części ołtarzowej wkroczył Insmiller, postął chwilę przy rozbitych wrotach, machnął ręką. Sześciu robotników z linami i łomami skierowało się ku białej, wystającej ponad podłogę płycie. Kamień odpowiedział żelazu głuchym rykiem – w dole, pod płytą, była pustka. Coś trzasnęło, jakby parsknął niewidoczny koń. Łomy waliły w jęczący marmur z uporem wczepionych w alackiego dzika gończych. Leie Astrape, kiedy to wszystko się skończy?!

Białe kamień sprzeciwiał się rozpaczliwie, Insmiller dwa razy zmieniał kamieniarzy. Aldo zaczął przestępować z nogi na nogę, zmęczony. To posłużyło za sygnał. Zamarły tłum zaczął ostrożnie prostować ramiona, poprawiać kapelusze, płaszcze, rękawiczki. Levi i Matylda – zuchy, że nie przyjechali, a może Aldo ich nie wzywał? Księżna potrafiłaby wrzasnąć na wnuka i Insmillera i zażądać, by zatrzymano ten pogrom.

Robotnikom ostatecznie udało się wybić dziury, wystarczające, by podważyć płytę łomami. Powoli, bardzo powoli alvasecki marmur porzucał swoje miejsce. Na koniec płyta stanęła na sztorc i z rumorem padła na ołtarzowe wrota, miażdżąc resztki szkła i zgniatając srebro i brąz. Otworzyło się prostokątne przejście, w które schodziły białe schody.

Aldo poprawił szpadę:

– Książę Ockdell, książę Epineix, za mną.

Dziwna rzecz, ale Rober wstąpił na zasypane kamiennymi okruchami stopnie prawie z radością. Ciągnęło go w dół, w głębinę, jak najdalej od tego zalanego zieloną zgnilizną kościoła. Na przedzie z pochodniami w rękach szło czterech czarnych gimnetów, za nimi Aldo i Richard, ale Rober zapomniał o suzerenie, ledwie tylko spojrzął na ścianę, gdzie, przytrzymując szczupłą, pokrytą bransoletami ręką niebieską tunikę schodziła młoda kobieta z kruczoczarnymi włosami.

Ona szła nieco z przodu, tak że nie było widać twarzy, tylko białą, smukłą szyję i upięte wysoko włosy. Figura powtarzała się raz za razem, jednakowa i jednocześnie różna, jakby dziesiątki razy zamarła w ruchu. Kobieta była bosa, na jednych freskach można było dostrzec wąską stopę, na innych szukała kolejnego stopnia, a pod jej nogami były lilie, narecza białych lilii, na których była krew.

– Wstrząsające – szepnął idący z tyłu Udo i Rober potknął się z zaskoczenia. Czyli czarnowłosą podróżniczkę widzi nie tylko on?

To nie omam, nie widmo, a fresk, stworzony ręką i sercem śmiertelnika...

4

Schody kończyły się drzwiami, które otworzyły się już po pierwszym pchnięciu. Pochodnie gimnetów oświetliły prostokątną, wyłożoną marmurem salę, okrągłą kamienną studnię pośrodku i dwa kamienne grobowce. Jego i Jej. Młoda kobieta jakby spała, podłożywszy jedną rękę pod głowę, a drugą zwiesiwszy z wąskiego łóża. W nogach królowej siedział człowiek w koronie na krótko obciętych włosach i patrzył na śpiącą żonę. Drugi grobowiec był zupełnie prosty.

Przeciąg igrał ognistymi językami, taniec światła i cienia ożywiał misterne ścienne barieliefy. Wydawało się, że płaczące wśród trzcin wężoogoniaste panny poruszają się.

– Cóż za hegezja – wyszeptał nieznanemu Richardowi wielmoża, nie wiadomo dlaczego ubrany w barwy Carlionów – Odgażające...

– A co ważniejsze, niewygodne – niezbyt pewnie odezwał się baron Nardi – Kobieta powinna mieć nogi.

– To naieri – Richard wzdrygnął się, słysząc głos Walentyna – córki Fal i Południa. Te rzeźby mają nie mniej niż tysiąc lat.

– Przecież mówiłem, że to hegezja – ucieszył się nieznajomy – Espegeatyzm położył koniec tej nieprzystojności, ale bastagd wpadł w odmęty idolatgii...

– W nadbrzeżnych wioskach ludzie wciąż jeszcze słyszą płacz naieri – w zadumie powiedział Udo – W nim nie ma zła...

Born sam nie wie, jak blisko jest prawdy. Starożytne siły to nie zło, a największe dobro, one chroniły Taligoję przez tysiąclecia. Ernani zdradził dawnych bogów – i wielkie imperium runęło.

– Hgabio – sepleniący spróbował wziąć Udo pod ramię – niech pan nie będzie zabobonny jak jakiś Beggeg.

– Milczeć, Carlion! – huknął Aldo – Insmiller, tu będą potrzebne dźwignie.

– Wasza wysokość, zaraz będą. Już po nie posłano.

– Dobrze.

Carlion? Suzeren się pomylił, Richard doskonale znał barona Carliona, który był dla młodzieńca ciotecznym wujkiem, a sepleniącego impertynenta widział po raz pierwszy. Skąd on jest?

– Książę Ockdell, jest pan mi potrzebny.

Richard rzucił się do Aldo, stojącego nad grobowcem uzurpatora. Na marmurze było wykute jedno jedyne słowo: „Francisk”. I nic więcej. Ani ani herbu, ani zawołania, ani choćby nazwiska.

– To więcej, niż bezczelność – oczy suzerena zwięziły się – ale mniej, niż wielkość. Podnieść.

Albo robotnicy prawidłowo wzięli się do dzieła, albo nagrobek był lżejszy od wierzchniej płyty, ale trzeba było tylko kilku minut, by wieko z hukiem spadło na marmurową podłogę, obnażając na pół zbutwiały sztandar, na którym leżały miecz i hełm. Aldo uniósł brew i Insmiller odrzucił stare żelazo i zerwał ollarską szmatę, przykrywającą prostą, ciemną trumnę.

– Otworzyć.

Kilka uderzeń – i wydające się niewzruszonym wieko rozpadło się na kilka odłamków. Aldo, żelaznym uchwytem ściskając ramię Dicka, postąpił w przód. Młodzieniec pochylił się za suzerenem i odetchnął jednocześnie z ulgą i rozczarowaniem. Po Maragończyku pozostał tylko przykryty wyblakłymi tkaninami szkielet. Richard widział złoty łańcuch, jakieś klamry, resztki włosów, i wszystko... Nie, nie wszystko, pod prawą ręką przez bury, tłusty pył coś błyszczało.

– On naprawdę był ranny w twarz – Aldo wskazał czaszkę. Richard przypatrzył się uważniej i zobaczył na szczęcie jakieś bruzdy i narośle.

– Wasza wysokość – Insmiller patrzył na zauważony przez Dicka przedmiot – szkatułka!

– Rzeczywiście – zgodził się suzeren – Ciekawe, z czym uzurpator nie mógł rozstać się nawet po śmierci?

Cywilny komendant sięgnął po przedmiot, ale Dickon go ubiegł, wyjmując spod martwej ręki coś, co okazało się płaskim futerałem z laki. Pozbawiona opory kiść z pylistym szelestem odpadła od szkieletu.

– Dziękuję, książę – uśmiechnął się Aldo – proszę zaopiekować się tą rzeczą, zajmiemy się nią później.

5

To, co niegdyś było Franciskiem, wrzucono do byle jakiego lnianego worka. Do niego także dorzucono hełm, miecz i rozpadający się w rękach Insmillera sztandar. Eorowie i ordynariusze wielkiej Taligoj tłoczyli się dookoła opustoszałego grobu, nie wiadomo, czy chcąc zajrzeć do środka, czy nawinać się przed oczy Aldo. Przed oczami Robera majaczyły plecy Cavendisha, próbującego odepchnąć Bernheima, a z boku seplenił i chichotał Carlion i marszczył brwi Wanag. Yzargi dopełzły do Ollarii i zajęły się ulubionym zajęciem, czyli pożeraniem trupów.

Epineix odwrócił się: gdyby nie Iris, Nal i Kruk, on by nie wytrzymał, wyszedł w ślad za Douglasem, który może sobie pozwolić trzasnąć drzwiami. Dobrze być wolnym od wszystkiego i od wszystkich, ale od absolutnej wolności do śmierci jest mniej niż krok.

Coś głośno powiedział i pierwszy roześmiał się z własnego żartu Wanag i Rober pospiesznie

odwrócił się ku studni. Pierwszy Marszałek Taligoi wezwał gimneta i ten opuścił pochodnię w dół. Oleiście błysnęła ciemna woda, a potem Roberowi obok własnego odbicia przywidziała się inna twarz, okolona czarnymi lokami. Inochodziec zadarł głowę i omal nie zakrzyczał – ze stropu patrzyła w studnię TA SAMA kobieta.

Jeśli freski na schodach zachwycały swoją delikatnością i proporcjonalnością, to ten wydawał się żywy, i jakżeż ona była podobna do księcia Alvy, tylko w szeroko otwartych oczach nie było ani złości, ani wyzwania. Tylko poczucie klęski.

– Księżę Epineix – udało się uratować od potworów i pomknąć księżycową drogą tylko po to, żeby znów usłyszeć Carliona – gdzie pan jest?

Kobieta na stropie miała te same ciemne, naznaczone bólem wargi, co Kruk. Czy i ten fresk widzą wszyscy?

– Epineix, jest pan nam potrzebny – Aldo! Trzeba iść i patrzeć. Leie Astrape, są rzeczy, których nie można znieść, ale nie znieść ich nie można jeszcze bardziej. Inochodziec poprawił szarfę i uśmiechnął się:

– Zauważyliście, jaka tu studnia? Aż się zagapiłem.

– Trzeba będzie spojrzeć – skinął Aldo – Insmiller, czekam!

... Cyprysowa trumna Oktawii była wyłożona płytkami z kości słoniowej, które ozdabiała najmisterniejsze z możliwych grawerunki. Na wieku cudem ocalał bukiet uschniętych lilii. Nie, nie ocalał, przezroczyście płatki poszarzały, ściągnęły się, rozsypały srebrzystym pyłem, ale moryjski cyprys nadal był mocny. Robotnicy z trudem podnieśli ciężkie wieko. Podniósł się kłęb pachnącego pyłu; korzenny, gorzki aromat zawracał w głowie, każąc się wycofać. Ktoś się dusił, ktoś ogłuszająco kaszłał, z boku rozległ się hałas – Archibald Bernheim stracił przytomność i upadł prosto na kamienną podłogę.

Giętkie łozy oplatały niewysoki mur. Pierzaste aksamitne liście, purpurowe, jak stare wino, kwiatostany. Upał napelniony dźwiękiem cykad i dalekim rżeniem. Wieczorem można oczekiwać burzy, ale teraz jest cicho, zbyt cicho.

– Ty pytałeś – śmieje się Tergellah – oto ona. Życie po śmierci, śmierć po życiu.

– Piękno nie może być śmiercią – niech będzie co ma być, on dotknie drżących płatków – one są zbyt podobne do szkarłatnych roi, żeby być kwiatami.

– Póki żyją, są bezpieczne – ręka Moryjczyka dotyka kwietnej kiści – one bronią swojego życia swoją śmiercią...

– Wychodzić! – usłyszał swój własny głos Rober – To ponsonja... Nią nie można długo oddychać.

Skąd on to wie? Nieważne, najważniejsze, że wie.

– To trucizna? – piszczy ktoś, chyba Wanag – Trucizna?

– Trucizna – potwierdza Ośmiornica – Moriskowie posługują się kwiatami ponsonji przy balsamowaniu. Zapach trzyma się kilka dni.

– Wyjść – rzuca suzeren – Szybciej!

– Mój królu – oczywiście, to Richard – nie wyjdę wcześniej niż pan.

Pierwszym na schodach znalazł się Cavendich, kto był drugi, Rober nie zauważył. W głowie się kręciło, włosy trzepał gorzki wiatr, były w ziemię rogata błyskawice i pędził, pędził ku czarnej wieży złoty jesienny ogier.

– Rober! – Aldo? Czego on chce? – Idziemy, wszyscy są już na górze.

– Jak chcesz – kiwnął Rober, podnosząc wzrok. Niebieskooka podróżniczka zniknęła. Na suficie występowały ciemne piętna, przypominające niestarannie namalowaną srokatą klacz.

– Stwory Zmierzchu! – suzeren potknął się o coś i odrzucił przeszkodę z drogi. Głucho brzęknęło, Rober po coś się obejrzał. Na zamglonym marmurze leżała zardzewiała podkova.

ROZDZIAŁ 8

HEXBERG I MON-NOIR

399 rok K.S. 11 dzień Jesiennych Błyskawic

– Życie można tylko na morzu – oznajmił Rotger Valdez i poprawił kapelusz – Zaiste moi półprzodkowie mają za co nienawidzić Driksów.

„Aster”, która do woli nabłąkała się po zalewie, wracała do Hexbergu. Za rufą buszował zmierzch. Słońce do połowy ukryło się za horyzontem, za to pozostała połówka rozrosła się do rozmiaru niemal dwa razy większego. Trwożne purpurowe światło zamieniało falującą wodę ni to w wino, ni to w krew.

– „Wspomnisz ty o bracie podczas krwawej zorzy...” – nieoczekiwanie wymamrotał Luigi, nie mając sił oderwać spojrzenia od rozpalonego horyzontu.

– Jest taka pieśń – kiwnął Valdez – Gdybym był w większym stopniu Marikjarczykiem, a jeszcze lepiej – Kenallijczykiem, to bym ją śpiewał. Gdybym miał słuch.

O zachodzie nie wolno planować przyszłości, o zachodzie nie wolno nikomu wierzyć, na zachód nie wolno patrzeć. Wcześniej Luigi uważał to za bzdurę, ale umierające słońce zalewa duszę krwią...

– Rotger – uchodzący w morze szkarłatny dysk jednocześnie przyciągał i odpychał – dlaczego w taligojskiej flocie jest tylu Marikjarczyków?

– Oni rodzą się marynarzami, przy czym bojowymi – oświadczył wiceadmiral – co innego z nimi robić? A i Driks wśród Marikjare to tyle co krowa wśród tabunu. Nie schowa się! Muszą patrzeć z daleka. Ty sobie nie wyobrazasz, ilu tu rybaków i handlarzy kręciło się jesienią. Jeden aż do wojennego portu z dziurą w burcie zapelzł. Ketzchen¹⁸ go, widzicie, trzepnęła, gęsią mordę... Za wiele honoru!

– Czyli moi oficerowie nie na próżno łążą po tawernach – spróbował uśmiechnąć się Gildi – Varotti sam już uwierzył, że widział Almeidę na Marikjarze.

– Dobry chłopak – pochwalił Valdez, jego twarz stała się natchniona – Tylko sobie wyobraź. Oto kupiec, dobry, solidny człowiek, wraca do Metchenberg, całuje żonę i dwoje rumianych dzieci, chłopca i dziewczynkę. Może nawet bliźnięta... Nakłada nowe trzewiki, klęka przed Stwórcą i idzie do pana admirała zur see. A może do pana wiceadmirała Bermessera albo pana generała Hohwende. Dobrego kupca prowadzą do gabinetu i on, podekscytowany, przekazuje słowa swojego felpijskiego towarzysza przy kielichu. Almeida zimuje na Marikjarze, w Hexbergu jest tylko Szaleniec, to znaczy ja, ale eskadra będzie się bić.

Garnizon będzie się bić. Nawet mieszczanie będą się bić. My rozumiemy, jak ciężko nam będzie, ale my nie oddamy ojczystej ziemi, to znaczy wody, nawet jeśli przyjdzie nam w niej spocząć. Może i jest nas mało, ale my nie odstąpimy!

Nasz dobry kupiec słyszał wszystko swoimi uszami i widział swoimi oczami. Jak myślisz, po czymś takim Driksowie zaczną łązić po krzakach w poszukiwaniu psa czy od razu szmyrgną do kurnika?

– Szmyrgną – uznał Luigi i zapytał o to, o co dawno zamierzał – Powiedz mi chociaż ty, jak się powinno „gęsi” nazywać? Driksowie czy Drikseńcy?

– Dla Taligojczyków są Drikseńcykami, to znaczy poddanymi kesara – jeśli Valdeza zdziwiło pytanie, to wiceadmiral nie pokazał tego po sobie – a dla Bergerów i im podobnych – Driksowie. To więcej, niż nienawiść... Gdzie do nich ollarianom i esperatystom!

– Dlaczego? – słońce wciąż jeszcze nie chciało zachodzić. Przeciwnie, ono jakby się podniosło i zrobiło jeszcze większe – Czego nie podzielili?

– Gdyby był tu mój krewny Weizel albo, co straszniejsze, moja cioteczka – Valdez zrobił ogromne oczy i Felpijczyk nie wytrzymał, zachichotał – ty byś zginął pod zrzuconymi na twoją głowę „gęsimi” grzechami. Bergerowie nie zapominają niczego. To u południowców zemsta jest na ostrzu: zmył i zapomniał, a u mieszkańców północy ona jest w kościach. Nie do wyciągnięcia.

– Opowiesz? – to nie pierwszy zachód, który on widzi, i nie ostatni, dlaczego jest tak źle?

– No, trzymaj się – niech gada o czymkolwiek, bo nie ma nic straszniejszego od milczenia i czarno-czerwonej bezdni – A zatem wiedz, Driksowie, Gaunau i Bergerowie to obcy w Żółtych Ziemiach. Wcześniej żyli za północnym Morzem, Waryci w Siwych Ziemiach, a Agmowie – na wyspie Agmaren. Waryci i Agmowie byli spokrewnieni, ale nie bardzo ze sobą łądzili.

Mój drogi wujaszek Weizel mnie zagryzie, nie bacząc na całą swoją łagodność, ale coś mi się wydaje, że wypiarze psuli Warytom krew nie gorzej, niż marikjarscy korsarze mieszkańcom wybrzeża. Niestety, Agmom się nie poszczęściło. Na wyspę runęły lody, przyszło uchodzić na południe.

Biedacy postanowili przeprowadzić się do Warytów, ale napadać, grabić i uciekać to zupełnie nie to samo, co przyjść i się osiedlić. Nie wpuszczono ich i porządnie przetrzepano im skórę. Agmowie ruszyli dalej, przez morze, które też okazało się nie w humorze. Do Żółtych Ziem dotarła co najwyżej połowa tych, którzy uciekli od Warytów, i jakaś jedna czwarta tych, którzy odeszli z Agmarenu. Złościć się na żywioły w owych czasach było nieprzyzwoicie, winić w swoich nieszczęściach siebie – nieprzyjemnie. No więc Agmowie uznali, że wszystkim winni są Waryci, których i przeklęli zgodnie ze wszystkimi prawidłami demonolatrii.

18 Ketzchen – hexbergska nazwa nieoczekiwanego, krótkiego szkwału, pojawiającego się w okolicach hexbergskiego zalewu. Najczęściej ketzchen pojawiają się w czasie pełni, największą siłę osiągają w pobliżu Wiosennego Przełomu. Miejscowy przesąd łączy ketzchen z jakoby mieszkającymi na górze Hexberg wiedźmami.

– Przodkowie Driksenów i Gaunau przyjęli esperatyzm, a Bergerowie pozostali poganami – Luigi wspomniał na pół zapomniane lekcje – o ile niczego nie myślę.

– Oni mogli przyjąć cokolwiek – westchnął Valdez – nienawidzić się nawzajem nie przeszkodzi im nawet Zwierz.

Słońce stało się jeszcze czerwieniejsze, po szklącym się morzu ciągnęła się do niego winna ścieżka... Tylko Kenallijczyk mógł patrzeć na *takie* niebo z uśmiechem.

– Dziwne, że Agmowie nie zostali na wybrzeżu – Luigi zmuszał się do pytań, ale czy Rotger zmuszał się do odpowiedzi?

– Chcieli – czarno-czerwone fale wznosiły się, zaczynał się przypływ – Agmowie rzucili kotwice w obecnym Flavionie. Grabić tam nie było kogo, musieli zająć się polowaniem i, koszar, rolnictwem, ale trawkę jedli niedługo. W Siwych Ziemiach znów się ochłodziło i teraz za morze popłynęli już Waryci. Na widok odzyskanych krewnych Agmowie poczuli przypływ sił, przekuli pługi na miecze i zaczęło się...

Rotger machnął ręką i zaśmiał się. Za kilka dni wyjdzie w morze z dwudziestoma okrętami przeciwko sześćdziesięciu.

– A co było dalej? – o zachodzie nie mówi się o swojej wojnie, swojej miłości, swoich dzieciach.

– Najpierw zwyciężali Agmowie, ale Warytów było coraz więcej. Przyszli Bergerowie musieli odstąpić, najpierw do obecnej Wschodniej Driksen, a potem do Torki, gdzie i osiedli. Po stu latach wyrzekli się morza, co tylko wzmocniło ich miłość do krewnych.

– Ale okręt na herbie im został.

– Okręt to jeszcze nie najgorzej – w oczach Valdeza tańczyły rude odblaski, jakby wiceadmirał patrzył w ogień – Bergerowie są potwornie cnotliwi. Wziąć by chociaż mojego wujaszka. Wyobrażasz sobie, on ani razu, powtarzam, ani razu nie zdradził cioteczki. Przynajmniej tak uważa.

– To znaczy? – nie wytrzymał Luigi, próbując nie myśleć o czerwonym słońcu, które chyba rozmyśliło się zachodzić.

– No – zmrugał oczy Kenallijczyk – bywają okoliczności, w których cnota, sama o tym nie podejrzewając, trafia w łapki występku...

– Rotger – nie wytrzymał Luigi – Nie wydaje ci się, że słońce stało się wyższe?

– Co? – Valdez obejrzał się na czerwone piętno – Faktycznie, tańczy! Tutaj to się zdarza, szczególnie przed wojną...

2

Dopóki aduani rozbierali juki, stawiali namioty, odganiaли koni, ściemniało, tylko na południowym zachodzie drżała malinowa zorza, nad którą przez wieczorny granat zaczynały przebłykiwać gwiazdy. Na razie tylko te najjaśniejsze.

Noc obiecała być jasna i zimna, ostatnia noc ich oddziału. Jutro Konner skręci ku gaifijskiemu traktowi, dwa dni później nastąpi pożegnanie z Badiglo. Pułkownik przetnie alacką drogę, jeśli jeszcze nie zrobiła tego kadelska armia. W to ostatnie wierzyło się z trudem. Pan generał piechoty Zal z własnej inicjatywy nawet spodni nie zmieniał. Tak przynajmniej twierdził Diegarron, a Marcel Valme nie miał żadnych podstaw, by wątpić w jego słowa.

Wicehrabia kilka razy przegiął się w tył, rozprostowując zdrętwiałe plecy, i pogłaskał Kotika, który właśnie się wynurzył ze zmroku. Wilczarz ziewnął na całą szerokość krokodylej paszczy,

rozwalil się u nóg wicehrabiego i zasapał. Wieczór nie był ciepły, ale w takiej szubie można i na ziemi spać.

– No proszę – Aurelien Shemantal wygodniej ujął jakąś torbę – Kotik dla pana nawet tych kaszowarów rzucił.

Wicehrabia uśmiechnął się skromnie i potargał psa za obciętym uchem. Pewnie zapchlonym, ale ostatnimi czasy Valme nauczył się być cierpliwym w stosunku do wielu niedorzeczności. A w stosunku do wielu – niecierpliwym.

– Co znaczy jakaś tam kasza w porównaniu z przyjaźnią – oburzył się Marcel – szczególnie niedogotowana.

– O, właśnie – młodszy brat generała lubił rozmawiać – Tylko wy, panie, i tak psie słowo znacie.

Psy Marcela rzeczywiście lubiły, nawet pudelek Marianny, uwielbiający łapać za łydki wielbicieli gospodyni. Psiemu kaprynowi właśnie Valme zawdzięczał swój sukces u cudownej baronowej. Poprzedni opiekun Marianny w czasie wizyty w sypialni ślicznotki ucierpiał od ząbków Ewro i zażądał wygnania złoczyńcy. Baronowa westchnęła ze smutkiem i wyгнаła kochanka. Tego samego wieczoru Marcela odwiedził pan Kapul-Gizail i przekazał zaproszenie, które zostało natychmiast przyjęte. Później Marianna mówiła, że droga Ewro nie oszczędziła ząbków dla szczęścia swej pani.

– Nie znam psiego słowa – z godnością powiedział Valme – po prostu jestem czarujący i uprzejmy.

Shemantal parsknął i zniknął. Pewnie pobiegł się podzielić. Przez siedem dni drogi aduani polubili salonowe rozmowy, ale inną miłością niż szlachetne damy. Wystarczyło, że Marcel powiedział coś kurtuazyjnego, a rozlegało się szczęśliwe rzenie i nowe celne słówko było przekazywane z ust do ust. Valme jak mógł radował nowych znajomych, ale zapas ripost topniał nie dniami, a godzinami.

– Ej! – wrzasnęli od ognisk – Dochodzi!

Kotik nastawił uszu i zerwał się z głośnym, roztargnionym szczekaniem, które przeszło w wycie. Szkarłatny pas skoczył w górę, rozwiewając się jak purpurowy sztandar i oparł się o zasłaniającą gwiazdy obłokową grzędę.

– Jest! – wykrzyknął Shemantal – Patrz!

Zapamiętałe zawył Lowo, wiatr, który zniecka przyleciał od zachodu, poruszył martwą trawę, poniósł się dalej, tam, gdzie na purpurowym aksamicie czerniała zębata wieża, nad szczytem której wisiał szkarłatny dysk.

– Żaba ich słowika – pułkownik Konner złapał za obrozę swojego wilczarza – Trzeci raz! Może już wystarczy...

– Ona jednak jest – wymamrotał Valme, patrząc na wyrosłą na wzgórzach baśń, nad którą krążyło stado wron.

– A jak – odezwał się Konner – Nie, no żeby trzeci raz!

– Przytrzymaj Kotika – Marcel pchnął skamlącego zwierzaka ku Shemantalowi – Ja zaraz!

Za nogę zaczepiła się jakaś pętla, głupi zwierz wyrwał się i pobiegł śladem, zapachniało spalenizną. Jeśli to miraż, to luneta niczego nie zmieni, a jeśli nie? Luneta, dziwna rzecz, znalazła się już w pierwszej torbie. Marcel przypadł do okulara i omal nie wrzasnął. Wieża zrobiła się bliższa, nie drżała, nie rozpływała się, a na górnym placyku między sfatygowanymi pogodą blankami ktoś stał. Valme widział wyraźną, zgrabną figurę, bez wątplenia męską.

Człowiek – pan? więzień? strażnik? – podniósł rękę do czoła, wpatrując się w dal. Co można zobaczyć w zmierzchowym płomieniu? Niebo przecięły długie skrzydła, drapieżny ptak opadł na kamienną blankę i zamarł. Nieznajomy wstrząsnął głową i wycofał się w głąb placyku, zlał się z ciemnością...

– Valme – Badiglo wyjął z rąk Marcela lunetę – Proszę mi pozwolić!

– Ależ proszę – uprzejmie odpowiedział język wicehrabiego – Tym bardziej, że ona jest pańska.

Wieża znów stała się dalekim czarnym słupem z rzeźbionym szczytem. Jeśli można ją zobaczyć, to można do niej i dojechać, tylko czy są tam drzwi? Dotrzeć do celu i nie móc wejść – co może być bardziej obraźliwe?

– Nie na dobro to – powiedział ktoś prosty i zatrwożony – Jak jest nie na dobro!

- Och, mamuniu, taka krasa!
- Nie bój nic, przedrzemy się.
- A co innego nam robić...

Czarne stado nad wieżą zamiotło się szaleńczo, przeszywając niebo koślawymi ściegami.

Szkarłatny dysk zadrżał, pobiegły szaleńcze odbłaski. Purpurowe, pomarańczowe, żółte... Oszałamiał szmaragdem zabłysła nieznajoma gwiazda, drgnęła, potoczyła się w dół. Niebo rozjarzyło czystą wiosenną zielenią i zgasło, tylko podskoczyła w górę rudoczerwona fontanna, opadła, rozlewając się po horyzoncie... Wieża zniknęła, zostały noc i wiatr.

– Pułkowniku – ze skrucną powiedział Marsel – Proszę mi wybaczyć. Szperałem w pańskich jukach.

– Drobiazg – machnął ręką Badiglo – Widział pan na szczycie człowieka?

– Widziałem – kiwnął Marcel. Czerwony pas zwęzał się, zniknął, a nad nim promieniał samotny Fulgat... Jakież on dzisiaj jaskrawy!

2

Słońce nareszcie zaszło. Tam, gdzie zniknęło, kłębił się ostygający obłoczek. Zmierzch ze szkarłatnego stawał się liliowy, tylko przy wejściu do zalewu, rozdzielając niebo i morze, ciągnęło się czerwone pasmo. Na jego tle czerniały sylwety patrolujących fregat.

– Pewnie uznałeś mnie za przesadnego – niegłośno powiedział Luigi – ale omal nie oszałamiałem, dopóki ono nie zaszło.

– Nie – nie zgodził się Valdez – ty oszałałeś. Ani jeden człowiek przy zdrowych zmysłach nie będzie chciał słuchać o Warytach i Agmach, jeśli oczywiście nie jest Bergerem. Ale dzień rzeczywiście był niedobry.

– O czym mówisz? – czerwone niebo już nie trzymało za gardło, można było myśleć, słyszeć, słuchać.

– Urodziłem się w Hexbergu – Valdez przesunął się, dając drogę marynarzowi z lampą – i to w dodatku w dniu Wiosennego Przełomu. Tutejsze wiedźmy mnie lubią, ja je też... To dobre dziewczynki, te nasze wiedźmy, jeśli tylko je rozpieszczać, ale dzisiaj było im źle.

– Teraz to ty zwariowałaś? – zastanowił się Felpijczyk. Rozbudzony wiatr wypełniał żagle „Astery”, brzegi i horyzont zniknęły, pozostały tylko gwiazdy i ognie na wybrzeżu.

– Jestem zdrowy – z godnością odpowiedział Rotger – Przy okazji zapytaj mojego przyjaciela Wenera albo mojego wujaszka Weizela, oni potwierdzą. Po prostu cały czas zapominam, że ty jesteś z cnotliwego Felpu, gdzie nigdy nic się nie dzieje.

Płonące galery, martwa dziewczyna na czarnych deskach, płacząca piękność na białym koniu, szczerbaty, chichoczący potwór, ludzie, uważający się za szczury...

– Owszem – zgodził się Luigi Gildi – W Felpie nic się nie dzieje. No więc co się stało z waszymi wiedźmami?

– Ty patrzyłeś w zachód, a należało patrzeć na Hexberg.

– Nie było jej przecież widać – przypomniał Luigi.

– Właśnie. Kiedy szczyt jest we mgle i w zatoce ucicha wiatr, wiedźmy płaczą. A płaczą one rzadko. Tylko że do naszej wojny to się nie odnosi. Radziłbym wam z Rangoni rankiem wypłynąć na spacer. Drogę teraz znasz.

– Myślisz, że już jutro?

– Nie jutro, nie – Valdez poderwał głowę, jakby łapał nozdrzami wiatr – Jutro szwan nie ucichnie, i pojutrze też nie... Ale wy musicie przywyknąć do Anthenizel, a Anthenizel musi przywyknąć do was.

ROZDZIAŁ 9

RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 12 dzień Jesiennych Błyskawic

Richard Ockdell bez przerwy patrzył na gaifijską szkatułkę, która ponad trzy wieki przeleżała pod dłonią martwego uzurpatora, i nie wierzył swoim oczom. Kim by nie był tworzący ją artysta, widział ten sam miraż, co i Richard. Wysokie trawy gięły się pod porywami ucichłego stulecia temu wiatru, rwał się ku czerwonemu okrągłemu słońcu czarny, zębaty słupek, a nad nim krążyły ptaki, złe i trwożne jak sam Zmierzch.

Wątpliwe, żeby tajemnica błędzącej wieży została kiedykolwiek odkryta, a co ukrywa szkatułka Franciska... albo i nie Franciska? Młodzieniec przesunął palcem po purpurowej lakowej powierzchni. Czyje ręce ją trzymały? Żalostnego Oktawiusza, szubienicznika Ramiro? A może schował ją ktoś inny, ktoś, kto uznał grób uzurpatora za doskonałą skrytkę? Na kogo liczył? Na Rakanów, którzy wcześniej czy później zmiotą z taligojskiego stołu ollarskie błoto? A może nieznany Taligojczyk zamierzał wrócić po swój skarb, ale nie mógł?

Dick położył przedmiot na stół i spojrzął w okno. Tam była ciemność i mokry, ciężki śnieg. Ogromne, niemal wielkości paznokcia płatki tajały, ledwie dotknąwszy szkła. Aldo się spóźniał, i Richard znów usadowił się w fotelu. Przypomniało mu się, jak siedział i patrzył na inną szkatułkę, zgadując, co w niej jest. Tam okazał się ojcowski sztylet. Ręka młodzieńca sama wyciągnęła z pochwy naznaczone dzikiem ostrze. Mateczka mówiła, że to właśnie ono przerwało życie Ramiro-Zdrajcy, ale ojciec w to nie wierzył, a Kruk rzucił kiedyś, że dzik – to tylko znak. Dick schował sztylet, znów spojrzął na zmierzchową szkatułkę i, wspomniawszy, jak gaifijscy majstrowie chronili sekrety swoich zleceńodawców, zdrętwiał z przerażenia.

Szkatułka prawie na pewno jest zatruta, Aldo nie może jej otworzyć! Ale spróbuj wyjaśnić to suzerenowi, który nie boi się nikogo i niczego.

Myśl, aby wezwać służącego albo żołnierza, młodzieniec odrzucił od razu. Jeśli w szkatułce jest coś rzeczywiście ważnego, to o jego istnieniu nikt nie powinien wiedzieć. Pozostawało jedno – zaryzykować samemu. Richard delikatnie wziął wdzięczne pudełeczko, obejrzał ze wszystkich stron, serce załomotało wściekle, ale śmierć księcia Ockdella to nie takie nieszczęście jak zguba ostatniego Rakana, a poza tym, może nic nie będzie. Jeśli nie otwierać zamku, a podważyć sztyletem mocujące wieczko zawiasy.

Na wszelki wypadek Dickon umoczył pióro w atramencie i spiesznie napisał: *„Wasza Wysokość! Gaifijskie futerały często bywają zatrute. Taligoja nie może ryzykować panem, dlatego otworzę szkatułkę sam. Jeśli umrę, to znaczy, że była w niej trucizna.*

*Wierny panu Richard Ockdell
Stwórco, chroń Aldo Rakana!”*

Nie było na co czekać, Aldo mógł wejść w każdej chwili. Wejść i zrobić po swojemu. Richard wziął ojcowski sztylet i przesunął ostrze tam, gdzie wieczko było umocowane do futerału. Zawiasy były zrobione sumiennie, ale nie mogły wytrzymać nacisku Władcy Skał. Wieczko odpadło ze zdziwionym dźwiękiem i w tej samej chwili z zameczka wyleciała cieniutka bura igła. W szkatułce rzeczywiście była śmierć, ale Richard Ockdell ją oszukał.

Dickon okręcił dłoń płaszczem, złapał niebezpieczną rzecz i wytrząsnął zawartość. Na holtijski dywan wypadły dwa ozdobione pieczęciami dokumenty. Na jednym widniał Zwycięzca Smoka, na drugim prostowała skrzydła dziwna istota z końską głową na węzowej szyi. Testament Ernani jednak istniał!

2

„Ja, Ernani z rodu Rakanów, król taligojski, gotując się, by stanąć przed Pierwszym Sądem, niniejszym testamentem oznajmiam swą ostatnią wolę.

Wykonawcami owej woli wyznaczam księcia kenallijskiego Ramiro Alwę i Władcę Błyskawic księcia Epineixa. Obaj oni wiedzą o tym, czego polecono im dokonać i przysięgli wypełnić poleczone. Ja natomiast przyjmuję na siebie całą odpowiedzialność i wszystkie grzechy, jakie popełnią wykonawcy mojego testamentu, wypełniając moje zarządzenia.

Zewnętrzni wrogowie i wewnętrzne nieszczęścia złamały Taligoję i jej czas minął. Księżę Hercules jest zbyt mały, by przeprowadzić umierające królestwo przez Przełom. Nie widzę w nim cech, które pozwoliłyby odrodzić Taligoję i ochronić ją przed podjudzanymi przez Agaris Gaifą, Uertą i północnymi królestwami.

Dlatego ja, Ernani XI Rakan, przed obliczem Stwórcy i bliskiej śmierci z własnej woli

wyrzekam się taligojskiej korony w imieniu swoim, księcia Herculesa i jego potomków. Wyznaczam księcia Alwę strażnikiem tronu i wręczam mu swoją koronę z poleceniem, by oddał ją Franciskowi Ollarowi. Jeśli jednak Ramiro uzna, że wymieniony Francisk nie przyniósł Taligoi pokoju i dobrobytu, rozkazuję Ramiro Kenallijskiemu obalić go i samemu włożyć koronę. Na znak, że Ramiro ma prawo w moim imieniu obalić niegodnego władcę, przekazuję mu miecz Rakanów oraz rozkazuję i błagam, by nie wkładał go w pochwę, dopóki mojej ziemi grozi niebezpieczeństwo. Jeśli natomiast książę Alva zginie, obowiązki strażnika przejdą na księcia Epineixa.

Od dawna ciężko choruję, moje życie tylko obciąża zmianę dynastii, ale mój duch jest słaby i nie potrafię zabić się samą, a przyjąć śmierć za pomocą trucizny niegodnym jest mężczyzny i króla. Proszę księcia Epineixa o ostatnią przysługę, jaką przyjaciel i wierny wasal może oddać umierającemu suzerenowi. W mojej spowiedzi, którą wręczę księciu Epineixowi, ażeby przekazał ją biskupowi kabitelskiemu Arianowi, wyznaję żal za grzech samobójstwa i biorę jego ciężar na swoją duszę.

Proszę księcia Epineixa, księcia Alwę i wielbnego Ariana, aby zachowali prawdziwe okoliczności mojej śmierci w tajemnicy, aby nie spoczęły one ciężarem na ramionach księcia Herculesa, królowej Blanche i wszystkich, którzy mnie kochali.

Książę Pridd siłą i podstępem zmusił swojego króla do wręczenia mu regencji, co jawi się największym przestępstwem przeciw koronie i Stwórcy i karane jest śmiercią. Polecam księciu Epineixowi albo też księciu Alvie ukaranie przestępcy, ale ochronienie przed hańbą jego rodziny.

Co do wszystkiego pozostałego, to liczę na honor, siłę i rozum wykonawców mojego testamentu.

Stwórczo, chroń Taligoję i jej nowego króla.

Ernani Rakan.

2 dzień Jesiennego Wiatru 399 roku pierwszego Kręgu Błyskawic.”

Richard przeczytał testament cztery razy i dopiero po tym położył papier na stół. Za oknem nadal sypał śnieg i marzli strażnicy, a świat stanął na głowie. Bo nie było ani zdrady, ani zabójstwa. Ernani Rakan sam, swoimi rękami oddał koronę Franciskowi Ollarowi.

Święty Alanie, czyli Aldo nie jest królem? Przecież Ernani wyrzekł się korony nie tylko za siebie, ale i za syna, i za jego następców. I wszystko przez Pridda! Gdyby nie wiarołomstwo Hectora, król nie straciłby resztek swojego męstwa. Oto kto jest prawdziwym winowajcą! Marszałek, który podniósł rękę na swojego suzerena. Epineix z Alwą po prostu wypełnili rozkaz Ernani. A książę Ockdell? Za kogo on zginął?! Za zmęczonego życiem tchórza, któremu zabrakło odwagi nawet na ostatni cios!

Suzeren miał rację, kiedy mówił o jednym Ernani, ale nie wiedział, że i drugi jego przodek był słaby i chory nie tylko i nie tyle ciałem. Może Kenallijczyk i nie zdradził króla, a wypełniał jego rozkaz, to nic nie zmienia. Zdrada i tak była, tak samo jak i czyn. Zdrada Pridda i czyn tych, którzy ratowali Taligoję na przekór jej oszalałemu królowi. Ratowali i zginęli.

Żeby jakoś dojść do siebie, młodzieniec wziął drugi dokument. Ten był krótki.

„Ja, Francisk Ollar, miłością i wolą świętego Adriana król Taliga, ogłaszam swoją ostatnią wolę.

Jestem pełen miłości do swojego jedyne go syna Oktawiusza, ale serce króla należy do jego kraju. Oktawiusz wyrósł na godnego i dobrego człowieka, ale nie jest zdolny przyjąć na siebie brzemienia władzy. Ja, jako głowa kościoła i jako król, nazywam imię swojego następcy.

To książę Ramiro Alva Młodszy, syn mojej ukochanej małżonki Oktawii i mojego niezapomnianego przyjaciela Ramiro Alvy, który oddał życie za króla i Talig.

Nie mam wątpliwości co do miłości Ramiro do swojego przyrodniego brata i z łatwością powierzam mu troskę o Oktawiusza i jego potomstwo.

Podpisane: Francisk.

Ósmy dzień miesiąca Szafiru 21 roku Kręgu Skał.”

– Dickon – ręka Aldo spoczęła na ramieniu Dicka – Czym ty się tu zajmujesz?

– Tym – Richard w milczeniu wskazał suzerenowi stół z pismami. Nie miał siły mówić.

Jak na złość, Aldo jako pierwszy złapał zapisek samego Dicka, który zagubiony pod nawałą

nowych wyznań młodzieniec zapomniał porwać. Aldo gwizdnął, zerwał z szyi złoty łańcuch z opalami i nałożył na Richarda.

– To order Naieri. Zamierzałem ogłosić go w dniu koronacji, ale mnie ubiegłeś.

– Wasza wy...

– Aldo – przerwał Rakan – Order Naieri – to order tych, dla których życie suzerena droższe jest od własnego. Kawalerowie Naieri otrzymują przywilej nazywania swojego króla po imieniu. Zawsze i wszędzie. Zasłużyłeś na to.

– Ja... – Richardowi wydało się, że trzeba coś wyjaśnić – Aldo, stamtąd rzeczywiście wyskoczyła igielka...

– Chwała prawdziwym bogom, że nic się z tobą nie stało – suzeren nachmurzył się – Jesteś mi potrzebny żywy i zdrowy, rozumiesz?! Tak że następnym razem szkatułki będą otwierać ci, którzy udowadniają swoje oddanie w poczekalni, a nie na polu walki. Będzie przynajmniej z nich jakiś pożytek. Pokaż się!

Richard ochoczo zerwał się na nogi. Był dumny z nagrody i trochę zakłopotany. Gdyby nie testament, byłoby to szczęście.

– Doskonale – pochwalił Aldo – Jubiler to rzeczywiście mistrz w swoim dziele. Wyobraź sobie, siedłem i zastanawiałem się, za jakie zasługi i komu wręczać takie cacko, a tu – ty ze swoją trucizną! To los. Bierz pióro, będziemy statut tworzyć. Pisz: „*My, Aldo Rakan, dziś, jedenastego dnia miesiąca Jesiennych...*” Tfu, dopóki z Matyldą się kłóciłem, już się jutro zrobiło. No więc „*dwunastego dnia Jesiennych Błyskawic...*”

– Aldo – niezdecydowanie powiedział Richard, rozumiejąc, że zaraz przepędzi cudzą radość i spokój – Aldo, tu są testamenty... Uzurpator i Ernani, jak się okazuje... No, to znaczy uzurpator nie jest żadnym uzurpatorem!

– Daj mi to – twarz Aldo zrobiła się surowa – zobaczymy, co wymyślił mój przodek.

Aldo czytał, Richard czekał, każąc sobie się odwrócić. Jak strasznie się dowiedzieć, że zamknięta w Bagerlee tłusta miernota to naprawdę prawowity król, a ty tylko potomek kaleki, który dobrowolnie abdykował... Co teraz będzie? Nie można skończyć gry! Ollarowie mogą być prawowitymi królami, ale to nie umniejsza krwi, przelanej za wolność i Honor.

– Rober nie może o tym wiedzieć – Aldo z nienawiścią rzucił na stół zapisane kartki – a już tym bardziej nie może o tym wiedzieć Levi. Zrozumiałeś mnie?

Dickon skinął głową. No dlaczego dobre myśli zawsze przychodzą za późno? Trzeba było spalić te przekłete papiery. Oba!

Aldo Rakan dwoma palcami wziął ostatnią wolę Ollara i cisnął w kominek.

– Nie należy zamieniać Roke Alvy w króla – twarz Rakana zrobiła się twarda – choćby tylko w oczach ollariańskiego nasienia.

– A – Richard zająknął się, dobierając słowa – drugie... Ono przecież jest jeszcze gorsze.

– Gorsze – potwierdził suzeren – ale każda trucizna może stać się antidotum. Na Pociętego Smoka, co za podłość!

– O czym ty mówisz? – zapytał Dick, rozumiejąc, że Aldo musi się wygadać. Przecież nie będzie nosił w sobie całej tej wściekłości i tego bólu.

– Nie o czym, a o kim – nozdrza Rakana rozdęły się – O tej stonodze, o tym bestialsko zabitym niewinnym Ernani! Nienawidzę tego imienia. Ono zgubiło anaksję, ono zgubiło królestwo! A wszyscy tylko lamentują. Ach, święty, ach, niktzemnie zamordowany... Stwory Zmierzchu, zdrajcą był nie Ramiro, a mój szalony przodek! Hector miał tysiącokroć rację, odsuwając go od władzy, szkoda, że nie doprowadził sprawy do końca. Króla, który gubi swój kraj, należy zabić. Razem z pomagierami. No, przypuśćmy, że od kenallijskiego shada niczego innego można było nie oczekiwać, ale Władca Błyskawic! Pójść na smyczy, trzymanej przez miernotę... Zresztą, Epineix to Epineix. W walce są dobrzy, ale kiedy trzeba myśleć, pożytku z nich tyle, co z inochodźców. Czworonogich.

Ostro, ale sprawiedliwie. Charles dał się przekonać, a jego potomkowie szli jego śladami, póki Guillaume'a nie wzięła za uzdę Alicja. Swojej głowy Epineixowie nie mieli i nie mają, chociaż walczyć rzeczywiście umieją.

– Dickon – odezwał się Aldo – liczę na ciebie. Zapamiętaj, w szkatułce była kolia Oktawii albo coś w tym stylu. Poszukam czegoś odpowiedniego, ofiarujemy to na biednych, a tej podłości nie widziałeś. Zrozumiałeś mnie?

– Oczywiście!

– Milczenie – to nasz obowiązek. Wobec świętego Alana, Gonta, tych, których powywieszał Ramiro. Wobec twojego ojca, na koniec. Inna sprawa, że tylko Leworęki wie, jak długo uda się to utrzymać w tajemnicy.

– Ja nikomu nie powiem – nawet jeśli będą torturować, rozrywać na części, spalać żywcem.

– Co do ciebie nie mam wątpliwości – machnął ręką Aldo – Boję się czego innego. Ten łajdak napisał jeszcze i spowiedź, a Charles Epineix przekazał ją Arianowi. No a to, co wiedział Arian, wiedział i Francisk, i jego „gnojjarze”.

– Wasza wysokość – ze zdenerwowania Richard zapomniał i o orderze Naieri, i o podarowanych mu przywilejach – a może nie ma żadnej spowiedzi?

– Przeszliśmy na „ty” – ze zmęczeniem upomniał suzeren – Chcesz wiedzieć, dlaczego jestem pewien, że spowiedź była?

– Dlaczego?

– Bo Herculesa nie koronowano, a w Ollarii do Sylwestra nikt nie próbował zniszczyć Rakanów. Teraz rozumiesz?

– Nie – przyznał się Dick, który chciał złapać przekłętą papier i wepchnąć go do ognia razem z zatrutą szkatułką.

– Gdyby Esperador nazaczył Herculesa Rakana władcą ziemskim, Francisk ujawniłby testament, a Charles Epineix i Arian potwierdziliby, że jest on prawdziwy. Hercules i Blanche byłiby zhańbieni i znaleźliby się w rynsztoku, tracąc nawet to, co im zostało.

– A dlaczego Francisk tego nie zrobił?

– Bo bękart był mądry. Jest broń, której można użyć tylko raz. Lepiej dać wrogowi do zrozumienia, że jest ona u ciebie, i zachować ją na przyszłość. Francisk miał i inne powody. Ujawnić testament oznaczało postawić Alwę ponad Ollarami.

– Ale uzurpator i tak zostawił wszystko Ramiro.

– Umierając. Poza tym z tego testamentu nie skorzystano, czyli Francisk umiał okiełznać i Kruków. I... Dickon, mam nadzieję, że rozumiesz, iż po tym nie wolno pozostawić Roke Alwy w żywych?

– Bo jest królem?

– Nie. I tak. Według praw Tych, Którzy Odeszli, wola śmiertelnych nic nie zmienia. Ja jestem królem, bo w moich żyłach płynie krew Rakanów, a nie dlatego, że ktoś kiedyś coś zapisał w testamencie. Tak samo jak ty zostajesz Władcą Skał, co by się z tobą nie stało i gdzie byś się nie znalazł. Przyjdzie czas i w naszym imieniu przemówi nasza siła, ale na razie jeszcze nie jesteśmy w Złotej Anaksji. Trzeba liczyć się i z Agarisem, i ze Złotym Traktatem, dlatego kiedy wypłynie spowiedź Ernani, a ona wypłynie, Alva musi być w Zmierzchu. Rozumiesz?

– Tak – Święty Alanie, dlaczego Kruk nie zginął, przedzierając się do szafotu? Tak byłoby łatwiej dla wszystkich.

– Rober okazał ni to szlachetność, ni to tchórzostwo – wydawało się, że suzeren czyta w myślach Richarda – ale czego nie zrobiono, tego nie zrobiono, a teraz na nasze głowy zwałił się kardynał, który widział Alwę w Bagerlee. Nie mogę Leviemu zabronić odwiedzać więźnia.

– Ale jak...

– Zabójstwo więźnia źle pachnie – suzeren wziął w dłonie zmierzchową szkatułkę, popatrzył, odstawił na stół – Jeśli Alva umrze w Bagerlee, powiedzą, że to zabójstwo. Nawet jeśli on skoczy z wieży albo złapie gorączkę.

Dickon, mamy tylko jedno wyjście. Sąd. Sąd eorów, jak za Ernani Świętego. Przeciwno temu nie sprzeciwi się nawet kardynał. Chwała Odeszłym, Kruk nawyrabiał tyle, że można go skazać cztery razy i będzie to sprawiedliwe.

CZEŚĆ IV

„GWIAZDA”¹⁹

Najwyższe męstwo i nieopanowane tchórzostwo – to skrajności, które można spotkać bardzo

rzadko. Między nimi na ogromnej przestrzeni rozciągają się wszelkie możliwe odcienie odwagi, tak samo różne, jak ludzkie charaktery

Francois de la Rochefoucauld

ROZDZIAŁ 1 ANTHENIZEL

399 rok K.S. 15 dzień Jesiennych Błyskawic

1

Złoty tall skoczył w górę jesiennym listkiem i upadł na szary piasek. Berto Salina schylił się nad leżącą monetą i oznajmił:

– Smok!

– Tym razem doganiasz ty – Rangoni poklepał Luigiego po ramieniu – jeśli oczywiście zaryzykują dzisiaj.

– Jak nie dziś, to jutro – pocieszył Mario Nicci, który zszedł na brzeg razem z Luigim – a jak nie jutro, to kiedyś.

– Twój przyjaciel Valdez zaproponowałby zakład – kapitan „Czarnego kruka” ciasniej owinał się również czarnym płaszczem – Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy wziąć z niego przykładu. Dziesięć tallów na dziś.

– Dwadzieścia na jutro – Luigi określił się na obcasie, odciskając w mokrym piasku stokrotkę – Lepiej wyrzucę dwadzieścia monet, niż żebym miał sterceć na tych diunach.

– Przyjęte – Mario rozciął dłonie kapitanów i nastroszył się – Kocia pogoda!

– Jesteś niesprawiedliwy – wypomniał abordażnikowi Gildi – Dzisiaj jest ciszej niż wczoraj, i morze jest spokojniejsze. Na miejscu „gęsi” ja bym się zdecydował. Berto, co nam powiesz, na długo ta cisza?

– Rej Valdez mówi, że na trzy dni – odpowiedział adiutant Almeidy, oddany Felpijczykowi w charakterze znawcy drikseńskich okrętów i marikjarskich sygnałów – Potem znów zaczniesz wiać, chodzić będzie można, ale strzelać – nie. Do sztormów jeszcze daleko.

– Kawioty²⁰ łowią – Giuseppe odprowadził wzrokiem swarliwie wrzeszczącego ptaka – czyli nie nasili się. I nad czym się zastanawiają? Pogoda dla desantu całkiem odpowiednia.

– Powiedz to panu admirałowi zur see – poradził Luigi – Ciekawe, jak go Ugo nazwie? Weizel – Wezelli, a Kaldmeier?

– Kaldmeier to jeszcze nic – mruknął Rangoni – za to Beme-coś-tam-coś-tam to dopiero

19 „Gwiazda” - Wielki Arkan Tarota. Symbolizuje odrodzenie i odnowienie, wewnętrzne światło, nadzieję, ratunek, bezpieczeństwo. Oznacza przyływ sił twórczych, natchnienie, nieoczekiwaną pomoc, nową miłość. To optymizm, możliwe do zrealizowania i zrealizowane plany, odkrycie nowych horyzontów, uleczenie, głębokie i prawdziwe uczucia, płodne idee, szlachetne myśli. Karta odwrócona oznacza upór, nieustępliwość, zaciekłość, stracone szanse, niewiarę we własne siły, lenistwo, obojętność, pewność siebie. Uprzedza o możliwej duchowej ślepotce, nie pozwalającej zauważyć i wykorzystać otwierających się możliwości.

20 Morskie ptaki rybożerne, przypominające niewielkie pelikany.

pięknie.

– Bermesser – poprawił Berto – Gdyby flotą dowodził on, „gęsi” już by tu były. Valdez teraz żałuje, że pozbawił drania stanowiska, ale co się stało, to się nie odstanie.

– Be-me był Taligojczykiem? - zdziwił się Luigi, wpatrując się w horyzont – wszystko było beznadziejnie szare: ponure fale, ciężkie, złe niebo, daleki brzeg; tylko na wschodzie, gdzie ukrywała się szalona góra, drżała perłowa plama, gotowa rozerwać się potokami światła.

– Bermesser jest „gęsią” – mruknął Salina – i to bardzo rasową. Osobisty przyjaciel księcia Friedricha. Postawiono go w zamian Kaldmeiera, to postanowił zagrać w „Imperatrix”.

– Sądząc ze wszystkiego – zastanowił się Rangoni – Valdez zagrał w „Cammoristę”.

– I jeszcze jak! – Berto był trochę zawiedziony domyślnością gościa – Driksowie musieli udawać, że Werner trochę zwariował i odesłać go na leczenie, chociaż lepiej by było, gdyby to on został admirałem Morza Ostrygowego.

– Zawsze dobrze, kiedy wrogi admirał jest idiotą – zgodził się Rangoni – a jeszcze lepiej – idiotką. Luigi świadkiem, że nie kłamie, była u nas taka...

– Sam opowiesz – Luigi nie chciał śmiać się z „Morskiej pantery”, a głupio było zabraniać Rangoni mówić. Przyjaciel nie umie czytać w duszach, skąd miałby wiedzieć o Poliksenie?

Gildi machnął żartownisiom ręką i wszedł na grzbiet diuny, ku dyżurnym. Jakoby ścichły szwan tylko czekał, kiedy ktoś wysunie się z ukrycia. Felpijczyk ledwie zdążył złapać kapelusz, któremu nagle się ubzdurało, że jest mewą, i złapał za łokieć zsiniałego obserwatora:

– Co tam?

– „Aglaię” – ochryple odpowiedział marynarz, nie odrywając się od okulara – Wróciła...

– Daj – Luigi wyciągnął rękę – Idź, napij się czegoś i wracaj!

– Tak jest – szczęśliwy dyżurny szybko rzucił się w dół, zaszeleścił osypujący się piasek. Skał przy Hexbergu nie było, tylko diuny, krzywe sosny i jakieś szare krzaczki, jakby otoczone dymem, a dalej od morza – błota.

Nieprzyjemne miejsce, dziwne, że wyrosło tutaj miasto, zresztą okolice Felpu wcale nie są ładniejsze. Oni z Rangoni przywykli do Venianeiry, a Valdez – do mgieł Anthenizel i szarej Herbste, chociaż wiosną, w słoneczny dzień, pewnie nie jest tu tak źle...

Wiatr świsnął wprost w ucho, przypominając o zajęciu; Luigi zawstydzził się i podniósł lunetę. „Aglaię” i „Żmija” zobaczył od razu, korwety, jak należało tego oczekiwać, kołysały się przy wejściu w zatokę. Dalej od brzegu stróżowały jeszcze trzy statki, ale Luigi dojrzał tylko „Ketzchen”, której miejsce było o kilka horn od wewnętrznej linii straży. „Pożegnalny pocałunek” i „Szczęście” pilnowały dalej na zachód i północ, zagubione w mglistej nieskończoności. One wrócą albo bliżej nocy, albo kiedy zauważą grymaśnego wroga.

Czyżby Kaldmeier znów miał zawrócić u swojego brzegu i odpłynąć w swoje pielesze? Przedwczoraj oni omal nie zawyli, kiedy fregaty Drikseńczyków, pomajaczywszy na horyzoncie, zniknęły jakby ich nigdy nie było. Almeida, zdaje się, od osławionego admirała nie oczekiwał nic innego, ale pozostali wyszli z siebie, a najbardziej lamentowali Varotti i Berto.

Były bosman pragnął krwi i sławy. Inni krzyczeli ciszej, ale myśleli tak samo. Luigi nie był wyjątkiem – jeśli lis pcha się do kurnika, a trafia na psiarnię, nie ma co go żałować, nawet jeśli zostanie z niego tylko ogon. To sprawiedliwe, tylko jak zapomnieć zaostrzoną twarzyczkę, splątane włosy, krwawą kaszę zamiast nóg?! Poliksena była bordońskim oficerem, wrogiem, który przyniósł do Felpu wojnę i nieszczęście. Luigi o tym pamiętał, ale nie pogodził się, nie mógł się pogodzić!

Żeby chociaż trochę oderwać się od ponurych wspomnień, Felpijczyk odruchowo spojrzął na „Rekina”. Piękność kołysała się na leniwej wodzie, oczekując swojego czasu. Bez żagli przy takiej pogodzie będzie niemalże niewidoczna. Wątpliwe, by Drikseńczycy wśród mnóstwa odnóg i wysepek dojrzeliby samotny maszt...

– Leworęki! – westchnął drugi dyżurny i szwan natychmiast usłużnie rzucił w twarz dźwięk wystrzału, który niemal złał się z drugim i trzecim. Luigi pospiesznie przesunął lunetę – morze było puste, tylko „Żmij”, nie zmieniając kursu, powoli szedł na północ.

Felpijczyk zamarł, słuchając wiatru. Jeśli dalekie straże się nie pomyliły, to Drikrowie płaczą się w pobliżu, ale to ich prawo. Chcą – ganiają śledzie, chcą – wietrzą żagle. Spacererek wzdłuż brzegu – to jeszcze nie wojna, a Almeida może zrzucić maskę tylko raz.

Zaszeleściło, pod butami wstrętne skrzyptał mokry piasek, rozległ się przyspieszony oddech.

– Są? – zadyszany Rangoni wyjął lunetę – Gdzie?

– Na razie nie widać... – zaczął Luigi – Zaraz!

„Ketzchen”, powtarzając sygnał swojego współbrata z dalekiego dozoru, wypuściła kilka dymnych kulek.

– Szalupę! – warknął Rangoni, ale oczy i tu wyprzedziły słuch: pomocnik Giuseppe runął po zboczku w dół, wyprzedzając idący z morza dźwięk. Luigi spojrzął na brzeg: marynarze szybko ścigali szalupę na wodę i rozplątywali wiosła.

– I tak zawsze – puścił oko przyjaciel – smoki – latają, reszki – śpią...

– Ty najpierw doleć – niezbyt dowcipnie odgryzł się Luigi i poprawił się: – Jak „gęsi” podzielimy? Tobie mięso czy pióra?

– Rozliczymy się – Rangoni w myślach już odpływał – Leworęki, gdzie te stróżujące łajby?

– Gdzieś są – po plecach biegały gorące ciarki, twarz też płonęła, jakby szwan cudem zamienił się w kenallijczyka.

Przekłęta „Ketzchen” jakby usnęła, „Żmij” i „Aglaię” też zamarły. Nad samą głową z kocim wrzaskiem przeleciała niebieska północna mewą. Głupi ptak mógł polecieć i wszystko zobaczyć,

ale w jego mózgu było miejsce tylko dla ryby. Luigi chętnie tupnąłby nogą o ubity piasek i zawrzeszczał, ale kapitanowi nie przystało się wściekać.

– Rozmyślił się – prawie zawył Nicci – Znów się rozmyślił, podlec!

– Uspokój się! – huknął Rangoni – Jeszcze nic nie jest jasne.

Wieczności ani się śniło mijać, za to wróciła mewa, i to nie jedna: latające rozbójniczki pędziły ociężałą od zdobyczy kawiotę. Pechowa łowczyni nie wytrzymała, wypuściła łup i z wizgliwym szczekiem rzuciła się na najbliższą krzywdzicielkę. Poleciały pióra. Para najbliższych mew rzuciła się ku leżącej na piasku rybie, i tutaj „Ketzchen” zaczęła ubierać się w żagle. Znów gruchnęły armaty. Jeden raz... Dwa... Cztery... Osiem! I znów... Dwa razy po osiem. Nie ma już wątpliwości, idą, ale dokąd?!

– Juź! – Rangoni ścisnął ramię Luigiego i pomknął ku tańczącej, jakby z niecierpliwości, szalupie – Doganiaj mojego ptaszka! Niech tylko spróbują zawrócić, zabiję!

2

Lekko nachylając się odwietrzną burtą, „Noordkrone”²¹ szła halfwindem, w olinowaniu wesoło poświstywał szwan, przepowiadając niedługą bitwę, o tym samym krzyczały mewy i huczało morze.

– Pogoda idzie nam na rękę – lejtnant floty jego wysokości Josef Kanmacher, a dla bliskich po prostu Zepp, uśmiechnął się z rozmarzeniem – Szczury lądowe co najwyżej nogi zamoczą.

– Zapomniałeś o Valdezcie – hrabia fok Felsenburg, czyli najlepszy przyjaciel Ruppki, z wyrzutem pokręcił głową – Szaleniec się nie wycofa, bo to właśnie Szaleniec.

– Muszę przyznać, że trochę mi go żal – zupełnie szczerze powiedział Kanmacher – Piętnaście naprzeciw sześćdziesięciu – tutaj nawet Lodowaty niczego nie poradzi.

– Gdyby Olaf nie spławił Wenera w ariergardę – Rupert uśmiechnął się niedobrze – żałować przyszłoby jego. Valdez rozumie, co go czeka. Myślisz, że my wczoraj na próżno wypłoszyliśmy frosherskich²² strażników i odpłynęliśmy? To było ostrzeżenie, Zepp. Ostatnie ostrzeżenie admirała.

Valdez mógł odpłynąć choćby do Farianu²³, choćby na Marikjarę, ale ten wariat postanowił się bić. Zapewniam cię, on nie jest łatwą zdobyczą nawet dla Donnera. Nam przyjdzie pić nie tylko za zwycięstwo, ale i za spokój dusz, a potem bękart Friedrich będzie wrzeszczeć, że jego wspaniały Werner z dwudziestoma lineałami wzięłyby Hexberg bez strat.

21 Noordkrone – jedna z nazw opuszczonego pod naciskiem lodowców legendarnego państwa Warytów.

22 „Żaby” - pogardliwe przezwisko Taligojczyków. Podobne to: stoltzfroszhiger (szczęśliwy zwycięzca żab), froshziger (zwycięzca żab), aluzja do herbu Taliga.

23 Port w hrabstwie Fukiano (między Ulappem i Kenalloa).

– Niech wrzeszczą – pozwolił Zepp, lubując się na ozdabiającą dziób „Płomienia niebiańskiego” pannę z tarczą – Wszyscy wiedzą, kto ile jest wart.

– Dorzuć, że we flocie – zacisnął usta fok Felsenburg – W Einrechcie uwierzą tym, kto głośniej krzyczy... Chwila!

Na dziobie głośno uderzył dzwon sygnałowy, coś krzyknął majtek w bocianim gnieździe.

– Od wiceadmirała Donnera. Na kursie okręty straży – przekazano po pokładach kasztelu²⁴ - Pod pełnymi żaglami idzie do portu.

– Na kursie okręty straży, panie bosmanie! – wrzaśnięto zupełnie blisko.

– Od wiceadmirała Donnera...

– Biegnę – najlepszy przyjaciel klepnął Jozefa w ramię i skoczył ku trapowi. Fok Felsenburg był wystarczająco wysoko urodzony, by zostać adiutantem admirała, i wystarczająco sensowny, by nie znoszący wysoko urodzonych wałkon Olaf go nie przegonił.

Zepp uśmiechnął się mimowolnie. Tylko pomyśleć, wnuk bosmana i krewny kesara – przyjaciele do grobowej deski. Ruppki nie tylko nie chwalił się swoją znakomitością, ale i ukrywał ją jak mógł, bez ustanku powtarzając, że feldmarszałków i admirałów czyni nie krew, a wola i doświadczenie. Josef w pełni zgadzał się z przyjacielem, zamierzając spotkać starość co najmniej jako dowódca jednej z flot jego wysokości. Ostatecznie wielki Kaldmeier to też nie książę, a syn rusznikarza z Ezelcharda.

– Dzisiaj! – krzyknął Ruppki, wyskakując z kajuty admirała, i, zręcznie przytrzymując szpadę, pomknął na rufę.

Zepp pospiesznie poprawił kołnierzyk i w myślach sklął samego siebie ostatnimi słowami. Po przejściu na „Noordkrone” przysiągł, że przestanie się „obierać” i prawie przestał, ale nerwy wzięły swoje. Pierwszy prawdziwy bój – to nie żarciki. Ruppi jako fenrich uczestniczył w walce liniowej, ale dla Zeppa dzisiejsza bitwa będzie pierwsza, i doświadczenie w potyczkach z kadańskimi przemytnikami mu tu nie pomoże.

Lejtnant bał się czegoś nie zrozumieć, pomylić, zrobić nie tak, w głębi duszy marząc usłyszeć od Kaldmeiera jego znane „dobrze, bardzo dobrze”. Niestety, artylerzysta górnego pokładu raczej nie będzie miał okazji, by się wyróżnić. Szaleniec dostanie się awangardzie, a centrum zajmie się fortami. To robota dla ciężkich armat dolnych pokładów. Lejtnant zur see²⁵ Ailenbach dwa razy proponował Josefowi, by ten przeszedł na drugi pokład jako dowódca baterii, ale lejtnant wahał się. Za bardzo lubił otwarty horyzont i długie rozmowy z Ruppi przy skrzypieniu rej, no to i został z niczym.

– Zaraz wyjdzie – uśmiechnięty Ruppi przyłączył się do przyjaciela – Wygląda na to, że właśnie na frosherów czekał.

Zepp ze zrozumieniem kiwnął głową. Kaldmeier bez ustanku powtarzał, że każdy powinien robić tylko to, czego za niego nikt nie robi, a tylko durnie i próżniacy stoją nad podwładnymi jak kat nad dobrą duszą. Imion tych ostatnich admirał nie wymieniał – ich i tak wszyscy znali.

– Czyli to będzie dzisiaj – Zepp starał się mówić nonszalancko, ale głos dźwięczał zdradziecko, a usta jeszcze bardziej zdradziecko się uśmiechały.

– Dzisiaj – potwierdził Felsenburg – Masz nową chustkę?

– Cały tuzin – nie rozumiał Josef – a co, potrzebujesz?

– Nie ja, ty – roześmiał się Ruppi – Na „Noordkrone” do walki nakłada się tylko jeszcze ani razu nie noszone. To nic, weźmiesz ode mnie.

Trębacze w antracytowoczarnych mundurach z białą lamówką i paradnych białych szarfach wesolo zatrabili „Zbiórkę” i „Panowie oficerowie proszeni są na kasztel”. Pierwszy, w biegu dozuwając jedzenie i wycierając rumiane usta, przybiegł okrętowy lekarz, za nim pojawiła się nierozłączna czwórka oficerów pokładowych, śladem kroczył, niby czapla, Amadeus fok Hohwende.

Marynarze przytaszczyli połowy okrętowy ołtarz i ciężkie srebrne naczynie ze święconą wodą. Kapelan w odświętnych szatach liturgicznych ze szkarłatnym emaliowanym lwem na godnej

24 Część górnego pokładu między grot- i bezanmasztem.

25 Lejtnant zur see (starszy lejtnant). Stanowisko oficcerskie.

bosmana piersi z zakłopotaniem się rozejrzał, wyszukując Południowej Strony²⁶ – wskazano mu ją.

Ojciec Aleksander przyszedł na „Noordkrone” jednocześnie z Josefem, a przedtem służył jako kapłan połowy w Północnej Maragonie. Adept zakonu Sławy widział niemało potyczek i dwa duże starcia, ale na morzu był nowicjuszem. Dlatego, i jeszcze dlatego, że duchowny przypominał dziadka, lejtnant czuł do niego pewną czułość.

Ostatni na kasztel wyszedł admirał, w posrebrzonym kirysie na idealnie czarnym mundurze i w ozdobionym orlimi piórami hełmie. I dopiero zobaczywszy Lodowatego Olafa ubranego przepisowo, czego ten, zgodnie ze słowami Ruppi, z całego serca nie znosił, Josef zrozumiał, że do bitwy pozostaje zaledwie kilka godzin. Dzisiaj Flota Zachodnia Jego Wysokości robi to, co się nie udało najlepszym dowódcom kesarii. Hexberg, twierdza, stojąca kością w gardle kesarii od czasów Friedricha Żelaznego, zostanie wzięta, i oni z Rupertem to zobaczą! Gdyby wielki król, który dzień przed szturmem powiedział, że zwycięstwo nie powinno być zbyt łatwe, dowiedział się o tym, to ucieszyłby się, czy raczej miał pretensje do potomków, którzy zapomnieli o jego nakazach?

Trąbki zagrały „Do modlitwy”, uderzył okrętowy dzwon. Lodowaty Olaf zdjął hełm, obnażając jasnowłosą, mocno przyprószoną siwizną głowę, i niegłośnie powiedział:

– Błogosławieństwo, kapłanie!

Zepp zamarł, patrząc na flagę z białym łabędziem, niemożliwie niebieską na tle szarych niskich chmur. Od świadomości związku z przyszłym zwycięstwem zrobiło mu się nieco nieswojo.

– Niech błogosławi święty Adrian nasz trud i nasze czyny – niskim aksamitnym głosem powiedział ojciec Aleksander i, jakby mu odpowiadając, wiatr z nową siłą nappełnił żagle.

Duży okrętowy dzwon uderzył czysto i dźwięcznie, donosząc do Stwórcy wierność i wiarę dzieci Jego. Z szumem trzasnął i załopotał admirałski breed-wimpel²⁷, jeszcze jeden dobry znak! Na rufie, na fordeku, na szkafucie, dziobie, pokładach artyleryjskich marynarze opadali na kolana,

składali ręce na piersi, zamykali oczy. Niektórzy szeptali modlitwy na głos, niektórzy w myślach, niektórzy po prostu otwierali duszę Wszechwidzącemu i Wszechrozumiejącemu, prosząc o zwycięstwo dla Driksen i o miłosierdzie dla siebie i swoich przyjaciół.

3

„Pożegnalny Pocałunek” i „Szczęście” wystąpiły z wczepionych w morze obłoków jednocześnie. Korwety dalekiego patrolu śpieszyły do zatoki, od czasu do czasu strasząc płaskie brzegi sygnałowymi wystrzałami. W Felpie zaczynało się podobnie. „Gołębica”, która wdarła się do portu, pospieszne wyjście w morze, walka, co do rezultatu której nikt nie miał wątpliwości. I teraz też nie ma, bo sześćdziesiąt okrętów zmiażdży dwadzieścia, a dziewięćdziesiąt – sześćdziesiąt.

– Gdyby Almeida nie wrócił – wycedził Mario – w Hexbergu byłoby wesoło. Odsuń się, nie jesteś ze szkła.

– I nawzajem – burknął Luigi, odstępując w bok. Po odejściu Rangoni zostało ich trzech.

– Moi chłopcy już się zastali – Nicci wyraźnie był w nastroju do rozmowy – To nie żart, od samego Felpu trawkę żremy.

– Przejdź na lineał – zaproponował Gildi – może tam będziecie mieli szczęście. Zrozum, ja nie mam pojęcia, gdzie mnie pogonia.

„Pożegnalny pocałunek” palnął ze wszystkich armat i wciągnął nowe żagle. „Szczęście” odbiło do brzegu, przechodząc tuż przy ukrytej galerze. Szwan targał sygnałowymi flagami. Niebieskie i białe, łabędź na fali – kolory kesarii Driksen.

– A na lineale znajdzie się dla nas zajęcie? – Mario w zadumie podrapał wyskrobany z okazji możliwej bitwy podbródek – Nie ma sił lubować się na artyleryjskie zady.

– To się nie lubuj – Gildi wzruszył ramionami, wpatrując się w coś, co pokazało się na północnym zachodzie – Idą, albo ja zupełnie straciłem wzrok.

26 Esperatyjskie ołtarze są zawsze skierowane na południe, Połowę Dnia, skąd ma przyjść Stwórca.

27 Breed-wimpel – rodzaj wimpla, oznaczający obecność na okręcie wysokiego urzędnika lub też najjaśniejszej osoby.

W szczególnie uroczystych przypadkach zamiast breed-wimpli podnosiło się osobiste sztandary. Poza tym breed-wimpel (w odróżnieniu od zwykłego, „kapitańskiego” wimpla) jest oznaką okrętu flagowego.

– Wszystko z tobą w porządku – uspokoił Mario – To oni. Z admirałem porozmawiasz?

– Porozmawiam – ni to obłoki, ni to cienie powoli rozpadały się na kwadraty i trójkąty, zamieniając się w wydęte wiatrem żagle, których robiło się coraz więcej. Z przodu, co chwila zasłaniając nadciągające kolumny, buszowały fregaty-zwiadowcy. Starzy znajomi! Przedwczoraj już tu były. Pomizdrzyły się i odplłyły, a dzisiaj? Widok lineałów dawał nadzieję, wątpliwą, by Kaldmeier ganiał w tę i z powrotem takie olbrzymy.

– No, skoczy on nareszcie – zdenerwował się Nicci – czy znów będzie ostrożny?

– Lodowaty Olaf nie wierzy w łatwe zwycięstwa – uradował Berto Salina – on wszystko sprawdza po cztery razy.

– Cztery?! – gwizdnął abordażnik – No, no! To jeszcze przez tydzień mamy po piasku tańczyć?

– Nie sądzę – przeciągle powiedział Luigi, wpatrując się w porastającą żaglami dal – Fregaty idą w zatokę. Wyraźnie idą w zatokę, a nie płaczą się przy wejściu...

– Tak jest! – tupnął Mario – Idą!

Zwiadowcy zabierali się coraz głębiej i szli pewnie, żeby nie powiedzieć bezczelnie. Lis jednak skusił się na kurze mięso!

– Awangarda – poinformował Berto, pokazując lunetą na północny brzeg – Zawraca! Już! Wpadli!

Valdez nie zawiódł, z wybranego przez niego półwyspu podpełzająca awangarda była widoczna lepiej niż z każdego innego miejsca. Czołowy lineał pewnie minął niewidoczną linię, rozdzielającą Talig i Driksen, i ruszył dalej, niby igła ciągnąca za sobą grubą błyszczącą nić. Okręty szły piękną kolumną, równo trzymając kurs i interwały. Płynęły coraz dalej i dalej od mulistego północnego brzegu.

Szesnaście sylwetek stawało się coraz wyraźniejsze, widać już było, że trzeci okręt jest większy i od drugiego, i od czwartego.

– Wiceadmirał? – zapytał Luigi, wpatrując się w pokryte żaglami maszty.

– Zbyt blisko czoła – pokręcił głową Berto – Drikseńscy admirałowie lokują się w środku kolumny, nawet najlepsi. To albo Rimmerheim, albo Büntz... Musiał przecież Lodowaty przystawić kogoś do Bermessera!

– Tylko jeśli ten wasz Be-me w awangardzie – Nicci z odrazą spojrział na swoje buty – I jak tylko piasek, tym bardziej mokry, włazi?

– A gdzie on ma być? – wzruszył ramionami Salina – On śpi i widzi, jak szepia się z Valdezem, a Kaldmeier śpi i widzi, jak się go pozbywa.

– Mówisz o piasku? – nie wytrzymał Luigi. Berto zaśmiał się. Czołowy okręt płynnie zawracał, kierując się ku środkowi zatoki. Jak miło z jego strony!

– Jeśli Be-me nie jest trzeci, to ósmy – postanowił Mario – więcej sąsiadów i miejsce odpowiednie.

– Siedemdziesięciodziałowiec – potwierdził tenent Salina – akurat taki jak Bermesserowska „Gollu...”, „Gorlu...”, „Glaubsz...”, no, „Wierna gwiazda”.

– I dużo u nich takich? – zaciekał się Nicci, który tydzień temu się dowiedział, że fregata – to nie korweta.

– Ja ich na talig przełożę, dobrze?

– No pewnie – pochwalił Gildi, któremu drikseńskie słowa przypominały zmieszany z przekleństwami krowi ryk – mnie od tych „bszt” i „rcw” uszy więdną.

– „Król-łabędź” – zaczął wspominać Salina – „Święta Uhrfrida”, „Gniew Pański”, „Zingilda”, „Kesar Chlodwig”, „Chwała Warytów”...

Lineały jeden za drugim omijały północne mielizny, wypływały na środek zatoki i brały kurs na Hexberg, a horyzont wypuszczał wciąż nowe i nowe okręty. Wystrojeni w bojową kolumnę kilwatu goście zbliżali się powoli, ale nieubłaganie. Niemal zrównali się z wąską płycizną, przy której rankiem majaczył „Żmij”. Kilka godzin i Valdez wstąpi do boju. Można tysiącokrotnie wiedzieć, że przyjdzie pomoc, walczyć i tak przyjdzie na poważnie.

– Centrum poszło – podzielił się kolejną radością Berto – Niedługo popełną kupcy.

Czas było odchodzić, oni zobaczyli wystarczająco dużo, a centrum i tak nie można zobaczyć porządnie. Zbyt daleko, a szary kolor pożera inne barwy. Od biedy można zgadnąć rangę okrętu i liczbę armat, a czas mija, płynie nie gorzej, niż suchy piasek pomiędzy palcami.

– Wystarczy – uznał Gildi – Więcej nie ma tu nic do łowienia.

– Panie – rozpaczliwym głosem zaszeptał Berto – my przecież jeszcze kupców nie widzieliśmy.

– Oni są z tyłu – pocieszył tenenta Luigi – Jeśli Kaldmeier naprawdę nie jest durniem, to kupcy są w tyle nie mniej niż na hornę. No już, zbieraj się, bo jeszcze twój almirante uzna, że alarm był fałszywy, a na co nam to?

ROZDZIAŁ 2

NADOR I RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 15 dzień Jesiennych Błyskawic

1

Luiza nigdy nie zawędrowała na północ dalej niż do Ollarii i, jak się okazało, nic nie straciła, oprócz zimna i późnej jesieni. Pani Aramona otulała się od razu w dwa futrzane płaszcze i mimo wszystko marzła, chociaż Iris uparcie przysuwała ku duenii podróżny grzejnik. Sama podopieczna nie cierpiała z zimna, czy raczej cierpiała, ale nie z zimna. Im bliżej był Nador, tym mniej radości było w Iri, a Selina w ogóle zwinęła się w kłębek w kącie karety, patrząc na przepływające za oknem czarno-białe wzgórza. Milczał też Reginald.

Milczał i patrzył na kuzynkę tak, że trzeba było być Iris Ockdell, by nie zrozumieć – wicehrabia Larack jest zakochany, przy czym beznadziejnie. Młodzi usilnie cierpieli i Luiza musiała trzeszczeć za trzech, przy okazji wyciągając z Iri i Reginalda informacje o Nadorze.

Pan Aramona przygotowywała się do spotkania z księżną wdową jak generał do wojennej kampanii. Po raz pierwszy to porównanie przyszło Luizie do głowy, kiedy Reginald zapytał Selinę o Gerarda. Córka coś odpowiedziała, a Luiza niemal na własne oczy zobaczyła syna, czytającego

traktat jakiegoś Pfeichteiera o rozpoznaniu miejsca, i zaśmiała się na cały głos, rozumiejąc, czym zajmowała się przez te wszystkie dni. Teraz kapitanowa nazywała dla siebie Nador nie inaczej, jak stawką Mirabelli, a sama zamierzała zająć się manewrami odciągającymi. Luiza już nauczyła się imion i nawyków strażników, mamek, kamerdynerów i koniuszych, nie mówiąc już o kapitanie garnizonu, majordomie, kucharzu i starszej cameriście, ale to było za mało.

Duenia odsunęła zasłonkę karety, za oknem w szarym zimnym tumanie widać było wstrętne wyglądający las, gęste chude drzewa spletały się w jednolitą nieprzerwaną ścianę. Pani Aramona trochę poobserwowała przebiegający smutek i odezwał się do nastroszonego Laracka:

– Panie wicehrabio, jak nazywa się to miejsce?

– Rosisty Las, pani – Reginald był uprzejmy i niezawodny, na takich wożono, wozi się i będzie się wozić wodę. Luiza Aramona nie zamierzała być wyjątkiem.

– Zawsze myślałam, że Nador leży w górach – oznajmiła kapitanowa, nigdy nie myśląca o Nadorze. W odróżnieniu od Alvasete.

– Góry są dalej – odpowiedziała Iri – tylko że one nie są bardzo wysokie. Nie takie jak Sagranna.

Można by pomyśleć, że bywałaś w Sagrannie, chociaż to zależy z jakiej strony popatrzeć. Można nie wyłazić za próg i przemierzyć wzdłuż i wszerz pół świata. Myślami. Luiza tak właśnie robiła, wędrując w marzeniach za swoim księciem po całym Taligu.

– Ten las budzi smutek – przeciągle westchnęła kobieta – Zadziwiająco smutne miejsce.

– Tylko zimą – zakołysał bynajmniej nie młodzieńczym brzuszyskiem Larack – Wiosną jest tu cudownie. Szczególnie kiedy kwitną prymulki.

– Wydaje mi się, że tu jest wilgotno – parła naprzód kapitanowa – i dużo tu owadów i żmij.

– Owszem, można tu spotkać gada – Reginald wyglądał tak, jakby to on sam wyhodował pełzające paskudztwa – I są komary, ale jest na nie sposób. Jeśli natrzeć się wywarem z liści wiatroplaski, to one prawie nie gryzą.

– Jeśli często się nią nacierać – wtrąciła Iris – No... U Richarda i Deirdre wszystko jest w porządku, a ja i Edith się dusimy.

– Edith jest chora! – klasnęła w dłonie Luiza – Biedne dziecko! Kiedy będzie pani mieszkać w Epineix, musi pani koniecznie wziąć siostrę do siebie. Tam jest zdrowy klimat.

– W Epineix? – nie zrozumiała Iri. No pewnie, nasza spiskowczyni jeśli nawet zamierza wyjść za mąż, to zdecydowanie nie za narzeczonego.

– Kiedy skończy się wojna – uściśliła Luiza – Pani i mąż przecież nie będziecie spędzali całego czasu w stolicy, szczególnie kiedy... wasze małżeństwo, mmm, przyniesie owoce.

– A, oczywiście – otrząsnęła się zapominalska narzeczona – ja i Rober wyjedziemy do jego posiadłości i ja wezmę tam Edith. Rober mnie kocha, on pozwoli. Deirdre też wezmę, i Daisy. To moja mleczna siostra, ona będzie opowiadać bajki moim dzieciom.

Świetnie. Jeśli z Iris ktoś zacznie mówić o Epineix, ona już nie straci rezonu, za to wicehrabia... Nieszczęsny zakochany, szczególnie taki jak Reginald, słysząc podobne wyznania, powinien zmienić się na twarzy, a on nic. Czyżby był w zмовie z kuzynką? Raczej nie, po prostu wszystko rozumiał. Grubas niekoniecznie musi być głupcem, a i Manrik w skarbie osłów nie trzymał. No i koty z nim, z zakochanym kuzynem, on jest lojalny do szpiku kości, za to służący... Jeśli Iris zacznie biegać po zamku i całować się z mamkami, do wieczora po tajemnicy nawet ogonek nie zostanie.

– Iris, proszę pozwolić, że dam pani jedną radę – nudnym głosem powiedziała Luiza, grzebiąc w koszyczku z niemi – Pani nie zwyczajnie wraca do ojczystego domu, pani wraca jako narzeczona Władcy Błyskawic i Pierwszego Marszałka Taligoi. Radziłabym pani powstrzymać się od poufałości ze służącymi. Niech pani weźmie przykład ze swojej czcigodnej mateczki i zachowuje się jak wysoko urodzona dama.

– Pani Aramona ma rację – zniecka palnął Nal – tobie naprawdę... To znaczy, jesteś zbyt otwarta...

Luiza wyszarpnęła z koszyczka pierwszy lepszy kłębek, który okazał się bladoliliowy, i spojrzała na Laracka. Biedak był czerwony jak worek gotowanych raków. Nieszczęsny, on powinien się w jakiejś krówce zakochać, chociaż czego w cudzej pościeli pluskiew szukać, w swojej by pokopała. Wicehrabia zamarzył o księżnej, co z tego? Mieszczanka, po uszy zakochana w kenallijskim soberano, to niby lepsza?

Iris poruszyła ustami, odruchowo odciągając kołnierzyk. Dziewczynka była poważna jak dajta w lesie, zaraz stanie w myśliwskiej pozie.

– Nal – powinna malować rzęsy, rzęsy i brwi – Jestem ci bardzo wdzięczna... Za wszystko. Jesteś takim dobrym przyjacielem, takim... Obraziłam cię wtedy, z Bianco... Ale ja... Było mi bardzo źle.

– Rozumiem – szlachetny zakochany nie domyślił się bodaj ścisnąć rączkę obiektowi westchnień, a tu przecież taki powód!

Święta Oktawio, ona tylko wicehrabiów nie uczyła zalecać się do księżnych, a i tak sensu z tego nie będzie! A na przykład młodsza Drews-Carlion pasowałaby do Nala, a on do niej. Jeśli nikogo nie powieszają, trzeba będzie się jakoś wykręcić i ich ze sobą zeswatać.

– Nal – rzęsy Iri drżały, usteczka zresztą też – Jak dobrze, że ze mną pojechałeś.

Rzeczywiście dobrze, chociaż kto to tam wie, co ten Reginald ma w głowie. O narzeczonego nie jest zazdrosny, ale to nie znaczy, że nie jest zazdrosny w ogóle.

– Nador już blisko? – Luiza nawlekła liliową nitkę na igłę i teraz myślała, co z nią zrobić.

– Blisko – skinęła Iris – Miniemy Łabądkę i od razu będzie skręt na wzgórze.

– Kiedy dojedziemy do rozstajów... – Reginald znów poczerwieniał – Ja... ja posłałem żołnierza przodem, do ojca. Poczekamy na niego w gospodzie, bardzo dobrej... Bardzo. „Nadorski herb”, nawet Savignacowie się tam zatrzymywali. Ojciec przyjedzie wieczorem. Będzie lepiej, jeśli o... o przyjeździe Iris cioteczkę uprzedzi on.

2

– Święty Alanie! – na haftowany w skrzydlate paskudztwa obrus upadło coś dużego, malinowego i mokrego. Matylda nie od razu zrozumiała, że to rękawiczka. Bogato ozdobiona, sześciopalcza, ogromna, w sam raz dla pomnika. Na malinowym zamszu złościł się herb – świnią na półmisku w otoczeniu sosnowych gałęzi. Dookoła wił się jakiś napis. Rober ujął ociekające sosem straszidło widelcem i przyciągnął bliżej.

„Właścicielem owej rękawiczki – przeczytał na głos Władca Błyskawic – jest szlachetny i wolny Suza-Muza-Laperuza hrabia Meduza z Putelli”.

– Skąd się wziął ten śmieć – wnuczek z odrazą spojrzął na wyciągnięty z pieczeni prezencik – i co tu ma do rzeczy meduza?

– Taką rękawiczkę, albo bardzo podobną, ja i księżę Ockdell widzieliśmy w Laik – włączył się do rozmowy książe Pridd – To była zabawa, która zresztą zaszła zbyt daleko.

– Co za zabawa? – Rober przewrócił malinowe paskudztwo, tylna strona była pusta.

– Ktoś w podobny sposób wypowiedział wojnę kapitanowi Laik, człowiekowi bardzo mściwemu i ograniczonemu – poinformował Pridd – Interesujące, że tamta rękawiczka też była z lewej ręki. I dokładnie tak samo została znaleziona w czasie obiadu. Jeśli się nie mylę, pływała w bulionie...

– A teraz wsadzono ją do mięsa – przerwał Aldo – i ja chcę wiedzieć, kto to zrobił.

– Ktoś ze służących – podsunął David Rocksley – w kuchni albo po drodze do jadalni. Trzeba się dowiedzieć, może ktoś z nich służył w Laik.

– To mało prawdopodobne – za co Matylda nie znosiła Pridda, to za to, że sam Leworęki nie wiedział, co ten ma w głowie. Z daleka Ośmiornica przypominał Anesti, co wywoływało u księżnej wdowy mdłości, z bliska różnili się jak lód i galaretka, w dodatku stęchła ze starości.

– Do stołu wszyscy usiedli jednocześnie – w głosie Robera przebijało rozdrażnienie – czyli rękawiczkę podłożono wcześniej.

– Bardzo możliwe, książe – Walentyn Pridd uśmiechnął się delikatnie – ale służący Laik nie sprawiali wrażenia żartownisiów, a figle Suzy-Muzy były wyraźnie szkolarskie. I nie powiedziałbym, że mądre. Zresztą, kapitan Aramona na inne nie zasługiwał. Czyż nie, książe Ockdellu?

Richard nie odpowiedział, tylko zadarł podbródek. Matylda już wcześniej słyszała o rozindycznych Władcach, ale w całej krasie zobaczyła ich dopiero dzisiaj. Nedorobione pieski patrzyły na siebie wilkiem, szczególnie Dickon. Ech, młodość, młodość... To szczeka, to skamle, to ogon łowi!

Stygnąca pieczeń smutnie pachniała majerankiem i bazylią. Ona chciała, by ją zjedzono.

– No i koty z nim, tym kapitanem – Rober przykrył oczy dłońmi, przesunął nimi ku skroniom.

Biedaczysko, czy on kiedykolwiek śpi? – Trzeba się dowiedzieć, gdzie i kiedy wepchnięto do sosjerki ten śmieć. Czy w pałacu mógł się znaleźć ktoś z byłych unarów? Książę Pridd i książę Ockdell się nie liczą, oni byli z nami.

– Nie potrafię odpowiedzieć – Rocksley z nienawiścią spojrzął na sześciopalczystą paskudę – To jakiś nonsens...

– Panowie kapitanowie gimnetów – wnuczek uderzył dłonią w stół, cieniutko i tchórzliwie dźwięknęły kielichy – to wasze zadanie – pilnować, by do królewskich dań nie trafiało nic niepożądanego. Dzisiaj podrzucono rękawiczkę, jutro to będzie trucizna!

– Wasza wysokość – wicehrabia Meven wstał z za stołu – zostaną podjęte wszelkie kroki. Za pańskim pozwoleniem, natychmiast zajmujemy się poszukiwaniami.

– Żeby wypełniać swoje obowiązki, nie trzeba prosić o pozwolenie – oznajmił Aldo. I gdzie tylko parszywiec się tego nauczył? – Możecie odejść.

Meven z Rocksleyem wyskoczyli za drzwi jak oparzone króliki. Nozdrza króla taligojskiego rozdymały się, Rober miał frędzle obrusa, Dickon to czerwieniał, to bladł..

– Twoją kawalerię – nie wytrzymała Matylda – będziemy jeść obiad czy nie? Kto by nie podsunął tej paskudy, ona nie jest trująca, a bez śmietanowego sosu jeszcze nikt nie zdechł.

– Zapomniałaś o Mupie? – od wnuczka niosło królewskością jak od kundla psiną – A ja pamiętam. Nie mam prawa zapomnieć. I ty nie masz, bo nasze życie – to życie Taligoi.

Wziąć by coś poręcznego, i po łbie! Jego życie – życie Taligoi... Komu ono potrzebne, to twoje życie, oprócz głupiej babki, głupiej dziewczki i Ockdella z Epineixem.

– Tobie głowa jest potrzebna tylko po to, by koronę nasadzić? – warknęła wdowa – Akurat truciciel zacząłby szastać rękawiczkami. Dickon, ten Suza-Muza zatrul kogoś na śmierć?

– Panie... Wa...sza książęca wysokość – zaczął Dickon – w Laik było... Kapitan Aramona...

– Wciąż jesteś Alatką – przerwał jękającym się Richardowi wnuk – i nic nie rozumiesz. Taligoja stoi na krwi Rakanów. Ten Meduza swoim żartem próbuje zrównać króla z ollarskim przydupasem.

– Lepiej być Alatką – odpaliła wdowa – niż idiotką. A jak będziesz z pomnikami się bósć i mogiły rozgrzebywać, jeszcze nie tak dostaniesz! Nie chcesz, żeby cię z Paramonem zrównywali, to nie paramoń!

Aldo odrzucił serwetkę. Nieudanie – trafił w kielich, ten się przewrócił, potoczył po stole, spadł na mozaikową podłogę, rozleciał w drobny mak. Jego wysokość wskoczyła i wypadła z komnaty, trzasnąwszy ciężkimi drzwiami. Król, twoją kawalerię! Matylda szarpnięciem przysunęła sobie półmisek z jakimiś zawijańcami. Zupełnie zimnymi. Sama sobie winna, trzeba było zostać u Leviego, a nie biec z zadartym ogonem, żeby spełnić rodzinny obowiązek. I syta by była, i w kolejną awanturę by nie wlaża.

– Richardzie, książę Pridd – pospiesznie powiedział Rober – macie jakieś podejrzenia względem żartownisia?

– O imię Suzy-Muzy walczyło sześcioro – wyjaśnił Władca Fal – ale oni wszyscy, o ile wiem, znajdują się poza granicami stolicy. Za wyjątkiem Richarda Ockdella.

Niepotrzebnie spróbowała przywołać Aldo do porządku przy tym drzewnym robaku! Dla Dicka to pożytek, zobaczyć swojego suzerena bez piór, Rober to swój człowiek, a Ośmiornica im mniej widzi, tym lepiej.

– Mogę się domyślać, kto był Suzą-Muzą – Richard łypnął na współlucznia jak żona na kochankę – i ten ktoś wcale się nie spieszył ze zdemaskowaniem.

– Suzą-Muzą może okazać się każdy – książę Pridd dwoma palcami wziął złowrogą rękawiczkę i starannie położył na półmisku – poza Estebanem Colignarem, naturalnie. Książę Ockdellu, co się stało z tymi dowodami, które znaleziono w pańskim pokoju? Oddano je panu?

Wszystko wyszło tak, że głupiej nie można, bo hrabia Larack pojawił się wcześniej niż go oczekiwano. Meldować o gościach w gospodzie nie było przyjęte i marznąca Luiza stanęła przed hrabią w narzuconym na czarną podróżną suknię płaszczu Iris. Nieszczęśnik zastygł w drzwiach, oglądając duenię w książęcych strojach. Taki chudy i bladej ojciec i taki okrągły, rumiany syn. Jak to różnie bywa!

Iris na widok wujaszka roześmiała się przenikliwie i natychmiast zakaszła, opierając się o Seline.

– Dzień dobry, Iris. Dzień dobry, pani – hrabia Larack zamiótł podłogę przestarym kapeluszem, któremu już nic nie mogło zaszkodzić – Szczęśliwy jestem, mogąc powitać was w Nadorze. Nie jesteście zbyt zmęczone drogą?

Zmęczona. Jak gęś, którą wciśnięto do koszyka i wiozą na jarmark. Drogę jakoś przeżyje, a dalej – mieczem po wodzie pisane. Kapitanowa, starając się nie myśleć o szkarłatnej szmatce z herbem Epineix i rozczochranych włosach, przysiadła w reweransie.

– Dziękuję, panie, pan bez wątpienia już wie, że...

– Wychodzę za mąż za Robera Epineixa, wujku – Iris wystawiła przed siebie bransoletę, niby rapier – My się kochamy. Rober jest Pierwszym Marszałkiem Taligoi, a do ołtarza poprowadzi mnie Aldo Rakan. On będzie wielkim królem.

– Moja droga – głos Ivona zadrżał, czyżby on jeszcze płakał z byle powodu? Zupełnie jak kościelny z Cochonnet, który pociągał nosem nad zdeptanymi ślimakami i skwaśniałym mlekiem – tak się cieszę. Małżeństwo z miłości, cóż może być piękniejszego, ale to wszystko jest tak nieoczekiwane. Twoja mateczka jest zaskoczona.

– Ja wyjdę za mąż za Robera – śpiewnie powiedziała Iri. Próbuje zdusić kaszel już pierwszego dnia, a co będzie dalej?!

– Oczywiście, że wyjdiesz – zajęczał hrabia Larack – to godna partia, bardzo godna, ale zrozum. Twoja mateczka...

– Złości się, że uciekłam – dokończyła narzeczona Władcy Błyskawic – To jej wina. Ja nie jestem szalem babki, gdzie rzucisz, tam będzie leżał. Ja zabiorę Deirdre i Edith do Epineix, zabiorę i wydám za mąż za hrabiów Savignac! Oni będą moimi wasalami, i oni jeszcze nie są żonaci.

– To byłoby wspaniałe – z uczuciem powiedział hrabia Larack i natychmiast się poprawił: – Mam na myśli, jeśli znajdziesz siostrom godnych narzeczonych, ale, moje dziecko, prosiłbym, żebyś nie martwiła mateczki. Ona ma słabe zdrowie.

– To ja mam słabe zdrowie – odpaliła młoda arogantka – i Edith, a mateczka jest zdrowa, tylko jej się nie podoba być zdrową. Jej się w ogóle żyć nie podoba.

– Iris – ależ rozmowa, biedny Ivon jeszcze zawału dostanie – moja droga, myślę, że powinna się pani przebrać. Selina pani pomoże. A właśnie, hrabio, proszę pozwolić, że przedstawię panu moją córkę.

– I moją przyjaciółkę – Iris złapała Seline za rękę i pociągnęła do krewnego – Ona razem ze mną i z Luizą siedziała w Bagerlee. Manrikowie wsadzili tam Katarinę Arigau, a my z nią zostałyśmy.

– Jej wysokość, to znaczy pani Ollar, pisała o tym, tak samo jak jego wysokość Aldo – hrabia jeszcze raz się uklonił – Pani męstwo dorównuje pani urodzie. Jest pani godną córką swojej pięknej mateczki.

Kpi sobie? Nie, Larackowie tego nie umieją. Zresztą, obok Mirabelli nawet szkiełko wyda się brylantem, czyli trzeba wytarzać się w kurzu, i im szybciej, tym lepiej. Luiza ostrożnie uwolniła się od cudzego płaszczu, zamierzając rzucić go na krzesło.

– Proszę pozwolić, że pani pomogę – ręka w wyświechtanym rękawie ujęła miękką tkaninę – Miałem taką nadzieję, że zobaczę panią znowu, i oto jest pani w Nadorze. To dla nas ogromna radość.

Za to pani by wolała, żeby obecne spotkanie było pierwszym. Mirabella raczej nie zapomiała wizyty w willi Alvy i okazanego jej przyjęcia. Ciekawe, co powie wdowa po Ockdellu, dowiedziawszy się, że teraz w domu Kruka rządzi się jej syn: przeklnie go czy zażąda przeliczenia talerzy i wysłania jej spisu?

– Dziękuję, panie. Obawiam się, że nasza znajomość miała miejsce w nader niecodziennych okolicznościach.

– Jej wysokość – biedak zapomniał, że Katarina teraz nie jest królową – w czasie audiencji wyjaśniła, że wypełniała pani jej polecenie. Mirabella... to znaczy księżna Ockdell jest pani wdzięczna za to, że zapobiegła pani skandalowi.

Brawo, Katari, wyręczyłaś! Nieważne, że miękka kicia ma swoje interesy, najważniejsze – Luiza Aramona wjedzie do Nadoru nie jako służąca Alvy, a jako zaufana osoba Katariny Arigau. Dobra pozycja, wprost wspaniała.

ROZDZIAŁ 3 MORZE OSTRYGOWE

399 rok K.S. 15 dzień Jesiennych Błyskawic

1

– Wiosłoo-wać! Wiosła suszyć! Wiosłoo-wać! Wiosła suszyć! Wiosłoo-wać...

Uderzenia litaurów, rytmiczne tętno tarabanu, urywane komendy. „Zakochany rekin”, jak mógł, spierał się ze szwanem, północnym morzem, czasem. Gdzieś za granicami zszywającego szarą wodę z ołowianymi obłokami horyzontu przygotowywał się do boju, a może już walczył, Valdez. Gdzieś kręcą się po bezbronnej zatoce obce, pełne odwiecznej nienawiści okręty. Gdzieś pod pełnymi żaglami spieszą na pomoc Marikjarczycy, a w środku otaczającego galere zaczarowanego kręgu są tylko niebo, woda i niecierpliwość.

– Widzę – krzyk obserwatora, długo oczekiwany a i tak będący zaskoczeniem w tej szarej niewoli – żagle na prawo od dzioba!!! Widzę!

Luigi rzucił się na dziób, w biegu podnosząc do oczu lunetę. To było jak we śnie, kiedy raz za razem przed tobą dzieje się jedno i to samo. Niby się budzisz, otwierasz oczy, a przed nimi wciąż ten sam koszmar albo, wręcz odwrotnie, radość.

Znów szare perły odrywały się od horyzontu, toczyły się po rozkołysanym szarym jedwabiu, rosły, zmieniały zarysy, rozrywając już nie beznadziejny horyzont.

Taraban zabrzmiał częściej, Luigi nic nie rozkazywał, tak postanowił pokładowy tenent. Albo Lenuzza. Albo sam „Zakochany rekin”. Galera rwała się na spotkanie eskadry jak gończa do myśliwskiej kawalkady. Do trzech kawalkad!

Marikjarczycy szli trzema wielkimi kolumnami, srebrzysta półmgła niechętnie wypuszczała z objęć maszty, reje, ciemne galiony. Korwety, fregaty, linealy pochylały się pod naporem wiatru, rozcinały ciężką ciemną wodę, rosnąc w oczach.

Pierwszy rozkładał skrzydła młody wojownik z jastrzębią głową, w plecy „Skrzydlatemu” dyszał potworny koń, a dalej nieskończonym łańcuchem wyciągało się centrum, za którym można było się domyślić ariergardy.

– „Zimowa błyskawica”! – wrzasnął Berto, poznając czołowy okręt – Berlinga! I „Alvasete”...

– A nie „Piękna Ramona”? – Mario już zdążył ubrać się do walki.

– „Alvasete” – tenent przypomniał sobie, że trzeba być opanowanym – „Ramona” jest w centrum, a trzeci idzie „Neumar”.

Berto wymieniał nazwy bez wahania. Znał wszystkie, zgadywał po galionach i takielunku, ale dla Luigiego to były po prostu okręty. Piękne, szaroskrzydłe zwierze, idące na polowanie. Drapieżne, pewne swoich sił, szły śladem sobie podobnych.

– Almeida! – poznał Nicci – Pierwszy w centrum.

– A gdzie jeszcze może być? – zaśmiał się Luigi. W ogóle to miejsce flagowca jest w środku kolumny albo chociaż w końcu pierwszej dziesiątki, ale Marikjarczycy mają swoje zasady.

Okręty poszły wolniej, na wantach zakrzętały się maleńkie figurki. Nie minęło nawet dziesięć minut, jak eskadra złożyła skrzydła. Ogromne linealy ciężko kołysały się wśród zimnych fal, po stengach pełżyły flagi sygnałowe – Almeida zwoływał swoich admirałów.

Wiatr rozwiewał proporce, wimple, bandery²⁸. Białe – awangarda, czarne – corps de bataille, żółte – ariergarda.

– Szalupa na wodę!

– Jest szalupa na wodę!

Rycerz z czarnego drzewa był już obok. Nad głową króla z odsłoniętą przyłbicą łopotał jego sztandar, srebrzyste odblaski tańczyły po jego twarzy, wydawało się, że Francisk w skupieniu marszczy brwi.

Luigi skoczył w szalupę, za śladem zeskoczyli Berto i Varotti. No bo jakże bez niego!

– Wiosła w wodę!

Za rumpel Gildi wziął się sam, nie mógł już tylko patrzeć. Marynarze wiosłowali szybko, harmonijnie, z krótkimi odpoczynkami. Po ciężkich galerniczych drzewcach wiosła szalupy

wydawały się zabawkami. „Francisk” szybko się zbliżał, zamieniając się w zakrywającą horyzont

28 W 319 r. K.S. żaglowa flota Taliga była podzielona na eskadry: corps de bataille (centrum, główne siły), awangardę i ariergardę. Wtedy także zostały wprowadzone bandery dla okrętów tych trzech podgrup, będące białą, czarną albo żółtą płachtą, w lewej górnej części której w białym prostokącie umieszczano Zwycięzcę Smoka Ollarów. Bandery – flagi, podnoszone na rufie, na drzewcu albo na gaflu i służące do oznaczenia przynależności państwowej statku. Na dziobie okrętu (na końcu bukszprytu) podnoszono proporzec, flagę o mniejszym niż bandera rozmiarze. Poza tym proporce podnoszono na flagsztokach twierdz i masztach baterii brzegowych.

ścianę. Armatnie ambrazury dolnych pokładów były zamknięte na głucho, by nie dostała się do środka szalona fala. Przed walką zostaną otwarte i w ciemne dziury zło i wesoło spojrzę wygłodniałe działa.

– Basta! – zakomenderował Gildi. Wiosła zgodnie się podniosły, zaskrzypiały bloki, ktoś wesoło zaklął, ktoś w odpowiedzi zarechotał, w dół popłynął sztormtrap.

2

„Kunegunda” wzięła trzy rumby w lewo. Sternik, podporządkowując się rozkazowi, zakręcił kołem, powtarzając manewr. Szwan uderzył w żagle, z nową siłą naciągając zwilgotniałą tkaninę, „Noordkrone” poszła szybciej, z tyłu wiernym cieniem ruszył „Płomień niebiański”. Gdyby nie przypadek, „Ogieniek” stałby się losem Zeppa, ale kapitan flagowca nie mógł przejść obojętnie obok lejtnanta podobnego jak dwie krople wody do bosmana z „Zingildy”, na której zaczęła się jego służba. Szaubtenacht fok Schneietal zagadnął lejtnanta i zrozumiał, że się nie pomylił. Bosman Kanmacher był dla Zeppa dziadkiem.

– Josef Kanmacher młodszy przyniesie mi szczęście – oznajmił Adolf fok Schneietal i jego wniosek został przyjęty. To szczury lądowe plużą na znaki i nie słuchają losu, a morze głupot nie cierpi i jeszcze bardziej nie cierpi obiboków i chwalipięt. Droga w górę jest kręta i długa, szczególnie dla bosmańskiego wnuka. Można ile wlezie marzyć o tym, jak ratujesz admirała albo zrywasz wrogi kaiser-flag²⁹, ale marzenia marzeniami, a służba – służbą. Admiralem nie zostaniesz tak po prostu.

Z niezadowoleniem brzęknął duży dzwon, dudniącym werblem odezwały się bębny. „Stan najwyższej gotowości!”

– Można pomyśleć, że czeka nas prawdziwe starcie – mruknął Zepp, ustępując drogi matom, którzy zlali wodą i tak mokry pokład.

Skórzane przepierzenia oficerskich kajut zostały skręcone i podniesione w górę jeszcze rankiem, marynarskie koje schowane w siatki i zamknięte w kubryku, nad pokładem i nadbudówką rozciągnięte splecione z lin siatki. Kiedy „Noordkrone” wstąpi w bój, utrzymają one obłamki masztów i rej, jeśli takie będą.

– Porządek musi być – skrzywił kwaśną minę Ruppi, który dołączył do przyjaciela – Chociaż masz rację, wszystkie nieprzyjemności dostaną się Donnerowi. Jak i cała sława. Najlepsze, na co my możemy mieć nadzieję, to ostrzał fortów przy porcie handlowym.

– Jeśli damy radę do wieczornego przypływu – natychmiast zauważył Josef – nie będzie problemów z lądowaniem.

– Jest jeszcze drugie miejsce – przypomniał Rupert – Bardziej na południe od wojennej przystani. A co do trudności... Na nas czekają, Zepp.

Też mi nowość! Tajemnicę może zachować marynarz, ale nie kupiec, a taligojscy szpiedzy nie jedzą chleba za darmo. „Przypadkiem zagnany szwanem” do taligojskiego brzegu kadański kupiec swoimi uszami słyszał, jak w handlowym porcie rozprawiano o zarekwirowanych statkach.

– Jeśli frosherowie będą na tyle uprzejmi, by utopić Hohwende w kałuży – obiecał Zepp – przysięgam postawić świeczkę świętemu Eberchardowi i kupić jeńcom beczkę wina.

– Nie ty jeden – podchwycił żart Ruppi – frosherowie utoną w winie. Idzie, o wilku mowa!

Długonogi generał w rozkosznym płaszczu przemaszerował na rufę. Ogorzała fizjonomia fok Schneietala skrzywiła się, ale Hohwende to nie speszyło. Kontynuował jakieś wyjaśnienia, wymachując przed kapitańskim nosem obciągniętym białą rękawiczką łapskiem.

– No dlaczego nie jestem frosherem – wyjęczał Rupert – pod kolana i za burtę!

– A jemu nie pora do swoich? – Zepp skinął w kierunku północy, tam, gdzie, wystrojeni w dwie nierówne kolumny, pełzli niewidoczni z „Noordkrone” kupcy – I dlaczego nie możemy rzucić z ogona tej ozdoby? W walce z tych kur zero pożytku, niech poczekają przy brzegu.

– Lodowaty nie zostawi ich bez nadzoru – skrzywił się fok Felsenburg – Musi mieć pewność, że Valdez się do nich nie dobierze. Wyobrażasz sobie, co nawyrabia wilk w takim kurniku?

29 Flaga dowódcy floty, podnoszona na dziobie okrętu.

3

Almeida stał na szeroko rozstawionych nogach, bezruchem i imponującym wyglądem przypominając galion. Nałożył hełm albo chociaż kapelusz Marikjarczyk nie raczył. Zajęty swoim pistoletem Breve ledwie sięgał głównemu admirałowi do ramienia. Drugi admirał był pochmurny i skupiony, a Filip Alarcon się uśmiechał, niemal z rozmarzeniem wpatrując się w dal.

– Witam pana na pokładzie „Franciska”, kapitanie Gildi – pierwszy, jak i powinien, odezwał się kapitan flagowca – Niechaj fale i wiatr będą dla pana łaskawe.

– Dziękuję – Marikjara nie leży tak daleko od Felpu, ale o obyczajach i powitaniach wyspiarzy Luigi nie wiedział tak znów wiele – Oni weszli w zatokę.

– Dobra wiadomość – Almeida nadal przypominał statwę, ale statwę, która postanowiła przemówić – Co jeszcze widzieliście?

– W awangardzie szesnaście linealów – mówiąc szczerze, odpowiadać powinien był Berto, ale tenent po jakiejś koty zachowywał subordynację – nie największych. Od sześćdziesięciu armat do czterdziestu sześciu. Dwa siedemdziesięciodziałowce. Trzeci i ósmy. Tenent Salina uważa, że ósmy – to może być Werner.

– To by było zbyt dobrze – Breve schował pistolet i wytarł dłoń o bynajmniej nie admirałską kurtkę – Ile ich wszystkich?

– Około sześćdziesięciu wimpli – może Berto miał rację i należało poczekać i policzyć dokładniej? – Idą zdecydowanie, prosto w port. Nie czekaliśmy na kupców.

– Jeśli weszli w zatokę, to i kupcy są z nimi – zauważył Salina – inaczej zamysł traci sens. Bez żołnierzy Hexbergu się nie weźmie. Czyli oni są.

– Są czy nie – wzruszył ramionami Berlinga – ale Valdez już walczy.

– Wątpię – zmrużył oczy Alarcon – nasz przyjaciel wyszedł wcześniej, niż Kaldmeier podszedł ku fortom. Wszystko dopiero się zaczyna.

– Możliwe – schylił głowę Salina – ale to nie powód dla spóźnienia. Almirante, proszę o pozwolenie odpłynięcia na „Marikjarę”.

– Zaraz odpłyniesz – Almeida wyciągnął flaszkę, łyknął, wcisnął Salinie – Za powodzenie! Enombredastrape!

– Enombredastrape! – uśmiechu dowódcy ariergardy dobrym nie nazwałaby i własna matka – Za powodzenie. Niech płaczą nie nasze żony!

– My wrócimy – obiecał Berlinga – oni – nie! Enombredastrape!

– Z nami morze i z nami wiatr – Filip Alarcon wysoko podniósł rękę z butelką, przebijając obłoki słońce błysnęło na srebrze, wyłapując misterny napis „Cammorista, 383” – Za powodzenie! Twoje słowo, kapitanie!

– Za zwycięstwo – powiedział Luigi i omal nie zakrztusił się czymś potwornie mocnym – Enombredastrape!

4

„Widzę przeciwnika” – przekazał Donner. Już! On i Ruppi czekali na ten moment przez cały dzień, a i tak wszystko stało się nieoczekiwanie, jakby pod nogami otworzyła się przepaść, jednocześnie lodowata i ognista.

– Grom i błyskawica! – po chwalebnym spokoju Ruppiego zostały tylko strzępy – I tak właśnie zaczynasz żałować, że nie jesteś w awangardzie!

Duży dzwon okrętowy uderzył cztery razy. Bębny zaczęły wybijać „Wyprawa na chwałę kesara”, trębacze, wciągnawszy brzuchy, zamarli w oczekiwaniu rozkazu. Zaraz Olaf Kaldmeier machnie swoją biało-niebieską chustką i trąby zaśpiewają „Zwycięstwo Driksen miłe jest Stwórcy”.

– Pan lejtnant fok Felsenburg do pana admirała – krzyknięto tuż obok – natychmiast!

– Wybacz, Zepp – Ruppi ścisnął ramię przyjaciela – Wzywa. Jeśli co, powodzenia.

– Tobie też – zaczął Josef, ale Rupert już pomknął na dziób. Zepp podszedł do samej burty i

zapatrzył się w morze. Niedługo rozlegnie się „Oficerowie i marynarze – zająć swoje miejsce!”, lejtnant Kanmacher kolejny raz sprawdzi swoje armaty – i wszystko! Inni będą się bić, a jemu przyjdzie patrzeć, jeśli tylko Schneietal nie zechce wzmocnić obsługi dolnych pokładów kosztem górnego.

Uderzył dzwon sygnalistów. Kolejna wiadomość „Od Donnera. Główne siły przeciwnika, dwadzieścia jeden wimpli”. Szaleniec wyszedł na spotkanie ze wszystkim, co mógł zebrać. Donnerowi na pewno potrzebna będzie pomoc, inaczej nie zdążą do wieczornego przypływu. Niechby nawet frosher miał dwanaście linealów, a resztę – drobiazgu: fregaty i korwety, ale armaty stoją i na nich, nie wolno też zapominać o branderach.

– Lejtnant Kanmacher – starszy lejtnant Ailenbach w nowiuteńkim mundurze uśmiechał się z zadowoleniem – Pan i ja będziemy dzisiaj mieli niezły dzień.

– Tak jest, panie starszy lejtnancie – wyrecytował Zepp. Ailenbach był doskonałym artylerzystą, dobrym człowiekiem i sprawiedliwym przełożonym, pod dowództwem którego służba była czystą przyjemnością.

– Proszę się przyznać, Kanmacher – zażądał Ailenbach – dzisiaj żałuje pan, że nie służy na drugim pokładzie.

– Owszem – przyznał Zepp – właśnie myślałem o tym, że obsługę ciężkich armat należałoby wzmocnić.

– Jest pan dobrym artylerzystą, Josef – skinął starszy lejtnant – Mówię to panu dzisiaj, przed walką. Młodzi ludzie lepiej walczą, jeśli są pewni swoich sił. Czyż nie, młody oficerze?

– Tak, panie starszy lejtnancie! – Zepp z trudem stłumił szczęśliwy uśmiech: Ailenbach nie miał zwyczaju chwalić za nic.

– Niedługo będzie czas iść do naszych armat – na pokładach kasztelu mignął żółty lekarski kaftan i artylerzysta zaczął spieszyć do przyjaciela – Ale rozmawiałem z kapitanem. Jeśli będę potrzebował ludzi, będzie pan do mojej dyspozycji. Cieszy się pan?

– Będę szczęśliwy, oddając się pod pańskie rozkazy – trzasnął obcasami Josef i to była prawda. On nie zawiedzie Ailenbacha, Schneietala, Kaldmeiera, kesara.

– Cóż, a zatem do widzenia.

Artylerzysta zniknął, Ruppi nie wracał, znów zadzwonili sygnaliści, po stengach popelzły flagi – pomarańczowe i czerwone. „Do wszystkich: zrefować żagle” – rozkazywał flagowiec – „Konwój w dryf”, „Ariegarda ochrania konwój”.

„Noordkrone” szybko i lekko uwalniała się od zbędnych żagli, zwalniając bieg. Komuś z corps de bataille uda się wziąć udział w walce, nie w tępej strzelaninie po kamiennych murach, a w prawdziwej morskiej batalii. Linia naprzeciw linii, okręt przeciwko okrętowi, chociaż, jeśli się uda, Valdeza można wziąć w „dwa ognie”.

– Przekleństwo – według wszystkich oznak Ruppi był bliski morderstwa – Czy ty sobie wyobrażasz, co mi rozkazano?! Mam odprowadzić tą spsiałą świnię do kupców i zostać z nimi, dopóki nie będzie sygnału „Lądować”.

– Żesz ty – zmartwił się Zepp – Dlaczego?

– Olaf się boi, że ten hrosse poteks pomyli sygnały - szepnął przyjaciel – i wszystko zepsuje. W ogóle to ma rację, ale dlaczego ja?!

ROZDZIAŁ 4

DORAC I RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 15 dzień Jesiennych Błyskawic

1

Marcel Valme szczerze cieszył się ze spotkania z hrabią Tristramem. Hrabia bynajmniej nie aż tak, ale okazał zrozumienie i bez sprzeciwu poszedł do gospody „Skrzydlaty baran”. Nie szalały też dwa tuziny wojak w dziwnego rodzaju mundurach, którzy chętnie oddali broń bratu generała Shemantala. To, bez wątpienia, charakteryzowało ich z lepszej strony. Albo nie ich, a Aureliena i jego aduanów, którym udało się złapać kuriera. Kurier rozmiarem uszu mógł rywalizować z samym duxem Andraettim.

Posiadacz imponujących organów słuchu spieszył do Tomasa. W jego torbie, oprócz różnych drobiazgów, znalazło się pismo, zawiadamiające urgockiego księcia o niedługim przyjeździe upęnomocnionego ambasadora Taligoi hrabiego Johna-Luca Tristrama. Przepuścić taką personę to grzech, więc jej nie przepuszczono.

Marcel dwa dni z rzędu wstawał z kogutami, łykał odrażający shaddi i szwendał się w towarzystwie Shemantala pod koronami mokrych drzew, czekając na byłego sekundanta Gui Arigau. Ofiary okazały się nie nadaremne – pan ambasador został spotkany ze wszystkimi możliwymi honorami, chociaż wcale go to nie uradowało. W Nosze, w każdym razie, John-Luc denerwował się zauważalnie mniej.

– Często pan wspomina swoich zmarłych przyjaciół? – zaciekawiał się Valme, zawracając konia w kierunku gościnnie otwartych przez aduanów wrót.

– Od tamtego czasu zbyt wiele się wydarzyło – wymamrotał gość. Nadal nie rwał się do obnażenia szpady za tę stronę, na której się urodził. To było rozumne. I wstrętne. Tristram zamiast wujaszka Shantry! Fuj...

Wicehrabia wyciągnął zegarek. Tak jak myślał, zbliżał się czas obiadu. Marcel z wahaniem popatrzył na niedoszłego ambasadora. Nawet jeśli Tristrama trzeba będzie powiesić, nie jest to żaden powód, by go nie karmić.

– W „Baranie” mają całkiem znośną kuchnię – Valme skinął na aduana i ten usłużnie wziął ambasadorskiego konia za uzdę – Kenallijskiego nie obiecuję, ale wina Savignaca też są niezłe.

– Skąd pan się tu wziął? – Tristram wyraźnie nie należał do amatorów miejscowych gatunków winorośli – Myślałem, że jest pan w Felpie albo w Valmonie.

– Niestety, nie mogę odpowiedzieć panu uprzejmością na uprzejmość – wyznał Marcel, sadowiąc się za czystym stołem – albowiem do niedawna wcale o panu nie myślałem. Niemniej jednak bardzo wesoło spędzimy czas. Pan mi powie, co się dzieje w Ollarii, a ja panu opowiem o bordońskich ślicznotkach i biegających wieżach.

– Mam prywatną sprawę w Urgocie – John-Luc Tristram ponuro łypnął na usadowionego przy drzwiach aduana. Aduan drapał za uchem Kotika. Kotik się uśmiechał. Miłe zwierzątko, i tak bardzo lubi pierniki.

– Zachwycająca grupa – zauważył następca Valmonów – Zastanawiam się nad tym, żeby wziąć kilka warastyjskich wilczarzy. Są bardzo pojętne i niewymagające. Wracając do naszej rozmowy, muszę zauważyć, że pełnomocni ambasadorowie nie mają prywatnych spraw. I pańska nie jest wyjątkiem. A właśnie, nie oświeci mnie pan w zakresie dziwnej istoty na pańskim ramieniu?

– To Zwierz Rakanów – John-Luc z minuty na minutę stawał się coraz bardziej ponury – herb jego wysokości Aldo Rakana.

– Ona, w sensie, wysokość, ryzykuje stać się pośmiewiskiem – uprzedził Marcel – Świńskogłowe istoty rzadko wywołują szacunek, a już ze skrzydłami i mackami tym bardziej.

– Ten symbol ma kilka tysięcy – apatycznie obraził się Tristram.

– No i co? – nie zrozumiał Valme – Ptako-rybo-panna też jest niemłoda, a i tak idiotka. Z wiekiem, mój przyjacielu, nikt nie staje się piękniejszy. Chce pan coś powiedzieć?

– Jadę do Urgotu na rozkaz uznanego przez Kościół i wiele państw króla. Pan mnie zatrzymuje, zmusza do zawrócenia. Jakim prawem?

– A po co ono panu, to prawo? – ziewnął Valme – Mam dziesięć razy więcej ludzi niż pan, i tyle. Gospodarzu!..

– Wicehrabio – na twarzy Tristrama pojawiły się czerwone plamy, które zadziwiająco mu nie pasowały – pana nigdy nie interesowało nic poza pańską osobą, modą i damskimi wdziękami, więc...

– A teraz interesuje – Marcel zwrócił się do karczmarza – Szanowny, podaj pan zupę serową i duszonego zająca z suszonymi śliwkami. Wino to samo, co wczoraj.

– Tak jest, panie – barani zarządca szybko skoczył do kuchni. Był niezłym kucharzem i dobrym człowiekiem. O wiele przyjemniejszym, niż siedzący obok Marcela.

– Panie kapitanie – Aurelien Shemantal z impetem usiadł przy stole – otworzyliśmy szkatułkę z listami. Tutaj są.

– Wspaniale – Marcel spojrział na oblepione pieczęciami papiery. Listy uwierzytelniające rozpoznał od razu, oprócz nich były jeszcze dwa pisma. Tomas czytał pisma do Kruka, a kapitan

Valme czyta pisma do Tomasa. Jakież sprawiedliwy bywa ten świat.

– Wicehrabio – zaczął Tristram – Muszę panu oznajmić z całą stanowczością...

– Ja pana uważnie słucham – zapewnił Marcel, nożem do chleba podważając pieczęć z czterogłowym stworem, ale rozmówca z jakiegoś powodu zamilkł. Marcel poczekał chwilę i rozwinął list. Charakter pisma był całkiem ładny.

„*Ukochany bracie nasz, Tomasię*” – początek był wielce obiecujący. Książę ze Zwierzem napraszał się w krewnych księciu ze złotem. Valme poprawił kołnierz i przygotował się do dalszego czytania.

– Panie – zakrzyczał niedoszły ambasador – na co pan sobie pozwala?! Na mnie czeka jego wysokość książę urgocki!

– Niech pan tak nie przeżywa – Marcel wsunął do ust kilka oliwek, chociaż mówiąc szczerze, nie bardzo chciało mu się jeść – Jego wysokość Tomasa powierzył mi określone pełnomocnictwa, tak że, otwierając listy, nie popełniam żadnego przestępstwa.

– A mimo to żądam wyjaśnień – szpady Tristram już nie miał, inaczej zachowywałby się ciszej. Wicehrabia puścił oko do Aureliana:

– Proszę zająć naszego gościa, do czasu aż zapoznam się z korespondencją. Hrabio, ten młody człowiek zna mnóstwo historii o pewnym bardzo godnym uwagi złodzieju. Spodobać się panu.

John-Luc nabrał powietrza, przygotowując się do odpowiedzi. Dyplomata z niego nie wyjdzie, dyplomaci odpowiadają od razu. Marcel złapał zdobycz i przeniósł się z nią i oliwkami bliżej kominka. Nie to, żeby było mu zimno, ale zawsze czuł się wygodniej w pobliżu ognia.

„*Nasze państwa przez samego Stwórcę przeznaczone są do przodowania w Złoty Ziemiach* – pisał samozwańczy braciszek Tomasa – *Byłoby stosowne umocnić nasz sojusz małżeństwem. Wiele słyszeliśmy o urodzie i mądrości urgockich księżniczek i prosimy brata naszego Tomasa...*”

Jaki on jest, ten Rakan, któremu wszystko jedno, z którą z sióstr się ożenić? On ani razu nie widział ani Julii z jej wróżbami i baronami, ani Eleny, uśmiechającej się, kiedy każda inna zamieniałyby się w fontannę łez. Elena i podlec, który dorwał się do władzy! Już za to jedno Aldo należałoby utopić do zębaczki babki, jak mówi niezapomniany Derra-Piave.

„*Na znak tego, że nasza propozycja została przyjęta, prosimy oddać Taligoi starożytną relikwię, znajdującą się pod opieką Waszej Wysokości* – żądał narzeczony – *Spełnienie naszej prośby ocenimy jako...*”

Dalej było zwykle polityczne paplanie. Drugi list w ogóle był przeznaczony dla księżniczek. Takie pianie, przesypane cukrem i migdałową kruszonką. Siedzący w Ollarii kogut wyraźnie uważał się za pępek świata. To byłoby śmieszne, gdyby nie Alva, który złożył szpadę przed jedną miernotą, ratując drugą. Marcel z trudem zdławił chęć ciśnięcia rakaniej pisaniny w ogień.

Wzory monarszego pisma i pieczęci mogły się przydać, jak i wierny wasal Władców Skał. Wełnę można wyczesać nawet z parszywej owcy, jeśli wiedzieć, z której strony zacząć. Do stołu Valme wrócił jednocześnie z karczmarzem, niosącym pierwszą tacę.

– Panie... – Marcel zaczerpnął z wazy, posmakował i kiwnął karczmarzowi – Bardzo dobre, polecam... Przeczytałem pańskie pisma i muszę pana zmartwić. W Urgocie nie ma pan nic do roboty. Hrabia Shantry doskonale daje sobie radę z obowiązkami ambasadora, a córki Tomasa nigdy nie zwiążą swojego losu z człowiekiem, na herbie którego wyobrażone są świńskie łby. Nie mówiąc już o tym, że, nazywając siebie bratem urgockiego księcia i przy tym prosząc o rękę jego córki, Aldo Rakan jest albo kłamcą, albo zbrojnym.

– Nie poznaję pana, Valme – na fizjonomii Tristrama zastygło wyrażenie człowieka, który zasypiał w łóżku z kochanką, a obudził się na jednej poduszce z babcią żony.

– Nie poznaje pan? – Marcel zjadł jeszcze jedną łyżkę zupy serowej – To dowodzi tylko braku spostrzegawczości. Zostawmy ten temat. Po kolacji pan Shemantal odprowadzi pana i pańskich żołnierzy do Tronko. Albo do najbliższego drzewa.

– Co? – Tristram odepchnął miskę z nieszczęsną zupą – Co pan powiedział?

– Tylko to, że pan, jak i każdy na tej grzesznej ziemi, ma wybór. Albo mówi pan, jakiej to relikwii szuka Rakan, mnie. Albo oznajmia to kotom Zmierzchu. One, jak wiadomo, są jeszcze bardziej ciekawskie od zwykłych.

– Miecz Rakanów – wydusił z siebie Tristram – Ferdynand oddał go Krukowi.

Jest! Ostrze z liliowym kamieniem, jesienne lilie, skrzypce maestro Grossfichtenbauma, krzyczące o nieuchronności... Po jakie koty Alvie potrzebne było rekwizyt? Pieniądzy nie miał na

co tracić?!

Marcel Valme wyciągnął pistolet i starannie położył obok siebie.

– Hrabio Tristramie, mam nadzieję, że będzie pan na tyle uprzejmy, by po obiedzie opowiedzieć mi o panu Rakanie i jego przyjaciółach wszystko, co pan wie albo chociaż słyszał. Gospodarzu, będzie nam potrzebna oddzielny pokój i shaddi.

2

Naturalnie, służący niczego nie wiedzieli, nie widzieli i nie słyszeli. Nikogo, choćby z grubsza podobnego do mieszkańca Laik, ani Richard, ani Walentyn nie rozpoznali. Wszystkie straże były na miejscu, gimneci przysięgali, że widzieli tylko służących i dworzan, chociaż Suza-Muza nie najmował się chodzić w malinowych spodniach i dźwięczeć dzwoneczkami.

– Ostatecznie to się robi głupie – wyraził ogólną opinię David Rocksley – Nie wiem, czego chciał ten łajdak, ale durniów już z nas zrobił.

– Formalne wyzwanie... – wicehrabia Meven ze wstrętem spojrział na luk, którym z kuchni do jadalni podnoszono dania – tylko komu? Jego wysokości, komuś z nas czy wszystkim?

– Książę Ockdell wyzwał kiedyś siedmiu – Rober puścił oko do nastroszonego Dickona – a nas, jeśli wyłączyć jej książęcą wysokość, było sześciu. Hrabia Meduza nie jest aż tak śmiały.

– Nie widziałem pojedynku jednego z siedmioma – Meven lekko uklonił się Richardowi – ale walka czterech i jednego czterech nie upiększyła.

– Pojedynku z siedmioma w ogóle nikt nie widział – wtrącił się oglądający martwe natury ze zwierzętami Pridd – bo go nie było. Była walka siedmiu przeciwko dwóm.

– Książę Pridd! – i komu tylko przyszło do głowy, że Skały są spokojniejsze od Błyskawic?

– Książę Ockdell? – na ustach Pridda igrał uprzejmy uśmiezek – Chciał pan powiedzieć, że jeśli jeden równy jest czterem, to walka dwóch i siedmiu staje się walką pięciu i siedmiu, co już nie wymaga szczególnego męstwa?

Rober zdążył znaleźć się na drodze Dickona i złapać go pod rękę.

– Rocksley, Meven – tylko obrażenia czynem nam tu brakowało do pełnego szczęścia, ależ by się Meduza ucieszył – służący nikogo nie widzieli, ale coś mogli zauważyć gimneci. Książę Pridd, mogę pana poprosić o opisanie strażnikom pańskich współpracowników? Możliwe, że ktoś z nich tu był.

– Tak, monsignore – Rocksley wszystko zrozumiał i zrozumiał prawidłowo – Książę Pridd, będziemy panu bardzo zobowiązani...

– Naturalnie, pójdę z panami i wypełnię swój obowiązek – skłonił się Pridd – Książę Epineix, zawsze jestem do pańskich usług. Książę Ockdell, pomyliłem się. Zawiodła mnie pamięć. To była walka nie dwóch, a półtora.

Dickon szarpnął się, ale Rober z siłą ścisnął łokieć obrazonego eora.

– Książę Ockdell, chciałbym, aby okazał pan taką samą usługę mnie i Carvallowi!

Meven z Rocksleyem wzięli Pridda w kleszcze, Ośmiornica się nie sprzeciwiał, bo i po co? Jeśli Dickon nie wytrzyma i naruszy edykt, winien będzie on i tylko on. Walentyn okaże się stroną obrażoną, przecież nie powiedział niczego karygodnego. Władca Fal po prostu snuł rozważania o pojedynkach.

– To on – rzucił się do boju Dickon, ledwie drzwi się zamknęły – Ośmiornica! Hrabia Meduza... Przecież w Laik on był hrabią.

– Dickonie, to nie może być Pridd. Cały czas byliśmy widziani. Zaczynając od rady Wielkich Domów. Dania podniesiono z kuchni i przyniesiono do jadalni. Podłożyć rękawiczkę mógł co najwyżej ten, który podnosił pokrywkę, ale do tego trzeba mieć ręce sztukmistrza.

– Ty – Dickon aż się zakrzusił, głuptas, ależ z niego głuptas – ty uwierzyłeś tej bestii?!

– Uspokój się! – krzyknął Inochodziec – I pomyśl. Ty tego nie zrobiłeś, inni nie mieli nawet takiej możliwości. Wśród nas nie ma Suzy-Muzy, jeśli oczywiście on działa sam.

– Roberze – chłopiec nadal szalał – oprócz Pridda nikt nie mógł. Z Laik jesteśmy tu tylko on i ja.

– To nie musi być unar albo służący – Epineix rozluźnił palce, ale zajął strategiczną pozycję między Władcą Skał i drzwiami.

– No więc kto?! – Ockdell wyglądał na absolutnie zaskoczonego. On nie powinien stykać się

z Priddem, szczeroci nie po drodze z podstępem.

– A ktokolwiek! – wzruszył ramionami Inochodziec – Opowiadałeś komuś tą historię?

– Opowiadałem – ściągnął brwi Dickon – W Nadorze, w Sakasci i jeszcze w gospodzie, po wojnie...

– Komu, jeśli to nie tajemnica?

– Savignacom – Dickon zaciął się, ale w końcu powiedział: – I księciu Alvie.

– O nich można zapomnieć – spokojnie machnął ręką Rober – o ile tylko nie opowiedzieli o nieszczęściach Aramony komuś jeszcze. Dwudziestu ludzi różnymi głosami opowiada jedną i tę samą anegdotę, co się dziwić, że ktoś postanowił zagrać w Suzę-Muzę. Doskonały sposób odsunąć od siebie podejrzenia, a przy okazji kolejny raz ściąć cię z Priddem. Jesteś Władcą Skał, masz prowadzić procesję koronacyjną, Dickonie, dlatego musisz być na nogach i nie w Bagerlee.

– W Bagerlee?! – jasne, młody osioł na amen zapomniał o ostrzeżeniach.

– Jeśli naruszysz edykt, Aldo będzie musiał cię ukarać – jeśli do Dicka nie dotrze ten dowód, to nic do niego nie dotrze – Pomyśl, w jakiej sytuacji postawisz króla.

– Tak – Dickon uśmiechnął się z poczuciem winy – rozumiem. Dziękuję, że mnie powstrzymałeś.

Udało się! Ale Pridd dąży do kłótni. Świadomie, wyrachowanie, z zimną krwią. Trzeba go powstrzymać, ale jak? Otwarta rozmowa nie pomoże, Ośmiornica się wykręci...

– ...nie do pomyślenia – Meven zaczął swoją tyradę jeszcze za drzwiami – To zupełnie nie do pomyślenia!

Posłana do gimnetów trójka wpadła do bufetu, biorąc ze sobą Joyeuse'a Nardi, niedawno mianowanego gimnet-tenentem.

– Masz – Rocksley wcisnął Roberowi w rękę jakiś tom – Tylko na to popatrz!

Epineix popatrzył. Była to „Księga straży”, w której pod zapisem Nardi o przyjęciu dyżuru zamaszystym, ale starannym pismem napisano:

„15 dzień J.B. 399 K.S. Druga po południu. Sprawdziłem stan straży i wyszkolenie nazywanych gimnetami głuszców i jestem zadowolony z jednego i drugiego. Suza-Muza.” Dalej był śmiały podpis, poświędzony osobistą pieczęcią z już znajomym Roberowi herbem.

Złośliwy „hrabia Meduza”, dostawszy się do pałacu, nie utracił swojej nieuchwytności. Ani bezczelności.

– Nie rozumiem! – wrzasnął Rocksley – W gimneckiej zawsze jest chmara ludzi, nie mogli go nie zauważyć!

– Aramona też nie rozumiał – pocieszył wasala Domu Skał Władca Fal.

3

John-Luc ponuro powlókł się do wyjścia. Na drodze niedosłego ambasadora spokojnie leżał Kotik. Ambasador zatrzymał się. Kotik przekręcił się na brzuch, podniósł głowę i pokazał zęby. Tristram przyrósł do podłogi, Marcel łknął shaddi.

– Proszę mi wybaczyć, zupełnie zapomniałem... Kotik puszcza przez próg tylko osoby godne zaufania. Ej, ktokolwiek!

– Tu! – Aurelien Shemantal, kończąc coś przeżuwać, wyrósł na progu – Zabrać?

– Tak, skończyliśmy. Hrabia zachowywał się całkiem rozsądnie, ale obawiam się, że wpadł w melancholię. Niech pan spróbuje go rozchmurzyć bajkami o pańskim złodzieju. A właśnie, zdecydowanie radzę je panu zapisywać. Diderich już się beznadziejnie zestarzał...

– Powiedziałem wszystko, co pan chciał – wybeczał Tristram, udowadniając, że „Baran” jest dla niego idealnym miejscem.

– Być może zechcę się dowiedzieć czegoś jeszcze – jeśli w Ollarii zostali tylko tristramowie, przyjdzie pić lekarstwo na niestrawność – Aurelien, niech pan go trzyma pod ręką. Jeśli spróbuje uciekać, bijcie po nogach.

– Zrozumiałem – Shemantal wyprowadził zzieleniałego „gościa” i zamknął drzwi. Kotik ziewnął i przysunął się do stołu.

– Dobrze go nastraszyliśmy – wicehrabia Valme poczochnął kosmaty łeb i natychmiast został obśliniony. Marcel wepchnął psa pod krzesło, dopił shaddi i zajął się kalkulowaniem.

Wyłowiony pan Tristram jechał szybko, gdyby dalej tak poszło, to za tydzień dotarłby do

Urgotelli. Wątpliwe, by Tomas rozplakał się na piersi nowego ambasadora, ale „brat Aldo” nie zna starego chytrusa. Brat Aldo uważa, że brat Tomas wszystko rzuci i padnie w rozwarte objęcia razem z córkami. Tak... Na padanie damy dwa dni, a na drogę powrotną dwanaście do trzynastu.

– Czternastego dnia Zimowych Skał – poinformował Valme chrapiącego Kotika – jego świniogłowa wysokość umyje uszy i usiądzie przy okienku w oczekiwaniu na odpowiedź. I ją dostanie.

Śpiący Kotik nawet uchem nie poruszył. Ciekawe, co będzie, jeśli przedstawić go Ewro. Dzieci pudelka i wilczarza, jeśli pójdą wielkością w tatusia, a charakterem w mamusię, będą potworami straszniejszymi od osławionego Zwierza. Szkoda było porzucać Kotika, ale szanujący się fircyk nie weźmie sobie takiego psa. I z prostymi kudłami jeździć też nie będzie.

Reputacja – wielka rzecz! Do Tronko wjechał na imieniu Kruka i zasługach ojczulka, w rakaniej Ollarii przyjdzie zaprzęgać stare grzeszki, dobrze, że jest ich niemało. Valme zdjął kurtkę, potem ściągnął koszulę i podszedł do lustra. Parszywego – bo i czego innego oczekiwać od gospody, ale wicehrabiemu wystarczyło i takie.

Ujrzone napełniło duszę jednocześnie i radością, i rozgoryczeniem. Przed wyjazdem do Felpu Marcel wiódł przeciąglą wojnę z rodzinnym brzuchem, to odstępując pod jego naporem, to odpędzając nienawistny kałdun na pozycje wyjściowe. Teraz brzuszysko było pokonane, ale jego brak wydawał wicehrabiego z głową. Każdy, kto znał następcę Valmonów, zrozumie, że ów następca szwendał się wszędzie, ale nie w sytej Urgotelli. Przyjdzie nosić pod koszulą pikowaną kamizelę, którą jeszcze trzeba będzie znaleźć. Mężczyzn to oszuka, a kobiety? Zmieniać nawyków nie wolno, czyli pojawią się okoliczności, w których będzie musiał pokazać się damom bez koszuli. Mariannie można jeszcze coś skłamać, ale hrabinie Rocksley? A nie złożyć wdowie uprzejmej wizyty będzie nieprzyzwoitością, tym bardziej, że Jennifer powinna dużo wiedzieć.

Właśnie, on przecież powinien przywieźć z Urgotu prezenty! Marcel zawył cichutko, czym zmusił Kotika do zerwania się na równe nogi, po czym usiadł do pisania listów.

„Najdroższy ojcze! Ku mojemu głębokiemu żalowi, nie mogę przywitać z Panem Zimowego Przełomu, jak to miałem w zamiarze. Słota kazała mi jechać objazdem, o czym głęboko żałuję. Niemniej jednak przeczytałem pański ostatni list i byłem bardzo rozgoryczony, że rozminąłem się z wizytującym Valmon przyjacielelem...”

Zazwyczaj synowskie listy pisały się wicehrabiemu z trudem, ale tym razem pióro fruwało po papierze jak motylek nad azalią. Ojczulek czuł łgarstwo i niedopowiedzenia szóstym zmysłem, teraz to się przydało jak nigdy. Nie to, żeby Marcel się obawiał, iż Shemantal nie dotrze do Valmona i zgubi po drodze pana Tristrama, ale strzeżonego los strzeże, a rodzica taki list rozbawi. Wicehrabia puścił oko do zapamiętałe drapiącego się Kotika i napisał: *„Posyłam panu na święta zupełnie zadziwiającego psa. Nie wątpię, że stanie się on Pańskim ulubieńcem, oczywiście po zlikwidowaniu owadów i oduczeniu rozkopywania klombów. Wiozący zwierzę kurier opowie panu jego historię, nader pouczającą. W kilku słowach brzmi ona tak. Zdobyłem Hrabiego (niestety, niektóre sucze dzieci otrzymują zupełnie nieodpowiednie dla nich imiona, jak na przykład: Marszałek, Ambasador, Księżę) na Urgockim Trakcie. Pies wydał mi się zabawny, więc go złapałem.*

Ostatni właściciel przeznaczył Hrabiego jako prezent dla księcia Tomasa i jego córek, jednakże, spędziwszy sporo czasu przy dworze Jego Wysokości i znając Ich Księżęce Wysokości, uznałem, że podobny prezent wywoła więcej nieporozumień, niż radości. Ich Księżęce Wysokości wolą śpiewające ptaki, a ponadto Jej Księżęca Wysokość Elena nie znosi psiej sierści. Na koniec wreszcie Jego Wysokość Tomas jest nieco podejrzliwy, a w Ollarii, jak słyszałem, odkryto chorobę, która przenosi się przez psy.

Naturalnie, napiszę do Jego Wysokości Tomasa i Jej Księżęcej Wysokości Eleny o poufalości, na jaką sobie pozwoliłem, ale nie wątpię, że moje działania zostaną zrozumiane właściwie. Korzystając z okazji, proszę Pana o wysłanie do Urgotelli sadzonek Pańskich nowych astrów, o co prosił nasz drogi Shantry. Niestety, stan zdrowia stoi na przeszkodzie jego powrotowi. Żeby go pocieszyć chociaż trochę, zostawiłem mu swojego balwierza, krawca, kamerdynera i prawie wszystkie swoje rzeczy, w tym także szkatułki na listy i przybory do manicure. Ponieważ sprawy żądają mojego przybycia do Ollarii, proszę przysłać mi w zastępstwie pozostawionych w Urgotelli służących kogoś z godnych zaufania mieszkańców Valmonu.

Będę na nich czekać w gospodzie „Skrzydlaty baran”, o położeniu której poinformuje Pana

mój kurier. Nie mam zbyt dużo czasu, zamierzam dotrzeć do stolicy nie później 15 dnia Zimowych Skał.

Kochający i oddany Pański syn Marcel wicehrabia Valme.

Proszę ucałować rękę mateczce i uściskać moich braci.

Napisane 15 dnia Jesiennych Błyskawic w obecności taligojskiego ambasadora przy dworze urgockim.”

Pełen szacunku syn z zadowoleniem przeczytał napisany list, ziewnął nie gorzej od wilczarza i znów wziął pióro. Musiał jeszcze napisać do Tomasa i do księżniczki Eleny...

ROZDZIAŁ 5 ZATOKA HEXBERGSKA

399 rok K.S. 15 dzień Jesiennych Błyskawic

1

– Panie admirale, od Donnera: „Valdez obchodzi z nawietrznej” – wciąż jeszcze nie wierząc swojemu szczęściu, zameldował Josef.

– Chce zająć nas z prawej i wykorzystać przewagę wiatru – warknął pod nosem Kaldmeier – Tylko dureń by uwierzył, że Szaleniec będzie siedział pod osłoną baterii i czekał, aż go poćwiartują jak kaczkę.

Fok Schneietal nic nie odpowiedział, Zepp – tym bardziej. Młody lejtnant czuł się jak świnia, ale świnia najszcześliwsza na świecie. No pewnie, przecież zastąpił Ruppiego, zmuszonego użerać się z lądowym generałem.

Nie, Josef nic dla tego nie zrobił, po prostu Schneietal wezwał go na dziób i opowiedział admirałowi o dziadku i o tym, że starszy artylerzysta jest bardzo zadowolony z lejtnanta Kanmachera. Lodowaty nieoczekiwanie ciepło się się uśmiechnął. „Cóż – powiedział – Wątpię, by dzisiaj na górnym pokładzie bardzo potrzebowano oficera-artyleryzisty, a stary Ailenbach jakos sobie poradzi”. Los Zeppa był przesądzony. Do powrotu Ruppiego.

– Od Donnera – znów przekazali po pokładzie – Valdez odchodzi ku południu.

– Panie admirale – zaczął Zepp.

– Słyszałem – dowódca zamyślił się – On idzie tam, gdzie wyznaczono drugie lądowanie. Bystrzak! Cóż, możemy nie obawiać się zbyt łatwego zwycięstwa. Josef, przekazać Donnerowi: „Do awangardy: przejąć i zaatakować przeciwnika”. Do trzech pierwszych okrętów corps de bataille: „Przyłączyć się do awangardy”. Ariergardzie przekazać: „Konwój ma czekać na rozkaz”. No a my zajmiemy się fortami.

Na pokładach kasztelu było czysto i cicho: oficerowie, kanonierzy, marynarze pokładowi czekali na swoich miejscach, a Zeppowi, jak na złość, wyleciała z głowy nazwa drugiego okrętu corps de bataille. Pierwszy idzie „Zachodni wiatr”, trzeci – „Szczęśliwy przypadek”, a drugi?!

Czterej sygnaliści na widok adiutanckiej opaski³⁰ zerwali się i stanęli na baczność.

– Rozkaz admirała – wypalił Zepp – Do Donnera. Dowódca floty rozkazuje zatrzymać Szaleńca. Dowódca floty przekazuje awangardzie trzy czołowe okręty corps de bataille. Kupcy mają czekać.

– „Rozkaz admirała do dowódcy awangardy – powtórzył drugi lejtnant Blauchen – Dowódca floty rozkazuje przejąć i atakować przeciwnika. Dowódca floty przekazuje do awangardy 'Zachodni wiatr', 'Słoneczny blask' i 'Szczęśliwy przypadek'. Konwój ma czekać na rozkaz dowódcy floty”. Wszystko!

„Słoneczny blask”, no oczywiście, jak on mógł zapomnieć!

– Wszystko dobrze, panie drugi lejtnancie. Dziękuję.

Zuch z tego Blauchena! Chociaż na „Noordkrone” po prostu nie może być durniów. A teraz – z powrotem, do admirała.

Zepp mknął z powrotem, co rusz zadzierając głowę – popatrzeć na pełznące w górę flagi steng. Flagi, podniesione na przekazany przez niego rozkaz. Szalejący wiatr wesoło łopotał kolorowymi płachtami, jakby się cieszył, że trzy okręty zaraz podniosą dodatkowe żagle i zaczną doganiać awangardę.

– Dziękuję, Kanmacher – burknął admirał, obserwując przez lunetę ujście Herbste. Żółte rzeczne wody mieszały się z szarymi morskimi, niewysokie, mętne fale wpełzały na wyblakły piasek. Brzeg wydawał się bliski i bezbronny, ale płycizny i sięgające samych diun błota strzegły go nie gorzej od fortów.

Równie, nudne dale były takie jednakowe, że wydawało się, jakby „Noordkrone” stała w miejscu, a razem z okrętem zatrzymał się i czas. O życiu, o ruchu, o przyszłości przypominały tylko plusk fal, poskrzypywanie takielunku i niecierpliwe bicie serca. Zepp, starając się nie przestępować z nogi na nogę, stał przy burcie, oczekując na rozkaz, ale Kaldmeier niczego nie rozkazywał, a Valdez wciąż się nie pojawiał.

Lejtnant zdążył znienawidzić uschnięte trzciny i garbate, nie chcące się kończyć diuny, kiedy wiatr, nalatujący z prawej strony, przyniósł odległy grom. Armaty! Sądząc po dźwięku, Donner i Valdez „witali się” z dalekiego dystansu.

– Adolfie – głos admirała był znudzony, jakby gotował się on nie do starcia, a do sprzątnia – co pan powie o wietrze? On się zmienia, czyż nie?

– Zmienia się? – szautbenacht podniósł głowę, jakby łowił zapach – Mnie się tak nie wydaje, zresztą, w Hexbergu wiatry wiecznie tańczą.

– Wiem, dokąd przy płynęliśmy – ponuro rzucił Kaldmeier, nadal wpatrując się w markotne brzegi. Schneietal gdzieś poszedł, potem wrócił, armatni ryk stawał się coraz głośniejszy, pojawiły się forty. Kaldmeier opuścił lunetę.

– Panie kapitanie – admirał jest niezadowolony, ale z czego? – za pół godziny otwieramy ogień. Proszę się przygotować.

„My jesteśmy gotowi – omal nie krzyknął Josef – My jesteśmy od dawna gotowi. I zaraz to pokażemy...”

2

Na pociemniałym srebrze legły brudnożółte pasy. Anthenizel. Te same wysepki, między którymi rano chował się „Rekin”. Przyszli! To znaczy prawie przyszli. Z pokładu „Franciska” można było zobaczyć tylko morze, diuny i Chytry Przylądek, z którym zrównał się pierwszy okręt awangardy.

30 Lejtnant-adiutanci nosili na prawej ręce specjalne opaski. Lejtnant-adiutant admirała – białą z niebieskim obramowaniem.

Almeida dawno przestawił flotę w bojową linię, ale admirałowie nadal prowadzili swoje eskadry sami, wbrew wszelkim drikseńskim i gaifijskim prawidłom. Jak tam nazywali biedaka z koszmarnym nazwiskiem, który napisał książkę o strategii? Pfeichteier? Chyba tak...

Felpijczyk do bólu wpatrzył się w horyzont, na masztach „Ramiro Odważnego” jeszcze nie podnieśli sygnałów, a dalej nic nie było widać i Luigi opuścił lunetę. Jeśli czekać zbyt mocno, czas zamrze, trzeba się czymś zająć, odwrócić, pomyśleć o czymś innym, choćby o tym, jak szybko „Francisk” z konia staje się lwem.

Osiem dziesiątek niedobrych brązowych zwierzów przeciągało się i kręciło, przeczuwając polowanie, a artylerzyści, skończywszy z korkami luf, odblokowywali i prostowali wciągniki. Wyciory i stemple już leżały po prawej stronie armat i teraz potężni chłopcy w skórzanych bezrękawnikach nosili łomy, handszpaki, toczyli kosze z prochowymi podsypkami, kulami, kartaczami, miotali się pomiędzy armatami, rozwieszając plecionki z przybitkami.

Berlinga, zręcznie wyminąwszy przylądek, wszedł na nowy kurs. Niedługo Drikseńczycy zobaczą wroga, który według ich rachub znajduje się tysiące horn stąd.

– To będzie nieprzyjemne – wymamrotał Felpijczyk, nie odrywając spojrzenia od masztów awangardy.

– Co pan ma na myśli, kapitanie? – Filipp Alarcon czekał na sygnałowe flagi nie mniej niż Luigi, ale to nie przeszkadzało Marikjarczykowi słyszeć i słuchać.

– Drikseńczycy będą zaskoczeni – wyjaśnił Gildi – nieprzyjemnie.

– Bez wątplenia – potwierdził kapitan-komandor – Kesar dziś wypłuje więcej niż przełknął, o wiele więcej.

Alarcon mówił o gaifijskim złocie, które kupiło wojnę i zdradę. Ile wyłożył Diwin? Ile kosztuje drikseńska flota? Wszystko różnie, a pewność siebie w ogóle nie ma ceny. Po dzisiejszym

fiasku „łabędzie” nieprędko wleca.

– Dobry wiatr – na prawach starego znajomego szepnął Alberto – Pół godziny i jesteśmy w zatoce. Oni zobaczą nas, my – ich, i wtedy zobaczymy, komu – wino, a komu – woda!

– A ty jeszcze wątpisz? – uśmiechnął się Luigi – Nie podejrzewałem.

– My mamy rację – oczy Marikjarczyka błysnęły niedobrze – morscy bogowie są z nami. „Gęsi” zapłacą i za gospodarzy, i za sojuszników.

Palce natrętnie sięgały po lunetę, ale Felpijczyk zmusił się do patrzenia, jak marynarze pokładowi stawiają między działami beczki z wodą. Lonty jeszcze nie płoną, a nienawiść już się tli, jeszcze trochę i płomień wyrwie się na zewnątrz i przeskoczy na drikseńskie okręty. Dzisiejszy dzień na długo zapamiętają i w kesarii, i w Taligu. Szkoda, że w starciu flot żaglowych galery nie mają co robić, za to kupcy, o których tyle mówiono... Dlaczego by nie zająć się nimi? Naturalnie, nie teraz, a bliżej końca bitwy, kiedy on i Rangoni nie będą potrzebni.

Myśl o tym, że ich pomoc nie będzie już potrzebna, Luigi postarał się odegnać jak najdalej. Spotykając Almeidę, Luigi bał się, że nie zobaczy bitwy wcale. Mogli ich zwyczajnie spławić do Sternsteinen, ale admirał uznał, że w czasie boju flagi sygnałowe nie są całkowicie pewne, i zostawił „Rekina” sobie, a „Kruka” – Berlińdze. Gdyby był tu Derra-Piave, sterczałby przy Salinie, ale karzełek teraz pluska się w ciepłych wodach; oby miał szczęście, gdzie by się nie znajdował. Szczęścia jemu i im wszystkim, a pierwszej kolejności – Valdezowi. Żeby tylko ocalał, a potem niech plecie, co tylko zechce!

Kapitan nie wytrzymał, spojrzał na przepływające za burtą błota: poganiana dobrym wiatrem eskadra szła szybciej niż szukające jej rano galery, zmuszone ścierać się z tym wiatrem, ale jedna sprawa – śpieszyć na pomoc, i zupełnie inna – powstrzymać Kaldmeiera z jego sforą.

– Od Berlingi! – wykrzyknął Berto. W odróżnieniu od Luigiego, Marikjare nie grał z losem w podbijanego, a niemal złączył się w jedno z lunetą – Almirante! Przeciwnik wprost na kursie.

Kapitan Gildi odetchnął i z poczuciem wypełnionego obowiązku przypadł do okularu. Na masztach znikającego za przylądkiem „Zwycięzcy Smoka” bojowo łopotały dwie flagi – niebieska i biała, a w górę pełzło jeszcze sześć: „Przeciwnik w dryfie”.

– Kupcy – Alarcon z siłą złożył lunetę – Czekają, kiedy oczyszczą im drogę.

Oczywiście, że kupcy. Drikseński admirał nie stanie na dryfie w połowie drogi do celu, za to najprościej w świecie zostawi handlarzy u wejścia do zatoki, żeby nie plątali się pod nogami.

– Valdez jeszcze się rzuca – kapitan „Franciska” z całej siły próbował ukryć ulgę – pies wściekły!

– Przekazać w tył: „Więcej żagli – krótko rzucił Almeida – iść poprzednim kursem”.

– Stawiać żagle! – Alarcon zniemacka udęcządzając przypomniał Mucio: ten sam oszukańczy spokój, w który wierzą tylko obcy – Wszyscy na miejsca!

Ostry świst gwizdków, ochryple, podniecone głosy, szuranie, krótkie, złe śmieszki.

– Marynarze – do want! Na marsy i salingi!

Ludzie wzlatają po naciągniętych strunach wantowych lin, tylko gołe pięty migają. Nie można tracić czasu. Berlinga widzi Driksów, czyli i oni widzą jego. Albo, jeśli już zupełnie się rozpuścili, zaraz zobaczą. Póki przekażą na flagowiec, póki tam zrozumieją, co i jak, póki zawrócą... Biedni kupcy!

– Na reje!

Szybkie cienie rozpełzają się po marsach i bramrejach, lekko przytrzymując się „strzałek”³¹. Szare niebo, szare żagle, szare kurtki matów... W dole – deski pokładu i lodowate fale, wilgotny wiatr gra z kruchymi figurkami, życie od śmierci oddziela tylko cienkie, mokre drewno, ale Marikjarczyki trzymają się tak, jakby za plecami mieli skrzydła.

– Odciągaj, poszedł szkot! Puścić z marsów i saling!

Żagle postawione, wszyscy cali. Przyspieszony szwanem „Francisk” rzuca się w przód, a za flagowcem, nieco wolniej, rwie się „Gwiazda Taliga”. Stwory Zmierzchu, co za dureń powiedział, że na żaglowcach służą sami próżniacy?

– Doskonale! – ręka Almeidy w szkarłatnej rękawiczce z błyskawicą spoczywa na rękojęści, za plecami pierwszego admirała nie ma sztyletu, on został w ścianie kajuty. Do zwycięstwa lub do śmierci! – Gotować się do boju!

– Gotować się do boju! – powtarza Alarcon – Czekać na rozkaz. Przygotować lonty!

Przy działach oficerowie pospiesznie powtórzyli kanonierom:

– Czekać na rozkaz. Lonty przygotować!

Zamieszanie jak szkwał przeniosło się po okręcie i zniknęło, ustępując miejsca złemu, gotowemu wybuchnąć spokojowi. Po opustoszałych pokładach przeszli marynarze pożarni, oblewając wodą i tak już mokre drewno, głośno i zło wrzasnęła przelatująca nad okrętem fragatta. Oficer artylerii odprowadził ptaka spojrzeniem i złożył na szczęście cztery palce. Ludzie milczą, wsłuchując się we wciąż jeszcze daleką kanonadę. Skrzypią liny, weseli się, bawi z falami szwan i podnosi się na horyzoncie dziwna góra, która dała nazwę miastu i zatoce.

– „Widzą mnie”! – przekazał flagami Berlinga – „Idę w bój”.

– Teraz niedługo – Filipp Alarcon uśmiechnął się do zarumienionego Berto – Teraz już niedługo.

Tajemnica przestała być tajemnicą. Co czują Driksowie, ujrawszy obce żagle? Nienawiść? Strach? Rozpacz? A może pragnienie walki?

– Kapitanie Alarcon! – rzuciła Almeida – Podnieść sztandary! Niech widzą, kto idzie i po co! Enombredastrape!

– Enombredastrape! – Alarcon machnął ręką flagowej orkiestrze – Enombredasoberano!

To nie było ani taligojskim hymnem, ani modlitwą. Z huku bębnow i miedzianego dzwonu powstawało coś dzikiego, szaleńczego, starożytnego i bezlitosnego, jak burza, szkwał albo tornado. Barbarzyńska muzyka kazała sercu przyspieszyć, w uszach huczała krew, przed oczami we wściekłym korowodzie gnały skrzydlate ogniste widma, a po fałach pełzły w górę dwie flagi. Niebieski sztandar domu Alva i druga płachta, szkarłatna, rozdzielona złotą marikjarską³² błyskawicą.

To, co wchodziło do zatoki, wcale nie było flotą jego wysokości króla Taligu.

31 Poprzeczki nad rejami.

32 Flaga Marikjary (raio) to szkarłatna płachta, rozcięta złotą błyskawicą. Po zjednoczeniu Marikjary i Kenalloa, które z kolei weszło w skład Taliga, raio za granicami wyspy było podnoszone tylko w wyjątkowych wypadkach, kiedy sytuacja żądała podkreślenia, że Marikjarczycy działają nie jako poddani Taliga, a zgodnie ze swoimi obyczajami i prawami.

Johan Klugkater, znany od Ardory do Noordschwantze jako Dobry Johan, z rozdrażnieniem miotał się po rufie „Chytrego kaczora”. W przodzie waliło na całego i wcale nie chciało przestawać, jak zresztą szyper przepowiadał. Frosherowie wcale nie byli takimi osłami, z których śmiały się durne szczury lądowe, dzięki którym poleciał kotu pod ogon jesienny fracht, a wiosenny znalazł się pod dużym znakiem zapytania. Klugkater był rdzennym Drikseńczykiem, z czego był dumny, ale tym razem pomysł jego wysokości Gotfryda wywoływał, mówiąc delikatnie, rozdrażnienie.

W dali znów coś huknęło: ktoś na całego bil z ciężkich armat. Szyper ziewnął i z uczuciem, wyraźnie, dokładnie wyjaśnił masztowi, co on myśli o durniach, którzy odbierają dobrym ludziom statki i pchają się tuż przed Przełomem do takiego pogańskiego miejsca jak Hexberg. Siostrzeńca, który przypadkiem pojawił się obok i słuchał wujowych zakrętasów z rozdziawionymi ustami, Johan zręcznie chwycił za ucho, przeciągnął wzdłuż burty i posłał napełnić flaszkę. Skądś wylazł pierwszy intendent, przystawiony, by pilnować zarekwirowanego „Kaczora”, i, słaniając się, skierował się ku burcie. Ocknęła się morda zielona!

Tego chudego bękarta śledzia i krabichy Dobry nienawidził wszystkimi fibrami duszy. Nie rozumiejący ni diabła w morskich zasadach bałwan zaczął od tego, że pomylił rufę z dziobem, ponaklejał na włazy do ładowni durne pieczęcie, a na koniec zarzygał bezczelnie zajętą kajutę szypra. Śledź śmierdzący! Klugkater był dobrym esperatystą i nie życzył zła bliźniemu swemu, on tylko chciał, żeby krabi pomiot pośliznął się na własnych rzygowinach i rozbił swój pusty łeb.

– Skipper – białawe patrzaki wparły się w Johana – Jest pan gotowy do lądowania?

– Ja owszem – warknął Johan – za to wasz admirał nie, i koty wiedzą, kiedy będzie.

– Podaje pan w wątpliwość męstwo marynarzy jego wysokości? – brak kołysania wyraźnie nastroił niedonoska na wiernopoddańczą modłę – To nader karygodne, skipper, nader...

– Ja NIE podaję w wątpliwość, że Szaleniec jeszcze sobie popije waszej juszki – wycedził Klugkater, którego interesiki innych zajmowały tylko w takim stopniu, w jakim przeszkadzały lub pomagały jego własnemu – Dobrze będzie, jeśli zdążymy do wieczornego przypiływu, a jeśli nie?

– Wojska jego wysokości za dwie godziny będą na brzegu – oznajmił tępak – a ten, kto w to nie wierzy, to tchórz i zdrajca.

– Ja nie wierzę – lejtnant Loffer, wraz z dziesięcioma żołnierzami ochraniający ładunek i intendenta-kretyna, był przyzwoitym człowiekiem, nie to, co jego przełożony – Za dwie godziny jeszcze będzie odpływ, a w czasie odpływu tylko kaczki lądują na brzegu. Dobrego wiatru, skipper.

– I tobie wiatru dobrego – odpowiedział Dobry – Przyszedł pan posłuchać, jak strzelają?

– Twoja butelka, wujaszku – durny siostrzeniec radośnie podawał drogocenny napój, spróbuj teraz nie poczęstować.

– Bardzo na czasie – zaaprobowała intendencka morda – ale ja piję tylko ze swojej szklanki, którą myję osobiście. Junga...

– Peter! – potrzebna ci twoja szklanka? No sam po nią idź! – Bierz lunetę i migiem na kasztel! Czekamy na sygnał do lądowania, uważaj, nie przegap.

Peter, błysnąwszy księżycopodobną fizjonomią, zniknął. Śladem odpełził i paskudny intendent, na pożegnanie obrzucając szypra złowróżbnym spojrzeniem.

– Niepotrzebnie pan tak – Loffer z chęcią łyknął jałowcowej nalewki i oddał ozdobiony piersiastymi syrenkami skarb właścicielowi – ten człowiek jest pamiętliwy i ma znajomości.

– Ja też jestem pamiętliwy – odpalił Dobry – on obrzygał moje legowisko i ja nie chcę go więcej widzieć. Jeśli wojskowi zrobią swoje szybko, wyładuję się i pójdę na Ardorę. Tam można spokojnie żyć i nie czekać, aż zapaskudzą ci fracht.

– Niech wszystko pójdzie panu jak po maśle – życzył lejtnant – a na razie możemy tylko czekać. Pańskie zdrowie!

– Po pańskim! – jeśli Hexberg wezmą, odpadnie potrzeba w obcych łajbach, przynajmniej do wiosny, a potem szukaj ryby w morzu. Ale jeśli się przeciągnie? Jeśli zmuszą do wożenia prochu i żarcia dla armii oblężniczej? Taaak, to będą same straty, co by tam ukochany kesar nie naobiecował.

– Wujaszku! – wrzasnął Peter, wskazując lunetą w stronę morza – Tutaj! Tutaj takie...

– Co tam u ciebie? Wieloryby czy co?

– Szybciej! Ojej!

Johan wzruszył ramionami i z godnością ruszył na wezwanie. Jeśli cały ten szum z powodu zjedzonego jajka, drugie ucho chłopaka zdecydowanie tego pożałuje. A to jeszcze co takiego?! Na sąsiednim statku, „Potężnym koniu” młodego Braunbarda, zakrzętały się i zabiegali, gdzieś obok huknęła armata, a z boku na horyzoncie pojawiło się coś, czego tam w ogóle nie powinno być. Klugkater uniósł dłoń do czoła – tak jest, okręty!

Dwoma skokami szyper dotarł do Petera i wyrwał lunetę. Chroń Stwórco, linealy! Żagle do samego horyzontu i idą prosto na jego ulubioną łajbę. Swoi nie mają skąd tu się wziąć, swoi gryzą się z Szaleńcem, czyli obcy! Ten sam Almeida, który, według słów tych osłów, wypoczywa na południu. Jasne, całe życie marzył!

Flag nie można było dojrzeć, ale flagi są potrzebne tym, kto na ramionach ma nie głowę, a tyłek. Od szyrowskiego ryku „Kaczor” omal nie poleciał. Marsowi oparzonymi kotami skoczyli w górę po wantach, trafiać w ręce frosherom nie chciał nikt. Maci szybko odwiązywali marsle i wiązali refy, mało czym ustępując, jeśli ustępując, niebieskozadym cietrzewiom³³!

Statek gorączkowo ubierał się w żagle, a Johan tak samo gorączkowo zastanawiał się, dokąd płynąć. Zawrócić i skoczyć na otwarte morze? Niestety, ostry wzrok kapitana dojrzał nieco dalej od zbliżającej się kolumny coś bardzo podobnego do żagli...

Tak jest, frosherowie! No i co, że mniejsi od głównych, „Kaczorowi” i fregata wystarczy. Ech, jakby tak przerwać się hurmem, ale gdzie tam! Sąsiedzi z lewej i prawej zawracali beznadziejnie, wyraźnie zamierzając uciec pod ogon Kaldmeiera, a jedyny odpowiedni cel zagroził rufą bałwan Braunbard.

Mało tego, na maszcie „Srebrnej róży” jakiś zakuty łeb podniósł sygnał „Iść za mną”. Chociaż dlaczego jakiś? To Gruber! Pana generała rzygających w ładowniach żołnierzy Dobry widział tylko dwa razy, ale to wystarczyło. Dla takiego rozstrzelać – tyle co się wysikać. Nie, panowie śledziki, rozkazy trzeba wypełniać, szczególnie jeśli nad twoją duszą stoją durnie z muszkietami. Szyper serdecznie splunął za burtę i warknął do sternika:

– Czego spisiz, ster na lewo!

Walka szła już na trawersie „Noordkrone”. Szaleniec potwierdzał swoje przezwisko; gdyby na miejscu Donnera znalazł się Bermesser ze swoją koronkową szarfą i drewnianą głową, linia awangardy mogłaby być jeśli nie przerwana, to przesunięta. Frosher pchał się naprzód, próbując podejść na odległość wystrzału z pistoletu, a może w ogóle szepić się abordażem. Donner umiejętnie lawirował, zachowując dystans, nie bacząc na „tańczący” wiatr i bliskość brzegu.

– Cóż – fok Schneietal patrzył na szczipione eskadry z jakąś mieszaniną rozdrażnienia i zachwyty – tam z desantu na razie trzeba zrezygnować. Szkoda, że Valdez chodzi pod „Froshzigerem”³⁴. Nie odmówiłbym możliwości wymienienia go na Wenera.

– Taka umowa to nawet nie na gogańskie siły – Lodowaty Olaf pogładził bliźnię na policzku, Ruppi mówił o tym nawyku – Ale ma pan rację, przed przyplływem Donner może nie zdążyć, a w dwa ognie Valdeza nie weźmiemy. Mielizny. Cóż, skupimy się na fortach, wysadzimy Grubera i zajmujemy się Szaleńcem. Josef!

– Mój admirale!

– Co by pan postanowił z Taligojczykami?

– Oni chcą zbliżenia – wytchnął Zepp – Niech je dostaną.

– Oto ona, młoda uczciwość – Stwórco, jak człowieka z takim uśmiechem można było nazwać Lodowatym? – Ale co jest dobre w dwadzieścia lat, to absurdalne w czterdzieści.

33 Pogardliwa nazwa marynarzy wojennych, noszących antracytowo-czarne mundury.

34 „Zwycięzca żab” - pogardliwa nazwa taligojskiej flagi.

– Friedrich ma trzydzieści osiem – przypomniał Schneietal – chociaż to mało co zmienia. Nie podpuścimy ich bliżej, prawda?

– Kiedy skończy się desant, zaproponuję Szaleńcowi, żeby odszedł. To lepsze niż poszarpać kilka lineatów i stracić kilkuset dobrych marynarzy, a taniej on nam nie wyjdzie. Raczej już drożej.

– Valdez nie spuści flagi.

– Nie jestem aż tak głupi, żeby prosić lwa o obcięcie grzywy – wzruszył ramionami admirał – a Szaleniec nie jest aż tak głupi, żeby bronić rozbitych jaj. Dopóki jest o co walczyć, on nie ustąpi, ale potem odejdzie i jestem gotów życzyć mu szczęścia. Na południu.

– Trudno będzie panu wyjaśnić swoją decyzję w Einrechcie – fok Schneietal wydawał się być zatroskany – Werner przedstawi wszystko albo jako błąd, albo jako zdradę.

– Jego wysokość zna mnie i zna Friedricha – admirał znów dotknął bliźni – On wybierze tę prawdę, która jest mu bliższa. I dość już o tym, jeszcze nie zwyciężyliśmy. Do ujścia nie więcej niż kilka horn, miejmy nadzieję, że wiatr się nie zmieni. Za piętnaście minut zmieniamy kurs, za czterdzieści – otwieramy ogień. Lejtnancie!

Jednak Zepp już zerwał się z miejsca, on już wcześniej wiedział, że Lodowaty, tak jak i Schneietal, nie życzą sobie trzaskania obcasami. To z bermesserami trzeba czekać, kiedy pozwolą ci odejść, a Olaf lubi, kiedy myślą głową, a nie regulaminem.

– Ostrożniej, Josef – uśmiechnął się Blauchan – Rzykuje pan zbić czołem maszt i jak, niech mi pan powie, będę wtedy podnosił swoje flagi? Co tam u was?

– „Za piętnaście minut – skręt, za czterdzieści – ogień po fortach”.

– Cudownie – pochwalił drugi lejtnant – To pańskie pierwsze starcie?

– Tak. Byli jeszcze Kadańczycy, ale to niepoważne.

– Niesłusznie – nie zgodził się Blauchan – Zabijać wilki trudniej niż rąbać drzewa. Te to przynajmniej wiesz, gdzie znaleźć.

– „Sygnał od admirała Bermessera – wrzasnął z góry dyżurny – Przeciwnik od południowego zachodu. Cztery horny”.

Jaki znów przeciwnik? Skąd?! Ktoś z kapitanów Valdeza znalazł się w morzu i teraz próbuje przerwać się do swoich? Ale dlaczego „przeciwnik”, a nie „okręt”? Ich tam jest dużo czy jak?

– Werner zupełnie ogłupiał – rozwiął nieporozumienie Blauchan – pomylił albo fregatę z flotą, albo, co bardziej prawdopodobne, komendę, a na „Gwieździe” nic nie zrobisz. Lepiej admirałski wymysł przekazać, niż okazać się mądrzejszym od przełożonych, ale ja pana zatrzymuję...

– Rzeczywiście, muszę już bieć – spieszył się Josef – Dziękuję, panie drugi lejtnancie!

– No to niech pan biegnie – zaśmiał się sygnalista – a w Hexbergu z panem wypijemy. Za zwycięstwo i za admirała.

Wypiją na pewno. Prawdziwe, dobre wino. Może nawet kenallijskie. Musi przecież w Taligu

być kenallijskie. On ma trochę pieniędzy, zostało mu z nagrody, trzeba zaprosić Ruppiego i Blauchana. I pana Ailenbacha, jeśli nie odmówi...

– Co przekazuje ariergarda? – twarz dowódcy nie wyrażała niczego.

– „Przeciwnik od południowego zachodu. W czterech hornach” – posłusznie powtórzył Zepp.

– Bzdura – kapitan „Noordkrone” z oburzenia aż tupnął nogą w wyświechtanym czarnym bucie – Chociaż dlaczego oczekiwać od chorego zdrowia?

– Mam nadzieję, że bzdura – wciąż równym głosem odpowiedział Olaf – ale nieszczęście ma w zwyczaju przychodzić stąd, gdzie zostawiłeś durnia. Następnym razem zostawię Wenera przy sobie, a po walce się upiję.

– Valdez ma dwadzieścia jeden wimpli – brwi szautbenachta złączyły się w ciągłą rudą linię – dokładnie tyle, o ilu donosili „Ardorczyzy”. Więcej nie ma skąd wziąć, „Mikaela”, „Pfaifer” i „Goldfish” obejrzały każdą dziurę.

– Właśnie – potwierdził Lodowaty Olaf i Josefowi z jakiegoś powodu zrobiło się niewygodnie – oni nie widzieli nikogo oprócz strażników, nie interesujących się rybakami i handlarzami. Josef, dla eskadry: „Czekać na rozkaz. Być gotowym do zwrotu...” Chcesz coś powiedzieć?

– Boisz się cienia – kapitan i admirał przeszli na „ty”. W obecności podwładnego.

– Cienie nie pojawiają się same z siebie – uciął Olaf – Josef, nogi w ręce...

– Otto Büntz przekazuje – sygnalista, który pojawił się na kasztelu, przypominał wyłowionego z wody jazgarza – „Do pół setki wimpli, w bojowej linii, kurs wschód-północ-wschód”.

– To nie może być, ale jest – jakże nie był podobny ten uśmiech admirała do niedawnego – Büntz to nie Werner. To nie cień, Adolfie. To Almeida.

– Ale jak...

– Nieważne jak! – admirał odszedł ku burcie, odwrócił się. Josef widział proste plecy, krótko obcięte włosy, szpadę w pamiętającej lepsze czasy pochwie. Admirał patrzył na swoje okręty, a lejtnant na admirała, za którego był gotów natychmiast umrzeć. Nie za kesara, nie dla sławy i orderów, jak marzył jeszcze rano, a dla tego wysokiego szczupłego człowieka z różnymi uśmiechami.

Kaldmeier dziwnie poruszył głową, jakby odpowiadał komuś niewidocznemu, i odwrócił się.

– Rozkaz na całej linii – zwrot „wszyscy naraz”. Dowództwo ariergardy przejmuje szautbenacht Büntz, on też prowadzi kolumnę. Kurs na konwój. Wszystkich nie zajętych przy manewrze oficerów do mnie!

– Mój admirał – stracił rezon „jazgarz” – Dowództwo ariergardy przejmuje...

– Szautbenacht Büntz – z naciskiem powtórzył Lodowaty Olaf.

– Tak jest, panie admirał – sygnalista szybko rzucił się w dół, tylko plecy mignęły.

Flagi rześko pobiegły po fałach, nie minęło nawet kilka minut, i, jakby próbując je dogonić, przy akompaniamencie niemilkących bosmańskich gwizdków skoczyli w górę marsowi. „Noordkrone”, najpierw niechętnie, potem coraz pewniej zawracała w prawo, pozostali byli opóźnieni. Niewiele, ale wystarczyło, żeby przycichła duma znów podniosła głowę. Jeśli iść w bój, to na flagowcu, pod breed-wimblem Lodowatego Olafa.

Niechby miało nie być ani sztormu, ani desantu, Hexberg poczeka. Sytuacja, w której się znaleźli, nie należy do najlepszych, ale siły są równe, a Kaldmeier – to najlepszy z żyjących admirałów. Ale jakże parszywie, że najbliższym frosherów okazał się Werner.

Zwrot był zakończony. Niosąca tarczę ukoronowana panna już wskazywała mieczem nowego przeciwnika, a „Kunegunda” jeszcze próbowała wrócić w linię. No ileż można się szarpać?

– Panie admirał – starszy oficer spróbował zameldować zgodnie z regulaminem, ale Kaldmeier tylko machnął ręką.

– Bez meldunków – spojrzenie admirała było przykute do masztów – poczekamy na informacje.

Oficerowie, dawno ubrani do walki, jeden za drugim wbiegali na rufę, salutowali, stawali w szeregu. Poważne twarze, czarne mundury, srebrne hafty, białe rękawiczki... Kolory floty Driksen, kolory zimowego morza podczas sztormu. „Przez sztorm i śnieg!” – napisał na morskim sztandarze Ludwig Dumny i nie są to puste słowa. Oni wygrają tę walkę, na pewno wygrają.

Wrócił fok Schneietal, przybiegł okrętowy lekarz, zakręcił się wzdłuż burty, zobaczył

duchownego, podszedł do niego. Ojciec Aleksander dotknął zakonnego znaku na piersi, jego twarz była spokojna i pewna siebie.

– „Büntz melduje – twarz Blauchana była szara jak kurtka mata – przeciwnik ma około siedemdziesięciu wimpli bez lekkich okrętów”.

– Przekleństwo – ręka Kaldmeiera skoczyła do blizny – przyprowadził ich wszystkich!

Siedemdziesiąt! A Donner związany po rękach i nogach. Czy Szaleniec wiedział o Almeidzie? Jeśli wiedział, niełatwo będzie się od niego oderwać...

– Panowie – teraz głos admirała rzeczywiście stał się lodowaty, jak i oczy – Oczywiście jest, że nasze przedsięwzięcie poniosło fiasko. Teraz naszym obowiązkiem jest uratować tych, za kogo odpowiadamy przed kesarem, Stwórcą i swoim sumieniem. Blauchan, proszę przekazać Donnerowi: „Jeśli możliwe, wyjść z walki i iść za nami”. Do wszystkich: „Bronić konwoju”. Kupcom: „trzymać się razem i iść w morze”. Wracajcie na swoje miejsca i niech was chroni Stwórca. Trębacze, „Driksen wierzy swoim marynarzom”.

Śpiewały trąbki, skrzypiał takielunek, szybko stukwały buty, wściekle waliło serce, nie ze strachu, a z oczekiwania!

– Takie sprawy, Adolfie – nieoczekiwanie cicho powiedział Kaldmeier, patrząc na bijącego się na wietrze łabędzia, i ściągnął węzeł na chustce, jakby zawiązywał duszę – Wychodź z linii i stawiaj wszystkie żagle. Nie mogę w czasie walki wałęsać się w ogonie. Do zbliżenia jest jeszcze ponad pół godziny, zdążymy wyjść bodaj na środek.

ROZDZIAŁ 6 **ZATOKA HEXBERGSKA**

399 rok K.S. 15 dzień Jesiennych Błyskawic

1

– Co to wszystko znaczy? – zrzędliwie zapytał fok Hohwende, celując długim palcem w stronę zawracającej floty.

Co to wszystko znaczyło, Ruppi nie rozumiał, ale lejtnant nie mógł przyznać się do tego chudemu nudziarzowi, dzięki któremu musi teraz wlec się w ogonie.

– Flota wykonała manewr, nazywany „Zwrot wszyscy naraz” – drewnianym adiutanckim głosem wyszczał Rupert – po czym rozpoczęła ruch w ostrym bajdewindzie.

Chwył się udał. Hohwende był z tych, którym łatwiej narobić w spodnie niż się przyznać, że czegoś nie rozumieją. Generał Gruber raczej nie podziękuje za taki „prezencik”, ale w czasie lądowania dowódca powinien znajdować się z żołnierzami, nawet jeśli jego zadanie to nosić kapelusz i zasłaniać nos chusteczką.

– Dziękuję panu, hrabio – Amadeus wygładził błyszczący skórzany płaszcz i uśmiechnął się łaskawie, dając do zrozumienia, że rozmawia nie z młodszym oficerem, a z dobrym znajomym – Cieszę się, że towarzyszy mi właśnie pan. W Zachodniej Flocie nie ma aż tak dużo szlachetnych ludzi. Co poradzić, ryba psuje się od głowy.

Gdyby na miejscu Ruperta był Zepp, albo by oniemiał, albo się zagotował, ale hrabia Hohwende nigdy nie rozpocząłby rozmowy z plebejuszem. Inna sprawa – przyszedł książę fok Felsenburg, on nie jest po prostu „swoim”, on jest potrzebny jego książęcej mości Friedrichowi i jego stronnikom. Rupert w jak najuprzejmiejszy sposób skłonił głowę.

– Panie, pana admirała Kaldmeiera bardzo ceni moja babcia. Ona uważa, że służąc pod jego dowództwem, zdobędę konieczne doświadczenie – coś się stało, coś, co zmusiło Lodowatego do zmiany planów, ale co?

– Kiedy będę w Einrechcie – Hohwende już zapomniał o manewrze, jego żywiołem była nie wojna, a intrygi – koniecznie złożę uszanowanie księżnej Starkwind i przekażę, że może być ona dumna z wnuka.

– Mój generale – powiedział Ruppi z odpowiednim do okazji brakiem oddechu – jestem panu głęboko wdzięczny.

– Drobiazg – wielkoduszność zalewała Amadeusa jak fala gig – szlachetni ludzie powinni wyświadczać sobie przysługi. Czyż nie, mój młody przyjacielu?

– O tak – zgodził się wspomniany przyjaciel czysto einrechckim tonem, co wywołało ze stołecznych ust nową porcję zmieszanej z perfumami patoki – Jestem szczęśliwy, mogąc być pomocny waszej ekscelencji.

– Pańskie przysługi są nieocenione – wyśpiewał Hohwende – Proszę powiedzieć, nie chciałby pan przejść pod dowództwo mojego przyjaciela Wenera, przepraszam, admirała fok Bermessera?

Rupert nie zakrztusił się tylko dzięki rodzinnemu samoopanowaniu, pomnożonemu przez stołeczne zahartowanie. Krewni uparcie hodowali z niego kanclerza i ani stanowiska niżej. Stopień marynarski i kilka orderów, według opinii ojca i babki, powinny były pomóc błyskotliwej karierze Ruperta fok Felsenburga. Ani książę, ani groźna dama nie mogli nawet pomyśleć, że miły Ruppki twardo postanowił zostać admirałem Zachodniej Floty, jeśli oczywiście nie zostanie nim Zepp.

– Pańska propozycja bardzo mi pochlebia – zapewnił fok Felsenburg, przeklinając się za to, że nie wziął ze sobą lunety – ale morze ma swoje prawa. Jeśli porzucę admirała dla wiceadmirała, powiedzą, że nie dałem sobie rady z moimi obowiązkami.

– Przekonujące – no pewnie, takich jak ty przekonują tylko dowody w rodzaju „bliższa ciału koszula” – ale dlaczego pan uznał, że będzie pan musiał przejść do wiceadmirała? Zapewniam pana, ta kampania wiele zmieni.

Szkoda, że Lodowaty nie rzucił Wenera przeciwko Szaleńcowi. Wielka szkoda! Parkietowe bydlę zbyt szybko poradziło sobie z ośmieszeniem i wzięło się za swoje. Z pomocą Friedricha i gaifijskich pieniędzy, naturalnie.

– U nas we flocie – z naciskiem powiedział Ruppki – uważa się za zły znak robić plany na przyszłość przed zakończeniem kampanii. Na trawersie „Wiosenny ptak”. Rozkaże pan poznać przyczynę manewru?

Werner śpi i widzi, jak wyrównuje rachunki z Szaleńcem, i ma gdzieś, ile okrętów frosherowie posłają na dno. Chociaż nie, nie gdzieś, dla Wenera z Amadeusem im gorzej, tym lepiej.

– Niech pan pozna – machnął śnieżnobiałą rękawiczką Hohwende – Chociaż gdyby było to coś wymagającego mojej obecności, zawrócono by nas.

Stwórco, a jeśli Kaldmeier dogadał się z Valdezem i ten zgodził się odejść, ale żąda wyprowadzenia eskadry z zatoki? W takim przypadku sytuacja jeśli czegoś wymaga, to nieobecności przydupasów Friedricha, a on też dobry, wlaźł, gdzie go nie proszono. Było przecież powiedziane: odwieźć generała Hohwende do jego podwładnych, no to trzeba było wieźć, a nie mielić ozorem.

Koniec wahaniom położyła armata sygnałowa. Na dziobie „Wiosennego ptaka” podniósł się malinowy sygnał – natychmiast podejść do burty. Wygląda na to, że generał faktycznie jest komuś potrzebny.

– Mój generale – krzyknięto z okrętu – lądowania nie będzie. Do zatoki wchodzi frosherowie, czeka nas walka. Kapitan prosi wejść na pokład...

Frosherowie? Skąd?! Valdez jest z tyłu ze wszystkimi okrętami, Almeida częściowo w Felpie, częściowo na Marikjarze, a może nie wszyscy tam są? Ile okrętów mogło wrócić? Pięć, dziesięć? Na pewno nie więcej, ale kupcom wystarczy i tyle.

– Ostrożnie – uprzedzono z „Ptaka” – opuszczamy sztormtrap.

– Nie trzeba – zapiszczał fok Hohwende – Żądam, by doprowadzono mnie do wiceadmirała Bermessera. Muszę omówić z nim obecną sytuację.

I ukryć się jeśli nie w środku linii, to choćby w ogonie świeżo upieczonej awangardy. No i Leworeki z tobą.

– Tak jest, panie generale – wiernopoddańczo warknął Ruppki – ale ja, z kolei, będę musiał wrócić do admirała i zameldować o pańskiej decyzji.

– Naturalnie – poweselały zając miłościwie klepnął lejtnanta po ramieniu. Ruppkiego omal nie zemdlilo.

2

– Qualdeto cera! – Almeida tak błysnął oczami na Alarcona, jakby to Filipp poradził Drikseńczykom zawrócić statki – Oni chowają kupców za swoją linię!

– Bierz ostrzej na północ i dodaj żagli – na kościach policzkowych kapitana „Franciska” zagrały mięśnie – Wiatr za nas, podetniemy im kurs, nigdzie nam z zatoki nie uciekną.

– Nie wypada – admirał już się opanował, tylko nozdrza się rozdymały jak u wrywającego się z uwięzi konia – Kaldmeier to nie owca: zamkniesz – pójdzie taranem, pociągnie za sobą kupców z żołnierzami i zamieni walkę w potyczkę z abordażem.

– No i co? – zdziwił się Filipp – Po co podnosiliśmy „Raios”, jeśli nie do bójki?

– Nie zamieniam albatrosów na „gęsi”, nawet jeden do czterdziestu – ręce w szkarłatnych rękawiczkach ścisnęły lunetę, jakby to była czyjaś szyja – Nie uśmiecha mi się brać na abordaż łajby, nabite żołnierzami, i nie pozwolę im wziąć na abordaż nas.

Chcą walczyć w linii? Bardzo dobrze! Nie będziemy brudzić sobie rąk o najemnych zabójców, pchających się w pozostawiony bez mężczyzn dom. Berto! Przekaż Berlingi: „Dwa rumby w prawo”. Wszystkim: „ Po sygnale – zamknąć kolumnę!”³⁵.

Berto zniknął. Luigi odprowadził spojrzeniem wznoszące się ku obłokom flagi i zdławił westchnienie. Gdyby nie buty, mundur i obawa wyjść na pijaną matwę, Felpijczyk wlaźby do obserwatorów i widziałby przynajmniej sygnały Berlingi.

– Zawrócili – wypalił zadyszany Berto – Wyrównują linię.

O zameldowanie wypełnienia rozkazu tenent się nie zatroszczył. Admirał Cimarosa na widok podobnego lekceważenia wpadłby w furję, ale stary worek, jak i wielu innych, został w poprzednim życiu, które rozleciało się szarym, jesiennym popiołem, a co zostało? Droga znikąd donikąd i umoszczona w sercu strata?

Lodowata fontanna z porażającą dokładnością uderzyła między włosami i kołnierzem koszuli, każąc Luigiemu wzdrygnąć się i pokręcić głową. Zimna strużka niepoetycko pobiegła wzdłuż kręgosłupa, wypychając wzniosłe myśli marzeniami o ręczniku.

– Zaraza – z uczuciem powiedział Felpijczyk. Absolutnie nie zawstydzony wiatr uderzył po wantach jak po strunach, zawadiacko plusnął w rufę, drapnął niczemu niewinną zatokę i pomknął ku brzegowi, wlokąc roztrzepane obłoki.

– Od Berlingi! – wrzasnęło z góry – „Walka cichnie”.

– Ktoś wychodzi z boju – wymamrotał Alarcon, rozluźniając szkarłatną chustkę na szyi – Albo Valdez słabnie, albo „gęsi” straciły łajdakiem zainteresowanie.

– Za to Rotger nie straci zainteresowania – z miną spiskowca syknął Berto – między nimi miłość do grobu.

– Dobrze by było – również szeptem odezwał się Luigi – Jego okręty na pewno nie będą zbędne.

Almeida zmrużył oczy, wpatrując się w łopoczące w srebrnej wysokości flagi. Głucho huczało morze, wilgotno błyszczał gotowy do walki pokład, czekali na swój czas ludzie i armaty. Almeida zwrócił się do Filippa:

– Do całej eskadry – głos admirała był zły i wesoły – skrócić interwały dwa razy!

3

„Noordkrone” zdążyła dotrzeć tylko do środka kolumny, dalej ryzykować było głupio, to rozumiał nawet Zepp. Frosherowie zbliżali się zbyt szybko, a wiatr w ogóle oszalał. Dmący z południa-południowego wschodu, co chwila zaczynał skakać jak oparzony kot. Na razie dawało się opanować te wybryki, ale przecież walka jeszcze się nie rozpoczęła.

– Dość – z wyraźnym rozdrażnieniem kazał admirał – stajemy w szeregu. Do „Świętego Ebercharda” i „Odważnego wojownika”: zrobić miejsce dla flagowca.

Na linealach podniesiono sygnały odpowiedzi, uderzył sygnałowy dzwon, maci rzucili się ku wantom.

– No i proszę – prawie z zadowoleniem powiedział fok Schneietal – Tylko ketzchen nam teraz brakowało.

– Wiedzieliśmy, dokąd idziemy – w głosie Kaldmeiera pobrzmiwała stal – Gotować się do zwrotu!

Lecący od brzegu jeszcze nie szkwał, ale już nie zwykły wiatr, nie dotykając „Noordkrone”, szarpnął żaglami „Ebercharda”, wędrująca fala³⁶ chlusnęła w burzę, rozbiła się fontannami bryzg, okręt szarpnął się z urazą, ale szare figurki na masztach kontynuowały swoją pracę. Lineały posłusznie się rozstały, dając miejsce flagowcowi. „Wojownik” – szybko, na „Eberchardzie” wyszło jakieś potknięcie.

– Do zwrotu! – rozkazał Schneietal, śledząc za ruchami „Ebercharada” – Niezręczny dzik! Szkoty przednich żagli! Ster pod wiatr!

35 Standardowe interwały między okrętami – około 600 beau.

36 Wędrująca fala – fala, pojawiająca się w rezultacie niezwykłej kombinacji wiatru i fal.

„Noordkrone” chętnie zawróciła, pięknie stając w kilwaterze „Wojownika”. Szautbenacht uśmiechnął się z zadowoleniem:

– Niech podchodzą, jesteście gotowi.

– Oni też – samymi ustami uśmiechnął się admirał – Ładnie idą, nie ma się czego przyczepić! Frosherów było widać nawet bez lunety. Obce żagle rozciąły horyzont, ogromne okręty lekko nachylały się pod równym wiatrem, to było piękne. Stwórco, jakież to było piękne!

Lodowaty Olaf oparł lunetę o biodro i zasepił się:

– Dziwne, że idą przeciwnym kursem, i to jeszcze na takiej odległości. Z tysiąca beau nie wycelujesz dobrze. Jeśli tak pójdzie dalej, rozejdziemy się, nawet w siebie nie trafiając. A co potem?

– Zawrócą i pójną w pościg? – zaproponował Schneietal – Gdyby Almeida chciał zagrozić nam wyjście, już by to zrobił.

– Jeśli oni zamierzają wypchnąć nas z zatoki – cicho powiedział Lodowaty Olaf – podziękuję mu i odejdę.

– Wyobrazasz sobie, jaki wizg podniesie Werner? – skrzywił się fok Schneietal – Straciłeś zwycięstwo, uciekłeś z pola walki, podczas gdy on...

– O tak – zaśmiał się admirał – Friedrich dużo by dał za to, żebym ładnie położył swoją nierasową głowę, ale nie dostarczę mu tej radości, zbyt dużo mam za sobą obcych głów. Za to z tych, którzy na wszystkich świętych przysięgali, że Almeida jest na południu, rzeczywiście trzeba by zedrzeć skórę.

– Panie admirale, proszę o pozwolenie zameldowania – starszy oficer pokładowy Gunter Kleinpaul błysnął guzikami munduru – Linia wyrównana. Ojciec Aleksander prosi o pozwolenie wejścia na kasztel.

– Proszę przekazać moją wdzięczność załodze i sąsiadom i powiedzieć ojcu Aleksandrowi, że na niego czekam. A pan niech nałoży płaszcz i nie zdejmuje, dopóki nie zrobi się gorąco. Zwycięstwo warte jest życia i zdrowia, regulamin – nie.

Kleinpaul, stukając obcasami, zbiegł w dół, za prawą burtą morze przeciął pienny pas, pomknął w stronę twierdzy. To jest ketzchen?

– Tylko popatrz na ich interwały – wrócił do przerwanej rozmowy admirał – Ja bym tak nie zaryzykował.

– Tak, ciasno idą – wzruszył ramionami fok Schneietal – Żadnego pożytku przy przeciwnych kursach.

– A mimo to, Adolfie, chciałbym zrozumieć, co sobie umyślił ten południowiec.

– No przecież uznałeś, że odgania nas od Hexbergu. Dla frosherów wojna to teraz niepotrzebny zbytek.

– Dla nas też. Cóż, miejmy nadzieję, że pozwolą nam wymienić ukłony i się rozejść...

– Panie admirale – ojciec Aleksander zmienił odświętne szaty na prostą sutannę, szkarłatny lew trwożnie migotał na szarym suknie – Synu mój, Stwórca w wielkiej sprawiedliwości swojej zsyła nam godną bitwę. Nie ma sławy dla tych, którzy we czworo napadają na jednego. Nas jest mniej, ale okręty nasze są mocne, a serca jeszcze mocniejsze. Bądź błogosławiony w imię Stworzyciela wszystkiego! Żyj i działaj na większą chwałę Jego. Orston!

– Meraton! – skłonił głowę admirał – Proszę, niech pan przejdzie po całym okręcie. Na pokładach działowych jest pan bardziej potrzebny niż tutaj.

– Oczywiście – duchowny wydawał się być zdziwiony – miejsce moje jest z tymi, którzy służą Stwórcy i Driksen.

– To nie frosherowie! – wrzasnął obserwator, w jednej chwili zapominając o regulaminie i subordynacji – Nie frosherowie!

– Co? – spał się admirał, wyszarpując lunetę.

– Nierozpoznane flagi! – nadwierał się obserwator – Oni niosą dwa sztandary, niebiesko-czarny i szkarłatny, cały³⁷!

37 Chodzi o równomiernie ubarwioną płachtę, w odróżnieniu od ogólnie przyjętej tradycji umieszczania w lewym górnym rogu godła państwowego.

Pod całymi flagami chodzą tylko Moriskowie i okręty Jego Świątobliwości, ale shadowie nie mają marynarki wojennej, a Jego Świątobliwość ma szare sztandary i zaledwie szesnaście wimpli...

Admirał opuścił lunetę:

– Jeśli cokolwiek rozumiem, niebieski – to sztandar Kenalloa, a zarazem sztandar Alvy, chociaż teraz bardziej mnie interesują szkarłatne flagi.

Alva?! Zepp omal nie wykrzyknął tego imienia na głos. Jak należy to rozumieć?! O tym, że przeklęty Kruk nareszcie trafił do klatki, była mowa w odczytanym przed wypłynięciem Najjaśniejszym Rozkazie.

Czyżby jego wysokość kłamał? Nie, kesara oszukano, żeby zmusić do wypowiedzenia wojny. Ujęcie Kruka to takie samo łgarstwo, jak cumująca na Marikjarze flota.

Admirał podał lunetę Schneietalowi:

– Niech pan spojrzy, kapitanie, to bardzo pouczający widok. Chciałbym wiedzieć, kto płacił wywiadowcom, którzy widzieli Almeidę na południu.

– Im płacił Diwin – burknął kapitan – Nic nie rozumiem! Co to za szmaty?

– Wątpię, by na Morzu Ostrygowym ktokolwiek je widział – ręka admirała pogładziła pokaleczony policzek – To marikjarskie flagi, chyba oznaczają krwawą waśń.

– Olaf – wymamrotał Schneietal – ja nic nie rozumiem. Czyżbyśmy mieli z nimi jakieś osobiste porachunki?

– Nie wiem, Adolffie – Lodowaty Olaf ze zmęczeniem potarł skroń – Ja chyba nie, ale nie warto zwracać sobie głowy zgadywaniem. Po prostu przyjmijmy do wiadomości, że w niewolę brać nas nie będą. Nic na to nie poradzisz!

Admirał niespiesznie odwrócił się plecami do wrogiej floty.

– Ojczy Aleksandrze, niech pan idzie do ludzi. Teraz pańskie modlitwy są potrzebne jak nigdy. Panie Kleinpaul, proszę wbić eskadrze do głów, że sztandar Alvy – to jeszcze nie sam Alva. Poza tym na okręcie on jest co najwyżej pasażerem, a na ziemię nie zejdziemy. Nasza sprawa jest na morzu, i na morzu mamy coś do powiedzenia. Podnieść sygnały: „Pełna gotowość bojowa. Z pomocą Stwórcy odważnie spełnimy swój obowiązek”.

– Panie admirale – Kleinpaul niezdecydowanie spojrział na admirała – może zebrać panów oficerów?

– Wszystko już powiedziane – uciął Lodowaty Olaf – Przysięgaliśmy nie szcędząc życia służyć Stwórcy i kesarowi i ratować przede wszystkim tych, kto nam zaufał. Groźby Marikjarczyków nic nie zmieniają.

Bardzo powoli Gunter Kleinpaul zasalutował, odwrócił się, doszedł do trapu, zniknął, za nim, tak samo powoli i płynnie, zszedł duchowny, zakołysał się szary strój, na maszt, płynnie falując, niby włosy w wodzie, podniosły się flagi sygnałowe. Gdzieś daleko nisko i przeciągle zawyła trąbka, odpowiedziała jej inna, zagłuszona ciężkim, przerywanym hukiem.

– Alarm bojowy!

Rozwlekłe grzmoty zwały się w uderzenia werbla i krótkie trele trąbek. Wszystko było naprawdę: obojętne morze, zbliżający się wróg, krzątający się na masztach i pokładach ludzie i lejtnant Kanmacher, zamarty na rufie „Noordkrone” o krok od swojego admirała.

– Spokojnie, Josef – znieścacka powiedział admirał – Spokojnie!

– Ja... ja się nie boję – może krzyknął, a może szepnął Zepp – Z nami Stwórca i... pan!

ROZDZIAŁ 7

ZATOKA HEXBERGSKA

399 rok K.S. 15 dzień Jesiennych Błyskawic

– Kapitanie Gildi – niegłośno odezwał się Almeida – proszę się przygotować. Chcę, żeby rozkaz został przekazany dokładnie, a nie mogą polegać na flagach w dymie... A i „gęsi” nie muszą wiedzieć wcześniej, co je czeka. Filipp, niech Berlinga da na prawo jeszcze jeden rumb!

– Zrozumiałem! – krzyknął skądś Alarcon. Kapitan lineału przed walką obchodzi cały okręt od dolnych pokładów po dziobowe armaty, a potem nie opuszcza rufy do końca starcia. Na galerach wszystko jest prościej i szybciej, a tu, zanim się zacznie – posiwiejesz.

Pierwsza poprawiła kurs „Zimowa błyskawica”, dając przykład innym. Srebrne żagle odwróciły się do wiatru, krwawym zawijaszem mignęła bandera, i w tym momencie zaczęła zawracać „Alvasete”. Okręty awangardy jeden za drugim łowiły pienną strunę. „Neumar”, „Pamięć Kadeli”, „Manlius”, „Święta Oktawia”, „Agmaren”, „Wierny przyjaciel”, „Ramiro”... Teraz corps de bataille.

Ostro i czysto uderzył dzwon, szwan podchwycił dźwięk, poniósł do awangardy i dalej, tam, gdzie tańczyły na falach drikseńskie żagle.

Zawracają reje, z niezadowoleniem skrzypią maszty. „Francisk”, zrzucając zbyteczne żagle, stanął w kilwaterze idącego przed nim „Ramiro”, bosmańskie gwizdki milkną – gotowe! Osiodławszy hematytowe fale, flagowiec idzie na spotkanie z wrogiem, jest gotów do boju, ale armaty milczą, jeszcze nie ma do kogo strzelać.

Almeida znów zrobił z siebie statwę, Alarcon jeszcze nie wrócił. Obok gryzie wędzidło Alberto. Almeida był niewiele starszy, kiedy razem z Alwą uprowadził „Cammoristę”. Teraz ogień uszedł pod ziemię, ale jest tym straszniejszy, jeśli się obudzi...

– Ketzchen! – ręka Alberto wskazuje południe – Trzy!

Pasy-strzały pojawiają się znikąd, mkną ku zbliżającym się eskadrom, wzburzając i bez tego niedobre morze. Ten, kto znajdzie się na ich drodze, nie ujdzie cało. Topić dużych okrętów ketzchen nie ma siły, inaczej Hexberg nie zostałaby portem, ale rozerwać żagle, poplątać liny, oblać lodowatą wodą, zbić z kursu – to szkwał może.

Podniesienie, przechył na prawą burzę, opadnięcie, przechył na lewą, i znów podniesienie...

Ariergarda zakończyła zwrot, teraz obie kolumny idą na swoje spotkanie równoległymi kursami.

– Jedna dwudziesta horny – mamrocze Berto.

– Do boju – rzuca Almeida – Otworzyć furty!

Jeśli ketzchen wróca, dolne pokłady zostaną zalane, ale bać się ketzchen – to nie chodzić w Hexberg...

– Furty drugiego pokładu otwarte! – donosi się z pokładów kasztelu.

– Wsuwaj!

Pienna rysa ślizga się między kolumnami, tańcząc fale, wiatr zrywa z nich pienne grzebienie. Nie wyrządzając nikomu szkody, ketzchen odchodzą w głąb zatoki. Niech obejmą Valdeza stroną.

– Furty otwarte – meldują z dolnego pokładu – armaty wysunięte...

2

Kolumny zbliżały się do siebie, ale teraz okręty szły wolno, niemal pełzły. Górne żagle zostały zrefowane, reje unieruchomione łańcuchami. Obsługa artyleryjska skończyła noszenie beczek z prochem i kul i teraz moczyła miotły – do gaszenia iskier i zacierania rozsypanego prochu. Dobrze, że pokład jest nie zwyczajnie mokry, wszystko: drewno, takielunek, ożaglowanie przemokło na wylot.

– Zapalić lonty – rozkazał Schneietal. Kapitan zdążył zmienić chustę na szyi na paradną, śnieżnobiałą.

– Lonty zapalone!

– Awangarda melduje: „Przeciwnik wyszedł na równoległy kurs. Refuje żagle”.

– Dobrze...

Dobrze, że awangardę prowadzi Büntz i dobrze, że dostał awans. Kesar zatwierdzi wniosek Lodowatego, nie może nie zatwierdzić! Zepp znał kapitana „Wiosennego ptaka”, krępego, jasnowłosego, podobnego do kupieckiego szypra. Ruppi mówił, że Büntz dawno już byłby szautbenachtem, gdyby nie wyrażał tak otwarcie swojej nienawiści do księcia Friedricha, szczególnie po wypiciu.

– Armaty górnego pokładu gotowe do walki...

– Drugi pokład. Lejtnant zur see Ailenbach gotowy do otwarcia ognia.

– Lekarska grupa gotowa.

– Trzeci pokład. Lejtnant zur see Gaulmann gotowy do otwarcia ognia...

– Załoga pokładowa gotowa.

Gotowi... gotowi... gotowi... Zeppowi kręciło się w głowie, tonął w meldunkach, raportach, rozkazach, sypiących się ze wszystkich stron na rufę. Ruppi by się domyślił, czego potrzebuje admirał, a Zepp mógł tylko wypełniać rozkazy, ale rozkazów nie było. Lodowaty Olaf po prostu stał plecami do burty, szeroko rozstawiwszy nogi i złączywszy dłonie za plecami. Wszystkim komenderował fok Schneietal, a admirał w milczeniu patrzył ni to na tańczący na maszcie breed-wimpel, ni to na niskie, szare niebo, w którym nie było nawet mew.

– Od Büntza! – wrzaśnięto z marsli – Awangardę prowadzi Berlinga. Buntz jest gotów do otwarcia ognia.

Admirał kiwnął, dając do zrozumienia, że usłyszał. Stał na kołyszącym się pokładzie, wciąż patrząc w górę. Czyżby wszystko było tak źle? Lodowaty Olaf znajdzie wyjście, on je zawsze znajduje! Po plecach przebiegł wstrętny mróz, lepiej, gdyby już strzelali. Słowo honoru, lepiej, gdyby już strzelali! Josef zrozumiał, że jeszcze trochę – i on zrobi coś tchórzliwego i głupiego. On nie może dalej stać z pustymi rękami... Dziadek mówił, że do pustej głowy pchają się różne bzdury, czyli głowę trzeba czymś zająć.

Josef wpatrzył się w ten sam maszt, co i admirał, próbując wyobrazić sobie swoje bojowe stanowisko przy armatach lewej burty: rozsypany po burym poszyciu piasek, w wiadrach drży woda, tłą się lonty, skrzypią bloki, śnią ostatni sen działa. Kanonierzy i maci czekają na rozkaz wysunięcia armat. Kolejny raz sprawdzając, czy wszystko w porządku, przechodzi pierwszy lejtnant. Jest w paradnym mundurze, na szyi ma wyhaftowany przez jedną z córek szal...

– Od Donnera. Ariergarda toczy bitwę, nie ma sposobu oderwania się od przeciwnika.

Olaf Kaldmeier jeszcze raz kiwnął, jakby sam zadał sobie pytanie i sam na nie odpowiedział.

– Do Büntza – głos admirała niemal utonął w narastającym świcie wiatru – Dowódca rozkazuje działać stosownie do okoliczności.

3

Do czołowego drikseńskiego lineału pozostawało pół horny, nie więcej. Rano ten dwupokładowiec szedł ostatni, teraz ariergarda stała się awangardą. Luigi zerknął na Almeidę: almirante stał ramię w ramię z Alarconem. „Francisk” był gotów do walki, na tyle gotów, że jedynym zajęciem stało się oczekiwanie.

– To musi być Büntz – uznał Berto – On u Drikseńczyków to jak Valdez u nas, a jego okręt to „Wiosenny ptak”, na dziobie ma jaskółkę.

– Miło – pochwalił Luigi – ale nie jesienią.

Kto pierwszy przywitał gości, „Błyskawica” czy „Alvasete”, Felpijczyk nie zobaczył, ale przy samym dziobie „Ptaszka”, jeśli to był on, wykwitła krótka szeroka fontanna. Biała kula dymu, rozpluwając się powoli, popłynęła ku Drikseńczykom.

– Zaraz odpowie – młody Salina prawie tańczył – on zawsze się wita.

– Cokolwiek daleko – zwątpił Gildi.

– Ale i tak odpowie. Nawiasem mówiąc, ten ptaszek ma zęby większe niż u wilka, a na głowie wianek.

– A dlaczego by nie? – ku własnemu zdziwieniu roześmiał się Luigi – Jeśli bywają zakochane rekiny, mogą być i kęsające ptaszki.

– Mogą – błysnęły zębami Berto – No, co ja mówiłem?

Burta „Ptaszka” od dziobu po rufę napuchła białawymi kłębuszkami, wiatr odrzucił je w tył razem z dźwiękiem, okręt skrył się w białej pianie. Gdzie się podziały kule, widziały co najwyżej pierwsze okręty Berlingi, który nie czekał z wymianą salwy za salwę. A może to do boju wstąpił „Manlius”?

Lineały wciągały się w strzelaninę jak żmije w norę, wiatr gnał dymną zasłonę na Driksów i dalej. Długa wędrująca fala uniosła „Ptaszka”, jego marsle na mgnienie oka zatrzepotały, dziób zwrócił się w bok, ale szybko wyprostował, za to idący śladem trójpokładowy olbrzym wypadł z linii.

Berto przewiesił się przez burzę.

– Krowa! – przypieczętował – Ech, gdybyśmy byli bliżej...

„Ptaszek”, przykrywając pechowego towarzysza, dał pełną burtę, „Pamięć Kadeli” i „Manlius” odpowiedziały. Teraz kulami wymieniało się około dziesięciu czołowych okrętów, dymne obłoki stawały się coraz gęstsze, z daleka wydawało się, że lineaty lada chwila zejną się burta w burtę.

– Tylko popatrz – gwizdnął Alarcon – Okazuje się, że Werner plątał się w ariergardzie.

– Dokładnie, plątał się – odmłodniały o piętnaście lat almirante podrzucił i złapał pistolet – Kolumnę prowadzi Büntz, a Werner jest tylko obecny. Kaldmeier to Kaldmeier. Inny na jego miejscu pozbyłby się takiego prezenciku za pomocą Rotgera...

– Olaf zbyt poważnie odnosi się ku przysiędze – zmarszczył nos Alarcon – a Werner śpi i widzi, jak dostaje breed-wimpel, ale z takimi admirałami morze stanie się kałużą.

– Rozum podpowiada puścić pana Wenera do kesara – przeciągle powiedział Almeida – a pana Kaldmeiera – do Stwórcy.

Brwi pierwszego admirała Taliga złączyły się w czarną krechę, okaleczona ręka odruchowo spoczęła na rękojęści. Wiatr wiał teraz z południowego zachodu, wyl w takielunku, gnał dym w stronę Driksów.

Okręty Berlingi tchnęły dymem, świst szwanu i morski huk rozplynęły się w ryku dział. Walka była tuż obok, jeszcze kilka minut i „Francisk” dostanie pierwszy cel, stając się z kolei tarczą dla „Ptaszka”. Luigi poszukał wzrokiem osławionego Wenera. Na szóstym od czoła jasnobrązowym trójpokładowcu łopotała flaga wiceadmirała.

– Kapitanie Gildi! – prawy rękaw i policzek Almeidy były mokre – Będzie pan musiał nas opuścić.

– Admirale – spał się Felpijczyk – jesteśmy gotowi.

– Niech pan płynie do Saliny – czerwona czteropalcza dłoń starła z twarzy przezroczyście krople – i przekaże mu, że konwój czeka. Niech przetnie kurs awangardy, postawi czołowe w dwa ognie i spędzi w kupę. Potem może wracać do kupców. Jeśli jakiś „gąsior” zechce wrócić do chlewu, nie przeszkadzać.

– Dobrze zrozumiałem? – na wszelki wypadek upewnił się Gildi – Jeśli Driksowie postanowią uciec...

– Nie Driksowie – sprecyzował Alarcon – a Werner Bermesser. On marzy o szarfie admirała, a nie o Ogrodach Świtu, inni będą bronić konwoju do końca.

– Żywy Bermesser pożyteczniejszy jest od martwego – uśmiechnął się Almeida – szczególnie jednak, jeśli zastąpi Kaldmeiera. Niech spada...

ROZDZIAŁ 8

ZATOKA HEXBERGSKA

399 rok K.S. 15 dzień Jesiennych Błyskawic

1

Świsnęło i równocześnie z góry spadła zdychająca zmija, chlasnęła po deskach, spelzła za burtę. Nad głową coś załopotowało. Zepp spojrział w górę – tuż nad nim wił się jakiś strzep.

– Bosmanie – rozkazał fok Schneietal przez tubę – Zmienić fał.

Biała chustka w rękach admirała miotnęła się przerażonym gołębiem, głośno i rozkazująco krzyknęła trąbka. Flagowiec zadrżał i ryknął, pokłady kasztelu, maszty, przeciwnik, wszechświat zniknęły w kwaśno pachnącym dymie.

– Doskonale! – krzyknął przez swoją tubę fok Schneietal – Zuchy!

Z prawej i z tyłu warknęło, śmierć przeleciała nad głową, nikogo nie zahaczywszy, tylko za rufą podskoczyła w niebo biała fontanna. W rzędniejszym dymie zakrzętały się obsługi dział, z przodu w białych kłębach rysowały się ostro podniesiony bukszpryt i widmowe żagle. Wiatr rzucił w twarz obcy dym, pod nogami zagrzechotało – artylerzyści ustawiali armaty.

Frosher znów tchnął dymem, rozległo się i ucichło znajome już wycie, na siatkę spadło z dziesięć obłamków, biegnący po kasztelu mat zatrzymał się i potrząsnął głową. Szare ubranie szybko pęczniało szkarłatem. Bosman złapał rannego za ramię, gdzieś powłókł.

Znów mignęła biała chustka, „Noordkrone” dała pełną burtę w przepelzającego obok wroga.

– Ładuj! – wrzaśnieło na dziobie. On też mógłby stać przy armatach, poganiać kanonierów, czekać na rozkaz. Mógłby, ale wtedy z Lodowatym Olafem stałby Ruppi... Stwórco, gdzie on jest?! Przyjaciela wysłano do ariergardy, jak się okazało, na spotkanie nieszczęścia. Żeby tylko Büntz zdążył ich zawrócić!

Nad głową trzasnęła i zatrzepotała grot, oszalały wiatr uderzył w prawą burzę, „Noordkrone” przechyliła się, dziób zdradziecko zawrócił, rozrywając linię.

– Wiatr nasila się i zachodzi! – krzyknął Schneietal. Ketzchen!

– Widzę.

Świst bosmańskiego gwizdka zlał się z wizgiem wczepionej w okręt ketzchen. To nie był pierwszy szkwał w życiu Zeppa, ale po raz pierwszy spotykał go na rufie. Coś krzyknął Schneietal, głos kapitana utonął w szumie i trasku. Ogromny lineał zarzucił rufą, niby brykający koń, Josefa rzuciło do przodu; żeby utrzymać się na nogach, lejtant, wyciągnawszy ręce, pobiegł po mokrych, śliskich deskach. „Noordkrone” zachwiała się i przechyliła, Josefa zarzuciło w bok i cisnęło prosto na pierś admirała.

Lodowaty zachwiał się, ale utrzymał na nogach, podtrzymując przy tym opierającego się o niego lejtanta. Na rufę naskoczyła wędrująca fala, rozleciała się w bryzgi, opryskała lodowatym deszczem.

– Spokojnie – polecił Kaldmeier, odsuwając od siebie Zeppa – to tylko ketzchen.

2

Po „Francisku” Rekin” wydawał się maleńki i kruchy, fale, z pokładu lineалу nie tak wysokie, zamieniły się w obsydianowe wzgórza. Galera to wznosiła się, to staczała po czarnym skłonie. Gildi spojrzął za burzę: lodowata woda była tam, gdzie miała być, to on zbyt długo patrzył z cudzej rufy.

Dziób „Rekina” wspiął się na kolejną falę, zamarł na mgnienie oka i runął w dół. Luigi poprawił kapelusz i znów podniósł lunetę. W przedzie widać było zamykające okręty corps de bataille. Berto na pewno nazwałby je po imionach, ale Luigi był w Sternsteinen tylko gościem.

Felpijczyk odprowadził wzrokiem kolejny lineał. Na rufowej tarczy splatały dłonie skrzydlate istoty, bosa noga dotykała ni to grzbietów fal, ni to języków płomienia. Okręt tańczył z morzem i wiatrem i razem z nim niosły się w misternym pląsie półludzie-półptaki...

– Na dziobie – „Marikjara”! – krzyknął Varotti, dla większej pewności pokazując palcem breed-wimpel.

– Podnieść sygnał – rozkazał Luigi – „Rozkaz dowódcy”.

– Szalupe? – przechylił się Ugo.

Luigi spojrzął na wodne garby i pokręcił głową:

– Zejdziemy się burta w burzę.

„Marikjara” już gotowała się do przyjęcia gości, na salingach trzepotało: „Widzę dobrze”, „Podejdz z zawietrznej”.

Lineał ze skrzydlatymi istotami już przepłynął, ustępując miejsce zamykającemu corps de bataille „Alonso”. Teraz trzeba przeciąć linię za rufą „Marikjary” i znaleźć się z jej zawietrznej. Na początek skalkulujmy, ile przejdzie flagowiec ariergardy, zanim „Rekin” zawróci... Wiatr już nie szaleje, dobre i to.

– Ster na prawo. Teraz ster prosto! Tak... A teraz naprzód.

Wioślarze napaarli na wiosła, galera skoczyła między lineały.

– Jeszcze raz na prawo ster! Ster prosto! Podchodzimy!

Z „Marikjary” już spuścili pomost, to było o wiele lepsze od sztormtrapu. Luigi rzucił Mario szpadę i kapelusz, przymierzył się, skoczył i na górze napaarli na bloki.

Nad burzą zawisła uśmiechnięta fizjonomia. Luigi nie wytrzymał, uśmiechnął się w odpowiedzi i zręcznie zeskoczył na pokład.

– Tenent Ramirez – przedstawił się gospodarz – „Marikjara” wita gościa.

– Kapitan Gildi. Z rozkazem almirante.

– Zaprowadzą pana.

„Almirante”, „ketzchen”, „qualdeto cera”... W jakim języku zaczniesz mówić pod koniec wojny? Jeśli dożyje, naturalnie.

Pokład był szkarłatny. Szkarłat i złoto – kolory Marikjaryczyków i Morisków, chociaż chyba

shadowie zamienili złoto na stal.

– Rej Salina czeka!

Zgrabna figura w niebieskim i czarnym przy burcie. Długie, związane włosy. Nie może być, skąd?!

– Słucham, kapitanie – Julio Salina strąca z płaszczu pienne bryzgi. On nie jest podobny do Kruka, zupełnie nie jest podobny! – Co z panem?

– Przepraszam, przyzwyczałem się do pańskiego widoku w mundurze.

– Jestem krewnym soberano – Jeśli Almeida jest skrywającą ogień górą, to Salina – gotową uderzyć błyskawicą – Co mam zrobić?

– Przeciąć im szlak przed dziobem, postawić czołowe w dwa ognie i zbić razem. Potem zająć się konwojem. Jeśli Ber... Werner zechce uciec, wypuścić.

– On zechce – zmrużył oczy Julio Salina. Teraz przypominał Roke i z bliska – I ucieknie. Niech pan zostaje z nami, kapitanie. Ręczę, że się panu spodoba.

– Nie mogę porzucić „Rekina” – Marikjarczycy mają swoje długi, on – swoje – Moi ludzie chcą się bić, więc będziemy się bić.

– Lineały to nie na wasze zęby – w oczach wiceadmirała była ta sama zła wesołość, co w oczach Berto – ale wśród kupieckich łajb na pewno znajdzie się coś do zjedzenia. Postarajcie się nie trafić pod zbłąkaną kulę i nie stawajcie na drodze ketzchen. Powodzenia! Enombredastrape!

3

Ketzchen schowała pazury w tej samej chwili, kiedy „Noordkrone” ostro zbrasowała reje. Szkwiał poniósł się w stronę ujścia, ściągając się w siwą, szybką linię. Poprzez skrzyp drewna, łopot żagli i ryk wiatru przebiły się ludzkie głosy, skulony horyzont odsunął się i Zepp znów zobaczył bury zarys brzegu. Kolejna wędrująca fala rozbiła się o rufę, pomknęła za ketzchen, która ją zrodziła, „Noordkrone” przechyliła się i natychmiast wyprostowała. Nad głową z wyciem przeleciały kule, wbiły się w i tak już kipiące morze. Frosherowie, o których Zepp prawie zapomniał w czasie szkwiału, opamiętali się pierwsi.

– Wszystkim! – krzyknął w tubę admirał – Przekazać wszystkim. Wyrównać linię. Kontynuować ogień!

Zepp obrócił się. Im i „Wojownikowi” udało się utrzymać, ale „Eberchara” potężnie zniosło na północ, a „Gerhard Sławny” odwrotnie, wyskoczył prawie na frosherskie armaty.

– „Zejście po wietrze. Zwrot wszyscy naraz” – półgłosem przeczytał fok Schneietal obce sygnały – „Zejście po wietrze i zwrot wszyscy naraz”...

– Dokładnie – kiwnął głową Kaldmeier – Ja bym na jego miejscu zrobił to samo. Ognia! Pełną burtą, dopóki zawracają!

Linii z pięćdziesięciu okrętów nie wyrówna się szybko, ale Almeida jest na wietrze, jemu łatwiej, jego zadanie – zawrócić, resztę zrobi szwan... Dym pozwalał dojrzeć tylko ośmiu frosherów, wszyscy oni zawracali w lewo, ale wydawało się, że zawraca tylko jeden, a pozostali to nie więcej niż jego odbicia w mętym lustrzanym korytarzu.

– Wie pan, że najlepszy dystans dla liniowej walki – to wystrzał z pistoletu? – Kaldmeier patrzył na Josefa – Wie pan czy nie?

– Tak jest – wypalił Zepp wykutą mądrość – wystrzał z pistoletu – idealna odległość dla salwy burtowej.

– Ale nie teraz i nie dla nas – admirał przetarł okular połą płaszcz – Kiedy zostanie pan kapitanem, niech pan często wspomina, że prawda nie zawsze jest skuteczna.

Obce lineały zbliżały się, kontynuując zwrot. Jeszcze kilka minut i staną dziobem, trafią pod podłużny ogień, drugiej takiej okazji nie będzie. Ukoronowany czarny rycerz wyniośle spojrzął Zeppowi w twarz, za jego plecami wznosiły się maszty – czas! Dlaczego „Noordkrone” milczy? Czyżby jeszcze nie załadowali?! Leworeki, ile można się spóźnić!

– Pełna burtowa!

Poleciały obłamki, nad głową czarnego króla zatrzepotał się rozerwany żagiel, zakołysali się i posypali z masztów szare ludziki.

– Wszystkie kule trafiły! – wrzaństwo z marsów – Wszystkie!

Ale zwrot trwał, ręka frosherskiego króla sięgała ku gardłu zatoki, on już nie patrzył na

Zeppa. Niedługo oni znów staną burtą, tylko bliżej, o wiele bliżej...

– Szybciej ładować... Szybciej, a niech was stwory zmierzchu!

Obsługa dział wciągała armaty, ładowała, otwierała furty, podnosiła zapłony. Ile im to zajmuje, sześć minut czy sześć miesięcy?! No nareszcie! „Noordkrone” zatrzęsło od własnych wystrzałów.

– Be...er... ..dzie ...noc! – krzyknięto z marsów przez przycichający wiatr i huk dział – erał... ..wende! ...czął ...łać!

– Bydlaki! – warknął fok Schneietal, który usłyszał zdecydowanie więcej od Josefa – Co za bydlaki!

– Zapomnij – machnął ręką admirał, wpatrując się w otulonych dymem frosherów – bez nich łatwiej.

– Tutaj owszem – z jakąś apatią odezwał się kapitan – ale rację ma ten, kto pierwszy wróci do Einrechta.

– Zgadzam się złożyć szpadę – uśmiechnął się Lodowaty Olaf – razem z głową. Ale na razie nie jest aż tak źle, może zachowamy i głowy, i szpady.

Znów uderzyły armaty i Zepp z trudem utrzymał się na nogach. Miotali się donoszący beczułki z prochem, tu i tam pojawiała się łysa głowa okrętowego lekarza. Na szczęście na razie miał niewiele do roboty.

– ... myślisz? – w świcie wiatru, będącym niemal ciszą, przebił się głos szautbenachta – Ale dlaczego by nie...

– Nie podnieść żagli? – uśmiechnął się Lodowaty Olaf – Tak, możemy wyjść z walki i dogonić Wenera. Jeśli rzucimy konwój na pożarcie. Masz pojęcie, ilu z nich ocaleje? Nie, Adolfie, nie zgodzę się na coś takiego. Nie mogę się zgodzić. To ja ich tu przyprowadziłem i oni zaczną umierać dopiero po mnie.

– Jak chcesz – machnął ręką Schneietal – ale będzie mi przykro, jeśli my zdechniemy, a Bermesser i Hohwende – nie!

– Na wszystko wola Stwórcy – admirał obrócił się gwałtownie – A pan jest dobrym słuchaczem, lejtncanie.

– Przepraszam – co się z nim dzisiaj dzieje? Pożytku żadnego, przewrócił się prosto na admirała, i jeszcze podsłuchuje. Co pomyśli Lodowaty, co powiedzą Ailenbach i Ruppi? – Ja... Ja nie chciałem!

– Gdybym ci nie ufał, milczałbym.

Wiatr odpędził dym, jakby po to, by lepiej było widać gotowego do salwy froshera. Zepp zdążył zobaczyć na cudzej rufie potężną figurę w szkarłacie, stojący obok ledwie sięgali jej do ramion. Na olbrzymie nie było ani zbroi, ani choćby płaszcza.

Lodowaty wyjął szpadę, salutując przeciwnikowi, i Zepp wszystko zrozumiał, ale na wszelki wypadek spojrzął na maszty. Wiatr wściekle szarpał breed-wimpel: Ramon Almeida wybrał na swojego przeciwnika Olafa Kaldmeiera i był sam, chociaż na „Eberchara” i „Odważnego” napadły od razu po dwa.

– To naprawdę zemsta krwi, Adolfie – admirał uśmiechnął się wymuszenie – Przekazać na wszystkie okręty: dowódca życzy sobie widzieć zgodne salwy, a nie brak koordynacji.

Nowa fala dymu skryła wrogi flagowiec i natychmiast zakrzyczała, rozłamując się na pół, grotreja, obłamki zakołysały się na resztkach takielunku. Jeśli spadną na pokład...

Lodowaty Olaf podniósł głowę, patrząc na wiszące nieszczęście, frosher nadal strzelał bateriami, ale admirał patrzył tylko na złowróżbne obłamki, a Zepp – na admirała, kalkulując, jak zrećźnie zbić go z nóg, jeśli nie wytrzymają liny.

Głucho czekały armaty, świszcząły pociski, swoje i obce, coś pękało, trzeszczało, łopotowało, spadało, dym gryzł w oczy, rozpadające się drzazgi próbowały wbić się w twarz, szyję, ręce.

– W prawo ster! – Lodowaty rozkazywał niby na ćwiczeniach, tylko tym razem należało utrzyć nosa nie sąsiednim okrętom, a śmierci – Dwa rumby!

Sternicy naparli z całych sił, dziób „Noordkrone” poszedł w bok, żagle załopotwały, zmniejszając napięcie na takielunku. Maci już wdrapali się na pechowy maszt. Może uda im się umocować obłamki, a jeśli nie?

– Nie przerywać ognia – odwrócił się od okaleczonego masztu admirał – pełną burtą!

ROZDZIAŁ 9 HEXBERG

399 rok K.S. 15 dzień Jesiennych Błyskawic

1

Reje „Marikjary” odwróciły się, łowiąc równy, silny wiatr. Okręty ariergardy jeden za drugim wyraźnie i pięknie stawały na nowym kursie, odcinając przeciwnika od morza i grożąc odciąć go od kupców. Czołowy Drikseńczyków zrozumiał niebezpieczeństwo, huknęły armaty, ołowiana woda obrosła srebrnymi krzakami, ale „Marikjara” nadal szła na przecięcie obcej linii.

– No, teraz im zada bobu! – Varotti zacisnął pięści i tupnął nogą.

– On zada – zaczął swoje Mario Nicci, który zdążył już założyć „szczęśliwy” napierśnik – a my kiedy weźmiemy się do roboty?

– Weźmiemy się! – pocieszył żołnierza wierny Ugo – Zaraz się weźmiemy! Prawda, kapitanie?

Okręty głównych sił nadal niespiesznie i nieuchronnie szły sobie na spotkanie; głucho warczały armaty, kłęby dymu zawisały u burt, rozstępowały się, płynęły do brzegu, zakrywając miotających się kupców. Lineały występowały z prochowego тумana, żeby znów w nim utonąć. Wydawało się, że zawsze tak było i zawsze tak będzie; potem na masztach najbliższej brzegowi fregaty, powtarzając rozkaz dowódcy, załopotwały sygnałowe flagi.

Nie minęło kilka minut, a corps de bataille zaczęło powoli zawracać z wiatrem w stronę wrogiej linii. Lineały Almeidy jeden za drugim milkły, za to Drikseńczycy, chwytając okazję, bili wszystkimi kalibrami. Marikjarczycy zawracali niewiarygodnie szybko i niemożliwie powoli.

– Szybciej – stukał pięściami Ugo – no szybciej! Skacowane kraby!

Luigi ze złością spojrzał na niecierpliwącego się tenenta, ale się opanował. Czas ciągnął się jak stygnąca smoła, ale linia pewnie nabierała poprzedniej wyrazistości. Nikt nie splątał się olinowaniem, nie wypadł z szeregu, a przecież lineały szły o wiele ciałniej niż zwykle.

Alberto nie przesadzał, on chyba nawet pomniejszył wyszkolenie swoich Marikjarczyków, a może to Luigi z nawyku dzielił marynarskie opowieści na cztery? Niepotrzebnie. Almeida, grając z wiatrem w podbijanego, nie tylko zawrócił, ale jeszcze skrócił odstęp pomiędzy liniami niemal dwukrotnie. Widok prawie idealnego manewru pod ogniem przeciwnika oczarowywało. Z daleka, naturalnie.

– Powodzenia! – Lenuzza złożył na szczęście cztery palce – Będziemy mieli niezły widok.

– Z yzargami było nie gorzej! – obraził się Ugo i uczciwie dodał: – Ale i lineały też niczego sobie!

– Można tak powiedzieć – uśmiechnął się starszy oficer – szczególnie w doświadczonych rękach. Muszę przyznać, sądziłem, że młody Salina przesadza w opisie umiejętności swoich rodaków.

– Ja też – z roztargnieniem potwierdził Gildi, obserwując bitwę. Teraz „Alonso” szedł na równi z „Ptaszkiem”, a z przodu czaili się na niego zamykający Saliny. Almeida wszystko wyliczył prawidłowo.

– Wiedźma! – wrzasnął Varotti, wskazując palcem w przerwę między lineałami – Wraca...

Pienna droga wśród przydymionych fal, srebro na dymnym kwarcu, dym niewidocznego ognia... Zderzają się, zakręcają zmacone fale, zwijają się w siwą włócznię, ciśniętą niewidzialną ręką, ketzchen kuli się, jak przed skokiem, i zawraca. Ku Drikseńczykom! Przecina idealny szereg nie gorzej od lineału. Czołowy okręt traci równowagę, inny gubi miejsce w kolumnie. Trójpokładowy olbrzym przechyla się na bok, idący jego śladem śpiesznie refuje żagle, ale ketzchen nie jest on potrzebny. Wietrzna łapa mimochodem bije po takielunku i bokiem, jak rozwścieczony kot, skacze dalej, ku zbitym w masę kupcom.

– Brawo! – nie wytrzymuje Luigi – Brawo, ketzchen!

Drikseńczycy gorączkowo wyrównują szereg, szare figurki miotają się po wantach, na czołowym okręcie chyba pękł żagiel. Pech...

– U, wiedźmy – oblizuje usta Varotti. Język byłego bosmana nie potrafi wymówić słowa „ketzchen”.

– Te damy nie należą do tych, z którymi chciałoby się poznać bliżej – mamrocze Lenuzza w

ślad uciekającemu szkwałowi – Jakby co, to jestem na pokładzie wioślarzy, a potem na dziobie.

– Dobrze – srebro znów zastąpione ołowiem, niezrozumiała radość ulatuje w ślad za ketzchen, ukrywa się w zasłaniającym zatokę dymie. Zniknęły nie tylko brzegi, ale i pełznące ku wyjściu z zatoki kolumny. „Marikjara” już się rozplynęła w białawej mgłę, skrywając się za szeregiem Drikseńczyków. Można było dojrzeć co najwyżej „Ptaszka”, szepionego z ostatnimi okrętami Saliny. Ci natychmiast przywitani przeciwnika ciągłym ogniem i z drugiej strony szeregu huknęły salwy. Marikjarczycy wzięli wroga w dwa ognie!

– Nie chciałbym teraz znaleźć się na miejscu Drikseńczyków – oznajmił Gildi morzu, wiatrowi i Varotti z Nicci – za żadne pieniądze.

– No pewnie – zarechotał Ugo – po co pieniądze na dzień? Krabom cacka kupować? Tylko, kapitanie, co z nami? Ludzie wojują, a my dalej będziemy gały wytrzeszczać? Ściemnieje...

– Mamy trzy godziny – odpowiedział Nicci, wybijając palcami takt na napierśniku – ale nie zaszkodzi się rozruszać.

– Z lineałami? – zapytał wprost wracający Lenuzza. Varotti i Nicci zgodnie wzruszyli ramionami, starszy oficer wziął lunetę – Co tam u was?

– Marikjarczycy biją – odpowiedział Luigi – Drikseńczycy się odbijają i to, powiedziałbym, nieźle.

Büntz, jeśli Felpijczyk dobrze zapamiętał cudze nazwisko, rzeczywiście nie tracił głowy, nie bacząc na trudną sytuację. Odstrzeliwując się obiema burtami, umiejętnie lawirował, wyszukując przejście w pływającej, plującej żelazem ścianie. Gdyby Drikseńczycy postawili więcej żagli i wzięli kurs na północ, wyrwaliby się, ale „Ptaszek” myślał nie o swoich piórkach, a o zbitych w grupkę kupcach.

Kłębek z dymu i okrętów toczył się po ołowianym półmisku, plując kulami i odłamkami. Idący za „Ptaszkiem” lineał źle wyliczył szybkość i wpadł w kipiący wystrzałami tuman. Maci rzucili się do refowania żagli, zamykający Saliny, chyba był nim „Soberano”, walnął ciągłym. Jeden z masztów zachwiał się i w całości, z żaglami i rejami, zniknął w dymnym obłoku, a z tyłu napierały wściekle strzelające kolumny.

– Szybko oni tam? – stęknął Varotti – Bo my tu stęchniemy...

– Proponuje pan połaskotać? – zmrużył oczy starszy oficer – Czemu nie?

– Głodni stąd nie odejdziemy, nie bójcie się – na wszelki wypadek wmieszał się Gildi – Zaraz!

Za zmieszanego szeregu pokazał się jasnobrażowy trójpokładowy piękniś i ukradkiem ruszył w stronę kupców, omijając walczącą na dwa fronty awangardę szerokim łukiem. Jeden łajdak w drikseńskiej eskadrze jednak się znalazł.

– A to kto? – niemal z czułością wytchnął Ugo, przewieszając się przez fałszburtę – Ładny, bydlak!

– Jedna taka kanalia – z jakiegoś powodu Luigi rozpaczliwie zapragnął, by tchórz nie dotarł do Einrehtu. To niesprawiedliwe, kiedy niegodziwcy wyżywają, a potem plują na mogiły tych, którzy przykryli im plecy.

– Co za kanalia? – rzeczowo zainteresował się Mario Nicci, nie mający żadnych skłonności do filozoficznych uogólnień.

– Gęsia kanalia – Luigi zmarszczył brwi, próbując wspomnieć imię drikseńskiego intryganta, ale w głowie kręciło się tylko sakramentalne „Be-me” – Admirał. Almeida kazał go wypuścić, jeśli spróbuje uciekać.

– Zdarzają się tacy – zgodził się Lenuzza – z nimi żadnych wrogów nie trzeba, sami wszystko zatopia. Cimarosa tylko to potwierdza.

– Dokładnie – zaciągnął swoją piosnkę Ugo – a kto go nam na szyję posadził? Duxowie! No to mówię...

Varotti perorował, Nicci skamlał, a wiatr niósł prochowy dym na Drikseńczyków. Salwy stawały się coraz bardziej złe. Büntz zręcznie kręcił się w dymie, nie zapominając się odgryzać i nie tracąc nadziei na przerwanie blokady. Prawie mu się udało, ale nagle bielejący nawet przez dym fok na oczach pokrył się pęknięciami i zniknął. „Ptaszek” potknął się, niby koń, który trafił nogą w króliczą jamę, na tracący równowagę okręt posypały się nowe kule.

Gildi śledził narastającą strzelaninę i jednym uchem słuchał byłego bosmana, wspominając to sztylet w ścianie kajuty, to gitarowe bicie, to niebieskie i szkarłatne flagi. „Enombredastrape”...

Skąd przyszło to słowo? Co znaczyło wcześniej, co znaczy dla Marikjarczyków teraz?

– Rangoni! – krzyknął Nicci wprost do ucha zamyślnego Luigiego – Z prawej!

„Czarny kruk” wyskoczył zza linii jak pajęczak z nory. Wyraźnie zamierzał śmignąć przed nosem szepionych okrętów. Na dziobie rozwiewał się kenallijski sztandar. Kruk na „Kruku”...

– Zuch! – ryk Varotti na pewno słyszeli jeśli nie kupcy, to Salina – Kapitanie, co to ma być? Rangoni się bije, a my co, u duxa prosiaka zjedliśmy?!

– Rzeczywiście, Luigi – Mario bił kopytem nie gorzej od Ugo – chodźmy z nim. Dwie galery – to już eskadra!

Z nim? A czemu by nie! Rzeczywiście, ile można patrzeć, jak umierają inni? Przyszedłeś na wojnę, kapitanie Gildi? Przysięgałeś wierność człowiekowi, który o to nie prosił i który tego nie chciał, no to racz płacić rachunki. Luigi Gildi odwrócił się od bitwy gigantów, w której nie było dla niego miejsca, i krzyknął:

– Do boju! Naprzód, bo jeszcze przyjdzie Rangoni doganiać!

Rozkaz utonął w zwycięskim świście bosmańskich gwizdków, ryku Varotti, zadowolonym śmiechu wioślarzy. Oczekiwanie dobiegło końca, „Zakochany rekin” szedł w bój.

2

Dymny obłok otoczył „Noordkrone”, już nie pachniał. Frosherowie przeładowywali armaty, nad głową klekotała okaleczona reja.

– Wszystko zależy od naszej stanowczości – admirał na mgnienie oka oderwał się od lunety – Adolfie, przejdź się po pokładach. Ludzie muszą zrozumieć: trzeba wytrzymać do zapadnięcia zmierzchu, dać odejść kupcom, a dalej będzie, co ma być. Najważniejsze – wytrzymać teraz!

Kula uderzyła w działo, kula przebiła fałszburkę, kula musnęła bezanmaszt, kula rozrzuciła beczułki z prochem u lewej burty, ale górnemu pokładowi dostawało się mniej niż innym. Almeida raz za razem bił w kadłub, w ambrazury drugiego i trzeciego pokładu.

– Obejdę okręt – kapitan poprawił chustkę na szyi, przytrzymując szpadę, poszedł po kołyszącym się pokładzie jak po stołecznym placu. Teraz zejdzie do Ailenbacha, a może najpierw na sam dół? Trzeba pójść z nim i zostać tam, gdzie brakuje ludzi. Artyleryjscy oficerowie są potrzebni, a adiutant admirałowi – nie. Może Lodowaty Olaf po prostu zapomniał, kogo wziął? Nie widzi Ruppi, no to robi wszystko sam?

– Josef – poprosił admirał – znajdź mi wodę, jakąkolwiek...

Zepp pognął z całych sił, zanim zrozumiał, że biegnie nie tam, gdzie trzeba. Wątpliwe, by bufetowy Gustaw pilnował swoich garnków. Młodzieniec zawrócił i przeskakując przez obłamki, rzucił się do pokładowej beczki. Co dziwne, ona ocalała, wraz z przykutym do niej miedzianym kubkiem. Josef rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś naczynia. Ileż to razy zamierzał zamówić sobie imienną manierkę, taką jak u Ruppi, ale pieniądze rozchodziły się to na książki, to na ślubny prezent dla siostry.

Znajomy warkot przeszedł w świst, dwóch niosących zapasowy żagiel matów padło u przebitej fałszburty, jeden został zabity na miejscu, drugi wił się w konwulsjach: kula, która przyniosła śmierć, wbiła się w lawetę armaty. Skądś wybiegł ojciec Aleksander, rzucił się ku rannemu. Szara sutanna była we krwi, we krwi było wszystko: żagiel, pokład, zasypane drzazgami obłamki.

Pokład przechylił się, czarna żelazna kula potoczyła się w dół, natknęła na nieruchomą nogę, zmieniła kierunek, pospieszyła ku maszтови. Coś matowo błysnęło. Kask oficera. Nadaje się! Zepp złapał zdobycz, była cała i nawet nie zakrwawiona, teraz zaczerpnąć wody i nie rozlać, choćby dookoła waliły się maszty i cały świat razem z nimi. Woda drżała, próbując wychlusnąć, z boku coś trzasnęło. Sieć – nie wytrzymała ciężaru spadających na nią obłamków i rozerwała się... Josef niósł tę wodę dzień, rok, wieczność, niósł, a dookoła warczało, wyło, owiewało to chłodem, to żarem. Gdzie by nie był Ruppi, jemu lżej, jeśli tylko żyje.

– Dziękuję – powiedział admirał – Nie domyśliłem się, by dać ci manierkę...

Podbiegł starszy oficer, ręka na temblaku, szpada gdzieś się podziała. Coś melduje Lodowatemu, coś niedobrego. Fok Schneietala na rufie nie ma, gdzie on jest?!

– Refować żagle! – kask z wodą znów jest w rękach Zeppa. Admirał zdążył się napić czy woda się rozlała? Poryw wiatru niemal zbija z nóg... Ketzchen, znów! No ileż można?!

Szkwał zrywa dym niby starą zasłonę, przez dziurę w obłokach biją słoneczne promienie, białe i ostre jak drzazgi drewna. Na „Świętym Eberchardzie” jak brudne prześcieradło trzepocze fokszaksel. Pękł fok szot? Jeszcze tego brakowało!

Nowy poryw, jeśli to można nazwać porywem: wiatr za każdym razem się nasila i ani myśli osłabnąć; niewysokie, na razie niewysokie, fale biegną we wszystkie strony, zderzają się, rozsypują srebrną pianą. Fale i wicher, fale i słońce, fale i wicher, i śmierć...

Czarny wodny koń staje dęba, bije w burtę piennymi kopytami, drugi wygina szyję, skacze na pokład, „Noordkrone” przechyla się, przez wycie wiatru słychać szum wodospadu, sternicy zawisają na kole, nie pozwalając przewalić się pod wiatr. Z wysiłkiem skrzypią armatnie bloki, nie sposób utrzymać się na oszalałym pokładzie, ręce same łapią się za jakieś liny, pokład ucieka spod nóg.

– „Ebbi” odstaje! – krzyczy z rufy oficer. Ketzchen rzuca w twarz prochową spalenizną i odfruwa, wlokąc za sobą śmierć i słońce.

– Dwa rumby w lewo – chrypi w tubę fok Schneietal; kiedy on wrócił? – Żywo!

Nowa salwa, frosherowie nie tracą czasu. Czyżby ketzchen ich ominęła? Lecą drzazgi, siatka pęka, spada na pokład, wprost na armaty, z luków wyskakują tragarze z prochem. Oficera nie widać, Zepp rzuca się ku armacie, zza lawety, chwając się, wstaje pokładowy lejtnant, jego prawy policzek to jeden wielki siniak.

– Wszystko w posądku – lejtnant wypluwa za burtę krew i zęby – my walczymy, a „Ebbi” chyba jus nie...

3

Przeznaczona dla linealu kula ze świstem przeleciała nad rufą niedosłej ofiary, uderzyła w ciemną falę, zrykoszetowała i nareszcie poszła na dno, nie dolatując do samotnego welbota.

– Panie lejtnancie – wiosłarz z zajęczą wargą podniósł głowę – każecie do burty wiosłować?

– Poprzedni kurs – nie cierpiącym sprzeciwu tonem oznajmił Ruppi, odprowadzając spojrzaniem jeszcze dwie wyjące śmierci – na „Noordkrone”.

Wiosłarze bez zbędnych słów naparli na wiosła, zabierając dalej od tonącej w prochowym dymie linii.

To był upór. Rodowy upór Felsenburgów, który każde poprzedzające pokolenie próbowało wykarczować w następnym, ale w razie powodzenia skończyłoby samobójstwem. Bo uległy Felsenburg jest gorszy od dojnego wilka, gdyby takie istniały.

Ruppi siedział prawie równo ze wzburzoną wodą, ściskając zdobytą u Wenera lunetę. Pan wiceadmirał fok Bermesser i pan generał fok Hohwende bohatercko opuścili pole walki i, co najsmutniejsze, nikt ich nie utopił. Frosherów nie interesował uciekający lineal, choćby i admirałski...

– Panie lejtnancie – błysnął zielonym okiem Rudy Zuss – niesłusznie pan z nimi nie uciekł. Oni tyle napłotą, i o frosherach, i o Lodowa... Proszę o wybaczenie, o panu admirałce.

– Napłotą – skinął głową Ruppi – a my rozpleciemy. Wrócimy i rozpleciemy.

Jedyne oko mrugnęło i zgasło. Zuss stracił oko, kiedy grający w taligojskich piratów Bermesser narwał się na Valdeza. Wtedy Rudy znienawidził, ale nie Valdeza, tylko bałwana, który zaprowadził ich w pułapkę. Jak jednooki bosman znalazł się na „Noordkrone”, Ruppi nie wiedział, pewnie wziął go Schneietal. Adolf dobierał załogę według jemu tylko znanych zasad i załoga ta była gotowa zdechnąć za swojego kapitana i admirała. Rupert fok Felsenburg nie był wyjątkiem.

– Do przodu... szerzej wiosłuj... do przodu...

Na czarnej, dyszącej zimnem wodzie płały obłamki, beczułki, skrzynki, przewrócony gig, potem w ciemnej przerwie pokazała się blada, spokojna twarz, na szyi kołysał się oficerski znak. Dla artylerzysty z „Marii-Frederiki” bitwa się zakończyła.

– *Lejtnancie – zaśpiewał fok Hohwende – szczerze proponuję panu zostać. Na moją odpowiedzialność i odpowiedzialność naszego drogiego wiceadmirała. Ostatecznie, on może panu rozkazać.*

– *W żadnym wypadku – tutaj należało trzasnąć obcasami, więc Rupert trzasnął – uchylić rozkaz admirała może tylko osoba wyżej postawiona, którą pan w żadnym razie nie jest. Muszę panów opuścić.*

– *Co mogę dla pana zrobić? – wtrącił się do rozmowy Werner fok Bermesser.*

– Proszę mi dać lunetę i przekazać mojej babci, że zamierzam nadal przysłuchiwać się jej radom.

– Z największą przyjemnością – co za mieszanka przymilności i pewności siebie, co za zadziwiająco wstrętne mieszanka – Mogę się dowiedzieć, jaką konkretnie radę księżnej Starkwind ma pan na myśli?

– Ona z naciskiem zalecała, abym nie hańbił rodowego honoru, ściskając niegodne tego ręce. Proszę mi wybaczyć, czeka na mnie admirał.

On skoczył do welbota, nie patrząc, jak stał, ze szpadą i w kapeluszu. Złość nie zawiodła, maci nie musieli wyławiać adiutanta admirała z wody na oczach zakłamanych intrygantów, a mimo to dla Olafa byłoby lepiej, gdyby Rupert fok Felsenburg dotarł do babci wcześniej, niż Bermesser do kesara.

– Do przodu... Lewa poszła...

Która może być godzina? Dawno po południu, pewnie trzecia albo czwarta. Oni muszą wytrzymać, a nocą strzelanina straci sens. Nocą wiatr stanie się sprzyjający, może się stać, chociaż dzisiaj wiatry zdecydowanie powariowały...

– Schwartzgotwurm³⁸! – zaklął Zuss – Znów! Zawracaj!

38 Drikseńskie przekleństwo.

Właśnie, znów. Ketzchen! Trzecia albo czwarta. Przekłete szkwały rozrywały szereg, dziko wyjąc w ożaglowaniu, wyciągały okręty z linii, próbowały zderzyć sąsiadów, ale jeśli dla lineału ketzchen była nieprzyjemnością, szalupie niosła śmierć.

Welbot jak przestraszony kot odskoczył od błyszczącego pasa. Marynarze wiosłowali jak szaleni, a Ruppi mógł tylko nie przeszkadzać. I patrzeć. Nigdy nie widział ketzchen z tak bliska, i jakaż ona była piękna! Ciężka, równomiernie wznosząca się woda jakby zamierała, zamieniając się w obsydianowe zwierciadło, a potem skakała w górę, całując uciekający wiatr. Ketzchen niby nóż rozcinała obłokową derkę, srebrzyste wiosenne światło obejmowało się z białą pianą, brylantowymi gwiazdami rozsypywały się krople, wydawało się, że nad jesiennym morzem leci słoneczny welon, a w plusku fal słychać dźwięk kryształowych dzwoneczków, dalekich, mamiących, niedosiętych...

– Przeszło bokiem – westchnął Rudy – nie inaczej, jak święty Adrian ustrzegł.

– Wrócimy – odezwał się Zajęcza Warga – wszystkie przyzowe na świątynię oddam. Jak Boga kocham, wszystkie!

– Uważaj, nie zapomnij...

– Krabia teściowa, ależ drapnęliśmy!

– Akurat tu drapniesz!

Ruppi obejrzał się: nie tak bardzo drapnęli. Kiedy nadleciała ketzchen, byli przy „Friedrichu Żelaznym”, teraz zakrywało ich „Morskie serce”, porządnie przetrzepane szkwałem i frosherami. Statek powoli się prostował, przez lunetę było widać, jak do wody lecą kawałki takielunku. Głucho szczechnęły armaty. Niestety, obce, przy takim przechyle kanonierzy „Serca” byli bezsilni...

– Wyrównuje – niezbyt pewnie powiedział wioślarz.

– Oczywiście, że wyrównuje – zaczął Ruppi i umilkł, bo zobaczył wyciągnięty z linii okręt. Bez bezanmasztu i niemal bez żagli, bezsilnie dryfował z wiatrem, coraz bardziej oddalając się od szeregu i zostawiając bez osłony rufę okrętu idącego przed nim. I tym idącym przed nim był flagowiec!

4

Falszburta była przełamana w kilku miejscach, na grotmaszcie zniosło prawie wszystko, co na nim było, sam maszt groźnie się chwiał, fale co rusz zalewały ambrazury dolnego pokładu, ale armaty nadal biły. Bo co jeszcze pozostawało?

„Święty Eberchard” odpadł, w linii ziała dziura, w którą rzucili się obaj przeciwnicy „Ebby”. Dalszy poszedł na „Dumę Einrechta”, bliższy, podniósłszy żagle, doganiał „Noordkrone”. Josef Kanmacher nie zdążył zostać admirałem, ale zamierzenia froshera odgadł. Lineał z kotopodobną bestią na dziobie zamierzał zająć od rufy i roznieść bezbronny cel na strzepy. Zepp jak zahipnotyzowany patrzył na wyszczerzony zębaty łeb, zapomniawszy o wszystkim na świecie. Nawet o „Francisku”, a uderzył właśnie on.

Trzask pękającego drewna, strzelanie rwących się lin, wodospad odłamków...

- Fokmaszt!
- Fokstenga pękła!
- Ster nie słucha!
- Ogień!

Dolny pokład spóźnił się, górny szczechnął nierównym ogniem, ale baterie drugiego pokładu były równo i spokojnie, z taką częstotliwością, na jaką pozwalały działa. Czyli Ailenbach żyje i prowadzi walkę.

- No, Adolfie, co tam z masztem?
- Wanty trzymają... Wszystko padło za prawą burzę, jesteśmy prawie na kotwicy, Olafie.
- Rąbać!

– Rąbiemy – fok Schneietal złapał tubę – Celować wyżej! – szautbenacht nie mówił, a chrypiał – Bić po masztach!

Ktoś nie usłyszał albo nie zrozumiał, dobra połowa dział strzeliła szybko, ale bezskutecznie, przy pozostałych obsługa się spóźniła, wyciągając kliny i zmieniając kąt celowania. Żelazny grad przeszedł po masztach i żaglach „Franciska”; pękła na kawałki, runęła w dół grotmarsreja, zamieniły się w strzępy żagle fokmasztu.

- Ładuj!
- Szybciej!

Kanonierzy Ailenbacha dokonywali niemożliwego, szybciej ładować nie mógłby nikt, ale linia frosherów była ściślejsza, a artylerzyści nie ustępowali drikseńskim, przynajmniej na flagowcu.

Z głośnym trzaskiem pękł grotstenga-bakstag, coś odskoczyło od ostatniej, cudem ocalałej sieci, uderzyło o pokład, i znów świst, trzask, niepojęte, jęczące wycie. Kto może tak krzyżeć – człowiek czy okręt?

„Francisk” bił bateriami, nie pozwalając ani wychnąć, ani porządnie naprawić uszkodzeń, a obok tuliła uszy „Kotka Zmierzchu”. Do niej pozostało nie więcej jak sto beau, a spętana ciągnącymi się za nią obłamkami „Noordkrone” nie mogła manewrować jak należy. Trójpokładowy bezczelny gad nie mógł nie wykorzystać swojej przewagi. Zawróciwszy szydyczko powoli, popęzł wzdłuż rufy „Noordkrone”, rozładowując jedna za drugą armaty lewej burty.

Uderzenie, pokład gdzieś znika, noga się ześlizguje, lina w ręce pęka, na spotkanie pędzi coś czarno-biało-czerwonego. Czarna sadza, białe deski, szkarłatna krew... To – pokład, a on upadł. Trzeba wstać i coś nareszcie zrobić...

Josef uniósł się na rękach, tuż nad nim świsnął huragan żelaza, rozbijając, miażdżąc i kalecząc. „Francisk”... Przyłączył się do bestii, ale Josef Kanmacher i tak wstanie, on nie jest robakiem, on jest oficerem jego wysokości, on jest lejtnantem na „Noordkrone”...

Na pokładach kasztelu ojciec Aleksander i dwóch marynarzy wyciągają spod sterty odłamków wijącego się artylerzystę. Biedak szarpie się konwulsyjnie i zamiera. Duchowny, robiąc znak nad ciałem, śpieszy na szkafut, tam też są ludzie: martwi, umierający, ranni.

Zepp wściekle pociągnął nosem i wstał, w ustach zrobiło się słono od krwi. To nic, bywa gorzej. I będzie.

Nieprzyjaciół z rufy gdzieś nikt, a Lodowaty Olaf żył! Stał przy sterze, szeroko rozstawiwszy nogi, paradny hełm gdzieś się zapodział, twarz ubrudziła sadza.

Wiatr roztrzepał włosy, odgonił dymny parawan i Zepp zobaczył „Stwora Zmierzchu”. On nigdzie się nie podział, to na „Eberchardzie” jakoś postawili żagle i rzucili się na pomoc flagowcowi. Z ostatnich sił. Frosher musiał zostawić ich w spokoju, ale czy na długo?

- Cały jesteś? – fok Schneietal, też żywy.
- Panie szautbenachcie...

– Nabieramy wody – cieśla okrętowy mruży czerwone, zażawione oczy – bardzo szybko. Dwa beau w ładowni. Załataliśmy dziurę przy skrzyniach, ale gdzieś jest jeszcze jedna... Potrzebuję ludzi i pompy w ładowniach.

– Idę – wychrypiał fok Schneietal, łapiąc Josefa za ramię – Zostawiam... baterię lewej burty na pańskich barkach.

Kapitan „Noordkrone”, odrzuciwszy tubę, pobiegł na dół. Zepp rozejrzył się. Pokład wydawał się wymarły. Większa część dział ocalała, ale ludzi przy nich prawie nie zostało. „Zostawiam baterię na pańskich barkach...” To Josef zrozumiał. Wszystko stało na swoich miejscach. Jest

artylerzystą górnego pokładu i będzie strzelać, dopóki jest proch i cała bodaj jedna armata.

– Do armat! – wrzasnął Zepp, łapiąc za ciepłą, ciężką lufę. Do kogo on krzyczy? Do martwych, rannych, samego siebie?

Nie zrozumiał, skąd się pojawili. Zeskoczyli z góry, wypęzli z luku, przybiegli z rufy, wstali z zakrwawionego pokładu, jak on kilka minut wcześniej.

– Ładować – warknął Josef w kapitańską tubę, czując, że go poniosło – jak należy! A to ręce poodrywa!

Przybiegli tragarze z beczułkami prochu. Kto ich przysłał? Schneietal? Ailenbach?

Armaty ładowano szybko i przy tym potwornie powoli, a „Francisk” zbliżał się w milczeniu i obojętnie, skracając dystans do wystrzału z pistoletu.

– Gotuj się! – nie miał ani chustki, ani szpady, musiał zerwać z szyi zamienioną w powróż szarfę – Lonty...

Almeida wystrzelił pierwszy. Ciężkie armaty zmilczały, przemówiły baterie drugiego i górnego pokładu, salwa kartaczy dosłownie wymiotła pokłady kasztelu i szkafut „Noordkrone”. Jak Zepp przeżył, nie wiedział. Dwóch kanonierów rozerwało na strzepy, tragarz upadł z oderwaną ręką. To znaczy najpierw upadła ręka, ona leżała na czerwonych deskach, jakby chciała je zadrapać.

Zepp odwrócił się, łapiąc się za gardło. Odłamki i ciała, ciała i odłamki. Ojciec Aleksander, przygnieciony grotreją, stos ciał u kawałka masztu, martwy bosman, wczepiony w swój gwizdek. Jęki, przekleństwa, trzask drewna... Gdzie admirał? Gdzie fok Scheiental? Ailenbach? Blauchan?

„Zostawiam baterię na pańskich barkach...”

Chwiejąc się, Josef Kanmacher oparł się plecami o lawetę armaty. Załadowanej, zdążyli załadować. Na pewno zdążyli, to pamiętał. Laweta i lufa – we krwi, ale armata jest gotowa, a wróg – oto on!

Josef wyprostował się, sprawdził zapalnik, wszystko z nim było w porządku. On musi trafić i on trafi! Z takiej odległości każdy trafi. Zepp złapał zapalnik, podniósł do lontu. Działo huknęło i skoczyło w tył, Josef widział, jak kula wbija się w burtę „Franciska”, jak lecą obłamki. Trafił! Chwała świętemu Adrianowi, trafił!!! To było szczęście, zwycięstwo, lot, wybuch oślepiającego światła! A potem „Francisk” odpowiedział...

ROZDZIAŁ 10

ZATOKA HEXBERGSKA

399 rok K.S. 15 dzień Jesiennych Błyskawic

1

Linii nie było, był rozrzucony tłum. Bezsensownie trzepotały żagle, wimple niemal owijały się dookoła drzewc, fale dzikimi kozłami skakały między oszalałymi okrętami. Ktoś zdążył wyskoczyć niemal na otwarte morze, ktoś szepił się olinowaniem z sąsiadem, ktoś się kręcił jak wąż na patelni, próbując uniknąć zderzenia z kilkoma współbraćmi naraz.

– Barany – oburzył się Varotti – jednym słowem, kupcy. A też...

– Może to nie ich wina – wstawił się Nicci, wskazując dłonią na rozchodzące się wachlarzem srebrne pasy, swawolnie płynące ku dalekiemu przylądkowi.

– Dokładnie – zgodził się sprawiedliwy Ugo – one, więdźmy to jest. Naigrały się z wojakami, teraz dobrały się tutaj...

– Tak – palce Nicci wciąż wybijały rytm na napierśniku – pechowy dzisiaj „gęsiom” dzionek wypadł.

– A jak! – potwierdził były bosman – A Salina zuch. Doskonale pali!

Salina właśnie palił i właśnie doskonale. Otoczone dymem lineaty, strzelając z obu burt, niespiesznie przetrzebiała miotające się stado. Luigi zdawało się, że słyszy krzyki z rozbijanych okrętów, ale to tylko wyobraźnia się rozszalała. On i Rangoni byli zbyt daleko, poza tym wiatr znosił dźwięki w stronę brzegu, mieszając je z dymem. Do „Rekina” i „Kruka” docierał co najwyżej huk armat. Działa biły tak często, że nie sposób było odróżnić pojedynczych wystrzałów.

Pozostałe z tyłu kolumny też strzelały, nadal pełzną na otwarte morze, tam nie było co łowić i Luigi zapatrzył się na północ. Tuż przed oczami tonął trzymasztowy statek, pokład już zrównał się

z wodą. Szare figurki próbowały spuścić szalupy, niebieskie przepychały się i przeszkadzały. Z ogólnego tłoku wyrwała się fregata osłony, położyła w dryf obok tonącego, zauważył to lineał ze skrzydlatym koniem na dziobie, lekko się odwrócił i dał salwę. Na fregacie pękniętymi strunami pofrunęły liny, poleciały w dół kawałki rej, ale marynarze nadal spuszczały szalupy. Marikjarczyk zbliżył się i rąbnął jeszcze raz. Widok nie należał do najprzyjemniejszych...

– A tam! Tam! – tupnął nogą Ugo, dźgając lunetą w stronę ujścia zatoki – Oni się rozbiegają, zarazy!

Luigi chętnie przesunął wzrok na południe. Około dwudziestu okrętów pojedynczo i niewielkimi grupami wychodziły z przekłętej zatoki i było wśród nich kilka odpowiednich.

– Dalej – polecił Luigi – Szukamy tych, którzy mają słabszą artylerię.

Galera Rangoni, jakby słysząc, zawróciła i, spieniając wodę, runęła za zielonym kupcem.

– Za nim! – krzyknął Luigi.

Na „Kruku” podniosły się flagi sygnałowe. Giuseppe proponował wspólne polowanie!

Zielony z przodu wiał pod wszystkimi ocalałymi żaglami, ale galery były szybsze.

– Uch, ależ zad! – ryknął w zachwycie Varotti – Prawie jak u dożycy!

– I po nim dostanie! – wesoło wykrzyknął Luigi – Zajdź od rufy. Lotti tu jest?

– Jest! – wrzasnął kanonier, niemożliwie wprost podobny do ogara, który zobaczył krew.

– Pętać – rozkazał Luigi – Potem zabierzemy. Przekaż Rangoni: „Zachodzimy z rufy. Podwójny dziobowy w sześć luf”.

– Rangoni – przeczytał, zbliżając się, Lenuzza – „Podwójny dziobowy. Gotów, czeka”.

Zaszli od rufy we dwóch. Zielony skakał jak przestraszona żaba po wodnym talerzu. Nie wiadomo czemu zrobiło się śmiesznie, galera wleciała na falę niby na górę, słone bryzgi dotknęły ust, coś cichutko dźwięknęło. Niby dzwoneczek.

– Dobry! – krzyknął Lotti.

Na dziobie „Kruka” Rangoni uniósł rękę ze szpadą, Luigi wstrząsnął włosami, odpędzając niepojęty śmiech, obnażył ostrze. Galery szły dziób w dziób. Giuseppe kiwnął, Luigi odpowiedział, szpady przecięły powietrze, warknęły armaty. Kto rozbił ster? Pewnie Lotti, ale niczego nie udowodnisz. Zielony, straciwszy sterowność, zapluskał żałośnie, no i Leworeki z nim. Wiatr drażnił, śpiewał, ciągnął za sobą, ku wyjściu z zatoki. Po co się zatrzymywać? Po co tracić czas na ustrzelonego kupca? Co z niego wziąć? Naprzód! Za innymi, ich jeszcze tyle zostało! Pędzić zdobycz – to tak wesoło, to prawie taniec, prawie pieśń, prawie lot...

2

– Panie szautbenachcie – jakież to wstyd być w całym, nie porwanym i nie popalonym mundurze, niechby nawet mokrym – melduje się lejtnant Felsenburg.

– Ruppi – wychrypiał Schneietal – skąd się wzięłeś? Gdzie ten ... Hohwende?

– Albo na dnie, albo w drodze do Metchenberg! – gdzie admirał? Trzeba zapytać, ale strach – Generał fok Hohwende, dowiedziawszy się o powrocie Almeidy...

– Jesteś szalony – jakie białe stają się oczy, kiedy twarz czernieje od sadzy – po co wróciłeś?

Odpowiedzieć nie pozwoliła armatnia salwa, kapitan z siłą cisnął Ruppiego na pokaleczony pokład, padł obok. Wizzący czarny wiatr przeleciał nad głową, roznosząc pokładowe nadbudówki, rozbijając szalupy, krusząc już i tak przypominającą rzeszoto fałszburtę. Kwaśna woń prochu, zapach sadzy i czegoś niemożliwie mdlącego, i niemal natychmiast świeży morski wiatr. Piekło, do którego wszedł z własnej woli. Schneietal chce wiedzieć, po co...

– Jestem adiutantem admirała! – wrzasnął Ruppi do leżącej przed jego nosem wykręconej nogi w czarnym oficerskim bucie bez obcasa – Moje miejsce jest razem z nim, a nie ze szczurami...

Żelazny wiatr ucichł, czy na długo? Nad głową kołysały się obrywki fału, zaczepionego o ułamek masztu. Ruppi spojrział na Schneietala, ten, krzywiąc się, wstawał, fok Felsenburg zerwał się, podał szautbenachtowi rękę, którą ten z wdzięcznością złapał.

– Bierz swoich i idziemy. Szybko, póki ładują. Ailenbach, wie pan, co robić... Wszystkich, kogo pan podniesie – do armat lewej burty... Matów, kanonierów – wszystkich! Tylko zostawcie matów przy bezan brasach.

– Tak jest – artylerzysta powłókł się po okaleczonych pokładach kasztelu, przywołując ręką ocalałego bosmanmata. „Noordkrone”, zawsze taką czystą i piękną, zaścielał śmierdzący dym,

kasztel zawalony był obławkami, zalany krwią, przy burtach leżeli martwi, obok, nie patrząc na nich, kanonierzy ładowali ocalałe działa, głośno skrzypiały i piszczały armatnie bloki, takielunek, wciągarki.

– Patrz pod nogi – wykaszła fok Schneietal i w samą porę – w pokładzie ziała dziura, przez którą widoczne były deski drugiego pokładu i porzucony wycior.

Dokąd go prowadzą, Ruppi nie pytał, on wiedział, że zaraz zobaczy swojego admirała. Zabitego, inaczej Schneietal powiedziała, że Lodowaty żyje. I tak właśnie rozumiesz, że był obok ciebie człowiek, o którym nie wiedziałeś najważniejszego: że kiedy go nie będzie, spod nóg ujdzie ziemia, ale ty zaciśniesz zęby. I będziesz żyć tak, jakby on był obok, i nieważne, że tego życia zostało tyle co nic. Żeby załadować armatę i wystrzelić, wystarczy.

Z tyłu nieharmonijnie zaszczekały lekkie armaty, w dole ciężko huknęła jedna, ciężka. „Noordkrone” jeszcze się odgryzała, „Noordkrone” jeszcze była flagowcem.

– Panie szautbenachcie – bardzo spokojnie powiedział Ruppi – jeśli to możliwe, proszę wyznaczyć mnie do artyleryjskiej kompanii pod dowództwo pana Ailenbacha albo mojego przyjaciela Josefa Kanmachera.

– Lejtnant Kanmacher zginął – syknął fok Schneietal – Gdybym miał takiego syna, byłbym z niego dumny...

Zepp też?!

– W takim razie jestem gotów przyjąć jego baterię – Rupert fok Felsenburg nie jest już adiutantem admirała, ale nadal jest lejtnantem floty jego wysokości. Może dać sobie radę z każdym masztem, wyliczyć kurs, ale teraz najważniejsze były armaty.

– Jest pan adiutantem admirała – szautbenacht przestąpił przez połamane deski – i odpowiada pan za jego życie.

– Co? – wykrzyknął Rupert – Olaf żyje?!

– Jest ranny i ogłuszony – fok Schneietal głucho zakaszła i potrzęsła głową – Przekłete gardło, jak nie w porę... Ruppi, postaraj się dociągnąć go do brzegu. Gdyby był przytomny, to by na to nie pozwolił, ale szczęście w nieszczęściu. Posłałem wiadomość Zweierowi, ale czy doszła... Krótko, jako najstarszy stopniem dowódca rozkazuję ci uratować admirała. Za wszelką cenę! Zrozumiałeś?

– T-tak!

– Masz welbota i wioślarzy, więcej nie mogę ci dać...

– A wy? – nie wiadomo po co zapytał Ruppi.

– Zostajemy – wykaszła fok Schneietal – trzeba wytrzymać do zapadnięcia zmierzchu. Kiedy handlarze odpłyną, odpłynie każdy, kto może...

Kolejna salwa przerwała rwącą duszę rozmowę. Gdyby grotmaszt nie był złamany, to złamałby się teraz, o kilka beau niżej. Prysnęły drewniane drzazgi, zmieszały się z kartaczami – po ciężkich armatach frosherowie rąbnęli z lekkich.

– Jak on? – odezwał się fok Schneietal do niewysokiego grubaska, w którym Rupert rozpoznał okrętowego bufetowego. Czyli lekarz zginął, ojciec Aleksander najprawdopodobniej też...

– Och – lekarz mimo woli był błądy jak kozi ser – szautbenacht... Krwi nie można zatamować.

– Masz jakieś pojęcie o ranach? – ręka Schneietala wpiła się w ramię Ruperta.

– Nie – co z niego za próżniak. No co mu przeszkadzało wysłuchać kursu medycyny albo chociaż przejrzeć książkę, ale nie! – Nie mam, ale Zuss... on może zrobić opatrunek.

– Jak my wszyscy – zgrzytnął zębami kapitan – Tutaj trzeba wyjąć kartacz. Bierzcie go... Jak będziecie opuszczać, przywiążcie do noszy. Ruppi, on uderzył się w głowę, z góry spadła reja, ale czaszka chyba cała.

Dwóch marynarzy złapało nosze. Twarz admirała była spokojna jak u śpiącego albo nieżyjącego, zdrowa ręka opadła w dół.

Mieli szczęście, frosherowie nie strzelali. Albo zmieniali kąt celowania armat, albo odpoczywali, a może uznali, że „Noordkrone” jest już martwa.

– To nic – patrząc wprost przed siebie, wychrypiał fok Schneietal – my o sobie przypomnimy... Manewrować porządnie nie możemy, ale strzelać – owszem.

Tak, strzelać z pozostałych armat, dopóki frosherowie nie rozniosą wszystkiego do końca.

Tego nie można uniknąć, chyba że rzucić wszystko do Leworękiego i odpelznąć do brzegu. Do drikseńskiego brzegu, na którym nie ma niczego oprócz bagien.

– Chciałbym być z wami – cicho powiedział Ruppi, patrząc na znikające za burta nosze – Ja byłbym z wami!

– Wiem – westchnął szautbenacht – ale jesteś potrzebny admirałowi, a admirał jest potrzebny Driksen.

– Panie szautbenachcie... Może lepiej poczekać do zmroku, a potem przejść na „Wojownika”...

– Nie wytrzymamy tyle, poza tym zamierzamy nie umierać, a zabijać – obiecał kapitan „Noordkrone” i zniemacka dodał: – Nie będzie ci trudno oddać mojej żonie bransoletę?

Nie umierać, a zabijać... Dopóki nie zabiją ich. Ruppi w milczeniu wyciągnął rękę, dźwięcznie szcęknęła złota obręcz. Ręka jest pewniejsza od kieszeni albo torby, chociaż i ją mogą oderwać.

– Gotowe! – krzyknął z dołu Rudy Zuss – Przejeliśmy.

– Żegnaj, lejtnancie. Niech pan powie w Einrechcie – w ostatniej chwili fok Schneietal przeszedł na „pan” – że flagowiec kontynuował walkę do ostatniej chwili. I jeszcze niech pan przekaże... że nie znajdziemy spokoju, dopóki Werner fok Bermesser nie zapozna się z toporem.

– Przekażę – skinął Ruppi – wszystko... wszystkim przekażę. Przysięgam!

Po tym pozostawało tylko jedno. Opuścić się do szalupy. Nie oglądając się. W milczeniu. I lejtnant Felsenburg opuścił się po czarnej od sadzy linie. Rudy Zuss zawrócił welbot i Ruppi usadowił się na rufie, niemal nadeptując na lunetę.

– Odplynać?

– Zaraz...

Palce dotknęły zimnej burty, żegnając się z „Noordkrone”. Ta walka nie jest jego, nieważne jak bardzo chce stanąć obok fok Schneietala, Lenza, Gaulmanna, Hauffa, Ailenbacha. On – adiutant admirała i on go uratuje. I jeszcze dopilnuje, żeby Bermesserowi i Hohwende odrąbali głowy. Za dezercję. I za podłość.

Rupert fok Felsenburg konwulsyjnie przełknął i rzucił siedzącemu przy rumplu Zussowi:

– Odbijaj!

3

Trzeci wybrany przez nich kupiec był nawet większy od zielonego. Masywny, niezgrabny i, jak się okazało, mądry. Zobaczywszy za plecami dwóch prześladowców, uczciwie legł w dryf i podniósł szarą flagę.

– Paskuda – zrugął pokornego Mario Nicci – mógłby chociaż raz wystrzelić, dla uspokojenia sumienia.

– Sumienie każe mu ratować statek – zauważył starszy oficer, nadal w zapiętym po samą szyję mundurze.

– No pewnie – podchwycił Ugo – jeszcze rozdrapiemy.

– Od Rangoni – krzyknął obserwator – „Wysadzam załogę desantową, prowadzę do portu!”

– No ładnie – nachmurzył się Varotti – zataszczył kurkę do norki!

– Nam dostanie się więcej – zaśmiał się Luigi i trzasnął byłego bosmana po ramieniu. Zła wesołość nie mijała, wręcz przeciwnie! Gildi chciał pędzić dalej i dalej, za przebijającym obłoki słonecznym promieniem, rzucającym pod dziób galery srebrną ścieżkę.

– No i dokąd teraz? – Mario Nicci dziesiąty raz obejrzał ostrze – Znow będziecie bić po sterach? Może weźmiemy się nareszcie do roboty?!

– Może się weźmiemy – przeciągle powiedział Gildi, wyszukując odpowiedniej zdobyczy. Z tyłu działo się coś niepojętego, okręty przemieszały się w jakiś gulasz z dymnym sosem. Kilka lineatów, nie zwracając uwagi na rozbiegający się drobiazg, zaganiała sporego kupca, od którego z samobójczą odwagą próbowały je odciągnąć fregata i korweta. „Marikjara” i „Morisk” poszły ku wyjściu z zatoki, by przeciąć drogę podpełzającym kolumnom, pozostałe okręty ariergardy wciąż ganiały kupców, wybierając co większą zdobycz, wśród białego prochowego dymu w niebo strzelał ponury czarny słupek. Podpalono kogoś nawet w takiej wilgoci...

– Patrz – Nicci szarpnął Luigiego za rękaw – Jaki ładny!

– Szary?

– Aha! – Mario stanął w pozie nie gorzej od myśliwskiego psa – Ty patrz, na pokładzie czysto, żadnych żołnierzy. Moi chłopcy migiem go przeczeszą.

– Dobra – Gildi puścił oko do niecierpliwego żołnierza – Lenuzza, ster na lewo, kurs na szarego z kaczka!

Wiosła ochoczo wbiły się w wodę, za plecami pokrzykiwała i tupała załoga abordażu, przeczuwając niedługą bijatykę, a w przodzie bieгло, drażniło się słoneczne pasmo.

Narastający grom przypominał o tym, że linealy wciąż się gryzą. Dymny obłok, oderwawszy się od ryczących linii, nakrył galerę. Słońce puściło „zajaczkę” i ukryło się, ale fale wciąż śpiewały. Do szarego okrętu zostało tyle co nic. Dym zgęstniał, wiatr uderzył w policzek, zapiszczały gwizdki, wiosłarze napaarli na wiosła, nie pozwalając „Rekinowi” zawrócić.

– Do Leworękiego z dymem! – warknął Luigi, wpatrując się w biały tuman – Szybciej wiosłuj! Szybciej!

Tarabany i litaury uderzyły częściej, galera przyspieszyła i wyskoczyła ze ślepego, kwaśno pachnącego pasa. Przed samym nosem niewielkiego, ale bynajmniej nie handlowego okrętu.

Korweta. Drikseńska. Pobita, ale całkiem żywa. Dziesięć armat na burcie, tyle szczęścia, że z takiej odległości niespecjalnie sobie postrzela.

– Ugo! – warknął Gildi, ale były bosman reagował chyba szybciej od kapitana. Wyrafinowane przekleństwa przeszły we wściekły świst.

„Gęsi” też nie wczoraj się wykluły. Dwumasztowy okręt zręcznie zawracał, chcąc jak najszybciej zwrócić się do bezczelnej galery burtą. Z takiej odległości nie chybisz i nie uciekniesz. Czyli: naprzód, póki „gęsi” nie zakończyły manewru.

Liczyły się minuty. Kto szybciej – idący na granicy wiosłarze czy miotający się po wantach maci. Jeśli Drikseńczycy zdążą wystrzelić, po „Rekinie” owszem, coś zostanie, ale święto się skończy. I to na długo.

Galera dreptała w miejscu, a korweta kręciła się jak bąk, zza galionu wypłynęła jedna lufa, druga, trzecia. Czarne dziury plunęły ogniem i dymem, nad głową złowieszczco świsnęło, za rufą wyrosły białe krzaki...

Zdążyli! A niech ich koty porwą, zdążyli! Strzelajcie sobie teraz do uśmiechniętej śmierci, morze wasze kule ani ziębią, ani grzeją!

– Przeskoczyli! – wrzeszczy Nicci, wybijając na urgockim napierśniku zawadiacki rytm – No teraz koniec! Teraz on jest nasz!!!

– Rangoni poleciał na kupca – grzebie kopytem Ugo – a my wojaka wzięliśmy! Wojaka!

Oto i burta, ciemnoniebieska, w fałszburcie dziura, dalej jeszcze jedna...

– Zawracaj! – krzyczy Luigi – Wiosła suszyć! Gotować haki i kotwiczkę!

4

Szalona galera wyskoczyła z dymnego obłoku i rzuciła się na korwetę ochrony, lekceważąc „Chytrę kaczora”, ale Dobry Johan ani myślał się obrażać. Wręcz przeciwnie, brak uwagi frosharów wobec jego łajby był dobrym znakiem. Los dawał do zrozumienia, że nie ma czego łowić w hexbergskim garnku, trzeba zabierać się stąd po dobroci, bo na szczęście zaczynało już zmierzchać, a dym pomoże ukryć końce.

Szyper serdecznie przypiął się do ozdobionej rybobopannami manierce, wypatrzył odpowiedni kłęb dymu i warknął do sterników:

– Ster pod wiatr! Powoli!!!

Dziób „Kaczora” posłusznie zawrócił. Zuch okręciak, zuch! I żeby takiego chwata rzucać pod frosherskie armaty! Nigdy w życiu!

– Ster na wiatr!.. – frosherowie, choćby nawet mieli po osiem ślepiów i cztery łby, rozumieją, że „Kaczor” zawraca, dopiero wtedy, kiedy zatrzepocze fokmarsel. I mogą pęknąć, ale okręciak będzie miał sporą przewagę – Ster na burtę! Żywo, do krabiej ciotki wam się zachciało?!

„Chytry Kaczor” posłusznie i wesoło stawał z wiatrem, on nie chciał do krabiej ciotki, on chciał do gniazda.

– Kontra-bras!... Ster na burtę... Brasy puść!

Wszyscy powinni tak się kręcić! Wejść na drugi hals, nie tracąc ani minuty, nie każdy żołdak

może! Dobry był gotów ucałować swoją łajbę i wypłacić matom dodatkową monetę, chociaż wystarczy im i podwójna porcja grogu. Ale dzisiaj...

– Tak trzymać! – ryknął Johan w najczulszy sposób – Nam jałowcówkę, durniom – wodę...

Połowa roboty była wykonana, „Kaczor” rześko ślizgał się ku wyjściu z pechowej zatoki. Armatnie salwy, słupy dymu nad płonącymi bałwanami, kołyszące się na wodzie kawałki zostawały w tyle, pozostawało zdecydować, dokąd iść.

Odważny szyper widział, jak na początku bitwy zwiewał Bermesser i nikt za nim nie pędził, ale to na początku. Teraz, panowie śledziki, frosherowie tak prosto się nie odczepią. Rozwidni się – i w pogoń, a armat mają dużo, i to sporych armat. Jak zaczną przeczesywać morze, tak i wygładzą do samej Steinhund, a tu już jak się uda... Szyper wyciągnął manierkę, potrząsnął przy uchu, w środku przyzywająco zabulgotało, ale Johan zawsze wiedział, kiedy trzeba się zatrzymać. Dlatego właśnie wynurzał się z każdych przeszkód, jak drewniane jajko. Dobry pstryknął piersiastą rybopannę po przechodzącym w ogon krągłym brzuszku i zapytał:

– A co my zapomnieliśmy na północy, moja ty ślicznotka?

Ślicznotka dumnie przemilczała, Klugkater wsunął manierkę do kieszeni, kichnął i podrapał się w nos. Jeśli niczego nie zapomnieliśmy na północy, to dlaczego nie mielibyśmy pójść na południe? Tam frosherowie szukać nie będą, w Ardorze wrogowie Taligu nie mają czego szukać, ale czy Dobry Johan jest czyimś wrogiem? To spokojny kupiec, zna go całe wybrzeże i ardorska straż celna również.

– Junga – warknął szyper – żywo, krabi pasierbie!

– Jest junga – na wojskową manierę wrzasnął Peter.

– Przekaż sternikom kurs południe-południowy zachód. Tylko cicho!

Siostrzeniec rozpląnął się w zmroku, niemal natychmiast zaskrzyphiały reje. „Kaczor”, jak i powinna przyzwoita kaczka, wybywał do ciepłych krajów. Przeczekać zimę. Dobry Johan niespiesznie przeszedł się po rufie, nader zadowolony ze swojego statku i z siebie. Słusznie sprzedawał teściowi pana kapitana portu kenallijskie po cenie torskiego... Braunbard mówił, że wyrzuca pieniądze w błoto, a gdzie jest teraz ten Braunbard, panowie śledziki? Z krabią teściową piwo pije! Nie, dokarmianie potrzebnych ludzi – to nie straty, straty – to wlec się za niepotrzebnymi!

– Sądząc ze wszystkiego, oderwaliśmy się – lejtant Loffer stał z tyłu i uśmiechał się – To nie może nie cieszyć.

– Oderwaliśmy się – Johan jeszcze raz kichnął, ale tym razem skorzystał z chusteczki – Może pan iść spać, dalej moja robota.

– Zaraz, skipper – lejtant głęboko westchnął i zmrużył oczy – niech pan da odetchnąć. Ależ paskudztwo z tego dymu, tutaj chociaż gwiazdy widać. A właśnie, jeśli ja cokolwiek się na nich znam, idziemy na południe...

A on niegłupi, ten Loffer, chociaż to i wcześniej było jasne. No, było nie było. Dobry Johan wyciągnął ulubione rybopanny i podał lejtantowi.

– Wiatr rześki, niech się pan zagrzeje – wziął, ręce zajęte, doskonale, a teraz wybieraj – albo pieniążki do kieszeni, albo nóż w gardło – Idę do Ardory. Jestem spokojnym człowiekiem, moja łajba jest dla mnie ważniejsza od kesarskiego tyłka. A i do niego póki się dobierzesz, cztery razy znajdziesz się na dnie.

– Dawno chciałem odwiedzić Ardorę – uśmiechnął się Loffer – a na dno jakoś mnie nie ciągnie. I moich chłopców też, ale Tradusca – port handlowy, zapytają pana, co pan wiezie.

– Towar na pokładzie – pokazał mocne zęby Dobry Johan – Zaopatrzenie, płótno, narzędzia. No, narzędzia mało komu potrzebne, za to zaopatrzenie...

– Oblegającej armii ono też się nie przyda – podsunął Loffer, odkręcając zakrętkę na manierce – bo nie ma obłożenia. Jak i płótno na namioty.

– Ładunek należy do korony – westchnął Klugkater – a w przypadku niewykorzystania podlega zwrotowi do magazynów.

– Ale przecież ładunek może zostać zniszczony morską wodą i ogniem przeciwnika – zauważył Loffer – na dowód czego będzie miał pan papier.

– A kto podpisze? – rzeczowo zainteresował się Johan, wciąż jeszcze nie wyjmując ręki zza pazuchy.

– Pan intendent, naturalnie – ziewnął Loffer – no a w przypadku, jeśli morska choroba albo...

nagła utrata zdrowych zmysłów przeszkodzi mu w postawieniu podpisu, mogę to zrobić ja. Jako najstarszy stopniem.

– A on oszalał? Co za szkoda – wyraził współczucie Dobry, wypuszczając rękojeść sztyletu. Lejtnant Loffer rzeczywiście okazał się bardzo mądrym człowiekiem.

– Tak mi się wydaje – oficer przyłożył się do butelki i oddał rybopanny właścicielowi – Teraz śpi, być może rankiem będzie czuł się lepiej, ale z trudem go powstrzymałem. Proszę sobie wyobrazić, on myśli, że jest świętym Adrianem i że może chodzić po wodzie jak po suchej ziemi.

– Co za nieszczęście! – zasmucił się Johan, przyjmując manierkę – Dobra, niech śpi. A rano albo z nami do Ardory, albo do Driksen swoją drogą... Nie będziemy więzić.

5

Okaleczona łupina ledwie się wlokła i niemal z zadowoleniem opuściła flagę już po pierwszym wystrzale. Co z nią robić, Luigi nie miał pojęcia. Nicci został na zajętej korwecie, Rangoni się nie pojawiał, a sam Gildi nie chciał pozbawiać się pokładowych marynarzy.

Z zimnej ciemności wysunął się owinięty brązową gadziną bukszpryt. „Żmij”! Przypętlął na wystrzał i w samą porę. Gildi z zachwytem zwałił troskę o trofeum na Taligojczyków i oznajmił, że na dzisiaj wystarczy. Nikt się nie sprzeczał, nawet Varotti.

Czarna zatoka pokryta była białymi barankami, wiatr mieszał dym z obłokami i gnał to wszystko na tle księżyca. Sądząc po wybuchach u wejścia do zatoki, Driksowie zgubili szereg i teraz ratowali się jak kto mógł, opierając się nie tyle na armatach, ile na ciemności i żaglach. Gildi wyciągnął rękę:

– Dajcie mi kasery.

Manierka znalazła się natychmiast, była prawie pusta, tylko na dnie coś nieśmiało plusnęło. Marynarz nie dopija ostatnich, Gildi upił jeden łyk i oddał resztę właścicielowi. Do Hexbergu nie było aż tak daleko, ale z ciemności mógł wyskoczyć uciekający lineał. Luigi nie miał najmniejszej ochoty znaleźć się na drodze rannego byka. Sześćdziesiąt armat przeciwko ośmiu – mało przyjemne... Kapitan Gildi ziewnął, ciaśniej owinął się umazanym płaszczem i oznajmił:

– Pójdziemy wzdłuż północnego brzegu, tam płyciej. Umocujcie armaty, kanonierzy mogą odpocząć. Wiosłarzy zmieniać co pół godziny.

„Rekin” posłusznie poruszył wiosłami, ze zmęczeniem, ale i zadowoleniem uderzył taraban.

– Wiosło-ować... Wiosła suszyć... Wiosło-ować...

W dali co chwila pojawiały się błyski, dolatywały odgłosy salw, a przy Anthenizel stała cisza. Ci, którzy dali radę, wyrwali się w morze i rozplynęli w ciemności. Pechowcy – na dnie. Ci, o których los jeszcze myśli, dobierają się do brzegu.

Chmury nad zatoką rozeszły się zupełnie, za to na północy niebo zakrywała czarna zasłona, pożerająca gwiazdy. Wiatr ucichł, ale nie usnął, a zataił się jak zwierz przed skokiem, noc była trwoźna i niedobra. Im szybciej dotrą do portu, tym lepiej.

– Na wiosła! – krzyknął Luigi – Szybciej!

Taraban uderzył częściej, „Rekin” dzielnie popętlął po czającej się zatoce. Woda była spokojna, ale Luigiemu wydawało się, że w głębi wierci się coś ogromnego, starego i niezadowolonego.

– Giovanniego boli kolano – oznajmił Varotti, który właśnie wszedł na rufę – sztorm idzie.

– Almeida nie pójdzie nocą w morze – uznał życzenie za rzeczywistość Luigi – a „gęsiom” jak się poszczęści...

– Tym już się poszczęściło – Varotti skinął w kierunku cienia, który odskoczył od „Rekina” - Z walki wyszli, w szalupę się zaopatrzyli, do brzegu ręką podać.

– No i niech płyną – pozwolił Luigi – Jeśli bardziej podoba im się tonąć w błocie, to ja nie mam nic przeciwko. Zaczekaj! To nie marynarze!

– Faktycznie, żołnierze – z widoczną odrazą powiedział były bosman – trzydziestu.

– Właśnie! I kesar jakoś sobie bez nich poradzi.

Varotti starym nawykiem dmuchnął w gwizdek cztery razy i jeden. „Ładować wszystkie działa. Strzela tylko trzecie”. „Rekin” kichnął kulą, płomień oświetlił wyładowaną ludźmi łódkę, wiosła były posłusznie podniesione: „gęsi” wyraźnie nie miały ochoty znaleźć się w lodowatej wodzie.

– Zapalić pochodnie – rozkazał Gildi – i nie gasić. Bo nas jeszcze swoi nie poznają.

Zapłonęły pochodnie i noc zrobiła się jeszcze ciemniejsza. Przed galerą zakołysały się na falach drzące rude meduzy.

– Gdzie umieścić jeńców? – Gillermo Lenuzza z trudem ukrywał rozdrażnienie – Na pokładzie wioślarzy za mało miejsca.

– Rannych, jeśli są – na pokład – postanowił Gildi – pozostałych do ładowni.

Galera powoli podeszła do zamarłej szalupy.

– Broń za burtę – rozkazał Lenuzza – wchodzić pojedynczo.

Drikseńcy nie protestowali. Mokrzy, zmarznięci, niemal z radością wleźli do niskiej ładowni. Rannych wśród nich nie było. Szczęknięły zamki, znów uderzył bęben.

– Ci już nie będą walczyć – z satysfakcją powiedział Varotti.

– Nie będą – potwierdził Luigi, wspominając wczepionych w beczki i deski biedaków. Niektórzy umierali z zimna prosto w wodzie, niektórych wyciągali swoi albo obcy. Kiedy oni pędzili za kupcem z tańczącymi żurawiami na rufie, z boku mignął kawałek masztu, którego trzymało się dwoje ludzi. Wtedy było nie do nich, teraz się przypomniało...

Później wyłowili dwudziestu ludzi. Innych. A co stało się z tamtymi? Obok zawracał jakiś kupiec, może zabrał?

– Ej – usłyszał własny głos Luigi – patrzeć na boki. Szukać, ratować tonących...

– Bardzo to potrzebne – ziewnął Varotti – tutaj inaczej jak na szalupie się nie dostać.

Plusk wioseł, bicie bębna, duże białe gwiazdy, niedługo Przełom, jesień stanie się zimą, zacznie się nowy rok, pierwszy rok wielkiej wojny. Trzeba napisać ojcu o bitwie, inaczej nie wygrzebiesz się spod góry urazy. Napisać i narysować, gdzie kto walczył.

– Z prawej strony dzioba szalupa! – krzyknęli z dzioba – Duża...

– Gdzie ich wepchniemy? – warknął Varotti, wpatrując się w usianą gwiazdami ciemność – Stwory Zmierzchu, gdzie oni się pchają?!

Szalupa, nawet nie szalupa, a prawdziwy welbot, pełną parą szła na spotkanie galerze. Ktoś, stojąc, machał rękami i krzyczał.

– Może swoi? – zastanowił się Luigi – Nie wiadomo...

– Dokładnie, swoi – kiwnął Ugo – tylko co oni tu zapomnieli?

– Wejdą, to się dowiemy.

„Zakochany rekin” zakołysał się na niewysokiej fali. Kończył się przypływ, na brzegu zawył jakiś stwór. Wilk? Pies? Wychodziec?

Plusk rozległ się tuż przy burcie, głucho stuknęło drewno o drewno.

– A jeśli „gęsi”? – zmienił zdanie Varotti – Potrzebni nam oni?

– My jesteśmy im potrzebni – westchnął Luigi – Rzućcie sztormtrap, przecież nie wezmą nas na abordaż.

Pierwszy przez burtę przeszedł chłopak w mokrym obcym mundurze.

– W imię Stwórcy – krzyknął w taligu, przesuwał się po obcych twarzach zrozpaczonym spojrzeniem – czy jest tu lekarz?!

ROZDZIAŁ 11

NADOR

399 rok K.S. 16 dzień Jesiennych Błyskawic

1

– Pani – wypalił Ivon Larack, ogniście niczym ogier, który dawno wyrzekł się uciech cielesnych – witamy w gnieździe Ockdellów!

– Dziękuję panu – zełgała z największą możliwą uprzejmością Luiza – jestem szczęśliwa, mogąc zobaczyć dom świętego Alana.

– Pokażę pani jego komnaty – obiecał Ivon Larack – Znajdują się w Wieży Herbowej, najwyższej ze wszystkich.

– Ach – przewróciła oczami kapitanowa – trafiłam w legendę!

Właściwie to wpadła. Sterczący na górze zamek wydawał się wyniosły, ponury i oblaźły. Czysty poranny śnieg tylko podkreślał ową opłakaną okoliczność, jakby Mirabellę zawinięto w białe koronki i obsypano brylantami.

Luiza wyciągnęła szyję i zobaczyła znikający za złamaną iwą płaszcz z błyskawicą i złocisty koński ogon. Iri odmówiła opieki krewnych, ale taka amazonka mogła sobie na to pozwolić. Za to Selinę musiał posadzić przed sobą oficerek z Epineix. Bardzo sympatyczny i nawet wysoko urodzony, szkoda, że córka nie zauważa gorących brązowych oczu. Całkiem niezłych.

– Ostrożnie – zaniepokoił się hrabia Larack – Nadorskie drogi mogą się pani wydać strome i wąskie. Będzie lepiej, jeśli ja poprowadzę pani konia.

Luiza sama potrafiłaby poradzić sobie z pożyczoną w gospodzie kobyłką, ale czemu nie sprawić człowiekowi przyjemności?

– Jest pan tak uprzejmy – przeciągle powiedziała pani Aramona, ku burzliwej radości swojego smutnego kawalera, który natychmiast złapał rzemieńne wodze. Karetę z eskortą trzeba było zostawić w karczmie – droga do legendy była niedostępna dla stołecznych ekwipaży, a porządnego jedzenia dla półtorej setki żołnierzy, zgodnie z zapewnieniem Laracka, w Nadorze nie było. Tenent Levforge uznał, że towarzyszyć przyszłej księżnej Epineix będzie dziesięciu żołnierzom z nim samym na czele, a reszta rozbija obóz u „Nadorskiego herbu”. Iris ze swoją świtą rozstała się spokojnie, jej myśli były zajęte czym innym, za to duenię bardzo interesowało, jak też panowie południowcy będą zdobywać dla siebie pożywienie.

– Pani Aramona, muszę pani wyznać, że jestem zaniepokojony – Larack westchnął jak przeziębiony koń – Moja młoda krewniaczka zrobiła się jeszcze bardziej nieopanowana. Przykro będzie, jeśli spotkanie matki i córki zakończy się kłótnią.

Spotkanie siostry i brata zakończyło się bójką, ale Luiza postanowiła nie straszyć hrabiego bardziej niż to konieczne.

– Dziewczęta, oczekujące ślubu, zawsze się denerwują – kapitanowa uśmiechnęła się znacząco – To naturalne.

– Cieszę się za Iris – natychmiast zapewnił Larack – Dziewczynka znalazła swoją miłość, to wspaniale. Życzę jej szczęścia, ale żyjemy w bardzo trudnych czasach. Bardzo trudnych. Boję się panią zmartwić, ale nie jestem tak pewien sytuacji jego wysokości jak Reginald.

Reginald jest pewien? No proszę! W czasie podróży Luiza przyjrzała się grubemu wicehrabiemu. Na durnia kuzyn Iris nie wyglądał, miłością do fircykowatego Aldo nie pałał. Nie chce straszyć rodzica?

– Panie – uśmiechnęła się kapitanowa – niech pan denerwuje się tym, co od nas zależy. Oboje chcielibyśmy, by pobyt Iris w Nadorze nie doprowadził do trudności, czyż nie?

– O tak! – a Larack, jak się okazuje, ma prosty nos. Ciekawe, jaki podbródek ukrywa się pod szarą bródką. Jeśli taki jak u syna, to hrabia, gdyby się ogolił, ze stracha na wróble zamieniłby się w pobitego przez życie, ale całkiem przyzwoitego mężczyznę.

– Co nas czeka w Nadorze? – podtrzymała rozmowę pani Aramona – Udało się panu coś osiągnąć?

– Nie powiodło mi się w rozmowie z kuzynką Mirabellą – zasmucił się hrabia – Ona nie wybaczyła ani córce, ani synowi – kiedy dzieci nie rozumieją rodziców, to... to...

– To... bolesne – Luiza wyciągnęła z pamięci odpowiednie słowo – Ale czy nie można przypomnieć księżnej o zalecanym nam miłosierdziu?

– Poprosiłem o to ojca Matteo – nieszczęsnemu szlachcicowi ani się śniło, że został w myślach ogolony, rozebrany i znów ubrany w przyzwoity ciemnoszary kaftan, być może nawet z haftem – On zrobi wszystko, co może, ale moja kuzynka wiele wycierpiała. Nieszczęścia, które ją spotkały, nałożyły na nią nieusuwalną pieczęć...

Co je napadło z tymi cierpieniami? W Ollarii – Katari, tutaj – Mirabella... Pytanie jeszcze, co z czego się wykluło: charakter nadorskiej idiotki z nieszczęść czy nieszczęścia z charakteru. Pani Aramona pokręciła głową:

– Obawiam się, że księżna Ockdell swoje nieszczęścia zawdzięcza nie tylko losowi, ale i samej sobie. Na moja panią spadło nie mniej cierpienie, ale ona przyciąga serca, a nie odpycha – Bo nie jest głupia. Nad biedną kicią się zlitują, nad wierzgającą oślicą – nie.

– Jej wysokość jest aniołem – z uczuciem powiedział hrabia – ale... Mam nadzieję, że zostanie to między nami. Cierpienie mojej kuzynki jest starsze od jej wdowieństwa. Ona była nieszczęśliwa w małżeństwie.

– Stwórcu! – Luiza poprawiła pasmo włosów, wysunięte spod kapelusza – A czy był szczęśliwy w małżeństwie Egmont Ockdell?

– Kuzyn nie żyje – Larack zawrócił swoją chabetę w kierunku byle jak oczyszczonego mostu – i nie mnie jego sądzić.

Jeśli w przekładzie ze szlacheckiego na ludzki to nie oznacza, że prawie święty Egmont grzał cudze łóżka, to Luiza Aramona jest ślicznotką przewyższającą Mariannę, a sterczące przed nosem ruiny – alvaseckim pałacem. Z fontannami.

2

Z otwartych na oścież wrót, nad którymi zawisała zardzewiała brona, wyskoczyło kilka beznadziejnie chudych psów. Widocznie były to nadorskie gończe. A może charty albo wilczarze, ale w żadnym razie nie pudle. Pudle powinny być malutkie.

– Boi się pani psów? – ręka Ivona wciąż jeszcze ścisnęła cugle kobyłki Luizy.

– Nie – uśmiechnęła się kapitanowa – boję się zimna i czasami ludzi.

– Zarządź, by w pani pokojach palono rano i wieczorem.

– Dziękuję panu – zupełnie szczerze odpowiedziała kapitanowa, z powątpiewaniem patrząc na wypełzający z obgryzionych czasem kominów wąły dymek – Nie chciałabym umrzeć z przeziębienia.

– Niech pani tak nie żartuje – zdenerwował się Ivon – pani jest jeszcze taka młoda...

Luiza zmilczała, chociaż kusiło ją dorzucić „i piękna”.

Przy akompaniamencie niemilknącego ujadania kawalkada wjechała w obłupane wrota. Na spotkanie wyskoczyła nieliczna czeladź, prowadzona przez wyliniałego żołnierza z godnym gospodarza piórem. Kapitan Rut, przypuszczalnie.

Ludzie uśmiechali się powitalnie, ale główny podest był pusty, a na zaśnieżonych poręczach z miną prawowitej gospodyni siedziała mroczna szara wrona. Pani Aramona z trudem zdławiła w sobie pragnienie oznajmić ptakowi, że najdroższy syn śle ze stolicy pokłon i wyrazy szacunku.

– Daisy! – Iris osadziła konia u białych puszystych stopni i zeskoczyła na dół, zręcznie unikając pomocy kuzyna i płosząc wronę. Wrzasnąwszy coś swarliwego, boży ptaszek przefrunął na mur. Iris objęła pulchniutką młodkę, wyraźnie brzemienną. A ktoś tu obiecał nie spoufalać się ze służącymi.

– Pozwoli pani? – Luiza mogłaby zleźć z konia sama, ale postanowiła sprawdzić, jak odbije się na Laracku bliskość prawowitej małżonki. Nie odbiła się nijak. Hrabia jak wcześniej był staromodnie dżentelmeński.

– Witamy w Nadorze – wypowiedział, patrząc na Luizę oczami jednocześnie psimi i anielskimi – Tym murom tak brakowało prawdziwej piękności.

Dobrze, że ją trzymali, inaczej siadłaby wprost na przysypany popiołem śnieg. Prawdziwa piękność... Gdyby mateczka to usłyszała, ależ by było śmiechu!

– To kapitan Rut – Iris, z błyszczącymi oczami pociągnęła zauważonego przez Luizę żołnierza do ganku – On odmawiał uczenia mnie walki szpadą. A to – kapitan Levforge. On jest z Epineix i wszystkiego mnie nauczył. Prawda, Raul?

– Jeśli monsignore pozwoli – Levforge pierwszy raz słyszał o postanowieniu Iri pobierać lekcje fechtunku.

– Pozwoli – ucięła „narzeczona” – Rober mi na wszystko pozwoli. A gdzie Deirdre i Edith?

– Jej miłość kazała otworzyć Herbową Salę – kapitan Rut wyraźnie wolałby zapaść się pod ziemię – Jest tam razem z córkami, hrabiną Larack i ojcem Matteo.

– No proszę – ściągnęła brewki Iris – Pani Aramona, Selino, kapitanie Levforge, proszę o wybaczenie za stan, w jakim znajduje się Nador. Winą temu jest niedbalstwo księżnej wdowy, ale drwa i gorąca woda znajdują się i tutaj. A jeśli nie, to zawsze możemy wrócić do gospody.

– Kuzynko – kwaknął Nal – pani Mirabella nie miała na myśli nic... To znaczy, ona otworzyła salę paradną, najbardziej paradną...

– Reginaldzie – w kamiennej studni głos Iris wydawał się głośny i dźwięczny jak zew bojowej trąbki – proszę pozwolić, że oprę się o pana ramię. Chcę zobaczyć się z siostrami i ojcem Matteo. Kapitanie Levforge, proszę zaopiekować się końmi. One mogą zachorować, szczególnie jeśli należą do mnie.

– Proszę, kuzynko – wierny Reginald był gotów walczyć za swoją damę nie tylko z jakimś pierwotnym stworem, ale i z krewną.

Daisy jęknęła zdławionym głosem, ktoś ze służących, sądząc po wyglądzie, koniuszy, chciał coś powiedzieć, ale Iris, ciągnąc za sobą kuzyna, już ruszyła ku gankowi. Selina obejrzała się na matkę i pobiegła śladem, kapitan Levforge, wybierając między koźmi i panną, spokojnie wybrał pannę. Może z czasem coś mu się uda...

– Mam nadzieję, że wybaczy pani księżnej jej nieobecność – Ivon niemal usechł w oczach – Jej niezadowolenie w żaden sposób nie jest skierowane na panią.

– Wolałabym, żeby było odwrotnie – zapewniła Luiza, wlokąc nieszczęśnika w pieczarę smoczycy – I co teraz będzie?

– Boję się nawet pomyśleć – szepnął Larack – ale kuzynka Mirabella zawsze udzielała nagany dzieciom i... i wszystkim członkom rodziny w paradnych pokojach.

Ileż trudności! Aglaia Credon, żeby postawić dzieci i czeladź na miejsce, wykorzystywała podręczne środki i zawsze osiągała sukces. Siła mateczki leżała w jej słabości, a słabość nadorskiej idiotki – w jej głupocie.

– Hrabio, zrobiliśmy wszystko, teraz możemy jedynie liczyć na miłosierdzie Stwórcy – Luiza oparła się o łokieć Ivona, rozrywając się między obowiązkiem duenii i pragnieniem rozkoszowania się w pełni spotkaniem nadorskich księżnych. To było koszmarnie, ale ciekawość szybko brało górę.

3

W Herbowej Sali było nie tyle chłodno, co wilgotno i stęchło. W ogromnym, akurat do pieczenia byka, kominku nie płonął ogień, pachniało spalenizną, wilgocią i starymi kadzidłami. Pogrzebowymi, naturalnie.

Zakutana w szarość Mirabella jak wyrzut sumienia siedziała u szczytu stołu, długiego jak cmentarny mur. Ręka wdowy spoczywała na sporym, oprawionym w skórę tomie, nad głową krzyżowały się zakopczone belki, na ścianach wybrzuszały się wypalone szpalery. Po lewej stronie mateczki kłuły igielkami tamborki dwie dziewczynki, których ubranie wyrwałoby z piersi Aglai Credon gruchający jęk. Prawą flankę zajmowali szary duchowny i okrągła dama, która dla urozmaicenia wcisnęła się w brązową suknię z czasów Alicji. Musiała to być hrabina Larack.

– Erea Mirabella – głos Ivona, trzeba mu oddać sprawiedliwość, nie drgnął – proszę pozwolić, że przedstawię panią Aramone, jej córkę Selinę i kapitana Południowej Gwardii Levforge'a, towarzyszących księżnej Ockdell.

– Nador jest wam wdzięczny – raczyła powiedzieć Mirabella. Miała rację, zasiadając w Herbowej Sali: sadza i mole zadziwiająco pasowały do szarego woalu – Proszę usiąść. Zaraz będzie podany obiad.

– Tutaj, Iri – szczuplutka dziewczeczka odłożyła tamborek i zerwała się niezgrabnie.

– Usiądź, Edith – rozkazała księżna wdowa – Goście Nadoru nie mogą zająć miejsca gospodarzy.

Edith rozejrzała się bezradnie i opadła z powrotem na ławkę, spychając na podłogę durną robótkę. Mirabella poprawiła woal. Święta Oktawio, ona pewnie i śpi w takiej sali, zaczepiwszy nogami za belki, zawiśnie głową w dół i śpi.

– Znajdę, gdzie usiąść – Iris odwróciła się plecami i do matki i poszła przed siebie. Luiza odstąpiła ku przeżartej szpalerze, skąd odkrywało się zadziwiające widowisko.

Mirabella Ockdell groźnie spozierała na niepokorną córkę. Niepokorna córka w szkarłatnym płaszczu, z zadartą głową, maszerowała obok zamarych krewnych. Swarliwie skrzypiały rozeschnięte deski, w przebijających się przez mętne witraże słupach światła z godnością fruwał pamiętający jeszcze świętego Alana mol.

– Kuzynko – wypalił Reginald – kuzynko, proszę nie wychodzić... Erea Mirabella żartowała...

– Moja matka nie umie żartować – Iris zatrzymała się przy przeciwległym końcu stołu i pociągnęła potworny drewniany fotel, bez wątplenia żyjący wspomnieniami o lędźwiach zabitych Alana świętego i Egmonta. Reginald, który postanowił iść do końca, pospieszył kuzynce na pomoc. Mogiła czarnego drzewa z oburzeniem zaskrzypiała i poddała się, Iris opadła na szerokie siedzisko i oparła się rękami o stół. Mirabella szarpnęła się jakby ukąsiło ją coś giętkiego i jadowitego.

– To fotel głowy Domu Skał – rozkleiła usta księżna wdowa – Ty zająłeś miejsce Egmonta Ockdella!

No proszę, okazuje się, że Mirabella ma oczy i nawet próbuje ciskać nimi błyskawice.

Matka i córka patrzyły na siebie przez stół jak dwie rozwścieczone kocice.

– To miejsce Władcy Skał – wyszczała Iris – a naprzeciwko miejsce jego małżonki. Miejsce księżnej wdowy znajduje się po prawej stronie gospodarza, a siostr i braci – po lewej zgodnie ze starszeństwem. Ojciec Matteo, wyjaśniał pan to właśnie tak.

– Tak było nakazane – pasterz uniósł oczy ku plamistemu stropowi, ni to prosząc o radę siły wyższe, ni to nie chcąc patrzeć w oczy swoim duchowym córkom – Ale Richard Ockdell jest teraz nieobecny...

– A jego żona tym bardziej – przerwała Iris – Zajmę należne mi miejsce, ale tylko po mateczce. Albo zostanę tutaj!

Głos głuptaski rwał się; ona nie ma czego szukać w tej krypcie, i to jeszcze w towarzystwie mamuśki!

– Nie jesteś moją córką – Mirabella zerwała się, nietoperzowymi skrzydłami rozwiął się szary woal – Nie jesteś córką wielkiego Egmonta! Jesteś hańbą domu Ockdellów...

Hańba domu Ockdellów rozeźmiała się. Głośno, głupio, żałośnie; rozeźmiała się i zakaszła. Selina rzuciła się do przyjaciółki, ale Iri tylko potrząsnęła głową.

– Jeśli nie jestem córką Egmonta – ręka w szkarłatnej rękawiczce szarpnęła kołnierz – to powiedz – czyją! Kto jest moim ojcem, kapitan Rut? Ojciec Matteo? A może jakiś koniuch, który truje na twój rozkaz konie?

– Bądź przeklęta – wytchnęła matka – Ty i wszystko, czego dotykasz...

– Erea... Erea Mirabella – Reginald wytoczył się naprzód jak odważna dynia – Nie może pani tak mówić... Iris była z królową w Bagerlee, ona tam poszła sama. Z dobrej woli, a pani tam nie było.

– Milcz – Mirabella nawet nie pisnęła, ona zazgrzytała, jak zgrzyta nóż po dachówce – Miernota! Nasienie gnojarka!

Iris zrobiło się całkiem źle, ona już nie odpychała Seliny i nic nie mówiła, i Luiza rzuciła się do boju.

– Pani – otwierając usta, kapitanowa sama jeszcze nie wiedziała, co powie, ale słowa same się znalazły – Muszę pani oznajmić, że do Rakany przybywają hrabiowie Carlion z Agarisu. Zamierzają zakwestionować prawo pani rodziny do rodowego tytułu.

Podziałało! Nie żeby do megiery dotarło, o czym mowa, ale uderzyła w nowość jak rozpędzony wóz o mur. Wiadro wody byłoby jeszcze lepsze, ale wiadra tu nie ma...

– Nie wątpię – ponuro powiedziała Luiza wprost w bladezielone patrzalki – że jego wysokość z miłości do Robera Epineixa odrzuci te pretensje, ponieważ żoną Władcy Błyskawic może być tylko kobieta równa mu urodzeniem. Oczywiście, Aldo Rakan zna agaryjskich Carlionów od dzieciństwa, ale zwycięstwo przyniósł mu jednak Epineix.

Zwycięstwo rakaniatku przyniosły podłość Manrików i ich głupota, ale to zostawimy na następny raz.

– Erea Mirabella – Ivon Larack wcisnął się między kuzynkę i Luizę – Jego wysokość bardzo ceni zasługi domu Ockdellów... Czytała pani list. On wziął pod swoją opiekę Iris. Jego wysokość nie zrozumie...

– Stwórca nakazuje nam wybaczać – odezwał się ojciec Matteo – Erea Mirabella...

– Mateczko – miauknęła Edith – mateczko, Iris źle się czuje!

Luiza obejrzała się pospiesznie. Selina ciągnęła pobladłą przyjaciółkę ku drzwiom, przed nimi toczył się Nal. Leworeki by porwał tę omszałą idiotkę! Luiza rzuciła się śladem.

– ...pamięci mojego małżonka – dobiegło ją u samego progu – tak jak i mojej wiary w Stwórcę wszelkiego istnienia...

Luiza nie wytrzymała, święta Oktawio, kto by to wytrzymał!

– Jego wysokość Aldo niedługo otworzy klasztor – rzuciła księżnej kapitanowa – Niedługo może pani na wieki porzucić ten świat, żeby opłakiwać swojego małżonka. Bez wątpienia, jego wysokość uczyni dla wdowy po Egmoncie Ockdellu wszystko, co tylko możliwe.

Może Mirabella coś odpowiedziała, ale pani Aramona już zatrzasnęła potworne drzwi.

Drzewa za oknem nawet nie szumiały, a ryczały niby krowy w rzeźni. Nie ustawał deszcz, zalewając drżące okna lodowatą wodą. Gigantyczny jesion z dwoma czubkami pod uderzeniami wiatru giał się jak młoda brzoźka. Można było tylko modlić się do wszystkich świętych za tych, którzy byli teraz na morzu, nawet na nieuszkodzonym statku. O na poły rozbitych, pozbawionych masztów okrętach Ruppi starał się nie myśleć, ale nie myśleć, kiedy nie ma co robić, jest bardzo trudno.

Lejtnant zaciągnął zasłony, obciął knoty świec i zaczął budować domek z kart. Nie można powiedzieć, że Rupert fok Felsenburg nigdy nie wyobrażał sobie, że dostał się do niewoli; wyobrażał, i jeszcze jak. Głównie kiedy czytał „Kroniki panowania Friedricha Żelaznego”. W myślach młody hrabia zachowywał się to arogancko, to z godnością, w życiu wszystko stało się zbyt głupio i zbyt szybko. To znaczy wydawało się głupie teraz, a kiedy jemu i Zussowi przywidziało się, że admirał umiera, Ruppi rzuciłby się po pomoc do samego Leworękiego, a co tu mówić o wynurzającej się z ciemności galerze. Obeszło się. Kapitanowi, który okazał się Felpijczykiem, udało się zatamować krew, a rana w rzeczywistości nie była aż tak bardzo niebezpieczna. Tak powiedział gruby lekarz z donośnym głosem, który nawet sobie nie wyobrażał, z czyjego ramienia wyciągnął kawałek taligojskiego żelaza.

Lekarz zalażył opatrunek i odszedł. Kapitan galery coś rozkazał swoim marynarzom, admirała nakryto płaszczem i poniesiono ciemną ulicą. Zaczął padać deszcz, Ruppi, nic nie myśląc, włókł się śladem, zęby mu szczękały, potężny frosher wcisnął mu manierkę, on wypił, nie czując ani smaku, ani zapachu. Jak długo szli, Rupert też nie wiedział. Były jakieś drzwi, potem schody i szybka, krótka rozmowa. Kogoś nie było w domu, ale nosze i tak wniesiono przez duże ciemne drzwi. Lejtnant chciał wejść śladem, nie puszczono go, tylko odprowadzono do pokoju, który wydał mu się czerwony, i usadzono przy kominku.

Plecom było gorąco, ale zęby nadal wystukiwały rytm, a w ogóle to jego miejsce było razem z Olafem. Rupert, nie wymieniając imion, spróbował wyjaśnić to kapitanowi, ten powiedział, że rannym się zaopiekowano i wyszedł. Ruppi został sam. Nie wiedział, co robić; po domu ktoś chodził, trzaskały drzwi, skrzypiały stopnie, rozmawiali ludzie, trzeszczały drwa w kominku, w parapet bębnił nasilający się deszcz. Wszystko razem zlewało się w jednostajny szum, podobny i niepodobny do morskiego. To szumiały jodły Felsenburga. Szumiały i wyciągały czarne łapy do łukowego okna, a za nimi purpurowiało niebo. Ruppi siedział na parapecie i popędzał zmierzch, a na jego kolanach leżał, czekając na swój czas, atlas gwiazdnego nieba.

– Widzę, że mamy gości – wysoki czarnooki człowiek w marynarskiej kurtce na ubrudzonej jedwabnej koszuli ze zmęczoną ciekawością patrzył na Ruperta – Mogę się dowiedzieć, z kim mam honor?

– Rupert fok Felsenburg – Ruppi nie uznał za potrzebne ukrywanie swojego imienia.

– Dajcie mi krzesło! – zakrzyczał nieznajomy – Dajcie mi kaszę, cynamon, palone pióra i cztery świece. Luigi, gdzie ty zdobył krewnego jego wysokości kesara?

Pamiętny kapitan, którego imię Ruppi usłyszał po raz pierwszy, ze znużeniem machnął ręką:

– Wzięliśmy przy Anthenizel. Był z nim ranny, z powodu którego się poddali, i pięciu marynarzy.

– Coś za mało dla takiej osoby – oznajmił czarnooki – I gdzie ich podział?

– Ranny jest tutaj, marynarze na „Rekinie”, razem z innymi...

– Czyli w moim domu jest dwóch – marynarska kurtka poleciała w kąt – Dobrze i to. A właśnie, proszę pozwolić, że się przedstawię. Rotger Valdez.

Szaleniec! We własnej osobie. Ten sam Valdez, którego admirał rankiem chciał wypuścić...

Szaleniec opadł na fotel i zaczął ściągać buty. Sytuacja była taka, że głupszej nie wymyśleć i milczeć było głupiej niż mówić.

– Panie admirałe – wyszczał Ruppi – Na co mam być przygotowany?

– Na poduszkę – Valdez cisnął prawy but w ślad za kurtką i zajął się lewym – przynajmniej dzisiaj.

– Dziękuję – a teraz najważniejsze – Czy mogę zostać z moim... moim towarzyszem?

– Almeida nie zamierzał brać jeńców – admirał skończył z drugim butem i odchylił się na oparcie fotela – czyli nie ma w tej kwestii żadnych zaleceń, trzeba działać według swojej opinii. Panie fok Felsenburg, jeśli już poddał się pan z powodu pańskiego rannego przyjaciela, może się pan nim zajmować ile dusza zapagnie...

– Ruppi? – głos admirała był cichy, ale świadomy – Ruppi, to ty?

– Ja! – Felsenburg jednym skokiem znalazł się przy łóżku – Jak się pan czuje?

– Zdecydowanie żywy – szare oczy ze zdziwieniem przesunęły się po półciemnej komnacie – Gdzie jesteśmy? Nic nie pamiętam...

– Został pan ogłuszony – zaczął Ruppi – reją. I jeszcze ranny, ale ranę już zaszyto.

– Gdzie jesteśmy? I jak się wszystko zakończyło?

Inny kazał by mówić prawdę, ale nie Lodowaty. Admirałowi do głowy by nie przyszło, że jego ludzie mogą łąć. I nie kłamali, nie jemu, przynajmniej ci, którzy mieli sumienie.

– Jesteśmy w Hexbergu – Rupert zająknął się przy odrażającym słowie – w niewoli.

– Tak bym właśnie pomyślał, gdyby nie szkarłatne flagi – cicho powiedział admirał – Czyli Almeida się przecenił. Co z „Noordkrone”?

– Kiedy odpływaliśmy, Schneietal zbierał wszystkich, którzy byli na nogach. Nie mogli utrzymać się w linii, ale postanowili strzelać do końca.

– Niepotrzebnie – Olaf uniósł głowę i skrzywił się – Więcej nic nie wiesz?

– Szautbenacht rozkazał mi zaopiekować się panem. Potrzebował pan lekarza...

– I ty wybrałeś poddanie się? – samymi ustami uśmiechnął się admirał – Muszę ci podziękować. Nie chciałbym umierać z powodu fałszywej dumy.

– Pan... pan naprawdę tak myśli? – wybuchnął Ruppi zanim zrozumiał, co tak naprawdę palnął – Przepraszam.

– Naprawdę tak myślę – potwierdził admirał – Woda tu jest? Podaj mi, proszę.

Woda była, było i wino, ale Ruppi nalał wody. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się opiekować rannym, ale Kaldmeier dał radę unieść się na zdrowej ręce, pozostało tylko przytrzymać szklanekę.

– Wiatr? – admirał znów oparł się na poduszki – Czy to szumi u mnie w głowie?

– Sztorm.

– Tego właśnie się bałem... Nie powiedziałaś mi, gdzie jesteśmy. Nie wygląda to na więzienie.

– Kapitan galery, który nas wziął... On jest Felpijczykiem, ale mieszka u Szaleńca.

– Czyli Valdez – Kaldmeier odruchowo dotknął szramy – Wie, kim jestem?

– Nie, ale ja się przedstawiłem.

– Cóż, a zatem przedstawię się sam.

2

– Podeszliśmy prawie na odległość wystrzału z pistoletu – oczy Berto błysnęły – „Francisk” to jednak flagowiec, nie wypada mu iść na abordaż, za to nas próbowali wziąć. To znaczy nie próbowali, tylko ketzchen pociągnęła ich prosto na nas. A u nas, jak na złość, armaty dolnych pokładów nie załadowane. Kanonierzy pracują, ale nie nadszają, a Driksowie tuż-tuż.

Almiente jak stał, tak stoi, tylko spróbował, jak szpada chodzi, i tutaj „gęsiom” z rufy zachodzi „Czarny lew”. I na całego! Nigdy nie myślałem, że burta rozleci się od razu. Sto beau od nas zaczęli tonąć, a tu i armaty załadowane. No to dołożyliśmy. Po dziobie! Driksowska duma tylko zbulgotać zdążyła...

– Gotowe – Dietrich triumfalnie postawił na stole czarę, z której wrywały się błękitne widmowe ognie.

– Berto – półgłosem odezwał się Gildi do umilkłego na chwilę tenenta – co to jest?

– Wiedźmówka – wyjaśnił Marikjarczyk – Patrz, jak tańczy!

– A ty piłeś? – Luigi z powątpiewaniem spojrzał na płaszący płomień.

– Oczywiście – zapewnił Salina.

– Kapitanie Gildi – Berlinga, który właśnie wyszedł od Almeidy, z wyraźną aprobatą spojrzał na czarę – bardzo mi przykro, ale czeka na pana almirante.

– Idę – może on coś stracił, może nawet wiele, ale Luigi nie czuł najmniejszej ochoty łykać

ogień.

– Almirante czeka – oznajmił dyżurny tenent, otwierając drzwi do znanego już pokoju. Na spotkanie Luigiemu pędził z uniesioną szpadą Arnould Savignac, płonąła wieś, deptały kłosa długogrzywe konie.

– Wypałeś się? – Almeida, narzuciwszy rozpięty mundur na szkarłatną koszulę, pisał coś, siedząc plecami do okna – Siadaj. Podobno przytargałeś pełne ładownie „gęsi”?

– Tak wyszło – uczciwie przyznał się Luigi – Łódki z żołnierzami nie mogłem przepuścić, a pozostali po prostu tonęli. Rozumiem, że naruszyłem rozkaz, ale walka już się prawie zakończyła.

– Kapitanie Gildi – pochmurnie rzucił Almeida – jest pan Felpijczykiem na służbie księcia Alvy i odpowiada pan tylko przed nim, jeśli w ogóle odpowiada. Nie wydawałem rozkazu nie wyciągać z wody tych, którzy przybyli palić Hexberg, ale też nie zabraniałem. Postanowił pan okazać miłosierdzie, pańska sprawa.

Luigi zmilczał. Marikjarczycy mają swoje prawa i swoje wojny. Taligojskie mundury do czasu ukrywały różnice, ale wyskok Alvy zerwał maski. Nawet te, które zrosły się z twarzami.

– Wiesz przynajmniej, kogo przytargałeś do Hexbergu? – Almeida odłożył pióro i wsunął rękę do rękawów.

– Zapomniałem nazwiska – z ulgą wyznał Luigi – Valdez mówi, że to jakiś krewny kesara.

– Fok Felsenburg – przypomniał admirał – To dobra zdobycz, ale ja nie o nim, a o rannym, z powodu którego się poddał.

– Pamiętam jego ramię, a nie twarz, krew nijak nie chciała przestać płynąć, sam nie wiem, jak ją zatamowałem.

– Następca książąt Felsenburgów służył jako adiutant admirała – wyjaśnił admirał – i nie znam nikogo innego, dla którego chłopiec naplułby na rodzinne fanaberie i rzucił się po pomoc.

– Berto zrobiłby dla pana to samo – a Marcel i Gerard, on sam zresztą też – dla Roke, no a Roke już zrobił. Dla króla, o którym nikt nie powiedział dobrego słowa.

– Mam nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby – Luigi mógłby przysiąc, że Marikjarczyk wspominał o tym, co i on. I jeszcze o „Cammoriście” – Kapitanie Gildi, przyjdzie panu jechać do Neumaru. Mówiąc szczerze, należałoby pana wyprawić tam od razu. Książę Neumarinen może zrozumieć to, czego nie zrozumiałem ani ja, ani pan, ani fok Warzow.

– Mogę wyjechać już jutro – ciekawe, czy admirał wyciągnął swój sztylet, czy też wciąż jeszcze sterczy on w obiciu kajuty, oczekując nowej krwi.

– Przed Przełomem z Hexbergu nie wyjedzie ani jeden kapitan – Marikjarczyk zasunął jakąś szufladę, przekręcił klucz – inaczej więdźmy się obrażą, a jak nie więdźmy, to Hexbergczycy. Pojedzie pan po świętach. Mam nadzieję, że do tego czasu pan admirał będzie mógł podróżować karetą. Będzie sprawiedliwie, jeśli do regenta odprowadzi go pan.

– Dobrze – zgodził się Luigi, chociaż jego zgoda była zbytecznym luksusem.

– W takim razie dość już na dziś – Almeida ciężko wstał zza stołu – W taki sztorm pozostaje tylko spać i pić, bo jest za co.

W poczekalni nic się nie zmieniło, co najwyżej obok pierwszej czary płonąła druga, a do zgromadzonych przy stole oficerów dołączył Alarcon.

– Panowie – puścił oko almirante – nalejecie coś admirałowi i kapitanowi, czy już wszystko wypiliście?

3

Szaleniec stał na progu i mrużył oczy jak kot. Wyglądał czyściej i starzej niż przy pierwszym spotkaniu. Wczoraj Ruppi zapomniał, że frosher jest już dobrze po trzydziestce, dzisiaj przypominały o tym zapadnięte oczy i zmarszczki przy ustach. Jakby całą noc pracował. Albo pił.

– Dzień dobry, panie wiceadmirale Taliga – Olaf Kaldmeier zaczął rozmowę i Ruppi zrozumiał, czym się ona zakończy – Niestety, nie mogę z panem rozmawiać stojąc.

– Jeszcze pan będzie mógł – Rotger Valdez wysunął krzesło i usiadł, wyciągając nogi w czarnych butach – Muszę panu powiedzieć, że pogoda jest dzisiaj paskudna.

– Panie Valdez – Olafowi było trudno mówić, ale on nie umilknie, dopóki nie powie wszystkiego, co chce – Cieszę się, że mogę sam się przedstawić. Jestem Olaf Kaldmeier.

Szaleniec gwizdnął.

- A mnie się wydawało, że ja pana tak dobrze nie poznałem! Cóż, jajka rozbite, mleko rozlane, i wyboru już nie ma. Nie podoba mi się to, lubię swobodę ruchu.
- Ja bym też wybrał inne wyjście – z wysiłkiem uśmiechnął się Olaf – zapewniam pana.
- Nie, niech już lepiej wszystko będzie, jak jest – frosher błysnął zębami, może jego matka i była z północy, ale na synu to się nie odbiło – Pan, admirale, nie może pić, a ja z takiej okazji nie pić nie mogę. Panie fok Felsenburg, podzieli pan ze mną moją przywarę?
- Wypij, Ruppi – pozwolił admirał, próbując unieść się na zdrowym łokciu – Mogę pana poprosić, by opowiedział pan o końcu starcia?
- Nigdy nie znosiłem raportów – Szaleniec wziął dzbanek – ale raport wiceadmirala Valdeza dla admirała Kaldmeiera – to zupełnie inna sprawa. Zaraz, tylko myśli pozbieram.
- To też było nieprawidłowe, jak i wszystko, co stało się w ostatnich dniach, kiedy powodzenie zamieniło się w pułapkę. Pomyślny wiatr, bezbronne miasto, uprzejmy gospodarz...
- Proszę, panie – w rękach Valdeza były dwa pełne kubki – W tym pokoju zazwyczaj nocuje mój wujaszek Weizel. Jeśli fruwa tu jego duch, to powinno śnić się panu coś nudnego, ale wysoce moralnego. Za osobiste spotkanie, panie admirale. I niech po czymś takim ktoś powie, że fortuna nie jest kotem!
- Dziękuję – Olaf Kaldmeier uśmiechnął się lekko – Valdez, jest pan zadziwiająco gościnnie.
- Owszem – machnął ręką frosher – u mnie wiecznie ktoś gości.
- Ale raczej nie wrodoży admirałowie – admirał postanowił wyjaśnić wszystko od razu i do końca, Ruppi by się z nim zgodził, gdyby Lodowaty był zdrowy. Ale gdyby był zdrowy, to by go tu nie było – Widziałem szkarłatne flagi, wiem, co one oznaczają.
- Wie pan? – zachwycił się Valdez – Jakież pan czytany! Ech, a mówił mi wujaszek Wezelli, że jestem niesolidny, źle wykształcony i rozmieniający się na głupstwa. Miał rację!
- Chce pan powiedzieć, że szkarłatne flagi z błyskawicą nie oznaczają krwawej zemsty? – admirał wyglądał na zdziwionego – Jednak zachowanie admirała Almeidy potwierdza moje słowa, a nie pańskie.
- Wiem tylko o jednej prawdziwej waśni krwi – powiedział Szaleniec – waszej z Bergerami. Lub też, jeśli panu tak pasuje, Bergerów z wami, ale mojej marikjarskiej połowie ona wydaje się taka nużąca.
- Ja bym to nazwał inaczej – gdyby Olaf był zdrowy, to teraz pokręciłby głową – Bergerowie i Gaunau żyją tylko wojną, która nas już zmęczyła. Do szaleństwa. Gdyby Taligojczycy w swoim czasie nie zawarli sojuszu z Bergmarkiem, moglibyśmy spróbować zrozumieć się nawzajem.
- Jestem zbyt lekkomyślny, by tonąć w wiekach – o Szaleńcu mówili, że on będzie się śmiał i w Zmierchu, to wyglądało na prawdę – ale, jak pamiętam, Manlius dogadał się z Agmami z wyrachowania, a nie z miłości. Ona przyszła później.
- Odeszliśmy od tematu czerwonych flag, wiceadmirale – admirał miał dużo do powiedzenia o torskim szaleństwie, ale Valdez był w połowie Bergerem.
- Raios – uniósł palec Szaleniec – moi wyspiarscy krewniacy nazywają dziwiące pana flagi właśnie tak. One oznaczają, że rozmowę prowadzi się na prawach Marikjary, tylko tyle. Inna sprawa, że zgodnie z tymi prawami rzeczywiście jesteście naszymi wrogami krwi.
- Ale dlaczego? – nie zrozumiał Lodowaty – Walczymy z Taligiem nie pierwszy rok, wie pan o tym nie gorzej ode mnie, i zawsze eskadra Hexbergu niosła „Zwycięzcę Smoka”. Co się zmieniło?
- Alva znalazł się w Bagerlee – wyjaśnił Valdez – Bunt w Ollarii i Epineix wykluły się z „pawich” jaj, jak i wasza eskapada. To wystarczy.
- Nie widzę związku – palce admirała dotknęły blizny – Zresztą, jeśli to tajemnica, może pan nie mówić.
- Wszystko jest proste jak fiołek – rozłożył ręce Szaleniec – Ci, którzy zamachnęli się na życie, wolność i honor soberano, tak samo jak ich pomocnicy, stają się wrogami krwi wszystkich Kanallijczyków i Marikjarczyków. Dopóki soberano nie zostanie uratowany albo pomszczony. Na dodatek nasz almirante jest wyjątkowo sentymentalny i oddany młodzieńczej przyjaźni. Gdyby nie wasza wizyta, on by w szkarłatnej masce już pędził na ratunek Krukowi. Pan pozbawił tej przyjemności jego i armię fok Warzowa. Naturalnie, Almeida się obraził, ale to nie powód wysyłać dziś w Zmierch tych, których tam nie wzięto wczoraj.
- W takim razie – oczy Olafa napełniły się trwogą – nie pan opowie o bitwie.

– Skończyła się – Valdez splótł palce i oparł na nich podbródek – Strzelać przestano około północy. O tych, którzy wyszli w morze, nie wiem nic. Utopiliśmy jakichś dziesięciu handlarzy, siedmiu zostało ujętych, a dziesięciu związanych. Gdyby nie sztorm, dogonilibyśmy ich.

Pański przyjaciel Luigi Gildi zajął korwetę, poza tym wzięto kilka fregat i sześć lineatów, ale dwa do niczego się nie nadają. Donner się wyrwał, nie bacząc na wszystkie moje wysiłki. Proszę uwierzyć, starałem się. „Święty Eberhard” siadł na mieliźnie przy brzegu, „Kunegunda” i jeszcze ktoś zatoneły, „Łabędź” wyleciał w powietrze na moich oczach. Chyba ładownia z prochem.

– A „Wierna gwiazda”? – oczy admirała błysnęły niedobrze – Uciekła?

– Salina ją wypuścił – potwierdził Szaleniec – Na rozkaz Almeidy. Wojna jest wojną, panowie. Nie mogliśmy sobie pozwolić na utopienie takiego sojusznika jak Bermesser, ale co postanowiło, morze, tego nie wiem. Słyszycie?

– Sztorm...

– Łagodnie powiedziane. Do portu wrócili nawet strażnicy. To, co słyszycie, to tylko echo. Prawdziwa pogoda jest na północ od zatoki, ale nasz drogi Werner mógł przeskoczyć. Fortuna niżej świeżą rybkę na przemian ze zdechłą. Ocaliliście wy, czyli ocalał jakiś Bermesser, albo nawet dwóch.

– Na północ, znaczy – admirał myślał nie o łotrze-dezserterze, a o okaleczonych okrętach. Wyszły na otwarte morze, mając nadzieję na ratunek, ale trafili z deszczu pod rynnę – Cóż, niech im Stwórca dopomoże.

– Ja bym na niego nie liczył – wyszczerzył się frosher – Wybraliście pechowego opiekuna dla waszej awantury. Hexbergskie wiedźmy mają nad Stwórcą nader istotną przewagę: one naprawdę istnieją.

Lodowaty nie odpowiedział. To było tchórzostwo, ale Rupert nie mógł spojrzeć w twarz admirałowi. Spojrzał na kubek w swojej dłoni i spiesznie upił. Nie wino, coś o wiele mocniejszego. Zrobiło się gorąco, wiatr znów wleciał do kominów, posępne, złowieszcze wycie zawstydziłoby każdego upiora.

– Opowiedzieć o bitwie przy mieście? – Szaleniec zdjął z palca pierścień z zielonym kamieniem, podrzucił i zręcznie złapał – Muszę przyznać, że zobaczywszy Donnera, poczułem rozczarowanie.

– Niech pan opowie – myśli admirała wędrowały gdzieś daleko i Valdez to zrozumiał.

– Nie – wiceadmirał rozplótł palce i wstał – nie opowiem. Donner robił wszystko, co mógł, ja też, potem podszedł Almeida. I to tyle, co powinni znać potomni.

W kominie złowieszczo zawyło, burza rzuciła się w okno z nową siłą, zamigotały świece, szaleńczo zadrżały szkła.

– Wiedział pan, że przyjdzie pomoc, czy zamierzał pan naprawdę umrzeć? – Olaf jednak dał radę usiąść, opierając się o poduszki, jeszcze tego brakowało!

– Wiedziałem – Szaleniec odsunął zasłonę, blado błysnęło okno, za nim szalało coś nieopisanego – Ale i trochę zamierzałem umrzeć. Tak na wszelki wypadek.

– Pan i tym bardziej księżę Alva – Lodowaty nie odrywał spojrzenia od odwróconego rozmówcy – na naszym miejscu postąpilibyście tak samo.

– Koniec, już po jesionie – Rotger Valdez wypuścił zielony aksamit i odwrócił się – No więc o czym to mówiliśmy?

– O tym – ostro powiedział Kaldmeier – że na naszym miejscu postąpilibyście tak jak my.

– Bez wątpienia – potwierdził frosher, uśmiechu na jego twarzy już nie było – Jeśli uważać za to miejsce nieprzyjemności, które spadły na wroga. Tyle że Talig przez ostatnie tysiąc lat tylko to robi – broni się. Może chodzi o to, że mamy mnóstwo ziemi i nie tak wielu ludzi, ale my zawsze się bronimy, a na nas napadają. Najczęściej zza rogu. Wy, wasi gaifijscy panowie, kupieni przez nich karierowicze...

Nie, admirałe, jesteśmy na różnych miejscach. Bardzo różnych. Wy pchacie się w cudzy dom, ja was nie puszczam i to, że wy nie zamkniecie rannego w skrzyni, nic nie zmieni. Jak i to, że gdyby Almeida nie wrócił, zdechłbym pod waszymi armatami, ale wy byście nie przeszli.

– Mam co odpowiedzieć – głos Kaldmeiera był zmęczony – tylko to nie ma sensu. Nie zrozumiemy się. Ja jestem Drikseńczykiem, a pan – Taligojczykiem, Bergerem i Marikjare naraz. Ja jestem esperatystą, pan – nawet nie wiem, kim...

– Kim jestem? – Szaleniec przechylił głowę na ramię, wygładził brew i zniecka puścił oko

do Ruppiego – Trudne pytanie. Moja bergerska połowa potępia marikjarską zapalczywość, połowę marikjarską męczy bergerska nuda, a jak na Kenallijczyka nie mam ani słuchu, ani głosu. Dlatego jestem Taligojczykiem. Panowie, potrzebujecie czegoś?

– Ja osobiście nie – admirał jednak pokręcił głową, zapadnięty policzek zadrżał – ale chciałbym wiedzieć, kto jeszcze dostał się do niewoli.

– Kłamie pan – powiedział Valdez, wpatrując się w twarz jeńca – Potrzebuje pan lekarza i to natychmiast. Fok Felsenburg, niech pan mu nie pozwala potrząsać głową. Imiona jeńców poznam, ale nie jest ich tak znów wielu. Sam pan rozumie – zimna woda, zemsta krwi...

CZEŚĆ V SŁOŃCE³⁹

Wychwalać władców za zalety, których nie posiadają – to bezkarnie ich obrażać.
Francois de la Rochefoucauld

ROZDZIAŁ 1 RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 24 dzień Jesiennych Błyskawic

1

To stanie się dzisiaj. Dzisiaj! Za dwie godziny! Aldo Rakan nałoży koronę przodków i nieważne, że złamany chorobą i zdradą Pridda Ernani wyrzekł się jej nie tylko w imieniu swoim, ale i syna. Testament uważany jest za prawomocny tylko wtedy, kiedy testator jest przy zdrowych zmysłach i wolnej woli. Ernani oszalał i nie był sobą z powodu tego, co uczynił jego marszałek. Znalezione pismo – to pismo szaleńca.

Richard Ockdell prawie we wszystkim zgadzał się ze swoim suzerenem, ale nie w tym, że Ośmiornica ratował Taligoję. Hector, jak i wszyscy Priddowie, myślał tylko o sobie, a król – król uznał, że Kenallijczyk i maragoński bastard są lepsi od marszałka, który zapomniał o honorze i przysiędze. Ale czyżby Ernani zabił Charles Epineix, który przysiągł Ollarowi i przyjął z jego rąk marszałkowską buławę?! A może księżę nie mógł przelać krwi Rakanów i zrobił to Ramiro? Prawdy się teraz nie pozna, bo i komu ona potrzebna, ta prawda! Przeszłość jest przeszłością, martwą, a żyć trzeba teraźniejszością w imię przyszłości.

Tylko Rakan odrodzi i ochroni wielkie państwo. Stara krew ma swoje prawa i swoje reguły, nie rządzi nią ani napisane przez ludzi dokumenty, ani wymyślony Stwórca, który zastąpił prawdziwych bogów. Czas Ollarów upłynął – Aldo Rakan został wezwany przez Kertianę na końcu Kręgu, reszta nie ma znaczenia.

Przez oklejone na zimę okna dobiegł świąteczny dzwon – wystrojona Rakana witała swojego króla. Richard Ockdell uśmiechnął się i założył na szyję orderowy łańcuch. Na purpurowym aksamicie tajemniczo zamigotały opale, jasne i chłodne jak poranne gwiazdy. Naieri dla niewtajemniczonych to tylko jedna z błędzących gwiazd, dla znających prawdę – towarzyszka boga Fal. Richard był nieco rozgoryczony, że pierwszym taligojskim orderem została Naieri. Zaiste światem rządzą przypadki: u jubilera znalazły się przepiękne opale, a zabrakło poświęconych bogu Skał złotych topazów, zaś karasy Aldo uznał za niedostatecznie drogie. Oczywiście, dla orderu Litto najlepsze byłyby czarne roje, ale nikt ich nie znajdował już od kilku tysięcy lat.

Richard Ockdell spojrział na zegar, trzeba było się pospieszyć – ceremonię rozpisano minuta po minucie. Orszak Władcy Skał musi przybyć do paradnych wrót za dziesięć jedenasta, nie wcześniej i nie później. Młodzieniec szybko sprawdził szpadę i sztylet, starając się nie myśleć o utraconym pierścieniu. Starożytny kamień zniknął, z tym należy się pogodzić, chociaż jak cudownie byłoby wręczyć brakujący mieczowi karas Aldo w dniu koronacji. Richard w zadumie dotknął rodzowego pierścienia. Każdemu, co jego. Kamień z miecza nie należał do księcia Ockdella i porzucił go, a ojcowski pierścień wrócił. Czyli tak miało być. Żal – to przywara słabych, silni

39 „Słońce” - Wielki Arkan Tarota. Symbolizuje prawdę, dążenie do światła, zaufanie samemu sobie i duchowy spokój, pogodzenie ze swoją „ciemną” stroną. Oznacza osiągnięcie czegoś ważnego; spełnienie pragnień, zwycięstwo,

triumf, przyływ sił, pewność, szczęście, zdrowie lub też znak tego, że powodzenie jest blisko, a wszystkie trudności zostaną pokonane. Karta odwrócona – niezrozumienie, fałszywe przeświadczenie o powodzeniu, zerwanie planów. To niepowodzenie, niebezpieczeństwo, upadek nadziei lub, w najlepszym wypadku, bardzo wątpliwe powodzenie. Coś się spełni, ale nie od razu, nie w pełni i niezupełnie tak, jak miało być. Wskazuje także na zapalczliwość, gniew, niesnaski, problemy ze zdrowiem, rodzinne waśnie.

niczego nie oplakują i niczego nie żałują.

– Monsignore – Jeremy, choć i wyrósł w jakimś miasteczku na granicy z Kadaną, wyglądał na urodzonego Nadorczyka – konie osiodłane, eskorta gotowa.

– Idę!

Młodzieniec z przyjemnością zbiegł po wysłanych złocistym dywanem schodach i wypadł na ganek. Najkrótszy dzień w roku wypełniony był szczęściem i słońcem, wydawało się, że sama zima świętuje zwycięstwo Rakanów. Richard wskoczył w siodło i zakrążyła nim i poniosła niemożliwa, jaśniejąca radość. Czegoś takiego z księciem Ockdellem nie było nawet na Daramie, kiedy mknął na spotkanie wrogiej konnicy. Tamten zachwyt był podobny do kasery, obecna radość dźwięczała i tańczyła niby ruczaj z leczniczą wodą. Władca Skał kochał cały świat, od ukrytych za horyzontem gwiazd do ostatniego żebraka i wiedział, że też jest kochany, a podły napis na ścianie – to się nie liczy! Łajdakom nie uda się zepsuć święta, choćby zdechli!

Richard jechał wśród radosnej gry dzwonów, każąc Karasowi przechodzić nad rzucanymi pod nogi kwiatami. Nieśmiertelników i złotych późnych astrów było trochę szkoda, ale kwiaty kwitną po to, by je ścinano.

*W mgnieniu najwyższej urody śmierć dosięga róż,
lecz jak szczęśliwszy ich krótki, cudny wiek
od losu chwastów, zagubionych przez mróz.*

– Morderca! – wyjący wrzask wyrwał Richarda z błyszczącej bajki, rzucając na wypełnioną ludźmi ulicę. Jeszcze nie wiedząc, co się stało, młodzieniec szarpnął wodze, Karas z dzikim rżeniem stanął dęba, podkute kopyta zawisły nad miotającą się po ulicy staruchą w czerni.

– Zabiłeś mojego syna, zabij i mnie! – krzyczała kobieta, potrząsając wyschniętymi pięściami – Sukinsyn! Zdrajca, duszogub! Rakani lizus!

Cywilnicy, którzy nie wiadomo skąd pojawili się na ulicy, złapali wiedźmę pod ręce i odciągnęli. Starucha wiała się jak yzarg, przeklinając Dicka, suzerena, Insmillera, cały świat.

– Monsignore – Nox niezauważenie znalazł się obok – nie należy się zatrzymywać, to nie nasza sprawa.

– Jedźmy – Richard ponaglił ogiera, koń zarżał krótko i z urazą, na szare kamienie różowym śniegiem padały płaty piany. Różowym od krwi. Ratując wariatkę, rozerwał koniowi wargi! Biedny Karas, ale za późno na powrót, poza tym to zły znak. To nic, jeśli nie naciągać cugli, a kierować nogami, do końca ceremonii on wytrzyma, a potem Jeremy przyprowadzi Sonę. Richard pogładził linarczyka po błyszczącej szyi, koń zachrapał z wdzięcznością i postąpił w przód.

– Chwała Władcom Skał – krzyknęła pulchna mieszcza, rzucając w powietrze żółty czepek – chwała Ockdellom!

– Niech was chroni święty Alan!

– I święta Genevieve!

– Chwała królowi!

– Hura, synu Egmonta!

– Niech żyje Aldo!

– Na pohybel Ollarom!

– Chwała Monsignore'owi!

Tyle kwiatów, uśmiechów, dobrych życzeń... Dlaczego o dobrych słowach się zapomina, a przeklęte wpijają się w duszę niby rzepy? Książę Ockdell nigdy nie widział tamtej staruchy i już tym bardziej nie zabijał jej syna. On w ogóle zabijał tylko na wojnie, ale tam nie ma synów i braci, a są tylko wrogowie.

Jeśli syn wariatki podniósł rękę na Rakanów, książę Ockdell nie jest winny jego śmierci, żołnierz, który zabił zdrajcę, też nie jest winny, ale jak wyjaśnić to matce?

– Monsignore – młodziutka dziewczuszka w białym haftowanym szalu wybiegła na środek ulicy, tuląc do piersi naręcze oplecionej czarnymi i złotymi wstążkami miechunki. Richard wychylił się z siodła, chwycił bukiet, pocałował wyzywające szkarłatne usteczka i obejrzał się na Noxa.

Kapitan już rozwiązywał sakiewkę. Dziewczyna schwyciła monetę i niby wiewiórka czmychnęła w tłum. Richard odprowadzał ją spojrzeniem jak długo mógł, żałując, że nie zapytał o imię. Można było posłać jej szal albo korale, zdaje się, że w szkatułkach na parterze były niezłe perły.

Młodzieniec wygodniej ujął kwiaty i ścisnął kolana. Karas zgodnie potrząsnął głową i przyspieszył kroku.

2

Purpurowe szmatki, pudy złota na szyi i mordy. Nadęte, aroganckie, chciwe, znajome i nieznajome, ale jednakowo obmierzłe. Ludzi tyle, co Rober, Laci, Levi, no i jeszcze pięć-sześć zrzebiąt, ale dzisiaj ona nie będzie się kłócić z Aldo. Po pierwsze, nie ma sensu, a po drugie, jakie by nie było, ale święto. Nawet dwa, chociaż Matylda wołałaby jedno. Zimowy Przełom – to wesoło, bardzo wesoło, jeśli jesteś w domu i o nikogo się nie boisz.

Jej książęca wysokość niezłomnym gestem odsunęła ogromną perukę z puklami i lokami i nałożyła inną, mniejszą. Głowa pod wieczór i tak znacznie swędzieć jak u zapchlonego psa, ale to pół biedy. Bieda czeka za drzwiami, w skórze zwycięstwa. Matylda z obrzydzeniem obejrzała wypełniającą zwierciadło mątwę i padła na fotel. Niezadowolona camerista schowała włochatego potwora do pudełka, mamrocząc coś o tym, że perukę robił najlepszy gaifijski balwierz, a ta, którą nałożyła jej książęca wysokość, jest odpowiednia co najwyżej do spowiedzi, ale nie na koronację.

– Milcz – warknęła Matylda tylko po to, żeby warknąć – Jego świątobliwość wypowiada mnie i bez tego koszmaru.

Marmaluka zrobiła rewerans i wypelzła. Matylda pospiesznie wyjęła manierkę z kaserą, tyknęła i wsunęła skarb za pazuchę, bo na szczęście koronki pozwalały schować na piersi nawet Esperację. Jeśli w taki z dzień z rana nie wypije – to pod wieczór powiesi się albo kogoś zaszlachtuje.

Rozległy się kroki i do garderoby wszedł, czy raczej wkroczył, Aldo. W czym tylko Matylda nie widziała wnuka, ale dzisiaj pohańbił on cały gaifijski dwór z jego misteriami. Niedowarzony anaks naciągnął na siebie białą tunikę, której wyrosły – ni to z powodu jesiennej pory, ni to w poszukiwaniu przyzwoitości – rękawy, ozdobione, jak i dół, złotymi liśćmi palmy. Ową wspaniałość uzupełniały białe spodnie, jeszcze bardziej białe buty, pięć złotych łańcuchów i kuty „galtarski” pas, na którym wisiała szpada.

– Kaftan już nie wystarcza? – wypaliła kochająca babcia przyszłej wysokości.

– Imperium zaczyna się od drobiazgow – wnukowi ani się śniło obrażać albo złościć – Owszem, teraz imperialne ubiory wyglądają dziwnie, ale ludzie się do nich przyzwyczajają.

– Imperatorowie chodzili z gołymi kolanami – burknęła nie zamierzająca się kłócić Matylda – I w ogóle, ty chcesz imperium czy misterium?

– Imperium – roześmiał się parszywiec, obejmując babkę – oczywiście, że imperium. Dość już, nie zrzedź. Zimą po galtarsku nie pochodzisz. Słuchaj, Matyldo...

– Słucham – odcięła się księżna – tylko to robię: ciebie słucham.

– Przyznaj się, chciałaś, żebym się ubrał w sukmanę? I szablę przyczepił?

– A czepiaj choćby holtyjską buławę – mruknęła wdowa – żebyś tylko nie był podobny do koguta w pawich piórach. Po co ci tyle złota?

– Trzeba – twarz wnuka zrobiła się poważna – Cztery łańcuchy, cztery Wielkie Domy. I piąty, łańcuch Władcy. Nie mogę o tym mówić na głos. Na razie nie mogę, ale znaki władzy nałożę już dzisiaj. W dniu Zimowego Przełomu.

3

Wcześniej był Loura, teraz – Insmiller, pytanie jeszcze, kto gorszy. Patrząc na cywilnego komendanta Rakany, Rober Epineix był gotów się zgodzić, że uroda – to podarunek Leworękiego. Przynajmniej taka uroda. Czarnooki oprawca był wspaniały w śnieżnobiałym mundurze ze złotą wstęgą przez ramię i równie białym kapeluszu z zawiniętymi piórami. Koń też był biały i zadziwiająco piękny, chociaż nadawał się tylko do spacerów i parad.

– Monsignore – oznajmił szubienicznik – w mieście wszystko w porządku. Na drodze jego wysokości i głów domów wystawiono strażę, mieszczanie są ubrani jak należy. Może pan być

spokojny.

– Dziękuję – kiwnął Rober, odpędzając słodkie widmo alackiej szabli, rozcinającej pana cywilnego komendanta wzdłuż szarfy. Alva siedzi w Bagerlee, drugiego cudu nie będzie.

– Mam jednak podstawy do obaw, dotyczących tak zwanego hrabiego Meduzy – spojrzenie szubienicznika zaszło mgłą – Wie pan, że maestro Alessandriemu podmieniono nuty? Zamiast marszu „Triumf Aldo Rakana” znalazł spis tak lubianych przez czerń „Płasów na mogiłach”.

– To wszystko?

– Niezupełnie. W kuchniach znaleziono kartkę z pieczęcią Suzy-Muzy, na której był zapisany przepis oczyszczającego naparu na nariańskim liściu⁴⁰. Pan Bernheim postanowił nie ryzykować i wszystkie przygotowane wcześniej dania zostały wyrzucone.

– Miejmy nadzieję, że nowych niespodzianek nie będzie. Sec-Arige, nie wydaje się panu, że już czas?

– Władca Błyskawic przybywa za Władcą Fal – przypomniał kapitan osobistej gwardii księcia Epineix – Pridd dopiero co minął ulicę Zimową. Możemy poczekać jeszcze dziesięć minut.

A możemy jechać pogrzebowym krokiem, to lepsze, niż gapić się na Insmillera wśród spiłowanych kasztanów. Rober dotknął ozdobionego bransoletą Iris nadgarstka i sucho uklonił się cywilnemu komendantowi:

– Cóż, baronie, spotkamy się przy wejściu do Nochy. Sec-Arige, jedziemy.

... Cicha, jakby wymieciona niewidoczną miotłą ulica wlewała się do innej, zapelnionej ludźmi. Pod nogi Drakko upadł wianek różowych nieśmiertelników.

– Niech żyje Epineix! – natrętny wrzask posłużył za sygnał. Wystrojeni mieszczanie cieszyli się głośno z powrotu Rakanów i witali Władcę Błyskawic, Pierwszego Marszałka Taligoi, wnuka wielkiego Guillaume'a i tak dalej. Od wianków i bukietów niesło padliną, a wlatujące w powietrze czepki, czapki i kapelusze wydawały się nietoperzami.

Na rogu Zimowej i Zbrojnej na ulicę wybiegła dziewczyna w bieli i zatrzymała się, wyciągając przed siebie bukiet rudych, podobnych do lampioników kwiatów.

– Gilbert – rzucił Rober – proszę wziąć ten... prezent. I zapłacić.

– Tak, monsignore – odpowiedział Sec-Arige. Rober szarpnął uzdę, omijając dziewczynę z miechunką czy jak tam nazywają się te rudzielce. Ciekawe, co dostaną krzykacze za swoją miłość: pieniądze, chleb, wino, a może po prostu spokojny sen?

W oczy rzuciło się kilku ni to studentów, ni to czeladników w kolorowych kurtkach. Wysoki i rudy wyciągnął zza pazuchy gołębia i podrzucił. Oszołomiony swobodą, zimnem i słońcem ptak omal nie upadł, ale udało mu się wlecieć i zagubić wśród dachów i gałęzi.

– Niech żyje Epineix! – wrzasnął chłopak – Inochodziec w stadzie świń!

– Hura Południe!

– Południe, zrzuć rakanie szmaty! My z tobą!

– Cisnąć północ! – wrzasnął prowodyr, wskakując na podmurówkę kamiennego płotu – Na pohybel Tarakanowi!

Kilku wysokich cywilników, rozpychając tłum, rzuciło się ku awanturnikom, ale ci, na pożegnanie jeszcze raz krzyknawszy „Hura Epineix”, gdzieś czmychnęli i zniknęli. Rober obrócił się: na twarzy Gilberta Sec-Arige'a błąkał się błogi uśmieszek

ROZDZIAŁ 2

RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 24 dzień Jesiennych Błyskawic

⁴⁰ Najsilniejszy ze znanych w Kertianie środków przeczyszczających.

Beczki na koronację nie puszczono – mordą nie wyszedł i nie mordą też, co go uratowało. Gruby garbonosy ogier z maleńkimi chytrymi oczkami lenił się w boksie, Matylda z radością zamieniłaby się z nim miejscami, ale księżnym nikt nie pozwoli chrupać siana. Jej książęca wysokość oparła się o ramię królewskiego wnuka i przy grzechocie orkiestry spelzła z ganku. Święto, a żeby je, zaczęło się.

Aldo dżentelmeńsko wrzucił babkę na doświadczoną białą kobyłę. Bydlątko błyszczało od złota, czaprak ozdabiały heraldyczne zwierze, na uździe brzęczały zawieszki, a grzywa była zebrana jakimiś klamerkami. Paskudy, ich by tak uczesać!

Matylda rozplątała wodze, niezauważalnie dotykając ukrywających manierkę koronek, i burknęła, przypominając sobie o etykietce:

– Dziękuję.

– Matyldo – syknął taligojski król – złościć się będziesz wieczorem, a teraz zachowuj się przyzwoicie.

– Przyzwoicie? – księżna wskazała palcem zeszpeconego konia – Z tym?

– W Galtarze na koniach z nieułożonymi grzywami jeździli tylko plebejusze – uciął wnuczek

– Po prostu nie przywykłaś.

– I nie przywyknę – uprzedziła Matylda – Weź pod uwagę, to pierwszy i ostatni raz.

– Wzięłam – puścił oko Aldo i poprawił splezający na jedno ucho cedrowy wieniec. Matylda z nienawiścią spojrzała na poddanych na czele z Bernheimem i zamilczała. Aldo zmarszczył brwi i wskoczył w siodło.

– Naprzód, wasza książęca wysokość – wicehrabia Meven, któremu w wielkim dniu powierzono paść wdowią tuszę, wziął kobyłę za uzdę. Warto było całe życie jeździć wierzchem, żeby na starość zamienić się w szmaciany tłumok.

Gruchnęła armata, oznajmiając o rozpoczęciu ceremonii, z szybko wybudowanej galerii wyrwało się w górę gołębie stado, trąby zawyły coś zwycięskiego.

– Niech żyje dom Rakanów! – nadłamanym tenorem wykrzyczał mistrz ceremonii Bernheim – Chwała!

Muzykanci zamknęli się, dając drogę ludzkim gardłom, biała kobyła głośno zarżała. Nad czymś takim można tylko rzeć! Aldo kazał koniowi stanąć dęba.

– Chwała Taligo! – zakrzyczał wnuczek, wczepiając się w wodze – Chwała tysiącletniej Taligo!

Matylda zacisnęła zęby i skupiła uwagę na potylicy kapitana gimnetów. Na galeriach syczało i pluło pozdrowieniami stado yzargów, w niebie krążyły i paskudziły gołębie, pobrzękiwał zawieszkami linarczyk jego wysokości wnuka. W Galtarze władcę na koronację prowadził głowa kościoła, ale prosić o podobną usługę Lewiego nie zaryzykował nawet Aldo. A szkoda, Matylda z przyjemnością posłuchałaby odpowiedzi kardynała.

– Chwała Rakanom! – natęzał się Bernheim – Chwała wielkim Rakanom!

– Niech nam żyje Aldo Piegwszy!

– Aldo Wielki!

– Wiwat Taligoja, wiwat Rakanowie!

– Chwała! - podchwyciła gotowa do żarcia kamaryla – Niech żyje!.. Wielki dzień... Co za szczęście...

Padlinożercy! Yzargi na końskim ciele! Grubi i chudzi, starzy i młodzi, Agaryjczycy i miejscowi brzęczeli łańcuchami, błyszczeli kosztownościami, pachnieli, kichali, następowali sobie na nogi, wili się, szumieli, bili ogonami, wyobrażając z siebie konie i orły. Kanalie!

Znów gruchnęły armaty. Dużo armat. I jeszcze raz... I jeszcze... Cztery wystrzały – początek ruchu. Orkiestra zagrała kolejny marsz, całkiem niezły. Twoją kawalerię, przecież to „Pochód Balinta”, wykoślawiony, ale możliwy do rozpoznania! Przez przeróbki i huk bębnowy wyraźnie przebijała się zuchowata znajoma melodia. Tak samo ukradzioną, jak złote łańcuchy na Bernheimach i Wanagach, jak całe to „zwycięstwo”.

– Niech żyje księżna Matylda! – Templeton! Dureń, znalazł sobie okrzyk! – Chwała wspaniałej Matyldzie!

– Wasza książęca wysokość – zawył ktoś z przyklejonym do gęby zachwytem – pani jest jak królowa! Królowa!

– Wiwat królewska Matylda – ryczał Wanag – Chwała!

– Widzisz – wymruczał Aldo – jak cię kochają?

Kochają! Jasne, już się rozpędzili! Tak kochają, że nawet kosteczki nie zostawiają.

– Jedziemy? – pochmurnie zapytała królewska Matylda – Czy niech jeszcze powrzeszczą?

– Pora – Aldo i wcześniej nie zauważał czyichś nastrojów, a już dzisiaj nawet nie ma co mówić – Wszystko pamiętasz?

– Twoją kawalerię! – zapewniła księżna i, nie mogąc się powstrzymać, dodała: – Oczy moje

by na ten cyrk nie patrzyły.

2

Za Domem Skał zawsze idzie Dom Wiatru, za Wiatrami idą Fale, a za nimi – Błyskawice. Władcy są równi między sobą, ale pierwszy idzie Pan Kręgu. Dzisiaj to Ockdellowie, ale jakże nieprzyjemnie stać obok Ośmiornicy!

– Władca Fal! – jakby w odpowiedzi wrzasnął potężny konny herold – Niech żyje Władca Fal księżę Pridd!

Niedobrze, że na koronacji są tylko trzy domy z czterech, ale Dom Wiatru jest już prawie martwy. Roke do sądu nie wyjdzie z Bagerlee, a oprócz niego żyje tylko troje wywiezionych przez Manrika dzieci. Aldo da im tytuły i włości, ale najpierw Karla i jego siostry trzeba wykraść albo wykupić, a to niełatwe. W Neumarinen i Priddzie księcia uważa się za następcę Ollarów, ale to następca Domu Wiatru. Jedyny.

Ofiara Katariny Arigau nie była na darmo. Gdyby nie było tego dziecka, Kertiana straciłaby jeden z Wielkich Domów. Nieważne, że w oczach ignorantów Karl jest bękartem albo Ollarem; w jego żyłach płynie krew Borrasca. Urodził się jako głowa domu Wiatru, ale zgodnie z obecnymi prawami chłopiec nie jest Alvą. Nawet jeśli Manrikowie wykorzystają spowiedź Ernani, niczego to nie zmieni. Niebezpieczny jest tylko Kruk. Święty Alanie, co za szczęście, że Alva nie ma dzieci z prawego łoża i Aldo nie stoi przed wyborem – pokój albo życie dziecka. Jako władca, suzeren powinien wybrać Kertianę, ale posłać na śmierć niewinnego... To straszne!

– Chwała Władcom Fal! – w oplecione szkarłatnymi aksamitnymi różami wrota wjechał Walentyn. Teraz Richard mógł zobaczyć, jak wyglądał on sam, przecież wszyscy Władcy szli zgodnie z jednymi i tymi samymi wskazówkami mistrza ceremonii Bernheima. Dick spróbował wyobrazić sobie na miejscu szarego moriska Karasa i zamienić pogrzebowy aksamit na purpurowy. Zdaje się, że wyglądał nieźle!

Rozległo się dudniące bicie bębnow. Walentyn zrównał się z kolejną arką i osadził ogiera. Pod jasnym słońcem koń i jeździec nie wydawali się śnieżnymi widmami, ale poczucie groźby, budzące się w obecności Władcy Fal, nie zniknęło. Bębny umilkły, Pridd wyjął z pochwy ostrze. Nie szpadę – miecz! Richard też mógł wziąć klingę, wykutą w czasach Alana. Nie domyślił się!

– Kogo szuka Władca Fal? – zapytał herold – I dlaczego w jego rękach jest miecz?

– Szukam mojego króla – na dźwięk zniechęconego głosu Richard zacisnął zęby – Moja ręka i mój honor należy do niego i Taligoi.

Hector Pridd też wypowiadał te słowa, znalezione przez Richarda w starych kronikach na prośbę Aldo.

– Zajmij swoje miejsce i czekaj.

– Będę czekać, ile będzie trzeba.

– Niech tak będzie!

Znów zahuczały bębny, dołączył do nich flet. Walentyn wcisnął miecz w pochwę i kazał moriskowi cofnąć się ku fioletowym jeźdźcom. To nie było trudne, Richard zrobiłby to samo, gdyby Karas nie miał uszkodzonych warg.

Władca Fal zatrzymał konia obok niosącego rodowy sztandar jasnowłosego pazia i podniósł rękę. Orkiestra zagrała marsz, nie ten, który grano na cześć Ockdellów, a bardziej płynny. Mentor Alessanri ułożył marsze dla wszystkich Władców oraz cykl „Triumf Rakanów”, zajmujący równo tyle czasu, ile będzie trwać pochód do Nochy. Muzycy repetowali w tajemnicy. Richard nie był pewien, czy nawet Aldo słyszał poświęconą mu muzykę, a muzyka była dobra. Nawet zbyt dobra dla potomka Hectora Pridda.

Walentyn uniósł się w strzemionach i skierował moriska na przeznaczone Domowi Fal miejsce. Richard spał się, wiedział, że on i Ośmiornica będą musieli stanąć obok siebie, ale to było odrażające. Morisk Walentyna wysoko, jakby tańczył, podnosił nogi, potrząsał długą, niestrzyżoną grzywą. Jeździec siedział nieruchomo, niby lalka albo wychodziec. Richard widział, jak zbliżała się zniechęcona długa twarz, obojętna, z pogardliwie wydętą wargą. Władca Fal myślał nie o wielkim święcie, a o tym, jak okazać swoją nieprzyjaźń Domowi Skał.

Kiedy między Karasem a szarym pozostało nie więcej jak dziesięć beau, Ośmiornica zawrócił konia. Obok Dicka przepłynął rzeźbiony profil, błysnął księżęcy łańcuch, miękkim srebrem przelał

się płaszcz. Młodzieniec patrzył na szereg południowych gimnetów i nie od razu pojął, że coś jest nie tak. Co konkretnie, książę Ockdell nie widział. Nie mógł widzieć, ale stukot kopyt nie ucichał, czyli Pridd się nie zatrzymał.

Obca nienawiść i nieobecny Wiatr ustrzegli Richarda Ockdella od konieczności stania obok wroga, a Walentyn był właśnie wrogiem. Osobistym wrogiem księcia Ockdella i o wiele niebezpieczniejszym, niż Esteban ze wszystkimi swoimi gnojarkami. Dopiero po przeczytaniu testamentu Ernani Richard w pełni sobie uświadomił, czego można oczekiwać od Ośmiornic. Suzeren jest zbyt wielkoduszny, żeby zrozumieć – Hector Pridd nie ratował państwa, on chciał przejąć władzę. I nikt nie powiedział, że potomkowi zdrajcy nie przyjdzie do głowy taka sama myśl.

3

– Mój władco, Dom Błyskawic jest wierny Domowi Rakanów, a poręką tego – moja Krew i mój Honor – krwi na razie wystarczy, za to honoru nie zostało, tenent Epineix wyrzucił go na rozkaz dziadka do rynsztoka, nawet nie rozumiejąc, co robi. Honor, przysięga, obietnice... Słowa, które dla jednych znaczą wszystko, dla innych – nic.

– Wierzymy Władcy Błyskawic – ucieszył Aldo zmarłego Drakko. Ostatnimi czasy suzeren wybierał towarzystwo Dicka i Insmillera, a sam Rober, ku burzliwej radości Nicolasa, zamienił się w wytrawnego południowca. Południe i północ... Wcześniej to był po prostu Talig.

– Co rozkaże mój władca? – obce słowa, puste, suche jak skóra węża.

– Twój koń pójdzie obok naszego – podniosło oznajmił suzeren. Stwory Zmierzchu, jak Archibald mógł stworzyć takie brednie? Sarassan z wielośmiertnym baronem pomogli czy co? Akurat w ich stylu!

– Podążam za moim władcą – pokornie zakończył rytuał Inochodziec i zawrócił Drakko, jednocześnie kazać mu odstąpić w bok, żeby przepuścić Rocksleya i Mevena z królewskimi linarczykami na postronkach.

– Wasza wysokość – uradował herold, kierujący ceremonią – przed wami – Dom Fal. Jego głowa pragnie stanąć przed władcą.

– Niech książę Pridd się zbliży. Chcemy go widzieć – te same słowa, te same gesty, tylko muzyka inna. Jeśli coś się dzisiaj udało, to pogoda i marsze.

– Na rozkaz króla! – pomocnik herolda odłączył się od świty i krótkim galopem popędził do szarej statui. Władca Fal znów pojawił się w żałobie, i ta żałoba nie była smutkiem, a wyzwaniem. Rzuconym komu? Richardowi Ockdellowi czy całemu światu?

Zagrały trąbki i srebrzysty morisk jak jeleni zerwał się z miejsca. Wspaniały koń! Gdyby Aldo jeździł bodaj w połowie tak dobrze jak Pridd! Ale konia, szpadę i gitarę trzeba czuć. Inaczej uczysz się czy nie uczysz – wyżej kury nie polecisz.

– Władca Fal zjawiał się na wezwanie swojego władcy – oznajmił herold tępym tonem. Dlaczego obojętność tak często jest przyjmowana za majestat, słabość – za dobroć, a bezczelność za śmiałość? Wilki nie szczekają, a pudle nie milczą.

– Słuchamy księcia Pridda – suzeren kolejny raz dotknął wieńca z królewskiego cedru, jakby sprawdzał, czy ten nie upadł.

– Mój władco, Dom Fal wierny jest Domowi Rakanów, a poręką tego – moja Krew i mój Honor.

Ależ lodowata bestia, ale Ośmiornicy po drodze z Rakanami. Priddowie nic nie są winni Ollarom, poza śmiercią. Zaczęło się od zabójstwa Hectora, zakończyło zagładą rodziny.

– Wierzymy Władcy Fal – właśnie tak odpowiadali starożytni anaksowie swoim eorom. I umacniali swoje zaufanie zakładnikami i łapówkami.

– Co rozkaże władca? – Pridd miał rytuał w małym palcu, Aldo mógł być zadowolony. Wyrwijące się z duszy uczucia psują pamięć, chytrość i obojętność są dla niej pożyteczne.

– Twój koń pójdzie obok naszego – powiedział suzeren i Rocksley z Templetonem poprowadzili królewskie rumaki dalej, obok zajętej przez orkiestrę galerii.

– Podążam za moim władcą – potwierdził Władca Fal. Szary morisk stanął z lewej strony Drakko. Błyskawica, Fale, Wiatr, Skały...

Władcy są równi przed sobą i swoim panem. Równi... Alva, który nie zdradził Ferdynanda,

Epineix, który zamyślił zdradę, Dickon, który uwielbia suzerena i niepojęty, śliski Pridd. Cztery żywioty, cztery losy, co oni mają wspólnego, poza Przełosem?

Linarczyk Aldo zrównał się z orkiestrą i siwy maestro pięknie opadł na kolana, nie przerywając przy tym dyrygowania. Zimowe słońce tańczyło na rzucającej wyzwanie złotu miedzi, bębny i skrzypce przysięgały wierność i wróżyły zwycięstwa, ale gitara bez strun zagłuszyła huk orkiestry.

Rocksley zwolnił, zza oplecionej zielenią balustrady wyskoczyły zarumienione dzieci w gwiazdzistych ubrankach, pod końskie nogi posypały się kwiaty i cekiny, w niebo pofrunęło kolejne gołębnie stado. Muzycy ostro zmienili rytm, grając coś groźnego i płynnego, potem włączył się chór – Rober nie od razu zrozumiał, że śpiewają po galtarsku. Aldo słuchał, po imperatorsku skrzyżowawszy ręce na piersi. Więc to dlatego konie anaksów prowadzone były pod uzdę!

Triumfalne akordy zatopiły plac jak dym niewidocznego pożaru. Wiatr igrał błyszczącymi nićmi i cekinami, obsypując nimi zamarte konie i martwe kwiaty. Szkarłatna iskra kroplą krwi drżała na peruce Matyldy, sama księżna wdowa patrzyła ponad ozdobionym girlandami murem – tam, za horyzontem, był Alat. Silna młoda ręka wpiła się w złote koronki niby w wodze – Matylda go unika. Dlaczego? Czy nie dlatego, że uznała – to marszałek popycha swojego króla w przepaść?

Huk bębnow złał się z armatnimi wystrzałami, głośno i harmonijnie uderzyły dzwony Świętego Fabiana, który stał się Świętym Alanem. Nauczyciel, który zakrył sobą wychowanka, rycerz, który chwycił za sztylet, który z nich jest bardziej święty?

– Chwała królowi! – ogłosił chór – Chwała i Wieczność!

Prowadzący poprowadzili konie na spotkanie Wiatru i Skał, ale Wiatru nie ma i Dick będzie musiał jechać koń w koń z Walentynem. Muzycy odprowadzili kawalkadę brawurowym marszem, zza galerii pokazał się liliowy szereg, urywający się przesyconą słońcem pustką.

– Co to znaczy? – Aldo osadził konia, który krzyknął z nieoczekiwanego bólu – Odpowiadać.

Nie było komu odpowiadać. Mistrz ceremonii Bernheim, wyprzedzając orszak, mknął ku Nosze, herald gapił się na dziurę, rozdzielającą liliowe i czarne mundury. Wśród szarych kamiennych płyt zapłonęła, przecięła po oczach szalona niebieska iskra. Sztylet! Ktoś wetknął go w szczelinę, kto?!

– Przynieść – Aldo już się opanował. Coś burknęła Matylda, przejmując wodze. Douglas Templeton skinął głową i szybko wyszarpnął ostrze.

– Daj – ręce suzerena złapały błyszczącą szafirową rękojeść, nic się nie stało – Kto zna tę broń?!

– Ja – na twarzy Walentyna Pridda nie drgnął ani jeden mięsień – To sztylet Borrasca, uznałem tę rzecz za dostojny prezent w tak znakomitym dniu.

– Ten sztylet zaiste jest bezcenny – oczy Aldo zapłonęły – ale jak znalazł się na placu?

– Mój zmarły ojciec uważał za konieczne studiowanie galtarskich manuskryptów – Władca Fal wydawał się lekko zdziwiony. Niby mentor, którego zapytano, dlaczego nocami zapala się świece – Zgodnie ze statutem Ernani Świętego, jeśli herb Domu nie został rozbity, ale jego głowa nie może być obecny na ważnej ceremonii, na tym miejscu, gdzie powinien on stać, wbija się w ziemię rodowy sztylet.

„Nikt nie może zamienić nikogo, nikt nie może zająć niczyjego miejsca. To obraża anaksa i cały świat”. Tak pisze Pauzanasz Starszy. Sądziłem, że to jego prace posłużyły za podstawę dzisiejszej ceremonii. Popeliłem błąd?

– Nie – nachmurzył się Aldo – błąd popełnił Bernheim. Dziękujemy księciu Priddowi za jego naprawienie.

– Nie sądziłem, że pan mistrz ceremonii nie ma prac Pauzanasza – uniósł brew Ośmiornica – Hrabia Bernheim przedstawił mi się jako głowie Domu i zapewnił mnie, że pomoc nie jest mu potrzebna.

– Bernheim przecenił swoją wiedzę – skrzywił się Aldo – Księżę, zapobiegając wykoślawieniu starych obyczajów, wyświadczył nam pan wielką przysługę. Nagradzamy pana orderem Ewro, co zostanie ogłoszone na dużym przyjęciu.

– Dom Fal wierny jest swojemu słowu – oczy Ośmiornicy zrobiły się twarde – Mój Honor i moja Krew należą do mojego króla i mojego królestwa.

– I wiedza też – suzeren wyraźnie wycelował w dziedzictwo Waltera Pridda – Chcemy znać historię sztyletu Borrasca. Jak to się stało, że znalazł się on w Domu Fal?

– Przypominał o naszym długu wobec Domu Wiatru – zimno wyjaśnił Walentyn – zamierzałem go spłacić. Teraz to łatwiejsze, i ja zapłacę. Wszystko.

ROZDZIAŁ 3

RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 24 dzień Jesiennych Błyskawic

1

Wrota Nochy były otwarte na oścież, gimneci, cywilnicy i południowcy Epineixa z trudem powstrzymywali pragnących zobaczyć króla mieszczan. Nie minęły nawet dwa miesiące, a Taligoja przyjęła i pokochała Aldo Rakana. Owszem, szaleńcy i niezadowoleni są i będą – Ollarowie mieli sporo przydupasów, ale Taligojczycy powiedzieli swoje słowo. Kwiaty pod nogami, gołębie w bezchmurnym niebie, pozdrowienia, uśmiechy, odświętne stroje – tego wszystkiego nie można podrobić. Gdyby Emil Savignac znalazł się dzisiaj w Rakanie, wszystko by zrozumiał i zgiął kolano przed prawdziwym władcą, ale kawalerzysta wciąż jeszcze jest w Urgocie. To nic, oni jeszcze porozmawiają. Najważniejsze – to namówić Emila, żeby spotkał się z Aldo, a potem samo się wszystko ułoży. Savignac odróżni stare złoto od ollarskiego tombaku, a tacy generałowie są Aldo potrzebni.

Richard poczuł okropną chęć odwrócić się i zobaczyć poważną i jasną twarz króla, ale młodzieniec powstrzymał się. Po pierwsze, jego i suzerena oddzielały drużyny Skał, Fal i Błyskawic, a po drugie, Władca Skał prowadzi koronacyjną procesję i patrzeć powinien przed siebie i tylko przed siebie.

Karas zrównał się z dwoma kamiennymi stelami, jakby strzegącymi wejścia do opactwa. Mentor Chablis, opowiadając o starożytności, mówił, że zostały one przeniesione do nowej stolicy z Galtary. Tutaj, między starymi kamieniami, orszak ma się zatrzymać i czekać, aż Richard Ockdell wykona swoje zadanie. Młodzieniec, prostując ramiona, ścisnął kolana, ale ogier nadal szedł i Dick musiał pociągnąć za wędzidło. Linarczyk chlipnął z urazą i zamarł. Na wymiecioną ulicę znów upadły krwawe płaty, a skuty ceremoniałem pan nie mógł nic zrobić. Książę Ockdell wyprostował się w siodle, słuchając powitalnego szumu. Wszystko było cudowne, czy raczej byłoby, gdyby nie drażniące drobiazgi. Najpierw podły napis na ścianie, potem starucha i na koniec Karas. Biedak ucierpiał bardziej, niż wydawało się na początku.

Armatnia salwa złała się z dźwiękiem dzwonów i biciem zegara. Południe! Bernheim dobrze wyliczył drogę. Richard zeskoczył na uradowane kamienie, rzucił wodze i poszedł do przodu równym krokiem galtarskiego gimneta. We wrotach na Władcę Skał oczekiwali mistrz ceremonii i czworo duchownych z zakonnymi gołębiami na piersiach.

– Czy wszystko gotowe na spotkanie Najjaśniejszego Pana? – najbardziej na świecie Richard bał się pomylić, ale pamięć nie zawiodła, nie na próżno on i Bernheim przekopali tyle ksiąg.

– Władca Skał może być spokojny – zapewnił mistrz ceremonii – Kto z bliskich jest razem z Najjaśniejszym Panem?

– Jej książęca wysokość księżna wdowa – odpowiedział Dick – Jej konia prowadzi Johan Josef Meven, podwładny Falom.

– Władcy podążają za swoim Panem?

– Konie Władcy Błyskawic i Władcy Fal idą razem z koniem Pana – Ośmiornicy nie wolno ufać, ale on jest tu, na swoim widmie w końskim obliczu. To już Moro jest przyjemniejszy.

– Nocha czeka na Najjaśniejszego Pana – uniósł rękę Archibald Bernheim – niech żyje idący przodem! Niech żyje szczęśliwy zwiastun! Niech żyje Władca Skał!

Tak, dzisiaj zgodnie ze starym prawem na przedzie idzie Richard Ockdell, ale za rok pierwszym będzie Wiatr. Nowy Wiatr! Kruki już więcej nie będą zwiastować nieszczęść. Władcą Wiatru zostanie Karl Borrasca, w niebo Kertiany wzbije się biała jaskółka, ale dopóki chłopiec będzie zbyt mały, zastąpi go ojczym i opiekun.

– Przekażę Najjaśniejszemu Panu, że Nocha czeka – kiedyś zamiast „Pan” on powie „anaks”, kiedyś oni wejdą na plac Mieczy i nad głową Aldo zapłonie poczwórna aureola, ale chwała zaczyna się dzisiaj. W Nosze.

– Jego świątobliwość Levi – oznajmił jasnooki duchowny w szatach biskupa – gotów jest włożyć wieniec na skronie jego książęcej wysokości. Niech Aldo Rakan wejdzie do świątyni i uklęknie przed Stwórcą wszystkiego, co istnieje. Wyjdzie z chramu jako władca ziemski.

– Meraton! – powiedziały usta Dicka i to było najtrudniejsze, bo było kłamstwem. Nie olej na czole i nie Stwórcę, którego nie ma, wynieśli Aldo na tron przodków. On to zrobił sam z woli Kertiany.

Święty Alanie, wszystko powinno być inaczej! I będzie! Zamiast świątynnej kopuły – galtarskie niebo, zamiast esperatyjskich modlitw – błogosławieństwo bogów i zwycięstwa, godne pierwszych anaksów.

– Wracam do mojego pana z dobrą nowiną.

Zginać kolana przed pokolorowanymi deskami – to obrażać swoją Krew, ale teraz inaczej nie wolno. Bez poparcia Esperadora i państw sojusznicznych Taligoja się nie utrzyma. Z Ollarii do starożytnej stolicy można dostać się tylko objazdem, przez Tronko, ale tam jest Diegarron i Bonifacy, z nimi nie można się dogadać.

– Idź, synu mój. Klannime⁴¹!

Synu?! Richard Ockdell jest synem swojego ojca, Władcą Skał i wiernym wasalem Aldo Rakana, ale suzeren musi kłaniać się Agarisowi i podpisywać sojusz z Gaifą i Driksen. To samo zamierzał zrobić ojciec. Czy Egmont Ockdell liczył na starożytne siły, czy opierał się tylko na sile mieczy i honorze rodu? Egmont Ockdell był szlachetny i sądził wszystkich po sobie, a zagonili go w bagno.

– Książę Ockdell, źle się pan czuje?

– Nie, hrabio.

Stara arka wydawała się ramą, w którą wstawiono przesycony światłem obraz. Templeton i Rocksley trzymali za uzdy królewskie linarczyki. Migotały złotymi haftami mundury, obok owiniętego szkarłatem Robera majaczył śmiertelnym cieniem Pridd, a za plecami rósł, wypełniając wszystko dookoła, triumfalny dzwon.

2

Świątynia była ogromna, a Levi mały, zmarłemu Adrianowi do ramienia, jeśli nie mniej. Owszem, dla mężczyzny wzrost nie jest ważny, to znaczy nie najważniejszy, a mimo to gdyby Levi

41 Pierwotnie „bądź zdrow” (galtar.), esperatyjskie błogosławieństwo.

był wyższy, Matylda czułaby się spokojniejsza i o kardynała, i w ogóle. Księżna wdowa sama nie wiedziała, czego się obawia, ale po wyborze nowego Esperadora i spacerze po cmentarzu niczego dobrego po kościelnych obrzędach się nie spodziewała. Wdowa nadal nie zrozumiała, co za bzdury jej się przywidziały, ale zielone świece w rękach widm i czarny mnich nie chcieli porzucić jej wspomnień.

– Trzymaj się – szepnął wnuk, podając rękę – to wcale nie tak długo.

– Twoją kawalerię! – raczej z nawyku niż szczerze odgryzła się Matylda, przechodząc pod masywną łukową arką. W świątyni panował półmrok, przynajmniej w porównaniu z zalanymi słońcem ulicami. Nie ma co się dziwić, świece, ile by ich nie było, nigdy nie zrównają się ze słońcem. Jej książęca wysokość wciągnęła przepelnione kadzidłami powietrze i zjeżyła się ni to z zimna, ni to z trwogi. Surowy młody kleryk z pokłonem wręczył jej grubą srebrzystą świecę, taka sama, tyle że złota, dostała się wnukowi, coś głośno i zło westchnęło, Matylda nie od razu zrozumiała, że to organy. Dźwięki „Stwórcy wszystkiego, co istnieje” trąciły dziecięcymi strachami i pragnieniem uciec z niebezpiecznego półmroku na słońce. Tylda Alati od dzieciństwa nienawidziła organowego sapania i całe życie spędziła w Agarisie. Tak jest zawsze – krzyczysz, że nie znosisz kotów, a one są już tutaj, w twoim łóżku. Wpełzły i się grzeją. Spróbuj przegonić.

Organ wyjęczały „Uratore”⁴² i zaczęły coś nowego, jeszcze bardziej grobowego, ale na tym nieprzyjemności się skończyły. Nic nie migotało i nie wiało, Matylda pamiętała, na jakim świecie się znajduje, a z boku twardo i powoli kroczył wystrojony w biel wnuk, a nie widmo głupiej dziewczynki, zakochanej w niedowarzonego księcia.

– Orston – zawył chór – te ursti pentoni mei nerati...⁴³

Tej pieśni Matylda jeszcze nie słyszała. Muzyka była dobra – jasna, majestatyczna, surowa, przy takiej naprawdę można uwierzyć we wszechobecną sprawiedliwość. Trzeba zapytać Leviego,

co to jest. I w ogóle trzeba z nim porozmawiać, ale tak, żeby Aldo nie uznał, iż babka za jego plecami zjawia się z kardynałem. Wnuk nie jest zachwycony świątobliwością, a czego on chciał? Że mu tutaj Bernheima w sutannie przyślą? Agaris musi odzyskać Talig, dla takiego zadania kapłony nie wystarczą, a Levi przynajmniej nie jest obcy, jakby to nie było, Adriana znał. Trzeba wypytać jego świątobliwość o Ruciusa i o to, co się dzieje na jego mogile.

Cedrowa gałązka wczepiła się w tren nie gorzej od rzepu i powlokła za księżną. Kiedyś w Sakasci na jej spódnicy zawisł rak, a Ferec go odczepiał, co z głupstwa wspomina... Księżna starła z twarzy nieodpowiedni uśmiech i zerknęła na stojących w szpalerze duchownych. W szarych rękach sterczały długie świece z siedmioma knotami, płonące żółtym ogniem, a z przodu błyszcząły kagankami Wrota Świtu, przed którymi stał kardynał w odświętnych szatach. Po zielonym okropieństwie, które wpęzło do agaryjskiej świątyni Siedmiu Świec, nie było nawet śladu – zwykła podniosła nuda, doprawiona polityką. Wieczorem zaczną przypominać, kto za kim szedł i co to oznacza.

– Radujmy się – warknął w taligu potężny kleryk – albowiem sam Stwórca się uraduje, kiedy powróci.

– I trwa radość jego wiecznie – podjął chór – i kroplą tej radości być radości niniejszej.

Kropla radości w wiadrze bied – tym właśnie jest dzisiejsze święto. Talig może i ocaleje. Jeśli ci wszyscy Savigacowie i Neumarnenowie są tak dobrzy, jak o nich mówią. Za to dla Aldo i Robera radości będzie tyle, co dla Clementa przy spotkaniu z kotem. Tutaj nawet Levi nie pomoże, wręcz przeciwnie. Ollarianie za objęcia z Agrisem osiem skór zedną, żaden Zwierz nie będzie im potrzebny.

Ręka wnuka z siłą ścisnęła łokieć, uprzedzając o stopniach. I słusznie, ładnie by wyglądała, gdyby rąbnęła pośrodku świątyni do góry zadem. Takiego zadu lepiej nie pokazywać, szczególnie dniem. Jej książęca wysokość, majestatycznie zadarłszy podbródek, wstąpiła na ogrodzone cedrowymi girlandami podwyższenie i uklękła na poduszce z wyhaftowanym gołębiem. Poduszka była duża i miękka, ale stać pół godziny na kolanach, kiedy jesteś po sześćdziesiątce, to żadna przyjemność. Szczególnie bez przyzwyczajenia.

42 „Stwórco” (galtar.)

43 Niech tak będzie, niech spełnią się wszystkie moje modlitwy (galtar.)

Organy zawyły jeszcze raz i umilkły, ministranci wysoko podnieśli ociekające woskiem świece, cztery razy uderzył dzwon i Wrota Świtu powoli się otworzyły. Między srebrnymi skrzydłami ukazał się namalowany sad i siedem ozdobionych posągów. Najpiękniejszy był święty Adrian ze swoim lwem. Podobno święty i za życia był niczego sobie. Jednym słowem, Epineix.

– Kim jesteś? – powiedział aksamitny męski głos – Czy tym, kogo oczekuję?

Levi! We wszystkim jesteś dobry, tylko wzrostu by ci dodać. Jakby tak kardynał był wyższy, a Aldo mądrzejszy, ceny by obu nie było.

– Jestem Aldo z domu Rakanów – dźwięcznie odpowiedział wnuk – Prawem rodu i prawem ludzkim – król Taligojski. Przyszedłem uklęknąć przed Stwórcą naszym.

– Przysięgasz imieniem Jego, że powiedziane przez ciebie jest prawdą?

– Na wieczną duszę przysięgam.

– Kto wszedł z tobą do świątyni?

– Matka mojego ojca – głos Aldo brzmiał jak naciągnięta struna – i moi wasale.

– Czy czczą oni Stwórcę naszego i oczekują powrotu Jego?

– Ręczę za nich. Swoim słowem, swoim życiem, swoją duszą.

– Czy jest wśród przybyłych do świątyni ten, kto wie o Aldo z rodu Rakanów to, czego nie wie on sam? Ten, kto może powiedzieć, że Aldo z rodu Rakanów nie jest bezgrzeszny przed obliczem Stwórcy i sług Jego? Ten, kto zaprzeczy powiedzianemu przez Aldo z rodu Rakanów? Ten, kto powie: nie, Aldo z rodu Rakanów nie jest królem Taligojskim?

Jeśli wiecie, wstańcie i odpowiedzcie. Świeca Prawdy zapalona. Póki nie zgaśł ogień, odkryjcie ukryte – i będzie wam wybaczone.

Świeca prawdy... Żółty ogieniek w dłoniach Leviego. Jak szybko ona topnieje. Cztery minuty, tak mało, ale można wstać, a raczej upaść ostatecznie i pokajać się.

Wykrzyknąć, że ona, Matylda Alati, zgrzeszyła z Adrianem, ze shadem, z Leworękim i Aldo nie ma praw do korony? Albo nie ona, a Ida... Biedna Ida o zadartym nosku, uwielbiana Ernani. Gdyby ona, tak obawiająca się morza, uparła się, oboje by żyli, ale Ida nie chciała rozczarować

swojej miłości i utonęła razem z nią.

Świeca wciąż jeszcze płonie, a wnuk czeka. On jest Rakanem, Rakanem do szpiku swoich głupich kości, skóra zdarta z dziadka! Nikt jej nie uwierzy, a nawet jeśli, to wszystko już się stało. Aldo będzie trzymać się tronu, a Rober nie porzuci Aldo. I ona też nie porzuci, bo koronowany głuptas – to jedyne, co jej zostało. Laci jest jak turegvize – wypił i zapomniał. Jest młody i jest Alatem, a ona przywiązała siebie do Rakanów, tej liny się nie odetnie... Opadłych liści nie przymocuje się z powrotem do gałązek, choćby nie wiem jak się starać.

Złocista gwiazdeczka żałośnie zamigotała i zgasła. Ogień, Krąg, życie – wszystko się kończy, a młodość skończyła się już dawno.

– Aldo z domu Rakanów – w głosie Leviego dźwięczało zadowolenie – nie ma nikogo, kto zaprzeczyłby twojemu prawu. Nie ma nikogo, kto wiedziałby o tobie coś złego. Jesteś czysty w oczach sług Stwórcy. Podziękuj mu i wysławiaj go, albowiem On jest prawdą pierwszą i ostatnią, początkiem wszystkiego i skarbnicą wszystkiego.

– Wysławiam Stwórcę ustami i sercem – wykrzyknął wnuk w srebrny świt. Głośno wykrzyknął. Anesti też podnosił głos, kiedy kłamał. Dlaczego ona nie widziała, że w Aldo jest tyle z dziadka? Syn był prawie Alatem, wnuk jest Taligojczykiem. I głupcem do tego.

– Wyrzekłeś się duchów nieczystych? – dla esperatystów czy to marmaluka, czy to złoci jeźdźcy – wszystko jest siłą nieczystą.

– Nie znam takich – wnuk nie zna, a z kim ona zgrzeszyła na mogile Esperadora?

– Wierzę słowu twojemu, synu mój. Niech dokona się przeznaczone ci przy narodzinach twoich.

Malutcy, jeszcze niżsi od kardynała duchowni – gdzie on takich znalazł? – stanęli za Levim. Kardynał dotknął znaku na piersi.

– Ukochaj każdego brata w Oczekiwaniu, jak brata z jednego łona. Ukorz swoją pychę przed Obliczem Stwórcy. Szanuj Pasterza swojego i Ojca swojego. Szanuj matkę dzieci swoich i nie kalaj łoża swojego. Nie czynź zła bliźniemu swemu w Oczekiwaniu. Nie oddawaj się zbytkom, ciesząc ciało swoje kosztem ducha.

– Medose, te ursti pentoni mei nirati – półgłosem poprosił chór.

„Odrzuć Zmierzch i otwórz duszę Świtowi” – samymi wargami powtórzyła Matylda, patrząc jak siwy, mały duchowny zdejmuje z głowy młodego człowieka cedrowy wieniec, wysoko podnosi nad sobą i opuszcza do koszyka.

– Meraton!

Ministrant podał jego świątobliwości masywne berło, kardynał opuścił je w naczynie z poświęconym przez Esperadora olejem, dotknął nim czoła, skroni, policzków i nadgarstków Aldo. Jednocześnie zapłonęły przymocowane do tylnej strony Wrót Świtu lampki, jakby tam, w Ogrodach, rzeczywiście świeciło. Levi podał berło Aldo:

– Imieniem Stwórcy naszego nazywam cię królem Taligojskim – oczy Leviego jaśniały szczerym ciepłem i życzliwością – bądź miłosierny dla słabych i bezlitosny dla złowrogich i pysznych. Niech będzie z tobą błogosławieństwo Stwórcy.

Usta Aldo przypadły do berła, coś zajęczał chór, do zapachu kadzideł dołączył zapach cyprysowej żywicy. Levi wyciągnął z drugiego koszyka koronę Rakanów. Masywny złoty wieniec błyszczał i migotał. Wspaniała rzecz, same szlachetne kamienie starczą, by wykarmić stado bernheimów przez rok, jeśli wręcz nie dwa.

Aldo oddał berło Leviemu i roztaczając blask złota, wstał z kolan. Obok kardynała wydawał się jeszcze wyższy. Dalej wnuk pójdzie sam, za nim podąży Levi, no a jej przyjdzie zawisnąć na Richardzie – nogi zupełnie zdrętwiały, żadna poduszka przed tym nie uratowała. Biedny Dickon, wlec taką tuszę, i to jeszcze z niezagojoną ręką.

Twoją kawalerię, a to dopiero początek! Przyjdzie sterczeć na placu, przyjmować dary cechów, a wieczorem – wielkie przyjęcie w pałacu z ambasadorami i yzargami. Nie, jeśli nie uda jej się wypić, przy czym natychmiast, ona zdechnie i nie zauważy.

stał z przodu, oczekując, póki przejdą wasale Skał. Dumnie osadzona głowa, kasztanowe włosy, zaciśnięte usta. O czym myślał, wbijając między płyty sztylet Borrasca? Priddów nikt nie rozumie, oprócz Priddów. Właśnie tak powiedziała Irena i odeszła, bawiąc się kościanym wachlarzem.

– Monsignore – szepnął pomocnik mistrza ceremonii – ma pan przyłączyć się do jego wysokości przy wyjściu ze świątyni po księciu Priddzie.

– Pamiętam – skinął Rober – moją gwardię poprowadzi Sec-Arige.

Gwardia Epineix. Osiemdziesięciu ludzi nosi maskaradowe stroje, a dwa tysiące miotają się po całym mieście. Póki monsignore trzęsie czerwonym płaszczem, południowcy łapią za ręce szubieniczników, rozpędzają po domach tych, którzy nie chcą krzyczeć „hura”.

Żeby tylko dzisiaj obeszło się bez większych nieprzyjemności. Nicolas mówił o tym, że w sztuczki Suzy-Muzy zamieszany jest ktoś z gimnetów. Znaleźć by tego „kogoś”, dopóki nie dobrał się do niego Insmiller. I nie zapomnieć o chłopcach, krzyczących „Niech żyje” dla Epineixa. Jeśli dotrze to do Aldo, różnie może być.

Pomocnik mistrza ceremonii coś wyszeptał Priddowi. Ten nonszalanckim ruchem poprawił kołnierz i niespiesznie ruszył za wystrojonymi w czern, purpurę i złoto wasalami Dickona. Za Ośmiornicą poszedł Dom Fal. Pochód zamykali Udo Born i Bernheim. Dobrze, że wśród przybyłych do Ollarii cierpiętników nie było wasali Epineix, za to Dick musi zdecydować, kto z Carlionów jest prawdziwy – jego dziadek po matce czy agaryjskie nieporozumienie.

Udo, starając się nie patrzeć w stronę sąsiada, równo wybijał krok. Trzeba pojechać z nim do Kapul-Gizailów. Kiedy przyjdzie odpowiedź od Lionela, książe Epineix musi być stałym gościem cudownej baronowej, a Insmiller musi się do tego przyzwyczaić. Gdyby nie Udo, Rober nie odmówiłby możliwości spędzenia z piękną kilku nocy, ale Born jako pierwszy odesłał małego barona do moryskill.

– Monsignore – oznajmił jeszcze jeden pomocnik – Już czas!

– Dobrze.

Wiatr w twarz i słońce. To wystarczy do pełnego szczęścia, tylko takie szczęście trwa mniej niż minuta. Rober zakrył oczy dłońmi, przywykając do światła.

– Epineix, źle się pan czuje?

– Nie!

– Jest pan pewien? – jego świątobliwość z troską ścisnął nadgarstek Robera – Powinien pan dbać o serce, ono będzie jeszcze panu potrzebne.

– Dziękuję. Opuszcza pan jego wysokość?

– Wypełniłem polecenie jego ekscelencji – nader sucho wyjaśnił kardynał – ale obecność na balach i zabawach nie wchodzi w obowiązki pasterzy duchownych. Zamierzam odwiedzić Bagerlee, a panu proponuję odwiedzić mnie. Po zakończeniu świętowania.

– Dziękuję, wasza świątobliwość.

– Niech pan idzie, książe, królowie nie lubią czekać. I moja rada – niech pan nie bierze wszystkiego tak bardzo do serca. Ma pan je tylko jedno.

Człowiek ma nie tylko serce jedno, ale i głowę, i sumienie, i duszę wreszcie. Rober, niezbyt uprzejmie odsunawszy wiernych wasali księcia Ockdella, dołączył do suzerena. Aldo stał na świątynnym tarasie, słońce tańczyło na rodowym wieńcu. Rubiny, szmaragdy, szafiry zapalały się i gasły, a król patrzył w dół, na swoich poddanych, po rozpoczęciu ceremonii wpuszczonych do Nochy. Poddanych było dużo, straży też. Epineix zauważył kapelusz Nicolasa i trochę się uspokoił. Dobrze, że wojskowy komendant jest w tłumie, a cywilny – na górze. Tutaj przynajmniej nikogo nie powiesi.

– Co ci powiedział kardynał? – rzucił przez ramię Aldo.

– Że osoba duchowna nie może brać udziału w świeckich zabawach.

– Nam się wydaje, że wyraził się inaczej – usta suzerena skrzywiły się – Nie wiem, jak wyglądają święci, ale Levi wyraźnie do niech nie należy. Leworęki! A to co?!

Gigantyczny kruk zerwał się gdzieś z góry, z krakaniem przefrunął obok tarasu i zniknął w osłepiającym błękitcie. Richard Ockdell drgnął i odstał w bok, jakby szukał ochrony u suzerena.

– To tylko kruk – powiedział suzeren i zaśmiał się – on nas wita.

– On osiedlił się w opactwie po Oktawiańskiej nocy – obojętnie zauważył Walentyn Pridd – słyszałem o tym.

– Naprawdę? – suzeren dotknął korony Rakanów – Cóż, niech tu żyje. Gołębie czasem trzeba nastraszyć.

Suzeren nie widział, jak kruk pociągnął za sobą w śmierć złotego orłana, on mógł żartować, ale Richardowi Ockdellowi było nie do śmiechu.

– Symbolem zakonu Sławy jest lew, a lwów lepiej nie straszyć – nachmurzyła się jej księżęca wysokość. Ona też nic nie wiedziała, nikt nie wiedział, tylko pozostali w Waraście aduani i Alva. Czy nie dlatego właśnie wrócił, że wspomniał znak? Nie przegrać, kiedy nie można zwyciężyć, tak właśnie powiedział Kruk, patrząc na martwe ptaki. On się nie boi śmierci, ale suzeren musi żyć!

– Co z tobą, Ockdell? – zapytał Aldo i Dick spieszył się i opuścił oczy – Czyżby tak cię zdenerwował ten ptak?

– Nie ptak – wypalił młodzieniec i urwał.

– W takim razie co? – głos suzerena zabrzmiał ostro i z naciskiem – Wszystkie wątpliwości należy rozwiać, a wszystkie błędy naprawić, zanim zakończy się Krąg.

To nie błąd i nie wątpliwość, to głupota, bzdura, przypadek. Po prostu kruk wyleciał tak nieoczekiwanie... A poza tym, wszystko już się stało. Alva nie jest niebezpieczny, on nie może szkodzić z Bagerlee. I Ferdynand nie może. Jedyne niebezpieczeństwo – spowiedź Ernani, ale tu są bezsilni.

– Richardzie Ockdellu – powtórzył Aldo – rozkazujemy ci powiedzieć, co się stało.

– Myślałem o... – niech będzie co ma być, on nie zepsuje dzisiejszego dnia złymi prorocत्वami – o swoim koniu. Na drodze do Nochy przede mną wyskoczyła na ulicę wariatka... Udało mi się zatrzymać konia, ale rozerwałem mu wargi. Nie można teraz na nim jechać, zastanawiałem się, gdzie wziąć zapasowego.

– Czego chciała ta kobieta? – bardzo powoli powiedział Aldo – Musimy to wiedzieć.

Ona krzyczała, że Richard Ockdell jest zabójcą i lizusem, ale takich rzeczy nie mówi się na głos, tym bardziej przy Ośmiornicy. Święty Alanie, po co on opowiedział o tej staruszce?!

– Co ona mówiła?

– Wasza wysokość – wmieszał się Insmiller i Dick poczuł lekką ulgę – dzisiaj jest wielki dzień, po co go...

– Gdzie jest ta kobieta? – przerwał suzeren, jego dłoń ścisnęła rękojęść szpady – Jest pan cywilnym komendantem Ollarii, powinien pan wiedzieć o wszystkim, co dzieje się w mieście.

– Rozkażę, żeby się dowiedziano – obiecał komendant – Widocznie oficer, który ją zatrzymał, nie uznał sprawy za ważną.

– Nieważnych spraw nie ma – uciął Aldo – szczególnie na Przełomie. Proszę wezwać generała Carvalla. Być może on wie o tym, co się stało. Księżę Ockdell, gdzie to się zdarzyło?

– Na ulicy Mimoz – wypalił Dickon, zanim zrozumiał, że prawdy nie wolno mówić. W żadnym wypadku nie wolno.

– Na ulicy Mimoz – z naciskiem powtórzył Aldo – znaczy, na ulicy Mimoz...

– Wasza wysokość – Walter Insmiller podjął jeszcze jedną próbę odzyskać suzerena dla święta – pojawili się przedstawiciele stanu mieszczańskiego.

– Pojawili się w samą porę – Aldo Rakan ściągnął brwi – Wezwać.

Mieszczanie – czterdziestu mężczyzn i cztery młode dziewczęta, prawdziwe piękności – zamarli u schodów, wyraźnie nie wiedząc, co robić dalej.

– Radzi jesteśmy, widząc was – Aldo uśmiechnął się ciepło do starego kupca – ale waszych pozdrowień wysłuchamy później. Najpierw musimy się czegoś dowiedzieć. Insmiller, posłał pan po Carvalla?

– Jest tutaj.

Mały południowiec w białym mundurze przypominał Lowo – nie wiadomo, kiedy i komu rzuci się do gardła. Rober ufał Carvallowi, albo udawał, że ufa, ale w Richardzie wojskowy komendant nie budził ani sympatii, ani zaufania.

– Generale – jego wysokość patrzył prosto w oczy południowca – czy wie pan, co się zdarzyło na ulicy Mimoz, kiedy przejeżdżał nią księżę Ockdell?

– Generale – Aldo wyglądał na zakłopotanego – czy wie pan, co się zdarzyło na ulicy Mimoz, kiedy przejeżdżał nią księżę Ockdell?

– Wiem – Nicolas, wciśnięty w generalski mundur, miał minę psa, na którego siłą naciągnięto kocią skórę – na ulicy Mimoz zaszło to samo, co na kilku innych ulicach. Ludzie pana Insmillera we właściwy dla siebie sposób zdławili zamieszki.

– To znaczy? – wydawało się, że Aldo dowiedział się czegoś nowego i niezbyt przyjemnego – Co pan ma na myśli?

– Szalona mieszcanka, w obecności innych osób obrażająca waszą wysokość i Władcę Skał, została zaprowadzona na dziedziniec jednego z pustych klasztorów i powieszona.

– Jak to się mogło stać? – głośno, zbyt głośno, powiedział Aldo Rakan – Szaleńcy nie odpowiadają za swoje postęпки, a kobiet nie wolno wieszać. Generale Carvall, dlaczego pańscy ludzie nie powstrzymali egzekucji?

– Komendant wojskowy nie może mieszać się do spraw władz cywilnych – przypomniał Rober, nic już nie rozumiejąc – Nicolas Carvall niejednokrotnie meldował mi o tym, że uważa działania cywilnego komendanta za zbyt surowe. Mówiłem o tym waszej wysokości.

– Znaczą, za cicho mówiłeś – biały z haftowaną złotem cholewą but nastąpił Roberowi na nogę, każąc milczeć – Nie możemy wiedzieć, co się dzieje na każdej ulicy. Donoszono nam o buntownikach i zamieszkach, ale nawet pomyśleć nie mogliśmy, że Walter Insmiller nazywa tak oszalałe kobiety. Dlaczego, nawiasem mówiąc, straciła ona zmysły?

– Nazwała księcia Ockdella i waszą wysokość zabójcami – wyjaśnił Carvall – Zaryzykuję podejrzenie, że przyczyną szaleństwa stała się śmierć kogoś z jej rodziny.

– Być może wzięli w tym udział żołnierze Ockdellów – dorzucił Pridd – Gwardziści Skał zachowują się wobec mieszczan bardzo swobodnie.

– Ja odpowiadam za swoich ludzi – wysunął się naprzód Dick – to nie zabójcy i nie oprawcy.

– Nie mamy co do tego wątpliwości – skinął głową Aldo – Wojownik nie będzie walczyć ze słabymi. Generale Carvall, czy ludzie Insmillera często nadużywają danej im władzy? Proszę odpowiedzieć.

– Moje patrole co noc zdejmują powieszonych – najeżył się Nicolas – Mogę przysiąc, że ośmiu na dwunastu nie było ani buntownikami, ani ich nie ukrywało.

– Teraz rozumiemy – twardo powiedział jego wysokość – dlaczego jego świątobliwość odmówił błogosławieństwa Insmillerowi. Każn bez sądu jest zabójstwem, każn bez ostatniego namaszczenia jest przestępstwem przed Stwórcą. Winnym podobnego przestępstwa kościół nie daje odpuszczenia, jeśli grzech nie został odkupiony czterema sprawiedliwymi. Ale to wątpliwe. Walterze Insmillerze, co może pan powiedzieć na swoją obronę?

– Wasza wysokość – szubienicznik stał się bielszy od własnego munduru – generał Carvall zapomniał zameldować, że na Piwnicznej niejacy czeladnicy przeklinali waszą wysokość i wykrzykiwali pozdrowienia księciu Epineixowi i jego ludziom.

– Cóż – zmarszczył brwi Aldo – to rozwiązuje sprawę. Ludzie Epineixa wypełniali nasze rozkazy i zdobyli miłość mieszkańców. Pan cieszył swoją złość i wywołał nienawiść, cień której pada na nas. Generale Carvall, wzięć tego człowieka.

Insmiller rozejrzał się zaszczutym spojrzeniem i niepewnie wyciągnął z pochwy szpadę, trzech południowców z Carvallem na czele rzuciło się naprzód. Ręka Nicolasa przechwyciła kiść cywilnego komendanta, druga wczepiła się w haftowany złotem kołnierz. Sierżant ściągnął łokcie szubienicznika za plecami jego własną szarfą. Znow szarfa, tylko generalska...

– Obywatele Rakany – król gwałtownie odwrócił się ku zmarłym figurom – byliśmy ślepi i nie boimy się do tego przyznać. Nie mogliśmy uwierzyć, że wśród stojących po naszej stronie znajdzie się człowiek, zdolny do podobnych bestialstw.

W czasach Ernani Świętego z tymi, którzy oszukali zaufanie władcy i którzy jego imieniem czynili zło, postępowało się prosto – oddawano ich na sąd miastu. Przywracamy ten obyczaj. Generale Carvall, proszę wydać przestępcę mieszkańcom Rakany, ogłosić naszą wolę i wracać. Jeśli Insmiller przeżyje, na wieki zostanie wygnany z Taligoi.

Skazany szarpnął się silnie, ale nieumiejętnie, sierżant południowiec złapał go za ramię. Były komendant wykręcił się i upadł na ziemię, nie chcąc iść. Nie prosił o litość – albo stracił głowę, albo rozumiał, że nie ma sensu.

– Jeśli nie chce iść, zanieście – rzucił Aldo i odwrócił się od szarpiącej się w rękach żołnierzy biało-złotej figury – Marszałku, proszę zarządzić rozdzielanie majątku Insmillera pomiędzy krewnymi niesprawiedliwie skazanych. Należy przeprowadzić staranne dochodzenie. Zrozumiał mnie pan?

Oczy Richarda, ogromne niby łyżki, przesuwają się z cywilnego komendanta na suzerena i z powrotem, Pridd lubował się krążącymi w niebie gołębiami, Matylda milczała, mnąc złociste koronki. Siebie Rober nie widział.

– Epineix, zrozumiał mnie pan?

– Tak, wasza wysokość – własny głos wydał się Roberowi obcy i ochryply – zrozumiałem.

– Cywilnym komendantem Rakany mianujemy księcia Ockdella – ręka monarchy spoczęła na ramieniu Dicka – Syn wielkiego Egmonta nie dopuści się niczego niehonorowego. Jesteśmy go pewni, jak tylko Rakan może być pewny Ockdella.

– Mój władco, przysięgam nie splamić imienia Rakanów i honoru Ockdellów!...

– Książę Ockdell – usta Pridda wygiął uśmiezek – Proszę pozwolić, że pogratuluję panu nowego stanowiska. Nie wątpię, że zasłuży pan na pochwałę władcy i miłość narodu.

– Dziękuję panu, książę – błysnął oczami Dickon. Ci dwaj nie zauważają niczego oprócz własnej waśni. I dobrze, że nie zauważają.

– Wypełniałem rozkaz!.. Tylko rozkaz!!! – dzikie wrzaski mieszały się z biciem kościelnych dzwonów jak krew z miodem. Można było nie patrzeć, nie słuchać, nie myśleć, ale Rober podszedł do balustrady. Nicolas dokładnie wypełnił rozkaz: Insmiller, bez munduru i bez szpady, w samej koszuli, polecał w tłum, niby oskórowany królik w kipiącą polewkę.

Różnobarwna mieszanina zakołysała się, przyjmując prezent, zamigotały twarze, pięści, ramiona. Szaleństwo, zielone jak groch, żółte jak marchew, purpurowe jak ćwikła, wierciło się, migąło, pluskało między starożytnymi murami, ciągnęło od niego mdlącą zgniłą słodyczą. Tak pachniały na poły zgniłe lilie w zrujnowanej świątyni – jakże wtedy śmiał się Insmiller, śmiał się i oblizywał czerwone, wilgotne wargi...

Z kipiącej mieszaniny wynurzyło się coś długiego, połamanego, zalanego czerwienią. Mignęła podniesiona jednooka twarz, nad nią podniosła się ręka z nawiniętym na pięść pasem i wszystko zasłoniła para, nie krwawa, a jadowicie zielona, jak zastała woda.

Potworny kocioł spenił się, wyrzucił biało-czerwony but, on wleciał nad tłumem, przekreślił się w locie, opryskując krwią czyjeś plecy... But spadł na czyjeś ramię i zniknął między żółtym czepkiem i futrzanym beretem... Dlaczego tak cicho? Tłum powinien krzyzczeć, wyć, a jeśli nie on, to Insmiller, ale dźwięki więzną jak muchy w smole, nie mogą wydostać się z rozplywającego się po placu paskudztwa.

ROZDZIAŁ 4

NADOR

399 rok. KS. 24 dzień Jesiennych Błyskawic

1

Pani Aramona starannie rozłożyła na łóżku i krzesłach trzy suknie, zastanowiła się i wyciągnęła z kufra czwartą. Nie minęło nawet pięćdziesiąt lat, jak złapało ją za kołnierz odwieczne kobiece pytanie – co na siebie założyć? Zachwycające, a najważniejsze – rychło w czas!

W Nadorze Luiza Aramona zaliczała się do osób, cieszących się względami obecnej wysokości i zaufaniem wysokości byleją. Przy świątecznym stole tak wiernopoddańczej osobie przynależało miejsce wśród najdostojniejszych gości, przy czym w odpowiednim do okazji stroju. Pozostało zdecydować, w jakim.

Z jednej strony, Luiza pozostawała duenią Iris, z drugiej – zaliczała się do przyjaciółek Katariny Arigau, z trzeciej – mdliło ją od Mirabelli, a z czwartej – hrabia Ivon coraz częściej nawijał się gościowi przed oczy.

Duenii wdowie pasowała suknia w najlepszym mysim odcieniu, ale takie ubóstwo kładło się cieniem na niechby i była, ale królową i w dodatku zrównywało kapitanową z nie wyłażącą z szarości księżną, co było wstrętne.

Przyjaciółka Katariny mogła chodzić w czerni, ten kolor był jednym z ulubionych barw jej wysokości, a włosy Luizy wręcz błagały o czarne toalety. Niestety, czarny był uważany za jedną z barw Ockdellów, nałożyć go bez pytania w nadorskim chlewie było wyzwaniem. Nieślubna córeczka „gnojarka”, choćby i trzy razy zasłużona dla ojczyzny, w książęcej sukni. Koszmar!

Toaleta koloru starego wina nie obrazi rodzinnych uczuć małżonki wielkiego Egmonta, ale na pewno oburzy jej kobiece jestestwo, a przy okazji doprowadzi do furii wszystkie wrony, które zlecą się do Nadoru. Co do ciemnozielonej z białą lamówką, to i ona według nadorskich miar była wyzywająca. Tutaj wyzywające było wszystko, oprócz pleśni i moli.

Pani Aramona z czułością dotknęła ciepłego aksamitu. Kiedy na nią i dziewczynki napadła cała armia krawców i szwaczek, Luiza nie wytrzymała i zamówiła sobie kilka sukien. To było głupie, ale starzejąca się baba nie ma obowiązku być mądrą. Szczególnie jeśli znajdzie się w sklepie z materiałami.

W młodości Luizę, sycząc i narzekając na brzydotę córki, ubierała mateczka. Różowe i błękitne sukieneczki z koroneczkami urody szczupłej pannie nie dodawały, ale Aglaia Credon patrzyła na rzecz, a nie na człowieka. Ona sama w dziewczęcych toaletach rzeczywiście była piękna. Zanim skończyła czterdzieści lat. Właśnie patrząc na wystrojoną w coś powiewnego i wyhaftowanego w anemony mateczkę, Luiza zrozumiała, że piękna suknia może zamienić piękną kobietę w wyliniąłą małpę. Jeśli ta kobieta widzi w lustrze nie siebie, a urgocki aksamit po tallu za łokieć.

Po ślubie Luiza uwolniła się od matczynych kaprysów, ale wychodzić nie miała gdzie i z kim. A mimo to w marzeniach kapitanowa rok za rokiem szła sobie toalety, zamieniając ją może i nie w piękność, ale przynajmniej w kobietę, której nie boją się konie. Potem Leworęki wstał prawą nogą i na głowę Luizy dojrzałymi orzechami posypały się pokusy. Oczywiście, że nie wytrzymała.

Rodzicielce zostało powiedziane, że matka Seliny nie może odstraszać od dziewczyny narzeczonych, a sama Luiza w głębi duszy marzyła, że w zielonej sukni znajdzie się przed oczami Alvy. A może nie w zielonej, a w wiśniowej albo czarnej, byle tylko przebić wspomnienia o potworze, którego przywłókł do domu księcia Gerard. No to się znalazła. Przed oczami Ivona Laracka.

Hrabia był niezręczny, żeby nie powiedzieć żaloszny, ale patrzył na duenię jak na królową, a dzisiaj był Zimowy Przełom. Spotykać dzień, który bywa raz do roku, w szarym?! Nie jest księżną i nie jest idiotką.

Luiza podeszła do stołu, wsunęła palce do kałamarza i starannie wytarła dłoń o mysie sukno. A masz! Ona by chciała nałożyć szare, ale, napisawszy list do swojej uwielbianej opiekunki, nie umyła rąk i zniszczyła najlepszą suknię. Owszem, można ją przeszyć, ale to wymaga czasu, dlatego... Dlatego pani Aramona wyciągnęła monetę. Smok – zielona, reszka – wiśniowa, a osiem nieszczęść – jedna odpowiedź.

2

Los, widocznie biorąc pod uwagę prezent Katariny, stanął po stronie Smoka i zielonego aksamitu. Luiza pokazała zaplamionej szarej skórcie język i niespiesznie, z przyjemnością zajęła się włosami. Za oknem szybko zapadał zmrok, chociaż była zaledwie czwarta po południu. Co poradzisz, północ, a jeszcze najkrótszy dzień w roku. Pani Aramona uroczyście zapięła naszyjnik i w przystępie natchnienia wyciągnęła z fryzury kilka krótkich pasemek.

– Iris, Selino – zawołała kapitanowa swoje panny – jesteście gotowe?

– Tak – zapewniła Iris, wypadając z sypialni i Luizie zrobiło się wesoło. Panna wyraźnie nie zamierzała godzić się z okolicznościami, a kąsać. Rankiem Luiza złamała język, namawiając Iri, by ubrała się tak, jak przystoi Nadorowi, ale w podopieczną chyba wcieliły się wszystkie koty Leworękiego. Pani Aramona machnęła na młodą księżną ręką, a potem sama się zbiesiła, zakładając urgocki aksamit i torskie szmaragdy. Iris natomiast wystroiła się w szkarłat i obwiesiła rubinami, za które można by wykupić cztery Nadory. Gdyby oczywiście podobny kaprys wpadł komuś do głowy.

– „Morska muszla” – oznajmiła narzeczona Robera Epineixa, rozkładając ręce i obracając się – Szesnaście szpilek!

– Bardzo dobrze – pochwaliła kapitanowa – Selino, za każdym razem wychodzi ci lepiej. Iris,

bądź uprzejma pamiętać, że klótnie w dniu Przełomu – to zły znak, szczególnie kiedy przy stole siedzą obcy.

– Postaram się – obiecała Iris. W uczciwych szarych oczach rozgościł się twardy zamiar nie atakować pierwszej – Rozumiem, że nie możemy klócić się przy gościach. Sel, załóż perły!

– Rzeczywiście – Luiza obejrzała szarobłękitną suknię córki – kolia ci nie zaszkodzi.

– Dzisiaj święto – błysnęła oczami Iris – I nie ma po co stroić z siebie zakurzonego motylka!

– Ale ja nie mogę – wyjąkała Selina – nie mogę... Gerard na wojnie, wszystko jest źle...

– Panienki – zdecydowanie wmieszała się Luiza – Pozwolę sobie przypomnieć, że wszystko jest *bardzo* dobrze. Sprawa Rakanów już zwyciężyła, narzeczoną Iris jest najlepszy przyjaciel jego wysokości, a my jesteśmy zaufanymi damami dworu jej wysokości.

– No przecież pamiętam – fuknęła księżna Ockdell – My z Roberem się kochamy, ale dlaczego Selina ma chodzić jak żebraczka?

Jeszcze wiosną córeczce Egmonta błękitna sukieneczka Seliny wydałaby się szczytem luksusu, ale do luksusu człowiek szybko się przyzwyczaja. Jeśli już stara baba zawinęła się w drogie szmatki, to co mówić o dziewczętach.

– Nie będę nosić klejnotów – Selina wpatrywała się w podłogę – dopóki monsignore jest w Bagerlee.

– Będiesz – ucięła Luiza paskudnym głosem mateczki – Właśnie teraz będziesz.

– Chodźmy – Iri złapała Selinę za rękaw – pomogę ci, no chodź!

Chyba się zaczęło. Teraz córeczka pozna straszną tajemnicę o zaręczynach i wyjeździe. Co do samej kapitanowej, to nie miała ona wątpliwości, że narzeczona wybrała się po pomoc do Savignaca i przy pierwszej nadarzającej się sposobności ucieknie. Najpewniej w męskim stroju i przy pomocy zakochanego kuzyna. Na szczęście Reginald wyjechał w sprawach ojca, ale po jego powrocie przyjdzie nie spuszczać z Iri czterech oczu, a przy okazji szukać własnego gońca. Najlepszy byłby Raul Levforge, ale Luiza nie była pewna, czy południowiec już jest gotów posłać do kotów suzerena dla oczu Seliny. Gdyby witali Przełom w przyzwoitym domu, a nie w takiej kostnicy, Levforge mógłby dojrzeć już dzisiaj, ale Nador nie sprzyja miłości, chociaż Ivon chyba się zakochał...

– Jesteśmy gotowe – Iris trzymała rozpromienioną Selinę za rękę, na szyi córki spoczywały doskonale perły, w uszach migotały brylantowe kropelki – A ona niech robi, co chce.

„Ona”... Dożyła Mirabella, jeśli rodzona córka nie nazywa jej ani po krwi, ani po imieniu, jak jakąś nieczystą siłę.

– Cóż – Luiza poprawiła bransoletę wdowy – chowajcie pazury, moje dzieci, czas na nas.

3

Na policzku Deidre czerwieniało coś bardzo przypominającego ślad dłoni, Edith oddychała powoli i ciężko, a wdowa po wielkim Egmoncie przypominała zamrożoną kałużę. Z wierzchu mocny lód, ale lepiej nie następować.

Pojawienie się niepokornej córki i jej dam księżna jednak przeżyła, prawie się przy tym nie krzywiąc, a przecież pojawiły się później od gospodyni. To był przypadek, ale Mirabella w przypadki nie wierzy, jej podoba się być obrażoną.

– Córko moja – zaskrzypiała szlachetna dama – zajmij swoje miejsce.

Iris, błyskając rubinami, w milczeniu usiadła między mateczka i Deirdre. Luiza znalazła się obok Ivona, a Selinie dostało się miejsce wśród szlachetnych żon i córek, z okazji święta wpuszczonych do sanktuarium. Otulone w czerń i szarość damy wydawały się skupiskiem wróbli i kawek, które zjawiły się, by złożyć wyrazy szacunku wronie. Selina wśród nich jaśniała jak poranna gwiazda, co nie ukryło się ani przed Raulem Levforge'em, ani przed Luizą. Nie, chyba jednak nadorskie obyczaje mają swoje zalety.

– Wnieśmy modlitwę na chwałę Stwórcy naszego – wyrzekła księżna Ockdell – sług Jego i wszystkich zabitych w imię Honoru i Obowiązku.

A gdzie jego wysokość Aldo Rakan i jego wierni stronnicy, oto jest pytanie? Nie donieść czasem do stolicy, że Mirabella Ockdell nie życzy sobie modlić się za prawdziwego władcę i nadal nosi żalobę, kiedy cała Taligoja cieszy się z uwolnienia od tyranii?

– Medose, te ursti pentoni – ojciec Matteo zamamrotał galtarską gadkę. Mirabella żarliwie

poruszała bezkrwistymi ustami, ale łagodności i pokory na zastygłej twarzy było nie więcej niż u wędzonego szczupaka.

Luiza esperatyjskie zakłęcia znała słabo i na starość nie zamierzała się ich uczyć, za to nadorska przytulność popchnęła kapitanową ku zakłębom Denisy. Pani Aramona zamknęła oczy i w duchu wezwała na pomoc Błyskawice, Fale, Skały i Wiatr. Nieszczęsnemu woźnicy, któremu „Ciekawa logika” Gerarda kazała przewieźć przez rzekę ziarno, kurczęta, kota i psa, było łatwiej, on nie miał do czynienia z Mirabellą i jej córką.

Pierwsze spotkanie zakończyło się skandalicznie, ale młodsza księżna Ockdell wybrała pozostanie w Nadorze, a starsza udała, że tak właśnie miało być. Iris po ataku jadła w swoich pokojach, mateczka raz dziennie pytała o samopoczucie córki, nikt nikogo nie gryzł, ale w czasie Przełomu nie da się siedzieć w kącie, pozostaje tylko nadzieja na etykietę i gapiące się kury. A właśnie, co one zrobiły ze swoimi mężczyznami? Wpędziły do grobu?

Pani Aramona łypnęła na Ivona i natknęła się na pełne uwielbienia spojrzenie. Hrabina Larack, mając żywego męża i syna, za przykładem krewnej zakutała się w szarość, za to hrabia zjawił się w całkiem przyzwoitym ciemnozielonym kaftanie, który jeszcze nie zdążył zaznajomić się z miejscowymi molami. Proszę, oboje są w zieleni, a przecież się nie umawiali!

– Orston – szczerknął kleryk i podniósł łapki.

– Meeee-ra-ton – wybeczała trzódka. Towarzystwo, zebrane za stołem, dawało coraz mniejsze nadzieje na spokojny przebieg obiadu.

Ponury służący obszedł gospodarzy i gości, napełniając ponure kubki ponurym płynem, który w Nadorze nazywano białym winem. Świąteczny stół różnił się od nieświętecznego co najwyżej zastawą. Z kufrów wyciągnięto stare ciężkie srebra, których nawet nie wyczyszczono. W Nadorze pokutowała opinia, iż kreda ściera drogocenny metal, tak więc półmiski, wazy i kubki pokrywała wiekowa patyna, zamieniając je w coś żebracko niechlujnego. Do giętych czarno-tęczowych relikwii pasowały, że lepiej nie można, pęknięcia na suficie, wybrzuszone przeciągami szpalery i draperie, nie mówiąc już o ociekającej złością gospodyni.

– Hrabio Larack – Mirabella odwróciła głowę w kierunku Ivona – jest pan najbliższym krewnym Egmonta Ockdella i w oczach Stwórcy opiekunem jego sierot. Proszę, by podniósł pan pierwszy świąteczny kielich na cześć jego pamięci.

Biedny Ivon odkaszlnął i stanął przed nastroszonym kurnikiem.

– Dzisiaj jest szczególny dzień – spojrzenie Laracka spoczęło na pani Aramonie – szczególny. Jestem szczęśliwy, że my wszyscy zebraliśmy się tutaj, pod tym dobrym dachem. Bardzo chcę, by nowy Krąg był dobry. Niech przyniesie pokój i miłość. Przetrwaliśmy trudne czasy, ale one minęły. Noc już nie będzie rosnać, a zima wcześniej czy później się skończy. Przyjdzie wiosna, zazielenią się liście, rozkwitną kwiaty. Wierzę, że tak będzie!

Ivon podniósł wygięty kubek, oczy hrabiego nie odrywały się od Luizy i pani Aramona uśmiechnęła się mimo woli, unosząc szklanke z podobnym do rozcieńczonego octu paskudztwem.

– Tak będzie – powtórzył Ivon, uroczyście pijąc torski kwas.

– Meraton – w galtarskim słówku nie było ani jednego syczącego dźwięku, ale Mirabelli i tak udało się je wysyczyć – Hrabia Larack pełen jest nadziei na przyszłość, on może sobie na to pozwolić, ale ja nie znam spokoju, dopóki Roke Alva i Ferdynand Ollar nie zapłacą za swoje czyny. Egmont Ockdell musi zostać pomszczony i ja chcę ujrzeć, jak dokona się sprawiedliwość! Pojadę do Ollarii i zażądam kaźni mordercy.

– Ojciec zginął na linii – Iris zerwała się szybko, jakby błyskawica rozcięła szary kamień – zabójstwa nie było. Był uczciwy pojedynek.

– Kłamstwo! – szary ogon miotnął się na spotkanie szkarłatnemu zakrętasowi – Zdradzasz pamięć ojca!

– To pani zagryzła ojca – wstrząsnęła rubinami Iris – Pani i nikt inny!

– Milcz! – policzki Mirabelli powoli purpurowiały i to było straszne – Milcz, albo ja za siebie nie odpowiadam.

– Pani i mnie otruje, jak Bianco? – pierś Iri falowała gorączkowo – A może zażąda od Aldo, żeby mnie powiesił? Jako matkobójczynię? Tylko ja już nie jestem twoja, słyszysz?! Nie twoja!!!

– Erea – Ivon przewrócił kubek, białe paskudztwo rozlało się na zwietrzałym obrusie – Iris... Dzisiaj taki dzień... Po co...

– Stwórca nakazuje wybaczać zło, uczynione niewolnie – wyběbnił ojciec Matteo i dla

lepszego przekonania przeszedł na galtarski – Klannime!

Święta Oktawio, one zaraz rzucą się sobie do gardeł! Luiza podniosła przewrócony kubek:

– Pani, o śmierci pani czcigodnego małżonka pani córka dowiedziała się od księcia Epineixa. Jego starszy brat był sekundanem ze strony pani małżonka.

– Erea – pospiesznie powiedział Ivon, łapiąc dzban – proszę wszystkich wypić za narzeczonego naszej Iris. Zdrowie Pierwszego Marszałka Taligoj Robera Epineixa, gdzie by on teraz nie był! Niech będzie z nim nasze błogosławieństwo i nasza miłość!

ROZDZIAŁ 5

RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 24 dzień Jesiennych Błyskawic

1

Małe przyjęcie dopiero się zaczynało. Aldo, Matyllda i pan Kręgu jeszcze nie wychodzili i w łapy zalewającej pałac sfory zostali oddani Władca Błyskawic i Władca Fal. Rozmawiać z Ośmiornicą Rober nie miał ochoty, z gośćmi – tym bardziej, ale intrygant i spiskowiec nie może siedzieć w kącie, więc Rober uśmiechał się, odpowiadał na powitania mężczyzn, mówił komplementy damom. Wszystko było jak w Agarisie, tylko podlej. Bo duża sterta śmierdzi bardziej od małej, a sterta w pałacu jest bardziej odrażająca od sterty w podwórzu.

– Magszałku, jak się cieszę, że pana widzę! Wiedziałem, że ten dzień nadejdzie, wiedziałem przez całe życie – krzyknął agaryjski Carlion, otwierając objęcia. Rober odruchowo odskoczył, ale szybko wziął się w garść.

– Dobry wieczór, panie. Udało nam się z pogodą, nieprawdaż?

– O tak – stary nudziarz z tajemniczą miną ujął Epineixa pod rękę – mój przyjacielu, proszę udzielić mi tgochę czasu.

Epineix wolałby nie udzielać, ale, oderwawszy się od Carliona, miał ogromne szanse narwać się na Bernheima z Wanagiem albo w ogóle na Cavendisha. Inochodziec wydusił z siebie uśmiech:

– Słucham pana.

– Monsignoge, trzeba usunąć niektóre niepogozumienia – zażądał Agaryjczyk – Znam naszego ddogiego Aldo od wczesnego dzieciństwa, a niezapomniany Anesti był moim najlepszym przyjacielem. I on nigdy, słyszy pan, nigdy nie miał wątpliwości odnośnie moich pgaw do tytułu hgabiego Cagliona. I czego się dowiaduję, wgóciwszy do Ojczyzny? Dowiaduję się, że Caglioni nazywają się inni ludzie. Owszem, to tylko bagonowie, ale to i tak niedopuszczalne!

– Taligojscy Carlionowie są w prostej linii potomkami hrabiego Brandona – uciął Rober – ich pochodzenie nie budzi wątpliwości.

– Uznavszy uzugpatoga – surowo powiedział najlepszy przyjaciel Anesti – stgacili pgawo do imienia wielkiego Bgandona, zdgadając jego pamięć i jego spgawę. Tylko my w Agagisie zachowaliśmy ducha taligojskiego gycęgstwa, my!

Jeśli taligojskie rycerstwo było w czambuł takie, to należało je zatopić w niegaszonym wapnie czterysta lat temu razem z duchem. Jak bydło, które padło od zarazy.

– Przykro mi, panie, ale niczym nie mogę panu pomóc. Poza tym jestem zaręczony z córką Egmonta, a jego żona, jak pan wie, jest z domu Carlion.

Ale powiedział, nie gorzej od Goganina!

– Książę – morda strażnika ducha stała się jednocześnie płaksiwa i wymagająca – pan nie powinien stawiać osobistych integesów ponad spgawiedliwością. Gdyby wielkiemu Bgandonowi kazano wybgać, kto będzie jego następcą – syn, któgy go się wyrzekł czy bgat, wiegny jego pamięci – on by się nie wahał.

– Być może – nie sprzeciwiał się Epineix – ale Brandon został powieszony, a nasza rozmowa staje się bezprzedmiotowa.

– I to mówi wnuk Guillaume'a Epineixa, syn Maugice'a Eg-Pgieux, któgy znalazł opiekę w Agagisie! – wykrzyknął męczennik – Przyjęliśmy pana jak godzonego, z gospostagtyami objęciami, i takiej wdzięczności się doczekaliśmy!

Powiedzmy, że jak rodzzonego przyjęli go Aldo i Matyllda, a Carliona Rober Er-Prieux

zobaczył dopiero po roku. Męczennik za Ojczyznę pożyczyl od syna Maurice'a Er-Prieux przedostatni tall. Obiecał oddać nazajutrz, oddaje do dzisiaj.

– Pamiętam, co i komu zawdzięczam, lepiej od pana – odparował Rober. Pamięta i wyciągnie z Ollarii Matyldę, niezależnie od ceny, jaką przyjdzie za to zapłacić, a dla suzerena już za późno na ratunek. Aldo zabił siebie dzisiaj razem z Insmillerem.

– Co to za aluzje? – wodniste oczka zamrugały z oburzeniem: przypomniał sobie czy udaje?

– Takie, że póki pan w Agarisie wspominał przodków, my w Taligoj walczyliśmy – zauważył pouczająco wychodzący zza kolumn baron Crackl, który już wyzdrowiał po strasznej ranie, otrzymanej w grobowcu Ollarów.

– My zachowaliśmy dla was władcę – wywrócił oczami „Caglioni” – do zwycięstwa doprowadził was Aldo Gakan.

– A gdzie w tym czasie był pan? – Douglas Templeton, który właśnie podszedł, ścisnął łokieć Robera – Nie przypominam sobie, bym widział pana przy Lesie Świętej Martyny czy pod murami Ollarii.

– Pod murami Rakany – miło uśmiechnęła się baronowa Crackl. Była nawet ładna, zbyt ładna dla zezowatego, niemłodego męża – Mieszkamy w Rakanie, panowie.

– Nie mogę się zgodzić – Udo Gont pocałował wypielegnowaną rączkę – jego wysokość zdobywał właśnie Ollarię, inaczej nie byłoby to zwycięstwo.

– Ma pan rację – baronowa zalotnie machnęła malinowym wachlarzem. Niepotrzebnie – na mundurze Udo złociła się róża, która bez wątpienia przekoczywała tu z piersi Marianny Kapul-Gizail.

– Pani nie może znać niektórych rzeczy – podniósł palec agaryjski mieszkaniec – tylko my, którzyśmy przeżyli czagne czasy, zachowaliśmy przeszłość w imię przyszłości.

– Taligoję oswobodzili sami Taligojczycy – uciał Crackl – Skłaniamy głowy przed tymi, którzy zginęli za naszą i waszą wolność. Egmont Ockdell, Karl Born, Maurice Er-Prieux i jego synowie – oni wszyscy urodzili się w Taligu, ale umarli za Taligoję. O kim z urodzonych w Agarisie można powiedzieć to samo?

– Obgąza pan nie tylko naszych przodków – „Caglioni” załamał ręce i zrobił pół kroku w kierunku obrażającego, oczyszczając sobie tym samym drogę do wycofania się – pan obgąza władcę.

Co odpowiedział Crackl, pospiesznie wycofujący się przyjaciele nie usłyszeli. Rober wyskoczył ze Złotej Sali, nie wiedząc, od kogo mdli go bardziej – od agaryjskich wygnańców, zezowatego barona czy malinowych szmatek jego jasnowłosej małżonki.

– Uspokój się – Udo poprawił swoją różę – Wiesz co? Przyjdź pojutrze do Kapul-Gizailów. Ja od południa do świtu sterczę w Poczekalni, a potem jestem wolny jak cztery wiatry. Zagramy we wjeharron, wypijemy, baron pokaże ci ptaszki.

– Może przyjdę – leie Astrape, co z nimi wszystkimi zrobiła Święta Martina?! Douglas prawie rzuca się wszystkim do gardeł, Udo chowa głowę w obce łóżko i nie chce niczego zauważać, a Epineix... Epineix zdradził suzerena, zanim jeszcze suzeren zdradził siebie.

– Przyjdź – puścił oko brat Richarda – bo Douglas nie może, a we trójkę to nie gra.

– Nie mogę – rozłożył ręce Templeton – Rodzinny obowiązek, sami wiecie!

– No widzisz – zmrużył oczy Udo – on nie może, a na drugi dzień Przełomu przyjęło się chodzić w gości.

– Ty najpierw pierwszy przeżyj – poradził Rober – Rano mieszczanom mają rozdawać prezenty, a wieczorem – Duże Przyjęcie, po nim niebo wyda nam się patelnią.

– Przyjęcie jakoś przeżyjemy, a do prezentów mamy całego cywilnego komendanta – Gont wpatrzył się w tłum i skrzywił wargi – Proponuję uciec. Władca Fal – to ponad moje siły. I to jeszcze z Bernheimem.

– Uciekamy – zgodził się Rober – Ośmiornica Inochodźcowi nie towarzyszy, a przy okazji zajrzemy w Myśliwską Salę.

– Stęskniłeś się za „Złotym polowaniem”? Ja też – twarz Douglasa przybrała zakłopotany wyraz – Stwory Zmierzchu, przecież wróciliśmy do domu, a czuję się jak obcy.

Wrócili, ale jak i z kim? Gdyby tylko można było powiedzieć prawdę, ale Udo nigdy nie wybaczy Ollarom Karla i Richarda. Douglas na pewno by zrozumiał, ale najpierw trzeba doczekać się Reginalda.

– Panowie, pozdrawiam was z wielkim dniem – brodaty Sarassan i jeszcze nie siedzący przy stole Wanag zastąpili drogę. Obejść ich, nie odpychając przy tym starego generała kawalerii i agaryjskiego ambasadora, było niemożliwością.

– My też was pozdrawiamy – uprzejmie powiedział Epineix. Ile dzisiaj pochłonie Wanag? Ile ten „właściciel wysp przy Hexberg” w ogóle pochłonie?

– Przewidziałem, że ten dzień nastąpi. Pamięta pan, mówiłem o tym w Agarisie – poszedł do ataku obzartuch – Nigdy nie miałem wątpliwości co do naszego Aldo!

Był czas, że Rober też ich nie miał. Ani co do swoich racji, ani co do tego, że Aldo Rakan jest jego przyjacielem, a on sam – przyjacielem Aldo Rakana.

– Epineix – krzaczaste brwi Sarassana skoczyły w górę – co z panem?

– Wojskowe sprawy – przyszedł z pomocą Douglas – Z Priddy przyszły niedobre wieści.

– Jednakże nie powinniśmy składać broni – zatrząśł znakomitą brodą Sarassan, w czasie uczy na pewno nabije się okruszkami – Mówiłem i będę mówił o tym, że przeciwko Taligoi zawiązano spisek.

Zawiązano. I tylko dzięki temu spiskowi tutaj jesteś. A spisek wybija się spiskiem.

– Drogi Sarassanie – wziął się pod boki Inochodziec – wróciliśmy do domu na zawsze. Największe nieszczęścia są już przeszłością.

– To my wróciliśmy – poruszył wąsem Wanag – Ale Pridda i Maragona wciąż jeszcze jęczą pod butem zaborców. Moje rodowe ziemie...

– Przyjdzie i na nie kolej – przerwał obzartuchowi Born – Wiosną wszystko się skończy.

Tylko nie tak, jak tego chce Wanag. Nie zobaczy żadnych wysp. A wyspy, na swoje szczęście, nie zobaczą „prawowitego właściciela”.

– Hrabio Gont – zakolysał brodą odkrywca spisku – jest pan zbyt ufny i prostoduszny. Wystarczy wspomnieć „Annały”, w których...

Jak dobrze te wszystkie gaduły zapamiętały, że Udo stał się Gontem, a Ollaria – Rakaną, i jak szybko się zleciały, spełzły, powyłaziły ze swoich nor.

– ...zniszczyć Taligoję, niosącą w sobie ziarno prawdziwej, wyższej duchowości – bębnął Sarassan – W tym celu dwa tysiące dwieście dwadzieścia cztery lata temu został zawiązany spisek...

Ignas był zdolny perorować godzinami, ale Wanag miał o wiele ważniejsze sprawy.

– Monsignore – zahuczał obzartuch, odsuwając przyjaciela – nie będę nalegał na zwrot moich wysp i zburzeniu wzniesionych bez mojej zgody fortów, ale liczę na odszkodowanie poniesionych strat.

– Za czterysta lat? – uśmiechnął się Templeton.

– Za trzysta dziewięćdziesiąt siedem – Wanag nie żartował, on po prostu nie umiał żartować – z uwzględnieniem zwykłego gaifijskiego⁴⁴ procentu.

– A dlaczego nie gogańskiego? – nie wytrzymał Rober – Gogański procent jest wygodniejszy.

– Tak? – zdziwił się właściciel wysp – Ale przecież jego nie można ustalić, w odróżnieniu od gaifijskiego.

– Niech się pan naradzi ze swoim lichwiarzem – poradził Udo – kiedy będzie mu pan oddawał pieniądze. Jeśli będzie pan, naturalnie.

– I nie doceniacie panowie zagrożenia – Sarassan nie zamierzał słuchać o procentach za wyspy, on miał swoją piosnkę – Przyjaciele moi, jesteście jeszcze tak młodzi! Wy nie zastanawialiście się nad tym, kto wiekami żył bok w bok z nami, podgryzając same korzenie istnienia Taligoi, a ja poświęciłem temu całe życie.

44 Procent za kredyt udzielony w gaifijskich domach pożyczkowych.

Czemu? Podgryzaniu? Nie ty jeden. My wszyscy w miarę naszych sił gryźliśmy cudzy korzeń, ale przegryźli go nie agaryjskie obzartuchy, a Loura z Goganami.

– Jeśli czytaliście moje prace – nie ustępował wojownik ze wszechświatowym złem – to powinniście pamiętać Pouczenia Franimskie.

– Niestety, nie – omal nie zawył Rober – Jestem człowiekiem wojny, historia i filozofia to nie dla mnie.

– Przysłę panu swoje „Komentarze do Antinachia” – obiecał Sarassan – Marszałek Taligoi

powinien wiedzieć, z jakimi wrogami będzie miał do czynienia.

– On wie – zapewnił Born-Gont, łapiąc Epineixa za łokieć.

– Nie – uniósł palec Sarassan – nie może pan znać całego zasięgu spisku. My się śmiejemy, rozmawiamy, pijemy za zwycięstwo, a wśród nas snują się wrogowie. Oni chwytają każde nasze westchnienie i czekają na swój czas, by uderzyć.

Jeden na pewno snuje się i czeka, i ten jeden – to Pierwszy Marszałek Taligoi we własnej osobie.

– Panowie – oznajmił wychodzący z Moryjskiej Galerii Archibald Bernheim – póki czekamy na jego wysokość i jej książęcą wysokość, uszczęśliwi nas swoją nową balladą baron Deyers. Została napisana specjalnie na dzisiejszy dzień i będziemy pierwszymi, nie licząc geniusza, który natchnął barona, jej słuchaczami.

Wielośmiertny Deyers z lutnią w dłoniach wyszedł na środek. Nadal był posepny, ale zmienił oberwany kaftan na rozkoszną dworską toaletę. Baron uszczypnął struny i oznajmił:

– „Pieśń Zwycięzcy”.

Rober uniósł oczy. Na stropie złotowłosey myśliwy obejmował młodą wieśniaczkę. Było im dobrze, oni nie musieli słuchać Deyersa.

Oto i stał się moment wielki –

zaciągnął minstrel –

strząsnęliśmy z szyi jarzmo oków
ja słyszę radosne okrzyki
lecz wplotły się w nie jęki wdów...

Ta ballada była nowa. I stęchła jak zeszlóroczne jajko, bo baron swoim zwyczajem znów tracił głowę, wieształ się i wypędzał wraz ze wszystkimi zbawicielami ojczyzny. Zaczął, co było do przewidzenia, od Hectora Pridda i Ernani, potem przyszła kolej na Ockdellów.

Pamiętam, jak wielki Alan –

wył Deyers –

Poraził zdrajcę ostrzem
Z nim moja krew ściekała
na szafot razem z toporem.

Reginald jest już w Nadorze, święta wicehrabia spędzi z krewnymi, a jutro albo pojutrze pojedzie do Savignaca. Czyli za miesiąc przyjdzie odpowiedź. Może wcześniej, ale lepiej przeliczyć się w dobrą stronę niż w złą. Miesiąc on wytrzyma, miesiąc to niedługo.

Widziałem Carliona oczy,
przed katem stojącego,
jednym łańcuchem nas skuto
i unieść miecz nie w mej mocy.

Oczywiście, że nie w twej mocy! Bo czy uniesiesz miecz, kiedy masz związane ręce i nogi i wiesz głową w dół? Mieczem, toporem, szpadą, hołobłą i miotłą trudno machać na wygnaniu, ale na wygnaniu baron bronią się nie rozpieszczą, wołąc oplakiwać jęczącą pod jarzmem ojczyznę z daleka i nad butelką.

Drgnąłem, widząc, jak się zaciska
wokół szyi Pellota pętla,
moja dusza stała przy nim blisko,
lecz padł obrońca króla.

Jakiego króla bronił Paul Pellot, który zdradził wszystkich i wszystko, i czy można upaść, będąc powieszonym – tego Deyers nie wyjaśnił. Nie do tego mu było:

Wzeszło nad nami słońce obce,
i skryła się ojczyzna w dali,
smutne Taligojczyków serce,
pozbawionych rodzinnej ziemi.
Płakali Sarassan i Meven
nad czarą smętnego wina,
i czarę gorzycy i gniewu
wypiłem z nimi do dna.

Rober znów spojrzął na sufit, ale tym razem nie pomogło. Baronowskie wycie zapełniało wszystko dookoła, jakby w pałacu za każdymi drzwiami i pod każdą kanapą chował się jeden cierpiętnik z brzęczącą lutnią. Cierpiętnicy wrzeszczeli, jak ich ścinają i wypędzają, a Rober nie mógł zrobić ani jednego, ani drugiego, chociaż bardzo chciał. Do mroczków przed oczami i kuli w gardle. A Deyers nie ustępował.

Nadszedł czas wielkiej bitwy,

– dla lepszego efektu obrońca ojczyzny nie tylko szarpnął za struny, ale i tupnął nogą –

szarpnąłem się w swej celi,
lecz nie ocaliły me modlitwy
w Świt odeszłych Epineix.

To było ostatnie, co usłyszał Rober. Ostatnim, co zobaczył, były wytrzeszczone oczy minstrela, żółtawe, z czerwonymi naczynkami, i błyszczący nos.

3

Wypalony step biją bursztynowe kopyta, huczy grom, rwą zmierschowe niebo łapy błyskawic i wznosi się, rośnie na horyzoncie zwieńczony szkarłatną kulą czarny słup. Jakże do niego daleko i jak blisko!

*Błyskawica!
Przez pęknięty kryształ.
Błyskawica!*

Coś świsnęło u skroni, coś upadło pod nogi konia, który odskoczył w bok. A może ktoś? Deszczu nie ma i nie będzie, tylko żar, tętent i galop na spotkanie temu, przed czym wszyscy uciekają. Twarzą w twarz na ostatniej rubieży – do tego zostałeś urodzony, a pozostałego po prostu nie ma. Ani białego, ani czarnego, ani złego, ani dobrego. Twoje miejsce jest tam, gdzie niebo łączy się z ziemią, a zmiersch z nocą.

*Wieczór!
Roztrzaskuje się kryształ.
Wieczór!
Zalany winem opal.
Wieczór!
Jednego Jeden nazwał!
Wieczór...*

Złotem błysnęła przez krwawy zmrok umierająca gwiazda, stoczyła się w dół, pozostawiając gasnący ślad, za nią popędziła druga, jakby próbowała dogonić. Zdziczały wiatr cisnął w twarz garść popiołu, zza ramienia wyskoczył, zahaczył policzek skrzydłem czarny ptak, krzyknął coś niepojętego, drgnęła, zadrżała jak żywa szkarłatna kula w czarnej pazurzastej łapie.

*Serce!
Starą krwią wieczór spurpurowiał.
Serce!*

Z palącej paszczy wynurzył się jeździec na wronym koniu, popędził obok, coś krzyząc. Szkarłatny aksamit, splątane czarne włosy, twarz zalana krwią, nic nie można dostrzec, zapamiętać – tylko oczy. Niebieskie, złe, zrozpaczone... Nie można w nie patrzeć, jak na śmierć, jak na słońce, ale przecież on patrzy! Ptaki wciąż krzyczą, i sięga, rwie się ku umierającemu sercu, kipiąc pianą, chciwa fala. Płomień – popiołem, popiół – lodem...

*Północ!
Skorpion jad i senny żal -
Północ!
W pierś zatruty kindżał -
Północ!
Jednego Jeden nie zwał.
Północ!*

– Dziwna pieśń. Nie spodziewałem się.

Rwący się strunny dzwon, wykrzywione cienie, tętent kopyt oddala się, głuchnie, tylko serce nadal bije. Serce... Biała figura bez twarzy, setki świec, ich światło mieni się zielenią. Wiek bogów nikczemnie mały się stał...

– Dlaczego nigdy jej nie słyszałem?

Pieśń? A czy była pieśń? Na Przełomie się nie śpiewa. I nie krzyczy. Bo czy można krzyżeć na przełęczy?

Widmo powoli się obraca – starożytna korona, złota szarfa, znajoma twarz. *Po co mu szarfa po tym wszystkim? Po Insmillerze, po Loura? Oni i tak nie wejdą do wieży...*

– Co z twoimi rękami? – Matylda! Pierwszy raz w życiu Rober mógłby nazwać ją starą – Pokaleczyłeś się?

– Nie – ale ręce we krwi, jak głupio!

– Dlaczego rozkwaśiłeś Deyersowi nos? – mruknął Aldo – Śpiewak z niego, owszem, parszywy, ale za to wkłada w śpiew całą duszę.

– Kłamać nie należy nawet z duszą – Matylda jakby spała na stojąco, spała i śniła koszmar – Dobrze, że przegonił to nieporozumienie, ale po co było się kaleczyć?

– Nie rozumiem – wymamrotał Rober, patrząc na cudzą lutnię we własnych rękach – ona nie ma strun, a grała. Jak?

ROZDZIAŁ 6

RAKANA (B. OLLARIA)

399 rok K.S. 24 dzień Jesiennych Błyskawic

1

Palce Epineixa pocięte były do krwi, a struny pękły. Zły znak, ale Inochodziec sam jest sobie winien. Po co rzucał się na Deyersa? Owszem, to nie Diderich i nie Wennen, ale znalazł potrzebne, słuszne, sprawiedliwe słowa.

– Co śpiewałeś? – ostro zapytał Aldo.

Inochodziec nie odpowiedział, tylko wziął od Matyldy chusteczkę i wytarł palce. Święty Alanie, on zupełnie oszalał. Albo się upił. Dobrze, że Aldo, widząc, co wyrabia książę Epineix, kazał odejść wszystkim oprócz Matyldy i Władców, chociaż Walentyn nie ma tu czego szukać.

– Roberze – ściągnął brwi suzeren – o Deyersie porozmawiamy później, skąd wzięłeś tę pieśń?

– Nie pamiętam dokładnie – Epineix wsunął zakrwawioną chusteczkę w mankiet rękawa – Słyszałem kiedyś w Epineix. Od brata.

– Znam tę pieśń – odezwał się Dickon. Nie chciał wspominać Kruka, ale suzeren czekał na odpowiedź – Książę Epineix zaśpiewał ją nie do końca. Powinno być jeszcze o Skalach i o Wiatrach.

– Słowo Władców ma wiele zwrotek, książę – rozsunął usta Walentyn – Pauzaniasz pisze, że pierwotnie było ich dwadzieścia i jedna, ale wszystkie znał tylko anaks.

– Przekłady wypaczają pierwotny sens – nachmurzył się Aldo – ale Władca Błyskawic ma rację. Dzisiaj galtarskie pieśni są na miejscu bardziej niż nowe, a radość bardziej niż smutek. Kertiana zaczyna nowy Krąg, a Taligoja razem z nią! To nasz Krąg, moi przyjaciele, nasz i niczyj inny, tak że będziemy się radować! Panie Kręgu, twoje słowo!

Dickon wzdrygnął się. Przełom, noc, zima. „Czworo Jeden wezwał”. Na wezwanie Aldo Rakana odezwało się trzech, ale jeden stracił zmysły, a drugiemu nie można ufać.

– Proszę państwa – żeby tylko się nie zająknąć, nie zapomnieć słów – Krąg się zamyka. Stare umiera, wieczne się odradza. Od Zmierzchu do Północy – Skały i Wiatr, od Północy do Świtu – Wiatr i Skały! Ta noc – pomost! Przejdźmy więc po nim! Wielka Sala czeka na gości!

Aldo kiwnął krótko i poprawił szarfę, na której powinien był wisieć zupełnie inny miecz. Przeklęty Ferdynand! Nawet cztery armie nie zaszkodziłyby suzerenowi tak dotkliwie, jak miernota, która rządziła się nie swoimi relikwiami.

– Jego wysokość przechodzi do Wielkiej Sali – oznajmił pomocnik mistrza ceremonii i uderzył laską o mozaikowy parkiet. Aldo gwałtownie obrócił się na złotych obcasach, uśmiechnął i ruszył ku galowej amfiladzie. Richard Ockdell pamiętał tę drogę. To właśnie nią szedł w dniu urodzin jej wysokości. Tamtego dnia spotkał swoją miłość i swoją nienawiść.

– Jej księżęca wysokość i Pan Kręgu idą za jego wysokością!

Księżę Ockdell skłonił się księżnej wdowie, a ta oparła się na jego rękę. Mieli obejść prawie cały pałac, procesja anaksa i eorów z Tronowej Sali do Wejściowej było jeszcze jedną starożytną tradycją. W Galtarze gniazdo anaksa opasywały cztery przechodzące jedna w drugą galerie, ale kabitelscy i ollarscy architekci budowali inaczej.

– Władca Fal i Władca Błyskawic idą za jego wysokością!

Biedny Inochodziec, dostać jako towarzysza Pridda! Już lepszy Deyers z jego lutnią niż ta zakłamana, lodowata fizjonomia. I nic się na to nie poradzi – „Czworo Jeden wezwał”, a jednym z tych Czworka jest Władca Fal! Teraz Richard prawie się cieszył, że Katarina Arigau odrzuciła zaproszenie suzerena. Pan Kręgu na Dużym Przyjęciu towarzyszy suzerenowi, a Walentyn i Rocksley, korzystając z okazji, narzuciliby Katari swoje towarzystwo. Czy to nie dlatego właśnie jej wysokość wolą zostać w swoich apartamentach?

Katarina nikogo nie przyjmowała, ale Dickon nie pojechał do Marianny, chociaż wspomnienia o złocistym buduarze zwracały w głowie, a baronowa przysłała „odważnemu przyjacielowi” dwa bardzo miłe liściki. Richard nie odpowiedział: prawdziwa miłość nie może łączyć się z wizytami u kurtyzany. Teraz do Kapul-Gizailów coraz częściej jeździł Udo. No i niech tam, serce hrabiego Gonta jest wolne i lepiej, żeby w łóżku piękności był on niż Pridd albo Rocksley.

Marianna jest bez wątpienia obrażona brakiem uwagi ze strony Władcy Skał, ona może opowiedzieć nowemu kochankowi i to, co było, i to, czego nie było. To nic, poza Udo to nie wyjdzie...

Lewa noga Dicka napotkała pustkę i młodzieniec utrzymał się na nogach tylko dzięki Matyldzie. Jak on mógł zapomnieć o stopniu pomiędzy Myśliwską Poczekalnią a Salą Fontann?

– Wasza księżęca wysokość – wymamrotał Dickon – proszę o wybaczenie.

– Drobiazg – palce księżnej silnie ścisnęły łokieć młodzieńca – Ale nie zapominaj patrzeć pod nogi. Szczególnie kiedy będziesz tańczyć z pannami.

Z pannami? Po co mu panny? Ale jej księżęca wysokość nie może tego wiedzieć. Ockdellowie kochają tylko raz, jak łabędzie z sonetu Wennena. On znalazł swoją miłość, na wieki.

– Jego wysokość wchodzi do Myśliwskiej Galerii. Jej księżęca wysokość i Pan Kręgu idą za nim!

Gra zmierzchu i świc zamieniała utkane lasy w żywe. Między złotymi drzewami pędziły, ratując swe życie, jelenie i dziki, a za nimi gnały błyszczące kawalkady. Rozwiewały się płaszcze jeźdźców i końskie grzywy, trąbiły rogi, otwierały pyski gończe. Wieczna pogoń przez szaleńczą jesień, zatrzymana mistrzostwem tkaczy.

Suzeren lekko i dumnie kroczył między starymi gobelinami, za jego plecami błyszczał sztylet Borrasca. Jak on trafił w ręce Priddów? Kiedy? Służący Ośmiornic są uczciwsi od Kenallijczyków, zachowali powierzone im skarby, a jak by się cieszył Aldo, gdyby otrzymał galtarskie latopisy! Sztylet jednego z Wielkich Domów to nic w porównaniu z mieczem Rakanów, a w starych

manuskryptach mogłyby się odnaleźć odpowiedzi na wiele pytań.

Richard nie wątpił, że wśród przepadłych ksiąg była i praca Pauzanasza, którą chwali się Pridd. Kruk miał i o wiele rzadsze foliały, w którymś z nich mogła być też pieśń Czworoga. Suzeren zna ją po galtarsku, ale czy całą?

2

Rober wyje do księżycy, Dickon łapie wrony, jedyny wnuk ogłupiał jak kundel w czasie gonu, a za plecami kłębi się stado yzargów. Pięknie!

Jej wysokość księżna wdowa starała się nie patrzeć na plecy wnuka. Jeszcze rano chciała krzyżeć, kłócić się, kłąć ostatnimi słowami, a teraz zostały tylko zmęczenie i otępienie. Tak było po śmierci Ernani i Idy. Anesti płakał, modlił się, łapał za pierś, oskarżał ją o brak serca, a ona patrzyła w okno i piła. Dopóki Paketta nie przyniosła śpiącego Aldo. Teraz nikogo jej nie przyniosą.

– Wasza książęca wysokość – Dickon ze wszystkich sił starał się być kawalerem – jak pani znajduje te gobeliny?

Nijak, ale lepiej mówić o gobelinach niż o pogodzie. A o pogodzie lepiej niż o krwawych strzępach na kamieniach Nochy i zadowolonym uśmiechu wnuka. Insmiller był paskudztwem, bestią, wyrodkiem, Aldo o tym wiedział i z tego korzystał, a potem rzucił szubienicznika tłumowi. W prezencie.

– Tkano je zgodnie ze szkicami Bondi – nie ustępował Dick – to był wielki malarz.

– Rysować umiał – pospiesznie zgodziła się Matylda – za to jeździec był z niego żaden, inaczej wodze by u niego nie zwisały. Jak tam twój ogier, przy okazji?

– Nox go odprowadził – twarz chłopca przybrała zmartwiony wyraz – Karasa co najmniej przez tydzień nie można ruszać. Przyjdzie kupić drugiego, Władca nie może jeździć na kobyle.

– Jak nie możesz, kupuj – czym trzeba myśleć, żeby mianować chłopca cywilnym komendantem? – tylko niech najpierw Epineix obejrzy.

– Znam się na koniach – nabzdyczył się Dickon – Po prostu dobrego linarczyka nie od razu się znajdzie.

– Nie w rasie szczęście – ono jest w młodości i w głupocie, ale Dickon nie zrozumie tego jeszcze przez trzydzieści lat – Mnie w Alati ogierek się nawinął – brzydactwo jakich mało. Tłusty, z baranim łbem, kłęb wpadnięty, a sam chytry jak sto Goganów. Ale to mój koń! Rozumiesz, mój! Ja za Beczkę czterech linarczyków nie wezmę. Koń to najpierw – przyjaciel, potem – skrzydła, a te twoje linarczyki co? Podstawki pod tyłek! Ty widziałeś dzisiejsze klacze? Paskudztwa, że wzroku oderwać nie można, tylko u Robera i Pridda konie przyzwoite.

– Nie lubię szarych – szarpnął się Richard – wydają się brudne.

– Pridda nie lubisz – nie wytrzymała księżna – i nic dziwnego. Tylko nie lubić też trzeba umieć. Ośmiornica nie na twoje zęby – czyli go nie zauważaj. Nie ma go i tyle!

– On kłamie! – dlaczego u jednych ze zdenerwowania czerwienieje cała twarz, a u innych tylko policzki albo uszy? – Mogłem go zabić, ale oszczędziłem. Pridd uderzył mnie zdradziecko!

– Ale ty przepuściłeś cios.

I ona przepuściła. Nie oczekiwała, nie rozumiała, nie widziała, nie chciała widzieć, a przecież wcześniej nie chowała głowy pod skrzydło!

– Nasz spór z księciem Priddem rozsądzi szpada – wypalił Dick i sam się wystraszył – Tylko nie teraz... Pamiętam o edykcje.

– No to pamiętaj.

Z Ośmiornicą rzeczywiście nie wszystko jest tak proste. Mętny on jakiś, chociaż niby dlaczego ma być przezroczysty? Duszę trzeba zapinać, wtedy w nią nie spluną. I nie wleżą z buciarami.

Wnuk zwolnił kroku, wstrząsnął jasnymi włosami, obleczone białym sukniem ramię zdrżało – chciał poprawić koronę, ale się powstrzymał. Kto go tego wszystkiego nauczył? Nie Anesti, ten jak żył kapuścianym ślimakiem, tak i umarł, nie złażąc z agaryjskiego kaczana.

– Wasza książęca wysokość, ostrożnie – zatroskał się Dick – Tu są stopnie.

Jakby ich nie widziała. Ze schodów nie spadnie, a z góry już zleciała i z powrotem nie wlezie.

3

Marmurowi wojownicy w niszach, podobni do siebie, ale tylko na pierwszy rzut oka, szpalery z myśliwskimi scenami, złote moryskille na obsypanych szlachetnymi kamieniami gałęziach. Wszystko to było kradzione, a złodziejami byli oni, zwycięzcy bez zwycięstwa...

– Monsignore – poważny służący ze Zwierzem na piersi poprowadził Robera do jego miejsca – proszę.

Stolarze zdążyli – przy królewskim stole murem twierdzy wznosiły się oparcia foteli. Nad dwoma stroszył skrzydła Zwierz. Ten sam, ze starej szkatułki, nad pozostałymi sterczały książęce korony.

Aldo sam gwałtownym ruchem odsunął dębowego potwora, pozwalając Richardowi usadzić Matyldę, i usiadł obok babki. Wszystko zgodnie z obyczajem: u szczytu stołu – anaks, za nim – Władcy w raz i na zawsze ustalonym porządku. Oparcia z dzikami, oparcia z ośmiornicami, oparcia z końmi. Kruków nie było. Między fotelem Richarda i fotelem Pridda ziała dziura, co nie mogło nie radować.

Cześć nalał wina, na chórze zawyły i ucichły trąbki. Aldo wstał zza stołu ze złotym kielichem w dłoni. Kielich był nowy, jak i orderowe łańcuchy, fotele i „galtarskie” stroje z herbami. Rober z nienawiścią spojrział na własny rękaw: krew powoli przestawała się sączyć, na szkarłatnym suknie występowały bure piętna. To nic, nad ranem w piętnach będzie nie tylko on.

– Krag się zamyka – odezwał się jego wysokość i Rober drgnął, choć oczekiwał toastu – Taligoja została oczyszczona z ollarskich strupów. Pijemy za zwycięstwo, przyjaciele, za wielką Taligoję i za nową epokę! To będzie epoka zwycięstw, majestatu i sprawiedliwości! Tak będzie, erowie i erea!

– Tak będzie! – Dickon osuszył kielich, z uwielbieniem patrząc na Aldo. Płonące oczy, wierność do grobu i żadnych wątpliwości. Tylko pozazdrościć!

Z chóru posypał się, zakrażył, zabłyszczał złoty fałszywy śnieg, maestro Alessandri machnął swoją batutą, orkiestra zagrała coś rzeźkiego i nie na miejscu, jak psie wesele na pogrzebie.

– Nie pije pan? – w szarych oczach Walentyna Pridda była uprzejmość, tylko uprzejmość i nic oprócz uprzejmości – Żle się pan czuje?

– Stara rana – czy raczej wrzód, który pękł dopiero dzisiaj – Proszę nie zwracać uwagi, książę, to doprawdy drobiazg.

– Niektóra muzyka rozdrażnia, nieprawdaż? – o czym mówi Ośmiornica? O orkiestrze czy o Deyersie?

– Owszem...

– Proszę państwa – znów Aldo – wesoły, zadowolony, pewny siebie – Wzywamy do wspomnienia tych, którzy położyli głowę za nasze zwycięstwo. Ich było wielu, nie możemy nazwać każdego po imieniu i nikogo nie chcemy zapomnieć. Dlatego pijemy do dna za wszystkich prawdziwych Taligojczyków. Oni są tej nocy tutaj, z nami. Pamiętamy!

– Pamiętam! – wrzasnął Bernheim, pamiętający tylko o sobie.

– Pamiętam! – Cavendish ma na sumieniu setki śmierci, ale dawno o nich zapomniał.

– Pamiętam! – Wanag wlewa w siebie czarną strugę i mruży oczy. „Pan wysp” dorwał się do stołu, gdzie mu do Taligojczyków!

– Pamiętam! – łzy w oczach Dickona! Jakież on podobny do ojca!

– Pamiętam! – Udo podnosi kielich do ust i natychmiast odstawia na obrus.

– Pamiętam! – Walentyn Pridd pije i patrzy w okno. Zmrok, tak jak śmierć, ma niebieskie spojrzenie, a kto ma lodowate?

– Pamiętam! – wino jest słodkie, zbyt słodkie dla pamięci, ono łże swoją słodyczą, ale trzeba dopić. I nie wariować, a żyć i czekać. Najpierw na poranek, potem na odpowiedź z Nadoru. Leie Astrape, on powinien żyć i on będzie żyć!

– Za pozwoleniem, napełnię pański kielich.

To nie kenallijskie, nie kageckie i nie taligojskie, ale szumi w głowie. Stwory Zmierzchu, on nie może się upić! Co trzeźwy ma na myśli, to pijany na języku.

– Wasza wysokość! – oznajmił Bernheim – Ambasadorowie Złotych Ziem proszą o audiencję.

„Ambasadorowie Złotych Ziem” to było za wiele powiedziane. Przez otwarte drzwi gęsiego wpełzli przedstawiciele siedmiu państw. Pierwszym był postawny Drikseńczyk i po twarzy

suzerena przemknęło rozczarowanie. Ze wszystkich ambasadorów Aldo najbardziej był potrzebny Urgot, ale się nie pojawił i wątpliwe, by przyczyną były tylko wiek i choroba.

– Słuchamy – jego wysokość znów promieniował pewnością i życzliwością.

– Wasza wysokość – hrabia fok Glauberoze złożył pełen godności ukłon – ponieważ duajen Pałacu Ambasadorów jest chory, przypadł mi zaszczyt powitać pana nie tylko w imieniu mojego kesara, ale i w imieniu wszystkich moich współbraci.

– Dziękujemy panu – uśmiechnął się Aldo i wygodnie odchylił na oparcie fotela – Proszę przekazać naszą sympatię i braterską miłość naszym koronowanym braciom i siostrze.

– Złote Ziemie z głęboką radością przyjęły powrót wielkiej Taligoi na łono kościoła esperatyjskiego – poważnie powiedział tymczasowy duajen – Przypadł mi ogromny zaszczyt wyrazić wspólną nadzieję, że z upadkiem dynastii Ollarów w Złoty Ziemiach zapanuje pokój i sprawiedliwość.

– Podzielamy pańskie nadzieje – skinął Aldo – i nie wątpimy, że nowy Krąg przyniesie Złotym Ziemiom potęgę i rozkwit.

– Szczęśliwi jesteście, słysząc to – Drikseńczyk jeszcze raz się uklonił – A teraz już jako pełnomocny ambasador jego wysokości Gotfryda proszę przyjąć moje listy uwierzytelniające.

Drikseński oficer z kamienną twarzą wręczył panu ambasadorowi obciążoną czarną skórą szkatułkę. Fok Glauberoze otworzył skrzyneczkę, uniósł usiany pieczęciami pergamin, zamknął wieczko i oddał kamiennotwarzemu.

– Zawsze będziemy radzi, widząc pana, ambasadorze – miłościwie uśmiechnął się władca wielkiej Taligoi – Życzymy jego wysokości Gotfrydowi szczęścia w odzyskiwaniu historycznych drikseńskich posiadłości. Ze swej strony przedstawiam eksterriora hrabiego Wuscerda. Przyjmie on listy uwierzytelniające po ogłoszeniu ich przez liktora.

Kamiennotwarzy równym, wyuczonym gestem przyjął z rąk fok Glauberoze szkatułkę i, wybijając krok, skierował się ku zamarłemu przy swojej trybunie królewskiemu liktorowi.

– Słuchamy – Aldo oparł się wygodnie.

– *Niniejszym potwierdzamy – dobrze modulowany, znaczący głos przypominał naszpikowaną słodkimi suszonymi śliwkami kaczkę, której Rober od dzieciństwa nienawidził – że okaziciel niniejszego pisma hrabia Otto-Ferdynand fok Glauberoze jest naszym pełnym i pełnomocnym przedstawicielem na dworze Jego Wysokości Aldo I i powiedziane i napisane nim jest powiedziane i napisane na nasze polecenie. Gotfryd. Kesar.*

Otto-Ferdynand ostatni raz się uklonił i zajął ozdobiony drikseńskim łabędziem fotel.

– Wasza wysokość – Iernijczyk albo Klawijczyk mówił psim przerywanym basem – Jego wysokość Antoniusz śle w tym znakomitym dniu życzenia rozkwitu dla wielkiej Taligoi i dla jej młodego, ale mądrego i odważnego króla.

– Dziękujemy naszemu bratu Antoniuszowi – zapewnił młody, ale mądry suzeren – i wyrażamy nadzieję, że będziemy mogli sprzyjać wzajemnemu zrozumieniu pomiędzy lubioną przez nas Agarią i rodziną matki mojego ojca, Alatem.

– Z radością powiadomię o słowach waszej wysokości mojego króla – psi syn, który okazał się Agaryjczykiem, błyszczał ze szczęścia – Proszę waszą wysokość o przyjęcie moich listów uwierzytelniających.

– Cieszymy się – wypowiedział monarsze zakłęcie Aldo Rakan – proszę zająć miejsce przy świątecznym stole.

Agaryjski oficer był tak młody i piękny, że mógłby ująć za gafijskiego, a przekazane przez niego listy, za wyjątkiem podpisu, były kopią drikseńskich. Niemniej jednak liktor tępo przeczytał je do końca, że brytan o imieniu Paweł Luivian „*jest naszym pełnym i pełnomocnym przedstawicielem przy dworze Jego Wysokości Aldo I i powiedziane i napisane przez niego jest powiedziane i napisane na nasze polecenie*”.

– Wasza wysokość – czarnowąsy porywisty Kaget też mógłby zrobić karierę w Paonie – mój władca Hammail-lo-Zaggaza ze sławetnego rodu Sakasz-kuwaj szczęśliwy jest z pozyskania brata i przyjaciela. Ja zaś, kazaron Burraz-lo-Wauhsar z rodu Gurpotaj, jestem podwójnie szczęśliwy, mogąc służyć sojuszwowi Wielkiej Taligoi i Kageckiej Kazarii. Stwórca zamyślił posłać Taligojczykom i Kagetom podobne próby, ale jak słońce nie może wzejść na zachodzie, tak zło i zdrada nie mogą pokonać honoru i męstwa. Taligoja uwolniła się spod władzy krwawej tyranii, niedługo będzie wolna i Kagega. Upadek Ollarów i uwięzienie przez waszą wysokość zbrodniczego

księcia Alvy przyniesie wolność i szczęście nie tylko poddanym waszej wysokości, ale i Kagetom.

– Napiszemy do naszego brata Hammaila-lo-Zaggazy – bez najmniejszego zająknięcia powiedział suzeren – Co do byłego księcia Alvy, to odpowie on za wszystkie swoje przestępstwa, których dopuścił się zarówno w Taligoi, jak i w innych krajach. Pańskie prawo i pańska powinność przed Stwórcą, władcą i Kagetami – to opowiedzieć sądowi i światu o tym, co pan wie.

– Ja, Burraz-lo-Wauhsar z rodu Gurpotaj, będę szczęśliwy, mogąc rzucić garść ziemi kageckiej na kurhan sprawiedliwości – rzucił się do boju kazaron – Proszę waszą wysokość o przyjęcie moich listów uwierzytelniających.

Burraz obszedł się bez oficera. Tanecznym krokiem Kaget przeciął salę, wręczył zdumionemu liktorowi coś złotego, usianego turkusami, oparzył spojrzeniem ślicznotkę Crackl i westchnąwszy namiętnie zajął swoje miejsce, okazawszy się między dwoma pustymi fotelami – alackim i iernijskim: brat Matyldy był bardzo ostrożnym człowiekiem.

„Niniejszym potwierdzamy” – podniósł głos porażony wręczoną mu wspaniałością liktor – że okaziciel niniejszego, Burraz-lo-Wauhsar z rodu Gurpotaj, jest nie pełnym i pełnomocnym przedstawicielem naszym przy Taligojskim dworze, a gajfijską zabaweczką. Potwierdzamy także, że tym samym są kazaron Hammail-lo-Zaggaza i Aldo Rakan, któremu w wielkiej dobroci swojej polecamy od tej chwili nazywać się Ta-Rakanem. I wreszcie zawiadamiamy, że naszym pełnomocnym ambasadorem przy tarakanim dworze jesteśmy my sami i wszystko powiedziane i napisane przez nas napisane jest własnoręcznie i z uczuciem najgłębszego zadowolenia.

Suza-Muza, hrabia”.

4

Pierwszy opamiętał się Udo.

– Chwała królowi taligojskiemu! – hrabia Gont osuszył kielich i z siłą cisnął go o podłogę, rubinowe odłamki zmieszały się z różnokolorowymi cekinami.

– Chwała Wielkiemu Aldo! – podchwycił Crackl, strząsając coś z rękawa.

– Wielka chwała!

– Przyjaciele! – suzeren nawet nie spojrzął na czarnowąsęgo przystojniaka, który skulił się do króliczych rozmiarów – Dziękujemy wszystkim, którzy dzielili nasz triumf. Nie należy przeciągać ceremonii, eksterior przekaże listy uwierzytelniające już jutro, a teraz napełnijcie kielichy. Ta noc jest stworzona dla wina i muzyki, a nie dla nudnych papierów!

– Niech żyje Aldo I! – Gambrin wysoko podniósł kielich i popatrzył na Robera. Bardzo dziwnie popatrzył.

– Chwała Aldo Zwycięskiemu, nie boję się tego słowa! – wrzasnął Wanag.

– Do dna! Tylko do dna!

– „Tgiumf Gakanów”! Żądam, żeby zaggano „Tgiumf Gakanów”!

– Za naszego króla!

– Naszego wielkiego króla!...

Wszyscy pili, i Rober ze wszystkimi, inaczej było nie sposób! Baron Crackl głośno opowiadał o swojej podróży do Kadany, Udo podnosił kielich za kielichem za piękne oczy, szare, czarne, niebieskie, zielone, Wuscerd opowiadał jakąś plotkę, ale jego opowiadanie tonęło w dźwięku terkoczących z całych sił głosów. Gdzie się podział nieszczęsny kazaron, Rober nie zauważył, ale ten znikł. Matylda potrząsnęła głową, wstała i wyszła. Dogonić? Nie, nie wolno, on jest WIERNYM przyjacielem jego wysokości, on musi siedzieć obok Pridda i nie dawać powodu do podejrzeń. Biedna Matylda... Żeby chociaż jej Laci znalazł potrzebne słowa albo i nie słowa.

– Coś pan mówił?

– Tak, książę. Baronowa Crackl ma wspaniałe przybranie głowy, nie uważa pan?

– Bezsprzecznie, jest w nim coś moryjskiego.

Służący wychlusnął wino, inaczej dlaczego kielich miałby być lepki? Tutaj wszystko jest lepkie: kielich, palce, głosy, twarze, nawet muzyka. A Deyers został bez lutni, no i Leworęki z nim...

– Panie, znów popłynęła krew.

– Nic strasznego.

Przez słodkie skrzypcowe kaskady przerywa się melodia. Obca, trwożna, jak koński tętent w

nocy, jak mgła nad czarnym jeziorem. Orkiestra gra co innego, a ona i tak dźwięczy, wypełniając wszystko dookoła. Z melodii wyrastają słowa: nieznajome, nieprawidłowe, natrętne.

*Skryty mglistą falą jar,
Świt.
Czworo jeden wezwał,
Niby
Zgrzyt metalu o metal.
Półdzień,
Czworo jeden wezwał -
Wspomnij!*

Richard patrzy na Aldo i uśmiecha się błogo. Pijany! Nie winem – zachwytem. Wino miesza się z krwią, tego nie zauważają i piją. Szkarłatne sukno, szkarłatna krew – nie zauważysz, póki nie zaschnie. Na niebieskim widać, na czerwonym – nie. Ogień świec coraz zieleńszy, a krew nie przestaje płynąć, czyli tak trzeba.

– Proszę wziąć chusteczkę.
– Dziękuję, Walentynie.

*Roztrzaskuje się kryształ -
Wieczór,
Czworo jeden wezwał -
Wieczność...
W pierś zatruty kindżał -
Północ,
Czworo Jeden Wezwał -
Wspomnij!*

Ręka zupełnie zdrętwiała, brakuje tylko wykrwawić się na uczcie, a pieśń brzmi coraz głośniejsze. Pieśń, której nikt nie słyszy...

ROZDZIAŁ 7 HEXBERG

399 rok K.S. 24 dzień Jesiennych Błyskawic

1

Słoneczny dysk powoli spełzał ku morzu, czystemu i spokojnemu jak niebo. Nie pluskała woda, nie krzyczały mewy, nie skrobały w okna ogołocone gałęzie; nawet psy umilkły. O niedawnej burzy przypominał tylko jesień, który stracił jeden z dwóch wierzchołków. Jasne smuga na ciemnym pniu wydawała się świeżą raną, szczególnie o zmierzchu.

Kapitan Gildi odszedł od gorejącego okna, wyjął z biurka czystą kartkę, umoczył pióro w kałamarzu. W prawym górnym rogu pojawił się napis: „Hexberg. Wieczór 24-go dnia J.B. 399 roku K.S.”. Ojciec zawsze zaczynał od miejsca i daty, to było najłatwiejsze. Nagle Luigi zrozumiał, że pisać prawdę chce jeszcze mniej niż kłamać.

Jak łatwo nabazgrać meldunek o tym, że admirał Almeida, biorąc pod uwagę doświadczenie felpijskiej kampanii, nie dopuścił do lądowania wroga i spotkał drikseńską eskadrę na podejściu ku Hexberg, umiejętnie wykorzystując element zaskoczenia, cechy miejscowych wiatrów i liczebną przewagę. Raport ułożyć łatwo, on wymaga tylko dokładności, ale w domu oczekują innego: szczegółów, wyjaśnień, obietnic. Szczególnie matka. Kiedy się dowie, że syn nie wróci, będzie morze łez i tonąć w nim będzie ojciec. On zrozumie, zdenerwuje się, ale zrozumie.

Gildi wydusił z siebie frazę, zapewniającą krewnych o jego, Luigiego, doskonałym samopoczuciu i wyczerpał się, nie mając pojęcia, jak opowiedzieć o cudzej wojnie, która szybko staje się swoją? To, że on i dzisiaj niczego nie napisze, staje się coraz wyraźniejsze. W każdej epoce rodzice oczekują listów, a dzieci nie wiedzą, co napisać. Mija czas i one obrażają się na własne potomstwo... Felpijczyk jeszcze raz spojrział na pustą białą kartkę z dwoma żalonymi linijkami na górze, poczuł się jak ostatnie bydło, przypasał szpadę i poszedł na poszukiwanie Valdeza.

Poszukiwania nie trwały długo: Rotger znalazł się w salonie. Wiceadmiral w paradnym mundurze, spod którego wystawała zwykła błękitna koszula, siedział na podłokietniku fotela, studiując jakiś świstek.

– Czasami – pouczająco zauważył Kenallijczyk – krewni to błogosławieństwo, szczególnie solidni. Mój drogi małżonek cioteczki napisał do mnie z Donnerwaldu. Głównie mowa jest o moim kiedyś przyszłym ożenku i, nie boję się tego słowa, mojej duszy, ale jakaś jedna czwarta listu warta jest uwagi. Nalej sobie czegoś, mamy jeszcze dużo czasu.

– Oni już wiedzą o zwycięstwie? – Luigi rzetelnie wypełnił prośbę gospodarza. „Czarna krew” kolejny raz przypomniała o tym, co i tak nie wychodziło z głowy.

– Bez wątpienia – Valdez przeciągnął się i puścił oko do portretu jakiegoś przodka – ale lądowe zachwyty dotrą do nas nie wcześniej, niż pod koniec świąt. Za to my wiemy, że Bruno wpadł tak samo, jak twój topielec.

– Można by pomyśleć – chrząknął Felpijczyk – że nie podoba ci się trzymanie w domu drikseńskiego admirała z kesarskim krewniakiem.

– Podoba się – wyznał Kenallijczyk – na tyle się podoba, że wyjeżdżam do Neumaru razem z wami.

– Cieszę się – Gildi mówił zupełnie szczerze – Ale jak Almeida?

– A nijak – oznajmił Rotger – Topić teraz i tak nie ma kogo, almirante jest człowiekiem bez przesądów, Lodowaty jest zbyt poważny, by rzucać go na pastwę losu i Rudolfa. A poza tym, dawno nie widziałem cioteczki. Luigi, zapoznam was!

– Dziękuję – wyraził wdzięczność Felpijczyk – Ale zdaje się, że mówiłeś o wojnie?

– Przed Przełomem robię się roztargniony – przyznał się Kenallijczyk – No więc, wujaszek pisze, że Davenport wyszedł z Lausschen dziewiątego. Dwunastego Bruno zaczął atak i około południa narwał się na Arigau, który właśnie urządził „gęsiom” pierwsze trzepanie. Przyszło podciągnąć główne siły. Driksowie starali się jak mogli, ale Arigo się utrzymał, nie bacząc na oburzający stosunek sił. Widocznie ja i on mamy ze sobą wiele wspólnego.

Następnego dnia generał wycofał się na drugą pozycję, Bruno zwiększył nacisk i pod koniec dnia wykurzył Germona i stamtąd. Nocą ariergarda odeszła, pozostawiając kilka kąśliwych oddziałów, które rzetelnie nie dawały marszałkowi spokoju, póki ten urządził się w Lausschen. Pamiętasz, gdzie do Herbste wpada Ferra?

– Nie – uśmiechnął się Gildi – macie tak wiele rzek.

– Czego jeszcze oczekiwać od Felpijczyka – westchnął Kenallijczyk – Ferra łączy się z Herbste tuż za Donnerwaldem. Armia idzie tam siedem dni, tak że Bruno w założeniu już jest na miejscu i tańczy na jednym brzegu, a Germon – na drugim.

– A przeprawa tam jest? – Luigi spojrział na pusty kielich i dzban z winem, ale powstrzymał się: noc i tak obiecała być niełatwa – Most albo jakiś bród?

– Wujaszek przekazuje, że mosty zostały zniszczone, a w takich sprawach jestem skłonny mu wierzyć – Valdez rzucił list na stół – Driksom pozostają brody, ale kąpiel o tej porze roku – zadowolenie poniżej średniego, będą musieli budować przeprawy, a nam pora na spacer. Nie można kazać dziewczynkom czekać.

– Zależy jakim – zjeżył się Luigi, po nocy w willi Berterozzo nie chcąc mieć nic wspólnego z nieczystą siłą, nawet przyjacielisko nastawioną – Osobiście wolę obejść się ludzkim towarzystwem.

– Przestań jęczeć – Rotger złapał lewą ręką kapelusz, zdecydowanie wcisnął na głowę i dopiero potem raczył wstać – Taligojczycy tańczyli na Andiach, teraz twoja kolej.

Jakby nie rozumiał. Kiedy marynarze hurtem wyrzekną się przesądów, nastąpi koniec świata. Ugo, przy którym Luigi nieostroźnie poskarżył się na zaproszenie, zapomniawszy o subordynacji wrzasnął, że to do bab można nie chodzić, a jeśli nie zatańczy się zwycięstwa – to już po okręcie.

– Tak po prostu to nawet koty szczęścia nie mają – zacytował Luigi rozchodzącego się Varotti – A „Rekin” od lata ma sprzyjający wiatr. Twoje wiedźmy mogą liczyć na moją wdzięczność.

– Mam nadzieję, że się im spodobaś – puścił oko Valdez – Dietrich na przykład nie widział ani jednej, Breve też, Almeida milczy, ale sądzę, że almirante miałby co powiedzieć. No a o wujaszku Wezelli skromnie milczę. W imię cioteczki.

– A ty? – zadał nieuchronne pytanie Luigi – Od ciebie też uciekają?

– Kto je tam wie – wzruszył ramionami Kenallijczyk – Nie ma zwyczaju pytać damy, czy jest wiedźmą. To ostatecznie nieuprzejme...

Nadrzeczne topole wydawały się namalowane czarnym kenallijskim tuszem na rozpalonym szkłe, Herbste też była szklana i za nią płonęły ognie. Ziemski ogień był rudy, niebiański – purpurowy.

– Bruno postanowił nie walczyć, a świętować – podsumował Germon – Teraz zacnie się nie wcześniej niż na szósty dzień.

– I to będzie jeszcze bardzo dobra nowość – Eugen Reinstainer spełnił swoją obietnicę przyłączenia się do ariergardy – Ale boję się, że przez te dni feldmarszałek otrzyma nieprzyjemną wiadomość. Zacnie myśleć o pojawieniu się Almeidy i może się domyśleć do pojawienia się fok Warzowa.

– Straciłem dwie setki wcale nie najgorszych żołnierzy – ognisk przybywało, a zmierzch małał – Będzie dla mnie obrazą, jeśli wszystko to było na próżno.

– Umierać na próżno jest nieprzyjemnie – zgodził się Berger – ale my nie zawsze zależymy od naszych życzeń, a ty nie masz powodów, by czynić sobie wyrzuty. Lasterchaut-uwer-Niksich spełnił pokładane w nim nadzieje.

Dębowy Horst faktycznie nie zawiódł. Biedakowi ani się śniło, że wszystko trzyma się nie na jego odwadze, a na jego głupocie. Pełen energii i odwagi Lasterchaut nie wycofał się, kiedy było trzeba, i wpadł. Tak drikszeński feldmarszałek dowiedział się, że pchający się na rożen Arigau nie wygłupia się, nie pokazuje honoru, a gra na jego, Brunona, ostrożności, zmuszając do tracenia cennego czasu. Driksowie wyszli z Lausschen, doszli prawie do celu i zatrzymali się. Z powodu świąt, Leworęki by je wziął.

– Masz pytania albo wątpliwości? – oficer do szczególnych poruczeń przy personie regenta badawczo obserwował wrogie ogniska – To już świąteczne ognie, rozpalono je wzdłuż brzegu.

– Trzeba będzie wykupić Horsta – Arigau nareszcie powiedział to, o czym myślał drugi tydzień – albo wymienić. Jakby na to nie patrzeć, nieładnie z nim postąpiliśmy.

– Nie masz racji – w głosie Reinstainera zabrzmiał umiarkowany wyrzut – Lasterchut-uwer-Niksich składał przysięgę żołnierza, w której obiecywał oddać swoje zdolności i energię królowi i Taligowi tam, gdzie będą one najbardziej potrzebne. Ty też to przysięgałeś. Twoje zdolności pozwalają dowodzić ariergardą, a być może i armią. Zdolności Lasterchuta każą odesłać ich posiadacza do niewoli. On po prostu spełnił swoją przysięgę.

– Ale i tak mi go żal – przyznał się Germon – Spotykać Przełom w niewoli przy cudzych pieśniach to niezbyt wesoło.

– Dzisiaj odprowadzamy jesień i rok, owszem – wypowiedział kolejną prawdę baron – Dzień nie będzie już robić się krótszy, a noc dłuższa, ale niedługo zamyka się Krąg, a to nie święto, tylko wielka trwoga.

– Nie tak niedługo – nie zgodził się Arigau – Skały mają przed sobą jeszcze cały rok.

– Kręgowi pozostało sześć dni, licząc dzisiejszy – Berger starannie schował bezużyteczną już lunetę do zamkowego futerału – Przynajmniej tak uważali nasi przodkowie. W esperatyjskich krajach wszystko zawsze robi się prościej, w tym coś jest, ale Epoka Skał ma tylko sześć dni licząc dzisiejszy, a Epoka Wiatru nadejdzie dopiero za rok i cztery miesiące.

– Wiosną i tak przyjdzie się bić – Arigau wziął cugle i kichnął – Zbyt daleko wszystko zaszło.

– Tak – potwierdził Berger – i dlatego powinniśmy kierować się tym, co każe nam nasz obowiązek i zdrowy rozsądek. Teraz pora nam wrócić i obmyślić to, co widzieliśmy, a potem świętować najdłuższą noc w roku.

– Nie przeczę – nie mógł powstrzymać uśmiechu Taligojczyk – z tobą w ogóle trudno się sprzeczać. A dlaczego nie mielibyśmy odświętować jeszcze i Przełomu Epok?

– Doskonała myśl – zaaprobował Reinstainer – Podniesiemy nasze kielichy za wszystko dobre, co przyniosły Skały. Poczuję się jak w domu, bo w Torce Przełom Epok witają jak w starych czasach. Dwa święta są lepsze od jednego, wszak nikt nie może znać swego losu, zaczynając wielką wojnę.

– Kiedy nie ma wojny, wiemy, co nas czeka, w jeszcze mniejszym stopniu – nie zgodził się Germon – Dwadzieścia lat przeżyłem razem z Bergerami czy też, jeśli tak ci wygodniej, z Agmami, ale o drugim Przełomie słyszę pierwszy raz.

– To dla nas charakterystyczne – Eugen wpatrywał się w pałającą ścianę, jakby miał nadzieję ujrzeć legendarne wrota – Pamiętamy to, czego już nie ma i rzadko mówimy o tym, czego nie ma jeszcze. Jeśli cię to interesuje, chętnie opowiem.

– Gdyby mnie nie interesowało, nie pytałbym – zapewnił Arigau. Szkoda, że tego zachodu nie można zatrzymać. I zabrać ze sobą też nie można, za pół godziny on wypali się i rozsypie zmrokowym prochem. A śladem przyjdzie noc i jej też nie będzie można zatrzymać.

– Jesteś gotów już jechać? – rzeczowo zapytał Reinsteiner – Po drodze mogę mówić o obyczajach Bergmarku, z którymi jeszcze się nie spotykałeś.

Germon Arigau podkreślił wąs, wracając na grzeszną walczącą ziemię.

– Jedźmy. Eugen, zamieniam się w słuch.

Kudłate torskie ogiery rześko poszły po niegłębokim jeszcze śniegu. Za plecami rozmawiała i śmiała się obowiązkowa dla objeżdżających pozycje generałów świta, w przodzie biegła droga. Dniem byłaby biała jak skóra śnieżnego ogara. Germon prawie zapomniał o swoim pytaniu, ale Reinsteiner nie zapomniał o niczym. Pewnego razu oddał on resztę w wysokości dwunastu suanów człowiekowi, który cztery lata wcześniej zapomniał je w przydrożnej gospodzie.

– Wiecie, że każdy Krąg miał swojego boga? – przypomniał o sobie i Przełomie Berger.

– Akademyści mówią, że takie były wierzenia starożytnych – wyteńczył pamięć Arigau – To jakoś związane z gwiazdami.

– Akademyści – zacisnął wargi baron – często zamieniają miejscami skutek i przyczynę. My dawno żyjemy w górach, ale nasze serce pozostaje morskie. Staliśmy się Bergerami, ale nie przestaliśmy być Agmami i wierzymy, że gwiazda Kręgu – to latarnia, zapalona przez jego pana. Ona rozpała się, świeci, dopóki nie wypalą się drwa, i gaśnie. W czarze pozostaje popiół, on musi ostygnąć. To właśnie jest czterechsetny rok. On jest bardzo ciężki, bo wśród fałszywych latarń nie ma prawdziwej. Na przełomie zostajemy sami w nocy, dopóki nowy pan nie rozdmucha nowego ognia.

Cóż, marynarze powinni byli wymyślić coś w tym rodzaju, w końcu to marynarze. Ciekawe, co opowiadają Holtycy, którym nie wolno zbliżać się do wielkiej wody bliżej niż na odległość dnia marszu.

– Driksowie i Gaunau myślą tak samo?

– „Geši” nie pamiętają, z jakich jezior wleciały – spojrzenie Eugena złodowaciało – Najpierw zapomnieli o sumieniu, potem o długu i o wieczności, a w końcu przyszli szarzy kapłani z sieciami. Nie, Driksowie i Gaunau nie patrzą wstecz. My patrzymy, ale jak przez sen, to było zbyt dawno, mój przyjacielu, zbyt dawno.

– Czyli ogień Skał lada chwila zgaśnie – po coś wymamrotał Germon Arigau – a na ogień Wiatru jeszcze czekać i czekać.

Droga prowadziła na wschód, na spotkanie wieczornych gwiazd, przed końmi po czerwonym śniegu biegły czarne, podobne do psów cienie. Ostatni dzień jesieni umierał pięknie. Jutro będzie taki sam śnieg, takie samo niebo, taki sam wiatr. Drzewa, ptaki, zwierzęta niczego nie zauważą i tylko dla ludzi zacznie się coś nowego...

– Drogi Germanie – twarz Eugena była jednocześnie zadumana i skupiona – pomyślałem, że byłoby słuszne, gdybyśmy z tobą w Wielki Przełom spełnili jeden bardzo stary obyczaj. Jeśli, oczywiście, nie obrazi cię jako ollarianina.

– Jeszcze czego – oburzył się Germon – jestem gotów spełnić wszystko, ale waszego piwa pić nie będę.

3

Szczyt Hexberg zarósł dziwaczną rośliną, podobną i niepodobną do posiwiąłego wrzosu. Korzenny zapach mieszał się z zapachem dymu szesnastu ognisk. Purpurowe odbłaski zamieniały granit w czerwony jaspis, zalewały siwą trawę ni to krwią, ni to winem, wspinały się na wygiętą martwą sosnę. Luigi nie wytrzymał, dotknął palcami wybielonego wiekami pnia.

– No jak? – zaciekawiał się Valdez – Bardzo straszne?

– Jak ona ocalała przy tutejszych wiatrach? – Gildi jeszcze raz poglądził podobne do kości drewno – Dawno umarła?

– Zanim jeszcze narodził się Hexberg. Pomożesz? – Rotger wyciągnął zza pazuchy coś

zawiniętego w biały jedwab.

– Oczywiście – zapewnił Luigi – Co robić?

– Gościniec powiesić – Kenallijczyk z ręcznie rozwiniętym zawiniątko, w środku okazała się kolia, za którą nie żał byłoby dać nawet pięć setek – Dziewczęta lubią perły.

– Daj – wdrapać się po węzlastych gałęziach było najłatwiej na świecie. Gildi powiesił „gościniec” na wygiętej łabędzią szyją gałązce. Oświetlone płomieniem kamienie z góry wydawały się śpiącymi dzikami, a świat zwęził się do zmierzchowej polany, za granicami której rządziła ciemność. Nocny wiatr dotknął twarzy, łagodnym dźwiękiem odezwały się dalekie dzwoneczki, pisnęły, próbując głos, skrzypce. Kapitanowie, śmiejąc się i rozmawiając, ustawiali się do tańca. Jakże podobne do Andii i jakże nie podobne!

– Luigi! – Giuseppe Rangoni stał z Almeidą i Saliną – Ile można na drzewie wisieć? Złaź!

A rzeczywiście, co on tu zapomniał? Felpijczyk z jakiegoś powodu pogłaskał białą gałąź i zeskoczył na ziemię. Coś brzęknęło. Czyjaś szpada? Łańcuch? Bransoleta? Skrzypce zaśpiewały śmieiej, głośnieiej, dołączyły do nich jeszcze trzy albo cztery. Człowiek w czapce z bażancim piórem uderzył w cymbały, letnim skowronkiem zadźwięczał flet.

– Enombredastrape! – Almeida z lekkością złapał beczułkę, chlusnął czymś w ognisko i odskoczył. Niebieski płomień jak kot skoczył ku księżycowi, admirał złapał za ramię fok Tannera i pognął między szesnastoma ogniskami na spotkanie Przełomowi.

Taniec dzikim strumieniem płynął między głazami, to rozrastając się w burzliwą rzekę, to rozplywając czterema potokami. Luigi tonął w starym płasie, gdyby nie Rangoni i Valdez, on by utopił się w ciemnych, kipiących gwiazdami falach.

Płomień ognisk stał się biały i zimny, pewnie coś do niego wrzucili. Moryjską sól? Gałęzie martwej sosny rozkwitły niebieskimi ogniami, takie opuszczają się na maszty wybranych okrętów, zwiastując albo zgubę, albo zwycięstwo. Flety i skrzypce kontynuowały swoją pieśń, ale przez ich głosy rwała się dziwna melodia, obca i przy tym znajoma.

*Wicher i gwiazdy, wicher i gwiazdy,
wicher i gwiazdy, gwiazdzista mgła...*

Purpurowe ziemskie ognie, księżycowe światło, blask szesnastu gwiazdozbiorów, które dogoniły się na skraju Epok... Luigi nie wiedział, czemu wierzyć – oczom czy rozumowi, ale Gwiazdziste Polowanie pędziło po oszalałym niebie, łącząc południe z północą i minione z nadchodzącym, a na dole ziemskim odbiciem wieczności ślizgał się wśród ognisk północny płas.

Kapitanowie Hexberg to zamykali kręgi, to rozrywali, wyobrażając żywe łańcuchy, to splatające się zakochanymi węzami, to odpychające od siebie jak woda i oliwa. Przed oczami Luigiego przechodziły ludzkie twarze – znajome i obce, dawno zapomniane i niedawno oplakane, bliskie i dalekie.

*Wicher i gwiazdy, wicher i gwiazdy,
wicher i gwiazdy, gwiazdzista mgła...*

Zgrabny ciemnowłosy człowiek w niebieskim i czarnym mknął między Breve i śmiejącym się Almeidą. Luigi doskonale wiedział, że to Salina, a jednak... Felpijczyk odwrócił się gwałtownie i natknął na spojrzenie staruszka, tego samego, który przyniósł wieści od przemytników. Kapitan-komandor Faltze, tak się nazywa, Valdez mówił, że dziadkowi stuknęło sto osiem, a on tańczy, i to jak tańczy...

*Wicher nad bryłą lodu, wicher nad bryłą lodu,
wicher nad bryłą lodu, gwiazdzista mgła.*

Gwiazdy i wicher, tylko gwiazdy i wicher! Mucio Skwarza obejmował za ramiona dwóch Marikjarczyków i śmiał się, ale przez biały bandaż sączyła się krew. Luigi krzyknął, ale nikt go nie usłyszał i kapitan zapomniał o przyjacielu, pochwycony zapełniającym uszy i duszę zaśpiewem. Nogi mknęły, ledwie dotykając gorzkiej trawy, ręce leżały na obcych ramionach, pędziły nad głową gwiazdne konie, rwały się ze srebrnych sfor gończe, wściekle krzyczały myśliwskie ptaki.

*Wicher i pieśń skal, wicher i pieśń skal,
wicher i pieśń skal, serce zimy.*

Szczupluka roześmiana dziewczynka leci pomiędzy dwoma wysokimi marynarzami, a jednym z nich jest Mucio. Naprzeciw śmieje się, drażniąc ognistymi jedwabiami, Francesca. Oni się znaleźli, oni się spotkali!

*Wicher i gwiazdy, wicher i gwiazdy,
wicher i gwiazdy, północny śmiech.*

*Wicher i gwiazdy, wicher i gwiazdy,
wicher i pieśń skal, serce zimy.*

Łańcuch pękł, rozsypując się na pary, Mucio przytulił do siebie żonę, całując ją na oczach ludzi i gwiazd. Francesca nigdy nie odrzucała woalki, nie tańczyła na skraju przepaści, nie śmiała się, drażniąc wieczność pięknem leżącej gwiazdy.

*Wicher nad śmiercią skal, wicher nad śmiercią skal,
wicher nad śmiercią skal, północny śmiech.*

Zakochani niczego się nie wstydzi i niczego nie ukrywali, korowody nadal pędziły między bijącymi skrzydłami płomieniami i leżącymi na siwym wrzosie, nie pamiętającymi o niczym, parami.

*Wicher i gwiazdy, wicher i gwiazdy,
wicher i gwiazdy zimy, tylko
wicher i gwiazdy, wicher i gwiazdy,
wicher i gwiazdy, i my.*

Z oślepiającego тумana wyszła mała figurka. Poliksena! Roztrzepane włosy, sarnie oczy, figlarny uśmiech. Nie, to nie ona, to wrócił felpski koszmar!

– Nie bój się – daleki śmiech dźwięk dzwoneczków, białe pióro śnieżynką spada na dłoń i taje – nie masz się czego bać. Ja nie ona, ona nie ja... Ty mnie szukałeś. Ty mnie znalazłeś!

– Nie!

Może to i dziewczyna, a nie zmiennokształtna, ale to nie Poliksena. Poliksena nie była taka lekka, taka szalona, taka dostępna.

– Tańcz – czarne loki wleciały skrzydłami – tańcz i nie myśl... Ty ją wołałeś, ona przyszła. Dlaczego ją odpędzasz? Ty jej już nie wołasz? Nie wołasz jej, zawołaj inną. Ona przyjdzie... Zawołaj innego, i on przyjdzie... Tutaj będzie, z tobą będzie. Wszyscy przyjdą... Zawołaj, tylko zawołaj!

Zawołać? Kogo? Mucio jest ze swoją Francescą. Jest im dobrze, nikt więcej nie jest im potrzebny. Dlaczego ta kobieta jest podobna do Polikseny? Gdyby nie to, oni by zatańczyli, ale pamięć rwie struny! On nie chce, nie wierzy, ale pamięta... Poliksena... Krew na pokładzie, ostatnie drżenie rzęs, pijane ślicznotki, zmanierowane chlipnięcia lutni, obce słodkie usta, bezwstydne jęki.

„Niech pan nigdy nie biegnie za kobietą, szczególnie nocą...” Kruk! Kenallijczyk musi być tutaj. Jeśli jest tu Mucio, jest i Roke! Blizny na plecach, szalone oczy, pogryzione do krwi ramię. Kruk tu jest, trzeba go znaleźć... Koniecznie trzeba go znaleźć...

„Wicher i gwiazdy, brak słowa 'później', nie ma go więcej, nie!” On to słyszy czy krzyczy samemu sobie, tej nocy, lecącemu w gwiazdne niebo światu?

Tancerze przebiegają z jednego łańcuszka w drugi, gibkie piękności wyrzucają ręce w mamiącym tańcu, wiosennymi strumyczkami dźwięczą dzwoneczki. Skąd tu kobiety? Tutaj są tylko kapitanowie, kapitanowie Hexberg.

Zza podobnej do budzącego się ptaka skały wybiegło dziewięciu tancerzy, których prowadził Alva. Kenallijczyk znów oszukał i ludzi, i śmierć, i los. On wrócił, prześlizguje się nad bezdnią, obejmując niepojęte, roztrzepane istoty, a wszystkie rozmowy o tym, że książę jest w niewoli – to tylko rozmowy. Trzeba napisać do fok Warzowa, marszałek musi wiedzieć, że wszystko jest w porządku.

– Tańcz, kapitanie. To noc tańca, to noc wiatru, to noc gwiazd.

Tylko wicher i gwiazdy, wicher i gwiazdy, i śnieg...

Teraz jego i Alwę rozdzielało tylko grzywiaste ognisko, Kruk machnął ręką, roześmiał się, jak latem na placu. Z nieba białymi perłami posypały się gwiazdy, Luigi, sam nie wiedząc, co robi, wykręcił się z obejmujących go, pachnących wrzosem rąk, poszedł, pobiegł na spotkanie przyjacielowi, ten się śmiał, wiejący wiatr roztrzepywał czarne włosy.

– Ty mnie szukasz? – Roke Alva stał na samym skraju, w dole były fale, nad głową szkarłatnymi rojami migotał gwiazdozbiór Wrogów, ale przecież on jest pod horyzontem! W Zimowy Przełom Wrogów nie widać: kiedy oni są na niebie – jest dzień. Wrogowie stali w zenicie, kiedy kartacze wymiatały pokłady Driksów, gwiazdy wszystko widziały, wszystko...

4

Dziewięć skrzydlatych istot ślizga się po zatoce i śmieje. Jest im wesoło, bardzo wesoło, ale pamiętają, z kim tańczą. I po co. To ich zatoka, ich ludzie, ich okręty, a obcych trzeba przegonić... Albo zostawić tutaj, na dnie, wśród niebieskich wodorostów i wesołych ryb z klującymi płetwami, które nie będą skrzydłami. Tak, niech zostaną, niech z nimi igrają fale, one też chcą tańczyć.

Przybysze próbują trzymać linię, poruszają się powoli, ciężko, nudno. Oni nic nie wiedzą, nie rozumieją, nie czują. Mgła dla nich to tylko mgła, a wiatr to tylko wiatr. Jak głupio...

Splatają się w korowodzie szczupłe ręce, zgrabne nóżki ledwo dotykają lodowatej piany. Fale kipią, sięgają ku tancerkom, a te ze śmiechem mkną między okręty z łabędzimi flagami, to rozłączając się, to znów zamykając roześmiany łańcuch. Pary i trójki stykają się, krążą, zamieniają ze sobą, machają skrzydłami – to białymi, to srebrnymi, to lodowatozielonymi jak głodna woda.

Morze kipi jak w kotle. Fale ryczą, tulą ostre uszy, gotując się do skoku, skaczą się za umykającą miłością, rzucają ogromnymi okrętami jak skorupkami. Morze tańczy z wiatrem, wiatr igra z morzem, a drikseńska eskadra umiera. Dla niej pieśń wiatru będzie ostatnia...

Śmierć i zwycięstwo, nieznane nieszczęście, gwiazdy i wicher, i śnieg. Gwiazdy i wicher, brak słowa „później”, będziesz szczęśliwy przez wiek. Wicher i gwiazdy, kamienie i róże, twoja i moja pieśń, gwiazdy i wicher, wspomnij o lecie i nie zapomnij o mnie.

Flagowiec Drikseńczyków refuje żagle, marynarze na wantach szarpią się jak oszalali i nie nadążają. Zgrabne nóżki dotykają pokładu, wiatr śpiewa, śmieje się morze, pękają liny, wiją się strzepy żagli, białogrzywe fale liżą burty, wzywają do siebie, do wesołych ryb, do zielonych sennych kamieni.

Jeszcze jeden krąg, okaleczony okręt wypada z szeregu, niesie go na obce armaty, a dziewięć roześmianych śmierci mknie dalej grać w berka, żartować, dźwięczyć swoimi dzwoneczkami.

...Więc to tak było. Starcie. I taniec. Oni walczyli wśród tańca, a ketzchen tańczyły wśród śmierci.

– Szukałeś mnie? – znów uśmiech, szalony, przyzywający – Ty mnie znalazłeś, więc na co czekasz?

Pijany? Czy po prostu się bawi? Kruka nie da się zrozumieć, jak nie da się zrozumieć wiatru, ale ten szalenięc ma rację. On przez całą noc szukał Kenallijczyka, całą noc... Tańce w Hexbergu, tańce w Felpie, one są związane. Ale czy można związać wiatr?

– Zatańczmy, marynarzu! To noc wszystkich gwiazd, wszystkich gwiazd i wszystkich wiatrów. To noc tańca... Noc wieczności, i ona jest nasza... Moja i twoja...

Luigi już nic nie rozumiał. Płonęły jakieś ognie, spadały gwiazdy, a może to śnieg padał do góry? Zamieć rosla w ścianę, ściana stawała się zwierciadłem, w którym tańczyły gwiazdy, a ludzie zniknęli. Oni byli zupełnie sami, oczy Alvy płonęły jaśniej niż zwykle, on śmiał się wesoło i bezlitośnie, tak śmieje się wir, wciągając w nieuchronność. Kenallijczyk wzywał i Luigi zrobił krok w przód. Pierwszy. On nigdy nie pragnął mężczyzn, nigdy... Obce oczy, ogromne, błękitne, z wąskimi kocimi źrenicami, nie męskie i nie kobiece!

– Znów się boisz? – dźwięczą, dźwięczą dalekie dzwoneczki, a w ciemnych lokach błyszczą gwiazdy. Lub krople rosy. Albo czarne roje? – Po co myślisz? Dlaczego nie chcesz? Ciebie wołali, ciebie wołają. Całą noc wołają, a ty się boisz!

– Nie boję się!

Szczuplutkie ręce, niebieskie skrzydła, melodyjny, roześmiany dźwięk.

– Nie bój się, ja nie tamta... Ja nie uprowadzę... My tylko zatańczymy... Do świtu, póki z nami tylko wiatr i gwiazdy. Zatańczymy... Po co kotwica, kiedy potrzeba żagla? Po co korzenie, kiedy są skrzydła?

Mucio, Franscesca, Poliksena, Alva, oni przecież tu byli, byli. Byli!

– Oni są z tobą. Oni są w tobie. Ty myślałeś o nich... Ale ty chcesz nie ich... Ja rozumiem, teraz rozumiem... Chodźmy...

Ile lat ma ona czy też on? Trzynaście czy trzynaście tysięcy? Ptasie skrzydła, kocie oczy, jedwab włosów... Śpiewają, śpiewają dzwoneczki, tańczy morze, tańczą gwiazdy, tańczy wiatr... Tańcz, marynarzu, tańcz!

– Teraz mnie pocałujesz?

– Pocałuję. Taką, jaka jesteś...

– A jaka jestem? Jestem taka, jak ty chcesz... Jestem taki, jaki chcesz. Ja – to ty... Ty – to ja... Na tę noc... Przyjdź jeszcze tańczyć, koniecznie przyjdź. Nie bój się. Po co się bać? Jesteś ty – nie ma śmierci. Jest śmierć – nie ma ciebie. Pocałuj mnie, no już!

Oni dotykają sprężynującej niebieskiej powierzchni, i morze kipi, wyciąga się na spotkanie, rozsypuje gwiazdzistym pyłem. Skrzydlate cienie wlatują, drażniąc zakochane fale, one tańczą i morze tańczy. Fale i gwiazdy, wicher i gwiazdy, fale i gwiazdy i my. Gwiazdy i wicher, zapomnij o ciszy, zapomnij w świetle zorzy.

Wicher i morze, wicher i wola, nie ma nocy ni biedy, wicher i gwiazdy, gwiazdziste grona, w falach północnej zorzy. Gwiazdy wirują, morze próbuje, taniec, gdzie ja i gdzie ty. Gwiazdzista przystań, wicher, jak szybko tają północne sny.

To jednak ONA – kobieta, wiedźma, gwiazdzista istota, upragniona i zachłanna. Ma niebieskie oczy. A może błękitne? Nie, czarne... Czy liliowe? Młode wargi, jedwabiste loki, perły na białej szyi. A skrzydła... kto powiedział, że skrzydła przeszkadzają miłości?!

5

W niebieskie okno patrzyły koty, dużo kotów. Ciekawskie pyszczki tuliły się do zimnej szyby, mrużyły się i błyszczały złote oczy... jak dużo oczu, jak dużo kotów, bestie ostrożnie wycofują się w zimową ciemność, już ich nie widać, zupełnie nie widać, tylko płoną ciekawskie ogieńki, zlewając się w znajome od dzieciństwa wzory, wysokie, zimne, wieczne. Nad głową jaśnieje Jaskółka, a na wschodzie wstaje Jeździec – osiem białych i błękitnych gwiazd drży niby odbite w morzu ogieńki. Kaiss, Corhada, Sinjał, Marret...

Luigi uśmiechnął się do niebiańskich znajomych. Kiedyś ktoś dokładnie tak samo patrzył na migocząc roje i nadawał im nazwy. Teraz sens pamiętają tylko jednostki, dla reszty to po prostu słowa, tajemnicze i dziwne. Po co wiedzieć, że Marret znaczy „grzywa”, a Sinjał - „kopyto”? Siodło, Pierścień, Ogon Konia... Dwunastoletni Luigi omal się nie rozplakał, kiedy się dowiedział, co znaczą brzmiące jak zaklęcia nazwy. Tajemnice nie powinny gasnąć. Rozwiązana tajemnica – martwa pieśń...

– Znalazłeś się! – wesoły głos wydał się odrażająco głośny – A więc to tutaj się zabrałeś. Poleżałeś i dość.

Valdez, ależ on jest natrętny! Luigi oparł się rękami o zimny kamień i jakoś wstał. Coś szumiało: albo głowa, albo morze w dole. Nogi drżały i ugiwały się jak u jakiegoś kociaka.

– Wypij! – rozkazał Rotger, wciskając w zlodowaciałe palce manierkę – I chodźmy stąd.

– Po co? – oburzył się Luigi. Tylko co było tak dobrze. On i gwiazdy nad głową. I nikogo więcej!

– Po to, że wystarczy – uciał siostrzeniec małżonki Weizela – Ale cię zakreśliło, gdybym wiedział, sam wlaźłbym na drzewo, i do kotów z uprzejmością.

Drzewo? Co tu ma do rzeczy jakieś tam drzewo?

– Rotger – nogi nadal nie chciały się słuchać, przyszło oprzeć się na Valdzie – ja przecież nie piłem.

– Nie piłeś – potwierdził Kenallijczyk – za to ciebie najpierw pili, a potem poili. A ja też dobry, zagapiłem się... No ale kto mógł wiedzieć, że panienka na ciebie oko położyła, dobrze jeszcze, że nie do śmierci zakochała. To nic, do wieczora ożyjesz!

RAKANA (B. OLLARIA)
400 rok K.S. 1 dzień Zimowych Skał

1

Tylko poczucie obowiązku zmusiło Richarda do otwarcia oczu dwie godziny po tym, jak się położył. Święto obróciło się bólem głowy i mdłościami, ale cywilny komendant Ollarii nie może spać do południa, nieważne, jak bardzo tego chce. Jeśli Epineix sprawdza swoich czosnkarzy co rano, co tu się dziwić, że napada na każdego.

Richard Ockdell zazaądał wina i jakoś doznał do lustra. Rzeczywistość przerosła najgorsze oczekiwania, ale zabawa nie zostanie przeniesiona dlatego, że Władca Skał ma nie twarz, a jakąś bułkę. Balwierz przytargał swoją misę, wstrętnie zapachniało różaną wodą. Gdyby nie nowe stanowisko, Dickon posłałby wszystkich do kotów i zanurkował pod kołdrę, ale za świętowanie w Dorze odpowiedzialny jest cywilny komendant. Insmiller nie był godny okazanego mu zaufania, kolejny raz udowadniając, że gnojarczyk pozostanie gnojarczykiem. Swoim okrucieństwem i niesprawiedliwością niegodziwiec zhańbił nie tylko siebie, ale i władzę. Na szczęście czerń szybko zapomina nie tylko o dobru, ale i o złu. Dzisiejsza szczodrość i wczorajsza sprawiedliwość zmyją nieprzyjemny osad.

– Monsignore – ukłonił się balwierz – zdecydowanie rekomenduję okłady z nasion pietruszki i żywokostu.

– No to zrób – Richard upił ze złocistego, przysłanego przez ambasadora Driksen, kielicha – Tylko szybko.

„Wdowia Iza” pomogła przegonić mdłości, ale nie sen. Do rozpoczęcia zabawy zostało dwie i pół godziny. Prości ludzie wstają rano, ale rozweselać można by było zacząć ich w południe, nic by się im nie stało. Rocksley boi się pijackich bójek w nocy, ale od tego, że jakiś tam mleczarz wybije zęby krawcowi, nikt nie umrze.

– Monsignore – ukłonił się Jeremy – listy z Nadoru. Od pańskiej mateczki i pańskiego kuzyna.

– Przygotować shaddi!

Zaczynać należałoby od listu, oznaczonego wdowią koroną, ale ranek i tak był ciężki. Richard rozłożył list Nala.

„Drogi Dickonie – równe linie, litery z zawijasami, urzędnik zawsze pozostaje urzędnikiem – spieszę cię uradować. Dojechalismy szczęśliwie, czemu niemało sprzyjała niewiedza tutejszych mieszkańców o tym, co dzieje się w stolicy.

Iris zniosła drogę z ogromnym męstwem. Chwała Stwórcy, ataki były tylko dwa, ale twoja siostra jest zbyt słaba, by pisać, dlatego robi to twój gruby kuzyn.

Iris, Deirdre i Edith proszą, by przekazać ci swoją siostrzaną miłość i posłuszeństwo, a twoja mateczka obiecała napisać osobiście.

W Nadorze znaleźliśmy wszystkich w dobrym zdrowiu, tylko miesiąc temu umarła Anna. Pamiętam, bardzo lubiliśmy jej bajki. Niestety, nie uda mi się przywitać Przełomu Roku w kręgu bliskich. Choroba ojca zaostrzyła się i zaproponowałem, że sam pojedę do Laracka i Rigali zamiast niego. Wyjeżdżam jutro o świcie, ponieważ chcę wyprzedzić wieści ze stolicy. W przeciwnym razie będziemy mieli poważne nieprzyjemności, ponieważ Renkwaha i Południowy Nador wciąż jeszcze stoją po stronie uzurpatora.

Jeśli marszałek Savignac dowie się o naszym zwycięstwie, może przeciąć północne drogi i zostaniemy bez środków do życia. Ojciec nie sądzi, że Nadorowi grozi niebezpieczeństwo, ale Larack leży zbyt blisko Bergmarku.

Na tym zakończę. Przekaz mój szacunek księciu Epineixowi. Po powrocie z Rigali napiszę do niego.

Ojciec i mateczka ślą ci najlepsze życzenia.

Twój Nal”.

Lionelowi trzeba było napisać szczegółowy list i przekazać przez kuzyna, a jeszcze lepiej posłać marszałkowi reskrypt jego wysokości, włączający hrabiego Savignaca do Wysokiej Rady i Rady Miecza.

Savignacowie są zmartwieniem Epineixa, ale Inochodziec z braćmi nie pił i nie walczył. Dla

niego oni są wrogami, a i Lionel nie będzie rozmawiać z obcym. Oczywiście, byłoby lepiej, gdyby w Kadanie stacjonowała Południowa armia – Emil jest prostszy, zrozumialszy i bardziej zdecydowany od brata, on by się nie wahał, poznawszy suzerena, ale i Lionel zrozumie, że Rakanowie wrócili na zawsze i tylko Aldo może poprowadzić Taligoję przez Przełom ku wielkości i zwycięstwom.

Savignacowie nie są wrogami Ojczyzny, ale z nimi trzeba rozmawiać zrozumiałym dla nich językiem. Książę Ockdell mógł to zrobić, ale rana i kłótnia z siostrą wybiły go z kolei, teraz czas minął, a to wszystko przez tę zmierzchową kocicę Iris i Ośmiornicę.

– Panie, konie osiodłane. Shaddi zaraz będzie.

– Dobrze – list od matki przeczyta po powrocie. Około południa mieszczanie zabiorą wszystkie prezenty i wypiją całe wino. Można będzie się wyspać i usiąść nad listami, a wieczorem Aldo wydaje Wielkie Przyjęcie.

2

Jego świątobliwość poprawił swojego gołębia i lekko skłonił siwą głowę.

– Dziękuję za wizytę, marszałku. Złożył pan niemałą ofiarę, pojawiając się rankiem po świętowaniu.

– Wasza świątobliwość – stłumił uśmiech Rober – to wcale nie było takie trudne, przecież się nie kładłem.

– Tak też sądziłem – skinął Levi – O ile wiem, Quentina Doraca zgubił shaddi, ale pan jest jeszcze młody, zdrowy i chce spać. A może woli pan kaserę?

– Zgadzam się na na shaddi – w czasie rozmowy z kardynałem lepiej nie pić, nawet jeśli kardynał wydaje się być przyjacielem.

– W takim razie niech pan siada. Przejąłem od zmarłego Adriana zwyczaj zaparzać shaddi własnoręcznie. Uważam, że ten nieszkodliwy nawyk przedłużył jego świątobliwości życie.

Mocno powiedziane, a to dopiero początek rozmowy, co będzie w jej końcu?

– Rzadko pije shaddi – Epineix wygodnie usadowił się w obitym skórą fotelu; tutaj wygodne było wszystko, od uśmiechu gospodarza do miedzianego, wypełnionego piaskiem piecyka, przy którym grzał się trójbarwny kot. U esperatysty?!

– Takiego shaddi nigdy pan nie pił – zapewnił kardynał, otwierając ciężką ciemną szkatułkę – Mielę ziarna własnoręcznie. W ogóle należałoby to robić tuż przed zaparzeniem, ale na taki luksus nie mogę sobie pozwolić. Więc robię zapasy.

Rober kiwnął, z roztargnieniem obserwując, jak pierwszy duchowny Taligoi zajmuje się brązowym proszkiem. Shaddi pachniał ostro i gorzko, to był obcy zapach i przypominał o obcym. O gogańskich kadzidłach, rozpalonym sagrańskim pyle, pomarańczowych różach na tarasach Rawiatu.

– Sądzę, że chce pan wiedzieć, jak się ma książę Alva? – obojętnym tonem zapytał Levi, wsypując shaddi do przypominającego klepsydrę naczynia.

– Chcę – potwierdził Rober. Levi chce szczerości? To ją dostanie. Do określonej granicy.

Kardynał otworzył mniejszą szkatułkę, w której jedno do drugiego tuliły się wdzięczne pudełeczka i leżało kilka kościanych łopatek.

– Ten komplet przypraw do shaddi kupiłem od moryjskich korsarzy, za co bez wątpienia potępi mnie konklawe. Jeśli się dowie. A więc, nasz niepowtarzalny więzień... Odwiedzam go dwa razy w tygodniu, chociaż nie sądzę, że moje wizyty są dla niego przyjemnością.

– A dla pana? – nie wytrzymał Epineix.

– Trudno powiedzieć – kardynał wziął łopatką kilka białych ziarenek – Roke Alva zadziwiająco zgrabnie umie zasugerować, że nie chce nikogo widzieć, ale mnie się on podoba. W naszych czasach rzadko można spotkać ideał. Moi współbracia w Prawdzie uważają, że to od Leworękiego, ale ja się z nimi nie zgadzam. A pan?

– Ja? – podobne pytania zawsze zbijały Robera z pantafyku – Alva to dziwny człowiek, ale zawdzięczam mu życie. Naprawdę nie wiem, ile razy. Nie chciałbym, żeby postąpiono z nim niegodnie.

– Doprawdy? – kardynał wyglądał na zdziwionego – Słyszałem o Sagrańniu, czyżby było coś jeszcze?

– Jak pan myśli? – w zadumie powiedział Rober – Czy księżę Alva mógł przypadkiem opóźnić swoje przyście do Renkwahy?

– A – zrozumiał kardynał – o tym pan mówi. Chyba się z panem zgodzę. Gdyby Kenallijczyk chciał zniszczyć wszystkich stronników Ockdella albo schwytać przywódców, on by to zrobił. Proszę podać mi dzban z wodą. Niektórzy zalewają shaddi wrzątkiem, ale to świętokradztwo.

Dzban był duży, srebrny, z grawerunkiem – grzywiasty lew trzymał w wysoko podniesionej łapie wydającą się mieczem świecę.

– Pamięć – odpowiedział na niezadane pytanie Levi – No więc, światła i wody u Alvy jest nie mniej niż u mnie i u pana, a gitary bez strun, proszę sobie wyobrazić, on nie oddał. Nauczył się gimnastykować palce na progach albo coś w tym stylu. Nie jestem muzykiem, nie wiem...

– Ja też nie jestem – mimo że złapał nocą za obcą lutnię i obcą pieśń – ale cieszę się, że z Alvą obchodzą się dobrze.

Jego świętobliwość nalał wody do srebrnej miarki.

– Jeśli nie zaśnie pan jeszcze przez kilka minut, to nie zaśnie do południa. Uprzedzam pana.

– To będzie bardzo na czasie – jak on się zmęczył, nie przez noc, przez jesień, przez przekłętą, nieskończoną krwawą jesień – Zamierzałem przejechać się po ulicach, na wszelki wypadek...

– Obawia się pan niepokojów? Jeszcze za wcześniej – cieniutka strużka połała się do shaddi, zapach zrobił się silniejszy – Przeżyłem „Hogredską Jutrzniew”. To, że lont płonie, było jasne kilka tygodni wcześniej. Nawiasem mówiąc, z pańskiej strony to nierozumne tak mało spać, tym bardziej że inni goście rozjechali się cztery godziny temu.

– Musiałem się zatrzymać – odpowiedź wyszła nieprzyzwoicie krótka i Rober pospiesznie wyjaśnił – W czasie przyjęcia obrażono kageckiego ambasadora, próbowaliśmy znaleźć tego, kto to zrobił.

– I nie znaleźliście – skinął Levi, odstawiając miarkę – Cóż, niech pan opowie, jak obrażono dumnego kazarona.

– Podmieniono mu listy uwierzytelniające – Inochodziec nie dał rady ukryć uśmiešku – w których nazwano go „gaifijską zabaweczką”. Słyszał pan o Suzie-Muzie?

– Zdarzyło się – kardynał umościł swoje naczynie w rozpalonym piasku – A czy wspomnieli pan, że szlachetny Burras po waszym zwycięstwie zmienił kazara? Za Ollara był on przedstawicielem syna Adgemara.

– Szczerze wierzę – od bezsennych nocy rzeczywiście się głupieje – ale jak to jest związane...

– Marszałku – westchnął jego świętobliwość – proszę, niech pan nie staje się eksterriorem, nawet jeśli Wuscerda wrzucą do Danaru. Ile czasu zajmuje podróż z Ollarii przez Warastę, Sagranne i Zachodnią Kagetę do kazarona Hammala i z powrotem? Czy nasz ambasador mógł otrzymać listy uwierzytelniające przed dniem koronacji?

– Nie...

– Czyli zostały podrobione, a kto podrobił jeden papier, podrobi i drugi, podobny do pierwszego. Zapytałbym Burrasa-lo-Wauchsara, z czyich usług korzystał.

– Tak, o tym nie pomyśleliśmy – wszystko leży na powierzchni, szkoda tylko, że patrzeć i widzieć nie wszyscy umieją – Dziękuję waszej świętobliwości za radę.

– Nie ma za co – uprzejmie odpowiedział duchowny – Muszę przyznać, w ostatnim czasie byłem w złym nastroju. Pan mnie od tego odciągnął, tak że jestem pańskim dłużnikiem, a muszę powiedzieć, że nie znoszę mieć wobec kogoś długów. Dlatego pana zdziwię. Co pan powie o ambasadorze Driksen?

– Zastąpił chorego duajena – jeśli ten, naturalnie, zachorował – Jego wysokość był wobec niego bardzo uprzejmy i życzył kesarowi wszelkiej pomyślności.

– A co na to fok Glauberoze?

– Podziękował.

– Hrabia jest wyśmienitym dyplomata, powinien się pan od niego pouczyć – poradził kardynał, chwytając szczypcami naczynie i poruszając nim w piasku – Niech zatem pan wie, że wczoraj rano przyszły wieści z Metchenberg. Zachodni front Gotfryda został rozbity w drzazgi, można powiedzieć, że w ogóle go nie ma.

– Jak? – nie zrozumiał Inochodziec – Przy takiej przewadze?

– Święty Adrian radził nie przyjmować upragnionego za rzeczywiste – obcy, natrętny zapach

wypełnił cały pokój i twarz Leviego stała się jeszcze bardziej skupiona – Kiedy Drikseńcy wdali się w walkę z eskadrą, która wyszła im na spotkanie, do zatoki wszedł Almeida. Widzę, że jest pan zdziwiony.

– Tak – chociaż nie tak mocno, jak mógłby być.

– Jeden z drikseńskich admirałów, nawiasem mówiąc, zaciekły stronnik wojny, uznał za konieczne natychmiast wrócić do Metchenbergu. Jeśli się nie mylę, spotykał się pan z podobnymi ludźmi?

Chmary komarów nad Renkwahą, lepka, gorąca duchota i Cavendish! Cavendish, który ratował i uratował swoją skórę, a teraz siedzi przy królewskim stole.

– Tak – potwierdził Rober – natykałem się na takich ludzi.

– Moja rada – niech pan nie zostawia ich za plecami ani na wojnie, ani tym bardziej w czasach, które niedomyślni nazywają pokojowymi. A właśnie – kardynał lekko przesunął naczynie – co było w szkatułce, znalezionej pod ręką zmarłego Ferdynanda Ollara?

– Zareczynowa bransoleta Oktawii – Francisk kochał swoją królową, a ona i tak nie zapomniała Ramiro – Widziałem ją, należy do Wiatru.

– Naprawdę? - zdziwił się Levi – Uzurpator odkrywa się nam z nieoczekiwanej strony. Tak samo jak jego pasierb. Nie każdy położy ojcowską relikwię do trumny ojczyma. Grobowiec wciąż jeszcze jest zamknięty?

– Tak, trzeba poczekać, aż trucizna straci siłę.

– Oktawia Alva była dobrą esperatystką – oznajmił jego świątobliwość, nie odrywając spojrzenia od shaddi – i będzie pochowana zgodnie z esperatyjskim obrządkiem. Co do jej drugiego małżonka, to jego wysokość, wymieszawszy szczątki, złączył ich na wieki. Oboje spoczną w jednej z kaplic Nochy, co by nie mówili inni.

Co powie kamień w koronie, kiedy trafi na niego kosa w sutannie? Kardynał rąbie na odlew, ale Agaris daleko.

– Wasza świątobliwość, chciałem pana zapytać o jeszcze jednego więźnia Bagerlee. Pan przecież wypowiadał Stanclera?

– Nieprzyjemny człowiek – kardynał zręcznie złapał naczynie ze shaddi, chwilę potrzymał w powietrzu i znów opuścił na piasek – bardzo nieprzyjemny, ale zupełnie zdrowy. Przynoszą mu białe mięso i ziołowe napary, poza tym każdego dnia spaceruje. Niemniej jednak hrabia Stancler wyraził skruchę i dałem mu odpuszczenie grzechów.

Kiedyś razem z przewielebnym Honore próbowaliśmy zrozumieć, co znaczy w oczach Stwórcy wybaczenie grzechów, jeśli pasterz dokonuje go ustami, a nie sercem.

– Dużo słyszałem o jego przewielebności...

– Honore był święty – bez namysłu odpowiedział Levi i wlał do shaddi kilka kropel zimnej wody – Właśnie dlatego nieraz chciałem go zabić, ale zrobili to inni. Nie mogę uwolnić się od myśli, że szaleństwo, które dosięgło zakon Prawdy – to kara za zabójstwo świętego i zerwany pokój. Proszę! Każdy łyk radzę zapijać wodą...

– Dziękuję, wasza świątobliwość.

Shaddi był gorący, gorzki i aromatyczny. Bo taki powinien być. Rober powoli pił moryjski napój i patrzył na duchownego, który go zaparzył. Levi był potężnym sojusznikiem, ale Epineix za mocno zrósł się ze swoimi myślami i swoją samotnością, żeby zaufać temu, kto jest silniejszy.

– No i co? – błękitne oczy błysnęły figlarnie – Umieją kardynałowie parzyć shaddi?

– Nie mam z czym porównywać – Inochodziec postawił maleńką filiżankę na stół – w naszym domu pito wino i mleko. Wasza świątobliwość, czy ja dobrze zrozumiałem, że...

– Że w śmierci Honore maczał palce magnus Prawdy? Tak, tak właśnie uważam. Pan miał przecież wątpliwą przyjemność pogawędzić z Clementem?

– Tak – po co się wypierać, jeśli to oczywiste – torkwinianie zapraszali mnie na pogawędki.

– Dwa razy – uściślił Levi – Pierwszy raz towarzyszył pan Aldo Rakanowi, drugi raz był sam. Nawiasem mówiąc, właśnie tym wizytom Talig zawdzięcza mój przyjazd. Obiecałem Adrianowi nie zostawiać „myszek” bez nadzoru. One zbyt wiele chciały, te myszki, w tym i pana.

„Prawdziwcy” chcieli tego samego, co Goganie i Aldo, zresztą, suzeren i teraz chce. Potrzebne mu miecz Rakanów i berło Leviego i on się przed niczym nie zawaha.

– Clement obiecał Aldo pomoc – kardynała trzeba ochraniać, ale czy Nicolas da radę zrobić to w tajemnicy? A może odkryć karty? Nie wszystkie, po prostu uczynić aluzję do berła?

– Ktoś księciu faktycznie pomógł – w zadumie powiedział Levi, stawiając filiżankę na przezroczystym spodeczku – Śmierć Adriana, pogromy, śmierć Honore, śmierć Doraca, zdrada Loura. Zbyt dużo zbiegów okoliczności nawet jak na Przełom. Nie uważa pan?

– A mimo to – szybko powiedział Rober – dlaczego oskarża pan o zabójstwo właśnie Clementa?

– Adrian dwadzieścia osiem lat zmierzał do tego, żeby pogodzić esperatyzm z ollarianizmem – kardynał nachmurzył się i naturalnie dotknął gołębia – Pokój był mu potrzebny przed Przełomem, ale do Przełomu Esperador nie dożył. Leonid nie miał szans otrzymać Jasnego Płaszczka, ale i Clement nie miał. Wygrał Junius. Starzec dawno wpadł w dzieciństwo. O tym wiedzieli wszyscy, ale to, że Esperador je z ręki Honore, okazało się dla myszek absolutnym zaskoczeniem. Honore chciał pokoju, Dorac też, chociaż z innych powodów. Ugoda wydawała się nieunikniona, ale Honore przywiózł zatrutą wodę, zginęły dzieci.

Zawarcie pokoju z „trucicielem” było niemożliwe, nawet gdyby Dorac był zdrowy i nie doszłoby do buntu. A w drodze powrotnej Honore spotkałby „mścicieli”, jak to zresztą się stało. Czekano na nich w tej samej gospodzie, w której zatrzymali się po drodze do Ollarii. A może nalega pan, bym nazywał ją Rakana?

– Wasza świątobliwość – jeśli nie rozumiesz, zapytaj, gorzej nie będzie – co pan chce osiągnąć?

– Książę Epineix – kardynał znów dotknął swojego gołębia, jakby przysięgał – nie chcę, żeby Złote Ziemie się rozpadły. Książę Alva musi dożyć do wiosny, bo bez niego nie powstrzymamy rzezi. Wywróciłem Pietro na lewą stronę i przypomniał sobie wszystko, co robił i mówił Honore w Ollarii. Przewielebny patrzył na świat absolutnie nie tymi oczami, co ja i pan, ale co do niektórych rzeczy on się nie mylił. Nazwał Alwę zaporą na drodze zła i ja mu wierzę.

– Honore tak powiedział? – wymamrotał Epineix, po prostu żeby nie milczeć.

– Tak – powoli powtórzył Levi – on tak powiedział. Od dawna pan wie, że Aldo Rakan zamierza postawić Alwę przed sądem?

– Nie – przekleństwo, jak on mógł o tym zapomnieć – Aldo wymyślił to wczoraj, nasłuchał się Burraza i wymyślił. To niepoważne.

– To poważne – kardynał przesunął palcem po brzegu filiżanki – Jego wysokość jest opętany myślą o sądzie od co najmniej dziesięciu dni.

– Nie podoba się to panu? – otwarcie zapytał Inochodziec.

– Nie podoba mi się – potwierdził Levi – a jeszcze mniej mi się podoba, że pan dowiedział się o tym razem z izbą ambasadorów.

– Aldo nie lubi zbytecznych sporów – szkoda, że shaddi, przepędzając sen, nie rozjaśnia umysłu – Wasza świątobliwość, nie może pan daną sobie władzą zabronić sądu?

– Nie mogę. Jako wzór wzięto sąd eorów, na którym obecny był Ernani Święty. Ta okoliczność nie pozwala ogłosić zamierzonej działalności jako herezji i demonolatrii.

– Bzdura! – nie wytrzymał Rober i pospiesznie dorzucił – Nie rozumiem, po co suzerenowi ten sąd? Jaka z niego korzyść?

– To pan pyta mnie? – Levi wstał, podszedł do okna, odsunął zasłonę, wpuszczając różowy promień – Wie pan, marszałku, czasem mi się wydaje, że świtu nie będzie, a on i tak następuje. To daje nadzieję, czyż nie? Chce pan jeszcze shaddi?

3

Teraz Richard żałował, że nie odwiedził Dory za Ollarów i nie może porównać poprzedniego miejsca bólu i hańby z miejscem święta. Przez trzy wieki odtrąceni czekali na wyrok, szli na galery i do torskich kopalni. Tutaj wieszano, piętnowano, ścinano głowy, odrąbywano ręce, odcinano języki tym, którzy stawiali przeciw uzurpatora i stawiali wolność ponad strachem przed niesprawiedliwymi prawami. Zwycięstwo Rakanów przyniosło koniec także starej Dorze.

Richard niespecjalnie lubił barona Crackla, ale myśl urządzać koronacyjne zabawy właśnie tutaj była doskonała. Zwykłym ludziom należy przypomnieć, kto pędził ich na galery, a kto dał wolność i radość.

*Skoczą ku słońcu gniewne wody,
i runie w przeszłość tyran.*

*Ręka szczęśliwego narodu
zmyje krew ze sławnych ran
tych, kto oddał lata złote
w imię prawdy i swobody –*

wymamrotał Richard.

– Przepraszam, monsignore? – krępy oficer, wyznaczony na komendanta Dory, ze zdumieniem patrzył na cywilnego komendanta Rakany i Dick poczuł wesołość.

– To Diderich, kapitanie Locke – młodzieniec ze śmieszkiem klepnął służbistę po ramieniu – wielki Diderich! Opiewał swobodę i honor. Te słowa mówi tu, w Dorze, przed egzekucją Harold podrzutek.

– Przepraszam – zamrugał oczami Locke – egzekucje odbywały się u Zanchy, a nie w Dorze.

– To metafora – wyjaśnił Dick, jeszcze bardziej mieszając biedakowi w głowie – Najważniejsze, że zwyciężyliśmy i człowiek nigdy więcej nie będzie znęcać się nad człowiekiem.

– Tak jest, monsignore – trzasnął obcasami oficer – Monsignore życzy sobie obejrzeć miejsce święta?

– Życzę – zaśmiał się ostatecznie już rozbudzony Dickon, oglądając stare mury, gdzieniegdzie załatane świeżą cegłą. Od wewnątrz Dora nie wydawała się taka znów wielka. Cztery bramy wiodły w pierwsze dziedzińce, tworzące sobą raczej mroczny labirynt z długich, niskich budynków bez okien, rozdzielonych ceglanyścianami; za pierwszymi dziedzińcami szły drugie, skąd sześcioma przejściami można było dostać się na centralny plac. Tam była niewielka świątynia, dom komendanta, koszary dla strażników i wyłożone kamieniem doły głodowe, obecnie przykryte grubymi deskami.

Pośrodku placu sterczała stara fontanna, która dzisiaj miała bić winem. Obok fontanny wznosiła się tymczasowa galeria dla honorowych gości i orkiestry, a na skraju placu rozłożyło się szesnaście kolorowych namiocików z prezentami dla mieszkańców dobrego miasta Rakany od jego wysokości i Władców Żywiołów.

– W każdym namiocie jest równo czterysta prezentów – wyjaśnił kapitan – Trzeba tylko okazać żeton.

– Dobrze – skinął Richard, patrząc ponad galerią na zielone niebo. Lekki wiaterek unosił flagi i kolorowe wstążki, Dora, utraciwszy była mroczność, błyszcząca świeżymi farbami, oczekując gości. Wszystko było wprost idealnie, ale Richard dla porządku przespacerował się wymiecionymi dziedzińcami, zajrzał do „swojego” namiotu i rozwinął jeden z węzłków ze słodyczami, zabawkami i sakiewką ze srebrną monetą „na ząbek”.

– To dla tych, którzy mają białe żetony – wyjaśnił rozdający, jakby Richard sam tego nie wiedział – dla niemowlaków znaczny; dla starszych dzieciaków mamy żółte, dla panien – błękitne, dla małżonków – zielone, a dla staruszków – brązowe.

Młodzieniec wyciągnął sakiewkę i rzucił wesołemu rozdającemu złotą monetę.

– Po święcie wypij za Dom Skał!

Wesołek rozpląnął się w podziękowaniach, Dickon zaśmiał się, ciaśniej owinął płaszczem i podszedł do werbowników. Na spotkanie wyskoczyli chwacki kapral w nowiutkim mundurze i czterech pisarzy z magazynowymi księgami.

– No co – Richard puścił oko do kaprala – zbierzecie dzisiaj rotę?

– Więcej zbierzemy, monsignore – zapewnił wojak – Niech tylko otworzą fontannę, a już my wszystkich zapiszemy.

– Wszystkich nie trzeba – machnął ręką młodzieniec – jego wysokości potrzebni są dobrzy wojownicy, a nie brzydale.

– Monsignore – spłoszył się werbownik – my przecie rozumiemy. Krzywych, kulawych nam nie trza.

– No to dobrze – skinął młodzieniec i zwrócił się do Locke'ego – Pan coś chciał?

– Ludzie już się zbierają. Wrota by otworzyć, żeby ścisnąć nie było.

– Owszem – skinął Richard, wchodząc na galerię. Z góry czysto wymieciony plac wydawał się jeszcze bardziej odświętny. Kolorowe dachy namiotów, słupy z wiszącymi na nich nagrodami, przeznaczonymi dla najrzęczniejszych, „drzewo narzeczonych”, obwieszane aksamitnymi wstążkami i szklanymi bransoletami, dwa podesty dla kuglarzy. Mieszczanie będą szczęśliwi.

– Monsignore, oto pańskie miejsce.

Doskonale. Młodzieniec nie patrząc usiadł na pleconym fotelu i z wdzięcznością przyjął kubek z parującym grogiem.

– Cieszę się, że pana widzę, książę – uniósł kapelusz Crackl – Co za rozczarowanie. Miałem taką nadzieję, że będę pierwszy, ale pan mnie wyprzedził.

– Przecież jestem żołnierzem – zaśmiał się Dick – a do tego cywilnym komendantem. Ładnie bym wyglądał, gdybym przyszedł po starszym Rady Prowincji.

– Ale my, z prowincji, wstajemy wcześniej – patrzące w różne strony oczy trochę peszyły – Moja małżonka, przepraszam za szczerość, jest rozstrojona. Jego wysokość ma rację we wszystkim, ale nie pozwalając naszym damom oglądać świętowania razem z nami, zadał im cios w samo serduszko.

– Za to one się wyśpią i na Dużym Przyjęciu ich twarzyczki będą świeże jak róże. Dzień dobry, panowie – James Rocksley z trudem zdławił ziewnięcie – Dzisiaj po raz pierwszy pożałowałem, że nie jestem damą, ale, jak widzę, już wpuszczają. Nie za wcześniej?

– Nie – odpowiedział Richard, patrząc, jak pierwsi mieszczanie, rozglądając się z ciekawością, zbierają się przy fontannie – Prości ludzie wstają z pianiem koguta.

– Nie mogę powiedzieć, że jestem im za to wdzięczny – dowódca gwardii już otwarcie ziewnął, zakrywając usta dłonią – A Epineix i Pridd, nawiasem mówiąc, śpią.

– Sprawą Pierwszego Marszałka jest wojna, a nie święta – jedno oko Crackla patrzyło na Richarda, drugie na Jamesa – a Pridd jest w żałobie. Jest obecny tylko na obowiązkowych ceremoniach.

Akurat Walentyn przyjedzie tam, gdzie dowodzi książę Ockdell. Richard dopił grog, przywołał stojącego przy wejściu do galerii sierżanta, oddał mu kubek, z roztargnieniem patrząc w dół. Plac szybko się wypełniał, chociaż do włączenia fontanny i rozdawania prezentów pozostawała ponad godzina.

– Monsignore – rozległo się nad uchem – pan tak wcześniej wstał.

– Dzień dobry... – święty Alanie, jak się do niego zwracać? – ...panie.

– Przyznaję, książę, miałem nadzieję, że spotkam pana właśnie tu – sepleniący Agaryjczyk nawisł nad Richardem jak soplek – Chciałbym wyjaśnić jedną rzecz jako ze swoim suzerenem. Hgabiowie Caglioni należą do Domu Skał, ale, ku swojemu żalowi, dowiedziałem się, że moim godowym imieniem mianują się postgonni ludzie.

– Panie – święteczny nastrój szybko zaczynał spadać – nie chciałbym o tym mówić, tym bardziej tutaj. Poza tym jestem związany z baronem Angerranem Carlionem więzami krwi.

– Wiem – wydał wargi Agaryjczyk – ale dla Ockdellów najważniejsza jest spgawiedliwość. Nie może pan zaprzeczyć, że Gakanowie uznawali nas za pęgar. Znam jego wysokość od wczesnego dzieciństwa.

– Dzień dobry, Richardzie – uśmiechnął się Udo Born – Zdaje się, że święto się udaje, a muszę przyznać, bałem się, że ludzie nie wyleżą ze swoich nor. James, ty zasypiasz na stojąco, lepiej idź do domu.

– Skończy się i pójdę – szarpnął głową dowódca gwardii – Obiecałem Roberowi, że przypilnuję.

– James – nie wytrzymał Dickon – dzisiejsze zabawy to moje zadanie.

– Podowodzisz bodaj z miesiąc – twarz Rocksleya stała się pochmurna – i ani ja, ani Epineix nie będziemy się pchać, gdzie nas nie wołają, ale jaka mordą, taki i ogon, a mordą cywilnej straży jeszcze wczoraj była wstrętą. Tak że musisz mnie ścierpieć. Na wszelki wypadek.

– No co ty – speszył się Dickon. James ma rację, zaufanie do ludzi Insmillera byłoby błędem.

– A gdzie nasz dgogi Piegwszy Magszałek? – wtrącił się „Caglioni” – Nie skończyliśmy wczogaj naszej gozmowy.

– Razem z gimnetami szuka Suzy-Muzy – twarz Borna skrzywiła się z rozdrażnieniem – Nie zazdroszczę mu.

– Witam panów – baron Moren ukłonił się uprzejmie. Po świętach były komendant Bagerlee wyjeżdżał do Barsiny i Dickon postanowił nie zwlekać.

– Generale – młodzieniec wskazał długonosemu generałowi wolny fotel – chciałbym z panem porozmawiać.

– Zamieniam się w słuch – zapewnił Moren i uśmiechnął się ciepło – ale najpierw proszę pozwolić, że pogratuluję panu mianowania na cywilnego komendanta stolicy. Pokonał pan długą

drogę od dnia naszego pierwszego spotkania.

– Pan też – zupełnie szczerze odpowiedział uprzejmością na uprzejmość Richard – Szkoda, że nie udało się nam porozmawiać wcześniej, chciałem zapytać o samopoczucie hrabiego Stanclera.

– Kiedy widzieliśmy się ostatni raz, hrabia był zdrowy i spokojny – Moren uważnie popatrzył Richardowi w oczy – niczego mu nie brakowało. Pozwolę sobie wysunąć supozycję, że gdyby nie uprzedzenie księcia Epineixa, hrabia Stancler byłby wolny. To przyjaciel, a nie wróg. Próbowałem wyrazić swoją opinię przy jego wysokości, ale nasz król woli słuchać przyjaciół, a nie podwładnych. To czyni mu honor.

A generałowi Morenowi honor czynią jego uczucia. Inny na jego miejscu chowałby urazę, ale nosaty baron myśli nie o sobie i o utraconym miejscu, a o niesprawiedliwie zamkniętym w więzieniu człowieku.

– Osobiście porozmawiam z jego wysokością o hrabim Stanclerze – zapewnił młodzieniec – i o panu. Nie wątpię, że pańskie zasługi wobec domu Rakanów zostaną odpowiednio docenione, i to już niedługo.

– Księżę Ockdell – Deyersowi ani się śniło czekać na koniec rozmowy – a jest pan pewien, że nie grozi nam zamach? Wszyscy wiedzą, że zmija, zdychając, próbuje ukąsić.

– Proszę się nie bać, baronie – zaśmiał się Udo – A poza tym, czy nie marzył pan, by podzielić los walczących z uzurpatorami?

– O właśnie – podtrzymał Rocksley – padnie pan z wrogiej ręki, ale pański następca przejmie pańską lutnię z martwych rąk i zakończy balladę strofami o piewcy wolności baronie Deyersie. Co w tym złego? Widzę, że struny już pan wymienił, tak że wszystko w porządku.

– Wasze żagty są wpogost odgażające! – oburzył się Carlion – Księżę Ockdell, odpowiada pan za nasze bezpieczeństwo?

– Naturalnie – wzruszył ramionami Richard – galeria jest doskonale chroniona.

– Ale oni mogą strzelać – nie ustępował Agaryjczyk – z dachu albo z tłumu.

– Panie – zasugerował James Rocksley – wydaje mi się, że pan jest nie tylko tchórzem, ale i ignorantem. Jak pan to sobie wyobraża? Tutaj nie ma ani jednego dachu, z którego można by w pana trafić. Według pana, zabójca stanie przed galerią, wyciągnie muszkiet, wyceluje, przy czym nie w księcia Ockdella, nie we mnie, nie w Crackla, a właśnie w pana?

– A byłoby dobrze – zauważył Born – Szkoda, że mieszczanie nie pozwolą.

– Mieszkańcy Rakany świętują razem ze swoim władcą – wtrącił się Crackl – nie wątpię, że ten dzień wejdzie do historii jako dzień powszechnej zgody i pokoju. A jego symbolem będzie przemieniona Dora.

– To mądga i piękna decyzja – zaciągnął Carlion, Richardowi było nie do starego nudziarza. Przy fontannie młodzieniec zauważył grubiotką figurkę, która wydała mu się dziwnie znajoma. Mała była ubrana w białą, usianą cekinami sukieneczkę, za jej plecami sterczały poślacane skrzydełka, a głowę ozdabiał koronkowy czepeczek, na którym lśniła rekwizytowa korona. A mimo to Richard ją poznał! To ona chodziła po domu zabitego jubilera.

Carlion klócił się o coś z Cracklem, Rocksley pociągał grog i omawiał z Udo przyszłą paradę, a Dickon nie mógł oderwać spojrzenia od małej córki jubilera. Istniała mizerna szansa, że karas wzięła właśnie ona, ale na Przełomie nawet ziarno piasku staje się górą. To spotkanie nie jest przypadkowe, trzeba przepytać dziewczynkę, może sobie przypomni.

Młodzieniec poszukał spojrzeniem kapitana Locke'a, ale ten wydawał jakieś polecenia, poza tym jak wyjaśnić swoje zainteresowanie małą mieszczanką? Jeśli kamień się znajdzie, Władca Skał podaruje go suzerenowi, ale to musi być niespodzianka. Richard z obawą spojrzął w stronę fontanny, okrągłotka figurka zniknęła i serce młodzieńca ścisnęło się: on już nie wątpił, że karas wzięła właśnie tłuscioszka. Dla małej mieszczanki relikwia Rakanów jest po prostu czarnym kamyczkiem, ona chętnie wymieni go na perły albo korale.

Udo pożegnał się i zniknął – w południe hrabia miał kogoś gdzieś zmienić. Deyers wyjął z futerału lutnię i z z troskaniem dotknął strun. Crackl rozmawiał z Morenem o nowym kodeksie handlowym, do agaryjskiego Carliona dołączyli Bernheim i Cavendish. Teraz jasne, dlaczego nie ma Robera. Inochodziec nie może wybaczyć tchórzowi Renkwahy, ale Aldo zabronił kłótni i pojedynków. Eor nie podnosi ręki na eora i dlatego Cavendish jest bezpieczny. Jak i Pridd, niestety.

– Panie cywilny komendancie – zameldował kapitan Locke – plac prawie zapełniony, można zacząć choćby teraz.

– Dziękuję, kapitanie.

Do rozpoczęcia święta pozostawało mniej niż pół godziny. Richard podszedł do skraju podestu, wpatrując się w tłum. Udało mu się, słoneczny promień zaczął się o szkiełko w koronie – malutka córka jubilera zapamiętała skakała po drewnianym pokryciu obok namiotu werbowników. Richard Ockdell rzucił odświętny płaszcz na fotel, zaznaczając tym sposobem swoją obecność.

– Muszę dogonić Borna – oznajmił Cracklowi – Jeśli będą mnie szukać, to niedługo wrócę.

Baron kiwnął z powagą, „Caglione” otworzył usta, ale Dick nie miał czasu na słuchanie o tytułach i prawach. Na parterze bez opieki walało się kilka ciemnych płaszczy, należących do muzyków. Richard wziął pierwszy, który nawinął mu się pod rękę i całkowicie ukrywał dworski mundur. Tylko tego mu brakowało, żeby każdy napotkany łapał go za rękaw!

Na dole było ludnie i wesoło. Wystrojeni ludzie żartowali, gryźli orzechy i pierniki, rozglądali się na boki, śmiały się dzieci, uśmiechały dziewczyny, ale Richard, nic nie zauważając, przepychał się do miejsca, w którym zauważył tłuscioszkę. Tłum poruszał się i napierał, ale Dickowi udało się dotrzeć do pomostu. Małej córki jubilera tam nie było. Dick rozejrzał się, próbując dojrzeć wśród czapek i czepców szkarłatne szkiełko i znów na pomoc przyszło mu słońce: szkarłatny zajaczek, odbiwszy się od fałszywego rubinu, trafił młodzieńca prosto w oko. Teraz dziewczynka weszła na pomost dla żonglerów, akurat nad zebranymi dookoła rozdającego żetony mieszczanami.

Mała skakała tuż przy samym skraju, przystawiwszy do nosa rozczapierzone palce, i coś krzyczała. Pozłacane skrzydełka śmiesznie się kołysały, biała sukieneczka obciągała okrągły brzusek. Nie jest jej zimno? Chociaż, kiedy się skacze, nie można zmarznąć.

– Ona już ma żeton – kobiecy głos był piskliwy i zły.

– A wcale bo nie! – chuda kobieta z nienawiścią spojrzała na wielkonosą – To ona błękitny żeton złapała. Kocia narzeczona!

– Dla córki – odcięła się pierwsza – chora jest, to co, bez podarku ma siedzieć?

– Jasne, dla córki...

– Puście, teraz moja kolej!

Ktoś z siłą pchnął Dicka w plecy, młodzieniec z trudem utrzymał się na nogach, patrząc, jak sprzedawca cytrynowej wody, z całych sił pracując łokciami, przebija się do domu komendanta. Niezgrabny osioł! Richard obrócił się pospiesznie. Łobuzica wciąż skakała, z wysiłku wysunąwszy język. Młodzieniec, za przykładem handlarza wystawiwszy łokcie, zaczął przeciskać się ku dziewczynce. Plac szumiał, chichotał, kłął, Richard z trudem lawirował między pracymi na niego mieszczanami. W tył się już nie przedostanie, no i niech tam. Porozmawia z małą i poczeka w domu komendanta. Jak najdalej od Carliona z Cavendishem.

– Gdzie się pchasz, kretynie? – warknął jakiś grubas z fioletowym pyskiem – Tępak!

– Na siebie spójrz! – wrzasnęła starucha w żółtym czepku, której nikt nie ruszył – żaba!

– Na bok!

– Patrz, gdzie leziesz!

– Och, ścisnęli...

– Dziecko, puście dziecko...

Sprzeciwiać się tłumowi było coraz trudniej, ale Richard z zacięciem przebijał się na przód, nie myśląc o cudzych nogach i brzuchach. Śmiech i żarty zastąpiły przekleństwa, ostro i zło zapachniało potem i nie wiadomo dlaczego zgniłą wodą. Dick potrząsnął głową, odpędzając śmierdzącą mgłę. Poczzerwieniałe twarze drżały i rozplływały się, zamieniając w same rozdziawione usta, z których wyrzywały się przekleństwa i woń.

– Co robisz! Co robisz, tłusty wieprzu!!! Co robi...

– A niech cię!...

– Brzuch wciągnij, krowo!

– Oczy otwórz, w ciąży jestem!

– A jak w ciąży, to nie ma co leżeć, gdzie nie trzeba.

– Ach, ty...

– Puścili! Fontannę puścili!!!

– Wina tam, że hej!!!

– Dają! Dają!! Dają!!!

Tłum zadrżał, zawył i runął ku upragnionym namiotom, próbując powlec ze sobą pracującego pod prąd Richarda, ale młodzieniec zapierał się, wywalczając u ludzkiego stada krok za krokiem. Ścisk

stawał się coraz bardziej niemożliwy do wytrzymania, przekleństwa, jęki i wrzaski zwały się w coś zwierzęcego. Przepychanie się do przodu stało się niemożliwe. Ludzi na placu więcej nie było, były kamienie, ożywione kamienie i zielone, płynne błoto, po którym one pełzły, ściskając, ścierając, miażdżąc się nawzajem.

Jak dużo kamieni, jak dużo błota... Chrząszcza, łamią się, coraz ciaśniej i ciaśniej wypełniając przestrzeń między niskimi, ponurymi domami.

– Puście! Stwórcu! Puście...

– Umieram!

– Zamknij się!..

Richard zadarł głowę. Był wyższy niż ci, którzy znaleźli się obok, mógł widzieć niebo i dachy.

– Puść! Zabiję! Puść...

– Stwórcu wszystkiego stworzenia...

– Liza... Liza!!!

Nie ma pojedynczych ruchów, ty możesz kołysać się tylko z tłumem. I ciebie nie ma, jest zdychająca, rycząca, ogromna bestia, ośmiornica, która rozpełzła się po starych kamieniach, ociekająca przerażeniem.

– Uciekaj, uciekaj stąd!

– Mamusiu!

Ktoś wypchnął na górę płaczącego czteroletniego chłopczyka i on popelzł. Po głowach, twarzach, ramionach. Tyle że nie w kierunku wyjścia, a do centrum placu, nie ku zbawieniu, a ku śmierci.

4

Sądzić Alwę? Bzdura! I najgorzej, że powiedział o tym kardynał. Duchowni, jeśli tylko nie są świętymi, potrafią wywęszyć cudze tajemnice nie gorzej od Goganów, ale przyjaźni z Aldo nadszedł kres, przy czym z obu stron. Dziwne to istoty – ludzie. Ufają ci – źle, przestali ufać – jeszcze gorzej.

– Niechaj będzie z panem błogosławieństwo Stwórcy. Orston! – sekretarz Leviego, szczuplutki i niewysoki, uklonił się powściągliwie i otworzył drzwi. Błysnęło słońce, w twarz kocimi pazurkami wczepił się poranny przymrozek. Rober odetchnął pełną piersią i dopiero wtedy zrozumiał, że duchowny czeka na zwyczajową odpowiedź.

– Meraton! – posłusznie powiedział Epineix i podszedł do Drakko. Koń wesoło tupnął kopytem, niecierpliwie czekał na przebieżkę, a w domu czekał na swoją kolej Moro, tak że kłaść się nie ma sensu, a i po co? Po trzech filizankach shaddi zaśnie tylko trup. Nie, spać nie będziemy, będziemy myśleć. O słowach jego świątobliwości.

– Carvall – oczy Nicolasa były czerwieniejsze niż u królika, jeśli ktoś musi odpocząć, to właśnie on – proszę jechać obok, jest pan mi potrzebny.

– Tak jest, monsignore – wojskowy komendant Ollarii w wolnym czasie uparcie pozostawał kapitanem-południowcem, odpędzającym od swojego monsignore'a myszy i wróble – Jedziemy do rezydencji?

– A gdzie jeszcze. Kiedy przyjedziemy, pójdzie pan spać. To rozkaz.

Carvall nie odpowiedział. W oknie na drugim piętrze pojawiło się coś jasnego. Levi! Dożył do kolejnego świtu i jest szczęśliwy. Dobry z niego człowiek, Adrian, wygląda na to, był taki sam. Dwadzieścia osiem lat dążył do pokoju, nie zdążył. A Honore nie dał rady.

Wybielona szronem Nocha wydawała się nową i odświętną. Niebieskie niebo przecięła czarna błyskawica. Kruk. Poluje! Levi pewnie wpadł w zachwyt od takiego sąsiedztwa. W niebie kruk, w domu – kot... Magnus Clement oszalałby ze złości, zresztą on i tak oszalał, a jego szczerowatość został z Mellit. Jako zastaw przyszłego spotkania, tylko kiedy ono będzie?

Południowcy, po czterech w rzędzie, minęli wrota, plac przed opactwem był czysty i pusty jak we śnie. Tylko światło, kamienie i niebo.

– Nicolas – pleść intrygi w takim dniu to wręcz świętokradztwo – Jego świątobliwość słabo zna Ollarię. Prosiłbym, żeby wyznaczył pan dla niego eskortę.

– Jego świątobliwości grozi niebezpieczeństwo?

– On tak nie myśli – uparciuchowi można wierzyć, komu wierzyć, jak nie jemu – ale on jest

tu obcy.

– A pan?

– „My”, a nie „pan”, generale Carvall. My! – Nicolas wszystko rozumie, ale i tak usta nie potrafią powiedzieć „kardynał przeszkadza królowi i może zostać zabity”. Stwory Zmierzchu, jakby tak zamienić się w Pridda, chodzić z kamienną twarzą, na której nawet duchowny połamie zęby.

– Monsignore! Pan uprzedził jego świętobliwość o... maruderach?

– Jeszcze nie. Kto go będzie ochraniać? Douvier?

– Douvier jest potrzebny monsignore'owi.

– Levi jest potrzebniejszy ode mnie, czyli Douvier jest potrzebniejszy Leviemu. Bez dyskusji.

– Zrozumiałem – Carvall stał się jeszcze poważniejszy niż zazwyczaj – Czy z tego wynika, że jego świętobliwość jest ważniejszy od jego wysokości?

– Wynika – i już, słowo się rzekło – Nicolasiu, co pan myśli o przyszłym sędzie?

– Nic dobrego – bez namysłu powiedział Carvall – Jego świętobliwość się wmiecha?

– Obawiam się, że nie...

– Monsignore! – zza rogu Ambadorskiej wyskoczył sierżant-południowiec i osadził konia – Monsignore... Jak dobrze!...

– Forester? – poznał żołnierza Inochodziec – Co się stało?

– Dora... Tam... Tam...

Dora?! Coś się tam mogło stać? Za wcześnie dla bójek.

– Weź się w garść! – warknął Epineix – I melduj!

– Ścisk – dotarliście do dowódcy, sierżant w oczach przychodził do siebie – ludzi nawaliło... I nadal się pchają. Do nas tenent przybiegł. Mówi, rozganiać kazał, żeby się co nie stało. No, jego miłość hrabia Pouen tam dwie rotę rzucili i sami pojechali, tylko gdzie tam! Do Dory nie wejdiesz, napchało się ich tam, że mysz nie przelezie. A wrzeszczą!...

– Nicolas... – co za durnie, co za niemożliwe durnie! – Niech pan jedzie do koszar i poderwie wszystkich: naszych, cywilników, „ośmiornice”! Podejścia do Dory zamknąć do Leworękiego! Reszta – za mną!

ROZDZIAŁ 9

RAKANA (B. OLLARIA)

400 rok K.S. 1 dzień Zimowych Skał

1

– Zamknęli się od wewnątrz – oko i policzek Pouena zadrżały zdradziecko – Kiedy ścisk się zaczął, Galernicze, Torskie i Komendanckie wrota zamknięto, a Kanałowych tłum nie pozwolił. Jakiś podlec krzyknął, że prezenty się kończą, ludzie rzucili się do przodu, podpory nie wytrzymały... Krótka, sam pan widzi.

Rober widział. Kanał, który dał nazwę wrotom, sto lat temu schowano pod ziemią i zapomniano. Niesłusznie, zapominać nie wolno o niczym.

Epineix po coś poprawił kapelusz i, starając się nie słuchać dochodzących zza szeregu południowców wrzasków, zajrzał w zapadlisko. W dole było piekło albo coś bardzo podobnego. Wciąż jeszcze poranne słońce wyławiało obłamki mocujących słupów, kamienie, liny – ludzie Pouena próbowali wyciągnąć zapadniętych, ale poszycie, które swoje już odsłużyło, rozpadało się w oczach.

– Ostrożnie! – krzyknął Pouen – Tam się wszystko sypie!

– Widzę – potworna jama, pożarłszy część placu i jedną z dwóch stróżówek, podpełzała ku samemu wrotom. Sklepienie nie tylko się zapadło – tłum w jakiś sposób zniszczył podpory, te, padając, zmiotły okładzinę, obnażając żółtą, niestabilną ziemię. Jak w Lesie Świętej Martyny...

– Bądź przeklęty! – ostry jak gwóźdź krzyk wyleciał z czarnej paszczy, nad którą nawisały beużyteczne wrota. Ginący mieszczanin spóźnił się. Książę Epineix był przeklęty o wiele wcześniej.

– Monsignore!!!

Rober ledwie zdążył uskoczyć, potężny kawał pokrycia ze złowrogim wyciem skoczył w dół.

Jama podeszła do drugiej stróżówki.

– Przekleństwo! – z dołu ciągnęło zimnem, zgniłą wodą i śmiercią – Ile ich tam?

– Kto wie – twarz Pouena znów zdrząła – dużo. Ratować trzeba, a to się rozłazi jak zgniłe sukno...

Trzeba ratować zapadniętych. Trzeba uwolnić zamkniętych w Dorze. Trzeba rozpędzić spóźnionych na święto. Miłości władzy to nie przysporzy, ale przynajmniej ludzie zostaną żywi.

– Hrabio Pouen – głos Rober opanował, ale czy udało mu się opanować twarz? – ilu ma pan ludzi?

– Dwie rotty – ochryple zakrakał hrabia – i trzystu cywilników.

– Tak mało?

– Reszta w środku.

– Miejmy nadzieję, że nie stracili głowy – rzucił Inochodziec i omal nie zawył, przypomniawszy sobie, że tam jest Dickon. Książę Ockdell, wczoraj mianowany cywilnym komendantem zamiast Insmillera! – Nie wie pan, kto z wyższych oficerów jest w środku?

– Byli James Rocksley i generał Moren...

James jednak otworzył oczy i przyszedł, już lepiej, Rocksley głowy nie straci, nie powinien stracić, ale Dickon!

– Pan ma chociaż jakieś pojęcie, co tam jest? – pytaj o cokolwiek, udawaj, że wiesz, co robisz, i myśl! Myśl, a niech cię Leworęki!

– Monsignore! – Pouen wymienił spojrzenia z dziobatym oficerem z cywilników – Dokładnie nie powiem, ale kiedy po nas posłano, centralny plac był wypełniony po brzegi, tłum zaczął zapęniać pierwsze dziedzińce.

– Prezenty rozdają na placu – dziobaty miał wysoki, dźwięczny głos – Tam jest galeria dla gości i orkiestry, ochrania ją moja rota. Dwie kolejne są przy namiotach, a jedna rozdzielona na liczbę wrót. Wśród ludzi powinny być przebrani obserwatorzy, ale ilu – tego nie wiem.

– A na dziedzińcach?

– Pierwsze dziedzińce zamknięte, wewnętrzne mury są tam nie gorsze od zewnętrznych, z drugimi gorzej, te, przez które nie da się przejść, odgradzono przenośnymi płotami, w przejściowych zostawiono straż, ale obawiam się, że to za mało.

Obawia się on, a kto się nie obawia?!

– Zapomniałem zapytać, kto posłał po pomoc?

– Hrabia Rocksley. Zobaczył, że plac wypełniony, a ludzie nadal przychodzą.

– Dobrze – głupie słówko, ale czasem nie można się bez niego obejść – Nasze zadanie – wysłać ludzi do domów. Jak rozumiem, oczyścić podejść teraz nie możemy?

– Nie możemy – cicho powiedział Pouen, wyraźnie wdzięczny za to „my”.

– Stwory Zmierzchu – znieacka wymamrotał cywilnik – oni wciąż jeszcze chcą prezentów.

No pewnie! Jedni strzelają z dachów, inni biegną po jałmużnę, i tych innych jest dziesięć razy więcej. Tylko, przełknąwszy prezent, oni przy pierwszej okazji wczepią się w rękę, która go rzuciła. Miłości nie kupi się winnymi fontannami, a szacunku tym bardziej.

– Zapadlisko trzeba odgradzić, nawet nie zapadlisko, a podziemną dziurę.

– Akurat ją się odgradzi – machnął ręką Pouen – Przez ziemię jeszcze nie nauczyli się patrzeć.

– Kanał został zasypany na rozkaz Karla III – przypomniał sobie Rober – czyli powinny być na ten temat jakieś zapiski. Poślijcie kogoś do archiwum. I niech tu przywloką jakiegoś mierniczego, a na razie odgradzimy na oko.

Przeznaczający ulicę Mięsną południowcy rozstąpili się, przepuszczając jeźdźca na ciemnogniadym mierzynie. Mierzyna Rober rozpoznał od razu. Wabił się Mentor Jeannot, a jeździł na nim sierżant Douvier. Wiadomości od Nicolasa, nareszcie!

– Monsignore – prawe oko sierżanta było sine i opuchnięte – ulice zamknięte, ludzie idą do domów. Generał Carvall objeżdża strażę. Książę Pridd pojechał do Galernicznych Wrót.

– Dobrze. Ile ma pan ludzi i co z pańską twarzą?

– Dwie rotty. A z gębą – kamień rzucili... To nic, zagoi się.

– Bez wątplenia – Rober rozwiązał już sakiewkę, zamierzając wyjąć z niej złotą monetę, ale rozmyślił się i rzucił ją Douvierowi w całości – Wypij sam i poczęstuj kolegów. Wszystko dobre, co dobrze się kończy.

– Dziękuję, monsignore – twarz południowca była poważna – Co tu mówić, cudem się udało, ale rozzłoszcili się na nas... Strach.

A kiedy z Dory wyjdą szczęśliwcy z prezencikami, rozzłoszczą się jeszcze bardziej, ale lepiej zostać bez węzła z lizakami, niż zdechnąć w jakiejś jamie.

– Pouen – polecił Inochodziec – proszę tu zostać. Plac oczyścić, ludzi teraz panu wystarczy. Pilnować dziury i czekać na mierniczych. Tych, których wyciągną, zapisać. Listy przesłać do mnie, do Komendanckich Wrót, a jeśli odjadę – do domu.

2

Wysoki długonosy mieszczanin już nie chrypiał i nie dusił się. I nie oddychał. Ściśnięty ze wszystkich stron trup powoli kołysał się razem z żywymi. Wyniosłe po śmierci, sino-purpurowe oblicze wisiało tuż przed oczami Dicka i młodzieniec zacisnął powieki. To jeszcze mógł zrobić, ale tylko to.

Z tyłu szumiało, wrzeszczało, wyło, przeklinało, z tyłu było jakieś życie. Tam, gdzie stał Richard, nie było nic, oprócz konwulsyjnego chrypienia i spieszego kobiecego mamrotania. Dick nie raz próbował się odwrócić, ale czy może odwrócić się wmurowany w ścianę kamień?

– Zabijcie mnie! – wyrwany z tępego pomruku krzyk był potworny, ludzie tak nie krzyczą – Zabijcie! No zabijcie!... Co, szkoda wam? Szkoda, tak?! Wychodźce, oto kim jesteście... Zielone wychodźce! Wszyscy jesteście zieloni!!! Patrzcie... On ma zielony nos i on się kruszy... Tylko spójrzcie, zielony i się kruszy, kru... cha, cha, cha...

Wrzaski przerosły w rechot, rechot – w jakieś szakale wycie, a cegła pod nogami stała się miękka. *To nie kamienie, to po prostu nie mogą być kamienie. Kamienie – wierne, pewne, zmęczone, a tu – błoto. Zła, woniejąca ciecz, z której rodzą się zmiennokształtni. Stara Anna umarła. Jej już nie ma, a wcześniej ona opowiadała o zrodzonych w trzęsawiskach potworach. One są zupełnie jak ludzie, ale z ich ust pachnie bagnem, a jedna noga jest ośła. Bestie z zielonego błota, z Renkwahy... One zawsze nienawidziły Ockdellów, jak trzęsawisko nienawidzi skał. Najpierw wciągnęło ojca, teraz jego...*

– Mamo! – dziecięcy krzyk uderzył w uszy i Dick pospiesznie otworzył oczy – Mamusiu... Co z tobą? Mamusiu!

– Pomarła twoja mamka – warknął w odpowiedzi gruby głos – zdechła! I my wszyscy zdechniemy przez tych taRakanów!

– To oni! – nie wiadomo, krzyczy mężczyzna czy kobieta – Oni!... Oni wszystkich zadręcą!

– Właśnie – wrzasnął gruby – my wymrzemy, a w naszych domach tarakańskie przydupasy się zagnieżdżą!

– Kłamiesz – wytchnął Dick, ale nikt go nie usłyszał. Albo nie zrozumiał. Wrzeszczano z tyłu, a dookoła kołyszące się twarze były mgliste, zielone i senne. Tylko gruby mężczyzna w kapeluszu z piórem powoli podniósł zalane krwią oczy, jakby chciał odpowiedzieć, ale zamiast tego zemdlilo go. Nie mógł opuścić głowy, rwało go prosto na głowę wąsatej staruchy i grubas poruszał głową, próbując wytrzeć się o jej czepek. Szalencie z tyłu wciąż jeszcze rechotał, a przed oczami, które strach było zamknąć, kołysał się, kołysał, kołysał długonosy trup.

3

– Ej, wy – tęgi kapral-południowiec z całej siły walił w okute żelazem wrota – otwierać! Zasnęliście tam czy co? Zdechliście?!

Dora nie raczyła odpowiedzieć. Świeciło słońce, w niebie krążyły gołębie, beztrąsko srebrzył się szron, ale zza pocętkowanych czasem wrót donosił się dziwny, trwożący szum.

– Ej! – wrzeszczał kapral – To swoi! Otwierajcie, ... tak was ...! Spili się, jak nic!

– Odsuń się – Nicolas Carvall odsunął żołnierza i wałnął w furtę butem. Wojenny komendant sięgał podwładnemu do ramienia, ale śmieszny mały południowiec się nie wydawał, raczej wręcz przeciwnie.

– Mówi z wami generał Carvall – z ust Nicolasa te słowa zabrzmiały chyba pierwszy raz – Rozkazuję otworzyć. Imieniem króla i Taligoi!

– Leworęki, oni tam umarli czy co? – wycodził obecny cywilnik – Czy kąpią się w fontannie?

Przeklęty szum, co się za nim kryje? Wesolość? Bójka? Bunt? Chociaż buntownicy by wrzeszczeli. I pijacy by wrzeszczeli, i walczący, a tu szumią jak zamarzające pszczoły. I gdzie są strażnicy i żołnierze? Przecież ktoś musi być u wrót!

– Monsignore! – kobieta? Tutaj? Skąd? – Monsignore!

Gruba mieszcza w średnim wieku wynurzyła się zza sklepu rzeźnika, śmiesznie kołysząc piersiami przebiegła ulicę i runęła na kolana przed Roberem.

– Monsignore, litości!

– Kim pani jest? – miła, okrąglą twarz, spod jasnoszarego czepka wysunęło się kasztanowe pasmo włosów – Co pani chce?

– Tam są moje córki – mieszcza próbowała wczepić się w but Robera, ale Epineix zdążył uskoczyć – obie... Ja ich nie puszczałam, a one poszły. Z przyjaciółkami... Poszły – i teraz są tam!

– Wrota zamknięto, kiedy zaczął się ścisk – Inochodziec mówił czystą prawdę, ale wydawało mu się, że kłamie – Jeśli pani córki nie zdążyły wejść, to już są w domu. Jaką drogą poszły?

– Ulicą Farbiarską – pospiesznie wymamrotała kobieta – i prosto tutaj, do Komendanckich... Ja ich nie puszczałam, ale tam... Obiecali wstążki i moryjską oliwkę... One tak chciały.

Och te pachnące różami flakoniki. I te wstążki! Jak łatwo zwabić dziewczęta, łatwiej nawet niż myszy w pułapkę. Te przynajmniej wężą.

– Nie ma pani powodów do obaw – jeśli nie ma, to czemu sterczysz i patrzysz, jak teraz już troje wali w martwe wrota? – Przy Kanałowych rzeczywiście doszło do nieszczęścia, ale tutaj wszystko w porządku.

– Sandra i Mona nigdy nie pójda do Kanałowych, nigdy...

Oplakać biedę ona zawsze zdąży. Jeśli stała się właśnie bieda, ale przecież na razie nic nie wiadomo, na razie po prostu nikt nie otwiera wrót.

– Pani córki albo są już w domu, albo niedługo przyjdą – Rober ostrożnie pogładził ramię kobiety – Lepiej będzie, jak pani też wróci.

– Monsignore – a ona do kogoś jest podobna, do kogoś dawno zapomnianego – można poczekać, aż otworzą? Mnie prezenty niepotrzebne, tylko niech...

– Można – zaraz ona się rozplacze, jeśli się na nią nie wrzaśnie – tylko proszę odejść pod sklep!

– Zaraz – Nicolas oderwał się od furty, jego twarz była pochmurna i podejrzliwa – Jak cię przepuszczono?

– Poprosiłam – twarz mieszczańki zaczerwieniła się – tam stał Gilbert. On też jest z Agirre. Poznał mnie.

– Zaczekaj – spiął się Inochodziec – Jesteś córką starej Marizoe?

– Tak, monsignore – pokiwała głową nieoczekiwana rodaczka – tak... Czy monsignore mnie poznał?

– Jesteś podobna do sióstr – Emma Marizoe... Warkocz dookoła głowy, turkusowe kolczyki... Emma piekła ciasteczka z poziomkami i wyszła za mąż za ziemianina z Agirre, Rober miał dziesięć lat, to było pierwsze wesele, na które go wzięto.

– Monsignore mnie wspomniał? – pociągnęła nosem kobieta – Moje dziewczynki są do mnie podobne... Do takiej, jaka byłam.

– Znajdę je – a jeszcze znajdzie igielkę w stogu siana, ale Emma czeka właśnie na te słowa i ona jest z Epineix – Odprowadźcie ją. Kapralu, co z furką?

– A to samo – odpowiedział wojak – i dźwięk głuchy, może czym zawalili. Ja tak myślę, że trza do Torskich jechać.

– No to jedźcie!... Nie, czekać, zaraz się wszystkiego dowiemy.

4

Walentyn Pridd osadził moriska, nie dojeżdżając do wrót, i zeskoczył na ziemię, zaczepiwszy wodze o łęk siodła.

– Dzień dobry, księżę – twarz Ośmiornicy była nie tak blada jak zazwyczaj. Z zimna czy od galopu?

– Witam, panie – dlaczego im mniej ufasz, tym uprzejmiej mówisz? – Proszę pozwolić, że podziękuję za pomoc.

– To mój obowiązek – takim tonem oznajmiają o zgonie ukochanych wujaszków – O ile rozumiem, te wrota też nie śpieszą się z otwieraniem?

„Też się nie śpieszą”, „też”...

– Pan jedzie od Torskich, tak, książę?

– Niestety – drewnianym głosem powiedział Ośmiornica – Na Kanałowe, o ile rozumiem, nie ma co liczyć?

– Ma pan rację – Rober zadarł głowę, patrząc na szorstkie, pocętkowane czasem mury, zza których donosił się niski, natrętny szum – o Kanałowych musimy zapomnieć. Pozostają Galernicze.

– Sprawdź!

Władca Fal wskoczył w siodło zanim Rober zdążył zaprotestować. Szary morisk obrócił się na tylnych nogach, przypominając o zamkniętym w boksie Moro.

Samotny jeździec pomknął wzdłuż muru i zniknął. Rober w znużeniu oparł się o głuche wrota. Działanie shaddi minęło, wróciły stare zmęczenie i coś bardzo podobnego do rozpaczki.

Ściana była nie po prostu zimna – lodowata, ale odrywać się od niej nie było ochoty, bo i po co, i tak nic nie wyjdzie. Życie – to błoto, w którym można jedynie tonąć. Przynajmniej jego życie.

Szorstki mur było czuć nawet przed ubranie – wilgotny, zapleśniały, stary jak świat. Na bladej powierzchni ciemniały plamy, podobne do konia. Do sennego srokatego konia, który brodzi z wieczności w wieczność. Stukają kopyta, ponuro zwisa grzywa, po jałowej ziemi ciągnie się łańcuszek śladów...

– Mamo, mamusiu... Mamo! – pięcioletnia dziewczynka z białym węzelkiem w dłoni pełnie po sklejonych, zrosniętych ze sobą ramionach, jasne włoski, szkarlatne wstążki, czerwone punkciki otaczają szeroko otwarte przestraszone oczy – Mamo! Gdzie jesteś... Mamusiu!

Ją trzeba zabrać, tę dziewczynkę, ją i wszystkich pozostałych. Leie Astrape, ludzie nie powinni tak umierać, nie powinni!

– Monsignore, wraca książę Pridd!

– Nicolas – Rober westchnął głęboko, odpędzając ostatki urojeń – słyszał pan krzyki? Krzyki i dziecięcy płacz?

– Nie, monsignore, ale nie zbliżałem się do muru.

– Cóż – w głowie dzwoni, ale to można przeżyć, przeżyć można wszystko oprócz cudzych, potwornych śmierci – posłuchamy Pridda.

Walentyn trzymał szarego pod uzdę. Konia on nie żałował, siebie zresztą też.

– Nie odpowiadają? – sucho rzucił Rober.

– Właśnie – na długiej twarzy nawet pojawił się jakiś wyraz – wrota zamknięte i, tak jak i pozostałe, otwierają się do środka, ale jednemu z żołnierzy udało się wdrapać na mur. To, o czym powiedział, jest godne pożałowania.

– Proszę wyjaśnić dokładniej – Leworęki wzięłyby tego Pridda z jego manierami – i, jeśli można, ludzkim językiem.

– Do tego trzeba być Wennem, Diderichem albo kapralem – Władca Fal dał radę jednak naciągnąć na swoją gębę uśmiezek – Podejścia do wrót, jak okiem sięgnąć, zapchane ludźmi. Pod murami wiele trupów, dalej po prostu stoją i nie mogą się ruszać. Wrota można uważać za zamurwane, żeby je otworzyć, potrzebny byłby taran.

Taran... Jego trzeba jeszcze znaleźć i przytaszczyć! Stwory Zmierzchu, tutaj nawet odpowiednich drzew nie ma, nie mówiąc już o toporach, a nawet gdyby były? Ilu ludzi wyprowadzisz przez troje wrót, nawet jeśli wybijesz od razu wszystkie?! Leie Astrape, no dlaczego to spadło na takiego tępaka? Gdyby Pierwszym Marszałkiem Taligoi był Pierwszy Marszałek Taligu, Dorę rozbito by jak orzech! Gdyby, gdyby...

– Carvall – usłyszał własny głos Rober – Proszę posłać do Arsenalu po proch i zapalniki...

– Monsignore – twarz Nicolasa nic nie wyrażała – co powiedzieć, jeśli zapytają, po co panu proch?

– Powiedz, że to rozkaz Pierwszego Marszałka!

– Taligoi – zimno dorzucił Pridd i Rober kolejny raz poczuł ochotę udusić Władcę Fal. Choćby za to, że jego zamysł w samej rzeczy godny był Kruka. Ilu żywych on teraz zabije na miejscu, rozerwie na kawałki, zawali kamieniami? Ale innego wyjścia nie ma.

– Panie – nieoczekiwanie cicho powiedział Ośmiornica – czy pan zdaje sobie sprawę z tego, że po tamtej stronie muru są ludzie?

– *Zdaję* – Leie Astrape, co on gada, i to jeszcze tak spokojnie! – *Zapewniam pana, książę, Stwórca obejdzie się bez jednej czy dwóch setek swoich nie najmądrzejszych stworzeń. Za to tym, dzięki którym w mękach zdechną tysiące, nawet Zmierzch wyda się Świtem.*

5

Śmierdząca, zimna mgła, sine twarze, wytrzeszczone oczy, otwarte usta. Nie ma czym oddychać, poruszyć się nie sposób. W prześwicie między dwiema wyszczerzonymi głowami sterczy ktoś do niemożliwości wysoki; w rzeczywistości wypchnęło go na powierzchnię, a nogi nie dotykają ziemi. On się krzywi, szarpie, jak lalka na sznurkach, i nagle zapada się i znika. Na zawsze. I znów cisza, otulone zielenią twarze, naraz zimno i zaduch. To z tyłu – krzyki i przekleństwa, a tu cicha, brudna, beznadziejna śmierć.

Suzeren nic nie wie, reszta nic nie robi. Dlaczego Rocksley nie rozpędzi tłumu, przecież ma tylu ludzi? A Moren?! On przecież wie, czym jest bunt!

Zegar Świętej Teresy powoli, kpiąco wybił pięć, siedem, jedenaście razy. Święty Alanie, gdzie oni wszyscy patrzą!... Patrzą? Oni śpią! Inochodziec, Douglas, Ośmiornica, Carvall, a Born był i poszedł... Za godzinę zastąpi Mevena w poczekalni Aldo, a wieczorem pójdzie do Marianny, jak gdyby nigdy nic. A na galerii piją grog, gadają, czekają, kiedy na dole wypiją całe wino i wybiorą wszystkie prezenty. Czyżby Jamesowi nikt nie zameldował, co się dzieje w przejściach na plac?!

Usta i język wyschły, a nogi zdrętwiały. Richard oddałby wszystko na świecie za łyk grogu, ale nie było nawet śniegu. Bezlitosne niebo radośnie świeciło i krążyły na nim białe świąteczne gołębie. Przekłete niech będzie to święto, przekłety dureń Crackl, który wymyślił, by spędzić wszystkich do Dory. I niech przekłete będzie odrażające, tępe stado, zaciągające w śmierć!

Z lewej strony coś strzeliło, rozpędzając lepkie otumanienie. Za pierwszym ciosem nastąpił jeszcze jeden. I jeszcze! Głuche huki splatały się z krzykami, wysokość kłębiła się spłoszonymi stadami i czarnym dymem, gorący, pachnąc prochowym kwasem wiatr zerwał mdlącą mgłę i ucichł, ale wrzaski nie milkły. Tłum zachybotał się w tył, ściskając i dławiąc jeszcze silniej, chociaż to było niemożliwe. Ni to śpiący, ni to nieprzytomny mieszczanin w niebieskim suknie otworzył bezmyślne oczy i wrzasnął: „I przyjdzie sędzia, i będą oczy jego pełne światła niebiańskiego!” Głośno zapłakała dziewczyna z kaczym nosem i Richard pojął, że może poruszyć ręką.

Ciało samo się wykręciło, wrywając się ze śmiertelnego spokoju, obok kręcili się, oddychali, potrząsali głowami żywi i padali pod nogi tracący oparcie martwi. Dick potknął się o coś grubego i miękkiego i omal nie upadł, pomógł wymazany wymiocinami grubas, o którego oparł się młodzieniec, nie wiedząc, co robi.

– Grabią! – wizgliwy, głupi wrzask ostatecznie przegnał otepienie, Richard z obrzydzeniem szarpnął ręką i, wystawiwszy naprzód ramię, zaczął przepychać się tam, gdzie śmierć przeciekała w życie. Przeżyty koszmar żądał ujścia i młodzieniec szaleńczo rozpychał odstręczające, brudne stwory, które omal nie powlokły go w Zmierzch. Coś do niego krzyczano, ale Dickonowi było nie przekleństw, on nie mógł znajdować się wśród tego bydła! I bardzo chciało mu się pić. Nie, nie pić, najpierw zerwie z siebie śmierdząca, wstrętne szmaty i zmyje błoto, w którym tonął.

– Książę Ockdell! Książę Ockdell, stać! To pan?

Nicolas Carvall! Zjawił się wreszcie!

– Tak – żeby tylko nie wykrzyzczeć czosnkarzowi w pysk wszystkiego, co on myśli o fajtlapach, które przespały wszystko na świecie – To ja. Widzę, że w końcu się pan pojawił.

– Co z generałem Rocksleyem? – karzełek niczego nie zrozumiał, chociaż czego od takiego oczekiwać?

– Nie mam honoru wiedzieć – odpalił Richard – Dlaczego nie przybył pan od razu?

– Bo święta to sprawa cywilnego komendanta – Carvall odwrócił się – Gervaise, przekaz monsignore'owi, że Ockdell cały.

Cały?! Dobrze słówko, jakby chodziło o konia albo psa, ale przecież nie będzie się kłócił z czosnkowym „generałem” wśród śmierdzącego tłumu.

– Dajcie mi czysty płaszcz i konia – drżąc z wściekłości powiedział Dickon – i może pan być wolny.

Południowcy, „ośmiornice”, cywilnicy rozdzielali tłum na zewnątrz, rozbierali jak jakąś stertę, a części sterty ożywały i rozpełzały się po mieście. Powoli, beznadziejnie, strasznie, niby uczłowieczona choroba.

Szarotwarze figury powoli kroczyły po szarych kamieniach, wymijając żołnierzy i strażników, przebijających się ku środkowi Dory, a pod murami leżeli byli ludzie. Oni przyszedli tu po prezenty i zostali rozmazani po kamiennych ścianach. Albo zadusili się w niszach, w których próbowali się ukryć. Albo upadli i zostali zdeptani. U kogoś nie wytrzymało serce, u kogoś rozum.

– Monsignore – Nicolas Carvall był bez kapelusza i płaszcza – Pridd dotarł do głównego placu.

– No i jak tam – równym głosem zapytał Rober – to, hm, serce święta?

Nicolas nie odpowiedział, tylko mięśnie na szczęce zrobiły się jeszcze wyraźniejsze. Leie Astrape, co tam jest? Ale co by to nie było, trzeba iść i popatrzeć. Nie to, żeby Ośmiornica sobie nie poradził, po prostu są rzeczy, przed którymi nie można się schować.

– Monsignore, spotkałem księcia Ockdella. Wszystko z nim w porządku.

– Gdzie on jest? – chwała Stwórcy, chłopiec jest żywy i zdrowy – Na pewno wszystko z nim w porządku?

– O ile zrozumiałem, księżę Ockdell odjechał do pałacu z meldunkiem o zajściu – kiedy Carvall mówi jak kancelaryjny szczur, to znaczy, że kogoś jest gotów zabić, ale kogo – Dickona czy Aldo?

– Dobrze – ale się przyczepiło słówko – Coś jeszcze?

– Prawie oczyściliśmy drugie dziedzińce – obojętnie oznajmił Carvall – Pouen przysłał człowieka. Obsuwy zatrzymały się, jamę odgradzono, żywych wyciągnięto, teraz wyciągają zmarłych. Czekają na mierniczego.

– Dziewcząt z Agirre nie znaleziono?

– Nie, monsignore – Carvall głośno wypuścił powietrze – ale szukamy. Niech się pan nie martwi.

Doskonała rada, taka prosta i zrozumiała.

– Idziemy na plac – rzucić by to wszystko i uciec. Do Epineix, do Torki, gdziekolwiek, byle jak najdalej od woniejącej śmiercią i chciwością Dory. Tylko nie ma gdzie uciekać, bo ta właśnie Dora zawisła na szyi kamieniem i odejdzie z posiadaczem choć w Zmierzch, choć w Świt. Ze wszystkimi swoimi zmarłymi, przewróconymi przegrodami, wywróconymi wozami i nieuniknionymi prezentami, z których uśmiechały się królewskie Zwierze. Różnokolorowe węzłki były wszędzie, walały się w kałużach, wysuwały spod trupów, śmiały w rękach ożywionych wychodźców. Zdychać będzie, a nie zapomni, nawet nie trupów – ocalałych. Puste oczy, wymięte, wybrudzone ubrania i pstrokate węzłki w rękach.

Niedobre bajkowe stworki prowadziły chętnych na darmowszczyznę durniów w trzęsawiska, królewskie gościńce wypełzły z tych samych bagien.

– Tu jest przejście. Wolne – Nicolas skręcił w jakąś niszę i wcisnęli się obaj w szczelinę pomiędzy dwiema ślepyimi ścianami. Tutaj nikt nie umarł, ale i tak Epineix przyspieszył kroku. Była to głupota i tchórzostwo, ale jeszcze nikomu nie udawało się przegonić strach. Jego można przywiązać na łańcuchu, zapędzić do budy, ale nie przegonić, a mroczny, nie bacząc na jasny dzień, zaulek wydawał się śmiertelnie niebezpieczny.

– Monsignore, tam już się wszystko stało – Nicolas po swojemu pojął zachowanie swojego idola. Przyszło zwolnić kroku. Epineix starał się trzymać jak najdalej od oślizłych ścian i przy tym nie wpaść na Carvalla.

Droga okazała się krótka, Dora w ogóle była mała, o wiele mniejsza od Nochy, ale czas jakby się zatrzymał, a plamy na ścianach, wręcz przeciwnie, poruszały się razem z Inochodźcem. Duże, ciemne plamy, próbujące złożyć się w coś żywego i potwornego.

– Ostrożnie, monsignore, stopień!

Ciekawe, czy na wejściu do Zmierzchu są stopnie? Nieważne, co o nim mówią, Zmierzch – to nic strasznego. Też mi, niegasnący ogień, co innego zimna szczelina, a na jej końcu – stopień w

brudną beznadziejność.

- Leie Astrape, co to jest?!
- Wino, monsignore.

2

Fontanna na centralnym placu wciąż jeszcze była czerwonym tanim winem, które wyglądało jak krew. Wyszczerbiona czasem czara była zapełniona po brzegi, zadławione, zdeptane, rozbite głowy pływały w czerwonym płynie. Wino przelewało się przez skraj basenu, purpurowymi strużkami ściekało w dół, chlupotało pod nogami, zlewało się w strumyczki i kałuże, opływając trupy i porozrzucane rzeczy, mieszając się z wymiocinami, błotem, krwią. Kwaśno-słodki karczemny zapach płynął nad tym, co powinno być świętem.

- Na Leworękiego! – wrzasnął Epineix – Zamknijciez tę fontannę!

– Już próbowano, monsignore – odpowiedział Carvall – ale... wygląda na to, że ona będzie bić, dopóki wino się nie skończy.

A ono skończy się o szóstej po południu, albo o wpół do szóstej, jeśli zajmujący się tym ludzie domyślili się, by coś ukraść. Teraz jest dopiero po trzeciej, przez pozostały czas czerwonym słońcem zaleje pół Taligu. Epineix apatycznie obejrzał rozgromiony plac. Mógł odejść, Carvall i „ośmiornice” poradzą sobie i bez niego. Ci, którzy przeżyli, już przeżyli, a martwych obecność Pierwszego Marszałka Taligo i ani ziębi, ani grzeje. Martwych nie obchodzą ani marszałkowie, ani królowie, ani zalewające ich pomyje.

- Gdzie księżę Pridd?

- Przy dołach głodowych. Tam jest najgorzej, tam i przy galerii.

Co znaczy gorzej? Co może być gorsze od sterczących z paskudnego wina nóg i kobiety z wyrwanymi warkoczami?

- Gdzie te doły? A, już widzę!

Szara figura w otoczeniu fioletowych. Dzisiaj żałoba jest na miejscu jak nigdy, jutro on też założy szarość.

- Jak tam, Walentynie?

– Panie Pierwszy Marszałku – twarz Pridda była bladezielona jak kapuściane sadzonki – prawa strona placu jest wolna. Moi ludzie doszli do galerii. Niestety, ona się zawaliła.

– Dziękuję panu – i to jeszcze mało powiedziane – ale teraz powinien pan odpocząć. Niezbyt dobrze pan wygląda.

- Nie mogę odejść – szarpnął głową Ośmiornica – moi ludzie słuchają tylko mnie.

– Jeśli pan nie może – to niech pan wróci – wzruszył ramionami Inochodziec – Kiedy już rozstanie się pan ze śniadaniem, jeśli pan, oczywiście, je zjadł.

– Ku mojemu głębokiemu ubolewaniu, zjadłem – ukłon Pridda był żalosną parodią jego zwykłej uprzejmości – Wrócę nie później niż za pół godziny. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę zwrócić się do hrabiego Girke.

- Z pewnością – obiecał Epineix, odprowadzając wzrokiem wysoką figurę.

– On bardzo dużo zrobił – nieoczekiwanie powiedział Carvall – bardzo. Gdyby wszyscy mieszkańcy północy byli tacy...

Gdyby wszyscy mieszkańcy północy byli tacy jak Pridd, można by było się powiesić, ale „ośmiornice” naprawdę rozgrzebały to, co nawyrabiali pomysłodawcy święta. A mogliby nie rozgrzebywać – rozkazywać Władcy Fal może tylko król.

– Proszę spojrzeć, monsignore – pan wojskowy komendant podniósł z ziemi coś czarnego i oślizłego, co okazało się być kawałkiem deski – zgniłe. Dziwne, że nie zarwały się od razu.

To rzeczywiście było dziwne. I straszne. Gorsze od wąwozu Świętej Martyny, gorsze od zmytej rozwścieconą Birą wioski, gorsze od Kanałowych Wrót. Słońce bezlitośnie świeciło w doły, niegdyś będące głodowymi, a dzisiaj zamienionymi w potworne pułapki. Niedbale przykryte deskami, jamy te ukazały się, kiedy fontanna wystrzeliła upragnionym winem. Zgniłe drewno nie wytrzymało ciężaru, ale nawet gdyby było trzy razy mocniejsze, niczego by to nie zmieniło. Co najwyżej nieszczęście odwlokłoby się o kilka minut. Kogoś by to uratowało, a kogoś zgubiło.

– Dowiedzcie się, kto sprzedał do Dory przegniłe deski – winny jest nie chciwy dostawca, a dureń, który postanowił urządzić święto w pułapce na myszy. I drugi dureń, który złapał tę myśl jak

umierający brzytwę. I trzeci dureń i podlec, który nie zatroszczył się o rozeznanie w tej awanturze i zwałił szaleństwo na niedoświadczonego chłopca. Ale odpowiadać będzie dostawca. I kupujący, jeśli żyje.

– Rocksleya jeszcze nie znaleziono?

– Być może u galerii... Ale żywych tam chyba nie ma.

– Wiadomo chociaż, kto był na galerii?

– Zaproszenia rozesłano...

– Sam wiem, komu rozesłano zaproszenia – warknął Epineix – Kto przyłaził na to przekłete zbiegowisko?!

– Nie wiadomo dokładnie, monsignore – zameldował pobladły Carvall – ale może to wiedzieć księżę Ockdell.

– Milcz, Nicolas – Rober ścisnął ręką ramię południowca – bo naskoczę na ciebie, a ty nie jesteś niczemu winien. I jeszcze... Nie chodź za mną teraz.

Carvall nie odpowiedział. Albo posłuchał rozkazu, albo nareszcie się obraził. Jednemu z „ośmiornic” zrobiło się niedobrze. Żołnierze trzymali biedaka pod rękę, a jego rwało prosto na oślizgłą zieleń. Zapach wina, kwasu i czegoś jeszcze stawał się nie do wytrzymania, a to, co trzymało na powierzchni przez te kilka godzin, tajało jak ogarek świecy. Pozostawała pustka, w którą powoli wpelzały smutek i zmęczenie.

– Rozpalić ogniska – rozkazał Epineix, starając się nie patrzeć na rozdeptany węzełek, z którego wypadły flakonik i kilka wstążek. Zapach moryjskiego różanego olejku przebiegał się nawet przez woń wina.

– Tak jest, monsignore – żywo odezwał się jakiś liliowy – Już lepiej niech spalenizną śmierdzi...

Trzeba dojść do galerii, a raczej do ruiny, i dowiedzieć się, kto pod nią jest. Ach, nie chcesz? A rąbać na kawałki trupa chciałeś? A zabijać Goganów? A dowodzić egzekucją? I nie twoja zasługa, że do niej nie doszło. Robiłeś to, do czego zmusił cię suzeren i doszedłeś do Dory, no więc miej odwagę wydać rozkaz samemu sobie i wykonać go! Idź i patrz, Ośmiornica mógł – to ty też!

3

Lutnia leżała w kałuży, śmierdzącej, połyskującej zielenią kałuży. Lutnia Deyersa, którą Rober wczoraj wyrwał wielośmiertnemu baronowi z rąk. Czyżby minstrel w końcu rzeczywiście umarł?

Rober przyjrzał się – struny były nowe, ale gryf pokrywał białawy nalot. Jakby do melasy przykleił się topoli puch. Taki sam nalot pokrył kawałki słupów i desek, między którymi wały się na poły zgniłe szmaty i rozpelzające się śluzem kwietne girlandy. Czy naprawdę kilka godzin temu one były świeże i żywe? Niemożliwe! Władca Błyskawic zakrył oczy dłońmi, próbując się skupić. Pomogło. Połamane deski i słupy nadal były oślizłe i porowate, ale kwiaty stały się kwiatami, a obicie obiciem, lutnia też była w porządku, za to jej właściciel...

Zza góry odłamków, cofając się, pojawił się żołnierz w liliowym, za nim drugi. „Ośmiornice” niosły trupa, jeden za ramiona, drugi za nogi, ręce nieżyjącego były przewiązane chustką z szyi, piękna ciemnowłosa głowa kołysała się bezwolnie. Śmierć szybko zmienia ludzi, ale Rocksleya Inochodziec poznał od razu. Skroń biedaka była przebita, czarno-złoty kaftan pomięty i zaplamiony, ale twarz wciąż pozostającego „młodym hrabią” Jamesa była czysta i absolutnie spokojna.

Epineix zrozumiał, co robi, dopiero wtedy, kiedy jego płaszcz już leżał na stratowanej ziemi. Żołnierze niezręcznie opuścili swój ciężar i znów pobrnęli w ruinę. Inochodziec pochylił się, odsunął z czoła zmarłego zakrwawione pasmo. Oni nigdy nie byli przyjaciółmi, ale James wydawał się być mniejszym yzargiem niż inni wasale Dicka. Teraz Richard będzie musiał odwieźć matce zmarłego szpadę, mówić, że James zginął szybko, i inne bzdury, które nie wiadomo dlaczego uważa się za pocieszenie. A jak można pocieszyć matkę? Ona odprowadzała syna na święto, niechby głupie, absurdalne, ale święto, a syn nie wrócił. James mógł nie jechać, ale obiecał pomóc Dickowi i pomógł...

James Rocksley spojrzął na pusty fotel i odczepił od pasa usiany rubinami zegarek. Błysnęły i zgasły szkarłatne iskry, jakby ze złotej cebuli spojrzęło mnóstwo źrenic. Hrabia schował zegarek, Richard Ockdell machnął chusteczką, usiadł na fotelu, uśmiechnął się. Maestro Alessandri uniósł

batutę, drgnęły smyczki, ale muzyki nie było.

Nad milczącym placem wydymali policzki fleciści, przewracali oczami skrzypkowie, potrząsał siwą grzywą maestro, poruszali ustami Moren, „Cagliosi”, Deyers, Cavendish... W absolutnej ciszy, powoli i płynnie jak łabędzie na strumieniu, mieszczanie ruszyli na namioty z prezentami, okrążyli senną purpurową fontannę, wyciągali ręce do rozdających żetony, a na galerii, podciągawszy jedną grubiułką nóżkę do podbródka i zwiesiwszy drugą, siedziała gruba dziewczynka ze złotymi skrzydełkami za plecami. Dziewczynka poruszała paluszkami nad samą głową maestro Alessandri i uśmiechała się szczerbatym uśmiechem, a na jej głowie pałała szkarłatnymi rojami złota korona...

– Panie marszałku, baron Crackl... Żywy!

Żywy? Rober drgnął, wypuścił dłoń Rocksleya i ta miękko upadła na szkarłatny płaszcz. Crackl żyje, Rocksley nie, takie jest prawo świata. Jego własne ręce były we krwi, swojej i cudzej, Inochodziec pospiesznie wytarł je o wymazany kaftan i zobaczył cudem ocalałego. Baron głośno jęczał i przewracał oczami, ale był nieuszkodzony.

– Książę – powiedział, patrząc na Robera – pan się spóźnił! Nasi przyjaciele nie żyją. Co za potworna śmierć, co za straszny przypadek! Kto by mógł pomyśleć...

Pomyśleć mogli wszyscy, ale nie pomyślał nikt. Kim trzeba być, żeby urządzić zabawę na byle jak załatanych dziurach?!

Ciężkie kroki kazały się obejrzeć. Dwoje „ośmiornic”, nie ci, którzy wyciągali Rocksleya, położyło swój ciężar obok Jamesa. Pułkownik Moren nikogo już nie napoi solą. I do Barsiny też nie pojedzie.

Po twarzy byłego komendanta Bagerlee przeszedł ktoś w podkutych butach, ale nos ocalał. Nos i ciężki pierścień na małym palcu lewej dłoni. Następny spod obłamków pojawił się Carlion, któremu wypadło umrzeć bez tytułów, i maestro Alessandri, który zagrał swój ostatni marsz. Ktoś jeszcze w kapitańskim mundurze i z przebitą głową, zupełnie jak James.

– Komendant tutejszy – wyjaśnił jakiś „ośmiornica” – chyba Locke go wołali...

– Nie wyobraża pan sobie, co ja przeżyłem – jedno oko Crackla łowiło spojrzenie Robera, drugie patrzyło w niebiosy – i niech pana Stwórca uchroni przeżyć podobne! Nie wyobraża pan sobie, nie może wyobrażać...

Gruba dziewczynka w białej sukieneczce z cekinami skacze po uginających się deskach, wysuwa język, krzyczy, klaszcze w dłonie, a na galerię, na podesty dla aktorów, na samotne drzewo pchają się w poszukiwaniu ratunku ściśnięci tłumem ludzie. Ci, którzy są w dole, łapią za nogi tych, którym poszczęściło się wleźć na górę. Kiście potwornego winogrona krzywią się, kołyszą, spadają na głowy nowej fali, rozsypują się oszalałymi bestiami. Bestie warczą, drapią, gryzą, duszą się nawzajem.

Ktoś podnosi się, ktoś nie może, po upadłych idą, leżą, pełzną następni, upadają, znów włączą, drugą, trzecią, czwartą warstwą... A dziewczynka wciąż skacze, wciąż wymachuje rączkami, bezdźwięcznie, po rybiemu otwierając usta. Za jej plecami absurdalnie sterczą złote skrzydełka, na twarzy purpurowieją potworne szramy, błyszczą, migocze korona, i napęta ze wszystkich stron mdląca zielona mgła...

Czworo skrzypków, cywilnik ze zgniecioną piersią i Cavendish, którego już nie trzeba zabijać! Podlec, który zgubił konnicę Epineix, znalazł podłg śmierć. Żarna losu miały powoli, ale pewnie. Każdemu – co jego. Wcześniej czy później. Komuś – Skąły, komuś – Wiatr, komuś – Błyskawice...

Niebiańska strzała uderzyła w szczyt góry, rozpadła się iskrami. Iskry stały się gwiazdami i śniegiem. Śnieg leciał przez gwiazdne światło, a przez niego mknęło złote polowanie. Rude konie deptały martwe liście, językami płomieni wiły się płaszcze za plecami jeźdźców, płynęły w locie czarnopyskie charty. Z purpurowej rękawicy zerwał się myśliwski sokół, zatoczył koło nad głową Robera, krzycząc dźwięcznie i trwożnie. Jeździec obrócił się, podniósł rękę, ni to witając Władcę Błyskawic, ni to przywołując zapominającego się ptaka.

Gwiazdny rój rzucił się Roberowi w twarz, ale Epineix zdążył zobaczyć, jak białozór siada na ręce naraz posiwiatego pana...

– Książę Epineix – nieznamy oficer z żółtozieloną twarzą z całej siły próbował zachować spokój – Jego wysokość natychmiast chce pana widzieć.

– Jego wysokość poczeka – powoli powiedział Inochodziec – dopóki jego Pierwszy Marszałek nie zakończy się bawić.

Błyszcząca kawalkada szybko znika w śnieżnej zawierusze. Dźwięcznie trąbi lodowaty róg, rżą, zarzucając głowami, śnieżnobiałe inochodźce, rozsypują się wietrzną zamiecią, a zza czarnych gór unoszą się, ciągną ku zakutemu w srebrną kulę krwawemu księżycowi cztery widmowe miecze.

Serce...

Czworgu Jeden oddał

Serce...

– Panie Pierwszy Marszałku – oficerek nie odszedł, a patrzył na Robera psimi oczami – Jego wysokość... Jego wysokość nie zrozumie pańskiej odmowy.

Głuptasek ma rację, trzeba iść. Zebrać w pięść to, co zostało z woli, i iść do byłego przyjaciela, suzerena, człowieka. Rober ostatni raz spojrzął na wymazaną zielenią lutnię.

Nie ma złota, nie ma słońca, nie ma gwiazd, niczego nie ma. Zgasło, ostygło, umarło, zamilkło...

W pierś zatruty kindżał -

Północ,

Czworo Jeden wezwał -

Wspomnij!

– On przeczuwał swoją śmierć! – zakrzyczał Crackl, patrząc naraz na Robera i na osierocony instrument – Przeczuwał! My nie wierzyliśmy, a on miał rację!

– Baron Deyers zbyt dużo śpiewał o śmierci – nie wytrzymał Epineix – i ona go usłyszała. Idziemy, tenencie, nie należy wystawiać na próbę cierpliwości jego wysokości.